49723/1889

22264/188

Деф. Недост. с. 12-44

6 рб

276ф

F | VIII | 6881
P-95

05(c47.743.1)+321.914.2(05)

ROK I. We Lwowie, dnia 1. Kwietnia 1889. **Nr. 1**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

SŁOWO WSTĘPNE.

Rozpoczynamy z dniem dzisiejszym wydawać nowe pisemko ludowe. Potrzebę jego czuliśmy oddawna, ponieważ w Galicji nie ma i nie było dotychczas niezależnego pisma, któreby szczerze broniło interesów chłopskich.

Za główne zadanie pisma, stojącego na straży interesów ludowych, uważamy pracę w tym kierunku, by lud jak najszerszy przyjmował udział w życiu publicznem. Przy takiem jak dotychczas zainteresowaniu się tem życiem, nigdy nie nabędzie on ani zrozumienia swych interesów i potrzeb, ani poczucia godności i obowiązków obywatelskich. Dlatego też, wbrew zwyczajnym pisemkom dla ludu zajmować się będziemy przedewszystkiem sprawami publicznemi, począwszy od spraw gminy i wioski, czytelni i szkoły, kółka rolniczego i straży ochotniczej do spraw całego narodu i całej ojczyzny.

Wzywając i nawołując włościan do współdziałania w sprawach krajowych, będziemy współdziałanie to uważali za niezupełne i niedostateczne, dopóki najwybitniejsi przedstawiciele ludu nie wejdą do Sejmu i Rady państwa i tam nad polepszeniem doli chłopskiej, a więc nad dobrem kraju, nie będą czuwać i radzić. Ku temu idąc celowi, będziemy się starali, by lud zdawał sobie sprawę z położenia swego i sam głos w swoich interesach zabierał. — Nie potrzebujemy dodawać, że mówić będziemy całą prawdę, chociażby ona gorzką była. Wobec masy narodu, w ciężkich warunkach, podążającej do oświaty, dobrobytu i postępu, nikt nie zawinił ciężej i zdrożniej, niż ci, co bezsumiennie przemilczają, jak jest, a jak być powinno. Ilekroć dojdzie nas uzasadniona skarga na wyrządzoną krzywdę — złe będziemy karcić, jak gdzieindziej dobre podnosić, a na wypadek potrzeby chętnie przyjdziemy z poradą prawną.

I innych wskazówek nie poskąpimy: czytającym, co czytać należy, rolnikom, jak z roli największy wyciągnąć pożytek, wszystkim pytającym nas o radę, jak działać, aby lepiej było.

W usiłowaniach naszych potrzebujemy poparcia. Zwracamy się więc o nie do przyjaciół ludu, którzy dla

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА АН УРСР № ІІП. 26355

NUMER NA OKAZ.

dobra jego pracują, a przedewszystkiem do samychże włościan.

Chcecie bracia mieć obronę i pomoc czy od rządu, czy od instytucji krajowych, to utrzymujcie swoją gazetkę, niby swojego adwokata, a utrzymać ją możecie tem, jeżeli będziecie prenumerować licznie, jeżeli będziecie do niej pisywać o swej biedzie i przypominać posłom, aby spraw włościańskich i rękodzielniczych należycie pilnowali, skoro się tego podjęli.

Cenę dajemy niską, na którą przecie wielu się zdobędzie, a choćby i dwóch, trzech razem może się złożyć.

Do gazetki tej powinni też pisywać listy sami czytelnicy, aby w drugich stronach ludzi wiedzieli, co się gdzieindziej dzieje, a jak wypadnie razem co zrobić, żeby się przez gazetkę porozumieli.

Niedalekie wybory.

Niezadługo będziemy mieli wybory do sejmu krajowego. Czas wam więc, panowie gospodarze, już teraz pomyśleć i naradzić się nad tem, jak i kogo macie wybierać.

Dotychczas wybieraliście najwięcej dziedziców lub panów z miasta. Nie przeczymy, że są między nimi ludzie, którzy szczerze pragną waszego dobra. Ale wieluż to jest takich, którzy nie znają chłopskiego życia i chłopskiej biedy, albo też mają na oku przedewszystkiem swe własne interesy, często niezgodne z interesami chłopskimi. Stąd też pochodzi, że sejm nasz mógł pouchwalać także ustawy, jak o drogach, o rybactwie i inne, dla stanu chłopskiego bardzo niedogodne, a najwięcej czasu strawił na uchwalaniu ustaw całkiem nie tyczących się włościan.

Wiemy o tem, że wielu z was, panowie gospodarze w zachodniej Galicji, przemyśliwa nad tem, jak by temu koniec położyć, jak by wybrać sejm taki, któryby chciał i umiał więcej dobrego zrobić dla ludu i dla tego chcemy wam o tem w naszem piśmie wypowiedzieć swoje uwagi.

Przedewszystkiem więc musimy powiedzieć, że zdaniem naszem chłop najlepiej odczuje potrzeby i interesy chłopskie. Dotychczasowy nasz sejm nie miał ani jednego chłopa — i stąd w znacznej mierze pochodziła jego jałowość i jednostronność. Dawniej, kiedy w sejmie zasiadali wieśniacy ruscy i mazurscy inaczej się toczyły rozprawy, uważnie słuchano, co kto mówi, pilnie siedziano na posiedzeniach, nie zbywano ważnych spraw lada kilkoma słowami. Chłopi uważali posłowanie jako rzecz sumienia, jako wielką i ciężką służbę gromadzką, a nie jako pusty honor. Włościanin w sejmie zasiadający pewnie nigdy nie da się skłonić do tego, by głosował przeciw interesom włościańskim. To jest przyczyna, dla której radzimy wam zawczasu wyszukać sobie rozumnych, piśmiennych i niezawisłych kandydatów na posłów z pomiędzy siebie samych.

Lecz powiecie może: co z tego, że chłop zruzumie najlepiej, co chłopa boli, kiedy on nie umie wypowiedzieć dobrze tego, nie potrafi przekonać drugich, obronić chłopskiej sprawy. To prawda, i dla tego konieczną jest rzeczą, byście prócz kandydatów chłopów wyszukali i upatrzyli sobie bodaj choć kilku ludzi oświeconych, którzy szczerze chcą dobra waszego i oświadczą swą gotowość bronić w sejmie waszych interesów. W swoim czasie, przed wyborami postaramy się wskazać wam takich ludzi.

chociaż lepiej by było, żebyście już teraz sami porozumieli się między sobą i z redakcją naszą, by potem można było działać od razu, ze świadomością zupełną i z konieczną zgodliwością. W takim razie, ludzie inteligentni i szczerzy przyjaciele chłopów, wybrani przez was i mając przy sobie kilku lub kilkunastu posłów chłopów, zgodnie głosujących w każdej sprawie, mogliby od razu zająć w sejmie wybitne i silne stanowisko i bardzo wiele dobrego zrobić.

Z umieszczonego w naszem piśmie życiorysu posła Orzechowskiego, który, będąc chłopem, dzielnie zastępuje interesy chłopskie we Wiedniu w Radzie państwa, możecie się przekonać, że ci, którzy wam odradzają wybierać posłów z pomiędzy siebie, nie waszego ale swego dobra pragną. Mówią oni: „ale cóż tam chłop w sejmie będzie czynił, kiedy on większej części spraw nie zrozumie! W sejmie trzeba pracować w komisjach, gdzie się roztrząsają tysiączne sprawy, układają ustawy, które potem mają być uchwalane, tam trzeba mądrych głów, biegłych prawników i polityków!“

Otóż przedewszystkiem nieprawdą jest, żeby w sejmie takie mądre rzeczy gadano, iżby ich prosty chłop zrozumieć nie mógł. Przeciwnie zbyt często gadają takie rzeczy i w taki sposób, że nawet prostemu chłopu wstyd by ich słuchać (przypominamy n. p. gadanie posła hrabiego Lassockiego o „świętej karczmie“). A powtóre, piśmienny i rozumny chłop potrafi i w komisji pracować i głos zabierać tak samo dobrze, jak niepiśmienny hr. Lassocki, zresztą większość sejmowa pewnie nie wybierze chłopa ani do komisji prawniczej, ani do budżetowej, ani do żadnej z takich komisyj, które zachowuje dla siebie, lub w której potrzeba ludzi fachowych. Prócz tych komisyj jest dużo takich, gdzie chłop bardzo dobrze pracować może, i gdzie głos jego może być nawet bardzo pożądany. Ażeby tam w sejmie zasiadały same tylko mądre głowy, to jest stara bajka, której nikt nie wierzy. Przeciwnie, dotychczasowa działalność sejmu jak najwyraźniej dowodzi, że niektóre głowy tam zasiadające są aż zanadto mądre — ale dla siebie, a inne znowu zanadto nie mądre, a ogółowi brak właśnie tego, co w pośrodku leży — zdrowego, prostego rozumu chłopskiego, brak tego poczucia, że interesy chłopa, interesy ludu pracującego powinne być głównym przedmiotem troski i pracy sejmowej. Było kilku posłów szczerych i o dobro ludu dbających, jak n. p. dziennikarz krakowski p. Romanowicz, ale takich było mało. Waszą rzeczą, panowie gospodarze, będzie wprowadzić do sejmu nowych ludzi, prawdziwych swoich zastępców, którzyby chcieli i umieli bronić waszych interesów, a zobaczycie, że wtenczas sejm i cała autonomja będą dla was prawdziwem a wielkiem dobrodziejstwem i pomocą.

JAN ORZECHOWSKI.

Podajemy niniejszem czytelnikom naszym życiorys zacnego męża, dzielnego obrońcy spraw ludowych, posła włościanina powiatu bocheńskiego, gospodarza-rolnika, pana Jana Orzechowskiego. Zaufaniem włościan zaszczycony, nie kupiwszy sobie zaszczytu posła ani pieniędzmi, ani wódką, ni też kiełbasą, nie cieszący się łaską dygnitarzy powiatowych, zasiada on z woli ludu, włościaństwa drobnego i mieszczaństwa pow. bocheńskiego od roku 1885 w Radzie państwa we Wiedniu. Jako poseł, broni przy każdej sposobności słusznej sprawy, chroniąc nietylko swych wyborców, ale i włościan naszych okręgów od krzywd, jakie nie raz źli lu-

dzie biednym naszym kmieciom wyrządzić zamyślają. Gospodarz Jan Orzechowski urodził się w r. 1827 we wsi Łazy, koło miasteczka Bochni z rodziny włościańskiej. Zaznał on jeszcze czasów pańszczyźnianych i nieraz o nich opowiada.

Orzechowski sam pańszczyzny nie robił. Ojciec jego bowiem, będąc jeszcze chłopcem kilkunastuletnim uciekł ze wsi rodzinnej Lubli w Jasielskiem aż do miasteczka Bochni. Tam wstąpił do kowala i wyuczywszy się rzemiosła, przez to od odrabiania pańszczyzny został uwolniony. Jako kowal osiadł rodzic pana Jana we wsi Łazach i tam żyjąc pracowicie i oszczędnie kupił sobie kawałek gruntu. Dzieciom swoim dał według możności staranne wychowanie. Jana i brata jego posłał do szkoły normalnej do Bochni, gdzie uczyli się dobrze. Brat starszy, wyzwolony kowal, porzucił rzemiosło i w r. 1848 podążył na Węgry na wojnę do oddziału polskiego i tam zginął. Jan pozostał w domu, gdzie się poświęcił stelmachowstwu, a wyzwoliwszy się poszedł na wędrówkę, jak to mówią — na Wander, obchodząc pieszo cały Szlązk i Węgry, wszędzie uczciwie zarabiając na chleb. Podczas tej wędrówki na obczyźnie nie jednego się pan Jan nauczył, wiele widział, a jako człowiek pojętny z otwartą głową nie mało doświadczenia nabrał. W r. 1846 podczas smutnych wypadków, brał czynny udział, odwodząc włościan od gwałtów, a narażeniem własnego życia nie jedną rodzinę szlachecką wybawił od nieochybnej śmierci. Rząd ówczesny był wydał rozkaz aresztowania «buntownika» polskiego, stelmacha Jana Orzechowskiego, ale uszedł on szczęśliwie temu niebezpieczeństwu. Po r. 1848 obudziło się w Janie zamiłowanie do rolnictwa. Zaczął gospodarować i dorabiał się dziesięciu palcami, jakto mówią, dobrobytu, tak iż teraz Orzechowski należy w powiecie bocheńskim do najwzorowszych i najmajętniejszych włościan. Przy swej ciężkiej pracy nigdy p. Jan nie stracił zamiłowania do książek. Gdzie mógł i na ile go stało skupywał stare książki, z nich czytał i uczył się, tak iż lepiej on zna historję powszechną i polską, niż niejeden co od dzieciństwa miał książki i nauczycieli.

Gdy nastały czasy autonomiczne w Galicji, to wieś rodzinna Łazy wybrała go swym wójtem i godność tę na pożytek gminy przez 11 lat piastował. Również gminy wiejskie wybrały go do Rady powiatowej bocheńskiej. Na tych stanowiskach zawsze się starał o dobro ludu, szczególnie włościaństwa. Każda sprawa słuszna znalazła w nim dzielnego obrońcę, szczególnie dążył on do założenia szkół wiejskich, wiedząc, że tylko za pomocą szkoły i oświaty włościaństwo nasze może się podnieść. Jako poseł do Rady państwe godnie p. Jan Orzechowski swój stan reprezentuje.

Jako przedstawiciel ludu wszędzie i zawsze występuje on w obronie jego interesów, ilekroć chodzi o ochronę tychże przeciw zachciankom zwolenników dawnej naszej polityki, uważającej dotychczas stan mieszczański i włościański za niemowlę, za brać młodszą, która sama myśleć i działać nie może. Poseł Jan Orzechowski wybrany w r. 1885 do Rady państwa przeciw magnatowi hr. Stadnickiemu wstąpił jak każdy poseł-Polak z Galicji do grona posłów polskich, nazywających siebie Kołem polskiem. Z początku, jako jeszcze nieobeznany z formułkami parlamentarnemi, odgrywał tam rolę widza, słuchacza. Słuchał i widział wszystko, co mężowie stanu czyli

politycy, mówili i robili; ale wnet się przekonał, że za większością Koła postępować nie należy, gdyż ta większość rozumie pod sprawami krajowemi tylko interes jednej drobnej warstwy czyli części społeczeństwa; co według rozumnego i uczciwego sposobu myślenia Orzechowskiego, jest niesprawiedliwością Według niego, poseł prawdziwy nie ma bronić interesów drobnej części mieszkańców kraju, lecz interesów ogółu. Rychło też poseł Orzechowski porzucił stanowisko widza, a obeznawszy się dokładnie z przepisanemi formułkami parlamentarnemi zaczął czynnie występować, i ku zgrozie patentowanych polityków brać żywy udział w naradach Koła. Przedewszystkiem znając dokładnie biedę włościan i wiedząc, jak uciążliwemi są dla nich i dla rozwoju gospodarstwa rolnego wysokie ceny soli dla bydła, domagał się od Koła, aby u rządu wyjednano t a ń s z ą s ó l d l a b y d ł a. Popierało go w tem dążeniu kilku posłów niezawisłych, to znaczy, nie godzących się na przymilanie się rządowi, ale bezskutecznie, gdyż większość Koła pod rozmaitymi pozorami, najczęściej aby »rządowi trudności nie robić« zabagniła rzecz całą. W s p r a w i e n a f t o w e j Orzechowski także wystąpił samoistnie. Według jego sposobu rozumowania, nafta jest niezbędną rzeczą, bez której nikt obejść się nie może, dla tego wystąpił przeciw wielkiemu podwyższeniu cła, to znaczy opłaty rządowi za wprowadzone do kraju towary. Orzechowski jak wyżej wspomnieliśmy, żywo się zajmuje sprawami oświaty ludowej. We wsi Tokach, gdzie przez 11 lat był wójtem, pomimo początkowej niechęci włościan, założył i wybudował szkołę gminną, a w Radzie państwa w y j e d n a ł dla B o c h n i u z u p e ł n i e n i e g i m n a z j u m. Ale nie na tem się kończy jego działalność. Z chlubą dla naszego włościaństwa, zaznaczyć tu musimy, że poseł włościański, sam będąc chłopem zawsze na to parł w Kole, że s z k o ł y i o ś w i a t a p o w i n n y b y ć d l a w s z y s t k i c h d o s t ę p n e, zaś n a u k a b e z p ł a t n a. Niezmordowanie występował i występuje przeciw czesnemu w szkołach średnich, rozumując, że wskutek czesnego ludowi zagradzają drogę do oświaty i przez to do poprawy swego losu. Pan Orzechowski w bronieniu spraw słusznych nieraz okazał się nieustraszonym i nieugiętym, jak np. wówczas, gdy chodziło o zniesienie w kilku prowincjach instytucji sądów przysięgłych, w niektórych sprawach —Wykrył on oszustwo dwóch właścicieli dóbr, którzy pod formą parcelacji wsi Rozdziela Górnego wyłudzili od włościan wiele pieniędzy, a po kilku latach, biednych włościan chcieli wypędzić z gruntów, nabytych krwawo zapracowanym groszem. Li tylko stanowczemu wystąpieniu Orzechowskiego włościanie Rozdziela górnego mają do zawdzięczenia, że się przy gruntach utrzymali. Jeszcze w świeżej pamięci jest również wystąpienie mężne Orzechowskiego w s p r a w i e u s t a w y o n i e p o d z i e l n o ś c i g r u n t ó w w ł o ś c i a ń s k i c h. Oświadczył on, iż ustawę tę uważa za szkodliwą dla włościaństwa, już choćby dla tego, że ona ogranicza wolność osobistą włościan, bierze ich pod sztuczną opiekę, do której włościanie nie mają najmniejszego zaufania. W ogóle i dziś poseł Orzechowski występuje zawsze przeciw ograniczeniu wolności osobistej, przeciwdziała w Kole każdej ustawie, zagrażającej tej wolności. Tak np. widzieliśmy w ostatnich czasach posła Orzechowskiego, jak bronił uczącą się młodzież naszą, występując przeciw dwuletniej służbie wojskowej studentów.

Z tego łatwo może każdy pojąć, że taki poseł nie może być dogodnym obozowi politycznemu, w którym na ostatnim planie stoją sprawy ogólno-krajowe, a na pierwszym interesa tylko jednej warstwy społeczeństwa. To też p. Orzechowski jest solą w oku przewodnikom Koła, szczególnie od czasu jak wystąpił w sprawie wódczanej przeciw podatkowi na korzyść gorzelników, a ze szkodą dla konsumentów (spożywców). W różny sposób starano się uczynić Orz. nieszkodliwym. Najpierw chciano go sobie ująć słodkiemi słóweczkami, a gdy to się nie udało, to starano się zniechęcić go do poselstwa różnemi sprawianemi mu przykrościami. Nie udało się to dotychczas. Wszelkie te usiłowania rozbiły się o stanowczość naszego posła. Daj Boże, aby i na przyszłość takim pozostał!

W życiu prywatnem Orzechowski jest dobrym i uczynnym. Nie jedną sierotę przygarnął do siebie i we własnym domu wychował, lub poseła na swój koszt do szkół do Bochni, nawet do Krakowa. W obejściu jest on miłym i wesołym.

Tak pokrótce skreśliliśmy żywot tego zacnego włościanina, przyczem nie jeden ciekawy szczegół o nim pominąć musieliśmy.

Józef ze Spiża.

CHŁOPI POZNAŃSCY.

Jak wiecie, część ojczyzny naszej znajduje się pod panowaniem pruskiem. Otóż w tej części, mianowicie zaś w Wielkiem księztwie poznańskiem, które rząd pruski przechrzcił na prowincję poznańską, mieszka lud polski, który jest bardzo oświecony.

Rząd pruski pragnąłby Polaków się pozbyć, usiłuje z nich zrobić Niemców, dlatego też robi wszystko, co tylko można, ażeby jak najprędzej Polaków wynarodowić. W tym celu, jak pewnie dobrze pamiętacie, bo to się działo przed kilku zaledwie laty, wydalił z kraju przeszło 30,000 biednych ludzi, których jedyna wina polegała na tem, że albo oni, albo ich ojcowie nie rodzili się pod panowaniem pruskiem, lecz w tak nazwanej Kongresówce tj. tej części Polski, którą zagarnął Moskal, albo też w Galicji. Rząd pruski chciał mieć w ten sposób 30,000 Polaków mniej pod swojem panowaniem. Nie dosyć tego; ustanowił on sto milionów marek, czyli 50 milionów reńskich, ażeby za te pieniądze wykupywać ziemię z rąk polskich i oddawać ją kolonistom szwabskim; w szkole zakazał uczyć po polsku, dzieciom nawet nie wolno pomiędzy sobą mówić w szkole ojczystym językiem; naseła też, gdzie może, nawet księży niemieckich, i tak na stolicy arcybiskupiej gnieźneńsko-poznańskiej, gdzie zasiadywali Polacy, arcybiskupi, którzy królów polskich koronowali, siedzi obecnie Niemiec, nazwiskiem Dinder. Przeciw temu wszystkiemu bronią się Polacy pod panowaniem pruskiem, najdzielniejszy opór stawiają zaś chłopi. Trzymają oni ziemię w swych rękach, nie chcąc jej oddać na pastwę Niemców, choć im dobrze chcą zapłacić, matki uczą dzieci swoje w domu po polsku (w Poznańskiem wszyscy prawie chłopi umieją czytać) i tak wszyscy pracują, ażeby się nie dać Niemcom. Często w celach wspólnej narady, jak się najlepiej bronić, odbywają też wielkie zgromadzenia czyli wiece. Na te wiece zjeżdżają się ze wszystkich stron chłopi, którzy nie dbają ani o dzień, dwa, trzy, ani o wydatki na podróż, gdy idzie o dobro ojczyzny. Otóż jeden z takich wieców, na którym było kilka tysięcy ludu, odbył się w lutym tego roku w Poznaniu. Tu pomiędzy innymi prze-

mawiał pewien gospodarz z Poznańskiego, nazwiskiem Karaś. Abyście zaś się mogli przekonać, jak wieśniacy w księztwie Poznańskiem czują się obywatelami Polski, jak dzielnie bronić jej potrafią, to przytaczamy tutaj ustęp z mowy tego wiarusa. Powiedział on jak następuje:

„Kto nie szanuje świętości narodowych, nie wart się nazywać synem Polski. Zebraliśmy się dzisiaj, aby się pouczyć, jak usunąć dziejące się nam krzywdy. Szkoła kosztuje kieszeń naszą drogie pieniądze, składamy na nią ciężkie podatki; nie spodziewaliśmy się jednak, żeby rząd tak się z nami obchodził, którzyśmy w trzech wojnach, na polach Królowogrodu, Sedanu, Paryża krew naszą nie skąpo przelewali, żeby rząd, który zdaje się, wyczerpał wszystkie dobrodziejstwa, jakiemi nas chciał uszczęśliwić, jeszcze nowem nas obdarzył, odbierając nam język ojczysty, a narzucając obcy; my sobie bynajmniej takich dobrodziejstw nie życzymy. A czujemy dobrze niesprawiedliwość, jaka nam się dzieje i potrafimy dobrze się bronić, bo nie pochodzimy z dzikiego szczepu Indyan, ale z narodu, który potrafił cierpieć i boleć, pochodzimy z narodu, który ma świetną przeszłość poza sobą i dla tej przeszłości nie zrzeczemy się przyszłości.

A dla czego się tak z nami obchodzą? nie daliśmy przecież żadnego do tego powodu, każdy uczciwy Niemiec to nam przyzna.

Ponieważ nasze skargi, żale i petycje nie odnoszą żadnego skutku i skazani jesteśmy na samych siebie, to też sami się obronimy.

Piękną jest ta mowa, w której tak rzewnie śpiewali nasi wielcy wieszcze, więc z miłością brońmy tej mowy od wymarcia, uczmy dzieci pisać i czytać po polsku, modlić się po polsku i polskie śpiewać pieśni i piosenki, a przekażemy ją czystą i nieskalaną i brzmieć ona będzie tak długo, póki stanie świata. Wskazujmy dzieciom na świetne dzieje nasze, uczmy je poznawać przeszłość naszą, prowadzajmy na mogiły naszych narodowych męczenników, tam odmawiajmy z dziećmi za ich wzniosłe dusze pacierz polski, aby i nad naszymi grobami dzieci nasze umiały się w tym języku pomodlić.

W tym celu przystępujemy do czytelń ludowych, otwierajmy domy nasze pismom i książkom polskim, bo pisma i książki to nasi kierownicy duchowi i apostołowie, co drogą prostą prowadzą do oświaty i postępu, abyśmy nie stanęli za drugimi narodami i wstydzić się musieli, żeśmy Polakami. Dla tego nie oglądajmy się na szlachtę i księży, nie zakładajmy rąk, spuszczając się na nich, ale sami, cały naród niech pracuje nad swoją obroną, bo „kto się na kogo spuści, tego Pan Bóg opuści!“

Rozważcie sobie dobrze tę mowę i starajcie się, ażeby i z was mogli wyjść tacy ludzie, jak ten chłop z pod Poznania, tacy dzielni synowie nieszczęśliwej ojczyzny naszej.

Rocznica bitwy pod Racławicami.

W pamiętnym dniu 4. kwietnia b. r. ukończy się 95 lat, jak na wezwanie naczelnika Tadeusza Kościuszki i pod jego dowództwem, lud wiejski głównie z podkrakowskich okolic, zebrawszy się 1794 roku, uzbrojony w kosy, rozbił pod Racławicami Moskali. W dniu tym powinniśmy uprzytomnić sobie, jak to ojcowie nasi, prosty lud, zrozumieli potrzebę ratowania ojczyzny; jak się uczuli prawdziwymi obywatelami kraju, nieodrodnemi dziećmi tej ziemi, która ich zrodziła i wykarmiła, z jaką ochotą pobiegli na wezwanie wielkiego Naczelnika, ażeby jej bronić. Jest to najlepsze świa-

dectwo, jakie sobie wystawił wtenczas lud polski, świadectwo, którego pamięć żyć będzie wieki całe. Niejednego to gospodarza dziś pod Krakowem żyjącego, dziad bił się dzielnie na tych Racławickich polach, niejeden sam nawet położył głowę swoją za wolność i niepodległość ojczyzny.

O tej pamiętnej bitwie pod Racławicami, gdzie 4. kwietnia 1794 r. chłopi z pod krakowskich okolic uzbrojeni w kosy pod wodzą Tadeusza Kościuszki rozbili regularne wojsko moskiewskie, któremu nietylko że zabrali armaty, broń i chorągwie, ale jeszcze parę tysięcy ludzi zabili, a resztę na cztery wiatry rozgonili, — pisano i opowiadano wiele. O sławnym tym wypadku przechowało się dotąd dokładne podanie między ludem krakowskim; jeden zaś z poetów polskich, Teofil Lenartowicz: ślicznie tę bitwę opisał, a teraz słynny malarz krakowski Jan Matejko wymalował ją znakomicie.

Zanim powiemy o obrazie tę bitwę przedstawiającym, przytoczymy wprzód ustęp z opisu jej wierszem Lenartowicza *):

. . . . . .

I wysunął się Kościuszko
Na przodek szeregu
I zawołał: — wiara bracia,
Od brzegu do brzegu.
A najpierw wy wieśniacy,
Polski ludu rolny,
Widzisz Moskwę — to niewola,
Bij, a będziesz wolny.
My tu bracia na swej ziemi,
Ziemia to krakowska;
Nasza Polska i nasz krzyż ten
I rola ojcowska.
Czy nam zagon ten niemiły
Uznojony pracą,
Żeby Moskal go zabierał
Jedn Bóg wie za co.
Wiara bracia przez Bóg żywy,
Kto Polak prawdziwy,
Puszczać kosy na te chwasty,
Co nam pola głuszą,
Kochać Polskę nie połową,
Ale całą duszą.
Czyście dobrze zrozumieli,
Dobrze wysłuchali?

— Zrozumielim Naczelniku,
Trzeba bić Moskali!...
Jezus Marja hasło nasze,
Jezus Marja! wrzasną;
A na rżysku od kos błysku
Zrobiło się jasno.

Matejko na obrazie, który jest bardzo wielkich rozmiarów, przedstawił plac boju pod Racławicami w pierwszej chwili, kiedy się bitwa skończyła.

Zdaleka widać jeszcze ostatnie oddziały moskiewskie zmykające, które goni nasza kawalerja. Tuż zaś przed nami po prawej stronie obrazu, stoją rzędem armaty zabrane przez kosynierów Moskalom. Prawą ręką na jednej z nich oparty, stoi w pełnej godności postawie Bartłomiej Głowacki, który się tyle przyczynił do zwycięztwa pod Racławicami. Jego to kosa wszędzie przodowała tym licznym kosarzom, tu go teraz otaczającym, co przedtem kosili tylko trawę na łące.

I Bóg też pobłogosławił tej kośbie, uwieńczonej tak pięknem zwycięztwem, to to też wszyscy kosynierzy otaczający Głowackiego są zadowoleni i w wybornym humorze. Każdy z nich po swojemu cieszy się ze zwycięstwa. Opowiadają sobie, co kto widział, co uczuł, co doznał w boju lub czego sam dokonał. Ot tu na prawo w tej sutej kerezji jakiś krakowiak, zapaliwszy przedewszystkiem fajkę, ostrzy aż miło osełką swą kosę, widocznie przeczu-

*) O Polskim Naczelniku Kościuszce i o Racławickiej bitwie dnia 4. kwietnia 1794 r. Biblioteka Mrówki, Lwów, 1886.

wając potrzebę nowego jej jeszcze użycia. Inny znów z wielkiej radości wyrzucił wysoko w górę czapkę i nastawia ręce, aby ją znowu złapać, gdy spadać będzie. Ale wszyscy tłumem zwracają się w jedną stronę, bo oto konno wyjeżdza Kościuszko. Więc też wszyscy witają swego wodza, swego, jak go nazywali, ukochanego Naczelnika, — i każdy jak umie, chce mu zasłużoną cześć oddać. — Kościuszko na widok tych dzielnych ludzi, co tak chwacko rozbili Moskali i pozabierali im działa, zdjąwszy czapkę, cześć im przez to publicznie oddaje. — Kościuszce towarzyszą ksiądz Kołłątaj, jenerałowie Wodzicki i Madaliński. Jenerał zaś Zajączek stojąc w stosowanym kapeluszu, wkłada szablę do pochwy, jakby chciał powiedzieć, że już bitwa na dziś skończona.

Na lewo obrazu siedzi we wspaniałym ubiorze dawny szlachcic Dembowski i patrząc na te tłumy włościan, dziwi się, że choć nie wojskowi, jednak tak ogromnie pobili moskiewskie wojsko i pozabierali mu armaty.

Na drugiej stronie obrazu stojący Bartłomiej Głowacki z takiem zadowoleniem na twarzy, zdaje się jakby opowiadał na to zdziwienie pana w te mniej więcej słowa: »Pokazaliśmy, co potrafimy i możemy, a gdyby za naszym przykładem na wezwanie Naczelnika poszedł każdy zaraz, pan czy kmieć zarówno, dawnoby już lepiej w naszym kraju było, gdyżbyśmy od siebie wygnali najeźdźców za dziesiątą granicą. W tem ci to właśnie bieda, że u nas tak dużo ludzi nie poczuwających się do obowiązku służenia Ojczyźnie, będącej w niewoli».

Oprócz tych głównych postaci na tym wielkim obrazie, są tu jeszcze i inne.

Niedaleko prowadzą kilku Moskali do niewoli wziętych. Jeden z nich, Moskal rosły, bił się widać dobrze, bo twarz jego od prochu zczerniała, a jednak mimo to, dostał się do niewoli. Smutno mu i żałośnie, że on, oficer i to jeszcze od grenadjerów tak wysoko cenionych w Rosji, a tu teraz taki wstyd, chłopi polscy z taką go paradą do kozy prowadzą.

Na ziemi, jak zwykle na pobojowisku, leżą ciała tych poległych, co przegrali bitwę. Szczególniej jeden z tych Moskali zwraca na siebie uwagę. Ogromnę ranę otrzymał w szyję, padł, tchu mu brak, chwyta się więc za gardło ręką, aby przecięte części zsunąć do siebie. Tymczasem jednak życie mu uciekło, Nieborak! Miał nieszczęście, że się dostał pod Głowackiego kosę, a kogo ten zuch poczęstował cięciem, to już nie było się i poco więcej schylać!

Widzimy zatem z tego krótkiego opisu, że cały ten Matejki obraz, przedstawiający bitwę pod Racławicami, nietylko jest bardzo piękny, ale i nadzwyczaj zajmujący. Kiedy był na wystawie w Krakowie i we Lwowie, tysiące go ludzi zwiedzało. Obraz ten teraz zrobiony w zmniejszonej formie, kto każe oprawić sobie za szkło w ramki, będzie miał bardzo piękną ozdobę w domu, a zarazem i pamiątkę uwieczniającą świetne czyny za ojczyznę ludu polskiego z pod Krakowa. Cena małego obrazu 50 ct.

O Bartoszu Głowackim śpiewają w wielu okolicach śliczną piosenkę:

Hej tam w karcmie za stołem,
Siadł psy dzbanie Jon stary
Otocyli go kołem,
On tak prawił do wiary:
„Wiara bracia, źle teraz,
„Dawniej lepiej bywało.
„Ej mówiłem wam nieraz,
„Ze jus zuchów jest mało.

„Z nasych casów to słynął,
„Kum Bartłomiej Głowacki,
„Od Moskali on zginął,
„Zołmirz z niego był chwacki.
„Cy to w karcmie, cy w domu,
„Cy to taniec, wesele,
„Nie dał bruździć nikomu,
„I był zawsze na cele.
„Gdy na wojnę zwołali,
„Młodzies nasych powiatów,
„Myśma bili Moskali,
„Bez pomocy magnatów.
„Po seregach się lśniały,
„Kierezyje, capecki,
„Do kuzdego siz śmiały,
„Kieby łanie dziewecki.
„Tam za górą harmaty,
„Stzeze oddział kozacki,
„Oj cekajta psubraty,
„Mówił Bartos Głowacki.
„Raz pamiętam, wiecorem,
„W Racławicach stojewa,
„Coś cernieje za borem,
„I Moskali widziewa.
„Gdy Kościusko ich zocył,
„Kazał bębnić na bitwę,
„A Głowacki wyskocył,
„I miał kosę kiej bzytwę.
„Zacął machać, wywijać,
„My tez obces na wrogi,
„Dalej ranić, zabijać,
„Aze oni het w nogi.
„I pses bagna, psepaście,
„Uciekali kiej wściekli,
„Myśma harmat dwanaście,
„Do Kościuski psywlekli.
„Wodzowie się schodzili,
„I Bartosa witali,
„Zdrowie jego het pili,
„I serdecnie ściskali".
Młodzies kubki nalała,
I spełniła je duskiem,
„Wiwat zuchy!" wołała,
„Nas Głowacki z Kościuskiem!"

DOBRY ZAROBEK.

Biedny ja człowiek. Gruntu ani odrobiny, wszystkiego tylko jedna chata i ta stara. A tu żona, dziatek dwoje, trzeba czemś żyć, trzeba jakoś trzymać się na świecie. Dwa chłopaki u mnie, jeden w czternastym, drugi w dwunastym roku, za pastuchów służą u dobrych ludzi, za to mają bodaj odzienie i strawę. Żona przędzie, także cokolwiek zarabia. No, a dla mnie starego, jaki zarobek? Ot, pójdę czasem do poblizkiego zrębu, narżnę brzeziny, naklecę miotełek przez tydzień, a w poniedziałek bierzemy z żoną po wiązce na plecy i wleczemy się na targ do Drohobycza. Niewielki to z tego zarobek, po trzy, cztery centy za miotłę; panu z tego zapłać za pręty, to i mało co zostanie. Ale cóż robić, trzeba się krzątać, ażeby Panu Bogu daremnie chleba nie zjadać. I jakie też to życie nasze! Kartofle i barszcz, czasem to niby kasza i chlebek jaki się trafi, żytni to żytni, a jęczmienny lub owsiany, to i za to niech będą Wszechmocnemu dzięki. Jeszcze jak lato, to pół biedy, człek bądź u bogatszego cosik zarobi, bądź też ze sakiem w potoczynę wlezie, rybę jaką ułowi, albo grzybów z lasu nadniesie; ale w zimie wszystkiego tego nie masz. Co od ludzi za robotę dostaniemy, to tylko i mamy i tem się żywimy, a nieraz to i z głodu i z chłodu przymieramy. Ot, jak to u chałupników bywa.

No, widzicie, a jeszcze znalazł się dobry człowiek, co pozazdrościł i tym naszym dostatkom! Niby to za dużo dziadku tego dobra u ciebie, nuż no roztyjesz zanadto, rozhulasz się. Więc na, masz! I wsypał takiego pieprzu, że Panie, stań się wola Twoja! Słuchajcie, jak to było:

Idę ja sobie raz miastem, miotły do kupy związane na drążku niosę na plecach, i rozglądam się do koła, czy nie kiwa kto na mnie lub czy nie woła jaka żydówka: „Człowiecze, człowiecze, poczemu miotły?" A tu narodu dokoła, jak zwykle w dzień jarmarczny. Zerkam ja tak tędy i owędy, widzę: idzie za mną jakiś panisko garbaty, z głową dużą, jak u sowy, a oczy u niego szare i złośliwe jak u żaby. Idzie i raz wraz na mnie spogląda. Stanąłem myślę, może potrzebuje czego, a on nie, stanął sobie również opodal. Idę dalej, on znowu za mną. Jakoś mi się niedobrze zrobiło. „Pek ci biedo — myślę sobie — co to takiego?" Aż tu żydówka z boku wrzeszczy:

— Człowiecze, człowiecze, poczemu miotła?

— Po pięć — rzekę.

— Ny, za co po pięć? Na wam trzy.

— Dawaj cztery.

— Nie, trzy.

— Nie, cztery.

Stargowaliśmy za cztery centy. Rzucam swoją wiązkę z pleców, rozwiązuję sobie spokojnie, daję żydówce miotłę, aż tu garbaty panisko za mną.

— A poczemu miotełki sprzedajecie? — zapytał.

— Po pięć centów, panoczku — odrzekłem — kupcie, miotły dobre.

Wziął jednę, spróbował.

— Tak — rzecze — niema co mówić, dobre. A zkąd wy?

— Z Monastyrza.

— Tak, tak, z Monastyrza. A często wy takie miotełki sprzedajecie?

— Nie, nie często. Ot tak raz na tydzień, co poniedziałek.

— Aha, aha co poniedziałku. A dużo tak jednego poniedziałku sprzedacie?

— A, jak się trafi, panoczku. Czasem ja i żona wysprzedamy wszystko, co tylko wyniesiemy, a czasem i nie wysprzedamy.

— Hm... A dużo ich w jednym tygodniu możecie zrobić?

— Ta i to proszę pana, jak do potrzeby.

— No, no, rozumie się. Bo to widzicie, ja jestem dostawcą do cesarskich magazynów, to mnie by trzeba takich miotełek dużo, ot tak ze sto. Czy moglibyście do tygodnia zrobić mi sto mioteł?

— Dlaczego nie, zrobię. A dokąd panu donieść?

— Ot tutaj — mówi i pokazał jeden domek. — Ale pamiętajcie, żebyście słowa dotrzymali. A ja zapłacę. A po czemu żądacie za sztukę?

— Ta już, jeżeli pan na hurt tak dużo biorą, to spuszczę taniej, po cztery.

— Nie, nie, nie, nie trzeba, nie spuszczajcie! Zapłacę i po pięć.

— A niechże panu Pan Bóg da zdrowia i lat setnych!

— No, no, bywajcie zdrowi, a pamiętajcie: od dziś za tydzień przychodźcie!

I z tem słowem panisko poszedł sobie dalej, a ja zostałem.

— Ot to — pomyślałem sobie — jakiś dobry panisko i nawet ceny spuszczać nie każe. Niezły zarobek będzie. Co tchu pobiegłem szukać swojej starej i oboje wysprzedawszy swój towar, czy nie wysprzedawszy, kupiliśmy soli, siarników i czego tam jeszcze nam było trzeba i do domu. Mówię ja swej starej, że oto tak i tak, zarobek mi się trafił niezgorszy. I ona też ucieszyła się.

— Trzeba będzie wziąć się nam obojgu, bo gdzież ty sam za tydzień taką robotę zrobisz?

Dobrze. Jęliśmy się obydwoje; nanosiliśmy brzeziny całą stertę, fabryka w chałupie. Baba liście obsmykuje, aż jej skóra z dłoni pozłaziła; ja nożem pręciki obcinam, składam, wiążę, rączki strugam, aż kipi robota. Przyszła niedziela; cała setka mioteł gotowa i w wiązki powiązana. W poniedziałek bierzemy my te wiązki na drągi, a drągi na plecy, i wal do miasta. Upał taki, że uchowaj Chryste Panie. Poty z nas setnie się leją, w gardle wyschło; ha, ale cóż robić, kiedy zarobek, to zarobek.

Przychodzimy do miasta, wszyscy żydzi na nas oczy powytrzeszczali. Cały kahał nas obstąpił, zgiełk taki podjęli, jak gdyby niedźwiedzia prowadzono.

— Słuchajcie człowiecze, a dokąd wy taką furę pręcia dźwigacie?

— To wy z babą cały lasek brzeziny do miasta przywlekli!

— Stój, stój! Co chcecie za lasek brzeziny?

A my nic. Idziemy chociaż ledwie żywi. Dał Bóg, doleźliśmy jakoś aż do tego domu, gdzie pan kazał czekać. Przyszliśmy pod ganek i brzdęk owemi wiązkami o ziemię. Aż tu i pan z okna wygląda.

— A — rzecze — to wy, człowieczku?

— Tak proszę pana, to ja z miotłami.

— Dobrze, dobrze, ja zaraz do was wyjdę.

Zamknął okno. Czekamy. Aż oto i on.

— No, cóż, przynieśliście miotełki?

— Tak jest, proszę pana, równo sto, jak pan kazali.

— Aha, aha, to dobrze. Ale wiecie co, ja ich teraz nie potrzebuję; zabierzcie je so-

bie, niech u was jeszcze będą do jakiegoś czasu, albo możecie też i sprzedać. A mnie gdy będzie potrzeba, to ja wam dać znać. A teraz weźcie ten oto kwitek, to już wam wójt powie, co z nim zrobić.

— Ba, a to po jakiemu — rzekę — wszakci pan zamówili, a teraz nie biorą.

— Nie, nie biorę — odrzeka on łagodniutko — bo teraz mi nie potrzeba. Ale wy się nie bójcie, ja o was nie zapomnę. Weźcie ten kwitek, weźcie!

— Na co mnie waszego kwitka? Co ja z nim zrobię?

— Weźcie, weźcie — powtarza on. — A zresztą nie chcecie, to jak się wam podoba, A teraz idźcie ztąd!

Już to, prawdę powiedziawszy, chciałem tam postawić się do niego z językiem, ale on obrócił się i czmychnął do chaty. Zostaliśmy jak wodą zlani. A dalej, cóż robić, zabraliśmy miotły i poszli.

Aż tu nie minął tydzień, woła mnie wójt. „Co za bieda“, myślę sobie. Przychodzę, a wójt śmieje się i mówi:

— Nu, dziadku Pańku (wszyscy mię dziadkiem zwą, chociaż ja i nie taki to nadto stary), masz niepokalane zwiastowanie.

— Co za zwiastowanie?

— A ot tutaj, widzisz? — i wyjął papier, ten sam, co mi ów panisko napychał, rozłożył go i zaczął czytać coś takiego, czego ja ani w ząb nie zrozumiałem.

— A cóż to za pokusa? — pytam.

— Nie pokusa, bracie, ale arkuszek.

— Arkuszek? Co za arkuszek? dla kogo?

— A jużci, że dla ciebie. Masz płacić obok domowego podatku jeszcze i zarobkowego po pięć reńskich rocznie.

— Po pięć reńskich rocznie? Panie, zmiłuj się, to za co?

— Za miotły. Co tygodnia sto mioteł sprzedajesz. Sam pan inspektor podatkowy widział i przekonał się.

Stanąłem, jak ten, powiadają, święty Szymon Słupnik, co to pięćdziesiąt lat na jednem miejscu słupem stał. Wolałbym był miskę ciemierzycy na obiad zjeść, niż coś podobnego usłyszeć.

— Panie wójcie — rzekę po chwili — ja płacić ani myślę.

— Musisz.

— Nie, nie będę. Co mi zrobicie? Co goły za pazuchę schowa?

— Kzekucję naślemy, zobaczysz.

— Ślijcie sobie i natychmiast. U mnie i kzekutnik zdechnie, zanim co znajdzie.

— To chatę sprzedamy, a was z babą puścimy na cztery wiatry. Cesarskie nie śmie przepaść.

Jęknąłem, jak poderznięty.

— A widzisz! A co, czy będziesz płacił?

— Będę — odrzekłem, a sam sobie swoje mam na myśli.

Trzy lata minęły, nie płaciłem ani centa. Gdy kzekucja przychodziła, chowaliśmy się z babą w łozy, a chatę zamykaliśmy; przyjdą. popukają i pójdą. Dwa razy chcieli się wdzierać gwałtem, okna wyrywać i komin walić, ale obydwa razy dobrzy ludzie jakoś wyprosili. Wreszcie tej wiosny urwało się. Nic już nie pomogło. Resztancji na mnie uzbierało się coś około dwudziestu reńskich; z miasta nakazano zaraz pieniądze złożyć, albo chatę na licytację puścić. Jużem ja i nie uciekał nigdzie, widzę, że już to na nic się nie zda. No i cóż? Wyznaczyii licytację, oszacowali cały mój majątek na okrągłych dwadzieścia reńskich. Przychodzi ten dzień: bębnią, wołają kupców „kto da więcej?“ Ehe. kiedy bo nikt i tyle nie daje. Dziesięć, dwanaście, ledwie na piętnaście reńskich wyciągnęli i za tyle też sprzedali. A ja w śmiech i mówię do wójta:

— A widzicie, przecieżem was okpił. Chybaż wam nie mówiłem, że gołego trudno obedrzeć?

A wójt do mnie:

— Niech ciebie dziadu djabli biorą, na jakie ty się sposoby puściłeś!

Naszą chatę kupił żyd Jojna na chlewek dla cieląt, a my z babą, jak widzicie, w komorneśmy poszli i znowu po staremu żyjemy, dopóki Pan Bóg wieku przedłuży. Ona przędzie, chłopcy ludzkie bydło paszą, a ja miotły klecę, i tak żyjemy, nie widząc ani słysząc, co to arkuszek podatkowy.

Iwan Franko.

Poradnik dla czytelń.

O Ojcowiznę, czyli jak sobie jeden chłop z Niemcami poradził, z powieści Bolesława Prusa pt. „Placówka“ skróciła Faustyna Morzycka. Warszawa 1889 cena 25 ct., stron 125.

Jest w Warszawie bardzo rozumny i zdolny pisarz, który się nazywa Aleksander Głowacki, a na książkach podpisuje się Bolesław Prus. Śliczne też pisze on książki i gawędy nauczając, jak rozumnie i uczciwie żyć na świecie, obchodzić się z ludźmi po ludzku i jak sobie dawać radę w naszych ciężkich czasach. W jednej takiej książce, co się nazywa «Placówka», opowiedział on historję pewnego chłopa polskiego, nazwiskiem Józek Ślimak, jakie to on miał kłopoty z Niemcami, co gwałtem chcieli od niego kupić jego ziemię, a on opierał się im z całej siły mimo wszelkich nieszczęść, jakie na niego spadały. Opisano tam z początku gospodarstwo Slimaka, jako był on gospodarz na sześciu morgach, miał parę koni i krowę, miał żonę i dwóch chłopaczków, służącą Martę i sługę owczarza, jak kupił jeszcze jedną krowę i o mało że nie kupił od dziedzica łąki, co przypierała do jego gruntu — jednem słowem, był gospodarz dobry.

Na jego nieszczęście przyszli Niemcy do wsi i zakupili dwór ze wszystkimi pańskimi gruntami. Prześlicznie tam opisany naród niemiecki, wytrwały, przemyślny i nieprzebierający w środkach, byle czego dopiąć. Biedny Ślimak nigdzie nie może dać sobie z nimi rady, wszędzie Niemcy odbierają mu zarobek, odbierają mu łąkę, co wynajmował u pana, nie chcą sprzedać paszy i przyciskają go jak to mówią, do ściany. A zawzięli się na niego Niemcy dlatego, że im nie chciał odsprzedać swej ziemi, która leżała pośród dawnych pól dworskich i szczególnie dlatego była im potrzebną, że była tam góra, na której można było wystawić wiatrak. Wiatraka zaś tego potrzeba było kolonistom po to, by jeden z nich mógł się ożenić z córką sąsiedniego bogatego młynarza, za którą miał wziąć duże pieniądze. Bez wiatraka nie chciał on wydać swej córki koloniście, a koloniści potrzebowali pieniędzy choć giń, by spłacić dawnemu dziedzicowi dwór i grunta. Nie można powiedzieć, żeby cała ta maszyna była mądrze obmyślaną, ale kto wie, może gdzie i tak się w świecie działo.

Dość, że Ślimak ze swym uporem bardzo stoi na przeszkodzie Niemcom. Na dobitek nieszczęścia naraził się Ślimak w gromadzie, rozgniewał na siebie arendarza. Skradziono Ślimakowi konie, podpalono mu chatę, zginął mu wierny sługa, syna wpakowano do więzienia, zachorowała mu żona. Tyle nieszczęść było już za dużo dla niego postanowił więc zbyć się ziemi i iść gdzie w inne strony. Już miał podpisać kontrakt, ale chora żona, dowiedziawszy się o wszystkiem, wyprowadziła go z pomiędzy Niemców i zaklęła na wszystkie świętości, by Niemcom ziemi nie sprzedawał.

— Ty zdrajco! — ty zaprzańcu! — krzyczała. — Ty grunt sprzedajesz. A? tobyś ty samego Pana Jezusa żydom sprzedał! To ci się już sprzykrzyło, żeś jest uczciwy gospodarz, jako twój ojciec, chcesz zejść na poniewierkę między ludzi? A co zrobi Jędrek? Będzie chodził za cudzą sochą! A mnie jak pochowasz?

Ślimak przysiągł żonie, że nie sprzeda. Żona wkrótce umarła. Niemcy zbankrutowali, sprzedali grunta i wynieśli się dalej. Ślimak zaś pochował żonę, odbu-

dował chatę i dalej na swoim kawałku gruntu pracował.

To cośmy tutaj po krótce opowiedzieli, nie daje jeszcze żadnego pojęcia o opisach i rozmowach, jakie są w tej książce. Trzeba je samemu przeczytać, by widzieć, jak to tam pięknie spisano. Nie darmo to książkę tę czytają wszyscy Polacy, ba nawet Moskale i Niemcy przetłumaczyli ją po swojemu. Dużo tam powiedział Prus prawdy panom, którzy lekkomyślnie sprzedają swoją ziemię byle komu, nie dbając o to, że nieraz taka sprzedaż może do biedy przyprowadzić całą gromadę, a zawsze jest hańbą dla całego narodu. Bo naród, który się dobrowolnie wyzbywa ziemi, sam sobie daje świadectwo, że jest nieudolny i niedołężny, i że nie dba o swoje potomstwo i o swoją przyszłość. Wiele tam pouczającego jest i dla chłopów polskich i dla księży. Dlatego też książkę Prusa, a przynajmniej to skrócenie, które z niej zrobiła dla ludu panna Morzycka, powinien przeczytać każdy rozumny i piśmienny włościanin, bo takie książki zą chlubą całego narodu.

KRONIKA.

Powodzie. Okropne wieści dochodzą z nad Wisły. W Królestwie Polskiem, zwłaszcza w okolicach Warszawy woda sprawiła straszne spustoszenie, przerwawszy wał ochronny. Pomimo rozpaczliwej obrony mieszkańców, rozhukanego żywiołu nie dało się opanować i Wisła wylała na 3 mile kwadratowe w około. Ofiarą fal padło 18 wsi, a kilkoro ludzi utraciło życie. Bydła zginęło kilkaset sztuk. Pod Modlinem wylała Wisła razem z wpadającą tu do niej Narwią, zatapiając formalnie miasteczko Nowy Dwór. Kilkanaście domów runęło, kościół również stoi we wodzie. Wsie położone poniżej Warszawy stoją zupełnie pod wodą, a nad utrzymaniem w całości wału obwodowego pracują setki rąk. Klęska zeszłoroczna powtórzyła się w całej grozie — a toż dopiero początek!

Z Jarosławia donoszą: Budynki chłopskie są za Sanem ogromnie poniszczone, niemożebne do zamieszkania i wymagające znacznego kosztu do naprawy.

Przeciw wyzyskiwaniu. Wydział Rady powiatowej w Łańcucie wydał następujący okólnik do gmin powiatu łańcuckiego:

Od niejakiego czasu kręcą się po tutejszym powiecie agenci przyrowskiej fabryki narzędzi rolniczych, którzy wyłudzają od włościan zaliczki na maszyny, lub też żądają za takowe całej zapłaty. Gdy to nastąpi, otrzymuje po niejakim czasie nabywca zapłaconą, lub zadatkowaną maszynę z wspomnianej fabryki, która żąda znowu od nabywcy ponownego złożenia należytości, tłómacząc się tem, że pieniędzy od agenta nie otrzymała i że agenci nie są upoważnieni do pobierania jakichkolwiek zaliczek. Wypadek taki miał miejsce ostatniemi czasy w gminie Markowy, agent zaś wspomnianej fabryki był wysłany z centralnej agentury z Krakowa i Podgórza.

Ponieważ z powyższego widać, że fabryka maszyn w Przyrowie (Prerau) nie jest dosyć przezorną w wyborze swoich agentów, którzy łatwowierność ludu wyzyskują i narażają go na koszta i ewentualne procesy, przeto Wydział powiatowy widzi się spowodowanym przestrzedz ludność tutejszego powiatu przed wchodzeniem w interesa z wspomnianą fabryką i jej agentami. Panom naczelnikom gmin zaś zaleca się, ażeby w danym razie badali legitymacje agentów, czy mają dotyczące upoważnienie władz i ażeby nieuprawnionym do tego w zawieraniu przez nich interesów przeszkadzali, jakoteż o ewentualnych wypadkach wyzyskiwania władzom przełożonym donosili.

Krakowskie Towarz. Oświaty ludowej podaje do wiadomości, że w 2 miesiącach bież. roku założył wydział 15 nowych czytelń (l. 123—137) w Samocicach poczta Bolesław, Mokrzyszowice p. Tarnobrzeg, Jastrzębi p. Ciężkowice, Okolicach p. Ujście solne, Zembrzycach p. Sucha, Białym Dunajcu p. Poronin, Nowem Bystrem p. Czarny Dunajec, Jordanowie, Tarnobrzegu, Bystrej p. Jordanów, Tussowie Narodowym p. Mielec, Wiśniowej, Wrzawach p. Nadbrzeże, Gorzkowie p. Bochnia, Gerczycach p. Bochnia, Łapczycy p. Bochnia i Bachowicach p. Zator. Na najbliższej sesji wydziału przedstawione będą do założenia czytelnie w 13 dalszych

miejscowościach powiatu krakowskiego, wielickiego, myślenickiego, tarnowskiego, limanowskiego, niskiego, rzeszowskiego i w domu karnym w Nowym Sączu. W ten sposób Towarzystwo dojdzie wkrótce do poważnej liczby 150 czytelń ludowych.

Wyzyskiwanie emigrantów. Jak ajenci wyzyskują emigrujących do Ameryki, o tem donosi *Diło* fakt następujący. Do Brodów przyjechała z Rosji pewna rodzina gospodarska, którą natychmiast ułowił żyd ajent. Kupił on emigrantom bilety do Bremy, zapłaciwszy za nie: od 5 osób 39 gld. 86 cnt. za pakunki 13 gld. razem 52 gld. 86 cnt. Na to zaś wziął od emigrującej rodziny za bilety osobowe 93 ruble, a za pakunek 40 rubli, razem 133 rubli. Emigranci, nie umiejąc czytać ani liczyć, dali się w taki bezczelny sposób obrabować i pojechali, nie próbując nawet czynić jakichkolwiek kroków sądowych.

Fundusz dobroczynny dla włościan z kapitałem żelaznym 20.000 gld. utworzyła p. Izabela Krzeczunowiczowa w dobrach Bołszowieckich i okolicznych.

O fundacji pani Krzeczunowiczowej wyjmujemy następujące szczegóły: Fundacja nosi imię ś. p. Kornela Krzeczunowicza, kapitał zakładowy wynosi 20.000 złr. Od kapitału tego procenty mają być co pół roku rozdawane: a) dla sierót bez ojca i matki, b) dla wdów obciążonych dziećmi, c) dla zarobników i rzemieślników obciążonych dziećmi, d) dla chałupników obciążonych rodzinami, e) dla kalek i chorych na leki i na lekarzy, f) na tych, co ucierpieli od ognia lub powodzi — wszystko dla chrześcian grk., rzk. i ormk. obrządku, z wyłączeniem żebraków zawodowych, pijaków i prowadzących życie niemoralne. Po śmierci fundatorki rozdawnictwo przechodzi do najstarszego członka rodziny, gdyby zaś wsie przeszły w inne ręce., to żelazny kapitał przechodzi na każdą z obdarowanych gmin, wraz z obowiązkiem, by procent z niego rozdawano według prawideł przez fundatorkę ustanowionych, a rachunki przedkładano rządowi. Pani Krzeczunowiczowa znaną jest ze swej dobroczynności.

Z pod zaboru pruskiego. Przeszło pięćset górników polskich, rodem z Galicji, którzy w kopalniach górnoszląskich, a mianowicie w rządowej kopalni w Królewskiej Hucie od lat kilkunastu mieli stałe zajęcie, musiało wskutek rozkazu urzędu ziemiańskiego w Bytomiu do 1. marca br. granice państwa pruskiego opuścić. Oburzającem do żywego jest stanowisko niemieckiej gazety *Schlesische Zeitung*, która z góry pochwalając wszelkie rozporządzenia władz wyższych winę surowego rozporządzenia władz wyższych przypisuje nieudolnej pracy galic. górników i ciągłym ich kłótniom i sporom z miejscowymi robotnikami, które już nieraz groźne podobno dla spokoju publicznego przybrać miały rozmiary. Fałsze to wierutne.

Górnicy galicyjscy żyli nadzwyczaj skromnie i spokojnie, zadowoleni małym zarobkiem i lichą strawą, umieli grosza zaoszczędzić i przesyłali oszczędności swe regularnie na potrzeby rodzin pozostałych w Galicji. Pocóż tedy okłamywać publiczność, kiedy główne powody wydalania dzisiaj już każdy rozumie. Pierwszym jest oczywiście ten że robotnik z Galicji i z Królestwa Polskiego wstrzymuje zgermanizowanie ziem polskich, pozostających pod berłem pruskiem. Co się zaś tyczy szczegółowo górników z Królewskiej Huty i okolicy, to nieuprzedzony wydaje sąd taki, że kiedy na wiosnę zmniejszyło się zapotrzebowanie węgla, odprawiono w sposób bezwzględny tyloletniego robotnika, któremu sama dyrekcja rządowych kopalni zawsze jak najpochlebniejsze wydawała świadectwa.

Zgromadzenie gospodarzy celem narady nad kandydatem na posła do Sejmu odbyło się niedawno w Zbarażu. Na zgromadzenie to przybyli włościanie ze wszystkich stron powiatu i zaproszony p. Tadeusz Fedorowicz, właściciel Klebanówki. Zgromadzenie liczące 41 członków ukonstytuowało się jako komitet przedwyborczy, postawiło na kandydata p. Fedorowicza i wybrało przedwyborczy komitet wykonawczy z 6 członków.

Nowa ustawa o dziedziczeniu.

Chcemy się z Wami, mili bracia, poradzić w ważnej sprawie. Idzie o to, że rząd prowadzi do ustawy, która wolność dzielenia gruntów, należących do włościan będzie ograniczała.

Trzeba Wam wiedzieć, że jest taki kraj, w którym nawet uchwalone ustawy, skoro są niedogodne, a trzydzieści tysięcy obywateli tego zażąda, przychodzą pod głoso-

wanie powszechne i dopiero głosowanie rozstrzyga, czy ustawy te mają być przez naród przyjęte albo odrzucone. Tak się mianowicie dzieje w Szwajcarji, w małym kraiku, który leży w górach wysokich, o trzy dni drogi koleją żelazną od Krakowa. Na podstawie takiego prawa, według którego wola ludu przeważa ostatecznie*) jakaś n. p. ustawa drogowa, albo inna jakkolwiek po uchwaleniu jeszcze przepadłaby z kretesem, gdyby ludność obejrzała się dość rychło, nie później jak w 3 miesiące po jej wydaniu, że uchwalono ją wbrew jej interesom albo chęciom.

W Austrji inaczej — raz wydane prawo trudno uchylić. Każdy przeto powinien dwa razy tyle co w owej Szwajcarji dbać o to, aby projekty nowych praw były doskonałe. Trzeba się więc starać, aby każdemu były one dostępne, aby jak najwięcej ludzi naradzało się nad niemi i pisało, czy dobre są czy złe.

Jak powiedzieliśmy idzie o ustawę o dzieleniu gruntów, przedłożoną przez rząd w Radzie państwa, w której i z Galicji 63 posłów zasiada. Według projektu rządowego, jeśli gospodarz na wsi ma tyle tylko roli, ile na wyżywienie jednej rodziny potrzeba, to po śmierci, skoroby umarł bez testamentu, cała rola z inwentarzem przechodzi na jedno dziecko, inne dzieci mają być spłacone przez głównego spadkobiercę.

Rada państwa, jak wiadomo, może taki projekt wniesiony przez rząd przyjąć albo odrzucić, ale dopiero Sejmy krajowe postanowią, jak go gdzie przeprowadzić. Inaczej się go może przeprowadzi w Galicji, inaczej na Szląsku, w Czechach lub na Bukowinie. W radzie państwa jedni się oświadczali *za* i tych była większość, w skutek czego ustawę uchwalono: drudzy *przeciw*. Najdzielniej zwalczali projekt rządowy; poseł Kronawetter, który zawsze z ludem trzyma i jego interesów broni, dalej niemiecki wieśniak, poseł Krzepek, z Polaków zaś włościanin, poseł Orzechowski. Jakie oni widzieli złe skutki ustawy, o tem później pomówimy. Na razie wróćmy do tego, cośmy nadmienili, że choć ustawę w Wiedniu uchwalono, dopiero nasz Sejm będzie stanowił, jak ją wykonywać. Zanim on coś postanowi, czas nad nią radzić. Pamiętajcie bracia, że chodzi tu o los waszych dzieci, a tem samem o dobro kraju. Dlatego też jak najgoręcej popieramy życzenie, wypowiedziane przez «Niedzielę», aby włościanie na zebraniach Kółek rolniczych i w czytelniach naradzili się i dobrze zastanowili, jak byłoby lepiej, czy żeby ojciec grunt swój rozdzielił na części między wszystkie dzieci; czy żeby oddał rolę jednemu dziecku w całości, a dla innych tylko zapewnił spłaty.

Wasze zdanie powinniście jasno i otwarcie wypowiedzieć i przesyłać nam listownie, a my listy wasze wydrukujemy i to, co uradzicie, weźmiemy pod rozwagę. Oprócz tego postaramy się, żeby głos wasz dostał się do innych pism, żeby go posłowie nasi do Sejmu poznali i dokładnie rozważyli.

*) Prawo to nie ma polskiej nazwy; w Szwajcarji zowie się ono referendum.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig**. Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 2. We Lwowie, dnia 15. Kwietnia 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

O dzieleniu gruntów chłopskich.

Na nasze zapytanie, wystosowane w pierwszym numerze »Przyjaciela ludu« do czytelników, co oni myślą o nowej ustawie, dotyczącej dzielenia gruntów chłopskich po śmierci ojca, otrzymaliśmy z Zabierzowa pow. bocheńskiego list, który tutaj podajemy.

»W czasach pańszczyzny, gruntów nie dzielono, chłopi takowe w całości posiadali, a przecie była wielka bieda w Galicji. Chłop chodził w brudnej płóciennicy, z kołtunami na głowie, a w nich pełno słomy, żył w niechlujstwie, bez religji i oświaty, nie miał co jeść, nie miał też tyle bydła co dzisiaj, a na jego roli chwasty i osty rosły. Dla czego? Bo musiał robić pańszczyznę, by szlachtę zbogacać. Szlachta posiadała i dziś jeszcze posiada największe obszary ziemi. Dla czego ona swe dobra parceluje, choć i nie wszystkie? Dla tego, by je lepiej sprzedać, bo na całe trudno kupca znaleść. Czy może dla tego rozparcelowali oni swe grunta, że ich ustawa o dzieleniu do tego zmusiła? Bynajmniej? Popadli w bankructwo, narobili masę długów, nie mogli dać rady ziemi, bo im chłop nie robi pańskiego za darmo. A tu gleba wymaga pracy, robotnik drogi, musiał pan zapaść w długi i zbankrutował. Chłop zaś cieszy się, że może pracować dla siebie.

Może ktoś powie: no, to teraz chłopi powinni być bogaci, kiedy nie robią pańszczyzny. Powinni! Ba, ależ po zniesieniu pańszczyzny chłopi byli bez oświaty, przywykli do gorzałki, biedni, nie mieli za co sobie posprawiać potrzebnego inwentarza, grunty ich puste w połowie leżały ugorem, głód panował wielki. Z czasem familji przybywało, kraj się zaludniał, podatki się zwiększały, a bieda dziedzicznie z familji na familię spadała i spada. Jak że się tu chłopu dźwignąć? A do tego żydowskie plemiona wszystko z nich w różny sposób zdzierały. Przecież to do niedawna płaciliśmy żydom od pożyczki po 3 centy procentu od jednego reńskiego na tydzień! To też chłop nie był czem innem, jak pastwą żarłoctwa i nie mógł się dźwignąć.

Dziś czasy się zmieniły. Lichwę zakazano, opilstwo zatamowano, oświata się szerzy, posłowie nasi mogą zasiadać w Radzie państwa i w Sejmie i bronić nas, to pewnie, że z czasem i dobrobyt się zwolna podźwignie. Nieszczęściem jednak chytra

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№ ИП 26555

polityka stara się, aby to prawo wolności, że tak powiem, ująć w ramy, i uchwala, żeby gruntów nie było wolno dzielić, bo przez dzielenie gruntów robią się same dziady we wsi. Jest to kłamstwo. Powiedziałem już na początku, jak to wyglądało u nas życie chłopskie wtenczas, kiedy nie wolno było dzielić gruntów — wskażę dalej, jak by to wyglądało teraz. Ale może ktoś powie, że sami chłopi, a nawet całe gminy występują przeciw podziałowi gruntów. Być może, że się gdzieś i tacy znajdą, ale jeżeli tak jest, to głosy te pochodzą z brudnego łakomstwa, które nie zważa na żadne smutne następstwa, byle tylko siebie nasycić i prawo wolności zniweczyć. Bo przecież uważcie! grunt podzielony przez ojca nie idzie w zabory rosyjskie albo pruskie, ale zostaje w tej samej gminie i familji, ojciec nprz. posiada 6 morgów gruntu i ma na to sześcioro dzieci, a gdyby wszystkie testamentem zarówno obdzielił, to otrzyma każde 1 morg, a jeżeli nie zostawi testamentu, to rząd nie da podzielić. Ziemia w gminie naszej płaci się morg po 300 złr., więc 6 morgów 1800 złr. Taksatorowie widzą, że to grunt sierociński i że nikt przy podziale krzywdy nie doznał, taksują taniej, nprz na 300 złr., tak że kasa weźmie podatku mniej, notarjusz także, a sieroty otrzymawszy każde 1 morg w dziale, mają utrzymanie pewne, żyją z sobą w zgodzie, przy ożenieniu upatrują znów, żeby choć pół morga ziemi dostali, a dostawszy takowy, pracują pilnie, żyją oszczędnie, a za jakie 5 — 6 lat przykupują sobie znów morg gruntu i żyją dobrze. Chłop idzie na zarobek, żona w domu da sobie radę i tak po 10 — 15 latach wspólnego pożycia kupili sobie zaś morg, i już dochodzą do takiej ilości gruntu, jak ich ojciec posiadał. To jest główna korzyść z dzielenia guntów, której każdy dobry katolik jak najzacięciej bronić powinien.

Zobaczmy teraz, jak wyglądać będzie ograniczenie wolności dzielenia. Dziedzic jeden z pomiędzy sześciorga dzieci ustanowiony na 6 morgach gruntu, który, jak to wyżej powiedziałem, wart w gminie naszej 1800 złr., otrzymał grunt ten czy to testamentem, czy sądownie. Taksatorowie, żeby nie zrobić krzywdy innym dzieciom, nie mogą gruntu tego taksować niżej jego wartości. Zapłaci on więc przedewszystkiem do kasy 3 lub 4 razy tyle podatku, a nadto musi dać spłaty swym pięciu posesorom każdemu po 300 złr., razem 1500. A skądże je weźmie?

Może ktoś powie: przecie nie od razu będzie spłacał wszystkich! Nie przeczę, ale czy im to co pomoże? Dajmy na to, ustanowiony dziedzic dziś nie ma lat, zostaje zarówno jak i drudzy pod opieką. Ale oto doszedł lat, odbiera swój grunt, bo ma do tego prawo, a czem drudzy będą żyli? Przyszła bratowa, a nawet on sam, wydala swe rodzeństwo, pięć osób, z domu ojcowskiego: jeden idzie na służbę, drugi na zarobek itd. Opiekun widzi, że ci idą w poniewierkę, żąda, by dziedzic złożył ich części, razem 1500 złr., a jak nie, to aby przynajmniej płacił procenta, a skądże jemu na nowem gospodarstwie wziąć pieniędzy?

Ale może ktoś powie: ożeni się, weźmie w posagu i wypłaci spłaty. No, to byłby chyba cud boży, jeżeliby na 6 morgów gruntu dostał 1500 złr. Ale niechajby dostał tak ładny posag, to żona każe sobie zapisać cały majątek, a on stracił na zawsze prawo rozporządzania takowym. A jeżeli się tak nie zaratował, to opiekun lub też dorośli spadkobiercy po kilkokro-

tnem upominaniu się o swe części, występują w drodze sądowej, każdy bierze adwokata, dochodzi do wyroku, albo do ugody z terminem. Zapłacić trzeba, biedny dziedzic nie ma pieniędzy, ze studni nie weźmie, cóż więc ma robić? Idzie do banku i zaciąga na hipotekę pożyczkę — 600 złr., bo mu więcej nie dadzą na 6 morgów gruntu. Daje jak może każdemu po trosze, lub spłaca dwoje, a troje pozostaje. Tym spłacić trzeba, do banku płacić trzeba, a tu nie ma skąd. Cóż się dzieje. Rok, drugi, bank czeka, a nareszcie sprzedaje grunt, który wart 1800 złr., za cenę licytacyjną 700—800 złr., komu? żydowi, bo chłop nie ma na to pieniędzy, dwóch, trzech się nie zbierze, bo grunt nie może być dzielony — i dziedzic idzie z torbami. Oto są skutki nieszczęsnego łakomstwa posiadania całych gruntów«. *Antoni D...*

OD REDAKCJI. Z podziękowaniem umieszczamy ten głos szanownego gospodarza i ze swej strony przyznajemy mu dużo słuszności. Rzeczywiście, zakaz podziału gruntów chłopskich nie wyjdzie na dobro ani dziedzicowi, gdyż obciąży odziedziczony grunt ogromnym długiem, ani też innym spadkobiercom, którym, na całe życie zostanie żal, że ich wyzuto z ojcowizny, a nie zostawiono piędzi ziemi, gdzieby mogli głowę przychylić. Zakaz taki zrodzi mnóstwo processów, wydziedziczone dzieci chłopskie pogrąży w nędzę i zrobi z nich tanich i potulnych sług i robotników.

Ale z drugiej strony nie możemy przyznać słuszności szanownemu p. Antoniemu D., że wolność dzielenia gruntów jest wielkiem dobrem dla ludu. Zapytamy się tylko: czy rzeczywiście gospodarz, siedzący na jednym lub dwóch morgach gruntu, jest gospodarzem? Czy może on trzymać tyle bydła, ile potrzeba dla obrobienia tego gruntu? czy może on z tego gruntu wydobyć tyle, ile potrzebuje do życia, do zapłacenia podatku gruntowego, domowego i dodatków? Czy taki gospodarz nie jest żebrakiem przywiązanym do tego kawałka gruntu, z którego ma za mało do życia, a za dużo do śmierci głodowej?

Szanowny Antoni D. mówi wprawdzie że taki drobny dziedzic postara się zwiększać swoją posiadłość i za kilkanaście lat będzie miał tyle, co miał jego ojciec. Na to odpowiemy: gdy będzie miał jakieś szczęście. Może na 100 takich biedaków jeden się dorobi, wygra na loterji albo znajdzie pieniądze na drodze lub wykopie skarb, ale 99 pewnie nie tylko niczego się nie dorobią, ale stracą nawet to, co mieli. Inaczej też i być nie może z wielu przyczyn, o których nieraz jeszcze szeroko mówić będziemy. A teraz zapytujemy was, szanowni czytelnicy i cóż robić temu biednemu chłopu? Zostawiać grunt bez podziału jednemu dziedzicowi a wypędzać inne dzieci na bożą wolę — źle i brzydko i nie po ludzku; dzielić ten grunt na drobne kawałki — także źle, bo zamiast dziedziców wszystkie dzieci, a co najdalej ich dzieci zejdą na żebraków. Tak teraz stoją rzeczy, jak to mówią: ani w kąt ani w drzwi. Pomyślcie więc i napiszcie nam, jakie waszem zdaniem jest wyjście z tego błędnego koła?

O KSIĘDZU STANISŁAWIE STASZICU.

Pod słomianę strzechę zabłądziła do mnie bardzo ciekawa książeczka o życiu księdza Stanisława Staszica. Przeczytawszy ją, siadam by się wiadomościami z Wami czytelnicy, podzielić.

W końcu zeszłego roku we Lwowie zawiązane zostało »Towarzystwo imienia Staszica« w celu szerzenia oświaty pomiędzy ludem. Pierwsza ze wszech miar godna uwagi książeczka, napisana przez Bolesława Limanowskiego, a wydana przez towarzystwo, jest właśnie tą, o której mam mówić.

Każdy Polak powinien wiedzieć o wielkich ludziach, których ziemia nasza wydała. Znać więc powinniśmy żywot i czyny Staszica. Wieśniaka zaś każdego szczególnie zajmować może żywot tego, który przez całe życie starał się pracować dla szczęścia włościan. To też przytoczę tu ważniejsze szczegóły, jakie pisarz tej książeczki nam podaje.

Staszic urodził się 1755 r. z zacnej rodziny mieszczańskiej, w mieście Piła, dziś do Prusaków należącem. Dziecinne lata przepędził w smutnych dla kraju naszego czasach; była to bowiem chwila upadku naszej ojczyzny, a nakoniec jej podziału między ościenne państwa Austrję, Rosję i Prusy.

Staszic uczył się najprzód w kraju, po śmierci zaś ojca wyjechał do Niemiec i Francji, gdzie zaznajamiał się z nowemi kierunkami nauki. Gdy wrócił do ojczyzny miał zaledwie 18 lat i wtedy to był świadkiem pierwszego rozdziału Polski. Prusacy zajęli jego miasto rodzinne i przyłączyli do ziem swoich.

W czasie pobytu swego w Warszawie starał się o jakie zajęcie publiczne, ale w owych czasach uważano na pochodzenie i mieszczan z trudnością do urzędów publicznych dopuszczano. Stosując się do życzenia swojej matki, Staszic przyjął święcenie kapłańskie, lecz nie poczuwając w sobie żadnej skłonności do zawodu duchownego, zrzekł się probostwa w Turobinie, które mu nadano.

Staszic odczuł boleśnie rozbiór kraju, to też całą duszą oddał się pracy dla ratowania ojczyzny. — Zrozumiawszy dobrze, że Polska zdoła się obronić od dalszej przemocy chciwych sąsiadów, wówczas tylko, jeżeli cała ludność stawić będzie opór wrogom, przemawiał za tem, by »nadać mieszczanom prawa obywatelskie, a włościanom przynajmniej wolność i opiekę prawa«. Wkrótce też polecono Jędrzejowi Zamojskiemu, w którego domu Staszic był nauczycielem, ażeby ułożył nowe prawa więcej odpowiednie zasadom sprawiedliwości. »Nowe te prawa nie podobały się większości przesądnej i swawolnej szlachty, która z oburzeniem odrzuciła je na sejmie 1786 r.«. Zabolało to mocno Staszica, to też napisał książkę pod tytułem: »Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego«; wypowiedział w niej szlachcie gorzkie słowa prawdy, że przywłaszczywszy sobie Rzeczpospolitą wyrządziła tem krzywdę narodowi, albowiem osłabiła jego siłę i przedstawił rady, jak ratować kraj od ostatecznego upadku. Wierzył on święcie, że gdyby mieszczanie i włościanie w Polsce mieli prawa obywatelskie, to broniliby Jej z całej swej mocy „i nie dopuściliby do rozdarcia ojczyzny na części".

Słowa Staszica nie przebrzmiały bezskutecznie, gdyż 1788 w r. zgromadził się sejm i rozpoczął dzieło odrodzenia ojczyzny. Był to sławny sejm czteroletni. Konstytucja przez ten sejm uchwalona dnia 3 maja 1791 r. była najpiękniejszem dziełem ostatnich czasów Polski. — Staszic ucieszył się, że ludzie dobrej woli, pomyśleli o ratowaniu ojczyzny, lecz później, gdy

samolubne postępki wielkich panów przeszkadzały dziełu odrodzenia kraju, napisał nową książkę p. t. »Przestrogi dla Polski«, w której zaklinał szlachtę, by nie była samolubną. Dzieło to wywarło na lepszych ludzi wielkie wrażenie, tak iż w duchu rad i życzeń Staszica napisaną została konstytucja trzeciego maja, w której »lud wiejski pod opiekę praw przyjęto, miasta zaś do reprezentacji przypuszczono«. Było to jednak już za późno; w roku 1793 nastąpił drugi rozdział Polski. Wtedy to naród powstał pod wodzą Kościuszki przeciwko wrogom; włościanie szczytnie odznaczyli się w tej walce, kosa wieśniacza zwyciężyła Moskali pod Racławicami. Niestety jednak pobici wkrótce zostaliśmy pod Maciejowicami, poczem Rosja, Austrja i Prusy zagarnęły resztę ziem polskich.

Gdy po trzecim rozbiorze kraju, co nastąpiło w r. 1795, rząd austrjacki tanio rozprzedawał dobra narodowe, Staszic kupił starostwo hrubieszowskie, nadał włościanom, w tych dobrach żyjącym wolność i urządził ich byt z wielką troskliwością. Poczem sam wyjechał do Warszawy, gdzie przystąpił do nowo utworzonego towarzystwa »Przyjaciół nauk«. Popierając je wszystkiemi siłami, Staszic darował ogromny dom na pomieszczenie tego użytecznego towarzystwa. Sam zaś zajął się nauką, a w szczególności badaniem gór i bogactw, jakie się w nich znajdują. Wkrótce napisał o tem obszerną książkę.

Kiedy Napoleon, cesarz francuski z pomocą Polaków podbił państwo pruskie, z części ziem polskich przez Prusy zabranych utworzył on Księstwo Warszawskie. Konstytucja tego małego polskiego państwa znosiła poddaństwo włościan i zaprowadziła równość wszystkich mieszkańców. Gdy więc w kraju znowu zabłysła wolność, Staszic zajął się oświatą ludu, pracując przy dyrekcji edukacyjnej.

Po upadku Napoleona, znaczna część Księstwa Warszawskiego przeszła jako oddzielne Królestwo Polskie pod rządy cesarza rosyjskiego Aleksandra I., pomimo tego jednak Staszic dalej pracował w komisji nad oświatą ludu. Starał się też o podniesienie przemysłu w kraju, a szczególnie górnictwa.

Z czynów Staszica najważniejszemi jednak były reformy, jakie przeprowadził w swych dobrach hrubieszowskich; o nich też jeszcze słów parę powiedzieć wypada. Ponieważ Staszic nie chciał, »by jedni bogacili się kosztem drugich«, postanowił więc, w założonem przez siebie towarzystwie, że nikt wyżej nad 80 morgów gruntu nie ma prawa posiadać. I dlatego też podzielił wszystkie grunty dworskie i »w części rozdał je tym gospodarzom, którzy nie mieli jeszcze 60 morgów, w części zaś rozdzielił niemi nowo przybyłych rolników«. Następnie, naradziwszy się z gospodarzami, utworzył Towarzystwo rolnicze Hrubieszowskie, którego celem było połączenie wszystkich gospodarzy, należących do tego stowarzyszenia, jakby w jedną rodzinę, tak iżby wszyscy wzajemnie sobie pomagali. W razie jeśli kogo nawiedziło nieszczęście, inni obowiązani byli przyjść mu z pomocą i tak w wypadku pogorzenia odbudować budynki, zaś w razie gradu zwrócić mu stratę. Złodzieje i inni źli ludzie nie mogli należeć do towarzystwa. Utrzymywano szkoły, doktora i szpital, a takoż utworzono kasę, z której udzielano członkom pożyczek. Towarzystwo obowiązane było prócz tego wysyłać jednego z uboższych młodzieńców do szkół województwa.

W przyszłości rada gospodarcza, stojąca na czele towarzystwa, miała zakupić w miarę środków pobliską wioskę i przyłączyć do towarzystwa »z nadaniem jej włościanom prawa dziedzicznego posiadania gruntów i wszystkich tych dobrodziejstw, jakie posiadacze dziedziczni towarzystwa hrubieszowskiego używają«.

Słusznie pisarz książeczki o Staszicu, powiada, że »urządzenie to było na swoje czasy bardzo dobrze obmyślane i gdyby właściciele ziemscy poszli byli w ślady Staszica, przyszlibyśmy już dawno do wolności i lepszego bytu. Niestety, dziedziczna szlachta więcej myślała o własnym interesie, aniżeli o przyszłości narodu«.

Takim to był ów Staszic. O siebie mało dbał, pamiętał tylko drugich; nie żałował pieniędzy, ani pracy dla dobra kraju, bo był tego zdania, że przeznaczeniem człowieka na tej ziemi jest, »aby dobrze czynił ludziom i czynami całego życia starał się ulepszyć los swoich bliźnich«. Staszic umarł w 1826 r. Tłumy ludu z żalem żegnało jego zwłoki. Pochowano je na Bielanach pod Warszawą, przy murze kościelnym.

Polecając czytelnikom książeczkę o Staszicu, wyznaję, że wiele ciekawych zdarzeń z życia tego prawdziwego Polaka musiałem dla braku miejsca opuścić; dobrze by więc było, by kto może, całą ją przeczytał.

Z lustracji Kółek rolniczych

P. Z. Gawareckiego w powiecie Mieleckiem.

Pan lustrator wyjechawszy w połowie października b. r. ze Lwowa, jadąc koleją do Dębicy, powiada, że wszędzie po drodze widział bardzo pięknie powschodzone oziminy i dobrze już zakorzenione. Wrzesień był piękny tego roku, gospodarze więc mogli w czas dokonać zasiewów, które też bujno rosły przy ciągłej pogodzie, cieple i słońcu. — Pastwiska zaraz za Sądową Wisznią niedaleko od stacji kolei w Mszanie widział bardzo zaniedbane, kretowiskami raz przy razie pokryte, któreby się tem więcej zalecały do poprawy, ponieważ tu grunta piasczyste. Powszechny to los naszych pastwisk gromadzkich, że pozostając w największem zaniedbaniu, nie mogą przynosić nawet dziesiątej części tej korzyści, jakąby mogły wydawać z siebie, gdyby były jak należy utrzymywane. Ale cóż kiedy na pastwisku gminnem, czy jest co, czy nie ma, wszyscy paść chcą, a nikt się nie poczuwa do obowiązku aby coś zrobić dla utrzymania ich w dobrym stanie, na co wójt nawet z radą gminną uwagi nigdzie nie zwraca. Że jednak z tych okropnie zaniedbanych pastwisk możnaby daleko lepsze korzyści odnosić, moglibyśmy na to niejeden dowód przytoczyć. Wskażemy tu parę takich przykładów:

W Mędrzychowie, w powiecie Dąbrowa, tu w Galicji było gminnych pastwisk z jakie 100 morgów w najgorszym stanie, mało co korzyści przynoszących gminie. Po tych pastwiskach kto chciał to pasł, jeżdżono też po nich we wszystkich kierunkach. Żalono się długie lata ciągle, że pastwiska liche, ale nietylko że nic nie przedsięwzięto aby je poprawić, ale nawet nie pomyślano o tem, coby należało uczynić dla ich polepszenia. Tak stały rzeczy oddawna i byłoby tak może pozostało aż do końca świata. Dopiero idąc za radą miejscowego proboszcza ks. Zaręby, będzie

temu z 15 lat gospodarze zorali te nieprzynoszące pożytku pastwiska, i obsiali je naprzód prosem, potem żytem itd. co jako na nowinie dobrze się rodziło, tak że w pierwszym zaraz roku mieli zbioru przeszło 300 korcy prosa. Ze sprzedaży tych plonów, które co rok uprawiają, gmina ma już kilka tysięcy złr. uciułanego funduszu, oprócz tego że ze sprzedaży tych zbiorów płacą całoroczne podatki gminne. Teraz ludność Mędrzychowa z wdzięcznością wspomina już zmarłego proboszcza, którego rada takie im korzyści przyniosła. A gospodarze obeszli się bez tego pastwiska, bydło swoje lepiej jak dawniej mogą teraz utrzymać, ponieważ dla niego uprawiają koniczynę i buraki. W lecie pasą je po swojem i sami zauważyli że to lepsze, bo nie tracą gnoju na gminnem pastwisku.

W powiecie Tarnobrzeskim w okolicy Dąbrowicy - Szlązaków jest znowu gmina, która chcąc mieć jakąś rzeczywistą korzyść ze swoich wspólnych pastwisk, niedawno podzieliła je za wspólną zgodą pomiędzy wszystkich gospodarzy, a to stosownie do obszerności gruntu, jaki który z nich posiadał. — Przykłady te, które tu podaliśmy, pokazują że gospodarze sami tu i ówdzie starają się zaradzić temu choć w różny sposób, żeby pastwiska większe im jak dotychczas przynosiły korzyści. Pastwisk tych ogromna moc jest wszędzie w Galicyi; stanowią one wielkie bogactwo gminne, lecz bogactwo niezmiernie mało dochodu przynoszące, ponieważ każdy mieszkaniec gminy chce z niego nieograniczenie i jak najwięcej korzystać, a nikt nawet, jak to mówią, kiwnięciem palca nie chce się przyłożyć, aby je utrzymać w dobrym stanie. Gdyby się starano coś robić dla ich polepszenia, to nie ulega wątpliwości, że dużo by na tem zamożność gmin zyskała. Z tego to powodu sądzimy, że pewna moralna odpowiedzialność cięży na wójtach i na zarządach gminnych, że nie dążą do tego aby polepszyć te wspólne pastwiska, od wieków już niepoprawiane i zaniedbane.

Ale i Kółka rolnicze na swych zebraniach powinnyby też bardzo naradzać się nad tem: w jaki to sposób w ich gminie, możnaby poprawić pastwisko, aby wszystkim większy jak dotąd z siebie pożytek przyniosły.

(Rzecz tu poruszona jest rzeczywiście bardzo ważną. Zdaje nam się jednak, że p. lustrator nie całkiem słusznie zapatruje się na nią i nie uwzględnia ani ustawy, ani też różnych stosunków, jakie zachodzą w gminach. Spodziewamy się niezadługo pomówić obszerniej o pastwiskach gminnych, obecnie zaś upraszamy naszych czytelników, by byli łaskawi ze swej strony pisać nam, jaki jest stan pastwisk w ich gminach, i jak oni o tej sprawie sądzą.

Redakcja).

Powiat Mielecki odznacza się tem, że z niego dużo już poszło ludzi do Ameryki tak chrześcian jak i żydów. Z tem wychodźtwem do Ameryki, zupełnie ma się tak samo jak z loterją. Jeżeli bowiem kto gdzie kiedyś wygra na loterji, to na parę mil dokoła o tem wiedzą i mówią, lecz nikt ani wspomni o tych setkach i nawet tysiącach ludzi, co ciągle przegrywając, rujnują się na loterji. Tak samo mają się rzeczy i z Ameryką. Jeżeli bowiem temu i owemu nie źle się, a nawet nieraz i dobrze

powodzi się za morzem, to gdy doniesie listem swoim, wieść się o tem daleko rozchodzi, wszyscy mówią o szczęściu w Ameryce, a nikt ani wspomni o tych tysiącach naszych biedaków, którzy poszedłszy w daleki świat, goniąc za szczęściem, znaleźli tam śmierć z nędzy, lub żyją w jeszcze większej biedzie jak kiedykolwiek tutaj. Ileż to jest takich co doznawszy zupełnego zawodu pragną gorąco powrócić do kraju, lecz nie mogą, bo nie mają za co odbyć tej podróży powrotnej. Zresztą wielu tak żydów jak i naszych włościan zbiedzonych popowracało już do kraju, przekonawszy się najzupełniej o prawdziwości zdania Ojców naszych: że wszędzie są trudne warunki życia, które trzeba pracą i zapobiegliwością przezwyciężyć. I w Ameryce ziemia nie jest wybrukowana bochenkami chleba, gotowemi zaraz bez fatygi do jedzenia. I tam kto chce jeść, musi wprzód dobrze na chleb zapracować sobie. Ci co z Ameryki popowracali do kraju, jednozgodnie przyznają: że tam kto chce żyć, musi pracować i dokładać starań — i że gdyby ludzie wiejscy u nas w kraju tak samo byli zabiegliwi, to nieszukając powodzenia za morzem, znaleźliby go też u siebie, niepotrzebując wcale daleko się wydalać.

(Dokończenie nastąpi.)

Z wiedeńskiej Rady państwa.

W ostatnich tygodniach przed świętami wiedeńska Rada państwa uchwalała budżet, to jest wszystkie wydatki państwowe, a zarazem dochody pobierane z ludności. Rozumie się, że uchwalono wszystko tak, jak rząd chciał, chociaż przy każdej rubryce posłowie ze wszystkich krajów tyle podnieśli najrozmaitszych skarg, zażaleń, nadużyć i uciążliwości, jakie cierpi ludność, że zaiste straszno się robi, czytając to wszystko. Wykazywali posłowie wielkie zdzierstwa, jakich doznaje ludność przez władze skarbowe, od loterji itd., ukrzywdzenia, jakie cierpi od nadmiernych podatków, wskazywali też sposoby, jakby temu zaradzić można. Ale cóż, wszystkie te piękne i wzruszające przemówienia poszły z wiatrem, a rząd cieszy się, że będzie miał święta spokojne, dostawszy bez oporu wszystko, czego chciał.

Między innymi posłami odezwał się także i z Galicji ruski poseł, ks. Ozarkiewicz, gdy z posłów polskich nie znalazł się nikt, ktoby przemówił o krzywdach naszych wieśniaków. Poseł Ozarkiewicz mówił o krzywdach, jakich doznają nasi ludzie przy ściąganiu podatku gruntowego. »Rząd przyrzekł, że wyda ustawę, by wyrównać podatek gruntowy stosownie do reklamacyj wniesionych jeszcze w roku 1880, ale dotychczas tego nie zrobił. Podatek gruntowy w roku wzrasta o jedną dziesiątą część, a władze przy ściąganiu postępują z taką surowością, że włościanin nieraz musi albo dostać się do rąk lichwiarzy, lub sprzedawać co ma, w przeciwnym razie grabią mu cały dobytek i sprzedają poniżej wartości. Jeszcze gorsza bieda z tem, że zebrane pieniądze nie bywają porządnie zapisywane, tak że nieraz gromada zapłaci, a władze zapisują egzekucję i żądają, by jeszcze raz płaciła. Chłopi, nie mając znikąd porady, ani opieki, dotkliwą przez to ponoszą krzywdę.

Dalej trzebaby postarać się o to, by gminy były uwolnione od zbierania podatków. Jestto bowiem wielkim ciężarem

dla gmin, a przytem nieraz pobrane podatki idą na marne. Największa część wójtów Galicji nie umie ani czytać ani pisać, manipulują nieraz nielegalnie zebranemi pieniądzmi, choć może i nie wiedzą sami o tem. Pisarze gminni pomagają im i często sprzeniewierzają pieniądze, a w takim razie gmina musi spłacone już podatki powtórnie składać. Tak n. p. w gminie Podbereże poborcy tamtejsi sprzeniewierzyli podatki, ale ich nie zmuszono do zwrócenia szkody, tylko gmina musiała powtórnie zapłacić, a winnych nawet nie pociągano do odpowiedzialności. W gminie Tiapcze, w starostwie dolińskiem, naczelnik gminy zebrane podatki w kwocie 200 złr. w swoim czasie spłacił, a mimo to dostał nakaz płatniczy i cały jego majątek zagrabiono.

Takich postępków w żaden sposób usprawiedliwiać nie można. Prawda, że urzędy podatkowe są przeciążone pracą, ale rząd powinien przecie baczyć na to by nie dokuczać podatkującym niesprawiedliwymi wymogami i dla tego trzeba tej biedzie jakoś zaradzić. Bo przecież przy takim porządku każdy obwinia rząd, każdy żyje w tem przekonaniu, że u nas siła panuje przed prawem i słabszy musi ulegać silniejszemu, tem bardziej, że gdy najbiedniejsza ludność jest przeciążona podatkami, najbogatsi płacą najmniej, a podatku giełdowego, któryby dotknął tych, co mają wielkie pieniądze w papierach wartościowych, ani rusz nie możemy się doczekać.

MŁODSZY BRAT.

OBRAZEK

skreślił

HENRYK JOSSE.

Chociaż to był dzień powszedni, a robota w polu i koło domu sama się pchała w ręce, mimo to Jan Stokłosa, jeden z najpoważniejszych i najpilniejszych gospodarzy, wybierał się do pobliskiego miasteczka. Zrobioną ze starej kosy brzytwą ogolił całą twarz, która po tej operacji wyglądała jak świeże ściernisko, umył się w putni z wielką starannością, wysmarował włosy smalcem, wdział nową sukmanę i wyczyszczone poprzedniego dnia buty, poczem usiadł za stołem i zaczął pukać łyżką, co było znakiem dla gospodyni, ażeby podała śniadanie.

— Poco tobie do miasta? — pytała żona, stawiając przed nim sporą misę tajonej na mleku kaszy. — Ani tam jarmarku, ani nijakiego interesu.

— Wybory — odpowiedział lakonicznie Stokłosa, obracając szybko w ustach gorącą kaszę.

— Ij, wybory — zauważyła z lekceważeniem gospodyni. — Będziesz czerpać wodę przetakiem...

Rzeczywiście w dniu owym odbyć się miały w miasteczku wybory z tak zwanych małych posiadłości. Według wymyślonej nader misternie we Wiedniu ordynacji wyborczej, właściciele małych posiadłości, to jest wieśniacy, vulgo chłopi, tworzą jedną wielką rodzinę prawyborców, którzy wybierają ze swego łona wyborców, ci zaś dopiero głosują na posła. Jan Stokłosa, odziedziczywszy niedawno po swoim ojcu kilkanaście morgów gruntu, wyszedł obecnie po raz pierwszy z urny, jako wyborca, to też nic dziwnego, że miał pewne wątpliwości, ażali podoła tym nowym, a nieznanym obowiązkom. Wprawdzie centralny komitet wyborczy z pomocą komitetów powiatowych postarał się o godnego kandydata w osobie hrabiego Edgarda Szaławiły z Pustych Worów, ale Stokłosie nie trafiało to do przekonania, bo powtarzał ciągle:

— Jakoś mi się nie zdaje...

Pośniadawszy, otarł głowę zamaszystym ruchem, kilka razy dla smaku cmoknął językiem, wydał niektóre rozporządzenia względem gospodarstwa i nareszcie wybrał się w drogę. Nie chcąc odrywać koni od roboty, poszedł piechotą, zwłaszcza, że do miasteczka było zaledwie pół mili. Dzień zapowiadał się piękny, tem piękniejszy, że Stokłosa szedł koło

swoich łanów i spoglądał na swoją pszenicę, na swoje żyto i na swoje ziemniaki.

Mijając plebanię, ujrzał stojącego we wrotach proboszcza.

— Pochwalony Jezus Chrystus — odezwał się, zdejmując kapelusz.

— Na wieki wieków — odpowiedział proboszcz.

Stokłosa przystanął w oczekiwaniu dalszej rozmowy.

— A dokądże ciągniecie, do miasta? zapytał proboszcz.

— Ano, niby tak — odrzekł gospodarz.

— Na wybory?

— Ano...

— I komuż oddacie głos, hę? — zapytał proboszcz.

— Ano, niewiadomo jeszcze — odpowiedział Stokłosa. — Nie bez tego, żeby ludzie w mieście nie r a i l i, zobaczymy...

— Najważniejsza rzecz — przemówił proboszcz poważnie — ażeby wybrać człowieka, szanującego świętą wiarę i kościół... Ot, co jest...

Stokłosa westchnął głęboko, sam nie wiedząc dlaczego.

— Tak, tak — mówił dalej proboszcz. — W mieście będą wam gadali duby smolone, bo na świecie dosyć jest fałszywych proroków. Nie wierzcie im, ani ich słowom, a róbcie tak, jak wam sumienie nakazuje.

Poczciwy ksiądz proboszcz rozgadawszy się, prawił długo o fałszywych prorokach, zapomniawszy o słuchaczu i wyborach. Stokłosa cierpliwie słuchał, potakiwał głową, potem ukłonił się nisko i poszedł dalej. Przed karczmą ujrzał widowisko dziwaczne, które zdaleka wyglądało na bójkę. Arendarz wyskakiwał pocieszne koło wójta Kostucha i coś gadał zawzięcie, machając rękami.

— Wy będziecie głosować na niego! — krzyczał z całego gardła przebiegły karczmarz, widząc zbliżającego się Stokłosę. — Wiecie na kogo?... Na pana Feinkopfa, adwokata, co on ma szwagra we Wiedniu, rozumiecie, w samym Wiedniu!...

— Nie zawracaj głowy żydzie — obruszył się Kostuch.

— Co to nie zawracaj głowy! — krzyczał żydek, parskając śliną. — A wiecie wy, co pan Feinkopf powiedział?... Pan Feinkopf powiedział, co wam ten proces będzie robił za darmo, dlatego, co wy sprawidliwy gospodarz.

Strzał chybił celu.

— Nie zawracaj głowy — powtórzył dobitnie Kostuch, pociągnął Stokłosę za rękaw i obaj poszli do miasta.

Po drodze Kostuch, który „przerobił“ już niejedne wybory, wyjaśniał swojemu towarzyszowi przeróżne tajemnice spraw publicznych. Stary wójt był widocznie zrażony dawną praktyką.

— To wszystko pusta parada — zakończył swój wykład. — Obiecują ci miodu, wszelakich słodkości, a potem napoją goryczą.

Tak rozmawiając, przybyli do miasta. Na rynku zastali już cały tłum wyborców, którzy podzielili się na małe grupy i rozprawiali żywo o wyborach. Kostuch przyłączył się do swoich kumów, Stokłosa zaś do swoich. Zaledwie zdołał ich przywitać, kiedy go chwycił za rękę jakiś nieznajomy człowiek, coś w rodzaju pokątnego pisarza.

— A jak się macie panie wójcie?—zapytał ów człowiek. — Dawno was nie widziałem.

— Przecie ja nie wójt — odpowiedział Stokłosa wielce zdziwiony. — Może pan mają interes do Kostucha, bo on wójtem w naszej wsi.

— Znam Kostucha, wszystkich znam... Ale co wy, to wyglądacie tak, jakbyście się na wójta urodzili. Przyjdzie i na was kolej, przyjdzie. Ot wiecie, żebyście głosowali na pana Feinkopfa, toby on wam pomógł do wójtostwa.

Stokłosa milczał i tylko sobie zakarbował w pamięci, że ludzie go teraz wbrew zwyczajowi bardzo szanują.

— A gdyby tak zajrzeć do Fajwla na szklaneczkę piwa? — zapytał ów człowiek, przymrużając jedno oko.

Ale Stokłosa jeszcze ust nie otworzył, gdy nagle nieznajomy zniknął w tłumie, jakby na skinienie różczki czarodziejskiej. Zdumiony chłop oglądał się do koła, daremnie usiłując wytłomaczyć sobie przyczynę tego tajemniczego zniknięcia. Nie spostrzegł nic nadzwyczajnego, bo chyba zbliżający się w tej chwili żandarm należał do codziennych

zjawisk. Stokłosa jednak zakarbował sobie powtórnie coś w pamięci, poczem zwrócił się do swych kumów, którzy pilnie rozważali, czy mają wybrać posłem hrabiego Szaławiłę z Pustych Worów, czy pana Mękalskiego z Wartogłów.

— Biały kot, czy bury, zawsze kot — zauważył jeden z kumów, który dotychczas nic nie mówił, tylko z filozoficznym spokojem spożywał przyniesione z domu suszki.

— Niekoniecznie — odezwał się ktoś inny. — Nieboszczyk pan z Chłopskiej Woli umiał we Wiedniu gadać z świabami.

— No i co z tego?... Jak zaczęli kręcić, to wykręcili tak, że nieboszczyk musiał poselstwo złożyć. Oho, rząd ma wielgą moc...

Gwarzyli dalej w ten sposób, a słońce tymczasem zakreśliło wielki łuk na niebie i wskazywało, że południe już niedaleko. Stokłosa zaczął uczuwać głód i pragnienie, a gdy uwiadomił o tem swoich kumów, dowiedział się, że i oni doznają tych samych wrażeń. Wszyscy zgodnie postanowili wstąpić do jednego z licznych szynków, nie wiedzieli tylko na razie, do którego. Spór toczył się o Liebeskinda i Süssmanna, gdy niespodzianie zjawił się Kostuch. (C. d. nast.).

Poradnik dla czytelń.

Historya o Kuźmie Jeżu.

W przeszłym numerze podaliśmy w »Przyjacielu ludu» powiastkę, jak się pewien chłop obronił od Niemców, dziś wam nową podajemy, którą napisał pisarz polski, Zygmunt Miłkowski, znany po świecie pod przydomkiem Teodora Tomasza Jeża. Człowiek ten, który polski lud nad wszystko ukochał, żyje do dziś dnia i mieszka w mieście Genewie, w Szwajcarji, ponieważ w kraju nie wolno mu przebywać: wygnali go za to, że w roku 1863 walczył w powstaniu przeciw wrogom Polski, wówczas też został pułkownikiem. Historja o której mowa, jest taka:

We wsi Hrynenkach na Ukrainie, nad rzeką Dnieprem, żył sobie dawnymi czasy pewien młynarz, który miał syna Kuźmę. Kuźma był to chłopak, młody, rosły, rumiany, dobry do roboty i dobry do zabawy. Ojciec chciał z niego zrobić młynarza, ale Kuźmie, pomimo że kochał rodziców i dziewczynę, która miała zostać jego żoną, nie młynarka w głowie; ciągnęło go coś we świat. Chciałby on we świecie posłużyć dobrej sprawie i ludziom, przysporzyć sławy hryneńskiej gromadzię i w boju spróbować sił swych młodych. Nadarzyła się po temu sposobność. Do osady przyjechał pewnego dnia szlachcic Lisowski, werbujący ludzi do wojska swego. Żołnierze, z których formował swój hufiec, byli słynni na całą Polskę z ogromnej odwagi, z waleczności w bojach, które Polska w pierwszej połowie 17 wieku toczyła ze Szwedami, Moskalami, Turkami i t. d. Zwali oni się od swojego wodza lisowczykami. Otóż szlachcicowi spodobał się parobczak, chciał go więc zabrać ze sobą. Kuźmie tylko w to graj. Zwierzył się więc ojcu, że chce we świat, we świat szeroki, ale ojciec brwi nasrożył i w żaden sposób zgodzić się niechciał; zostaniesz w domu, powiada, przyłożysz się do młynarki i kwita! Zmartwił się Kuźma, zwiesił głowę od wielkiego smutku. Rychło jednak zawrzała w nim krew gorąca; nie zgodzę się na to, powiada, ażeby młode lata moje marniały we młynie, nie zgodzę się, ażebym się przysypał mąką i otrębami, abym się postarzał i nic nie słyszał, prócz warku kół młynarskich i szumu wody na stawiołach Wolę raczej niech mię piorun zabije, aniżeli gnić tak daleko od gwarów wojennych, zdaleka od sławy. Ojciec na takie zaklęcie zmiękł i poszedł, jak to było we zwyczaju, naradzić się ze starszymi gminy, co z synem uczynić wypada. Młody Kuźma zamiary ojcowskie poznał, serce mu się rozradowało, rozweseliło, jak owa ziemia, gdy się pojawi słońce wiosenne, wnet mu się jednak zrobiło smutno i żałośnie na widok matki, co go pieściła, lulała, co mu dawne pieśni śpiewała o wielkich bohaterach, o tych kozakach przesławnych, co to przelewali krew pohańską w obronie ziemi ojczystej i potem legli pod wysokiemi mogiłami, które im lud usypał w polu szerokiem, przy sinej wodzie, na wieczne świadectwo dla potomnych. Żal mu było tej matki, co mu prawiła baśnie o strasznych wielkoludach, upiorach i wilkołakach, których pełno het za wioską rodzinną, co go

tem chciała odstraszyć od świata — nadaremnie, bo jej opowiadania, bo te dziwy wszystkie stały mu się tylko przynętą. Żal mu było tej matki, ale chęć sławy przemogła w nim miłość matczyną, to też, gdy po naradzie z gromadą, ojciec oświadczył synowi, żeby poszedł na boje, na sławę, Kuźma matuli kolana uścisnął, ojcu ze łzami dziękował. On ci szlachcic, tem zaś zjednał sobie gminę, że im opowiedział, jako dawnymi czasy, gdy jeszcze w Polsce nie było ani szlachty ani chłopów, jeno wszyscy ludzie równi, jeno wszyscy bracia, to wtedy gromady wysyłały swoich najdzielniejszych na wojnę, na bitwę krwawą, ażeby stanęli w obronie zaprzysiężonej ojczyzny, pozostałe zaś dzieci, pozostałe żony, pozostałych rodziców brała gmina na siebie, ażeby wszystko działo się po sprawiedliwości.

Kiedy się Kuźma przebrał w wojskowy rynsztunek, to aż wszystkim serce biło z podziwu, tak walnie nowy ten rycerz wyglądał. Zazdrościły dziewczęta wiejskie Jerynie, córce starego Semena, że takiego ma narzeczonego, ale Jerynie nie cieszyć się, nie radować.

Pójdzie w świat, tak sobie w duchu myślała, zapomni, nie wróci, jaka królewna lub księżniczka jasna zajmie miejsce w sercu jej lubego, w sercu sokoła. Serdeczne też łzy wylewała, kiedy się z nią żegnał Kuźma. nie utuliła się, choć ją zapewniał, że kochać jej nie przestanie, że wiernym będzie jej zawsze, że wróci.

Pojechał. W drodze do różnych zachodzili miast i wsi, różnych spotykali ludzi. Przed znajomymi Lisowski przedstawiał Kuźmę, jako Kuźmę Jeża, — nazwisko to dał mu szlachcic od swego herbu, — jako towarzysza to jest żołnierza z pod chorągwi Jana Potockiego, starosty Kamienieckiego. Nie powiadał nikomu, że Kuźma chłopem jest, ale też i nie mówił, że pochodzi ze szlachty. Uderzyło to Kuźmę, któremu się nie podobało, że Lisowski doprowadza go do tego, iżby się wyrzekł swojego pochodzenia, iżby się wstydził, że z niego chłop. Atoli Lisowski wytłumaczył mu, że to było potrzebnem. Trzeba bowiem wiedzieć, że wtedy tak się już rozpanoszyła szlachta, że nie pozwoliła nawet chłopom walczyć za własną ziemię, nie pozwoliła bronić nawet własnej ojczyzny, jeno siać i orać. Szli zaś na Wołoszczyznę, gdzie panował wielki hospodar, czyli książe nazwiskiem Michał, który chciał ze swego kraju wymieść Turków, Węgrów i Polaków i w ogóle wszystkich nieproszonych gości i w tem celu chciał buntować on i kozaków przeciw Polsce, chcąc jej zabrać część kraju, która się nazywała Multany, a która wtenczas znajdowała się pod panowaniem Polski.

Szli stroną ku Kamieńcowi. W drodze napadli ich Wołosi, Kuźma ubiwszy kilku, sam został poturbowany. Nic to. W Kamieńcu na dworze starosty Potockiego przebyli, dopóki nie przygotowano odpowiednich hufców, króre miały pójść na Wołochów. Nareszcie wyruszyli, a gdy się wojska polskie złączyły, uderzono na Wołochów, których w proch rozbito. Źle się jednak powiodło hryneńskiemu parobczakowi. Walczył on jak rycerz prawdziwy, wyratował życie samemu hetmanowi, zdejmując własny szyszak z głowy i dając go jemu, sam atoli odniósł ciężkie rany. Zawieziono go do szpitala. Tu otoczono go największą pieczołowitością, a pomiędzy opatrującemi go znalazła się i Jerynka, córka Semena z Hrynenek, która nie mogąc żyć bez Kuźmy, opuściła wieś rodzinną, puściła się we świat i tak długo szła w kierunku kraju Wołoskiego, dopóki nie odszukała ukochanego Kuźmy. Pielęgnowała go, atoli Kuźma w gorączce nie poznał jej, wróciła do domu, myśląc że i Kuźma wyzdrowiawszy nie długo powróci. Atoli nie tak łatwo było z wyzdrowieniem Kuźmy. Kuźmę wysłano do Kamieńca, gdzie najwięksi witali go panowie, dowiedziawszy się o jego czynach bohaterskich. Znużony powitaniami i pod wsią zasłabł jeszcze bardziej. Doglądały go teraz wielkie panie, czytając mu książki, przyczem Kuźma nauczył się wielu rzeczy — doglądały go tem chętniej, myśląc, że Kuźma jest jakim obcym królewiczem, którego wygnano z kraju własnego. Tymczasem wrócił i Potocki do Kamieńca; przygotowano się na 8 maja to jest na dzień św. Stanisława, w którym rycerstwo wystąpić miało z paradą. Stanęli wszyscy w pełnym rynsztunku. Przyjechał na koniu Potocki i wywołał wśród ciszy, jaką nakazał, Kuźmę, stawiając go za

wzór wszystkiemu rycerstwu. Przy tej sposobności przeczytał dokument, wynoszący Kuźmę do stanu szlacheckiego, jeżeli, jak mowił Potocki, Kuźma dotychczas szlachcicem polskim nie był. Ale Kuźma nie przyjął dokumentu ani pierścienia, który mu Potocki wraz z dokumentem wręczyć chciał; wystąpił naprzód i tak powiedział: „Nie potrzebuję, wielmożny starosto, ani tego pierścienia ani tego papieru, bo ja nie za hospodara krew przelewałem, a za Rzeczpospolitę, nie dla papieru, ale dla tego, że mnie moja gromada wysłała. Bo ja jestem chłop z Hrynenek, gdzie mój ojciec jest młynarzem, ma chatę i pole. Powinienem wrócić, wielmożny starosto, do gromady, która mnie wysłała. A jeżeli zasłużyłem na nagrodę, to gromada mnie wynagrodzi. Gromada wysłała mnie służyć ojczyźnie, a nie dobijać się szlachectwa“... To powiedziawszy, zawrócił na koniu do szeregów przy krzyku hura! jakim go obsypali rycerze. Gdy przyjechał do domu, przywitano go z wielką okazałością, dowiedziawszy się z dokumentu, dołączonego mu przez starostę, jaki z niego dzielny był rycerz. Tu się dopiero dowiedział o poświęceniu Jerynki, która dla niego opuściła dom nawet, i poszła go szukać, i jeszcze ją bardziej pokochał, uwierzywszy, że niczem były wszystkie panie w obec tej pięknej chłopki.

Książeczka, której treść tutaj „Przyjaciel Lud.“ pokrótce podał, jest bardzo tania, bo kosztuje tylko 13 centów i może przyczdobić każdą wiejską biblioteczkę.

KRONIKA.

W sprawie przyszłych wyborów do Sejmu piszą *Nowiny:* „Źle jest, ciężko i coraz ciężej. Niema roku, żeby starych podatków nie podniesiono, a nowych nie wymyślono. Przed kilku laty podniesiono podatek gruntowy, a potem domowy, a potem przyszedł nowy podatek od nafty, a teraz znów od wódki. Dodać do tego podatek zarobkowy, a dochodowy, a spadkowy, a różne przeróżne dodatki; to już poprawdzie nie wiedzieć, jak sobie radzić. Ciągle tylko płać, a płać od żywego i umarłego. Gdyby choć w zamian za te coraz nowe ciężary rząd się starał, by człowiek mógł, czy z roli, czy z bydła, czy z innego jakiego ubocznego zarobku wyciągnąć trochę więcej dochodu, ale i o to nijakiego nie ma starania. Rok w rok na wiosnę wylewają rzeki, niszczą zasiewy, zasypują kamieniami pola, walą budynki, topią lud i bydło, a na obwarowanie brzegów, na sypanie wałów pieniędzy rząd dać nie chce... Nawet mizernej soli bydlęcej, żeby była tańsza, wykołatać u rządu nie możemy, choć się o tem mówi i pisze ciągle, choć co roku do Sejmu i do Rady państwa wpływają liczne o to prośby. A kto temu winien? Sejmy i Rady państwa niczemu nie winny. Winni ci, co posłów wybierają. Powtarzamy raz jeszcze, ci winni, co posłów wybierają. Posłowie stanowią i uchwalają prawa, jeśli prawa są szkoliwe dla kraju, ciężkie dla ludności, to widać złych wybrano posłów, którym bardziej idzie o to, by się rządowi przypodobać i przypochlebić, niźli o pomyślność i dobro narodu. Wybierajcie posłów odważnych, nieskazitelnych, niezawisłych, kochających naród i ojczyznę, a Sejmy i Rady państwa nie będą złe i szkodliwe, jak niejeden myśli, ale dobre i pożyteczne. Zapyta może kto, gdzie takich szukać, a na to odpowiemy mu słowami pisma świętego: „Proście, a będzie wam dane, pukajcie, a otworzą wam, szukajcie, a znajdziecie“. Szukajcie więc, a my będziemy się starali wam dopomagać. Więc najpierw powiemy kogo nie wybierać: starostów, ani ogółem żadnych urzędników. Są oni zawiśli od rządu, a w Sejmie i Radzie państwa muszą tak głosować i takie prawa uchwalać, jakie rząd sobie życzy. „Skacz wraże, jak pan każe“ mówi stare przysłowie i prawdę mówi. Parobek co służy u gospodarza, musi go we wszystkiem słuchać. Każe mu młócić, to młóci; każe siać, sieje; każe orać, orze. Jak jest posłuszny, to go gospodarz pochwali i nagrodzi, jakby chciał mieć własny rozum i robić, co sam zechce, toby go porządnie skrzyczał, a nawet ze służby wygonił. Urzędnik także służy, więc słuchać musi, aby dostał wyższą posadę i większą płacę. Urzędnika nie ma co wybierać, bo on dbać będzie o łaskę ministra, a nie o dobro i pomyślność narodu.“

Wybierajcie ludzi rozumnych i uczciwych, których nie przekupi ani pieniędzmi, ani honorami, a od sprawiedliwości i prawdy, nie odwiedzie ani prośbą, ani groźbą. Tak piszą „Nowiny“. My ze swej strony dodamy tu, cośmy w nrze 1. „Przyjaciela ludu“ napisali: Lud powinien przyjmować jak najszerszy udział w życiu publicznem, a naj-

wybitniejsi jego przedstawiciele muszą wejść do Sejmu i Rady państwa i tam nad polepszeniem doli chłopskiej, a więc nad dobrem kraju czuwać i radzić. Bez udziału włościan, którzy najlepicj odczują potrzeby i interesy włościańskie, sejmy, w sprawach całych miljonów dotyczących, będą jałowe i jednostronne. To jest przyczyną, dla której radzimy wam zawczasu wyszukać sobie rozumnych, pismiennych i niezawisłych kandydatów na posłów z pomiędzy siebie samych. Prócz tych kandydatów powinniście upatrzyć sobie bodaj kilku oświeconych przyjaciół ludu, którzy szczerze chcą waszego dobra i oświadczą swą gotowość bronić w sejmach waszych interesów.

Kalendarz historyczny. 14 kwietnia 1809 r. Austryjacy wkroczyli w granice Księstwa Warszawskiego. 25. kwietnia 1333 r. koronacja Kazimierza Wielkiego, zwanego królem kmieci. 26. kwietnia 1795 trzeci rozbiór Polski między Rosję, Austrję i Prusy.

Wybory sejmowe. W powiecie turczańskim zawiązano komitet przedwyborczy powiatowy w skład którego weszło 4 Polaków i 4 Rusinów. Przewodniczącym komitetu obrano jednogłośnie ks. Jana Mikusa rz. kat. proboszcza i prezesa zarządu powiatowego. Jako cel komitetu zaznaczyli wyborcy zgodne porozumienie się co do wyboru posła, położenie tamy praktykowanej dotąd w tym powiecie demoralizacji wyborców i przedłożenie powziętych wniosków, centralnym komitetom krajowym. Należy zawczasu myśleć o takich komitetach przedwyborczych, bo według ostatnich wiadomości wybory do Sejmu odbędą się w czerwcu.

Pokątne pisarstwo. Żyd nazwiskiem Rispler, założył sobie w Niżankowicach kancelarję i prowadzi interesa włościan, rozumie się, z ich szkodą, bo namawia do prawowania się, przez to włościanie tracą niepotrzebnie pieniądze, zadłużają się i w końcu Rispler skupuje ich grunta za marne pieniądze. Tak to umieją pokątni pisarze pozbawiać ziemi łatwowiernych włościan.

Ospa grasuje już kilka miesięcy w miasteczku Tłuste. Choroba ta rozprzestrzenia się coraz bardziej. Dotychczas umarło już około 50 dzieci; właściwie więcej nawet, bo jeśli które dziecko umrze, to mieszkańcy wmawiają we wszystkich, że umarło nie na ospę, a na gorączkę albo inną jaką chorobę, gdyż boją się żeby w miasteczku nie zamknięto na czas zarazy jarmarków. Tłustecki jarmarki były przyczyną rozszerzenia się ospy po wsiach; dziś już panuje ona w 16 okolicznych gminach. Szczególnie umierają dzieci, które nie mają jeszcze ospy szczepionej.

Kółka rolnicze. W marcu następujące Kółka zawiadomiły zarząd główny Tow. o swojem zawiązaniu się: Iskrzynia, powiat Krosno, założył Jan Kielar naczelnik gminy, Ossowce, powiat Buczacz założył delegat Towarzystwa, p. Artur Zaremba Cielecki, Wrzawy, powiat Tarnobrzeg, założył ks. kanonik Jan Stępień i miejcowy nauczyciel p. Wincenty Siemek. Jest to już 423 Kółko. Lnu inflantskiego zamówiły Kółka rolnicze w tym roku za 1772 złr., nasion pastewnych i ogrodowych sprowadzono dotychczas za 7210 zł. i 63 ct., z maszyn i narzędzi rolniczych: 11 sieczkarń, 7 pługów, 1 siewnik rzędowy, 2 siewniki ręczne szerokorzutne i 2 wagi dziesiętne. Książek w ogólnej ilości 621 sztuk rozesłano, do nowo zawiązanych Kółek rolniczych lub do tych, które w swych rocznych sprawozdaniach wykazały brak książek.

Sklepik gminny założyło kilkunastu gospodarzy we wsi Obłażnicy koło Żurawna za poradą ks. Podlisieckiego. Jestto rzecz godna naśladowania, ponieważ broni całą wieś od wyzysku, jakiego dopuszczają się handlarze, którzy sprzedają towar lichy i drogi.

Jak loterja uboży naród. Poseł Roser, który od dwudziestu kilku lat dopomina się co roku w Radzie państwa o zniesienie loterji, obliczył, że od roku 1819 przeszło *800 milionów guldenów* poszło z kieszeni najuboższej ludności do c. k. kolektur loteryjnych. Roser bardzo gwałtownie uderzał na to, że sam rząd zwiększa u ludu namiętność do gry, która go rujnuje.

Nieszczęśliwy wypadek. W Niedzielę d. 7. Kwietnia prąd wezbranej rzeki Jasiółki wywrócił wóz z ludźmi, co jechali z zarnowca do kościoła parafialnego w Jedliczu. Wszyscy z wielkim trudem wyratowali się, oprócz jednej dziewczyny, którą woda porwała. Nieszczęśliwą znaleziono dopiero w 2 godziny po wypadku pod Jedliczem.

Posterunek policji w Oświęcimie. Na dworcu kolei w Oświęcimie ustanowiono oddział krakowskiej dyrekcji policji. Oddziałowi temu kazano mieć oko na wychodźców jadących do Ameryki, czy mają potrzebne papiery do wyjazdu za granicę i dostateczną ilość pieniędzy. Ma on też wykrywać różne oszustwa, jakich dopuszczają się na wychodźcach żydzi-faktorzy.

Rady gospodarcze.

O roślinie pastewnej Mohar, która po polsku nazywa się Moha i dostarcza wybornej paszy, Bank rolniczy we Lwowie ogłasza taką wiadomość:

Znaczny brak zasobów nasienia koniczyny czerwonej, jakoteż potrzeba zastąpienia innemi paszami koniczów zniszczonych przez myszy, także podniesienie się ceny wyki, zniewoliły nas do zalecenia innych jeszcze roślin pastewnych, któreby dostarczały paszy zielonej, niezbędnej dla inwentarza żywego.

Nasienie moharu jest gatunkiem prosa, produkującym zdrową karmę — udaje się tam, gdzie warunki do siewu jednorocznych roślin pastewnych są odpowiedne. Silna, czysta, o ile możności nie świeżo znawożona rola, jest najlepszym gruntem pod mohar, króry wytrzymały jest na posuchę, daje doskonałą paszę dla bydła w stanie zielonym i suszonym. Wysiewa się zwykle 9 do 12 kilo na mórg, dla pewniejszego kiełkowania podczas siejby, jeżeliby takowa trafiła na posuchę, zaleca się przymieszka tego nasienia z rośliną, chroniącą pierwszy rozwój moharu od zbytecznego wpływu słońca, do tego nadaje się hreczka i owies bardzo rzadko wraz z moharem posiane (8 na 15) Okres siejby od połowy maja do lipca. W porównaniu do obecnych cen koniczyny i wyki, nasienie moharu skutkiem bardzo małej ilości, jakiej potrzeba do zasiewu jednego morga jest tanie. Wskutek niskich kosztów produkcji, pasza mohar pomiędzy całym szeregiem roślin pastewnych zasługuje na szczególne uwzględnienie. Zamówienia na mohar przyjmuje w miarę zapasów Bank rolniczy we Lwowie i wysyła w cenie 16 ct. za 1 klgr.

Odpowiedzi od Redakcji.

Wszystkim naszym czytelnikom zasyłamy serdeczne podziękowanie za życzliwość, zapewniając ich, że nie pozostaniemy dłużni i za przyjaźń odpłacimy przyjaźnią, za serce sercem.

— Panu A. W. Za pożądane i cenne wskazówki bardzo dziękujemy. Światłym włościanom i osobom dbającym o dobro ludu, które sz. pan wymienił, numera posłaliśmy. Najlepsze nasze chęci pozostaną bez rezultatu, jeżeli ich nie poprą ludzie dobrej woli w taki sposób, jak Pan to czyni.

— P. Janowi B. w Mordarce. Na propozycję zgadzamy się i „Przyjaciela“ wysyłać będziemy.

— Sz. Kółko włościańskie w Tuligłowach. „Placówkę“ wyszlemy.

— Sz. Zwierzchność gminna w Pogórzanach. „Przyjaciela“ wysyłamy. P. Janowi G. podziękowanie.

— P. Karolowi M. i pani M. Dziękujemy.

— P. Antoni T. w Białobrzegach. Cieszymy się, że tak samo jak my, uważacie pismo nasze za konieczne w tych czasach.

— Wielebnemu księdzu K. Za serdeczne życzenie z serca dziękujemy.

— Panu Bronisławowi J. Statuty dla czytelni ludowej nadeszlemy. Pomoc w założeniu czytelni uważamy za święty obowiązek.

Licytacja drobnych gospodarstw.

Wiecie sami, mili czytelnicy, ile to włościańskich i małomiejskich gospodarstw banki, a często gęsto lichwiarze, wystawiają za długi na licytacje. Wyzuci z ojcowizny głodem mrą, a ziemia nieraz za marne pieniądze przechodzi w ręce spekulantów. I dzieje się to podówczas, gdy setki wieśniaków, coby tę ziemię własną pracą i znojem uprawiali, ciągną na obczyznę, w świat daleki, aby tam szmat ziemi zakupić i na niej gospodarować. Otóż tym, co się dla siebie samych za kawałkiem ziemi oglądają jak i tym, coby spółką lub całą gromadą na większe kompleksy mieli ochotę, przyda się wiadomość, gdzie i kiedy grunt jaki na licytację wystawiono. Dlatego od czasu do czasu podawać będziemy w naszem piśmie wykazy licytacji. W dalszych numerach podamy w jaki sposób w niektórych okolicach spółki lub gromady wspólnie grunta zakupują, a i o tem pomówimy, jak dobremu sąsiadowi w czarnej godzinie cała gromada bez uszczerbku dla siebie z pomocą przyjść może i jego krwawicę od zatraty uratować.

Miejsce licyt.	Dzień licytacji (od g. 10 rano) według nowego st.	Czyja własność?	Za jaki dług złr.	ct.	Na czyją korzyść?	Cena wywołania złr.	ct.	Wadjum złr.	ct.
Bochnia	16 maja i 27 czerw.	Józef Humor z Mikluszowiec.	392	—	Gal. zakład kred. włośc.			100	—
Bochnia	16 maja i 27 czerw.	Piotr Cierniak z Rzezawy.			Naron Nebenzahl			182	—
Brzesko	17 maja i 21 czerw.	Maciej Bieda z Okocimia			Jechweta Desser	200	—	20	—
Brzozów	9 maja i 7 czerw.	Ignacy Rogowski	29	40	Salomon Schertz	200	—	20	—
Brzozów	2 maja i 4 czerw.	Paweł Szajna z Haczowa	23	—	Marjanna Rymar	550	—	55	—
Brzozów	6 maja i 11 czerw.	Leopold i Karolina Millerowie	100	—	Salomon Schertz	97	50	9	75
Brzozów	10 i 24 maja	Wojciech Zbiegń	10	—	Salomon Schertz				
Cieszanów	7 maja i 11 czerw.	Eufremia Lander	3000	—	Galicyjska kasa oszczędności	400	—	40	—
Gorlice	24 kwiet. i 3 czerw.	M. Biechoniak, J. Kałuszczak E. Metka i A. Pelechacz z Przysłupia	280	—	Zakład kredytowy włościański	605	—	60	50
Grybów	6 maja i 6 czerw.	Tomasz Obrzut z Siołkowy	80	—	Jan Obrzut	633	60	64	—
Kolbuszowa	14 maja i 18 czerw.	Józef Tęcza z Widełek	250	—	Paweł Mazur	631	—	63	—
Kraków	16 maja i 25 czerw.	Stanisław Jarmund z Grajowa			Galicyjska kasa oszczędności	19300	—	1930	—
Kraków	14 maja i 18 czerw.	Gerson Jeruchim i Jakób Bazes				374	—	37	—
Krzeszowice	29 kwiet. i 3 czerw.	J. Zawadzka	46	80	Adolf Frenkel i Synowie	3200	—	320	—
Lwów	16 maja i 13 czerw.	F. i M. Bernacy z Jaryczowa	133	92	Gal. zakł. kred. włościański	470	—	47	—
Lwów	9 maja i 6 czerw.	F. Gołkowski z Kulparkowa	202	21	Anastazya Olbryt	247	50	25	—
Mościska	9 maja i 6 czerw.	Wolf i Juda Kausman			Bazyli i Anna Klikiewicz i Mojżesz Rosenfeld	3292	—	300	—
Nowy Sącz	2 maja i 6 czerw.	J. i G. Żytyńscy	3090	40	Dr. Władysław Olszewski	16830	20	1683	—
Nowy Targ	13 maja i 11 czerw.	Marjanna Zubek i B. Guzik			Celem zniesienia współwłaśc.	755	—	76	—
Przemyśl	1 maja i 5 czerw.	Josel Hutz z Małkowiec	600	—	G. zakł. kred. z. w Krakowie	150	—	15	—
Przemyśl	3 i 31 maja	Tekla z Zająców Harasiowa	500	—	G. zakł. kred. z. w Krakowie	1400	—	140	—
Przemyśl	30 kw. i 28 maja	Lejba Fliesser w Szechyniach	800	—	G. zakł. kred. z. w Krakowie	2000	—	200	—
Rzeszów	14 maja i 18 cz.	Hersz Weinberg (zmarły)	222	87	Kasa oszczęd. w Rzeszowie	31800	—	3190	—
Tarnów		F. Lubomirska wł. Brnik	1442	26	Austr. w. bank we Wiedniu	37000	—	3700	—
Tarnów	8 maja i 5 czerw.	Józef Dziekański i Adela Gembicka z Gembiczyna	10345	35	Zakł. kred. z. we Wiedniu	15000	—	1500	—
Wadowice	14 maja 19 czerw. (g. 9 rano)	Wawrzyniec i Rozalia Fidelusowie w Zembrzycach	205	—	Peppi Lander	1446	85	145	—
Wieliczka	17 maja i 18 czerw.		126	—	Marja Mareczko	191	—	20	—
Złoczów	13 maja i 17 czerw.	Helena Piernikarska	2000	—	Leon Bratkowski	2314	20	231	—

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.**

Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 3. We Lwowie, dnia 1. Maja 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

Do braci włościan

tak polskiej jak i ruskiej narodowości w całym kraju, głos członków byłego pierwszego w kraju komitetu przedwyborczego włościańskiego w okręgu jasielskim.

Bracia włościanie! W chwili tak ważnej dla naszego kraju, w przededniu wyboru posłów na Sejm krajowy we wszystkich 74 okręgach wyborczych mniejszej własności na następujące lat 6, kazało nam poczucie obowiązku, jako pierwszego, czysto politycznego związku włościan, odezwać się do Was Bracia w duchu obywatelskim, w imię prawdy i słuszności, z tem gorącem pragnieniem, by głos nasz doleciał do każdej najuboższej chatki i by znalazł tam tak życzliwe przyjęcie, z jak głębokiej życzliwości dla dobra całego kraju i wszystkich stanów ten nasz głos płynie.

Bracia! odzywamy się do Was pod hasłem: W siedmdziesięciu czterech okręgach wyborczych mniejszej posiadłości macie wybrać 74 posłów, bezwzględnie interesa włościan i małomieszczan reprezentujących, albo do stanu średniego, albo do włościańskiego rzeczywiście i z przekonania należących.

Bracia! praca to wielka, ale nie za trudna, praca to wielka ze względu na naszą dotychczasową ospałość w najżywotniejszych interesach publicznych, ale nie za trudna, ze względu na to poczciwe dla każdej sprawy serce, dotąd głęboko w piersi włościan ukryte.

Wiara, miłość i zgoda niech złączą wszystkie siły nasze dla dobrej sprawy, niech pokażą światu, że i włościanin zaczął już być obywatelem kraju, że obowiązki swoje pojmuje, że go nic z drogi prawdy i słuszności nie zwiedzie.

Narzekamy Bracia, że w kraju źle, a czemuż wszyscy około jego dobra nie pracujemy? Kazaliśmy *jednemu, nielicznemu stanowi w kraju pracować w Sejmie za nas wszystkich i pokazało się, zresztą całkiem naturalnie, że ten stan jeden wielkiej własności tej olbrzymiej pracy nie podoła.*

Wiedział to już najprzód nasz najwspaniałomyślniejszy monarcha, nasz najmiłościwszy cesarz i król i dlatego wybory podzielił na kurje, a to:

1. Na wybory z wielkiej własności,
2. Na wybory z większych miast.
3. Na wybory z mniejszej własności tj. mniejszych miast i wsi.

4. Na wybory z izb handlowych i przemysłowych.

Czem gdzie większa rozmaitość, większa ilość różnorodnych sił, tem jest tamże ruchliwsze i czynniejsze, tem pożyteczniejsze życie. Do takiego silnego i pożytecznego dla wszystkich stanów życia chcielibyśmy podnieść nasz Sejm krajowy i dlatego wyszlijmy tam 74 nowych, świeższych sił, pełnych poświęcenia i miłości dla sprawy publicznej.

Bratni ludzie ruski! zaprzestańmy sporów narodowościowych, te są dla nas teraz *za kosztowne*, złączmy się raczej w jeden silny węzeł, podnieśmy *najpierw* kraj nasz z nędzy i upadku wspólnemi siły, a jak do chat naszych zawita dostatek, to wtedy rozprawimy się z kosztowną sprawą narodowościową, ale po bratniemu. W zgodzie i miłości braterskiej tak Wam podamy rękę przy pracy nad podniesieniem waszej narodowości, jak wy podacie nam rękę do pracy nad podniesieniem bogactwa krajowego, nad podniesieniem moralnem i materjalnem stanu włościańskiego, tej najsilniejszej podstawy każdego społeczeństwa.

A jak się macie bracia wziąść do tej pracy? Pojedynczo nic nic zrobicie. Zatem wy bracia włościanie, do których uszu głos nasz doleci, szukajcie każdy w swoim okręgu wyborczym rozumnych i zacnych gospodarzy, o ile możności takich, co czytać umieją i od dawna czytują przychylne ludowi gazetki. Zejdźcie się razem, chociażby tylko kilku na początek, u jednego gospodarza i zawiążcie *przedwyborczy komitet włościański*, wybierzcie ze swego grona przewodniczącego i sekretarza, potem zaproście na członków do tego komitetu wszystkich wpływowych i znaczniejszych włościan, tudzież prawdziwie wam życzliwych i lud kochających ludzi z miast; ale nie tych krzykaczy, coto sami nierozumni, udają bardzo mądrych, namawiają was do procesów, udając się za pijatykę nieraz z wami do urzędów po miastach, jako doradcy. Są to po największej części ludzie, co tak samo jak wszelcy pisarze pokątni, tylko was wyzyskują.

Utworzywszy taki komitet, wezwijcie potem Pana Boga na pomoc i oglądnijcie się za kandydatem, któregobyście na posła wybrać mogli. Taki zaś kandydat na posła powinien:

1. Być prawdziwym chrześcijaninem katolikiem niewstydzącym się religji, lecz wyznającym ją wszędzie i otwarcie.

2. Powinien posiadać o ile możności jak najwięcej nauki i być wam już od dawna znanym jako lud kochający i na każdym kroku ludowi życzliwy.

3. Powinien wam złożyć przyrzeczenie, że w Sejmie wstąpi do utworzyć się tam mającego *klubu ludowego* i że nie będzie się wiele zajmował wielką polityką, ale przedewszystkiem pracą około podźwignięcia w kraju przemysłu i stanu rolniczego.

4. Ma wam przyrzec, że z resztą waszych posłów będzie się starał jak najusilniej, by więcej ziemi wielkiej własności w obce ręce nie przechodziło, ale żeby takową rozparcelowywano pomiędzy włościan.

5. Kandydat na posła nie może być wrogim ani polskiej ani ruskiej narodowości, lecz sprawę obu tych dwu narodów musi popierać, unikając bezwzględnie wszelkich walk narodowościowych.

6. Wreszcie powinien się zobowiązać, że złoży mandat poselski w chwili, w którejby

uznał za stosowne z klubu ludowego wystąpić.

Ze zaś stawiamy bracia na tej drodze dopiero pierwsze kroki, i łatwobyśmy się pomylić mogli, przeto trzeba nam ustanowić *centralny komitet przedwyborczy włościański*, któryby wspierał okręgowe komitety swoją radą, badał, czy ich kandydaci odpowiadają wymaganym warunkom i ich kandydatury zatwierdzał.

W tym celu niech każdy komitet przedwyborczy okręgowy wybierze z pomiędzy swoich członków jednego lub dwu najrozumniejszych na delegatów do utworzyć się mającego centralnego przedwyborczego komitetu włościańskiego, którzy się zobowiążą zjechać się razem w oznaczonem miejscu i tam centralny komitet zawiążą.

Gdyby zaś na takich samych zasadach utworzył się jaki centralny komitet przedwyborczy miejski, wtedy wybrani delegaci mogliby się złączyć z komitetem miast, jeżeliby tam na podstawie równości prawa ich uszanować i do wspólnej bratniej pracy rękę podać zechciano.

Wreszcie odzywamy się o poparcie do wszystkich stanów i ludzi, kraj i lud miłujących: Nie gardźcie czarną ręką od pługa, nie obawiajcie się otwartego ruchu ludowego, garnącego się do obywatelskiej pracy około dobra kraju, uszanujcie raz i naszą wolę, którą my w granicach nam przyznanych wykonywać chcemy; a tych braci naszych, którzy nie z własnej winy są jeszcze ciemnymi, nie bałamućcie agitacjami i strachami, bo na wykształceńszej części społeczeństwa spoczywa przecież obowiązek raczej nas pouczać niż bałamucić przy wykonywaniu najświętszych praw naszych.

Stawiamy pierwszy prawie krok w życiu publicznem, bez zawiści do kogokolwiek, ufni w szlachetność wszystkich stanów; a do kraju teraz należy by nas przekonał, że nas ta ufność nie zawiedzie. W końcu upraszamy wszystkie pisma krajowe, tak ruskie jak i polskie o powtórzenie tej naszej odezwy.

Uradzono w kilku gminach powiatu jasielskiego w dniach 26. 27. i 28. kwietnia 1889. Jan Jasiński włościanin, wójt gminy Tarnowca, członek jasielskiej Rady pow. jako przewodniczący b. pierwszego komitetu przedwyborczego włościańskiego, Michał Łonicki burmistrz miasteczka Dembowca, Aleksander Urbanik włościanin z Sądkowy, Jan Wyderka, włościanin z Umieszcza, Wenc Franciszek, radny ze Święcan b. członek Rady powiatowej jasielskiej, Pobon Jakób, włościanin z Roztok, Jędrzej Goleń, włościanin z Brzozówki, Jan Bienas, wójt ze Swięcan, Gałka Wojciech, włościanin radny ze Skołyszyna, Jakób Droba, włościanin z Wrocanki, Józef Dyląg, włościanin asesor ze Swięcan, Tomasik Wojciech, włościanin wójt ze Sądkowej, Ziemski Jan, włościanin z Czermnej, Skowron Józef, włościanin wójt ze Sieklówki, Jan Sołtys, włościanin, radny z Czermnej.

TRZECI MAJ.

Dzień trzeciego maja jest dla nas, Polaków, dniem wielkiego znaczenia: przed stu mniej więcej laty, bo w r. 1791, ogłoszono bowiem w dniu tym nową dla kraju ustawę czyli konstytucję, zwaną po dziś dzień konstytucją trzeciego maja. Chwila ta bywa też wszędzie, gdzie myślą i czują prawdziwie po polsku, obchodzoną uroczy-

ście. Jedni zbierają się po kościołach, drudzy znowu urządzają wspólne wieczorki, gdzie przy śpiewie narodowym, przy opowiadaniu sobie o tem, jak to przodkowie nasi krwawo musieli się trudzić, jak starali się ratować całość ojczyzny, czas mile spędzają. Dzień ten ma to mianowicie znaczenie, że w nim udowodnił naród, że może się otrząść ze swoich wad i błędów, że w jego łonie znaleźli się ludzie, którzy szczerze pragnęli naprawy stosunków i tem samem uratować chcieli zagrożony, chylący się do upadku byt ojczyzny.

Ościenne mocarstwa pragnęły w owe czasy skorzystać z tego, że samolubni magnaci, którzy robili wszystko, co mogli, aby przywłaszczyć sobie Rzeczpospolitą, wycieńczyli siły Polski, a nawet poczęły przemyśliwać nad tem, jakby coprędzej naszym krajem się podzielić. To też zetknęły się z sobą i r. 1772 już po śmierci Augusta III., po którym nastąpił król Stanisław Poniatowski, urwały Polsce po kawałku ziemi. Był to tak nazwany pierwszy rozbiór kraju. Wtedy to zaczęło się w narodzie budzić sumienie, wtedy zaczął się w Polsce objawiać ruch, który zmierzał do naprawienia Rzeczypospolitej. Ruch ten był podsycany nowemi hasły, które się do Polski przedzierały z Zachodu, z Francji, gdzie przemyśliwano nad tem, jakby przekształcić stosunki, jakby położyć koniec wielkiemu uciemiężeniu ze strony króla, ministrów i szlachty. Trzeba bowiem wam wiedzieć, że we Francji, a tak samo w Niemczech i innych krajach było równie źle, a może jeszcze gorzej pod wielu względami, aniżeli w Polsce. Skutkiem to owego ruchu we Francji, znanego powszechnie pod nazwiskiem wielkiej rewolucji francuskiej, której stuletnią rocznicę właśnie w tym roku obchodzi Francja bardzo uroczyście, a z nią i cały cywilizowany świat — przestały istnieć niewola i nadużycia średnich wieków. Otóż zasady postępu, które rozwijali najgłośniejsi mężowie w Francji, tutaj w Polsce w lot pochwyciło kilku mężów szlachetnych, mianowicie zaś ksiądz Stanisław Staszic, ksiądz Hugo Kołłontaj, kanclerz tj. najwyższy urzędnik kraju, Stanisław Małachowski, Ignacy Potocki i inni.

Stosunki krajowe wymagały rychłej naprawy, wzięli się więc ci mężowie natychmiast do dzieła i zaczęli przygotowywać pismami swemi i żywem słowem naród do zmian, jakie chcieli w Polsce wprowadzić. Wiedzieli oni, że napotkają dużo nieprzyjaciół swych reform; nie omylili się. Wielcy magnaci, dbający jedynie o swój interes, wnet poczuli, że ich szkodliwa dla kraju gospodarka rychło skończyć się musi, zaczęli tedy używać wszystkich środków, ażeby nie dopuścić do skutku obwołania nowej ustawy, którą miano ogłosić z początku 5 maja 1791, ogłoszono zaś już 3 maja, właśnie w celu uprzedzenia zdradzieckich zabiegów.

Dla konstytucyi uzyskano zdrowsze, niezepsute części społeczeństwa, a nawet samego króla Stanisława, to też opisać nie można wielkiej radości, jaka z powodu ogłoszenia konstytucji na sejmie w Warszawie, w całym zapanowała kraju. W samej Warszawie, stolicy Polski, wielkie wyprawiono uroczystości; szlachetnych mężów, którzy nową ustawę opracowali i ogłosili, witano chorągwiami, wystrzałami z moździerzy i okrzykami najżywszego zapału. Tak samo i w kraju, gdzie tylko biły szlachetniejsze jeszcze serca, czyn ten doniosły przyjmowany był z ogromnym zachwytem. Wszystko się cieszyło, że nareszcie pomyślano o środkach, które ura-

tują ojczyznę, wszystko błogosławiło tych ludzi wielkich i cnotliwych, którzy pragnęli odegnać złe, nie uważając na potęgę samolubów.

Nie możemy streszczać wszystkich ustępów nowej konstytucji, pokrótce tylko nadmienimy, że konstytucja ta nadała pewne swobody miastom i mieszczanom; zupełną zaś wolność otrzymały wszystkie miasta królewskie.

Co zaś do włościan, to wprawdzie konstytucja z powodu stawianych trudności, nie mogła zrobić wszystkiego, co należało, atoli przyjęła ich pod opiekę prawa, i dała początek dalszym reformom. »Lud rolniczy, z pod którego ręki płynie najobfitsze bogactw krajowych źródło, który najliczniejszą w narodzie stanowi ludność, a zatem najdzielniejszą kraju siłę, tak przez sprawiedliwość i obowiązki chrześciańskie jako i przez własny nasz interes dobrze rozumiany, pod opiekę prawa i rządu krajowego przyjmujemy«. Tutaj więc już przyznano, że największą siłą jest lud, i że on żywi kraj i że on go też wybawić i zachować może. Tak samo wypowiedziała nowa konstytucja wzniosłe zasady co do siły obronnej kraju, co do wojska. »Naród winien jest sobie samemu obronę od napaści i dla przestrzegania całości swojej. Wszyscy przeto obywatele są obrońcami całości i swobód narodowych. Wojsko nic innego nie jest, tylko wyciągnięta siła obronna i porządna z ogólnej siły narodu«...

Takie to pomiędzy innemi zbawienne zasady, wygłosiła nowa konstytucja.

Chociaż dla włościan konstytucja ta zrobiła mniej, niż chcieli jej twórcy, skrępowani stosunkami, to byłaby była nierównie więcej z czasem przyczyniła się do ogólnego dobra narodu, ponieważ wolno było co 25 lat uzupełniać ją i zmieniać.

Przeciwko tej konstytucyi powstali wielcy panowie, zawiązując pod wodzą Feliksa Potockiego, Stanisława Rzewuskiego, Ksawerego Branickiego, Kossakowskiego i innych wielkich magnatów, sprzysiężenie czyli konfederację w mieście Targowicy. Przywołali oni Moskali do pomocy dla niecnego dzieła swego i rozpoczęli krwawe walki, które ojczyznę naszą pogrążyły w polityczną niewolę.

Listy do „Przyjaciela Ludu".

W numerze drugim *Przyjaciela Ludu* wyczytałem zdanie Szan. korespondenta Antoniego D. z Zabierzowa, obstającego za podzielnością gruntów włościańskich.

Gdzie i z jakich powodów wylęgła się ta myśl ograniczenia podzielności gruntów, nie wchodzę, ani też nie myślę wytykać błędów szlachcie, ni czynić zarzutów kasie podatkowej itd., bo to nie prowadzi do żadnego celu: zdania swego nie można narzucić nikomu, jeżeli zaś będzie ono słuszne, to bez narzucenia przyjęcie u równie myślących ludzi znaleść powinno.

Otóż gdy przed kilku laty kwestja ograniczenia podzielności włościańskich gruntów poruszona została, może pierwszy z chłopów krótkim, ale wyczerpującym artykułem, zamieszczonym w numerze 18. *Wieńca* z 1881 r., przeciw temu wystąpiłem, oświadczając się o ile zdolności starczyły za podzielnością.

Zbytecznem byłoby powtarzać tam zamieszczone argumenta, dosyć w krótkich słowach się wyrazić: że nie ludzie dla pilnowania ziemi, by nie poszła w działy, lecz ziemia dla ludzi, zwłaszcza dla rodziny

zagroda, by ją żywiła, od Boga stworzona została.

Nie mogę się znów żadną miarą zgodzić na perswazję Szan. Redakcji, że gospodarzowi na małym kęsie gruntu za mało do życia, a za dużo do śmierci głodowej.

Nie wiem czy to historyczne, czy do rzędu legend należy twierdzenie, jakie czytałem o stosunkach w cesarstwie chińskiem, że dla lepszego utrzymania pozostałych, znaczną ilość nowo narodzonych dzieci co rok tracą.

Ograniczenie podzielności gruntów chłopskich dzisiaj w braku innego w kraju (nie umiem powiedzieć z czyjej winy) zatrudnienia, przyprawiłoby nasze dzieci o śmierć głodową, straszniejszą od owej chińskiej, czemu zapobiedz wypada nam, chłopom, co mamy wiele dzieci, a mało ziemi, by ktoś nieproszony oto, nie pokierował naszą dolą na wzór niebieskiego cesarstwa chińskiego.

Jeżeli tedy bracia włościanie będą mego zdania, że ograniczenie podzielności gruntów jest zamachem na naszą, może jedyną chłopską wolność, to jej brońmy, jak jeden mąż

Nie spuszczajmy się na niczyją łaskę i opiekę, bowiem równouprawnienie, jakie czas i dobrze życzący ludzie nam przynieśli, wygląda jak płaszcz w czasie słoty: kto go na siebie naciągnąć zdoła, mniej cierpi.

Nadchodzące wybory do Sejmu dają nam sposobność pokazania czem jesteśmy.

Stara polityka ustępujących pp. posłów sejmowych, która w czasie zgonu tworzy komitet wyborczy centralny, dobitnie przedstawia w obrazie umierającego chłopa, ustanowiającego z pomiędzy kilkorga dzieci jednego i to starszego dziedzicem, a inne bezradne pozostawiając na los szczęścia, owóż ta polityka nie powinna dzisiaj mieć zastosowania, bowiem taki szczęśliwy kandydat poseł, nie z woli wyborców, lecz z ramienia niepowołanej władzy postawiony, nietylko, że interesów wyborców bronić nie ma obowiązku, ale nawet wdzięczny im być nie ma za co.

Ściśnijmy tedy, bracia chłopi, szeregi, a dobrze nam życzący, którym dobro ludu na sercu leży, zwłaszcza członkowie władz politycznych, autonomicznych, duchowieństwo, obywatele i inni, widząc, że usiłujemy sami o sobie radzić, pomogą nam do zawiązania niezawisłych przedwyborczych komitetów powiatowych z dołu, a nie z góry, pod ich neutralną protekcją się ugrupować mających, a wtedy jeźli poseł sejmowy wolną wyborców wolą wybrany zostanie, bronić interesów ich i w obronie niepodzielności gruntów stawać nie przestanie.

Wszelkie zarzuty przeciw memu zdaniu mile przyjmę i o takowe proszę, pomnąc, że przez ścieranie, prostują się zdania.

Wola Rogowska d. 18/4 br.

Tomasz Wilk.

(List powyższy otrzymaliśmy z następującym przypiskiem: „Numer „Przyjaciela Lud.“ w którym artykuł mój umieszczony zostanie, proszę posłać, o ile nie abonują na mój rachunek znajomym mi chłopom, by i oni w tej sprawie głos zabrać mogli“. Tu następuje 8 adresów. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że „Przyjaciel Ludu“ każdy głos w tej sprawie (jak i w innych) z gotowością umieści, bo tylko przez zestawienie rozmaitych zapatrywań dochodzi się do wiadomości: czego ludzie chcą i dokąd dążyć należy.

Zamarstynów, 28. kwietnia.

W dniu dzisiejszym odbyło się u nas pod przewodnictwem p. Stefana Wysockiego posiedzenie Kółka rolniczego, na które przybyli delegaci z Hołoska i z innych wsi okolicznych, celem wysłuchania sprawozdania przewodniczącego z ostatniego Walnego Zgromadzenia Kółek rolniczych w Przemyślu. Po przyjęciu do wiadomości takowego i udzielenia absolutorjum z rachunków przewodniczącemu odczytano nam pismo ludowe „Przyjaciel Ludu“ i uchwalono takowe zaprenumerować na rok 1889. Bardzo ożywioną dyskusję wywołała sprawa niepodzielności gruntów włościańskich — w dyskusji tej brali wszyscy miejscowi i zamiejscowi członkowie udział; w końcu na wniosek członka Kółka zamarstynowskiego p. Szymańskiego jednogłośnie uchwalili: Poleca się Zarządowi Kółka rolniczego w Zamarstynowie udać się do Zarządu centralnego we Lwowie, żeby na najbliższem Walnem Zgromadzeniu Kółek rolniczych poddał sprawę niepodzielności gruntów pod dyskusję i wyjednał u Sejmu uchwałę, żeby jak dotąd, tak i nadal nie krępowano wolności dzielenia gruntów, należących do włościan. Wszyscy członkowie w motywach swych przedstawili zupełną ruinę gospodarstw przez niepodzielność, możność wytworzenia się proletarjatu, któryby nałożył na gminy ogromne ciężary, przyczem przykładami stwierdzili, że wszelkie Majoraty wytworzyłyby tylko arystokrację chłopską, stworzyłyby niezgodę w rodzinach, odebrałyby swobodę obywatelską, a w końcu przez wkroczenie w prawa włościan i tychże z ziemi ojców zupełne wyrugowanie, otworzyłyby furtkę nieproszonym a włościanom szkodliwym żywiołom.

Po omówieniu licznych spraw gospodarskich uchwalono udać się do Zarządu centralnego o zasilenie biblioteki Kółka, która posiada 40 dziełek gospodarczych i na tem posiedzenie zamknięto. Podniesiona sprawa założenia sklepika będzie traktowaną na najbliższem posiedzeniu w Maju.

Pewien światły i szlachetny włościanin, którego nazwiska nie podajemy, ponieważ sobie tego nie życzy, nadesłał przedpłatę na 10 egzemplarzy »Przyjaciela Ludu», które do 10 wybranych przezeń osób mamy wysyłać. A o tem dlaczego pismo nasze chce rozpowszechniać, tak pisze:

»Widzę — że ludzie dobrej woli chcą iść w pomoc temu biednemu, opuszczonemu ludowi włościańskiemu, oświecając go i pouczając! Życzę wam szczęścia i wytrwałości, aby wasze gorące życzenia trafiły do serc włościan, by pojąć mogli kto im dobrze życzy i na dobrą drogę wiedzie, bo już wielki czas, by włościanie poznali i rozróżniali, czy im kto dobre, czy złe rady daje i żeby raz stanowczo pomyśleli o sobie i nie ulegali pokusie, że włościanin nie może się sam zastępować i o swoje potrzeby i dobrobyt się upomnieć. Ja z mej strony życzę powodzenia Szanownej Redakcji i wszystkim współpracownikom tego pouczającego, dobrze zrozumiałego pisemka, więc szczęść Boże, aby to ziarnko rzucone ku oświacie włościan trafiło na urodzajne pojęcie i wydało plon wiedzy obfity i jeszcze raz, szanowni panowie, kiedy wam leży dobro publiczne, dobro włościan na sercu, Bóg wszechmogący niech wam to stokrotnie wynadgrodzi, a z mej strony Bóg zapłać«!

Wszystkie głosy nas dochodzące utwierdzają w przekonaniu, że stan włościański postępuje naprzód w zainteresowaeiu się

sprawami publicznnemi i żądny jest brania udziału w życiu publicznem. Otóż znajdą się niechętni, których objawy te będą martwić i niepokoić. Możecie im, bracia, powtórzyć słowa odezwy włościan z Jasielskiego: »Nie obawiajcie się otwartego ruchu ludowego, garnącego się do obywatelskiej pracy około dobra kraju, uszanujcie raz i naszą wolę, którą my w granicach nam przyznanych wykonywać chcemy«. Ale znajdą się i tacy, co korzystaniu z praw przynależnych i uczestniczeniu w obowiązkach, stawić będą wszelakie zapory i będą was zniechęcać i zrażać.

Tym odpowiedźcie nie ustawaniem w szlachetnem dążeniu. Kto się lęka przeciwności, nie zrobi nic dobrego na ziemi. Pamiętajcie, że kto stoi na gruncie prawa, ten ma opiekę prawa. A nadewszystko pamiętajcie, że jeśli ustaniecie w pracy, to wciąż bez ustanku, przez długie, długie lata rozlegać się nie przestanie smutna skarga:

Hej, odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, nie ma rąk do siania!
Twardą będzie dzieci naszych dola,
Twardą będzie, pełną krwi i łkania
Gdyż odłogiem leży nasza rola,
Choć są ziarna, nie ma rąk do siania!

PRZED WYBORAMI.

W czerwcu już odbędą się wybory do Sejmu krajowego. Ze wszystkich stron słyszymy, że z okręgu mniejszych posiadłości kandydują na posłów ludzie, których do kandydowania to tylko uprawnia, że corocznie na swoje kaprysy mogą tracić po kilka lub kilkanaście tysięcy, lecz zresztą ani z powodu swego wykształcenia, ani charakteru, ani stanowiska społecznego i znajomości potrzeb i stosunków chłopskich nie są uprawnieni do zastępowania ludu naszego w Sejmie i do uchwalania dla niego praw. Baczność więc, panowie gospodarze, aby wam znowu nie narzucono takich posłów, jak p. hr. Lasocki, co w Sejmie publicznie nazwał karczmę największą świętością lub jak ks. Chotkowski, który we Wiedniu przy rozprawie nad podzielnością gruntów chłopskich mówił: byleśmy utrzymali bogatszych chłopów, a biedni niech giną, jak pędraki po zjedzeniu kartofli!

Czas już najwyższy, panowie gospodarze, byście jak rozumni i dojrzali obywatele kraju pomyśleli o wyborach i zabezpieczyli się w porę, by wam potem nikt nie mógł i nie śmiał narzucać kandydatów, ani pędzić was do głosowania na nieznanego i obcego wam człowieka, jak bydło do obory. Myślimy, że takiej hańby wyrządzić sobie nie dacie. A możecie temu bardzo łatwo zapobiedz.

Niech się na pierwszym jarmarku zbierze w każdym powiecie choć kilku rozumnych i piśmiennych włościan, niech omówią między sobą sprawę wyborów i niech się porozumieją, czy chcą przystąpić do czynności. A gdy się zgodzą na to, wtenczas niech wezmą arkusz papieru i spiszą na niem 40 czy 50, czy ile tam wypadnie ludzi z całego powiatu, znanych z uczciwości, rozsądku i silnego charakteru — czy to będą chłopi, czy księża lub szlachta, do których macie zaufanie, czy ktokolwiek bądź, o kim możecie przypuszczać że sprawy ludu nie zdradzi i zechce postępować z wami razem. Spisawszy ich imiona trzeba porozpisywać do nich listy

Kiedy się drzwi zamknęły za ostatnim chłopem, przewodniczący załatwił najpierwej wstępne formalności, potem wygłosił mówkę na temat ważności chwili, wreszcie wezwał kandydatów, ażeby składali po kolei wyznanie swej wiary politycznej.

Wszyscy mowcy zapewniali, że przez całe życie zajmują się wyłącznie ludem i jego potrzebami, przyrzekali usunąć wszystkie wadliwości ustroju społecznego, ofiarowali w tym celu swe usługi, w zamian zaś nie żądali nawet żadnego zadatku, nic prócz lichego mandatu, który, jak powszechnie wiadomo, nie przynosi najmniejszych korzyści...

Hrabia Szaławiła ze skromnością przemawiał ostatni, wiedząc, że ten ma zwykle słuszność, kto wypowiada ostatnie słowo.

— Podobnie, jak w przyrodzie występuje nieskończona rozmaitość, ażeby stworzyć harmonię — zakończył hrabia swą mowę — tak i w społeczeństwie są rozmaite stany, które powinne dążyć do zgody. A jak w rodzinie starszy brat czuwa nad młodszym i z woli Bożej pełni w ważnych wypadkach obowiązki ojca, tak i w społeczeństwie my, obywatele, jesteśmy starszymi braćmi wieśniaków, którzy, jako młodsi bracia potrzebują naszej opieki... A że pragnę z całej duszy być wam dobrym bratem — tak mi Panie Boże dopomóż!...

Teraz przystąpiono do głosowania. Sypały się kartki czerwone, żółte, zielone, a twarze kandydatów przybierały takie same barwy. Co do wyniku nie było żadnej wątpliwości. Późnym wieczorem skrutator ogłosił, że JW. Edgar hr. Szaławiła otrzymał mandat poselski.

II.

Ostatnie echa wyborów przebrzmiały wkrótce. Młodszy brat w pocie czoła pracował na roli, starszy z niezmiernym trudem we Wiedniu dla publicznego dobra. Na wiosnę powódź zniszczyła młodszemu bratu cały dobytek, łaskawy jednakże los dla złagodzenia strasznych skutków nieszczęścia zrządził równocześnie, że starszy brat otrzymał godność szambelana...

Przyszły nareszcie i lepsze czasy. Oto pewnego dnia zjawili się we wsi nieznajomi jacyś ludzie, którzy nieśli ze sobą małe okrągłe stoliki o trzech nogach, długie żerdzie, chorągiewki czerwone, łańcuchy i sznury. Ludzie ci rozproszyli się po polach jako mrówki, wbijali w ziemię żerdzie i chorągiewki, wyciągali sznury i łańcuchy, ustawiali okrągłe stoliki, rysowali coś, czy pisali i machali rękami, niby nieme stworzenia, które na migi rozmawiają.

— Musi będą budować w e r k i — zawyrokował Wojtek Niedbała, który jako żołnierz widział w Krakowie tamtejsze fortyfikacje.

— Bajesz — odpowiedział Kostuch — Budują kolej i tyla.

Kostuch miał słuszność: budowano kolej. W kilku tygodniach inżynierzy wytyczyli długą, prostą linię, która gdzieś ginęła na prawo i na lewo w mrocznej dali po dwóch przeciwległych stronach błękitnego horyzontu.

— Może ta i ludziom co kapnie? — zauważył Stokłosa tonem zapytania.

— Jakżeby nie — odrzekł Kostuch. — Wszelakiej roboty będzie dosyć dla człowieka i bydlęcia... Sypać wały, przekopywać p a g o r y, wozić ziemię, kamienie, s i u t e r... Choćbyś ino miał taczki albo rydel, już można zarobić swój grosz. A przecie sami nasi ludzie nie wydołają, przyjdzie naród z innych wsi, no to i mleko i masło i chleb znajdzie głodną gębę.

Kostuch miał znowu zupełną słuszność, chociażby tylko w teorji. Wszakże dzienniki pisały szeroko o tej kolei, nazywając ją kojącym balsamem na społeczne rany. Przedewszystkiem rolnicy będą posiadać szybką i tanią komunikację, skutkiem czego cena ziemi tudzież produktów rolnych znacznie się podniesie. Rozwój przemysłu również pójdzie szybkim krokiem. Oto korespondent prowincjonalny doniósł niedawno, że właściciel Niedoborów spostrzegł na studziennej wodzie oczka nafty, a właściciel Głupotowa znalazł na swoich polach rudę żelazną. Skarby ukryte w łonie ziemi wydobędą potem nasi przemysłowcy...

Zresztą zaraz podczas budowy kraj odniesie przeróżne korzyści. Bo proszę tylko pamiętać, że na czele przedsiębiorstwa stanął

poseł hr. Szaławiła, że koncesję na budowę otrzymało krajowe towarzystwo, że wreszcie sprzedażą akcyj zajęła się także krajowa spółka finansowa. Jasny stąd wniosek, że we wszystkich gałęziach pracy będą mieć zatrudnienie wyłącznie krajowe siły, począwszy od naczelnego inżyniera, a skończywszy na ostatnim robotniku. Zapomniano tylko o tej, nic nieznaczącej drobnostce, że owe akcje powędrowały do Wiednia, do Berlina, do Frankfurtu...

Budowano tedy kolej. Robotami kierowali inżynierzy z Wiednia, koło mostów pracowali Styryjczycy, kamienie obrabiali Włosi. Prócz tego cała ćma rudych l a n s m a n ó w roiła się na całej linji pod rozmaitymi pozorami. Wszystko to nie dotykało chłopów bezpośrednio. Jeden woził ziemie, drugi kamienie, inny kopał rowy lub sypał wały, dziewczęta i wyrostki nosiły cegłę lub wapno.

Miesiąc minął jeden i drugi i trzeci. W sam dzień Bożego Ciała zjechali do dworu jacyś urzędnicy, których powitał pan bardzo grzecznie na środku dziedzińca. Przeróżne wieści krążyły o tych nowych gościach, ale nikt nie wiedział nic dokładnego, nawet wójt Kostuch, który powinien był posiadać urzędowe wiadomości. Dopiero w karczmie wieczorem karbowy, połknąwszy trzy półkwaterki wódki, oznajmił ciekawym gospodarzom, że to przyjechała komisja do szacowania gruntów, które zabrała kolej.

Komisja bawiła się we dworze dzięki staropolskiej gościnności bardzo dobrze, w chwilach zaś wolnych od tego zajęcia szacowała tem energiczniej grunta. Dwór był zupełnie zadowolniony z jej czynności, natomiast pośród chłopów powstało nagle wielkie szemranie.

— Ano juści panowie trzymają razem — prawił Kostuch. — Dworskie pola taksowali morg po trzysta papierków, nawet nieużytki na urwiskach płacili po siedmdziesiąt papierków.

Skąd Kostuch znał tajemnice komisji szacunkowej, nie wiadomo, pewnem jest tylko, że pisarz, który z nią przyjechał, pijał w karczmie wódkę z pisarzem gminnym, co zresztą nie jest wcale nadzwyczajną okolicznością ze względu, że obaj byli urzędowymi kolegami.

— Naszą rolę pszeniczną oszacowali po sto papierków za morg — mówił dalej Kostuch — niby dlatego, że nasze parcele brała kolej w całości, a zaś dworskie grunta poprzecinała.

— Coby nie! — zawołał Stokłosa. — Moję rolę ato przekroili bezecnie i zostawili po tamtej stronie takie małe poletko, że ani go zorać, ani zawłóczyć, a snopy chyba na plecach dźwigać trzeba, bo bez kolej nie ma nijakiego dojazdu.

— Porobili tamy w rzece — dodał Kuba Zając — i teraz woda rwie mój grunt, nikej zębami...

— Rekurować i po krzyku — zawyrokował stary Kutyba. — Obaczymy, co powiedzą w rządzie.

Rzeczywiście i komisja szacunkowa i przedsiębiorstwo kolejowe dopuściły się licznych nadużyć wobec wieśniaków. Za radą Kutyby gospodarze posłali zażalenie do Namiestnictwa, cierpliwie czekając na to, co powie rząd. Namiestnictwo odrzuciło zażalenie, Chłopi zaś podali rekurs do trybunału administracyjnego, czekając znowu, co powie rząd.

Tymczasem zaczęły się ruszać owe tłumy chłopów bezrolnych, którzy pracowali przy kolei, wykonując najcięższe roboty za najlichsze pieniądze. I oni mówili o krzywdach, mimo, że wymagania ich były mniej niżeli skromne. Niemcy i Włosi mieli baraki, oni spędzali noce pod gołem niebem, które nie zawsze było dla nich łaskawe. Ale chłop nasz legł na trawniku, przykrył się płótnianką i spał wyśmienicie, zwłaszcza po wypiciu większej ilości wódki. Wprawdzie tu i ówdzie wybuchał tyfus plamisty, ustawał jednakże sam z siebie, pożarłszy kilkadziesiąt ofiar.

I byłyby owe tłumy pracowały spokojnie, gdyby rude l a n d s m a n y nie były sądziły, że mają przed sobą bezbronne bydlęta. I tak dozorcy w najdowcipniejszy sposób wyszukiwali rozmaite przewinienia służbowe, rozmaite usterki w robocie i strącali niemiłosiernie za karę odpowiednie kwoty. Ludzie szemrali, odgrażali się, próbowali nawet urządzać bezrobocia, wreszcie jednak wracali do jarzma. Nie mniej cierpliwie znosili, kiedy ten lub ów dozorca pomylił się na ich niekorzyść o

jedną furę przywiezionych kamieni lub o jeden metr sześcienny wykopanej ziemi.

— Niemce od wieków chytry naród — mawiał w takich wypadkach Stokłosa, pogardliwie spluwając.

Ale chytry naród wymyślał ciągle nowe niespodzianki. Oto w sobotę przy wypłacie tygodniowego zarobku, zamiast gotówki otrzymywali chłopi ku wielkiemu swemu zdziwieniu, jakieś kartki tajemnicze, drukowane w jakimś niezrozumiałym dla nich niemieckim języku.

— Za te kartki — wyjaśniał Niemiec łamaną czeszczyzną — dostaniecie w kantynie wszystkiego, wódki, piwa, chleba, cygar. One mają takie same znaczenie jak pieniądze.

Chłopi szeptali, ruszali ramionami, radzili po cichu i... milczeli. Przeczuwali zdradę, a nie wiedzieli, jak jej zapobiedz.

— Już ta zawsze pieniądz ma większy walor — odezwał się wreszcie Stokłosa.

— Ano! Słusznie gada, sprawiedliwie gada! — wołali chłopi.

— Sam tylko cesarz ma prawo robić pieniądze — krzyknął Wojtek Niedbała.

Nagle powstał szalony gwar, z pośród którego dolatywały groźne przekleństwa i okrzyki. Jedni drugich zaczęli popychać i zachęcać do czynnego wystąpienia. Dokoła stołu, za którym siedział Niemiec, powstawał ścisk coraz większy. Jedno nierozważne słowo mogło spowodować wybuch. Właśnie naprzeciw stał Wojtek Niedbała z miną tak wyzywającą, że nie podobna było mylić się co do jego chwilowego usposobienia. Ale Niemiec powstał flegmatycznie, skinął ręką i znowu nastała cisza.

— Zmieniajcie mi tysiączkę — przemówił spokojnie, wydobywając z pularesu jakiś banknot — zmieniajcie tylko, a ja wam zaraz zapłacę.

Chłopi znowu radzili i znowu milczeli, czekając, ażeby który z mądrzejszych dał jakieś hasło. Niemiec tymczasem zebrał ze stołu resztę kartek, schował je do kieszeni, wygramolił się na stojący opodal wózek i odjechał bez przeszkody.

— Cosi Niemce zanadto praktykują — zauważył Niedbała, wygrażając pięścią za odjeżdżającym przedsiębiorcą.

— I nikt ich nijak nie zmoże — dodał z rezygnacją Kutyba — nikt, nawet sam rząd.

— Chodźwa do domu — radził Gorczyca, który cierpiał na kurzą ślepotę i dlatego jeszcze przed wieczorem chciał się dostać do domu.

Nie było innej rady. Jedni poszli gościńcem ku wsi, drudzy pod wodzą Niedbały skręcili do kantyny, z której dolatywały dźwięki muzyki.

Dok. nast.

Wiec delegatów miast i miasteczek.

W niedzielę d. 28. kwietnia zebrali się we Lwowie delegaci 81 miast i miasteczek ze wszystkich dzielnic kraju.

Na porządku dziennym stały dwie sprawy: 1. uchwała statutu dla stałej reprezentacji interesów miast i miasteczek; 2) poufne porozumienie się w sprawie wyborów sejmowych.

Co się tyczy wyborów uchwalono **program** następujący:

Zgromadzeni na wiecu wyborczym miast i miasteczek d. 28. kwietnia 1889 r. we Lwowie oświadczają, iż przy zbliżających się ogólnych wyborach do Sejmu krajowego starać się będą o wybór takich kandydatów, którzy:

1) reprezentować będą nie jedną tylko warstwę, ale całą ludność kraju, a bronić skutecznie zechcą i potrafią interesów gmin zarówno miejskich, jak wiejskich;

2) przez zajęcie w obec rządu stanowiska zupełnie niezależnego, a bezstronnego, żądaniom kraju większy nadać potrafią nacisk, a tem samem oddziałać także na bardziej stanowcze tych żądań poparcie przez reprezentację kraju naszego w Wiedniu;

3) bronić będą obywatelskich praw i swobód, tudzież samorządu kraju, a zarazem

starać się o rozszerzenie i utrwalenie tego samorządu w duchu rezolucji sejmowej z r. 1868;

4) domagać się usilnie będą zaprowadzenia języka polskiego w urzędowaniu tych władz i instytucyj rządowych i innych publicznych, tudzież kolei żelaznych, które dotąd jeszcze urzędują po niemiecku;

5) popierać będą słuszne żądania Rusinów co do uznania praw języka ruskiego i w ogóle zajmować będą w obec Rusinów stanowisko nacechowane sprawiedliwością i natchnione duchem bratniej zgody, zacieśniając przez to węzły, wiążące tak ściśle Polaków z Rusinami;

6) we wszelkich pracach sejmowych dążyć będą do podniesienia ludu wsi i miast pod względem umysłowym i moralnym, obywatelskim i ekonomicznym, do oparcia ustaw krajowych na zasadzie równej dla wszystkich sprawiedliwości, do rozdziału ciężarów i prestacyj publicznych, jak: drogowe, szkolne, kwaterunkowe i inne równie sprawiedliwie na wszystkich mieszkańców kraju, w miarę siły majątkowej każdego;

7) starać się będą o reformę wyborczą, przez zniesienie kurji wyborczych i zaprowadzenie jednolitych okręgów wyborczych, na razie zaś, gdyby taka reforma była niemożliwą, przynajmniej o powiększenie liczby posłów z miast;

8) dążyć będą do reformy gminnej nie przez ukrócenie praw autonomicznych gminy, ale przez wzmocnienie wątłego organizmu gmin za pomocą połączenia ich z obszarami dworskimi w gminach zbiorowych;

9) starać się będą o dalszą naprawę ustaw szkolnych i ścisłe a energiczne wykonanie programu zaopatrzenia każdej gminy *w dobrą szkołę*;

10) wszelkich starań dokładać będą, aby Sejm uchwalił ustawy dla bezpieczeństwa mienia, życia i zdrowia ludności niezbędne, więc ustawę budowniczą dla wsi, ustawy o policji ogniowej, o opodatkowaniu towarzystw ubezpieczeń na rzecz pożarnictwa krajowego, o służbie zdrowia itp;

11) odpierać będą energicznie wszelkie wsteczne dążenia;

12) starać się będą o usunięcie zbytecznej biurokracji w administracji autonomicznej, o nadanie jej większej sprężystości, zaś w zarządzie funduszami krajowymi dążyć będą do oszczędności we wszelkich wydatkach zbytecznych, ażeby umożliwić większe wydatki na cele prawdziwie produkcyjne, zwłaszcza na podniesienie krajowego rolnictwa i przemysłu.

Następnie uchwalono następujący **regulamin** dla komitetów przedwyborczych:

Wiec delegatów miast i miasteczek wybiera „komitet przedwyborczy dla miast i miasteczek“ z 50 członków złożony a podzielony na dwie sekcje: lwowską dla wschodniej i krakowską dla zachodniej części kraju, który postępować będzie według następujących postanowień:

1. Komitet przedwyborczy dla miast i miasteczek popierać będzie tylko takich kandydatów, którzy osobiście staną przed wyborcami, a których wyznanie wiary zgodne będzie z rezolucją przez wiec uchwaloną.

2. Pierwszeństwo dawać będzie komitet takim kandydatom, którzy patrjotyzmem, gorliwością obywatelską, znajomością stosunków i potrzeb ludności miejskiej i wiejskiej, zdolnościami i wiedzą dają rękojmię usilnej a skutecznej w Sejmie pracy.

3. Przy warunkach w ustępie drugim wymienionych, wyznanie nie może stanowić różnicy między kandydatami.

4 W myśl ustępu 5. rezolucji wiecu, komitet występować będzie tylko przeciw

takim kandydatom Rusinom, którzy stojąc na gruncie obcym swemu własnemu narodowi, ojczyzny swej po za granicami Rusi szukają.

5. Komitet przedwyborczy rozwijać będzie swą akcję w myśl rezolucji wiecu, *obok* działalności komitetu centralnego przez Koło sejmowe wybranego i w porozumieniu z nim. Komitet przedwyborczy postara się przeto, aby tak lwowska jak krakowska sekcja komitetu centralnego przyjęła do swego grona po 5 członków komitetu miast i miasteczek, tudzież aby do komitetów powiatowych przez komitet centralny ustanowionych, weszli w odpowiedniej liczbie obywatele przez komitet miast i miasteczek wskazani.

6. Komitet miast i miasteczek zajmie się bezzwłocznie zamianowaniem po kilku mężów zaufania w każdem mieście i miasteczku głosującem w kurji małej własności, rozeszle im uchwały wiecu z d. 28. kwietnia br. i zaweźwie ich do porozumienia się z wybitniejszemi osobistościami z gmin celem wspólnego prowadzenia dalszej akcji, przyczem główną uwagę zwróci na to, by przedewszystkiem skład komitetów powiatowych z ramienia komitetu centralnego ustanowionych wypadł po myśli uchwał wiecu.

7. Również zamianuje komitet mężów zaufania w miastach, które same wybierają posłów, przeszle im uchwały wiecu i zawezwie do sproszenia zgromadzenia wyborców, celem wyboru komitetu przedwyborczego miejskiego, tudzież do czuwania nad dalszą akcją wyborczą.

Skład *komitetu przedwyborczego* dla *zachodniej* części kraju jest następujący:

Pawlikowski Miecz., dr. Boroński, Brudnicki, dr. Kohn, Kwiatkowski, dr. Weigel, Romanowicz, dr. Styczeń, Rehman, Kutrzeba, Rudnicki Józef, dr. Asnyk, Lewakowski Aug., Wiszniewski Ludwik, Skirliński, Lipiński Łucjan, dr. Zbyszewski, Biechoński, Żardecki, Trybulec, Miczyński Bruno (Wieliczka), Rogojski (Tarnów), Metzger Alojzy (Jasło), dr. Stiasny (Biała) i dr. Łazarski Stan.

Skład *komitetu przedwyboczego* dla *wschodniej* dzielnicy kraju jest następujący:

Gros Piotr, dr. Goldman, Michalski, dr. Ostaszewski-Barański, Rewakowicz, Witosławski Ant. (Brody), Niemczynowski, dr. Lewakowski Karol, dr. Roszkowski, Getritz, Szczepanowski, Wiśniewski Sygurd, dr. Koźmiński (Tarnopol), Bartoszewski (Jarosław), Dmuchowski (Gródek), Skolimowski (Żółkiew), Witosławski Teofil (Tyśmienica), Fruchtman (Stryj), dr. Szydłowski (Stanisławów), Dworski (Przemyśl), Borowski (Podhajce), Fruchtman Jakób (Drohobycz), dr. Heine (Złoczów), Budzynowski (Sambor), Stwiertnia Paweł (Lwów).

Poradnik dla czytelń.

STARA BASŃ.

W zeszłym numerze podaliśmy wam treść powieści o Kuźmie Jeżu, dzisiaj streszczamy inną, napisaną przez słynnego pisarza J. Ignacego Kraszewskiego, który w życiu swojem wiele wycierpiał, którego kilka lat przed śmiercią skazały sądy niemieckie na więzienie trzechletnie w twierdzy magdeburskiej, a który umarł przed dwoma laty w Szwajcarji. Zwłoki jego sprowadzono kosztem kraju do Krakowa; pochowano go tamże w kościele św. Stanisławą na Skałce, z wielką okazałością.

Powieść, o której mowa, a którą z książki Kraszewskiego dla ludu streściła p. F. M. jest mniejwięcej taka:

Rzecz dzieje się mniejwięcej przed lat tysiącem. Gęstą puszczą jedzie konno jakiś Niemiec, Hengo zwany, wraz ze synem swoim młodym. W głębi lasu spotkał miejsce, w ktorem dawne przodki nasze bogom swoim

cześć składali, i zakląwszy, splunął na nie. Na to wszystko patrzał Dobek, kmieć zamożny, silny, młody, który również spieszył lasem, niepostrzeżon przez przybłędów i urażon tem bluźnierstwem, co spotkało bogi jego, łuk wymierzył przeciw Niemcom i starego trafił strzałą. Przestraszeni konie spięli i przybyli do zagrody, gdzie Wisz mieszkał, człowiek silny, kmieć zasobny i rozumny. który dawną wolność słowian ponad własne cenił życie. Tutaj Niemiec swe towary przed zdumionych niewiast okiem wnet rozłożył i zalecał szkła, paciorki, naszyjniki, zau sznice, szpilki srebrne, nawet miecze i topory ze żelaza, które wtedy mało znali nasze ojce. Lecz nim zdołał sprzedać towar koło chaty zgiełk się zrobił; zgraja smerdów to przybyła, sług książęcia, co Popielem Chwostkiem zwał się, a panował nad jeziorem, ponad Gopłem, w kraju Polan, na wysokim, silnym zamku. Wysłał ci on sługi swoje, aby Wisza ukarali, że chciał zwołać wiec co rychlej i naradzać się z wszystkimi, jak się bronić od ciemiężcy, który gwałcił wciąż swobodę za namową żony swojej, chciwej władzy Niemki, Ryksy. Przed zagrodą bój się zaczął, popłynęła krew obfita, smerdów wprawdzie odprawiono, lecz nieżywy w owej walce padł, ugodzon strzałą wroga, pan zagrody, Wisz ów stary. Wyprawiono pogrzeb wielki: obyczajem dawnym z drzewa ułożyli stos ogromny, położyli nań zmarłego i to wszystko, co za żywa miał w swem sercu najdroższego, aby razem z nim spłonęło. Nawet żona, jak się działo, nie chcąc przeżyć śmierci męża, żywcem w ogniu się spaliła. Hengo rzucił chatę Wisza i na zamek księcia spieszył, gdzie się straszne działy rzeczy. Popielowi wszyscy krewni ucztowali na tym zamku: wszystkich sprosił dzisiaj książę, by się z nimi znów pogodzić, by usunąć dawne gniewy. Poradziła mu tak żona, chytra Niemka, która chyłkiem gotowała w jednej z izb straszne zioła, by ich potruć.

To też zanim wieczór przyszedł, wszyscy krewni, oszukani, pozostali już bez życia. Na straszliwą tę wiadomość jako w kotle tak zawrzało w całej ziemi dawnych Polan. Rozesłali co tchu wici i na wielki wiec zwołali wszystkie gminy, starszych wszystkich. Uradzili tu co rychlej, by się pomścić krwawej krzywdy i ratować wolność świętą. Poprzysięgli krwawą zemstę. Wiecowników Piast ugościł, kmieć, kołodziej, co w Kruszwicy postrzyżyny dziecku swemu w owym czasie był wyprawiał. Wiecownicy swoją zemstę na Popielu wnet wywarli; podciągnęli bowiem kmiecie popod mury jego zamku, zamek wzięli, a Popiela, jak zasłużył wraz ze żoną, spotkał straszny, straszny koniec — zagłodzili ich w wieżycy, dokąd się był książę schronił. Lecz to nie był koniec biedy. Syny księcia, co się w Niemczech u dziadusiów swych chowały, pospieszyły z wielkiem wojskiem, by się pomścić śmierci ojca. Niemców w puszczach, jarach dzikich wiódł ów kupiec, znany Hengo, który szpiegiem był, nie kupcem. Lecz i Niemcom źle tu poszło. Kmiecie wszystkich wnet pobili, a odznaczył się w tej wojnie zwłaszcza Dobek, kmieć ów młody. Tylko strzała go trafiła. Zranionego wnet odnieśli do świątyni bóstwa Niji, która stała śród jeziora — nazywano je Lednicą — tam, gdzie dzisiaj miasto Gniezno. Tu starego doglądała piękna Dziwa, córka Wisza, poświęcona bóstwu Niji. Chciał ją Dobek mieć za żonę, ale Dziwie nie małżeństwa, jej się chciało być kapłanką. Dobek kochać jej nie przestał. Wyzdrowiawszy, do dom wrócił i tu kmieciom wnet polecił, by wybrali księciem Piasta, co ich ongi tak ugościł, a człowiekiem był rozumnym i uczciwym i przeprawym. Tak zrobili. Piast był księciem. A że była właśnie wiosna, gdzie Kupały uroczystość obchodzono zawsze hucznie, gdzie niejedno wolno było w owym czasie ludziom czynić, gdzie nie było nawet grzechem od ołtarza wziąć kapłankę, więc i Dobek swoją Dziwę ze świątyni Niji wykradł i uczynił ją swą żoną. Wyprawili wielkie gody, wszyscy jedli i miód pili — nawet mnie tam zaprosili, co słyszałem, co widziałem, to wam tutaj opisałem.

KRONIKA.

Wzorowa gmina. Z Myślenic piszą do *„Kurjera Lwowskiego“*. W gminie Górnawieś, która jest przedmieściem Myślenic, od kilku lat istnieje Kółko rolnicze, posiadające maszyny rolnicze, o których dawniej wieśniak nie miał wyobrażenia. Dzięki krakowskiemu Towarzystwu oświaty ludowej założoną tu także została czytelnia ludowa. Nie ma domu, gdzieby nie korzystano z książek, a tam gdzie starsi nie umieją czytać, dzieci szkolne zasiadłszy w kole domowników, odczytują wiele pożytecznych wiadomości. — Z początkiem br. zawiązał się celem założenia Towarzystwa ochotniczej straży pożarnej komitet pod przewodnictwem nauczycieli szkoły ludowej w Myślenicach p. Stanisława Bernady'ego. Do komitetu należeli także p. Roman Gąsiorowski. b. profesor szkoły rolniczej w Czernichowie, a teraz obywatel w Górnejwsi, i Tomasz Zabłocki, naczelnik gminy. Komitet wywiązał się należycie z zadania, gdyż na mocy zatwierdzonego przez namiestnictwo statutu, nastąpiło w dniu 4. kwietnia br. ukonstytuowanie się korpusu straży pożarnej. Do Towarzystwa przystąpiło 34 członków. Naczelnikiem wybrany został jednogłośnie znany ze swej sprężystej działalności naczelnik myślenickiej ochotniczej straży pożarnej, p. Emil Schünke. Nadmienić wypada, że gmina, pomimo, iż nie posiada żadnego majątku, zakupiła sikawkę i oddała ją Towarzystwu do użytku.

Parcelacja obszarów dworskich. W tych dniach sprzedano obszar dworski w Kamioneczkach pod Kołomyją, celem parcelacji kolonistom niemieckim z sąsiednich osad, z Marjahilfu i Baginsbergu, oraz włościanom ze wsi Piadyki. Po strąceniu spodziewanej indemnizacji propinacyjnej, morg gruntu dostanie się nowym właścicielom po cenie 100 zł. Jest to cena wysoka, zważywszy, że grunta tam zimne i kwaśne.

Do naśladowania. *Bat'kiwszyna*, rusińskie pisemko szczerze służące sprawie ludowej, donosi o fakcie następującym: Kilku członków ruskiego towarzystwa „Proświta“ w Stanisławowie kupiło wspólnie z niektórymi włościanami ze wsi Uhrynowa 154 morgów gruntu. Po właścicielu tego gruntu został syn sierota, mały Mikołaj Hrycik. Nie porzucili go jednak ci zacni ludzie w niedoli, lecz przypuścili go do swej spółki, płacąc sami wkładkę, jaka się od niego należała. Jestto piękny przykład prawdziwej miłości bliźniego, a przytem powinien nas zachęcić, byśmy szli za przykładem takich ludzi i nie pozwalali wydzierać sobie z rąk ziemi ojczystej. Ot jak sobie poradzili włościanie z Uhrynowa. Jeden nie miałby tyle pieniędzy, żeby kupić 154 morgów gruntu, to też kupili wspólnie, będą wspólnie gospodarzyli, i pewnie dobrze na tem wyjdą.

Ministerjum spraw wewnętrznych wydało cyrkularz, zawierający instrukcję dla rządowych komisarzy, obecnych na zgromadzeniach ludowych i stowarzyszeniach. W instrukcji zaleca minister grzeczność i takt obok stanowczej energii. W toku dyskusji przysługuje komisarzowi prawo zasięgać wiadomości co do osób wnioskodawców lub mowców. Przerywać mowcom lub mieszać do dyskusji nie jest żadną miarą przedstawicielowi rządu dozwolonem. Co do przebiegu zgromadzenia, ma komisarz rządowy złożyć odpowiednią relację. Jeśli podczas zebrania mowcy dopuścili się wykroczeń przeciw ustawie, to komisarz obowiązany jest przytoczyć słowa, uzasadniające karygodny postępek, celem dokładnego przedstawienia prokuratorowi świadectwa do jakiego stopnia ustawa naruszoną została. Ostatni punkt instrukcji zaznacza, że w razie konieczności zgromadzenia komisarz powołać się musi na swą przysięgę służbową. Instrukcja pożądana ze względu na ukrócenie praktykowanej dotąd swobody w postępowaniu pp. komisarzy, tak przeciwnej istocie konstytucyjnego ustroju.

Towarzystwo czytelni ludowych w Poznańskiem poszczycić się może rzetelną i istotną pracą. Założyło już blisko 1000 czytelni bezpłatnych, z tych 150 na Szląsku, drugie tyle w Prusach, na Mazurach pruskich i we Warmji. Ponieważ działalność Towarzystwa tego wkracza na pole polityczne, dla Niemców drażliwe, władza wykonuje nad niem srogi nadzór. Mianowicie zaś w Prusach zachodnich doświadczają czytelnie wielu utrapień. Minister spraw wewnętrznych trzyma tam osobnego urzędnika, który jeździ od wsi do wsi i rewiduje bibljoteki, straszy ludzi, a gdzie mu się dobrze ich zastraszyć uda, tam zabiera książki wszystkie i każe sobie pisać rewers, że mu „odstąpione zostały do dowolnego użytku“.

Naturalnie nie z każdym bibliotekarzem taka sztuka się udaje, bo powierzonej sobie własności Towarzystwa nie godzi się dobrowolnie oddawać.

Kramnica Karpacka w Jabłonowie zamierza utworzyć w Kołomyi skład wyrobów krajowych, w które mogły by się zaopatrywać sklepiki gminne.

Regulacja naszych rzek. Regulacja Wisły w królestwie Polskiem postępuje. Roboty faszynowe wzdłuż brzegów Wisły, na przestrzeni 1 27 kilometr., począwszy od granicy austrjackiej do Zawichosta, trwały lat 7 i pociągnęły za sobą wydatek w wysokości koło dwóch miljonów złr. Dalsze obwałowanie brzegów Wisły od Zawichosta do Puław rozpoczęte zostaną w roku bieżącym. Koszta wynosić będą w przybliżeniu 8 miljonów złr. — Sejm pruski uchwalił świeżo ustawę o regulacji rzek szląskich. Na cel ten przeznaczono dla Górnego Szlązka 2 miljony mark.

Zamknięcie targów. Wiadomo, że powiat borszczowski liczy 72 gmin, otóż w jednej z tychże zasłabła na chorobę pyskową czy raciczną, zdaje się, jedna świnia czy wół, wskutek czego zamknięto targi w całym powiecie, co spowodowało znaczne szkody materjalne dla wszystkich gospodarzy, jakoteż utrudnienie biedniejszym włościanom zasiewu jarzyny. Rok zeszły był posuszny, przez co wydatek paszy bardzo skąpy. Z obawy, by nie brakło paszy do roboty wiosennej, bardzo wielu gospodarzy jeszcze w jesieni sprzedało woły, których dzisiaj z wiosną nigdzie nabyć nie wolno. Czemże więc zaorać, zabronować? Można wprawdzie kupić konie, lecz do tych trzeba uprzęży, innego woza, na co ani funduszów, ani czasu nie ma.

Ubodzy włościanie trzymają maciory, obdarzające ich prosiętami, któremi zaspakajają w czasie przednówku podatki i niezbędne potrzeby. Dzisiaj nie wolno sprzedać prosiąt, bo jarmarki p. starosta zamknął, otóż biedny chłop patrzy, jak jego dobytek nędznieje z braku pożywienia, którego sam jest żądny. W braku ziarna dałby chudobie chętnie burzanu, lecz i tego jeszcze nie ma, a nim on będzie, to i prosięta wyginą z głodu; z czego więc zapłaci podatek, dodatki itp.

Byłoby dobrze, gdyby władza polityczna zbadała i zabezpieczyła należycie tylko miejscowości, gdzie zaraza się ukaże, a nie gnębiła całego powiatu.

Odpowiedzi od Redakcji.

P. Jerzemu z Radłowa. Umieścimy w przyszłym numerze.

P. A. W. Zużytkujemy. Książeczki zamówionej w Warszawie jeszcze nie otrzymaliśmy.

Panu Ch. Statuta wyszlemy natychmiast po wydrukowaniu.

P. Antoniemu D. Umieścimy.

Ceny zboża za sto klgr.

Nazwa zboża	Lwów złr.	Kraków złr.
Pszenica	6·70—7·20	7·80—7·95
Żyto	5·60—5·75	6·75—6·90
Jęczmień	5·80—6·50	6·50—7·—
Owies	5·90—6·40	6·30—6·50

Zwracamy uwagę, że ceny zboża obecnie ulegają znacznej zmianie. Na podstawie powyższych cen może sobie każdy obliczyć cenę produktu na jakiejś stacji kolejowej. Potrzeba tylko znać taryfy kolejowe i obliczyć różnicę frachtu. Na przykład fracht z Rzeszowa do Krakowa od wagonu zboża wynosi złr. 50 ct. 60. Sprzedając więc pszenicę do Krakowa, można za nią dostać loco Rzeszów od od złr. 7·30 do 7·45.

Fracht Tarnopol Lwów od wagonu złr. 44·20
„ Tarnopol Kraków „ „ „ 112·40
„ Przemyśl Kraków „ „ „ 68·—
„ Jarosław Kraków „ „ „ 61·—

Potrąciwszy powyższe różnice frachtu od cen produktów we Lwowie lub Krakowie, otrzymamy wysokość ceny na pomienionych stacjach.

Ponieważ obliczenie takie wymaga znajomości taryfy kolejowej i wskutek tego nie każdy może je zrobić, więc chętnie czytelnikom naszym w razie życzenia dalszych objaśnień w naszem piśmie udzielamy.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig**. Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 4. We Lwowie, dnia 15. Maja 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

W sprawie wyborów.

Wybory do sejmu zostały rozpisane na 2. lipca dla kurji gmin wiejskich, na 4. dla miast i Izb handlowo-przemysłowych, na 9. lipca dla większej posiadłości.

Odbędą się one zatem w czasie dla włościaństwa dość dogodnym, kiedy jeszcze nie rozpoczęły się żniwa, a w niektórych okolicach zaledwie rozpocznie się kośba. Włościanie będą mieli czas stawić się w pełnej liczbie do prawyborów, dopilnować, by ich nie zaskoczono znienacka, a i wybrani przy prawyborach wyborcy będą mogli bez uszczerbku dla gospodarstwa stawić się do wyboru posła. Kiedy odbędą się prawybory, jeszcze dokładnie nie wiadomo, to jednak pewna, że już gdzieś w początku czerwca, w czasie dla włościan rzeczywiście najdogodniejszym. Byłby więc wstyd prawdziwy, gdybyście, bracia włościanie, przeziewali tę dogodną chwilę i dali sobie narzucić takich wyborców, a potem i posłów, którzyby o dobro wasze tak dbali, jak wilki o dobro owiec.

Niestety, dotychczas mało widzimy oznak jakiejś żywszej działalności. Prawie jedyną poważną oznaką jest odezwa włościan z jasielskiego, którąśmy w poprzednim numerze umieścili i która bardzo korzystnie świadczy o tem, że włościaństwo nasze myśli o sobie i chce już raz stanąć na własnych nogach.

Do wyborów pozostaje zaledwie 7 tygodni. Rozumie się, że im później wezmą się włościanie do przygotowań przedwyborczych, tem mniej mogą mieć nadzieji na zwycięstwo, a to tem bardziej, że z innych stron przygotowania czynią się już bardzo skrzętnie. Wyborami w naszym kraju zajmują się obecnie aż trzy komitety centralne, każdy niezależnie od drugich, a mianowicie: komitet szlachecki, posejmowy, z dwoma oddziałami na zachodnią i wschodnią Galicję, dalej komitet miejski, także z dwoma oddziałami i komitet ruski. Centralny komitet sejmowo-szlachecki rozpisał już odezwy do swych zaufanych, by zakładali komitety powiatowe, a nadto zwołał na 18. maja w Krakowie, a na 22. we Lwowie zjazd delegatów od tych komitetów dla ostatecznej narady. Komitet mieszczański odbył również narady 12. bm. w Krakowie, a dziś (15. bm.) we Lwowie. Radzono nad wyborem mężów zaufania, którymby można powierzyć jak najrychlejsze zawiązywanie komitetów powiatowych. Komitety zaś te miałyby stawiać kandydatów całkiem niezależnie od komitetów szlacheckich. O ile centralny komitet miejski, rozciągający swą czynność na mniejsze posiadłości, szczerze uszanuje prawa obywatelskie ludu wieśniaczego, najbliższa przyszłość okaże. Na wiecu miast, szlachetny, szczerze postępowy poseł ze Lwowa do Rady państwa, dr. Karol Lewakowski domagał się, by i chłopskie kandydatury zalecono; głos Jego nie znalazł jednak u większości życzliwego poparcia... Dotychczas określił najjaśniej swój stosunek do ludu centralny komitet ruski. Ma on wprawdzie przesądy co do kandydatury włościan, ale

pragnie szczerze stanowi włościańskiemu zapewnić jak najwięcej miejsca w akcji przedwyborczej. W śniatyńskiem, zbarazkiem, kołomyjskiem potworzono komitety powiatowe przeważnie z włościan złożone...

Co się tyczy polskiego włościaństwa dotychczas, krótko mówiąc, bierze ono w ruchu przedwyborczym udział nieznaczny. Nieczynność byłaby klęską: bo jakim cudem poprawi się dola wasza, gdy ustawy takie jak o niepodzielności gruntów, o gminie zbiorowej, o sługach, rozstrzygane będą za waszemi plecami, bez waszej wiedzy, może wbrew woli waszej.

W kołach zacofanych i bezdusznych roją się dzisiaj projekty, zdolne ludzkość wstecz cofnąć. Próbką takich projektów jest pomysł jakiegoś wyrodka, jakby umyślnie dla sponiewierania i podeptania ludzkiej godności stworzony, wprowadzania kary cielesnej i wymierzania jej, jak chce projektodawca „batem lub kijem“. Hańba!

Od woli włościan zależy wybór 74 posłów. Toż nie bierzcie na siebie strasznej odpowiedzialności za grzech lenistwa i niedbalstwa koło dobra publicznego.

W chwili kiedy pismo nasze oddajemy do druku, pojawia się wiadomość, że w Galicji zachodniej zawiązało się pięć komitetów wyborczych włościańskich, które chcą niezależnie od komitetu centralnego stawiać swych kandydatów i przeprowadzać ich wybór.

Wobec rozpisania wyborów, każdy wyborca ma prawo tworzyć komitety miejscowe, zwoływać zgromadzenia, zawiązywać komitety powiatowe, zmawiać się co do kandydatów... O tem wszystkiem ani władzy zawiadamiać nie potrzeba, ani brać od niej pozwolenia — wybory są wolne.

Mowy włościan, posłów

Krzepka i Jandy w Radzie państwa.

W rozprawach nad uposażeniem „ministerstwa rolniczego“ zabrał głos poseł Krzepek.

W mowie swej wyraził, że na posiedzeniu z d. 25. stycznia 1881 r. przyrzekł prezydent ministrów w długiem przemówieniu jak najszerszą czynność rządu w sprawie rolnictwa; prezydent ministrów rozwinął wtenczas kompletny program rządowy, któremu to tylko można zarzucić, że się go dotychczas nie trzymano, że go absolutnie nie wypełniono. Pod rządem obecnym położenie rolnictwa i włościaństwa coraz to bardziej się pogarszało; przyrzeczeń nietylko że nie dotrzymano, ale wszystko, co rząd dotychczas czynił, było wbrew tym jego przyrzeczeniom.

Rząd przyrzekł, że zmniejszy gospodarkę pieniężną w chatach włościańskich, stało się atoli przeciwnie, gospodarka pieniężna powiększyła się. Albo czy to jest ograniczeniem gospodarki pieniężnej, jeżeli się codziennie podraża niezbędne potrzeby włościaństwa? Czyż rząd nie wie, że nie mięso, lecz kawa jest powszechniejszym środkiem spożywczym ludności wiejskiej, że sól i nafta są niezbędnemi potrzebami chaty włościańskiej, które nabyć można tylko za pieniądz gotowy? Rząd mógłby tutaj powiedzieć, że jeżeli chłop nie posiada pieniędzy, to nie powinien tych wszystkich drogich rzeczy sobie kupować. Jest to wprawdzie słusznem. Pomódz sobie może w tym względzie chłop zupą z wody i drzazgami. Ale do takiej szczęśliwości dochodzą także i dzikie plemiona Afryki, i to nawet bez błogosławieństwa, jakie spada na człowieka z posiadania ministerstwa. Prezydent ministrów powołał się na kilka przedłożonych projektów ustawowych, które miały skutecznie podziałać na podniesienie gospodarczych stosunków rolnictwa. Powołał on się na ustawę komasacyjną, na zmianę podatku dochodowego i zarobkowego, na ustawę dotyczącą zarazy bydła, na ustawę przeciw nieprawemu postępowaniu przy interesach kredytowych.

Dziś po latach ośmiu środki te odniosły ten skutek, że ciężary się zwiększyły, podczas kiedy prawa włościaństwa zostały ograniczone. Po Berlinie kursował następujący dowcip: „więcej ziarn kawy a mniej oświaty“; rząd nasz postępuje sobie jeszcze rozumniej, przemawia on do włościan w ten sposób: „mniej ziarn kawy i mniej oświaty“.

W dalszym ciągu zwraca Krzepek uwagę

na to, że ludność Gór Kruszcowych od ćwierć wieku nadaremnie się stara o uzyskanie dobrodziejstw kolei żelaznej, budowa linji Karlsbad do Johann-Georgenstadt stanowi bardzo ważny, żywotny interes tamtejszej ludności. Rząd saski wybudował już przed laty kolej na przestrzeni Johann-Georgenstadt, dla austrjackiej zaś grupy interesantów nie uczyniono dotychczas nic. Prosi zatem rząd, ażeby nareszcie wypełnił swe przyrzeczenia i obowiązki względem tych gmin. Mówią nam zawsze, że uczynić należy co potrzeba, żądają od nas najcięższej ofiary, podatku krwi, wyciskają z nas ostatniego guldena, ażeby utrzymać siłę zbrojną na olbrzymiej wysokości, dla stanu, który wszystkich żywi, nic się atoli nie robi, a jednak podstawę skutecznej siły zbrojnej stanowi siła stanu żywiącego; to też tam, gdzie stan ten jest głupi, ubogi, nędzny, nie można mieć dobrej armji. Jeżeli się zapytamy, któż to są ci panowie, którzy i co do ludności włościańskiej prą wiecznie wstecz? To są nimi znowu dawni nasi znajomi, szlachta feudalna, a w ostatnim czasie mianowicie, panowie klerykały. Zrozumiałem jak najzupełniej jest staranie tych panów, ażeby potomkom swojego rodzaju zapewnić na całe wieki przywileje i korzyści swojego stanu. Prostemu człowiekowi zaś chcą odebrać możność pomyślenia nad tem, dlaczego rzeczy tak się mają i czy nie mogłoby być inaczej. Dlatego też koła te zwracają wszystkie starania swe do tego celu, ażeby o ile możności jaknajprędzej ograniczyć myslenie u ludu. Głównym czynnikiem wielkiej kwestji społecznej jest stan chłopski. Ztąd też starają się go już dzisiaj ograniczyć na wszelkich możliwych punktach, ograniczają jego spadkowość, jego prawo rozporządzania własnym kawałem ziemi, ograniczają jego szkołę. Rozległe pole rolnictwa byłoby wielkiem i wdzięcznem miejscem dla wspólnych interesów naszych i waszych. Atoli wskutek ciasnego pod względem moralnym stanowiska, które trzyma się wieków ubiegłych, uniemożliwiacie, panowie, to, co by można było zrobić. Prezydent ministrów oznaczył jako główną przyczynę lichego stanu rolnictwa przeciążenie długami na zbyt wysokie procenty, przyrzekając równocześnie ulżyć ciężarom i względem należytości poczynić pewne ułatwienia, atoli i tych przyrzeczeń nie dotrzymano dotychczas.

Janda mówiąc o smutnem położeniu rolnictwa i włościaństwa, rzekł: Włościan zna się i szuka tylko wtenczas, jeżeli idzie o powiększenie podatków. Pod każdym względem bywa wielki kapitał protegowany, jak to udowadnia sprawa kolei północnej. Zdolność wytwórcza ziemi mogłaby być znacznie spotęgowaną; atoli wymagać tego nie można od rządu, który poświęca miljony na wykłady nieproduktywne, podczas kiedy na wydatki pożyteczne skąpi centa. Mowca omawia w dalszym ciągu przyczyny upadku rolnictwa. Stare to doświadczenie, że dobry sąsiad więcej waży niż złoto i srebro. Właśnie od czasu, w którym obecny rząd stoi u steru, utrzymujemy nadzwyczaj serdeczne stosunki przyjazne z najbliższym naszym sąsiadem. Panowie z lewicy zapewniają przy każdej sposobności, że stosunki te prawdziwe stanowią szczęście dla spokoju europejskiego i Austrji. Otóż nie myślimy co do tego punktu natężać chłopski nasz rozsądek, atoli prostym naszym „rozumem poddanych“ pojąć tego nie jesteśmy zdolni, jak można nazywać dobrym przyjacielem kogoś, który jedną rękę wyciąga z gorącym uściskiem sąsiedzkiej przyjaźni, a drugą bije. Agrarna polityka Niemiec zaszkodziła Austrji więcej, aniżeli gdybyśmy przegrali jaką wielką wojnę. Gwoli tego naszego przyjaciela musieliśmy budżet nasz coraz to bardziej powiększać, na cośmy w ostatnich latach dziesięciu zmuszeni byli wydać okrągłą sumkę 800 miljonów złotych. Wskutek zaprowadzenia w Niemczech ochrony celnej, przez którą rocznie przechodzą 22 miljony centnarów metrycznych zboża i produktów mącznych, płacimy Niemcom rocznie 44 miljony, a więc w 10 latach zapłaciliśmy 440 miljonów. Czyż w taki sposób mamy być zmuszeni *do miłości* lub *do związku celnego?* Rolnictwo austrjackie zapłaciło za 10-letnią przyjaźń niemiecką już setki miljonów. Dlatego też nie potrzeba, abyśmy odnieśli wprzód klęskę sedańską w celu zapłacenia Niemcom olbrzymiej kontrybucji wojennej. Rolnictwo nad-

zwyczajne przygniatają troski. Potężna ta podpora państwa chwieje się i zdaje się być upadku bliską, groźne to świadectwo olbrzymiego przewrotu całego społeczeństwa. Warstwy niższe przeciskają się naprzód i pragną także wypowiedzieć swe słówko w sprawach publicznych; głosy te są uprawnione, a my, chłopi, słuchamy ich bez zawiści. Wszakże i my nie jesteśmy równouprawnionymi, a polityczne prawa nasze są ukrócone w stosunku do wielkich posiadaczy i miast przemysłowych.

Chłopu odmawia się bezpośredniego prawa wyborczego, jakkolwiek chłop nieraz więcej płaci podatków, aniżeli jego sąsiad, właściciel wielkich posiadłości. Chłop odczuwa tę zawstydzającą niesprawiedliwość, widzi on w niej obraźliwe lekceważenie swego stanu i ztąd też przyłącza się do tych, którzy żądają powszechnego prawa wyborczego.

Prędzej czy później przyjść do tego musi i dopiero wtenczas parlamentaryzm nabierze w Austryi krwi i kości — jego obecna forma jest tylko życiem pozornem, letargiem — dopiero wtenczas przestaniemy być organem egzekucyjnym rządu absolutnego. Ponieważ mam przekonanie, że dla włościaństwa można by i pod obecnym rządem daleko więcej uczynić, aniżeli to się dzieje obecnie i ponieważ w obecnym rządzie nie widzimy szczerej chęci, aby temu włościaństwu dopomódz, stąd też nie mogę głosować za budżetem ministerstwa rolnictwa.

Listy do „Przyjaciela Ludu".

W sprawie niepodzielności gruntów włościańskich otrzymaliśmy w dalszym ciągu listy, oświetlające rzecz z innej strony niż uprzednie i dopełniające uwagi, któreśmy od siebie dali. Drukujemy te listy również w całości i zarazem wyrażamy swą radość z powodu, że sprawa ta tak ożywioną, i śmiemy powiedzieć, tak gruntowną wywołała rozmowę. Upraszamy też naszych szanownych korespondentów i czytelników, by i dalej śledzili za tokiem tej rozmowy i zabierali głos, gdy im się coś wyda nie całkiem prawdziwem lub niesłusznem. Zwracamy też uwagę ogółu naszych czytelników na te zapytania, które podnosimy w numerze dzisiejszym, i z których jedno, co do tłok gminnych, stoi w związku z pytaniem o niepodzielności gruntów, drugie zaś, co do gminy zbiorowej, należy do najbardziej piekących i nagłych spraw w naszem życiu autonomicznem. Usłyszeć o tych sprawach głosy ludu jest rzeczą nadzwyczaj ważną.

A teraz dajemy głos sz. J. Biernatowi. Pisze on nam tak: »Ponieważ z różnych stron nadsyłają swoje zdania w sprawie podzielności zagród włościańskich, ośmielam się i ja napisać, co w tej sprawie myślą.

Będąc sam rolnikiem i widząc, co się u nas dzieje, uważam tak, ażeby zagród włościańskich nie dzielić na bardzo drobne kawałki. Jeżeli właściciel nie posiada przynajmniej tyle roli, aby mógł utrzymać swoją własną siłę pociągową, choćby się składała tylko ze samych krów, to się na roli nie utrzyma porządnie. Taki gospodarz nie może roli utrzymać w dobrym stanie; siły pociągowej nie zawsze dostanie wtenczas, kiedy potrzeba, i nieraz bardzo drogo musi za nią zapłacić. To też zazwyczaj u takiego chałupnika widzimy pole zabite chwastami, a to dlatego, że taki mały rolnik zwykle raz tylko orze swoje pole, a potem ze wszystkimi domownikami kopią motykami, aby wyczyścić je z chwastów. Nie jednemu się zdaje, że taka uprawa ziemi jest bardzą dobrą, a tymczasem to nieprawda, bo chwast posiekany z wierzchu, jest cały w korzeniu, lepiej rośnie, to też i plon coraz lichszy. Dopóki we wsi jest dopiero piąta część takich chałupników, to jeszcze pół biedy, ale jak z czasem cała wieś będzie rozdro-

bniona na 3, 2 i 1 morgowe zagrody, to przez takie rozdrobnienie stan rolniczy polski upadnie. Mówię »polski« ponieważ nasz włościanin jest niepochopny do nauki. Mając wolność dzielenia gruntów ani sam się niczego nie uczy, ani dzieci swych uczyć nie chce, spuszczając się jedynie na ten zagon, że kiedyś nim dzieci obdzieli, żyje w ciemności i nieporadności, bankrutuje i wpada jeden po drugim w ręce mądrych spekulantów — żydów i niemców.

To dopiero można nazwać łakomstwem, gdy widzimy, jak tę ziemię świętą rwą i szarpią na strzępy, kłócą się przytem i procesują i żyją w nędzy. Korespondent z Bierzanowa mówi, że gdy dzieci dostaną po morgu, to się potem dorobią kilku. A ja powiadam, że robią bardzo ciężko i dorabiają się tego chyba, że nie mają czasu dzieci swych dobrze wypielęgnować, a później, gdy te podrosną, nie mają ich o czem do szkoły posłać. Widzę po takich ludach, gdzie nadto jeszcze grunt lichy, same niedołęgi, głuchoniemi, karły, cherlaki; widzę nawet niektóre wsie, gdzie ludzie biedni, ciemni, na lichych gruntach jak oni wyglądają! Tak jakoś niekształtnie i nędznie, że do wojska nie mają kogo wziąć. Przeciwnie znowu, gdzie wieś dostatnia a przytem trochę oświeceni, tam mamy chłopów jak dęby rosłych i silnych.

Otóż przy coraz większem rozdrobnieniu gruntów a przytem przy zakradającej się biedzie na nic się nie zdadzą wszelkie wysilenia ludzi dobrej woli, którzy pracują dla dobra ludu, wydając pisma i gazety i książki ludowe, na nic Kółka rolnicze, na nic lustratorowie, na nic wędrowni nauczyciele rolnictwa, na nic szkoły rolnicze. Aby więc zapobiedz tej strasznej przyszłości, abyśmy się nie stali do reszty łupem i pośmiewiskiem innych narodów, powinniśmy się chwycić oburącz oświaty, abyśmy przez oświatę poznali, co zrobić z resztą dzieci, gdybyśmy po sobie chcieli na gruncie tylko jednego dziedzica zostawić. Mamy przecież tysiące różnych zajęć korzystnych przy handlu, przemyśle i t.d., gdzie żydzi teraz się panoszą, dlaczegożby kiedyś nasze dzieci nie miały znachodzić także z nich utrzymania?

Gdyby sejm uchwalił uchwałę o niepodzielności zagród włościańskich, to między innemi powinien być zamieszczony paragraf, aby nakład rodziców na naukę dzieci był liczony przy spłacie z gruntu; toby po trochę zmusiło rodziców dawać dzieciom lepsze wychowanie, by mogły i bez gruntu znaleść sobie wyżywienie.

Na gospodarstwo powinien następować starszy syn, im starszy tem będzie bogatszy w doświadczenie, tem lepiej będzie gospodarował. W ten sposób podniesie się rolnictwo, handel i przemysł, znajdą odpowiednie utzymanie tak ci, co na roli, jak i ci, co będą spłacani, słowem, odżyje naród polski.

Jan Biernat.

W 3. numerze *Przyjaciela ludu* sz. Tomasz Wilk obstaje za wolnością dzielenia gruntów. Z artykułu tego widzimy, że patrzy bezwzględnie na teraźniejszość, na czas obecny, a nie patrzy na czas późniejszy, słowem nie kładzie żadnych granic, które wszędzie i zawsze potrzebne są, mówię granic w podziale gruntów chłopskich.

Przypuśćmy, że gospodarz ma 10 morgów gruntu, a ma na to pięcioro dzieci i już teraz ten grunt pomiędzy nie rozdzieli. Otóż czy na dwóch morgach można utrzymać konia, krowę i jakie cielę porządnie? bardzo wątpię — a jedno

i drugie jest koniecznie potrzebne, bo i dwóch morgów sobą nie zorze ani nie zawlecze i bez kapki mleka także się trudno obyć. Powiecie, że można do roboty nająć, ba a jakże nająć, jeżeli jeden, drugi, trzeci i setny już takim samym bogaczem jest i konia nie ma.

Owóż to dopiero pierwsza generacja, a cóż za 25, a choćby za 30 lat będzie z drugą generacją? Każdy rozsądny i naprzód patrzący człowiek dojrzy łatwo, co niektórzy w przyszłości przewidują: nędzę najstraszniejszą swego pokolenia, którejby doprawdy za kilkadziesiąt lat nikt nie był w stanie zaradzić. Bo grunt to pokusa, kto go choćby morg dostanie, trza się choćby najmłodszym lub najmłodszą żenić, a gdy Bóg pobłogosławi kilkorgiem dzieci, czemże ich dzielić? jednak dzielić wypada, bo to dzieci. Wtedy wypadłoby chyba każdego postawić na swoim zagonie i kazać mu ziemię jeść, bo z tego zagona nawet ze słomą żywnościby nie wystarczyło.

Owóż podział gruntów naszych powinien być tak ograniczony, aby gospodarz był w stanie utrzymać jednego konia, choćby dwie krowy, jałówkę i cielę, a do utrzymania tego trzeba mieć 8 do 12 morgów gruntu, i przy tem trzeba gdzie się da coś zarobić, bo inaczej nędzniebyś wyglądał i na ośmiu morgach. A trza nam wiedzieć, że przy takiem rozdrobnieniu jak zarobek będzie pożądanym, tak z drugiej strony będzie bardzo szczupłym, gdyż choćby ci najmniej płacono, to ty przecież na zarobek pójdziesz, bo ci błogo będzie choć cokolwiek zarobić, aby z głodu nie umrzeć.

Wolność podzielności gruntów zrobiłaby otwarte pole żydom do zaludnienia Galicji wyznawcami mojżeszowymi, a z chłopów polskich armię dziadów uciekających z ojczyzny. *A. Chrzankowski.*

Szanowny korespondent ma na myśli średnie gospodarstwo, 8—12 morgowe i chciałby takowe za pomocą ustawy od dzielenia uratować. Nikt nie wątpi, że w naszych warunkach trudność wyżycia na paru morgach graniczy z nędzą, ale przecie zdrobniałym gospodarstwom ustawa o niepodzielności nie pomoże; potrzebaby innych reform. Główne pytanie, co do którego zdania są podzielone, sprowadza się do tego, czy nędza będzie większa przy ustawie, czy bez niej? Według naszego poglądu rozstrzyga tu okoliczność, na którą wskazuje artykuł sz. Tomasza Wilka: ograniczenie podzielności chłopskich gruntów dzisiaj w braku innego w kraju zatrudnienia przyprawiłoby oderwanych od roli o powolną śmierć głodową. Kraje, w których rozwinięte są rozmaite gałęzie wytwórczości, są w innych warunkach; ślepe naśladownictwo zawsze się zgubnem okaże.

Zabierzów w pow. Bocheńskim.

Przesyłam Szanownej Redakcji jeszcze kilka słów o całości gruntów włościańskich.

Przed 40 laty w sąsiedniej gminie było trzech gospodarzy, którzy mieli po 4 morgi gruntu. Ci bardzo zubożeli, a nędza doprowadziła ich do tego stopnia, że się chwycili dobrze kradzieży, aby wyżywić swoje familje. Poznani jako tacy, w gminie miejsca nie mieli, grunta ich ładne leżały ugorami, albo po zagonie kto chciał to ich używał za darmo. Chcieli oni te grunta sprzedać, chodzili, prosili i namawiali, aby je kto kupił, ale nikt nie chciał, bo jedni się bali, drudzy zaś nie mieli za co kupować.

Po upływie trzech lat, wójt tejże gminy J. B., kupił lubo nie naraz wszystkie te trzy grunta t. j. Kuchtówkę za 300 szajnych, potem Franoszówkę za 380, a na ostatku grunt Skorczeńskich za 350, więc dwanaście morgów gruntu kosztowało go razem 1030 szajnych reńskich.

W roku 1874 gdy wolność dzielenia gruntów w każdy kąt zajrzała, właściciel J. B. puścił żartem, że nabyte grunta rozmierzy na morgi i sprzeda. Nie wyszło tygodnia, a już zgłosiło się 20 kupców, a zapytani przez właściciela, coby chcieli dać za morg, oświadczyli wręczając pieniądze, iż po 300 złr. w. a. J. B. widząc, że jego grunt w r. 1848 za 1030 szajnych nabyty, wart w r. 1874 3600 złr. w, a., od sprzedaży odstąpił. Gdyby ten sam grunt chciano dziś rozparcelować i sprzedać, to za każdą morgę uzyskałoby się 340 złr., a za całe 12 morgów 4080 złr., zatem o 1200 złr. więcej niż w r. 1874, czego przy sprzedaniu gruntu w całości nigdyby wziąć się nie udało. Otóż widzicie, że podział gruntu jest bardzo rzeczą ważną, bo gospodarz, gdy wydzieli morg gruntu i takowy sprzeda, to nie wiele stracił, a dużo wziął i uratował siebie — a kupującemu dał możność do podniesienia własnego dobrobytu.

Dalej wyjaśniłem wam, że ustawa obecnie istniejąca ani do dzielenia nie zmusza, ani ustanowieniu dziedzica nie zaprzecza, zostawiona jest dowoli, jako dorywczy ratunek zubożałej ludności; i czyż można coś lepszego żądać? Jeżeli który gospodarz lub pan szlachcic jest za tem, aby zakaz dzielenia gruntu był wprowadzony, to tem samem dowodzi, że pomimo 40, 50 lat a nawet i więcej, jest jeszcze małoletnim i potrzebuje nad sobą opieki i szkoda, że go takową od kolebki aż do śmierci nie obdarzono, skoro sam nie umie swą ojcowizną rozporządzać.

Chcąc ująć wolność dzielenia gruntów w ramy, trzeba dobrze poznać każdy zakątek naszych gmin i powiatów całej biednej Galicji, a wtedy dojdziemy do przekonania, co gdzie i jak zrobić można. Wstąpmy np. w góry nasze i zobaczmy życie tysięcy biednego górskiego ludu, któremu jeszcze nigdy w pomoc przyjść nie myślano, i ustanówmy tam dziedzica na 50 morgach jakiej góry, zwykle skalistej. Tu podział gruntu jest aż zanadto szkodliwy, skoro bowiem posiadający go sam z niego wyżyć nie może, toż nie dźwignie go, rzecz naturalna i podzielenie go na kilka części. Dobrobyt górala jednak wcale na czem innem polega, co do rzeczy tu nie należy. Ale spojrzmy na grunta rozłożone na pięknych równinach gleby piaszczystej, gdzie zarówno kilka tysięcy ludzi żyć musi. Czy tu też zakaz dzielenia gruntu dobrobyt podniesie? Bynajmniej, gdyż żyjący tu ludzie są aż nadto biedni. Nie ulega za tem wątpliwości, że jak górale tak i ci, za mało mają do życia, a za dużo do śmierci głodowej. Z pewnością nikt też się nie znajdzie, ktoby chciał morg gruntu miernego w naszej np. okolicy, zamienić na 50 morgów skał lub piasków. Tak przynajmniej sądzę. Potrzeba nam i to wiedzieć, ile też w tej okolicy morg gruntu dobrego lub miernego na wsi kosztuje; tu morg gruntu jeszcze jest niezbyt drogi, można go dostać za 350 i 380 złr. w. a., około miasteczka zaś, np. Ujścia solnego, kosztuje on 500 złr. około Bochni tak samo; przeciwnie u górali dostaniemy go za 10 do 50 złr., toż duża różnica. Dla dokładniejszego zrozumienia rzeczy przedstawię wam tu gospodarzy, w gminie naszej przy miernej glebie gruntu. Pod Nr. 20

posiada pewien gospodarz 18 morgów gruntu i chowa sobie 1 konia, 2 krowy, świnię i nieco drobiu. W roku 1888 oddał synowi połowę tegoż, pod warunkiem, aby zapłacił dług bankowi 1900 złr. a drugą połowę długów sam ma do zapłaty. Proszę uważcie, czyż on chowa potrzebny inwentarz? Drugi przykład. Pod Nr. 55. posiada inny gospodarz taką samą ilość gruntu, chowa 1 konia, 1 krowę, 2 jałówki będące własnością innych gospodarzy, 1 świnię i trochę drobiu. Dług jego do 3000 złr. dochodzi. Trzeci pod Nr. 26 ma 9 morgów gruntu, chowa 2 krowy, 1 świnię, trochę drobiu, a dług jego wynosi 2500 złr. Czwarty pod Nr. 41. ma 10 morgów gruntu, chowa 2 krowy, trochę drobiu i dług jego 900 złr. wynosi. U tych wszystkich brak chleba i nie ma grosza nawet na sól. Bieda ogromna, ale z porządku rzeczy wracam do odpowiedzi na zapytanie Szanownej Redakcji, czy gospodarz na 1 lub 2 morgach gruntu jest gospodarzem, i czy może chować dostateczną ilość bydła itd. i czy taki nie jest niewolnikiem, który ma mało do życia a dużo do śmierci głodowej.

Na te pytania odpowiedzą nam same za siebie poniżej wskazane szczegóły.

W roku 1867 t. j. przed 22 laty, ożenił się pewien biedak. Pojął on dziewkę ze służby. On nie miał nic, ona tak samo, siedzieli oboje komornem. Po trzech latach jego poniewierki, t. j. w r. 1870 oddał mu ojciec jego morg gruntu. Biedak ten, chcąc uniknąć komornego w r. 1871 postawił dom, a w r. 1873 stodołę i stajnię, zaś w r. 1879 dokupił morg gruntu, a w r. 1882 kupił drugi morg, ma zatem w obecnym czasie 3 morgi gruntu, chowa parę dobrych koni, 3 krowy i znaczną ilość drobiu. Powoli znalazł się chleb i pieniądz i jaki taki dobrobyt. Czy to jeden ze sta? Nie. W ślad za tym idzie takich więcej. Drugi, pod Nr. 50. ożenił się w roku 1883. Cały życiorys jego jest taki sam, co i pierwszego, za tymi znajdzie się i trzeci nieco w innem świetle. Ożenił się w r. 1884. Nie miał nic, żona jego zaledwo 50 złr. części spadkowej ma do podniesienia. Siedzą oboje na komornem, chowają sobie 2 krowy, 1 świnię i trochę drobiu. W r. 1888 kupili sobie morg gruntu i powoli dźwigają się z biedy. Oprócz tych w r. 1881 dwaj bracia otrzymali z działu ojcowskiego po połowie domu pod Nr. 116 i po $^1/_4$ części morga gruntu. Za żonami pobrali po morgu ziemi, a w r. 1887 przykupili sobie ziemi nieco. Obaj chowają po 3 sztuki bydła, po 3 świnie i odpowiednią ilość drobiu, nie mają długów i chleba im nie brakuje.

Otóż, proszę was, kto wam się lepiej podoba, czy ci czterej gospodarze, którzy w stosunku do ilości gruntu mają mało bydła, a dużo długów, czy też ci biedacy, co mają mało gruntu, a większą ilość bydła i długów nie znają?

Przykłady, które przytoczyłem, zdają się najlepiej popierać twierdzenie, że wolność dzielenia gruntów powinna być pozostawioną i gospodarności i rozumowi praktycznemu włościan, powinno być zostawione im prawo, już to przysporzenia sobie większej ilości ziemi, już to pozbycia się jej i pracowania na polu innem, przemysłowem, handlowem lub rękodzielniczem.

Antoni D.

Z prawdziwem zadowoleniem znalazłem na czele nru 2. »Przyjaciela Ludu« artykuł »o dzieleniu gruntów chłopskich« i podziwiam zdrowe rozumowanie p. Antoniego D., który tak dobitnie i jasno cyframi udowodnił, że chęć posiadania »ca-

łych« gruntów (niepodzielnych wedle nowej ustawy) jest zgubnem łakomstwem, że dziedzic, przy obowiązku spłacenia młodszej braci, musi w końcu sam pójść z torbami.

Przeciw temu ani słowa powiedzieć nie można, bo się nic powiedzieć nie da. — Ale nie mniej słuszne jest przeciwstawienie drugiej strony rzeczy, na którą Redakcja zwraca uwagę, mianowicie: »czy rzeczywiście gospodarz, siedzący na jednym lub dwóch morgach gruntu jest gospodarzem? Czy może on trzymać tyle bydła, ile potrzeba dla obrobienia tego gruntu? Czy może on z tego gruntu wydobyć tyle, ile potrzebuje do życia, do zapłacenia podatku gruntowego, domowego i dodatków? Czy taki gospodarz nie jest żebrakiem, przywiązanym do tego kawałka gruntu, z którego ma za mało do życia, a za dużo do śmierci głodowej«? Święte są Twoje słowa Szanowny »Przyjacielu Ludu« — taki gospodarz to wieczny żebrak!

Przedewszystkiem, ponieważ obydwa t. j. p. Antoni D. i Ty, kochany »Przyjacielu ludu« macie zupełną rację w swoich wywodach, słusznem więc jest wywody te sprowadzić do jakiejś harmonji. Otóż jabym powiedział, że przy obecnym stanie rzeczy, kiedy to jak sam kochany »Przyjacielu« powiadasz, »ani w kąt ani w drzwi« więc tak podzielność jak i nie podzielność gruntów jest wynikiem łakomstwa, które jako grzech śmiertelny, karę odnieść musi, a w tym wypadku odnosi na poczekaniu karę doczesną. Bo, jak z jednej strony łapczywość na odziedziczenie całego po ojcach gruntu dowodzi łakomstwa, tak z drugiej strony młodsi, obstający za podziałem, także powodują się łakomstwem, może nawet z przymieszką zazdrości, aby starszy nie posiadał całości jeden.

Rachunek p. Antoniego D. i Twoje uwagi kochany »Przyjacielu ludu« dowodzą, że obie strony w obu wypadkach skazują siebie na torby — a ja dodam na torby zasłużone!

Bo dla czego koniecznie starszy ma dziedziczyć wszystko? i dlaczego młodsi koniecznie mają żądać wydzielenia z całości tego, co na ich rzecz podług prawa spadkowego wypada?

Ani jedno, ani drugie miejsca mieć nie powinno! i wtedy dopiero będzie dobrze, wtedy łatwo wybrniemy z błędnego koła, tylko posłuchajcie:

Rodzina, posiadająca pewną realność gruntową, nie powinna przedewszystkiem rozdzielać się duchowo, nie powinna tracić dla siebie serca rodzinnego, a wtedy i podział materjalny okaże się zbytecznym. Odziedziczony majątek powinien być wspólną własnością niepodzielną; wszyscy powinni pracować na rzecz całej rodziny, a cała rodzina powinna zaopatrywać potrzeby każdego pojedynczego członka tejże.

Nie tak to trudno da się przeprowadzić jakby się na pozór zdawało: Niech tylko w rodzinie panuje wzajemna miłość i zgoda, niech żaden z członków rodziny nie czyha na samolubne wzbogacenie samego siebie, niech wszyscy jednostajnie umieją szanować prawa drugiego — a już cała rzecz sama się ułoży jak najlepiej. Najstarszy w rodzinie będzie głową tejże, najstarsza kobieta będzie gospodynią i skarbniczką ogólną — a wszyscy młodsi będą współwłaścicielami majątku ogólnego.

Przy takim ustroju bogactwo wzrastać musi, a bieda nigdy zajrzeć do chaty nie potrafi.

Bo o co nam głównie w życiu chodzić powinno? Zdaje mi się o to tylko, abyśmy żyli poczciwie i abyśmy potrzeby

nasze mieli zaopatrzone, a do tych rezultatów najłatwiej dochodzi się wyżej podanym sposobem, przy wspólnej pracy, opartej na wzajemnej miłości i zgodzie.

Dwóch, trzech braci, dwie, trzy albo i więcej sióstr, nie jest to przecież drużyna z obcych złożona elementów, którąby się zgodzić w żaden sposób nie mogła. Dzieci jednych rodziców, jedną wypiastowane ręką, krew ze krwi, kość z kości jednej, dzieci jednej natury i jednej matki ziemi, która ich wykarmiła, dlaczegoż nie mają mieć serca dla siebie? Dlaczego mają się rozłączać, a tę ziemię rozrywać na kawałki aby z karmicielki matki zrobić koniecznie macochę, która ani wyżywić ani przywiązać do siebie nie potrafi? Złe jest w założeniu takiego postępowania, złe musi być i w skutkach! Ziemia chwastami zarasta, albo wykarmia żydów, a ludzie z torbami idą!

Możeby mię kto zapytał, a co będzie wtedy, gdy się rodzina rozmnoży i dawniej odziedziczona posiadłość już jej wyżywić nie będzie wstanie? Na to odpowiem, że niema obawy! Z biegiem czasu zawsze muszą zajść takie wypadki, które regulować będą ilość członków rodziny do ilości posiadanego gruntu. Ktoś z rodziny poczuje w sobie jakieś szczególniejsze powołanie do szerszego świata, jeżeli to dziecko, rodzina obowiązana w miarę środków wykształcić go odpowiednio do zdolności okazywanych i ułatwić mu drogę do tego świata; jeżeli starszy, dać mu odpowiedne odprawne z uwzględnieniem jednak tej okoliczności, że ojcowizna zostaje i nadal jego własnością, że może kiedyś, gdy mu się albo świat sprzykrzy, albo noga się powinie, albo starość nadejdzie, zawsze może i powinien wrócić do rodzinnej chaty, gdzie znajdzie przytułek lub możność dalszej pracy. Któryś z braci ożeni się i żona jego przyniesie albo kawałek gruntu, albo jakąś kwotę pieniędzy na zakupienie gruntu, albo ostatecznie przyniesie tylko zdrowe ręce do pracy i tem się trzeba zadowolnić, bo się staje członkiem rodziny, podstawą bytu której ma być jedność, miłość i zgoda. Za to drugi z braci może się gdzieś »przyżeni do gruntu» taki, niema nic brać z ojcowizny, oprócz odprawnego w miarę środków, bo i taki może owdowieć bezdzietnie lub z innych jakich powodów stać się potrzebującym przytułku, a ojcowizna zawszą mu takowy dać winna. Siostra jedna wyjdzie za mąż i dostanie wyprawę, druga przybierze męża do siebie, powiększy tem siłę roboczą a może i przysporzy środków odrazu na powiększenie gospodarstwa. Ktoś wreszcie umrzeć musi, zostawiając swoją część własności dla pozostałych, jednem słowem, zmiana stosunku liczbowego rodziny do ilości posiadanych morgów, jeżeli tych ostatnich dzielić nie będziemy, nigdy nie doprowadzi rodziny do nędzy materjalnej, lecz raczej przeciwnie, o ile zwiększać się będzie rodzina, o tyle przy wspólnej pracy, dla korzyści wspólnej, bogactwo jej zwiększać się musi — a w dodatku dla każdego członka rodziny jest pewność, że z torbami chodzić nie będzie.

Racz kochany »Przyjacielu« w tym duchu przemawiać do ludu — a ręczę za to, że kiedyś błogosławić cię będą.

Jerzy z Radłowa.

Niewątpliwie uwagi, szan. Jerzego z Radłowa trafiają w samo sedno rzeczy. Ani nieograniczony podział gruntów, ani niepodzielność przy spłacaniu reszty rodzeństwa do dobra nie doprowadzi. Mimo to jednak wywody p. Jerzego z Radłowa nastręczają pewne wątpliwości. Proponuje

on bowiem wspólność rodzinną jako najbliższy i najpewniejszy środek do uniknienia zła, wypływającego z podziału. Niestety, porządek to nie nowy, ale stary i dawno u nas przeżyty. Jest to tak zwany porządek patrjarchalny. Zachował on się gdzieniegdzie w górach między bojkami, ale wciąż upada. Rzecz pewna, że ma on swoje dobre strony, że zapewnia całej rodzinie jakie takie życie, lepiej zabezpiecza moralność itp. Ale nie można też zamykać oczu na jego braki. Głównym brakiem jest to, że ścieśnia on samodzielność młodszych członków rodziny, czyni zależnymi, niejako sługami ojca lub starszego. Szczególnie ciężkim jest i nieznośnym jest ten porządek dla kobiet, i dlatego np. u Bojków zwykle takie duże rodziny rozpadają się i przystępują do podziału głównie »przez baby» jak mówią tamtejsi gospodarze.

Ale zachodzi tu jeszcze jedna i to największa trudność. W kraju naszym mamy około półtora miliona drobnych gospodarstw chłopskich, z których może jakich 200—300 tysięcy wynosi po 10—20 morgów, a reszta obejmuje zaledwie po 6—1 i mniej morgów. Rzecz oczywista, że takim drobnym gospodarstwom żadna niepodzielność nic nie pomoże; duża niepodzielona rodzina na takim kawałku gruntu, albo wcale nie wyżyje, albo żyć będzie nędznie, nie mając sposobu skuteeznie się poratować. Będzie to rodzina zarobników; o odpowiedniem wychowywaniu i kształceniu dzieci, o poprawie ziemi i polepszeniu gospodarswa tak jak potrzeba, trudno jej będzie i myśleć. Każdy nowy przyrost rodziny powiększać będzie tę trudność. A takich drobnych bankrutujących gospodarstw jest w naszym kraju co najmniej dwie trzecie części ze wszystkich.

Tymczasem obecny rozwój gospodarstwa rolnego całkiem czego innego się domaga. Dotkniemy tym razem jednej tylko przyczyny upadku małych gospodarstw, którą poruszył w przytoczonej przez nas mowie, poseł Krzepek, mianowicie tak zwanej gospodarki pieniężnej. Państwo wymaga od chłopa coraz to większych podatków na wojsko urzędników, szkoły i t. p., samo gospodarstwo, wymaga pieniędzy na poprawę gruntu, regulację rzek, asekuracje i t. d., gmina wymaga pieniędzy, powiat pieniędzy, a skądże tych pieniędzy wziąć? Jeżeli chłop nie sprzeda zboża, bydła, mleka, jaj, drobiu, przędziwa, nigdzie pieniędzy nie dostanie, musi więc mieć pokup na swoje wyroby, musi mieć i módz je dobrze sprzedać, trzeba, by ceny były takie, iżby mu się te wyroby opłacały, t. j. żeby mu się z pewnym zyskiem wracały koszta wyłożone na tę rzecz, inaczej bowiem straci i zbankrutuje. Dobre ceny targowe na wyroby rolnicze są więc jednym z najważniejszych warunków dobrobytu chłopskiego. Dawniej, kiedy mniej było potrzeba pieniędzy, chłop mógł nie dbać o targi, mógł się sam w domu obchodzić bez kupnych rzeczy, daniny składać w naturze, a niewielkie czynsze opłacać z tego, co zarobił. Teraz inaczej: rodzina chłopska, która ma dość roli dla swego wyżywienia, ale nie może z niej na tyle sprzedać lub z boku tyle zarobić, ile potrzeba na uzyskanie pieniędzy niezbędnych na podatki, asekuracje, zakupno potrzebnych towarów itp., taka rodzina prędzej czy później musi zejść na nic i wszystko stracić.

A od czegoż zależą dobre ceny? Od tego, czy na targu będzie więcej lub mniej tych wyrobów. Im więcej ich do-

wiozą, tem cena mniejsza. Kto może wywieść na targ dużo, dobrego wyrobu i sprzedać go najtaniej bez straty ten zawsze może być pewnym, że nie tylko sam kupca znajdzie, ale i innym sprzedającym cały interes popsuje.

A teraz zastanówmy się dobrze: kto komu prędzej popsuć może interes na targu, czy drobny właściciel, chłop — wielkiemu właścicielowi lub wielkiemu handlarzowi, czy ten chłopu? Rzecz oczywista, że wielki właściciel, który ma gorzelnię, wypasa woły i ma przedewszystkiem nawozu, pracuje zapomocą maszyn, taniej, spieszniej i lepiej — może dostarczyć więcej, lepszego i tańszego wyrobu na targ, niż chłop, i że , jak to mówią kupcy, konkurencji z nim chłop żadną miarą nie wytrzyma. Wprawdzie wielki właściciel, wolałby ceny jak najwyższe, ale cóż kiedy z zagranicy cisną go właściciele i handlarze rossyjscy, niemieccy i nawet amerykańscy, australijscy i indyjscy. Niech tylko on spróbuje żądać drożej, to oni sprowadzą zboże skąd inąd i on zostanie z niczem. Telegraf i kolej żelazna regulują dziś na całym świecie ceny pod jeden strychulec, a komu te ceny są za niskie, ten musi albo przepaść albo porzucić wyrabianie tych artykułów, albo pomyśleć o tem, by wyrabiać je taniej, lepiej i w większej ilości, by nie tylko sam mógł ostać się na targu, ale i drugich, a szczególnie obcych przybyszów z niego wyrugować.

W »Przyjaciela Ludu» często będziemy wracać do tej i do innych przyczyn upadku małych gospodarstw i rozmaitych planów podniesienia dobrobytu rolnika.

Tu polecamy rozwadze miłych czytelników projekt p. Jerzego z Radłowa. Wszelkie uwagi nad tym projektem z największą chęcią wydrukujemy.

MŁODSZY BRAT.

OBRAZEK

skreślił

HENRYK JOSSE.

W szynku z początku siedział żyd, ale ponieważ komisja sanitarna przedsiębiorstwa kolejowego skonstatowała, że trunki są sfałszowane, a wiktuały zepsute, więc w interesie robotników żyda wypędzono, szynk zaś oddano Niemcowi. Wprawdzie robotnicy twierdzili, że teraz wódka jeszcze gorsza, a w chlebie pełno otrębów, było to jednakże skutkiem intryg żydowskich.

Kiedy weszli do szynku, muzyka, złożona z wędrownych Czechów, zaczęła wygrywać krakowiaki. Chłopom zaraz poprawił się humor. Obsiedli do koła wąski, a długi stół, na którym zjawiła się wkrótce kwartowa graniatka wódki. Przypijali do siebie i rozmawiali o niemieckich praktykach.

Zwabione muzyką dziewczęta spoglądały przez okno, nie śmiejąc wejść do środka. Czekały długo na zaproszenie, ale że parobcy zajęci rozmową i piciem wódki, wcale się nie ruszali, więc dowcipna Jaga zaśpiewała głośno:

„Matuś moja, matuś,
Czyz ja ladajaka,
Ze mi nie dajecie
Tańcyć krakowiaka?...
Oj dana!“

Podskoczyli parobcy i wrócili z dziewczętami. Teraz dopiero zabawa rozpoczęła się na dobre. Czesi grali tak zajadle, że klarneciście ledwie oczy z głowy nie wylazły, parobcy hulali z dziewczętami aż do zawrotu głowy, starsi pili i rozmawiali. Od czasu do czasu parobek podchodził do stołu i wypijał kieliszek wódki, nalewał go powtórnie i podawał dziewczynie, która piła powoli, odwracając się na bok.

Nareszcie około północy Niemiec dał znak muzykantom, ażeby grać przestali.

— *Feierabend, Feierabend!* — wołał tubalnym głosem — proszę płacić, kto ma płacić.

Podochoceni parobcy kazali sobie zagrać jeszcze „ostatniego", poczem zbliżyli się do szynkfasu aby zapłacić. Wojtek Niedbała położył dwie kartki, przedstawiające wartość dwóch guldenów, i otrzymał po obliczeniu resztę także jakiemiś kartkami, tylko mniejszemi.

— Co to jest? — zapytał Wojtek.

— A to co? zapytał nawzajem Niemiec, wskazując na otrzymane od Niedbały kartki.

— Dobrze — odpowiedział Wojtek. — Ale jeśli wydajecie resztę kartkami, nie gotówką, to dlaczego liczycie wszystko drożej?

Zapytanie to poparli chłopi jednogłośnie.

— Zapłać gotówką, będę liczyć jak zwykle — odrzekł Niemiec, uśmiechając się złośliwie.

Chłopi nie rozumieli tego wybiegu, nie wiedzieli także nic o tem, że przedsiębiorca, chcąc gdzieindziej użyć kapitału, zobowiązał właściciela kantyny do przyjmowania owych kartek na równi z pieniędzmi, na czem obaj zyskiwali, gdyż przedsiębiorca miał przez dłuższy czas wolny kapitał, właściciel zaś kantyny posiadał rodzaj monopolu wobec robotników. Ale Niemiec dla osiągnięcia podwójnych zysków, podwyższył równocześnie cenę wszystkich artykułów, pewnym będąc, że mu to ujdzie bezkarnie.

— To ci Niemce mądre!—zawołał Wojtek.

— *Dummes Vieh* — odpowiedział z pogardą właściciel szynku.

Niedbała we wojsku często słyszał te wyrazy i rozumiał ich znaczenie. Więc do krzywdy dwukrotnej dodano jeszcze obelgę... Ogromna dłoń jego z błyskawiczną szybkością padła na twarz Niemca, który w tej chwili runął na ziemię.

— O r e t y! Wojtek zwalił w pysk Niemca! — zawołała Jaga.

Niemcy rzucili się na Wojtka, chłopi na Niemców. Dziewczęta wołały o pomoc, chociaż im nic nie groziło. Czesi umykali z basami na plecach, starsi gospodarze próbowali rozerwać walczących. Dokoła szynkfasu kłębiły się ciała ludzkie — aż nagle z pośrodka tych splotów powstał olbrzymi Niedbała, wyciągnął jakiegoś Niemca za kark, potrząsł nim w powietrzu i wyrzucił za drzwi. Teraz walka wnet się skończyła: Niemców, poturbowanych srodze, wyrzucono za drzwi.

— Ano, pohulajmy bracia na niemieckiej wódce! — zawołał Niedbała, ocierając krew z twarzy.

— Wojtku, bój się Pana Boga, daj pokój — radził stary ojciec Jagi. — To i tak pachnie kryminałem.

— Co mi ta! żołnierz jestem! — krzyknął Wojtek.

Przypadła i Jaga do Wojtka i zaczęła go błagać, ażeby szedł do domu. Wojtek, że się miał do Jagi, wpół dziewuchę objął i tak na czele parobków powrócił do wsi.

Na drugi dzień, chociaż to była niedziela. żandarmi zaaresztowali Niedbałę i poprowadzili do miasteczka. Potem zaczęły zjeżdżać rozmaite komisje: przyjeżdżał sąd, przyjeżdżało starostwo, a skutek był ten, że dodatkowo przyaresztowano jeszcze kilkunastu robotników.

W poniedziałek ten sam Niemiec stał znowu za szynkwasem, a w sobotę ten sam przedsiębiorca płacił znowu temi samemi kartkami, obiecawszy tylko, że je w przeciągu miesiąca napowrót wykupi.

— Niemce mocny naród — powtarzał teraz przygnębiony Stokłosa.

Tak jest, Stokłosa miał rację: mocny i chytry naród. Zwyciężyli i korzystali ze zwycięstwa. Zaraz w poniedziałek dozorcy nie chcieli przyjąć do roboty chłopów podejrzanych o udział w pobiciu Niemców, a podejrzywali prawie każdego. Dowody, skargi, prośby nic nie skutkowały. Dopiero po kilku dniach nastąpiła cicha ugoda, mocą której chłopi z dziennego zarobku opłacali się dozorcom.

Płacili dozorcom, płacili jeszcze komuś innemu. Ludzie potrzebowali koniecznie gotówki, jeden bowiem chciał kupić wspólne buty dla całej rodziny, drugi marzył o kożuchu, trzeci o jałówce, z której będzie krowa. Ale szewc, kuśnierz i właściciel jałówki nie wierzyli w owe kartki i żądali pieniędzy. Chłopi nie wiedzieli co począć, kiedy na szczęście zjawił się piegowaty Icek, N o s a c z e m zwany. Otóż Icek Nosacz kupował kartki, potrącając sobie dwadzieścia od sta...

I znowu był spokój — tylko w jedną noc burzliwą spłonęły niemieckie baraki...

III.

Pan hrabia Szaławiła spożył właśnie sporządzone po angielsku śniadanie i zaczął czytać dziennik »swojego« stronnictwa. Do wszelkiej bibuły czuł wrodzoną odrazę, obecnie jednak obowiązki męża stanu przymuszały go do częstego obcowania z nudną prasą krajową. Opuścił artykuł wstępny i przegląd polityczny, przeczytał pobieżnie rubrykę spraw krajowych i już miał na bok odłożyć gazetę, gdy pomiędzy *wiadomościami osobistemi* ujrzał następujące doniesienie: hr. Szaławiła, szambelan i poseł do Rady państwa, przybył do Pustych Worów, gdzie przepędzi ferje parlamentarne.

Uśmiechnął się ironicznie. Dlaczegoż dawniej nie pisano o nim? — dawniej, kiedy tak często jeździł do Wiednia, ażeby wyżebrać w jakim banku pożyczkę. Wówczas pojawiały się tylko w urzędowym dzienniku od czasu do czasu ogłoszenia, że Puste Wory sprzedane zostaną na publicznej licytacji. A dziś ci sami wierzyciele, którzy mu niedawno jeszcze we własnym domu mówili grubiaństwa, dziś ci sami wierzycieli ofiarują mu nowe pożyczki. Ale on już nie potrzebuje kredytu: oto wysłał żonę do Karlsbadu i samby wyjechał do kąpiel, gdyby ważne sprawy finansowe nie więziły go w domu. Zresztą teraz może czekać — z:i rok, za dwa pojedzie do kąpiel, jako członek izby panów i tajny radca z tytułem ekscelencji.

(Dok. nast.).

KRONIKA.

Odezwę włościan z Jasielskiego, którą podaliśmy w 3. nrze *Przyjaciela ludu* wydrukowały dosłownie *Nowa Reforma* w Krakowie, *Kurjer Lwowski* i *Dziennik Polski*. Pisma przeciwne samodzielności ludowej albo całkiem o niej zamilczały, albo też wyrzekają na nią jak na oznakę jakiegoś buntu chłopów przeciw urodzonym ich zastępcom — szlachcicom.

Bardzo szczerze powitały tę odezwę dzienniki ruskie. Zarówno *Diło* jak i *Czerwonaja Ruś* podały tę odezwę w tłumaczeniu, dodając ze swojej strony bardzo przychylne uwagi. Oto co napisała o niej *Czerwonaja Ruś* w numerze 84. „Umieszczając odezwę powyższą, możemy tylko cieszyć się takiem wystąpieniem ludności mazurskiej w Galicji zachodniej i życzyć jej jak najlepszego powodzenia w jej usiłowaniach, w tem przekonaniu, że przyszli posłowie ruscy, którzy z natury swoich mandatów obowiązani są zastępywać interesy włościańskie, nie zaniedbają stać się w sejmie wiernymi sprzymierzeńcami posłów mazurskich, o ile ci ostatni w obec narodowości ruskiej kierować się będą sprawiedliwością, zaś wobec interesów stanu włościańskiego jego moralnem i materjalnem dobrem. Czy jednak wszechmocna dziś partja dopuści tak polskiego jak i ruskiego chłopa do głosu, który mu się należy według praw boskich i ludzkich? Przyznajemy się, że bardzo o tem wątpimy. Na wszelki wypadek jednak witamy usiłowania włościaństwa mazurskiego do uwolnienia się z pod samozwańczej opieki szczeroruskiem „Szczęść Boże“!

Diło zaś, które jest organem stronnictwa „narodowców“ ruskich (tego samego stronnictwa, które głównie urządzało ruskie wiece chłopskie), do tłumaczenia ruskiego odezwy jasielskiej dodało od siebie następujące uwagi: „A więc ruszyli się i włościanie galicyjscy! Objaw te bardzo pocieszający. Lud, naprzykrzywszy sobie nieproszonych opiekunów, chce brać rzeczywisty udział w akcji wyborczej, chce mieć s w o i c h posłów, swoich mężów zaufania, i tym sposobem zabezpieczyć odrębne interesy włościańskie i małomiejskie. Ruchu tego nikt nie poważy się wstrzymać, jest on bowiem poręczony patentem lutowym z r. 1861 (t. j. całkiem legalny i ustawą dozwolony — Red.) Ruch ten trzeba tylko poprzeć i uregulować, a to jest zadaniem inteligencji. Co do włościan ruskich, to oni od początku ery kostytucyjnej dążyli do tego, by do krajowego ciała prawodawczego wysyłać swoich mężów zaufania. Przy pierwszych wyborach do sejmu w r. 1861 wysłali włościanie ruscy do sejmu 14 chłopów. Liczba ta zmniejszała się z latami z przyczyn, o których wszyscy wiemy, dopóki nie doprowadzono do tego, że w sejmie nie widać chłopskiej siermięgi. Ludowi narzuciła się szlachta nibyto na naturalnych zastępców. Zastępstwa tego nadużyła i dziś pokazuje się całkiem słuszne przeciw niemu sprzeciwienie, które krajowi przynieść może tylko korzyść, a innym stanom nie zaszkodzi. Włościanie mazurscy radzą zakładać osobny przedwyborczy centralny komitet włościański, który następnie działałby w porozumieniu z miejskim komitetem centralnym“.

Ruch przedwyborczy. W Kołomyi, odbyło się 26. kwietnia publiczne zgromadzenie przed-

wyborcze celem narady nad wyborem posła do sejmu w kurji gmin wiejskich okręgu kołomyjskiego. Na zaproszenie komitetu tymczasowego zebrało się kilkunastu księży i ludzi z inteligencji świeckiej, jakoteż wielka liczba włościan prawie ze wszystkich wsi powiatu, a z niektórych wsi przybyło i to po kilku.

Na zgromadzeniu radzono przedewszystkiem nadtem, jakim ma być poseł z kurji wiejskiej pow. Kołomyjskiego i jak ma zastępować naród ruski. Nad tym przedmiotem zabierało głos dużo mowców z inteligencji i z ludu. Dalej radzono nad tem, jak się trzeba zorganizować, by wybrać takiego posła, któryby był prawdziwym reprezentantem narodu, i omawiano kwestję kandydatur.

Po dłuższej naradzie uchwalono przedewszystkiem zawiązać komitet wyborczy, złożony w dwóch trzecich częściach z włościan, a w jednej trzeciej z inteligencji. Członkom tego komitetu polecono zastanowić się nad tem, którego z pomiędzy kilku zgłoszonych kandydatów postawić jako kandydata narodowego i polecić przyszłemu zgromadzeniu wyborców. Komitetowi polecono także nadzór nad prawyborami i wyborem posła, by z jednej strony uświadomić lud o znaczeniu i przepisanem postępowaniu przy prawyborach i wyborach, a z drugiej strony by zapobiedz nadużyciom. Do tego komitetu wybrano 18 włościan zaś 9 z inteligencji; księży i świeckich i pozostawiono mu do woli uzupełnić się do liczby 28 włościan i 14 osób z inteligencji. Na członków komitetu wybrano ludzi ze wszystkich stron powiatu, tak by każdy z nich mógł mieć wpływ na 2—3 pobliskie wsi. Prezesem komitetu wybranym został p. Piotr Korczyski z Kołomyi, a sekretarzem dr. Seweryn Daniłowicz tamże.

Likwidacja banku włościańskiego. Z przyjemnością zanotować wypada, że 9. bm. ks. Kornel Mandyczewski, marszałek pow. nadwórniańskiego imieniem tegoż powiatu podpisał kontrakt, którym nadwórniańska Rada powiatowa nabyła wszystkie pożyczki poszczególnych dłużników tego banku w nadwórniańskim powiecie zamieszkałych. Gdy odpowiedni zadatek złożono, komitet likwidacyjny banku zatwierdził kontrakt, którym ci dłużnicy około 50% zyskują.

Kółka rolnicze. W miesiącu kwietniu następujące Kółka rolnicze zawiadomiły zarząd główny Towarzystwa o swojem zawiązaniu się: 424. Bronica, powiat Drohobycz, założył p. Bronisław Ciechulski, emerytow. c. k. porucznik i dzierżawca dóbr; 425. Świna, powiat Żywiec, założył wydział rady powiatowej i zwierzchność gminna; 426. Żarnówka, powiat Myślenice, założył p. Ludwik Kocyan, delegat Towarzystwa; 427. Czermna, powiat Jasło, założył delegat p. Aleksander Semeniuk i Jan Orłowski, nauczyciel; 428. Sułkowice, powiat Wadowice, założył p. Szymon Gonet, nauczyciel; 429. Twerkowa, powiat Brzesko, założył hr. Adam Marassé i p. Stanisław Midowicz; 430. Łysa góra, powiat Brzesko, założył p. Wawrzyniec Butko, naczelnik gminy.

Zarząd główny tak jak w latach poprzednich, tak i w tym roku z wiosną zarządził przeprowadzenie lustracyj gospodarstw członków Kółek rolniczych z pouczeniami o rolnictwie, gospodarstwie wiejskiem i przemyśle domowym i w tym celu wysłał: p. Zygmunta Gawareckiego w powiat kolbuszowski i nowotarski, p. Bolesława Kwiatkowskiego w powiat brzeski i dąbrowski, p. Seweryna Wiśniewskiego w powiat wadowicki, żywiecki, staromiejski, samborski i drohobycki. Panowie lustratorowie dostali polecenie, aby przeprowadzili takie lustracje i pouczenia nietylko w Kółkach rolniczych, ale i w tych gminach, gdzie im wskażą wydziały rad powiatowych, delegaci Towarzystwa, lub gdzie pojedyncze gminy o takie lustracje upraszać będą. Oprócz tego Wydział krajowy w porozumieniu z zarządem głównym wysłał swego lustratora czyli nauczyciela wędrownego, p. Edmunda Bielskiego, do Kółek rolniczych Szynwald i Poremba radlna, powiatu tarnowskiego, Zakliczyn, powiatu brzeskiego, Kłaj i Kolanów, powiatu bocheńskiego i do wszystkich Kółek rolniczych powiatu krakowskiego i chrzanowskiego.

Książek w ogólnej ilości sztuk 228 rozesłano w kwietniu do Kółek rolniczych: Ossowce, Bronica, Świnna, Czermna i Czaniec, wysłano zatem w tym roku książek 849. Za pośrednictwem zarządu głównego sprowadziły Kółka rolnicze z wiosną t. r. nasion pastewnych, ogrodowych i lnu inflantskiego za ogólną sumę gld. 9568 i 90 cnt.

Pożary. Z Oświęcima donoszą, że 8. bm. spaliły się w Monowicach 3 domy i 1 stodoła. Na ratunek pospieszyła oświęcimska ochotnicza straż ogniowa z naczelnikiem, 1 sikawką, 1 beczkowozem i 19 ochotnikami. Ogień podłożyły dzieci, bawiące się zapałkami. Bogatej gminy

Monowice nikt dotąd nie namówił do nabycia sikawki. Miejscowa ludność, zachęcana przez 5 obecnych przy pożarze żandarmów i wójta, wytrwale aż do zupełnego ugaszenia pożaru pracowała nad dostarczaniem wody do sikawki. Na miejscu pożaru była również sikawka kolejowa i 2 ręczne sikawki gminne ze sąsiedniej wsi Dwory.

Od Wydawnictwa.

Wszystkich prenumeratorów, którzy numeru „Przyjaciela Ludu“ we właściwym czasie nie otrzymają, prosimy o niezwłoczne zawiadomienie. Zawiadomienie takie pisze się na kartce zwykłego papieru. Marki pocztowej nie potrzeba, tylko listu nie należy zaklejać w kopertę, a koło adresu potrzeba napisać: **Reklamacja.**

Zapytania do naszych czytelników.

I.

W przedostatnim numerze w sprawozdaniu lustracji Kółek rolniczych była mowa o tłokach gminnych. Pan lustrator niekorzystnie wyraził się o tych tłokach, które są w niepodzielnem posiadaniu całej gminy, a natomiast chwalił te gminy, gdzie tłoki rozdzielono i rozparcelowano. Nie myślimy przeczyć temu, że w wielu miejscach tłoki gminne są źle zagospodarowane i dają mniej dochodu, niżby dawać powinny i mogły. Lecz z drugiej strony zdaje nam się, że jest rzeczą możliwą gospodarować na tłokach gminnych dobrze, nie dzieląc ich na parcele. Prosimy więc naszych czytelników i korespondentów, by raczyli napisać nam swe zdanie o tem,

1) kto jest temu winien i jaka temu przyczyna, że tłoki gminne są obecnie źle zagospodarowane i od kogo to zależy, by tę gospodarkę zmienić?

2) czy i gdzie znajdują się tłoki lub grunta gminne niepodzielne a dobrze zagospodarowane i jak na nich się gospodaruje? Czy gospodarze uprawiają je razem i dzielą się zyskiem, czy wypuszczają komu w arendę, czy może mają jeszcze jakie inne sposoby?

3) co przemawiałoby za podziałem tłok, a co za zatrzymaniem własności gminnej w niepodzielnym stanie?

II.

W programie ustanowionym dla przyszłych posłów sejmowych przez zjazd delegatów miast, a podanym przez nas w poprzednim numerze „Przyjaciela Ludu“ znajdziecie punkt taki, że posłowie w Sejmie powinni dążyć do wzmocnienia życia autonomicznego przez ustanowienie gmin zbiorowych. Gmina zbiorowa składałaby się z kilku obecnych drobniejszych gmin sąsiadujących ze sobą, z dołączeniem obszarów dworskich, miałaby swą kancelarję i swój urząd, który miałby w ręku większą władzę, niż dzisiejszy urząd gminny, a mniejszą, niż urząd powiatowy. Ponieważ zaprowadzenie gminy zbiorowej znaczne poczyniłoby zmiany w całem naszem życiu autonomicznem, dla tego prosimy naszych czytelników, by się dobrze zastanowili nad tą sprawą i wypowiedzieli o niej swe zdania. Być może, że w nowym Sejmie sprawa ta będzie podniesioną, należy się więc nad nią zawczasu zastanowić, a w takim razie głosy włościan, ogłoszone w pismach, będą musiały być uwzględniane przy rozprawach sejmowych.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.** Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 5. We Lwowie, dnia 1. Czerwca 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

W sprawie wyborów.

Kochani bracia! szukajcie i stawcie na kandydatów do Sejmu mężów, dbałych o dobro ludu, aby — gdy powierzycie im godność poselską — sprawy włościańskie i krajowe poszły nowemi drogami.

Aczkolwiek rząd obecny nie wiele jeszcze uczynił w narodowej sprawie dla ludu polskiego, to jednak uwzględnić należy dobre chęci tegoż rządu i jego bezstronność. Nasza to wina, że polska narodowość w Sejmie i w Radzie państwa nie miała takich przedstawicieli, którzyby szczerze dbali o dobro włościan. Oj biedne i opłakane było i jest położenie ludu naszego! Da-li Bóg, że z nadchodzących wyborów wyjdą z Polski ukochanej posłowie, którzy historyczne i uświęcone prawa, dotyczące kraju i narodu wezmą do serca?

Prawa narodowe nieuwzględnione lub zaniedbane muszą być zdobyte, a to nietylko na papierze, lecz i w rzeczywistości, Dopóki to nie nastąpi, a my nie będziemy mieli sumiennych, uczciwych posłów w Sejmie, którzyby dbali o prawa mniejszej posiadłości na równi z tem jak się dba o własność wielką, dopóty nasz naród polski nie podźwignie się ze swego biednego stanu.

Dalej potrzeba podnieść stan rolniczy i jestto głównem zadaniem. Pod dawniejszemi rządami był on upośledzony; wydano nawet szereg praw, które wychodziły i wychodzą na szkodę rolnika, chociaż stan rolniczy jest podwaliną całego społeczeństwa i państwa. Dlatego naprawienie tych błędów jak najspieszniejsze musi być głównem zadaniem przyszłego Sejmu, jeźli działalność jego ma być dla Galicji zbawienną. Jacyż posłowie dokonać tego zdołają? Pewnie, że nie ci, co przy wyborach obiecują, a po wyborach, śmiało mogę powiedzieć, stronią od nas zdaleka jak nieludzie. I taki poseł niejeden się nam nawinął, który dbał tylko o samego siebie i aby rządu w niczem nie obraził! A wszakże posyłamy swoich posłów do Sejmu nie po to, aby się pięli na wysokie stanowiska, lecz aby podnosili nasze skargi, nasze krzywdy, nasze zażalenia. Chcemy posłów, coby nas bronili odważnie, znali gruntownie stosunki stanu rolniczego, wie-

dzieli dokładnie, co nasz lud gniecie i boli.

Toteż w każdej gminie wybierajcie na wyborców ludzi światłych, rozsądnych, niezależnych i silnego charakteru, nie stojących o niczyją łaskę. Naszymi posłami niech będą tacy, jak Orzechowski, który zasiada w Radzie państwa, gdzie służy krajowi i broni nas przeciw ustawie o niepodzielności gruntów, którą zamierzają nam odebrać prawa własności!...

Rodacy! Pamiętajcie, że mamy do czynienia ze stronnictwem potężnem, które nam będzie stawiało na kandydatów mężów, co wejdą na trybunę parlamentarną nie dlatego aby wypowiedzieć prawdę o naszych stosunkach pożałowania godnych, ale tylko aby głos ludu nigdy się nie odezwał z owego wzniosłego miejsca i aby świat nigdy się niedowiedział o naszem położeniu.

Bracia! W jedności stańmy w obronie praw naszych, a i dla nas wybije godzina lepszej przyszłości!

Józef Duljan z Bielczy, członek rady powiatowej w Brzesku.

Przedwyborczy ruch ludowy.

W dniu 16. maja w powiecie Chrzanowskim odbył się wybór jednego członka do Rady powiatowej z grupy gmin wiejskich, przy których to wyborach mieliśmy dużo kłopotu z powodu agitacyj wyższej inteligencji. Upatrzyliśmy sobie włościanina w osobie Antoniego Lipki, wójta z gm. Jeleń, znanego z prawości charakteru, po którym można się spodziewać, że troskliwie będzie bronił naszych interesów. Otrzymał on też mimo przeszkód ze strony inteligencji 145 głosów na 184 głosujących, pan adwokat zaś, którego nam gwałtem narzucano, 27.

Po wyborze tym pp. wyborcy udali się do najętego przez siebie w mieście dużego pokoju celem obmyślenia sprawy następujących wyborów sejmowych. P. Szymon Mandecki, włościanin z Młynki, zabrał głos, wykazując potrzebę wybrania komitetu przedwyborczego, ażeby ten oglądnął się za kandydatem, na posła do Sejmu wybrać się mającym.

W tej tak ważnej sprawie dla naszego powiatu zabierali jeszcze głos p. Antoni Lipka, nowo obrany członek Rady pow., p. Wincenty Naworyta także członek r. p., poczem po dosyć długiej dyskussji pp. wyborcy wybrali z pomiędzy siebie czysto włościański komitet przedwyborczy złożony z 5 członków. Tak wybrany komitet obrał na przewodniczącego Wincentego Noworytę z Zagórza, sekretarzem zaś Jana Taborskiego z Wygiełzowa.

Że zaś w Wydziale r. p. zawiązują z wyższej inteligencji swój komitet przedwyborczy, więc nowa będzie walka z powodu dwóch kandydatów na posła, bo włościanie mają swego, a p. szlachta swego i jeżeli komitet centralny zatwierdzi im kandydata w osobie którego z panów, a ten nie będzie znał prostego chłopa potrzeb, to bieda nigdy nie skończona.

Zatem cel naszego pisma, czy my włościanie możemy głosować na swego kandydata, lub mimo naszej woli musimy na tego, którego komitet centralny zatwierdzi? Ufni więc w pomoc i radę naszego zacnego, dobrego i szlachetnego *Przyjaciela*

Ludu upraszamy o wydrukowanie naszego pisma w swojej gazetce z tym dodatkiem, jak możemy sobie radzić w tak ważnej sprawie.

(Komitet centralny ma głos doradczy, ale krępować wolnej woli wyborców nie ma prawa. Nie tylko więc możecie, ale powinniście głosować na tego kandydata, który będzie miał z a u f a n i e wasze, że sumiennie interesów waszych bronić będzie. Najważniejszą jest rzeczą dopilnowanie prawyborów przez mężów zaufania, albo podkomitety po wsiach rozrzucone. A wówczas tak zwyciężycie przy wyborach do Sejmu, jakieście zwyciężyli przy wyborach do rady powiatowej. *Przyp. Red.)*

Do centralnego komitetu przedwyborczego Sejmowego dla zachodniej Galicji w Krakowie wystosowali w ł o ś c i a n i e pow. g o r l i c k i e g o następujące pismo:

„Zawiązany w dniu 14. maja br. przedwyborczy komitet włościański do wyboru na posła na Sejm krajowy w okręgu wyborczym gorlickim uchwalił prosić prześwietny Komitet centralny, ażeby pozostawił swobodę działania przy kierowaniu wyborem posła w naszym okręgu niżej podpisanemu komitetowi z następujących powodów:

Podpisany komitet ukonstytuował się na podstawach ogłoszonych przez były pierwszy komitet przedwyborczy włościański w okręgu jasielskim. Odezwa ta była powtórzoną prawie przez wszystkie dzienniki tak polskie, jak i ruskie, a gdy ani jedno z tych wszystkich pism zarzutu nie zrobiło, przeto ta jednomyślna zgoda całego kraju, musi stwierdzić dobitnie, że nasi jasielscy bracia włościanie odczuli najważniejsze potrzeby kraju i pojęli jak najsumienniej te obowiązki obywatelskie, do których my włościanie, już dawno się byli poczuwać powinni. Sądzimy też, że tylko dlatego wybierano dotąd z góry centralne komitety przedwyborcze, do kierowania wyborami włościan, ponieważ oni obowiązki te swoje zaniedbywali. Dziś jednak, kiedy my włościanie garniemy się sami do wypełniania naszych obowiązków obywatelskich, byłoby zapewne błędem ze strony warstw wyższych, gdyby chciano przeszkadzać włościanom przy wykonywaniu ich najświętszych praw. Jak w roku zeszłym bracia jasielscy założyli pierwszy komitet włościański przedwyborczy w kraju, tak znowu w roku obecnym może jesteśmy pierwsi w kraju, którzyśmy założyli pierwszy włościański komitet, zarówno z Polaków i Rusinów złożony. Brat włościanim Rusin podał tu bowiem zgodną rękę włościaninowi Polakowi, i obaj sobie przyrzekli pracować wspólnie nad dobrem kraju. A że po podniesieniu dobrobytu, tej właśnie zgody obydwu bratnich narodów nasz kraj zamieszkujących najbardziej nam potrzeba, przeto zwracamy z najusilniejszą prośbą do prześwietnego komitetu, ażeby usiłowaniom naszym nietylko nie przeszkadzał, ale owszem na każdym kroku popierać takowe raczył. W końcu sądzimy, że wyższe stany niczem innem nie zaskarbią sobie naszego zaufania w stopniu tak wysokim, jak teraz, jeżeli przy wykonywaniu naszych najświętszych praw okażą nam niekłamaną życzliwość. My zaś postanowiliśmy z udzielonych nam łask monarszych korzystać i nie dać się nikomu, ktokolwiekby on był, z obranej drogi sprowadzić. W nadziei, że prześwietny Komitet tylko życzliwość dla słów naszych znajdzie, kreślimy się pełni głębokiego szacunku. *Przedwyborczy Komitet włościański okręgu gorckiego,* Męcina Wielka 16. maja 1889. *Józef*

Prokop, przewodniczący, *Mikołaj Dragan*, sekretarz.

Kandydatem Komitetu jest prof. gimnazjum w Jaśle p. Pawłowski, o którym odezwa powiada, że pochodząc z ludu, żywej łączności z nim nie zatracił i zna dokładnie jego potrzeby i stosunki.

Otrzymujemy następujące pismo: *Głos do braci włościan!*

Bracia włościanie! Nadeszła chwila ważna dla naszego kraju, bo wybory posłów do Sejmu krajowego we wszystkich 74 okręgach wyborczych z mniejszych własności na następne lat 6 będą przeprowadzone, o czem gazety nasze głoszą.

Ale te głosy w gazetach nie pochodzą od ludu małych posiadłości, pochodzą one po największej części od ludzi inteligentnych, a przecież to jest rzeczą i do nas włościan należącą, bo my tak samo jesteśmy obywatelami kraju i podatki płacimy. Więc życzeniem naszem zawiązać komitet przedwyborczy włościański w powiecie wielickim i mieć wolną wolę do wyborów, nie jak dotąd.

Ponieważ nasz najmiłościwszy król i cesarz nie odosobnia nas przy wyborach, ale nam dał wolną wolę, to też prosimy szanowny centralny komitet przedwyborczy zostawić nam wolną wolę do wyborów, nie stawiać nam kandydata ze swej woli, którego my mało znamy i nie możemy mieć zaufania do niego. My nie jesteśmy dziećmi, my wiemy, kto żyje dla nas i z nami, my z nim żyć chcemy. Mamy dobre chęci, chcemy jedności, spólnej pracy i zaufania, nie tak, jak dotąd było; chcemy posła znanego nam z dobrych życzeń i staranności o dobrobyt ludu i znanego z dobrych rad w potrzebach naszego gospodarstwa.

Więc jeszcze raz prosimy szanowny centralny komitet przedwyborczy, nie stawiać nam kandydata na posła do Sejmu krajowego, ani do Rady państwa z takich ludzi, którzy na kilka dni przed wyborami stają się dobroczyńcami ludu, a serca ich zawsze są zimne i nigdy się nie zagrzeją miłością ludu, na czem wszyscy ponosimy szkodę.

Podpisani włościanie powiatu wielickiego: Maciej Szarek z Brzegów, Józef Michalik z Ochojna, Jędrzej Goczół z Kozmic Wielkich, Mikołaj Gabryś z Kozmic Wielkich, Jędrzej Topa wójt z Głuszowa, Józef (nieczytelny) z Żerosławic, Jędrzej Ziobro ze Zakrzowa.

W powiecie brzeskim zaszedł fakt, świadczący o żywem zainteresowaniu się włościan sprawą wyboru do Sejmu. Tamtejszy komitet przedwyborczy złożony z członków Rady powiatowej, uzupełnił się, dobierając jeszcze pewną ilość wójtów. Tymczasem w gminach, z których nikt nie był wezwany poczęło się objawiać bardzo żywe niezadowolenie, skutkiem czego wójtowie zaczęli oblegać starostę, dlaczego wybory odbywają się bez nich. Weszło podobno 40 pism od wójtów, domagających się wezwania do komitetu. Skutkiem tego nacisku stało się, że zaproszono do Brzeska zgromadzenie złożone z wszyskich wójtów i burmistrzów całego powiatu, tudzież wybitniejszych osób z inteligencji, celem naradzenia się nad dalszą akcją wyborczą.

Do *Kurjera Lwow.* donoszą z Komarna: Dnia 20. maja b. r. zebrało się zwyż 90 najpoważniejszych włościan, reprezentujących wszystkie gminy tutejszego powiatu sądowego i kilku najpoważniejszych mieszczan do budynku gminnego, aby się poradzić, co mają czynić i jak postępować należy, ażeby swego ludowego kandydata wybór na posła do Sejmu przeprowadzić.

Zgromadzenie było bardzo poważne, a przemówienia wielu mowców (przemawiało 14) warte były największej uwagi i pochwały.

Nam tu jednak nie chodzi o pochwały, ale o rzecz samą, czem są rezolucje, które właśnie zgromadzenie samych tylko mieszczan i włościan (inteligencji wcale nie było na zgromadzeniu, bo my chcieli sobie szczerze, śmiało i otwarcie pomówić), uchwaliło, a wybranym 15 mężom zaufania uchwały swe do przeprowadzenia zgromadzenie poruczyło.

Rezolucje te są:

1. Z uwagi, że dotychczas narzucano nam włościanom i mieszczanom (reprezentującym mniejszą posiadłość) z góry nie tylko niemiłego nam kandydata, ale wywierano (i to bardzo ciężką) presję przy wyborach wyborców samych, czem grubo lud demoralizowano: mącono wodę strasząc Polaków Rusinami, a Rusinów Polakami, przyczem żyd arendarz a oraz i szumowiny społeczeństwa grubo się obławiały na nasz chłopski rachunek, a wszczepiali ten u nas nie istniejący antagonizm, popierając go różnymi nieszlachetnymi sposoby i robili zawsze na niekorzyść chłopa, tak tedy zgromadzenie uchwala jednogłośnie:

„Wszyscy tu zebrani, bez względu na narodowość dołożą wszelkich starań, aby w każdej gminie wyborcami byli tacy ludzie, którzyby z pełnem rozumieniem rzeczy i nieustraszeni ani policjantami, ani pisarzami, ani też posługaczami dworskimi itp., oddali swój głos na ludowego kandydata.“

2. Z uwagi, że przy dotychczasowych wyborach wielu ludzi z inteligencji szczerze i bezinteresownie popierali nasze włościańskie interesa i śmiało w ich obronie występowali, więc zgromadzenie zaprasza i wzywa w imieniu wszystkich gmin inteligencję duchowną i świecką tak ruską jak i polską, aby ta połączywszy się z ludem zawiązała powiatowy komitet przedwyborczy i pomogła wybrać takiego kandydata, który posiada pełne zaufanie i sympatje włościaństwa i który istotnie reprezentować będzie kurję mniejszych posiadłości.

3. Dalej omawiano różne kandydatury, o których tu słychać już w powiecie i wszyscy jednomyślnie uchwalili uprosić pana Włodzimirza Łuszpińskiego, notarjusza w Komarnie, ażeby zechciał przyjąć kandydaturę na posła z naszej kurji, ponieważ p. notarjusz nie tylko posiada zupełne nasze zaufanie, nietylko chętnie pracuje przy każdej sposobności około społecznego podniesienia dobrobytu najbiedniejszej warstwy tutejszego mieszczaństwa (tkaczów i innych przemysłowców) ale także cieszy się ogólnem poważaniem i szacunkiem duchowieństwa i inteligencji powiatu.

Całe zebranie uchwaliło jednogłośnie, iż wzywa i prosi wszystkich dbających o dobro włościan obywateli do popierania tej jedynej z naszej woli i dla naszego dobra i przez nas samych postawionej kandydatury.

Potem przewodniczący zgromadzenia ogłosił narady za skończone i protokół tego posiedzenia podpisano.

Michał Kos burmistrz Komarna jako przewodniczący. Stefan Seńciw włościanin z Horożanki jako sekretarz i Dmytro Olchowy z Komarna jako drugi sekretarz. *Michał Pruchnicki*, *Stefan Baran*.

P. Łuszpiński przyjęcie kandydatury zrobił zależnem od zgody inteligencji. „Inteligencja“ się nie zgodziła i w ten sposób p. Ł. udaremnił łączną akcję rusinów i mazurów.

W Tarnowie odbyło się 16. maja zebranie członków rady powiatowej, celem utworzenia komitetu pow. Obecnych było około 10 radnych. W ogólnej dyskusji nad kierunkiem akcji wyborczej zabrał głos dr. Goldhammer i przemawiał za *przypuszczeniem włościan do szerszego udziału w życiu*

publicznem, za pozostawieniem im większej swobody przy wyborach z stosownem uwzględnieniem także kandydatów na posłów ze stanu włościańskiego.

W tym samym przedmiocie przemawiali książę Sanguszko, dr. Mikuciński, dr. Ringelheim, którzy godzili się w zasadzie na wybór chłopów do Sejmu z kurji wiejskich, ale tylko jeżeli kandydat jest odpowiednio uzdolniony i inteligencją swą dorósł do pracy sejmowej.

Aby do udziału w kierowaniu akcją wyborczą dopuścić jak najszersze warstwy, uchwalono wzmocnić komitet przez powołanie doń licznych osób z poza grona rady powiatowej, osobliwie włościan i duchowieństwa.

Z Nowego Sącza donoszą, że dnia 24. maja, włościanie postawili ze swego grona kandydaturę wójta z Siedlec, Chrzanowskiego.

Jako kandydat, przez włościan powołany, wystąpił także w ostatniej chwili Stanisław Potoczek, wójt z Radziostowa.

W Brzozowskiem kandydatem włościańskim przeciwko zatwierdzonemu przez komitet p. Bobczyńskiemu jest Wojnowski, gospodarz z Haczowa.

Z Myślenickiego piszą nam, że przeciwko obrońcy „świętej karczmy“ hr. Lassockiemu zgłosił swą kandydaturę obywatel Szczepan Wicherek.

Z Limanowskiego powiatu otrzymujemy następujące pismo: W naszym powiecie limanowskim zawiązał się Komitet przedwyborczy włościański, samodzielny, pierwsze posiedzenie którego odbyło się 19. maja po południu w niedzielę. Z odleglejszych gmin wielu z zaproszonych nie przybyło. W skład komitetu weszli w liczbie 14-stu: Jan Gocal gospodarz z Pogorzan, Piotr Bukowiec zastępca wójta z gminy Żmiąca, Jan Gębik gospodarz ze Szczyrzyca, Jan Odziomek gospodarz i radny z Mordarki, Michał Skrzekut wójt z gminy Sowlin, Franciszek Król gospodarz z Mordarki, Jędrzej Biernat wójt z gminy Starawieś, Łukasz Goryczka wójt z gminy Stopnic szlacheckich, Jan Liszka zastępca wójta gminy Starawieś, Józef Prędki radny gminy Lipowe, Józef Szewczyk, gospodarz z Mordarki, Kasper Sułkowski, radny gminy Sowlin, Michał Sułkowski gospodarz ze Sowlin i Szymon Dutka pisarz gminny z Mordarki. Jednogłośnie uchwalono zaprosić na kandydata, Łukasza Goryczkę włościanina i wójta gminy Stopnic szlacheckich, albo Jana Koszuta wójta gminy Wysokie, którzy obydwa są zacni, uczciwi i uczeni gospodarze. Jeden z tych będzie odpowiednim naszym kandydatem, co dalsze posiedzenie naszego komitetu które prawdopodobnie odbędzie się w dniu 16. czerwca b. r. pokaże. Zaś wielki żal czujemy przeciw tym zaproszonym, co nie przybyli do wspólnej pracy nad dobrem społeczeństwa wiejskiego, żebyśmy przy wyborach jak jeden mąż pod wspólnem hasłem głosowali na kandydata, któregośmy sami z pomiędzy włościan upatrzyli, a nie daj Boże na tego którego nam przemocą, niejako gwałtem, przeciw prawu narzucają, łamiąc nasze prawo oparte na konstytucyi. Do tego wszystkiego potrzeba by wszyscy byli jednego ducha, mężnego i wytrwałego serca, żeby nie zdradzili siebie i swoich współbraci. Mówimy to mając na myśli różne szacherki i przekupstwa przy wyborach i tworzeniu komitetów powiatowych, jak to u nas miało miejsce w Limanowy w dniu 28. maja, gdzie zaproszeni do komitetu przedwyborczego powiatowego włościanie przed posiedzeniem bankietowali, jedli, pili... kosztem wciskających się kandydatów. Hańba! i wieczna hańba zdrajcom judaszowskim, oprócz jednego włościanina który nie

dał się zbrukać podobnem częstowaniem. Po skończonej pracy po wyborach, kosztem wybranego można się wspólnie zabawić i uczęstować, inaczej jest to przekupstwo i zdrada całego powiatu.

W dniu 28. maja było posiedzenie w sali Rady powiatowej komitetu powiatowego przedwyborczego, w skład którego zaproszono około 36 osób, lecz niestety jak by na urągowisko nie było włościan ani czwartej części, lecz wyższa inteligencya, chociaż to sprawa czysto włościańska. Na tymże posiedzeniu przedstawiło się dwóch kandydatów bez żadnego zaproszenia ze strony włościan t. j. p. Tadeusz Romer z Jodłownika, prezes Rady powiatowej Limanowskiej i były poseł do Sejmu z naszego okręgu, właściciel dóbr w Niewiarowie powiatu Bocheńskiego, p. Władysław Struszkiewicz. Pierwszy otrzymał głosów podobno 29, drugi 6. Co do tych kandydatów mamy mamy tyle zanotować: pierwszy byłby dobry i zacny do Sejmu, lecz niestety podupadł na zdrowiu, bo na posiedzeniach w Radzie powiatowej rzadko bywa, a cóż dopiero mówić o długich posiedzeniach sejmowych, tam jeszcze rzadziej będzie bywał z powodu słabości. Co do p. posła Struszkiewicza, to nie wiemy jak pełnił obowiązek poselski, ponieważ w ciągu sześciolecia swoim wyborcom nie zdawał nigdy sprawozdania ze swoich czynności.

Zresztą czyż my to jesteśmy, że tak powiemy, narzędzia dla wyższej inteligencji. Przy wyborach bardzo jest chłop potrzebny (tak jak kosa, sierp i grabie we żniwa) lecz po wyborach niestety... Będą mieć dwory i miasta swoje wybory 4. i 9. lipca, to im żaden włościanin przeszkadzać nie będzie.

W końcu odzywamy się do was bracia wyborcy w naszym kraju, nie łakomcie się na poczęstunki i wziątki, nie dajcie się przekupić, bo byście byli zdrajcami, a jeżeli by kto był łakomego serca na poczęstunki i wziątki, nie mogąc się oprzeć natarczywości agitacyjnej, to za to kary nie ma, że kto co weźmie i wypije, kiedy mu dają gwałtem, lecz w głosowaniu trzeba być nieugiętego charakteru, głosując na znanego i zacnego z pomiędzy włościan upatrzonego, któryby umiał czytać i pisać, a wtenczas każdy taki będzie prawdziwym obywatelem kraju a nie zdrajcą.

Wszystkie redakcye czasopism ludowych o umieszczenie niniejszego pisma bardzo prosimy.

Z Jasła donoszą do *Nowej Reformy*: D. 24. maja odbyło się posiedzenie powiatowego komitetu przedwyborczego, na którem pierwotny komitet wzmocniono przez przybranie 20 członków, tak że komitet przedwyborczy powiatowy liczy obecnie 75 członków. Uchwalono dalej zwołać za dni 14 uzupełniony już komitet powiatowy i zawezwać kandydatów do osobistego stawienia się celem wyznania wiary politycznej i zapatrywań swoich na sprawy krajowe. Przy tej sposobności słyszeliśmy kilku włościan, występujących z bardzo trafnemi argumentami przeciwko wyłącznemu, a przynajmniej przeważnemu oddaniu mandatów z gmin w ręce właścicieli większych posiadłości, przyczem bardzo gorzkie czyniono wyrzuty tak z powodu sposobu zdobywania tych mandatów, jak i co do sposobu ich wykonania.

„Przed wyborami — mówiono — pochlebiają nam, ściskają nas za ręce, przypijają do nas; po wyborze głosują za chłostą cielesną sług wiejskich“. Zarzuty te oczywiście nie do wszystkich się stosują, ale niestety wielu jest takich, którzy na nie całkowicie zasłużyli. (Za wprowadzeniem chłosty cielesnej oświadczyli się następujący posłowie z mniejszych posiadłości: hr. Stadnicki Jan, hr.

Lassocki Czesław, Korytowski Julian, hr. Wodzicki Ludwik, hr. Wolański Mikołaj, hr. Scipio del Campo Karol, hr. Potocki Roman, Starowiejski Stanisław, Słonecki Zenon, Żurowski Teofil, hr. Mycielski Franciszek). Zwracali się nawet włościanie wprost do dotychczasowego posła hr. Mycielskiego z prośbą, aby raczył zwrócić swoje zabiegi w inną stronę, bo włościanie solidarnie trzymać się będą i na kogo innego głosować.

Listy do „Przyjaciela Ludu".

Rzeszowskie 28. maja. Włościaństwo tutejszego powiatu w sprawie wyborów zachowuje się zupełnie obojętnie. Zastraszone dawnemi praktykami boi się nawet dłużej o tej sprawie mówić. Jeszcze w zimie, przy zetknięciu się z wpływowymi chłopami, mówiłem z nimi o tej sprawie i pouczałem, że mają zupełne prawo działać tu według swojej woli, że powinni sami o sobie radzić, skoro się żalą, że obecnie żadnego pożytku ze swego posła nie mają. Przyznali mi słuszność, i zgodzili się na to, że trzebaby coś radzić, ale też i na tem się skończyło, bo chłop się boi, nie wiedząc sam czego się ma bać.

Dotychczasowy poseł z małych posiadłości powiatu Rzeszowskiego i Głogowskiego Stanisław Jędrzejowicz z Staromieścia z pod Rzeszowa, obecny marszałek Rady powiatowej, który został wybranym pod naciskiem starostwa i żandarmów, obecnie czyni również zabiegi o mandat. Stosunek tego posła do wyborców był taki sam, jak stosunek innych panów posłów-dziedziców do chłopów. Przed wyborami słodki i uprzejmy, a po wyborach chłopa nie zna. Jędrzejowicz nie zdawał tedy żadnego sprawozdania w ciągu 6-letniego perjodu sejmowego i żadnego nie ma miru między chłopstwem. Jak wiadomo Jędrzejowicz, jako poseł włościański działał i postępował w duchu i w celach większości sejmowej, jako jej urodzony członek, a na czyją korzyść ta kasta ludzi pracuje, wiadomo każdemu. Tyle o dotychczasowym pośle. Jeśliby zaś miał być kto inny na posła w tutejszym powiecie i w głogowskim postanowiony, to niktby nie przeszedł z naszem zadowoleniem, tylko chłop, a takim byłby najlepszym i całkiem stosownym Michał Majchrzycki z Boguchwały.

Jestto włościanin inteligentny, ukończył 5-tą klasę gimnazjalną, jest członkiem Rady powiatowej i cieszy się powszechnem zaufaniem włościan okolicznych.

Z Tarnobrzeskiego otrzymaliśmy pod datą 27. maja list następujący: Widząc zainteresowanie się „Przyjaciela Ludu" rozwojem ruchu wyborczego, postanowiłem donieść wam o tem, co się dzieje i w naszym powiecie.

Na wniosek Walentego Benca, gospodarza z Ostrówka, członka rady powiatowej, któryto wniosek poparło kilku życzliwych, Wydział powiatowy uchwalił zaprosić w skład komitetu przedwyborczego wszystkich naczelników gmin z całego powiatu. Jednak komitet ten nie ukonstytuował się i kandydata nie wybrał. Do uzyskania mandatu poselskiego z kurji mniejszych posiadłości rości sobie pretensje baron Tadeusz Horoch z Wrzaw, prezes rady powiatowej. Nic za nim nie przemawia. Nie ma on u ludu zaufania i żadnej sprawy w Sejmie nie potrafiłby przeprowadzić. W końcu dodaję, że w minionem sześcioleciu hr. Tarnowski, nasz poseł, a dzisiejszy marszałek krajowy, nie składał ani razu żadnego sprawozdania z czynności poselskiej.

Dopóki tak będzie?

Gdzie tylko dwóch się spotka z sobą, o niczem innem nie rozmawiają tylko o ciężkich czasach. Jeden mówi: ja mam długu po uszy, inny i ja muszę zaciągnąć pożyczkę. Inwentarz mam wybrakowany, zasiew wiosenny co do ziarnka kupny, przednowek wlaz mi już za progi, bo w jesieni ze łzami w oczach musiało się sprzedawać korzec po korcu za bezcen na podatki gruntowe, bo egzekucja na karku

siedziała, a tu choroba długa i ciężka żony, tu pogrzeb, tu opał na zimę, przyodziewek, to reperacja koło domu i różne a nieprzewidziane wydatki. Bądź tu gospodarzem w tych czasach, gdy do gruntu trza dopłacać. Trzebaby chyba Egiptu u nas, żebyś mógł dwa razy do roku z gruntu zbierać. To by może znowu kazali dwa razy tyle podatku płacić i tak by się czasy u nas nie poprawiły.

Bo jakżeż można spodziewać się u nas lepszych czasów, jeśli zawsze będziemy pracować na inne narody, jak dziś pracujemy. Nakazują nam siać len, konopie, ale nam prząść nie każą, bo przędzalni u nas nie ma kto zaprowadzić; o teatr prędzejby się postarano. Chów bydła podnosi się u niektórych starszych braci naszych, ale cóż z tego gdy i z owej hodowli bydła również obcy korzystają: mięso zjedzą, skóry wyprawią, kości zmielą nibyto na sztuczne nawozy i nam to drogo sprzedadzą i prawie za ten przerób pieniądze się cudzoziemcom wrócą a mięso za darmo zjedzą. A cóż mówić o wielu innych produktach surowych na których miljony inne narody zarabiają, a później jeszcze się z nas za to naśmiewają, żeśmy głupi, ciemni i leniwi.

Mój Boże biedna ta nasza Galicja. Jest ona więcej ciągniętą, aniżeli dojna krowa, bo krowę doi jeden gospodarz, a z naszej biednej Galicji ciągną wszelkie narody; nie wiedzieć tylko co się z nią stanie gdy ją do ostatniej kropli wycisną, czy ją na pastwę rzucą, czy pozostawią samej sobie? Więc któż temu winien, że nędza ludu w Galicji tak się u nas rozpowszechniła? A jeśli chłopa zwą ciemnym, pijanicą i leniwym, to czyjaż wina, że lud u nas ciemny, że oświata ludu naszego od wieków nie dorównała oświacie innych narodów. Byłaby dziś Polska cała, ale ci, co w Niej zbytkowali, chłopu przeszkodzili poznać, jakim jest narodem. Dlatego teraz i sami nikną z horyzontu. — Pijanicą chłopa zwano, ale na każdej ścieżce karczmę na niego stawiano, ażeby ten chłop był biedny i ciemny. Dziś dzięki Najwyższemu chłopek widzi, gdzie słońce wschodzi, a gdzie zachodzi, widzi on, kto jest dla niego dobrym doradcą, widzi, kto jest jego prawdziwym bratem, a nawet widzi, kto jest prawdziwym Polakiem i sądzi, że niema nikt najmniejszej przyczyny przypisywać winę chłopu, że nędza ludu z niego wzięła początek w naszej biednej Galicji. Zaprawdę chłopek nasz jest wołem do pracy i tylko ten, kto mu nie sprzyja i nie chce mu dać pomocy, wszystkie winy na niego zwalić usiłuje.

Niebrak nam jest takich ludzi, co z dobrej woli opuścili swą ojczyznę i przetrwonili majątki za granicą Polski, ale mój stan nie pozwala mi dalej o tem pisać, (dlaczego? albożto stan włościański nie powinien mieć zdania o sprawach kraju? Red.) to też na tem kończę na teraz, a później napiszę do »Przyjaciela Ludu» o czem innem, ale zawsze ludowem.

Maciej Szarek, włościanin.

Koło posłów włościańskich.

Gdy po wyborach do Sejmu w r. 1883 nie wybrano ani jednego włościanina posłem, a natomiast z kurji mniejszych posiadłości weszło aż 45 właścicieli większych posiadłości, wówczas marszałek krajowy Ludwik hr. Wodzicki wyrzekł był w Sejmie z radością te słowa: »Nigdy jeszcze ludność wiejska nie okazała tyle zaufania starszej braci jak obecnie!« Jak wyglądało to zaufanie, to wy, panowie wyborcy ówcześni, najlepiej pono wie-

cie. Ale posłowie szlachcice uwierzyli tym słowom marszałka i zaraz poczuli się do obowiązku odwdzięczyć się młodszym braciom za to zaufanie. I oto zawiązało się w Sejmie osobne »koło posłów włościańskich«. Koło to postanowiło schodzić się jak najczęściej, radzić nad potrzebami włościan, i co uradzi, to potem podnosić w Sejmie. A że koło było liczne i członkowie jego wpływowi, przeto niema wątpliwości, że gdyby było chciało cośkolwiek zrobić dla ludu, to pewnie byłoby mogło zrobić.

Przez całych sześć lat trwania Sejmu koło to zebrało się — nie wiemy już, czy pięć, czy sześć razy. Każdą razą posłowie pogadali sobie, jeden sądził, że dla chłopa dobrem by było to, drugi owo, raz nawet spisali i podali do gazet długą litanię takich spraw, rozumie się, nie dając nawet znaku żadnego o tem, jak by te sprawy załatwić myśleli, a potem rozeszli się i o wszystkiem zapomnieli. Dopiero teraz, gdy się zbliżają nowe wybory i ci sami jaśnie wielmożni panowie chcą znowu wejść do Sejmu, przypomnieli sobie o swem kole i napisali sprawozdanie z jego czynności. Były prezes koła, p. Polanowski, wyjednał u Wydziału krajowego, że ten dał pieniądze z funduszu krajowego, na wydanie tego sprawozdania, i oto rozrzucono je w 20.000 egzemplarzy po kraju, przysłano zapewne i wam ten podarek za wasze pieniądze, byście czytali, cieszyli się i Boga chwalili, że macie takich dobrych i o dobro wasze troskliwych panów. Czytajcie więc, co oni wam napisali. My nie będziemy wam powtarzać tego, co w tem sprawozdaniu jest, powiemy jedynie wraz z innemi niezawisłemi gazetami, parę słów o tem, czego tam wyraźnie niema.

Broszurę tę — pisze *Dilo*, charakteryzują dostatecznie następujące słowa (str. 3): „W żadnej kadencji sejmowej włościanie wyborami swemi nie okazali tak wielkiego zaufania do warstw, zajmujących wyższe od nich stanowisko społeczne, jak się to stało przed sześcioma laty". By więc wykazać, że zaufanie to było całkiem słuszne, wyliczono w sprawozdaniu nader troskliwie wszystkie, choćby najdrobniejsze uchwały sejmowe i wnioski, bodaj po części odnoszące się do spraw włościańskich i małomieszczańskich, przyczem nigdy nie zaniedbano podać nazwiska posła, który to wnosił lub o tem przemawiał. Gdy jednak przypatrzymy się tym wnioskom i uchwałom, to pokazuje się, że są to w znacznej mierze same niewinne rezolucje do ck. rządu, których jedynym celem jest dowieść szczerej dbałości posła, o których jednak nikt z wnioskujących ani myśli na serjo, by miały jakiś realny skutek. Takiemi są np. rezolucje o należytościach prawnych, o procedurze cywilnej, o opustach podatkowych, o soli i liczne inne, których większa część zresztą leży w interesie nie samych tylko włościan, ale całego ogółu. Sprawy te należą właściwie do Rady państwa, i jeżeliby posłowie polscy rzeczywiście chcieli je załatwić pomyślnie, to byliby je tam wnosili, i nietylko wnosili, ale użyliby zarazem swego wielkiego wpływu dla ich przeprowadzenia. Ale w Sejmie gada się dużo po próżnicy by było się czem pochwalić przed wyborcami, a w Radzie państwa nie robi się nic. Ci zaś posłowie sejmowi, którzy nie są zarazem posłami do Rady państwa, niechby zamiast do rządu, zwrócili się z wnioskami tego rodzaju do tych swoich towarzyszy, co posłują we Wiedniu.

Inne wnioski i uchwały Sejmu były małoważne, inne dotykały nie samych tylko interesów włościańskich, inne wreszcie są wprost szkodliwe dla włościan. Oto poczet ważniejszych zdobyczy, jakie większość sejmowa przedkłada włościanom: 1) dodatek krajowy z 27 ct. od reńskiego podniesiono do 35 ct., a prócz tego zaciągnięto kilkaset tysięcy złr. długu,2) za zniesienie propinacji uchwalono zapłacić 62 miljony 200 tysięcy złr., — rząd, którego zapewne nikt nie posądzi o niesprzyjanie szlachcie, sam uważał tę kwotę za wygórowaną i długi czas nie chciał na nią przystać, lecz uległ energicznemu i solidarnemu wystąpieniu większości sejmowej; gwarancję za wypłatę tej sumy włożono na kraj, a posłowie-dziedzice wybrani przez włościan, szli w tej sprawie ręka w rękę z posłami z kurji większej własności wbrew oczywistemu interesowi swych

wyborców, 3) ustawę drogową uchwalono — jaką i w czyim interesie, to rzecz wiadoma; 4) uchwalono nową ustawę szkolną, według której ciężary na kraj, a więc i na gminy, spadną daleko większe, w zamian za co gminy, czyli właściwie rady szkolne miejscowe nie będą już miały prawa prezentowania nauczycieli ludowych, — o tem, by dodatki konkurencyjne na nauczycieli rozłożyć w sprawiedliwszej proporcji na gminy i na obszary dworskie, większość sejmowa nawet do debaty dopuścić nie chciała; 5) autonomja gmin została kilkakrotnie uszczuploną, a mianowicie uchwałą o pisarzach gminnych, o kasach pożyczkowych gminnych, o radnych wiryl̨istach, o wzmocnieniu kompetencji wydziału powiatowego.

OSKAR KOLBERG.

Postanowiliśmy zaznajomić czytelników naszych z ludźmi, którzy lud szczerze umiłowali, którzy położyli około dobra jego pewne zasługi. W pierwszym numerze podaliśmy życiorys posła Orzechowskiego; dzisiaj piszemy kilka słów o człowieku, który na innem polu, bo na polu literatury nie mało przyczynił się dla sprawy ludu polskiego przez to, że był jednym z pierwszych, którzy przez swoje prace umożliwili tak zwanej inteligencji głębsze poznanie chłopa polskiego. Sposobność nam się tem lepsza dzisiaj nadarza, ponieważ mąż, o którym mówić zamierzamy, a który nazywa się Oskar Kolberg, obecnie obchodzi 50-letni jubileusz swej pracy na polu literatury ludowej.

Literaturą nazywamy utwory umysłowe narodu, objawiające się w zewnętrznej szacie języka. W niej wyrażają się uczucia narodu, jego rozum i wola. W pierwotnych czasach, kiedy naród polski był jednolity, posiadał i literaturę wspólną; później jednak kiedy rozpadł się na szlachtę i na chłopów, a warstwy te miały niejednakowy dostęp do oświaty, każda z tych warstw wyrażała swoje myśli i pragnienia w odrębny sposób. Duch ludu nie uwieczniał się drukiem, ale wytworzył prostą, rodzimą i właściwą sobie literaturę.

Narzędziem, jakiem się przy tem posługuje, jest żywe, lotne słowo, baśń lub piosenka, krążące z ust do ust, z serca do serca. A nieprzebrane skarby kryją się na dnie tych tworów wyobraźni czyli fantazji ludowej. Dawniej nie oglądano się na nie, a nawet je lekceważono; dopiero na początku bieżącego stulecia tacy wielcy i uczeni ludzie, jak ksiądz Hugo Kołłątaj, Zorjan Dołęga Chodakowski, zwrócili baczną uwagę na literaturę gminną. Za ich przykładem poszli inni uczeni i zaczęli skrzętnie zbierać i spisywać bajki, pieśni, zwyczaje, wierzenia polskiego ludu, tłómaczyć ich znaczenie, badać ich starożytność i pokrewieństwo z pieśniami i bajkami innych ludów.

U nas w Polsce stoi na czele tych badaczów Oskar Kolberg, człowiek, który poświęcił całe swe życie i wszystkie swoje siły poznaniu ludu, znosząc, jak pracowita pszczoła, miód poezji i melodji ludowej do skarbca oświaty ludowej.

Kolberg pochodzi z rodziny niemieckiej, noszącej imię od miasteczka „Kolberg“ (Kołobrzeg) położonego nad morzem bałtyckiem, w dzisiejszej Pomeranii, którą dawniej zamieszkiwali tacy jak i my Słowianie, obotrytami zwani, dzisiaj niestety zniemczeni.

Ojciec jego, Juliusz, był jeszcze niemcem, ale przyszedłszy do Polski, jako urzędnik pruski, po utworzeniu ks. Warszawskiego przez Napoleona I., i wygnaniu prusaków z Warszawy, pozostał w Warszawie i wnet się spolszczył wraz z całą rodziną.

Będąc sam człowiekiem uczonym i zamiłowanym w tem wszystkiem, co piękne, przelał zamiłowanie pracy naukowej i poczucie piękna duchowego na trzech synów swoich, z ktorych najstarszy Wilhelm, znany jest jako jeden z pierwszych naszych inżynierów, najmłodszy zaś odznaczył się chlubnie w sztuce malarskiej, średni, Oskar, ur. 1815 w Sandomierskiem, poświęcał się z początku muzyce. Nie mały wpływ na naszego Oskara wywarła wiejska dziewczyna, Zuza, która służyła u rodziców jego do dzieci, a która mianowicie Oskarowi śpie-

wała zawsze piosnki ludowe. Był to dla niego niejako pierwszy bodziec do zajmywania się ludem, pieśni i bajki od pierwszego dzieciństwa wziął sobie w pamięć i w serce. Odebrawszy wykształcenie najprzód w Warszawie a potem w Berlinie, przyjął Oskar obowiązki nauczycielskie na Białej Rusi, zamieszkał czas dłuższy w Warszawie jako urzędnik w biurze drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, a gdy droga w prywatne przeszła ręce (1858) opuścił służbę kolejową i oddał się wyłącznie pracy nad poznaniem ludu, odbywając podróże i wycieczki naukowe po całej Polsce; obecnie mieszka w Krakowie i zajmuje się wydawaniem zebranych przez się wiadomości.

Z prac jego, obejmujących już około 30 tomów (co roku wychodzą dalsze tomy z druku) główne dzieło nosi tytuł: „Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania i przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce“. W olbrzymiej tej księdze opisał Kolberg dokładnie Sandomierskie, Kujawy, Krakowskie, Poznańskie, Lubelskie, Kieleckie, Radomskie, Dobrzyńskie, Mazowsze polne i leśne, Pokucie i Litwę. Inne ziemie polskie i ruskie znajdą w następnych tomach szczegółowe przedstawienie. Z początku była głównym przedmiotem zbiorów Kolberga między ludem — muzyka. Po raz pierwszy wziął się do pracy tej zawodowy muzyk. On pierwszy zebrał skrzętnie najciekawszy zapas melodyj ludowych w całej ich prostocie i świeżości,, a jakie bogactwa pod tym względem znalazł, niech świadczy to, że samych melodyj wiejskich udało mu się zebrać około 8000. On pierwszy był wiernym tłómaczem tej pieśni, która brzmi nieprzerwanie po niwach i gajach, płynie z wodą i wiatrem, odbija się o ściany chat, dworów i karczem. On pierwszy nutami skreślił powagę poloneza, wdzięk krakowiaka, dziarskość mazura, rzewność śpiewów miłosnych i ciche poddanie się czyli rezygnację dum, pełnych grozy ponurej i smętnej. Zajmując się muzyką nie mógł pominąć jej treści, słowami ilustrującej uczucia i w ogóle całe życie ludu.

Obecnie przybrała praca Kolberga szerokie rozmiary, obejmuje bowiem całe ludoznawstwo: Opis kraju pod względem historycznym i krajoznawczym, z uwzględnieniem tradycji i podań miejscowych, charakterystykę, to jest określenie właściwości rozumu i serca ludu, jego wiarę, uzdolnienie, jego fizyczne i umysłowe właściwości, zalety i wady, jego ubiór, żywność, narzędzia i mieszkanie, jego pracę, rolę i przemysł. Zwyczaje, jakie panują przy rozmaitych okolicznościach, we święta, jak n. p. zwyczaje religijne, postne i wielkanocne (n. p. dyngus czyli śmigus) na Zielone świątki, święty Jan (majenie domów, palenie sobótek), na Matkę Boską zielną podczas żniw itd. itd. Obrzędy: jak chrzciny, wesele i pogrzeb, gry i zabawy, pieśni i dumy, równie wiejskie jak i dworskie, miejskie śpiewki i tańce, przysłowia i zagadki, wreszcie podania tj. baśnie, powieści moralne, legendy, gadki, bajki, dykteryjki i fraszki. Osobny, dodatkowy dział stanowią wierzenia, tj. wyobrażenia ludu o świecie nadzmysłowym, złych i dobrych duchach, o czarach i przesądach, o zwierzętach, roślinach i sztuce lekarskiej na wsi.

Jak widzimy, Kolberg nie pominął żadnej odrobiny, znachodzącej się w życiu ludu wiejskiego, lecz wszystko skrzętnie zebrał i wydrukować kazał. Atoli nie samo zbieranie tego wszystkiego, nie sama praca i koszta położone stanowią główną zasługę Kolberga; najgłówniejszą zasługą jest to, że wygrzebawszy te skarby z łona ludu, nauczył ludzi patrzeć inaczej na chłopa, aniżeli to czyniono dotychczas. Niejednokrotnie tak zwane stany wyższe widziały w chłopie bezmyślne i bezczułe narzędzie do pracy, nie przypuszczając, że ta dusza chłopska mieści w sobie skarby, które lud polski uprawniają do zajęcia wyższego stanowiska w życiu społecznem, aniżeli być tylko wołem roboczym. Ztąd też od ludu polskiego należy się wszystkim tym, co w ten sposób pracują, w szczególności zaś Kolbergowi, który największe położył zasłui, niepomierna wdzięczność.

MŁODSZY BRAT.

OBRAZEK

skreślił

HENRYK JOSSE.

(Dok.) Do pokoju wszedł lokaj i stanął przy drzwiach nieruchomo.

— Co tam — zapytał hrabia.

— Chłopi, jasny panie.

— Moi zacni wyborcy — pomyślał hrabia. — Człowiek nie ma chwili spokoju.

Zerwał się z fotelu i zaczął szybko chodzić tam i napowrót, myśląc nad tem, czyby nie można pozbyć się jakim sposobem natrętnych gości.

Lokaj zniknął, a hrabia chodził dalej, zapaliwszy świeże cygaro, ażeby prędzej ochłonąć z gniewu. A zagniewany był nie bez powodu. Bo proszę ino zważyć, że ci chłopi już po raz trzeci przychodzą do pałacu i wcale sobie z tego nic nie robią, kiedy im lokaj mówi, że pana nie ma w domu.

— Ano, to przyjdziewa jutro — odpowiadają z natarczywą cierpliwością.

Chłopi rzeczywiście posiadają cierpliwość. Oto stoją w sieni i czekają na pana hrabiego. Do kancelarji wejść nie chcą, mimo wezwań lokaja i spoglądają tylko ukradkiem przez otwarte drzwi na biórko, zarzucone papierami, na rzeźbione meble, na kasę ogniotrwałą, która do niedawna jeszcze była ciałem bez duszy.

Zjawił się wreszcie pan hrabia.

— Jak się macie, dobrzy ludzie? — przemówił do chłopów z łaskawym uśmiechem — jak się macie?

Wprowadził ich do kancelarji, usadowił prawie siłą na fotelach i wetknął każdemu cygaro do ręki, ażeby w zarodku złamać możliwą opozycję.

— I cóż mi powiecie? — zapytał po chwili.

— Ano, według tej kolei, proszę łaski jasnego pana — odpowiedział Kostuch.

— Kolei właściwie nie mamy jeszcze, ale wkrótce ją mieć będziemy — zauważył hrabia, udając, że nie wie, o co idzie, chociaż dokładnie znał całą sprawę.

— Kolej dobra dla Niemców — odrzekł Stokłosa. — Naród bez nią siła wycierpiał.

Pan hrabia przygryzł wargi.

— Mówcie no wyraźnie, czego chcecie — odezwał się, tłumiąc równocześnie śmiech i ziewanie.

Chłopi spojrzeli na Kostucha, dając mu w ten sposób niejako pełnomocnictwo do działania w ich imieniu. Kostuch, posiadający urzędową powagę wójta i niezawisłość bogatego wieśniaka, odmalował w dosadnych barwach wszystkie praktyki niemieckie i wezwał nakoniec hrabiego, ażeby jako poseł wystąpił w obronie pokrzywdzonych wyborców

— Jako młodsi bracia udajemy się pod opiekę starszego brata — dodał z namaszczeniem Stokłosa, który sobie w samą porę przypomniał te piękne słowa.

Pan hrabia znowu przygryzł wargi.

— Obrona nie będzie łatwa — rzekł po namyśle — gdyż Niemcy ze swej strony oskarżają was także o rozmaite nadużycia. Wszczynacie niepotrzebnie bójki, spaliliście podobno niemieckie baraki...

— Proszę łaski jasnego pana — przerwał Kostuch już nieco wzburzony — wszelakie stworzenie, a co dopiero człowiek, zwija się, kiedy go depczą. Prawda, że Niedbała trochę ich pomacał, ale im ta nie wiele zrobił, bo Niemiec zaraz na drugi dzień szynkował wódkę, tyla ino, co miał gębę podwiązaną. A oni zamiast się upamiętać, dalej cudowali i wydziwiali, aż im ktosi baraki podpalił.... Ale Niemcy nie doznali nijakiej szkody, a naród straszną moc wycierpiał....

— Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy; zapewniam was, moi kochani ludzie — przyrzekał hrabia — idźcież do domu i zachowujcie się spokojnie.

Chłopi ukłonili się głęboko i poszli do domu. Po drodze rozmawiali, że jeżeli Niemcom rząd nie podołał, to im podoła z pewnością hrabia, który przecież ma we Wiedniu wielkie wpływy.

Inaczej sądził pan hrabia. Więc on ma wystąpić przeciwko przedsiębiorstwu kolejowemu? Ależ to samo przedsiębiorstwo zrobiło go prezesem li tylko dlatego, że potrzebowało mieć na swem czele kogoś, ktoby posiadał znane imię i miał wpływy w parlamencie. Gdyby nie ta sposobność życia bez pracy, hrabia Szaławiła nie siedziałby dzisiaj

w Pustych Worach i nie byłby szambelanem. A te naiwne chłopy żądają, ażeby on własną ręką zburzył cały gmach szczęścia... Wprawdzie swojego czasu przyrzekał uroczyście, że będzie dla nich dobrym bratem, ale to było poprostu li frazesem krasomówczym, który do niczego nie obowiązuje... Zresztą chłopi mają zawsze przesadne wymagania — doświadczył tego sam hrabia, kiedy z nimi załatwiał spory o służebności lasowe...

Poradnik dla czytelń.

O Kościuszce, nieśmiertelnym naczelniku narodu i o będącej w związku z jego osobą sprawie włościańskiej w ziemiach dawnej Polski. Rzecz skreślona na pożytek ludu wiejskiego" Kraków 1889 r.

Przed kilku dniami wyszedł w Krakowie pierwszy tomik biblioteczki, założonej dla wieśniaków. Wydawcy zaczęli swoje dzieło od wydania książeczki o Kościuszce, sławnym naczelniku, który w najrozpaczliwszej chwili upadku Polski, stanął na czele narodu i wezwawszy dzielny lud wiejski do broni, odniósł nad Moskalem świetne pod Racławicami zwycięztwo. Byłby on pewnie ojczyznę od najazdu uwolnił, gdyby cały naród, jak chciał tego, do walki poruszył. Ogółowi panów nie podobało się jednak, iż Kościuszko powołał do obrony ojczyzny lud wiejski, zdawało się im bowiem, że nikt inny do tego, nie ma prawa oprócz nich samych. Bardziej jednak nie podobał się szlachcie manifest naczelnika Kościuszki, który widząc zapał chłopów dla sprawy narodowej i kierując się zasadami ogólno ludzkiej sprawiedliwości i słuszności, że wszyscy ludzie na ziemi są równi, poruszył lud nadzieją, że spadną zeń więzy poddaństwa i że wróconą mu zostanie ziemia na własność, po oczyszczeniu kraju od nieprzyjaciela. Na nic się nie przydało bohaterstwo Kościuszki i dzielnych kosynierów pod swoimi słynnymi dowódcami Bartoszem Głowackim i Stachem Świstackim. Gdzie nie było jedności i działania całego narodu, gdzie byli zdrajcy, którzy woleli połączyć się z wrogiem aniżeli pomagać swoim, tam pomódz nie mogło ani poświęcenie jednego, ani zapał święty drugich. Kościuszko wdawszy się w bitwę z Moskalem pod Maciejowicami, nie doczekawszy się pomocy od jenerała Ponińskiego, który o dwie mile od pola bitwy wesoło sobie obozował, ciężko ranny, został wzięty w niewolę i bitwę przegrał. Maciejowice rostrzygnęły, można powiedzieć, los Polski. Z ostatnim rozbiorem w r. 1795 Polska przestała istnieć jako państwo osobne. Wszystkie postanowienia wielkiego naczelnika zostały zniesione, usamowolnienie włościan nastąpiło dopiero w kilkadziesiąt lat później.

Książeczka, o której mówimy, opowiada całą historję o tem, jakie koleje przechodził chłop polski i ruski za panowania rozmaitych królów, i jak wreszcie do usamowolnienia jego przyszło. Główną jednak treścią tej pięknej broszurki jest opisanie życia sławnego jenerała Kościuszki. Jest tam zatem opowiedziane jak mężnie on walczył w Ameryce za wolność ludów i jaką tam sławę sobie zdobył, jak wzięty do niewoli przez Moskala, był przez niego uszanowany, jako znakomity wojownik, jak lud gorąco kochał i z nim przestawał, wreszcie jak pod koniec życia w Szwajcarji dalekiej zamieszkawszy, biednych wspierał i jaki żal po sobie, gdy umarł w r. 1817. pozostawił, poczem jak naród polski uczcił pamięć wielkiego tego wodza i przyjaciela prawdziwego ludu, jak ciało jego do Krakowa sprowadził i na Wawelu w kaplicy pochował i na pamiątkę jego wieczną kopiec pod Krakowem usypał.

Książeczkę tę zajmującą polecamy naszym czytelnikom najgoręcej, kosztuje ona tylko 10 ct., a można ją dostać za naszem pośrednictwem.

KRONIKA.

Nieprzyjaciołom naszego pisma. Że „*Przyjaciel Ludu*“, występujący w obronie samodzielności i równości chłopów wobec innych stanów, nie będzie miłą niespodziankę dla tych jegomościów, którzy przywykli chłopa uważać za dziecko, dla którego ciągle jeszcze potrzebne są pieluchy, lub za trzodę, dla której potrzeba bata — tego byliśmy pewni z góry, przystępując do wydawania naszego pisma. Jest to zresztą rzecz naturalna, gdyż ci opiekunowie robili i robią na tem niemowlęctwie ludu wcale niezłe interesy, a samodzielny ruch i samodzielna myśl ludu może im te interesy brzydko pokrzyżować. I rzeczywiście, z różnych stron naszego kraju dochodzą nas wieści, że już za pierwszem uderzeniem w stół rozmaite nożyce zaczynają się dość głośno odzywać, i pokątnie i publicznie, że nasz „*Przyjaciel Ludu*“ jest pismem szkodliwem, niebezpiecznem i Bóg wie co tam jeszcze. Wszystkim takim panom oświadczamy, że „*Przyjaciel Ludu*“ wychodzi pod ustawą prasową. Prócz tych, ustawą zakreślonych granic i własnego sumienia ani teraz, ani na przyszłość żadnych innych granic uznawać nie myślimy. Zdaje nam się, że czytelnicy nasi, którym chodzi o poszanowanie ustawy, nie zechcą wyrzekać się tej swobody myśli i słowa, jakie nam sama ustawa przyznaje, nie zechcą żądać od nas, ani też sami sobie nakładać na usta jakichś kłódek, któreby może były pożądane rozmaitym opiekunom, ale nie byłyby godne ludzi dojrzałych i świadomych swego prawa. Wolność nie jest skarbem, który można z ziemi wykopać lub na loterji wygrać i schować do skrzyni. Jest ona takiem dobrem, które co dzień na nowo trzeba zdobywać, jest jak ten chleb, na który co rok trzeba pracować. Baczność więc, bracia włościanie! Nie dawajcie sobie wydzierać tej wolności, jaką wam daje ustawa! co władze rządowe z druku wypuściły, tego wam nikt nie śmie zabraniać lub odbierać, a kto sam się da zastraszyć lub odwieść, ten wydaje sobie świadectwo, że jest niedojrzałym na obywatela państwa konstytucyjnego. A wy, co się boicie, aby chłop nie przejrzał, nie okłamujcie go, że pismo, jedynym celem którego jest samodzielność stanu włościańskiego, jest „niebezpiecznem dla ludu“! Pamiętajcie, że kłamstwem, niegodnem ludzi uczciwych, daleko nie zajdziecie. My się zastraszyć nie damy; wytrwamy wiernie na tem stanowisku, jakieśmy zajęli, a lud? — Lud politycznie dojrzewa i coraz lepiej widzi, kto mu jest przyjacielem i bratem: czy ci, co go wzywają, aby ze swoich praw korzystał, czy ci, co nie gardzą żadnym fałszem i żadnym środkiem, byleby słowo prawdy do ludu nie doszło.

Deputacja włościan z pow. śniatyńskiego była 23 z. m. na audjencji u p. namiestnika i wręczyła mu obszerny memorjał w sprawie działań urzędników politycznych przy zeszłorocznych dopełniających wyborach do Sejmu, prosząc zarazem, by nakazał podwładnym sobie organom, iżby nie mięszały się do nadchodzących wyborów,

Namiestnik przyjął deputację bardzo uprzejmie i przyrzekł uczynić wszystko, co jest w jego mocy, by akcja wyborcza ani na chwilę nie zeszła z drogi legalnej.

Przewodnik Kółek rolniczych. Pod tym tytułem zaczęło wychodzić cenne pisemko ludowe, mające na celu podawanie ważniejszych wiadomości o kółkach i udzielanie potrzebnych tymże wskazówek. Treść 1. zeszytu jest następująca: 1. Od zarządu głównego Towarzystwa Kółek rolniczych. 2. Jakie jest zadanie Kółek rolniczych, jak one zawiązują się i organizują. 3. O nowo zawiązanych Kółkach rolniczych. 4. Co się dzieje w pojedynczych Kółkach rolniczych. 5. Ze sprawozdań Kółek rolniczych o lustracji gospodarskiej, którą przeprowadzili lustratorowie Towarzystwa Kółek rolniczych: a). p. Edmund Bielski; b) p. Zygmunt Gawarecki; c) p. Seweryn Wiśniewski. 6. Jak Kółka rolnicze bronić się winny przeciw opodatkowaniu utrzymywanych dla członków składów towarów (sklepików). 7. O uwolnieniu przemysłu domowego od podatku zarobkowego dla wiadomości członków Kółek rolniczych, trudniących się przemysłem domowym. 8. W sprawie trafik, utrzymywanych przez Kółka rolnicze. 9. O pobieraniu towarów kolonialnych przez sklepiki Kółek rolniczych od Stowarzyszenia „Narodnaja Torhowla“ we Lwowie. 10. O pobieraniu mydła przez Kółka rolnicze od spółki fabrykacji mydła w Gorlicach. 11. Lustracje gospodarstw włościańskich w porze wiosennej roku 1889. 12. Nasiona do wiosennych wysiewów dla Kółek rolniczych. 13. Maszyny i narzędzia rolnicze dla Kółek rolniczych. 14. Szczepy owocowe dla Kółek rolniczych. 15. Książki dla Kółek rolniczych. 16. o rozwiązaniu Kółka rolniczego w powiecie myślenickim dla przestrogi innych Kółek. 17. Z posiedzenia zarządu głównego Towarzystwa Kółek rolniczych dnia 9.

kwietnia 1889. 18. Do szanownych zarządów Kółek rolniczych,

Pożary w ciągu miesiąca zniszczyły 4 miasteczka: Oleszyce, Pomorzany, Cieszanów i Podhajce. W Podhajcach spłonęło około 600 domów; szkoda wynosi przeszło miljon złr. W tym samym czasie ogień obrócił w niwecz koło 200 zagród włościańskich.

Szlachetny czyn naszego ludu. We wsi Sielec powiatu stanisławowskiego skradziono księdzu konie. Ksiądz nie będąc człowiekiem zamożnym, poniósł przez to dotkliwą stratę. Włościanie cicho, bez rozgłosu, złożyli między sobą 300 złr. i ofiarowali księdzu na zakupno koni. Ksiądz pieniędzy nie przyjął — a sam fakt, świadczący o ludzie naszym godny jest zapisania.

Odpowiedzi od Redakcji.

Włościanom z pod Rudek. Z listu waszego widzimy, że się obawiacie nacisku ze strony Towarzystwa zaliczkowego na wyborców. Jeśli choć jeden taki fakt zajdzie, natychmiast napiszcie a razem z listem uprzednim wydrukujemy.

Panu J. Zającowi. Za starania o czytelników serdecznie dziękujemy. Kłaniajcie się p. Janowi K. Co słychać o wyborach?

Do wszystkich. Ponownie zwracamy uwagę, że reklamacje o numera gazetki wolne są od opłaty pocztowej.

Co tam słychać w świecie?

Ostatnie dwa tygodnie przyniosły nam sporą wiązankę ciekawych wiadomości, pomiędzy któremi na największą zasługują uwagę bezrobocia, jakie wybuchły w różnych miejscowościach w Niemczech. We Westfalji mianowicie i Szlązku świętowało przeszło sto tysięcy górników, którzy żądali powiększenia płacy dziennej i skrócenia dnia roboczego. Robotnicy wysełali nawet deputację do cesarza niemieckiego, który oświadczył, ażeby robotnicy starali się pogodzić z właścicielami, a przedewszystkiem trzymali się w granicach prawnych, inaczej bowiem użyje sam cesarz przeciwko nim siły, to jest każe wszystkich, jak pisały niemieckie dzienniki, wystrzelać. Robotnicy odpowiedzi tej się nie ulękli, tylko świętowali dalej i dopiero w tych dniach podjęli na nowo robotę, ponieważ pracodawcy zgodzili się po części przynajmniej na na ich żądania. Deputacji polskich górników ze Szlązka cesarz niemiecki wcale nie przyjął.

W Belgji toczył się ciekawy proces przeciwko socjalistom, którym zarzucono, że dążyli do obalenia obecnego stanu rzeczy, a postawienia na jego miejscu porządku nowego, mianowicie zaś, że występowali przeciw dzisiejszemu rządowi, że chcieli zniszczyć monarchję a zaprowadzić rzeczpospolitą, t. j. taki rząd, gdzie nie rządzi król dziedziczny, tylko prezydent, obierany przez lud. Śledztwo wykazało, że rząd sam wysełał pomiędzy robotników ajentów, którzy ich podburzali do czynów karygodnych, aby mieć powód do uciskania robotników. Na podstawie zeznań prezydenta policji belgijskiej, uwolniono wszystkich oskarżonych. Wskutek tego przyjdzie prawdopodobnie do zmian w rządzie.

W Berlinie bawił włoski król Humbert i był nadzwyczajnie przyjmowany. Gniewa to Francuzów, ponieważ sądzą wszyscy, że Humbert wraz z prezydentem ministrów, Crispi'm, przybył w tym celu do cesarza niemieckiego, aby tem ściślejszy zawiązać sojusz z Niemcami przeciwko Francji, pomimo że kraj ten jest spokrewniony plemiennie z Włochami i pomimo, że sam lud włoski nie życzy sobie bardzo zbyt wielkiej przyjaźni z Prusakami.

W Petersburgu bawił przez kilka dni szach to jest cesarz perski, Nasr-Eddin który obecnie bawi w Warszawie, skąd się ma udać na wystawę paryską.

Wystawa paryska udaje się świetnie, choć państwa monarchiczne nie wzięły w niej urzędowego udziału: jedne przez wzgląd, że Francja jest krajem wolnym, drugie, że nie ma króla i że urządziła wystawę tę na uczczenie setnej rocznicy wielkiej rewolucji.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.** Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 6. We Lwowie, dnia 15. Czerwca 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

Centralne komitety wyborcze.

(List do Redakcji „Przyjaciela Ludu“).

Nieraz już słysząc i czytając o centralnych komitetach wyborczych, o posłuszeństwie, jakie im każdy jest winien i o solidarności, jaka nas wszystkich w obec nich obowiązuje, zastanawiałem się co też to właściwie są komitety centralne? Czytając ustawy, statut Sejmowy i Rady państwa i ordynację wyborczą, nigdzie o nich nie spotykam żadnej wzmianki. Sądzę więc, że komitety centralne tworzą się tylko, aby utrzymać jak największą solidarność swego stronnictwa, by Sejmowi dostarczyć jak największej ilości swoich zwolenników. Są to więc instytucje prywatne, z prywatnych dobrowolnych składek koszta swe opędzające. Każdy kandydat w miarę swych środków składa do rąk komitetu pewną rzecz na agitację. Im majętniejsi kandydaci, im bogatsze stronnictwo, tem też i komitet centralny większymi środkami rozporządza, zwłaszcza jeżeli wyborcy są ciemni i dają się łatwo powodować.

Mamy trzy komitety centralne: szlachecki, miejski i ruski. Przypatrzmy się im po kolei.

Od r. 1861 mamy zaprowadzone Sejmy krajowe. Dotychczas odbyło się już 5 perjodów. Podczas pierwszych perjodów lud jeszcze nie był politycznie dojrzały, mimo to jednak wybrał więcej swoich reprezentantów. Zdawało się, że postępując z latami, lud nasz tak samo jak i w innych krajach będzie się stawał coraz świadomszym swoich praw. Tymczasem stało się inaczej. Szlachta, pod firmą marszałków powiatowych, a później pod firmą centralnego komitetu, stworzyła maszynę do narzucania dziedziców lub ich zwolenników chłopskich. Pomimo wydanego równouprawnienia zachowali oni jeszcze tę tradycyę, że tylko szlachta ma przewodniczyć narodowi, a reszta narodu nie jest do tego uprawnioną. Doszedłszy swymi zabiegami do zajęcia prawie całego Sejmu przez swych ludzi, w dwóch ostatnich perjodach po ukończeniu Sejmu prywatnie wybierają komitet centralny, chcąc się narzucić ludowi.

Niech sobie komitet centralny, złożony z samych panów, czuwa nad solidarnością swojej kurji większych posiadłości, ale nie klasy pracującej, która już powinna być pełnoletnią i radzić sama o swoich prawach. Niech raczej zapatruje się na dzi-

siejsze stanowisko rządu, który postanowił, aby przy wyborach żadnego nacisku na lud nie wywierać, w którym to celu p. namiestnik odradził starostom, aby nie kandydowali na posłów i aby się nie mieszali do wolnych wyborów. Narzucający się na posłów panowie nie mogą zastępywać klasy pracującej, bo oni właściwie dążą do tego, aby dla siebie przywileje utrzymać a od ciężarów się uwalniać. I tak przy spłacie pańszczyzny nawet biedna klasa chałupników i rzemieślników, która nigdy pańszczyzny nie robiła, musiała płacić równe datki indemnizacyjne, a tymczasem przy ustawie szkolnej nałożono na dwory %, a na gminy 9% dodatków, a przy ustawie drogowej cały ciężar zwalono na gminy, w miastach nawet nędznych czynszowników nie pominięto, a dwory jeszcze zarabiają na drzewie, które wydają na mosty.

Niegdyś, kiedy nie było dzierżaw polowania, mógł porządny gospodarz otrzymać kartę noszenia broni. Dziś i najporządniejszy nie otrzyma; chociaż mu dziki w polu szkodę robią, on nie ma czem ich odpędzać. Dawniej do pisarzy gminnych Wydział powiatowy nie miał nic, — dziś forytuje takich, co mu idą na rękę, nieraz takich, co defraudują kasy gminne i podatki, a prześladuje nieraz takich, którzy są poczciwi i obstają za gminami. Taki protegowany w jarosławskim powiecie krzywdził gminy, lecz patrzono przez szpary i jeszcze go narzucono gminom, a na innego, który broni gminy, tylko kluczki szukają, a nie znalazłszy nic, szukają potwarzy. Dawniej w pierwszych wiekach chrześcijaństwa lud sam obierał sobie księży. Później, gdy nastała pańszczyzna, dwory przywłaszczyły sobie prawo prezenty. I teraz, chociaż bardzo mały udział dają, bo tylko szóstą część po potrąceniu robocizny, a nie mieszkając w gminie nawet w dodatkach konkurencyjnych nie mają udziału, tak że w reparacyach kościelnych i plebańskich nawet 20-tej części kosztów nie ponoszą, jednak prezentują księży. Dla tego się trafia, że proboszcz nie idzie za ludem, ale za wolą pana, nie do oświaty ludu, do wyjaśnienia jego obowiązków i praw. Zdarza się, że nie karci pijaństwa, bo by to przyniosło uszczerbek panu, który publicznie liczy sobie od 50 ct. do 1 złr. czystego zysku od każdej duszy mieszkającej we wsi. Odebrano też teraz gminom prawo prezentowania nauczycieli. Zgoła z dzisiejszej autonomji dl ludu tylko strzępy pozostały, chociaż lud coraz bardziej ugina się pod ciężarami. Ot weźmy chociażby taksę wojskową! Rozrzucona na wszystkich według podatku wyniosłaby po 1 ½ ct. od 1 reńskiego podatku, a teraz muszą biedni parobcy płacić po reńskiemu, a dwory bardzo rzadko gdzie dają, bo syn jeśli służy w wojsku jest oficerem, a więc wolny od taksy.

Źle jest, a jeszcze gorzej będzie. Wszak były w Sejmie projekty, aby zmusić chłopów we żniwa do dworu na robotę, »by nie upadła kultura krajowa«, to znowu gdy dwór da chłopu na przednowku zboża i zgodzi się na odrobek, aby potem wójt mógł zmusić chłopa do roboty. Był także projekt o gminach zbiorowych, w których zarządzie miałaby przewagę inteligencja, t.j. głównie dziedzice, ale jeszcze nie było jakoś czasu na przeprowadzenie tych wszystkich projektów, a więc pozostały one w zawieszeniu. Lecz i bez tego dziś już dla włościan pod pewnemi względami gorzej, niż było za pańszczyzny, bo wtedy podatki były małe,

a dwór był zobowiązany dać pastwisko, drzewa na opał, na budynek, na kościół, na szkołę, a dziś wszystko cięży na chłopie. Trzy dni w tygodniu pańszczyzny po 15 ct. warte są dziś 23 złr. rocznie, a za pastwisko od 3 lub 4 krów już trza zapłacić te pieniądze, a co mówić o innych ciężarach! W teraźniejszych sejmach chłopscy pełnomocnicy, panowie, radzą tylko na swoją korzyść. Pouchwalali np., że dzierżawę polowania można przedłużyć na 10 lat (jeżeli się uda ją za bezcen wydzierżawić). Przy wykupnie propinacji posłowie chłopscy powinni dążyć do tego, by dworom dać jak najmniej renty. Wszak jeszcze przed dwudziestu laty jeden poseł nazwał propinację trupem, a drugi (Kowbasiuk) »zdechłą kobyłą«, a na wiecu ruskim chłopi oświadczyli się za tem, by znieść propinację bez wszelkiego wynagrodzenia. Tymczasem posłowie »chłopscy« przyznali sobie takie wynagrodzenie, na jakie nawet rząd nie mogł od razu przystać. Na kraj zwalono ręczycielstwo za pożyczkę w sumie 64 miljonów. Całą pańszczyznę w r. 1849 oszacowano na 58 miljonów, a panowie sprzedali bankierom obligi indemnizacyjne po 62% t. j. za 36 miljonów, co po strąceniu istniejącego wówczas agio na 50% za granicą tylko 18 miljonów srebrem uczyniło, mimo to jednak kraj został na długie lata obciążony tym długiem i musi spłacić ogółem około 500 miljonów. Z porównania przypuścić można, że i dług propinacyjny obciąży kraj nasz nową sumą o paręset miljonów złr., a jeżeli pijaństwo wskutek nędzy, braku gruntów i zarobku lub też wskutek umoralnienia ludu ustanie, to kraj będzie musiał tę sumę w dodatkach do podatków spłacać. A panowie, wziąwszy spłatę przy sprzyjających okolicznościach bardzo łatwo uchwalą sobie przywilej pierwszeństwa w dzierżawieniu karczem, i »święta« propinacja trwać będzie dalej!

Przewodnią myślą śp. marszałka Zyblikiewicza było założyć bank krajowy dla umożliwienia gminom zakupowania gruntów od podupadłych dworów lub dla zakładania fabryk i spółek rzemieślniczych celem podniesienia rękodzieł i przemysłu krajowego. Tymczasem czemże stał się dzisiaj ten bank krajowy? Magnaci pożyczają w nim po kilkadziesiąt tysięcy, może nawet tacy, którzy ojcowiznę na różne rozpusty lub w Monaco przetrwonili, tak że nawet sami panowie w sejmie przeciwko temu przemawiali.

Dawniej Sejm i Wydział krajowy mieścił się w budynku najętym za 20 tysięcy rocznie. Panowie wystawili budynek kosztujący około 3 miljonów; gdyby tę sumę wypożyczono, to procent wynosiłby do 150 tys. rocznie. U nas przeciwnie: na uzyskanie tej sumy zaciągnięto pożyczkę, za którą kraj jeszcze płaci procenty. Wogóle pożyczek na kraj już tyle pozaciągano, że gdyby się teraźniejszy stan nie zmienił, toby kraj zbankrutował.

Komitet centralny zatwierdza takich, którzy dla ogólnej sprawy ludu nic a nic nie zrobili. Dlatego komitet centralny szlachecki nie jest legalną instytucją, przydatnym jest bardziej dla większych niż dla mniejszych posiadłości, i wobec Boga i ojczyzny nie powinien obowiązywać włościan.

O komitecie centralnym ruskim, który składa się z duchowieństwa i inteligencji świeckiej, przeważnie z ludu pochodzącej tyle tylko powiem, że inteligencja ruska, nie mając szlachty, głównie usiłowanie swe kieruje ku podniesieniu ludu, a więc

ten komitet jest całkiem odmienny od szlacheckiego.

Co się tyczy komitetu mieszczańskiego, to przypomnieć muszę, że właśnie mieszczanie zasłużyli się najwięcej w sprawie ojczyzny. We wszystkich ruchach patrjosycznych bardzo wiele było młodzieży mieszczańskiej, a i dzisiejsza konstytucja istnienie swe w znacznej mierze zawdzięcza mieszczaństwu i młodzieży miejskiej. Niestety, panowie dziś najwięcej chcą korzystać z konstytucji, a tych, którzy za nią nieśli życie w ofierze, radziby pognębić. Ponieważ miasteczka przy głosowaniu na posłów należą do kurji wiejskiej, przeto komitety ruski i mieszczański, o ile nie ma komitetu centralnego włościańskiego, zasługują na zaufanie włościan, a komitet szlachecki, chcący mimo zniesienia pańszczyzny narzucać się włościanom, nie powinien znaleść między nimi żadnego posłuchu.

M. F.—z.

Przedwyborczy ruch ludowy.

Odezwa włościan krośnieńskich.

Drodzy bracia włościanie tak polacy jak i rusini.

Wypadało nam koniecznie pójść za przykładem naszych najbliższych sąsiadów, światłych włościan jasielskich, i dlatego w dniu 15. maja zawiązaliśmy przedwyborczy komitet włościański z naszej kurji mniejszej posiadłości, mający na celu wybór posła na sejm krajowy w krośnieńskim okręgu wyborczym. Pomimo tego, że ogłoszenie zwołujące do zawiązania komitetu rozesłaliśmy bardzo późno, bo dopiero 14. maja, przecież jawiło się na posiedzeniu aż 29 włościan przeważnie wójtów, którzy wszyscy jednogłośnie zgodzili się na to, by kandydatem na posła do sejmu ogłosić współbrata naszego włościanina **Jana Skwarę z Targowisk,** członka wydziału Rady powiatowej i okręgowej Rady szkolnej w Krośnie, oraz wybrali podpisany ściślejszy komitet, polecając mu, aby wszystkimi siłami dążył do tego, by wszyscy włościanie całego powiatu jednomyślnie naszego kochanego i przez wszystkich poważanego współbrata Jana Skwarę posłem na Sejm krajowy wybrali.

A więc, bracia, wzywamy was z największych głębin serca naszego, podajmy sobie wszyscy rękę do jednej wielkiej, wspólnej, jednozgodnej pracy. Szanujmy sami siebie i postanowienia nasze, aby i inni nas szanować mogli, niech nas nic z obranej drogi chlubnej nie sprowadzi, ani obłudne namowy ani pijatyka, lub ohydne przekupstwo, niechaj pomiędzy nami nie będzie ani jednego judasza, któryby zdradził sprawę włościańską. Bracia! oczy całego kraju będą na nas patrzeć i będą się chciały przekonać, czy my tylko gładkie słowo wymówić umieli, czy też postanowienia nasze po męsku i w czyn zamienić potrafimy. Do zgody tedy, do zgody! Do zgody bratniej, silnej i wytrwałej, niechaj kraj nasz zna, jakich synów ma!

Wrocanka dnia 15. maja 1889.

Ściślejszy wybrany komitet: Wojciech Zygmunt, włościanin, wójt z Iwonicza jako przewodniczący, Józef Jaracz, wójt z Suchodoła jako zastępca przewodniczącego, Stanisław Miezin, wójt z Krościenka niżnego jako sekretarz, Antoni Kędra, włościanin z Toraszówki i Jan Fejkel, wójt z Krościenka wyżnego, jako delegaci do ko-

mitetu centralnego, Stanisław Słyś, wójt z Głowienki, Jan Węgrzyn, wójt z Miejsca, Józef Żywiec, zastępca wójta z Krościenka wyżnego, Michał Jorasz, wójt z Odrzykonia i Mateusz Pernul, wójt z Lubatowej jako członkowie komitetu.

Zubok Andryj, podwójci z Tylawy, Dochniak Andryj, radny z Tylawy, Tymko Hulik, wójt z Trzciany, Dulak Paweł, radny z Hyrowej, Martyniak Waśko, wójt z Mszany, Przynik Szymon, wójt z Hyrowej.

Komitet włościański okręgu Gorlickiego, zawiązany 14. maja w **Gorlicach** tworzą: Prokop Józef, włościanin polski z Męciny wielkiej jako przewodniczący, Dragan Mikołaj włościanin ruski z Rozdziela jako sekretarz, Wasyl Rewek włościanin ruski, podwójci z Pregoniny, Walenty Stanula organista z Rozembarku, Humkowicz Stanisław wójt, włościanin polski z Sękowej, Konrad Rachel włościanin ruski z Ropicy, Mika Jan wójt, włościanin polski z Krygu, Ilko Kruk, włościanin ruski, wójt z Wapiennego, Czech Jan, włościanin polski, zastępca wójta z Libuszy, Firlyt Wojciech, włościanin polski, pisarz gminny z Sietnicy, Białoń Józef, włościanin polski, podwójci z Krygu, Janus Wojciech, włościanin polski, pisarz gminny z Bugaja, Aleksander Walewski, włościanin ruski, podwójci z Dragaszowa, Piotr Janas, włościanin polski, wójt z Mszanki, Dusza Józef, włościanin polski, podwójci z Mszanki, Lepa Izydor, włościanin ruski, przysiężny z Mszanki, Osikowicz Józef, włościanin polski, wójt z Kobylanki, Firszt Wojciech, włościanin polski z Wójtowy, Woźniak Wojciech, włościanin polski, wójt z Dominikowic, Woźniak Józef, włościanin polski, podwójci z Dominikowic, Dutka Wincenty, włościanin polski radny z Racławic, Klimowicz Maciej, włościanin polski, wójt z Sokoła.

Kandydatem włościańskiego Komitetu w okręgu Gorlickim jest profesor Tomasz Pawłowski.

Zawiązany 28. maja w **Nowym Sączu** *Komitet włościański* tworzą następujący włościanie: Jan Potoczek z Rdziostowa jako przewodniczący, Ciągło Tomasz z Podegrodzia jako zastępca przewodniczącego, Potoczek Jan z Chełmca jako sekretarz, Baran Józef z Dąbrowy jako delegat do centralnego komitetu przedwyborczego włościańskiego, dalej jako członkowie komitetu: Jurczak Józef, assesor, Jan Kumów radny z Chełmca polskiego, Stanisław Potoczek wójt, Jan Szkaradek z Rdziostowa, Jakób Bawołek wójt, Józef Janik radny z Swiniarska, Maksymilian Szelc wójt z Naszacowic, Jakób Jeleń wójt, Paweł Przychocki radny z Skrudziny, Jakób Ladenberger wójt z Gołkowic niemieckich, Wojciech Ciągło wójt z Mostków, Antoni Cwikowski radny z Cyganowic, Józef Gargas wójt, Jędrzej Kasal radny z Biegonic, Michał Leśniak wójt z Trzetrzewiny, Jan Pasiut Piotr Bawołek radni z Szymanowic, Jakób Zając wójt z Moszczenicy wyżnej, Jan Słowik wójt z Moszczenicy niżnej, Karol Fritz wójt z Gaju, Franciszek Kowac wójt z Falkowy, Jan Rołka wójt, Stanisław Bocheński, Jan Skoczeń, Jakób Zieliński, radni z Naściszowy, Michał Poręba radny z Gaju, Jan Michalik assesor z Kunowa, Franciszek Migacz wójt, Jan Góra radny z Gołąbkowic, Sebastyan Miczołek wójt z Paszyna, Franciszek Swierczek radny, Maciej Wańczyk assesor z Piątkowy,

Michał Krzystoń radny z Chruślic, Jan Antos wójt z Zawady, Jan Korczeński assesor z Januszowy, Wojciech Popiela assesor z Bielowic, Józef Chrzanowski wójt z Siedlec, Maciej Mucha wójt z Słowikowej, Stanisław Mąka wójt z Librantowy, Jan Marczyk wójt z Myślca, Paweł Ramsa wójt z Zabełcza, Jan Głaczyński wójt z Zbyszyc, Jan Górowski wójt z Jelny, Michał Swiderski radny z Lipia, Jan Wierny radny z Sienny, Stanisław Tokarz assesor z Klimkówki, Jan Szkaradek gosp. z Kurowa, Józef Sołtys wójt z Białej wody, Jędrzej Zaporowski wójt z Tęgoborzy, Franciszek Józefowski assesor z Świdnika, Jędrzej Pałomski assesor z Zawadki, Michał Łagosz wójt z Wronowic, Józef Szkarłat gosp. z Łyczanki, Józef Ogórek gosp. z Popardowy, Antoni Szarata wójt Wilkonoszy, Jan Dąbrowski wójt, Jan Sowa assesor z Marcinkowic, Jędrzej Wańczyk assesor z Boguszowy, Marcin Lutwiński wójt z Michalczowy, Wojciech Woźniak wójt z Łęg, Michał Żelazko, assesor z Naściszowy, Jan Janik assesor, Wawrzyniec Plata, Wojciech Janik radni z Mostków, Józef Bodziony radny z Podrzyca, Adam Sikorski radny z Jelny, Stanisław Nowak assesor z Michalczowy, Józef Medwecki burmistrz z Muszyny, Jan Rybski assesor z Tabaszowy, Szczepan Pasiut radny z Znamirowic, Jan Dominik wójt z Dąbrowy.

Kandydatem komitetu włościańskiego w okręgu Nowo-Sądeckim jest Stanisław Potoczek, wójt z Rdziostowa.

Od Nowego Sącza. My tu w zachodniej części kraju jesteśmy bardzo mądrzy po każdej sprawie, odgrażamy się zawsze, że drugą razą będziemy mądrzejsi; gdy znowu przyjdzie czas jesteśmy jak baranki. Tak się dzieje i obecnie gdy chodzi o przedstawienie kandydata na posła z kurji gmin wiejskich, a my sami się pchamy nieproszeni jak bazyliszkowi, gdy oczy wytrzeszczy.

Skąd ma władzę centralny Komitet urządzać komitety wyborcze z mniejszych posiadłości? Przez ludzi sobie oddanych zwołuje do przedstawiania kandydata na posła włościańskiego — adwokatów, notarjuszy, szlachtę z większych posiadłości i wybierają kogo sobie upodoba ta klika konserwatywna.

Tak było i u nas na zebraniu 24. maja w Nowym Sączu. Szlachty z większej posiadłości było blisko połowa całego zebrania; byli notarjusze, adwokat, dyrektor kasy zaliczkowej, pastor i księża. Nie wspominałbym o księżach, ale ci także większą częścią idą przeciw nam zapewne dlatego, że niemożemy być kolatorami. Po otworzeniu posiedzenia przez marszałka Gustawa Romera postawiono jakoś niewyraźnie na kandydata tegoż p. Romera, który nie bardzo ochotnie to przyjął ze względu, że będzie wybrany z większych posiadłości. Dalej p. Gedel proponował p. Olszewskiego, adwokata. Następnie przedstawił się p. Żuk Skarszewski i wystąpił z mówką, ale bardzo nudną. Gdy wystąpił z kandydaturą Józef Chrzanowski, wójt z Siedlec, zaraz jeden pan z większych posiadłości (Skąpski) wystąpił przeciw tej kandydaturze, mówiąc, że nie sztuka brać 5 złr. dziennie, a nic nie robić i jeszcze się z wójta wyśmiano; a przecie p. Żuk Skarszewski wiele nie zrobił w Sejmie i inni, a brali po 5 złr. i nikt im nie wytykał, a i pan Skąpski, gdybyśmy go wysłali, także nie wiele zrobi.

Widząc rezultaty posiedzenia, włościanie postanowili działać na własną rękę. Okazuje się, że i chłopi choć mazury przeglądają: 28. maja urządzili wiec gdzieś za wielkim

mostem u świętej Heleny i tam przedstawili ze swej strony kandydata. Pokaże się 2. lipca kto zwycięży czy piwo i kiełbasa, czy też zmowa u świętej Heleny. Jeżeli wszędzie włościanie ulegną, to bieda rosnąć nie przestanie. A bieda dziś wszędzie. Jeżeli się w polu urodzi, to jeszcze jako tako, ale często na podatek trzeba na lichwę u żyda pożyczyć. Jeszcze dotkliwsze są różne ciężary, jak warty nocne, warty kościelne, asekuracya kościołów i budynków plebańskich, drogi, mosty, składki na kościoły, plebanie, szkoły i t. d. Do tego mają przyjść inne. To za wiele; toż widzą nasi opiekunowie, że boso chodzimy, bo już na buty nie starczy.

Radzą o dachówkach, o słomie ogniotrwałej, a tu często się zdarza, że jedlicami na chałupie dziury się zatyka, bo nie ma słomy i nie ma jej za co kupić. Mówią o ustawie budowniczej, a tymczasem opiekunowie niszczą lasy i albo wcale nie ma drzewa gdzie kupić albo trzeba bajeczne ceny płacić za drzewo, bo wysprzedadane do Gdańska. Mamy teraz niby równe prawa, a czy prawo polowania także jest równe? Kto ma 200 mórg obszaru ma swoje własne polowanie. Czyż ten co ma 190, 100 lub 10 nie jest takim samym właścicielem, jak tamten? Jeszcze inne nierówne są stosunki między temi: patronat czyli kolatorowanie! Żeby przynajmniej ten kolator spytał się parafian, czy chcecie tego a tego? Ale gdzież pytać się motłochu. Są tu różne pobudki wcale się nie pytać. *J. G.*

Z Chrzanowskiego otrzymujemy list następujący: Dnia 3. czerwca odbyło się posiedzenie przedwyborcze w sali Rady powiatowej w Chrzanowie, na które zawezwano przeszło 60 osób, najwięcej hrabiów, sędziów, urzędników, notarjuszów, adwokatów i księży. Włościan było 10. Kierownikiem posiedzenia był p. Antoni hr. Wodzicki, wice prezes Rady powiatowej w Chrzanowie. Po otworzeniu dyskusji zabrał głos Wincenty Noworyta członek rady pow., podnosząc że bardzo małą ilość wezwano ze stanu włościańskiego i że potrzebaby zawezwać $^2/_3$ ze stanu włościańskiego a $^1/_3$ z inteligencji, chcąc uniknąć nieprzyjemności, jakie się nieraz zdarzały, iż komitet przedwyborczy ustanowił jakiegoś kandydata, a wyborcy wybrali innego. W odpowiedzi utrzymywał hrabia Wodzicki że takie rzeczy działy się przed 12. laty, ale nie będą się działy teraz. Ponownie przemawiał Win. Noworyta zaznaczając, że to są wybory, z kurji gmin wiejskich, że włościanie mają prawo wybierać kandydata ze stanu włościańskiego, a nie hrabiowie, nie panowie, nie księża. Wniosek upadł, bo nie miał za sobą większości. Po dosyć długiej dyskusji przedstawili na kandydata hr. Artura Potockiego, poczem zabierali głosy pp. notarjusz z Krzeszowic, Lebensfeld z Chrzanowa i Bienkowski, nadinspektor podatkowy, wychwalając hr. Potockiego za to co zrobił dla powiatu Chrzanowskiego, że Bank włościański zapłacił swojemi pieniędzmi, uratował włościan od bankructwa, że przeprowadził ustawę propinacyjną i t. d.

Otóż po pierwsze hr. Potocki, ratując Bank włościański, ratował tych którzy mieli wkładki i papiery tego Banku, a kupując papiery po 50 złr. i niżej spłacał niemi bank, które je przyjmował w cenie 100 złr.; po drugie hr. Potocki pomagał przeprowadzić ustawę, co do wykupna propinacji z korzyścią dla siebie i innych dworów, przeto hr. Potocki ani w jednym ani w drugim razie włościanom żadnego dobrodziejstwa nie wyświadczył tylko mając pieniądze, wydał 100 tysięcy i zyskał na tem drugie tyle. Co w hrabstwie Teńczyńskiem komu dadzą, jake dobrodziejstwa włościanom zrobią? Patrzą

jeszcze coby wydrzeć, jak w Oklesny, gdzie sądzą się o papiernię, którą dwóch gospodarzy posiadało przeszło 100 lat, a dzisiaj się o to procesują, chcąc im odebrać i zostawić sieroty małoletnie po rodzicach, którzy w r 1873 na cholerę pomarli. My włościanie nie będziemy 2. lipca głosować na hr. Potockiego, ale na włościanina któryby naszych praw bronił. Do was P. Wyborcy włościanie odzywam się, bądźmy jednego ducha narodowego, nie dajmy się uwodzić obiecankami, poczęstunkami, bo przez to zdradzicie nietylko siebie, ale i tych którzy was wybrali i zdradzicie tak jak zdradził Judasz Pana swego, Jezusa Chrystusa.

(Pozostawiamy bez zmiany słowa Sz. korespodenta o ratowaniu włościan przez hr. Potockiego, lecz prosimy przy tej sposobności wszystkich, komu ta sprawa dokładnie jest wiadomą, by wyjaśnili, jak właściwie hr. Potocki przeprowadził ów ratunek chłopów od banku i ile brał od nich spłaty za długi bankowe, które sam pokrył?)

W Chrzanowskiem chcą włościanie mieć posłem **Wincentego Noworytę** z Zagórza, członka Rady powiatowej.

W powiecie wielickim, gdzie komitet centralny wbrew woli ludu zatwierdził p. Niedzielskiego, włościanie oburzeni takiem postępowaniem zwołali wiec i dnia 11. b. m, na zgromadzeniu z wszystkich sądowych powiatów starostwa wielickiego, w którem wzięło udział przeszło 80 włościan, przyjęli jednogłośnie kandydaturę **dra Andrzeja Wcisłę** z Bochni, syna włościanina z Bierzanowa, na posła sejmowego z małych posiadłości powiatu wielickiego. Włościanie postanowili energicznie za tą kandydaturą rozwinąć działanie, a z całą stanowczoscią i oburzeniem potępiają tych co środkami pieniężnemi dają się bałamucić, a jeszcze bardziej tych, co tak niemoralnemi środkami do poselstwa dążą. Jacy to bywają kandydaci na posłów i jakimi byliby oni dla ludu ustawodawcami, gdyby się dorwali do Sejmu, niech przekona co poniżej ku pouczeniu czytelników o p Niedzielskim podajemy z »Gazety Naddniestrzańskiej« z r. 1886.

„Jest to pan wielkiego obszaru ziemi, bo posiada aż 8 wsi, ale wszedł w ślady Bismarka i Murawiewa. Nie znajdziesz tu w sąsiednich gminach ani jednego człowieka, któryby mu ufał. Jest to człowiek mściwy, podstępny, dumny, a co najgorsza chciwy cudzej własności. Ma on między innemi i tę nawyczkę, że prostuje granicę przez chłopskie grunta, gdzie mu się podoba. Poprzywłaszczał sobie cudze wałki u wrocia drogi, nikłe, a nawet małe kawałeczki pastwiska pomiędzy domami jego sąsiadów, do których nigdy żaden dziedzic tego dworu pretensji nie rościł. Okopał takowe rowem, a to tylko w tym celu, aby biednemu ludowi naszemu dokuczyć, pozagubiał drogi i ścieżki odwieczne przez swoje pola. Nawet źródło, z którego od niepamiętnych czasów lud nasz wodę dla użytku domowego czerpał, tenże pan dziedzic zawalił kamieniami, pod pretekstem, że było na rogu jego lasu. Jagód i grzybów nie pozwala dzieciom zbierać, a gdy się roku bieżącego dzieci w jego lesie zebrały na majówkę z nauczycielami — wszystkie rozegnał, nie widząc powodu pozwolić na taki czyn szlachetny. Gdy dostrzega na swej ścierni wieprze lub gęsi, zaraz strzela je. Nie zajrzy tam do dworu żaden włościanin, bo dziedzic z nim rozmawiać nie będzie. On jest przecież Jaśnie Wielmożnym a do tego Oświeconym, gdyż Dr. praw, a ty chłopie biedny i głupi stój za drzwiami, jak długo ci się podoba. Taka to jest u nas bratnia miłość i zaufanie. Mówimy: „kochajmy się“ i „łączmy się“

ale to tylko na .. papierze, gdyż ani ty mnie ani ja ciebie nie chcę kochać szczerze. Ale wracam jeszcze do zaboru cudzej własności przez Jaśnie Wielmożnego dziedzica naszego. Z pomiędzy włościan tylko czterech nas wytoczyło proces dziedzicowi o naszą własność. Każdy zaś z nas mieszka w innej wsi, należących do owego pana dziedzica. Tamtych trzech zniszczył do szczętu. Tylko ja jeszcze dycham, a jaki koniec będzie ze mną, Bóg raczy wiedzieć. Takie to u nas równouprawnienie i miłość bratnia. Na zakończenie dodaję, że dziedzic nasz mieszka we wsi Sledziejewicach, powiatu i poczty wielickiej i że bardzo dobrze umie wojować kijem ze swoją czeladzią. Gdyby przyszło o ojczyznę nie umiałby żelazem".

W powiecie brzeskim występuje jako godny kamrat p. Niedzielskiego hr. Jan Stadnicki. Umie i on dobrze władać kijem, jak tego dał dowód niedawno, smagając synka kancelisty w Wojniczu, za to, że malec mu się nie pokłonił. Jest to jeden z tych panów, co gardzą ludem, a w chwili wyborów ograbiają go z jedynego dobra, zapewnionego mu przez konstytucję — z prawa posiadania uczciwych pełnomocników i obrońców. Ludu brzeski! Czy wiesz ty, że ten, co sięga dziś po mandat poselski, popierał jako twój pełnomocnik, w twojem imieniu ustawę, dopuszczającą używanie batów na sługi, to znaczy na synów twoich, braci, ojców?!

Jak niepospolitą była zasługa wasza, że przy wyborach do Rady państwa wybraliście sobie dzielnego włościanina Orzechowskiego, tak sromotą by było, gdybyście ulegli zdradliwym namowom i wpływom i dali swe pełnomocnictwo takiemu hr. Stadnickiemu. Opinja wszystkich, co dobrze życzą ludowi, potępia tę kandydaturę. Pisma barwy demokratycznej jak *Kurjer Lwowski, Nowa Reforma, Dziennik Polski, Pogoń* tarnowska jednogłośnie lud ostrzegają. Życzą one, by hrabiego wygryzł Wilk, albo wygnał jak w r. 1885 przy wyborach do Rady państwa Orzechowski. Trzeba wam wiedzieć między innemi, że hrabia Stadnicki jest ajentem wiedeńsko-pruskiego banku (lenderbanku), który zawarł z krajem bardzo korzystny dla siebie kontrakt na wydanie obligacyj indemnizacyjnych za propinację galicyjską. Kraj i Sejm może być każdej chwili narażony na procesa z lenderbankiem. Jakaż to rola pilnować interesów tego banku i jednocześnie strzedz interesów kraju! Czyż to jest możliwe? A jednak hrabiowie Stadniccy, Wodziccy i inni lenderbankowcy wciskają się do Sejmu i to z kurji włościańskiej!

Nie wadzi przypomnieć, że ten sam lenderbank budował u nas kolej transwersalną i rozdał przy tem cały miljon złr. łapówek rozmaitym spekulantom właśnie miljon udzielony z krwawych pieniędzy krajowych na poparcie tej budowy.

Na szczęście kandydują u was dwaj tacy włościanie jak Tomasz Wilk i Jan Orzechowski. Czytelnikom naszym i całemu krajowi znane są zasługi i nieskazitetny, nieugięty charakter Jana Orzechowskiego, posła do Rady państwa i nieustraszonego obrońcy interesów ludu w Kole polskim. Samo imię tego męża powinno starczyć na największą rekomendację jego kandydatury. Drugi kandydat Wilk, jestto inteligentny, światły i prawy włościanin, który sprawie ludu może oddać rzetelne usługi. Sądzimy, że obaj kandydaci porozumieją się co do zgodnego działania, które jest niezbędnem dla stawienia oporu samozwańczej kandydaturze hrabiego-spekulanta.

Z Łańcuckiego. U nas tu komitet włościański jeszcze się nie zawiązał; tylko z ramienia rady powiatowej powołano kilkunastu włościan na zgromadzenie, na które

przeszło sto osób zaproszono dla ukonstytuowania komitetu mieszanego. Mógłby kto sądzić, że się u nas zanosi na tak nieszczęśliwy wybór jak zeszłą razą: byłego posła hr. Scipio wyborcy widzieli i mowę jego słyszeli, jak go wybierali, a potem się nie pokazał (może ze wstydu, że się oświadczał za wprowadzeniem chłosty cielesnej na sługi). Podawano petycyę do Sejmu na jego ręce co do ustawy drogowej, lecz żadnego znaku życia nie dał i nawet nie odpowiedział czy go doszła.

Dotąd niema pewnego jeszcze kandydata na posła, lud przemawia wiele za chłopem, lecz się nie zdecydował stanowczo na wybór jednego z możliwych kandydatów, a gdy nie chłop, to p. Bolesław Żardecki, obecny wicemarszałek, coby było najpożądańsze, bo ten człowiek każdemu włościaninowi dobrze doradza i z całego serca dobrze życzy, z czego nawet ma nieprzyjemności od arystokratów. Słychać, że p. Józef Kelerman, marszałek powiatu staje jako kandydat i że go rząd będzie popierał. Przemawia za nim to chyba, że za jego urzędowania i jego zastępcy ks. Ziemiańskiego gminy uparte, lecz niedoświadczone dobrze zostały poturbowane materjalnie. Lud go sobie nie życzy, lecz pytanie co sprawią agitacje, poczęstunki, obiecanki opału i t. p.

Trudno z ludem co zrobić: jedni mówią że nie będą na nikogo głosować, drudzy że że na cesarza będą głosowali, a najbardziej te gminy, co były egzekwowane za ustawę drogową.

Co do podziału gruntu, to nasza okolica nie życzy sobie ograniczenia, lecz o tem później napiszę. Namawiam ja tu sąsiednie gminy, aby sobie »Przyjaciela Ludu« zaprenumerowały i innym swego udzielam, ponieważ pismo to wiele działa dla ludu.

(Rozżalonym na ustawę drogową, którzy nie chcą głosować — bo i głosy na cesarza są nieważne, — wyrazić musimy swój smutek, że lekceważą prawo wyborcze i nie rozumieją snać związku między tem prawem a ustawami. Sarkacie na ustawę drogową, a gdzież jej źródło jeśli nie w wyborach z roku 1883? Ustawy tworzą pełnomocnicy wasi, których wola wasza do Sejmu powołała. Jeśli więc powierzacie mandat w niegodne ręce to nietylko wyrządzacie krzywdę sobie i dzieciom swoim, ale wyrządzacie straszną krzywdę całemu stanowi włościańskiemu i całemu krajowi. A w jakież to ręce dostaną się mandaty, gdy włościanie lekceważyć będą chwilę w której wpływ wywrzeć mogą na sześcioletnią działalność ustawodawczą? Zaprawdę, od chwili kiedy macie prawo wysyłać 74 posłów — i ci co lekceważą prawo wyborcze i ci, hańba im, co sprzedają swoje głosy, sprowadzają na kraj plagi i winni są łzom i nędzy ludu.

Słowa nasze weźcie do serca, bo z serca płyną. Przedewszystkiem bierzcie się do zawiązania włościańskiego komitetu. W tym celu porozumiejcie się natychmiast z włościanami z Handzlówki, z Franciszkiem Magrysiem, Antonim Szpunarem, Tomaszem Kopciem, Janem Lenorem, Janem Kisałą, Janem Magrysiem, Janem Kuźniorem, Franciszkiem Ciążyńskim. Napisali oni odezwę, w której wzywają braci włościan łańcuckich, aby się wzięli do utworzenia komitetu włościańskiego i przy tegorocznych wyborach zrzucili z siebie tę hańbę, jaką się dotąd przy wyborach okrywali. Na pierwszem zaraz posiedzeniu komitetu w drodze dyskusji i próbnego głosowania musicie uchwalić kogo uważać za swego kandydata, aby go popierać wszystkiemi siłami i głosów nie rozstrzeliwać, bo inaczej do niczego nie doprowadzicie.

Dotychczas słychać o kandydaturze 3 wło-

ścian. Co się tyczy p. Żardeckiego, o którym pisze sz. korespondent, osobiście go nie znamy, ale znamy kilka faktów świadczących, że jest szczerym względem ludu. Jeden z tych faktów taki: kiedy wyszła odezwa włościan jasielskich p. Żardecki napisał do redakcji jednego z dzienników, aby na jego rachunek wysłać numera z tą odezwą do wszystkich gmin powiatu łańcuckiego i do kilkudziesięciu wybitniejszych włościan, których adresa załączył. Odezwa, (której zresztą nie można było wysłać, bo numera były wyczerpane) rzuciła, jak wiadomo, hasła, aby do sejmu na posłów stanu włościańskiego wybierać włościan i aby ruchem ludowym kierował centralny komitet włościański. Była ona solą w oku wszystkim fałszywym przyjaciołom ludu: jedni z nich głośno ją potępiali, drudzy, i takich było najwięcej, starali się ją przemilczeć, aby nie nadać rozgłosu. Na palcach policzyćby można dobrych ludzi, którzy usiłowali ją między ludem rozpowszechnić

Wracając do ustawy drogowej, możecie żądać od waszego kandydata na posła, aby się zobowiązał, że domagać się będzie w Sejmie rewizji ustawy drogowej. Tak samo umówcie się z nim, jakie ma zająć stanowisko w sprawie ograniczenia, podziału gruntów włościańskich i w innych ważnych sprawach).

Z nad Białego Dunajca.

W nowotarskim powiecie wre walka cicha na pozór, ale zawzięta. Komitet powiatowy, złożony z całego wydziału Rady powiatowej, z części inteligencji i kilku powolnych wójtów polecił kandydaturę hr. Raczyńskiego, znanego zaledwie maleńkiej części ludności powiatu. Kandydat ten ma z góry u duchowieństwa nakazane poparcie, które wyłazi w różnej formie agitacji. Wyznanie jego politycznej wiary mdłe, jak można wnosić z ogólnikowego zapewnienia, że „będzie popierał dobro kraju i powiatu“. Jako człowiek zamożny, mąż ordynatowej 1-go ślubu Krasińskiej, salonowy i lubiący rozmaitość w życiu chce pewnie jechać na Sejm, jak się jedzie na wystawę lub wyścigi. Ma on tu silne poparcie duchowieństwa i agitatorów w kołach szczupłej garstki inteligencji w Zakopanem, gdzie mieszka czasem w lecie przez kilka tygodni. Ludu nie zna i nawet z nim mówić o jego potrzebach nie umie, ale jest bogatym hrabią, a w parlamentach łatwiej się piąć po zaszczyty. Na poparcie swej kandydatury sypnął groszem, ofiarując 500 złr. na dotkniętych w kilku wioskach powodzią.

Były poseł Feliks Pławicki znany przez 2 kadencje sejmowe neutralny członek sejmu będzie na własną rękę kandydował, dlatego nawet swej kandydatury nie zgłosił równocześnie z hr. Raczyńskim. Jako popularny i uczynny obywatel ma między chłopstwem mir niemały i kto wie jak to będzie przy wyborach, pomimo, że komitet centralny polecił przez powiatowy komitet przedstawionego kandydata w osobie p. Raczyńskiego. Powszechnie tu mówią, że będzie burza przy wyborach. Na tej walce najlepiej wychodzą ci, co potrzebują ratunku, a mianowicie spalona wieś Krauszów (44 domostw) albowiem pp. kandydaci na wyścigi spieszą z pomocą, jeden daje gotówkę, drugi drzewo na chaty i t. d.

Są jeszcze dwaj inni kandydaci, a mianowicie nauczyciel Władysław Strowski, delegat nauczycielstwa do c. k. Rady okręg. szkolnej, były oficer polski (z r. 1863) i austrjacki. Ten jednak zapewne z przyjaźni z dotychczasowym posłem nie będzie napradę kandydował. Czwartym jest ksiądz, niejaki Bednarz, który szeroką agitację kartkami sam prowadzi. O tym szkoda pisać,

bo ani lud, ani duchowieństwo, ani inteligencja nie uważa go za przypuszczalnego kandydata.

Dotychczasowy poseł podobno nie ma w komitecie mniejszości nawet za sobą, ale pomimo tego od kandydatury nie ustępuje. Szkoda, że w ciągu podwójnej kadencji nie zdawał uroczystego sprawozdania ze swych czynności poselskich, ograniczając się na pogadankach w szerszych lub bliższych kółkach.

Tutejszy komitet nie ma charakteru włościańskiego, a nawet nie reprezentuje wszystkich stanów mieszkańców powiatu.

Szkoda, że się jaki kandydat ludowy, człowiek prawdziwych zasług i pracy nie zgłosi tutaj, a pewnie znalazłby poparcie u budzącej się z obojętności inteligencji tutejszej i ludu.

Między wybitniejszymi chłopami słychać, że jeden z włościan Wojciech Kamiński od lat 20 wójt i członek wydziału powiatowego ma w ostatniej chwili wystąpić jako kandydat i pobić panów. W obec swej wielkiej u chłopów powagi pewnieby przeszedł. Jeśli się pogłoska ta potwierdzi, napiszemy o tem obszerniej.

Od Jarosławia. Czytamy z gazetek że chłopi, którzy mają prawo konstytucyjne do wybrania sobie swoich posłów aż 74 na 6 lat, przecie raz zaczynają się ruszać.

U nas koło Jarosławia cicho jak mak siał, a chłopów jak mrowia na targu i po wsiach. Dlaczego cicho? Bo widać nie czytają i nie wiedzą, co inni dobrego dla ludu robią; a dalej usuwają nas tutaj od wszelkiej styczności z życiem publicznem. Panowie zwołali do Jarosławia 2 razy komitet, ale nie zaprosili włościan tylu, jak gdzieindziej. Dawny poseł nasz hr. Zamoyski z Wysocka, ani razu w ciągu 6 lat nas nie pouczył, co też na sejmie dla nas zrobiono dobrego. Czyżby dlatego, że mało co kapło dla nas ze stołu pańskiego? Jak słychać, to komitet znowu stawia tego p. Zam. na posła. Że panowie go chcą wybrać, to nic dziwnego, ale że chłop Duda i innych 2 czy 3 chłopów, co byli do komitetu dla prostej parady powołani, a nawet i 2 księży na to przystali, to strasznie dziwne dla nas.

Jak to? Czy my chłopi nie powinniśmy sami komitet nasz zawiązać z mieszczanami i naszymi proboszczami i zaprosić na posłów dla nas takich, co o los nasz dbają naprawdę? Skoro nam wolno wybrać 74 posłów, czyż to mają sami panowie bez naszej woli i rady zawsze robić i nas od komitetów usuwać? Wszak my to mamy prawo panów od naszych komitetów usuwać, albo ich zaprosić do rady, a nie oni nas, gospodarzy i teraz równych obywateli i Polaków. Tymczasem oni robią co się im podoba, jakby nas chłopów wolnych nie było w polskim kraju, niby coś dla nas bez nas. Otóż z pod Jarosławia podnoszę głos do was, bracia chłopi! Wielki czas, abyśmy coś zaczęli razem i zgodnie robić, o posła dla nas się ułożyli, a potem naszego upatrzonego kandydata do Jarosławia zaprosili, aby nam sumiennie przyobiecał obronę dla nas na sejmie, aby nas co rok pouczył, co się stało i co ma się stać dla nas i kraju na Sejmie każdym.

Ruszajmy się bracia! abyśmy nie byli ostatnimi, aby nie powiedziano że było u nas wielu wezwanych, a mało wybranych. Jest nas chłopów kilka miljonów wolnych teraz, a jakże mało jeszcze chce tej wolności dla samych siebie na dobro użyć. Pamiętaj bracie, że idzie o twoją skórę, o dobro gminy; nie bądźże ciurą, ale bądź czynny! mówi gadka staropolska.

Dawniej był Duda, chłop z Tuczemp, za chłopami — a dziś gdzieś Ty ojcze gospodarzu? Stań z nami na przodzie, bo tak być ma.

Od Rudek. My włościanie od Rudek dostaliśmy dopiero niedawno do rąk „Przyjaciela Ludu“ i ucieszyliśmy się tem pismem, bo zdaje nam się, że na prawdę dobra naszego chce i że będzie można mu wierzyć, bo pisze prawdę nie pytając, czy ona się komu podoba, albo nie i nie mówi, że dla dobra kraju trzeba mydlić oczy i chwalić niegodziwości. Otóż w czwartym numerze „*Przyjaciela Ludu*“ wyczytaliśmy, iż Rada powiatowa w Nadwornej wyrobiła dłużnikom Banku włościańskiego 50 procent opustu. I powiedzieliśmy sobie: jakoś to u ludzi wszystko inaczej, jak u nas. W naszej Radzie powiatowej jest Towarzystwo zaliczkowe, a nasz marszałek pan Rajski jest dyrektorem w tem Towarzystwie, nasza Rada jednak nic nie zrobiła dla dłużników Banku włościańskiego, a Towarzystwo nawet słyszeć nie chce o pożyczaniu pieniędzy na spłatę Banku Nie o to jednak idzie. Towarzystwo zaliczkowe nie lepej sobie z nami postępuje, niż ten Bank włościański. Gdy panowie zakładali Towarzystwo, mówili że to się robi dla naszego dobra. Wtenczas też ludzie zaczęli pożyczać. I było tak: jeden pożyczył n. p. 50 złr. Przyszedł termin oddania, panowie nie cisnęli, kto się poprosił, temu przepisywali dług, zwłaszcza gdy nic nie mówił na Radę powiatową przy wyborach. Chłopisko nie umiejąc się rachować, nie wiedział co to znaczy, że procenta wciąż rosną, i że lepiej mu było wtenczas sprzedać krowę, albo konia, jak teraz całego gruntu i chaty się pozbywać. Dopiero po 10 latach zrobił się gwałt o złe rządy w Towarzystwie zaliczkowem. Wtenczas Towarzystwo rzuciło się do procesów i intabulacji, zaskarżyło dłużników setkami, pointabulowało się na chłopskich gruntach i zaczyna sprzedawać na licytacjach. Pokazuje się teraz, że ten co pożyczył 50 złr. winien jest 200 złr., albo i jeszcze więcej, bo Towarzystwo do długu dopisywało procenta zwłoki i z tego robił się nowy większy dług; od tego długu rósł znowu procent, a to się powtarzało po kilka razy! A co kosztują stemple na coraz to nowe skrypta i koszta procesowe. Tak pójdziemy z torbami z łaski naszych dobrodziejów.

Nie dość na tem! Towarzystwo zaliczkowe ciągle na nas wyborców nacisk wywiera. Udajemy się więc do Sz. Redakcji, aby pomogła wyzwolić się z pod tego nacisku, a stać się to może przez ogłoszenie naszego zażalenia.

Bo dopóki cały kraj nie przekona się o tem, że tutejszy Wydział Rady powiatowej i Dyrekcya Towarzystwa zaliczkowego działają na szkodę włościan i na szkodę powiatu, dotąd nie może nawet być mowy o wolnych u nas wyborach do Sejmu, do Rady powiatowej albo do Rady państwa. W Rudkach w jednej i tej samej sali jest kancelarja Rady powiatowej i Towarzystwa zaliczkowego. Sekretarz Rady powiatowej p. Piotr Zbrożek jest kasjerem w Towarzystwie zaliczkowem i rządzi jak mu się podoba, bo p. Rayski który jest prezesem Rady powiatowej i dyrektorem Towarzystwa, mieszka na wsi w Michalewicach i prawie niczem się nie zajmuje, tylko podpisuje.

Podczas wyborów rozdaje kartki, agituje, namawia i straszy, a idzie mu to tem łatwiej, że przez 10 lat do kapitału dopisując procenta zwłoki w Towarzystwie zaliczkowem, ma teraz setki powolnych dłużników na skinienie, którym pointabulował na gruntach Towarzystwo zaliczkowe.

Otóż tak to p. Zbrożek w kancelarji Towarzystwa zaliczkowego agituje jawnie całymi dniami za p. Rajskim, a pomaga mu w tem niejaki Paraszczak urzędnik czyli raczej popychajło w Towarz. zaliczkowem. Niechby się kto poważył odezwać słówkiem

przeciw „takiemu zasłużonemu patrjocie“ jak p. Rayski, albo przeciw takiemu przyjacielowi nas włościan“, jak pan Zbrożek, to by go okrzyczano buntownikiem i moskalofilem nie tylko w tutejszym powiecie, ale pewnie i całym kraju. Co prawda to najlepszym byłby u nas na posła p. Łuszpiński, notaryusz z Komarna, no ale skoro księża ruscy są tak zacięci, że nie mogli się na niego zgodzić, to już wolimy księdza Steciowa, bo ten nam nigdy nie szkodził, a jeżeliby zostawszy posłem przyczynił się do osłabienia naszej kliki powiatowej, to już by to było wielkie dobrodziejstwo dla powiatu a i dla kraju, bo kraj przecież składa się z powiatów, więc gdy tak choć w kilkunastu powiatach nastaną lepsze rządy, to i w kraju będzie lepiej.

U nas jest dużo dobrego do zrobienia, ale trzebaby najpierwej pooddalać nierzetelnych pisarzy gminnych, potem pozakładać kasy pożyczkowe i szpichlerze po gminach i pomagać im, aby nie upadały, poratować dłużników Banku włościańskiego, bo ich tu jest bardzo wielu i zaprowadzić ład w Towarzystwie zaliczkowem, poobsuszać wielkie obszary gruntów należące do gmin, z których teraz niema pożytku, bo są moczary i bagniska, pobudować mosty i drogi, bo teraz z jednej wsi do drugiej sąsiedniej, trzeba czasem objeżdżać po kilka mil na około dla braku komunikacyi. Nawet i wielkie torfowiska mamy, ale nie wiemy jak się z nimi obejść.

To wszystko należy do Rady powiatowoj, ale ona się tem nie zajmuje; kasy pożyczkowe znosi, a o majątki gromadzkie nie dba, to też nowy poseł powinien by to na niej wymódz.

Zdaje nam się, że tego, że ks. Steciow nikomu nie szkodzi, jest jeszcze za mało na to, by był zdolnym na posła. Kamień leżący przy drodze także nikomu nie szkodzi, a nikt go na posła nie wybiera. Czy nie lepiej by było, ponieważ inteligencja okręgu Komarno-Rudki na jednego kandydata zgodzić się nie może, by bracia włościanie bodaj teraz jeszcze w ostatniej chwili, pomyśleli o kimś z pomiędzy siebie samych i postanowili kandydaturę włościanina? Przecież macie w powiecie włośbian rozumnych, uczciwych i nieustraszonych, znających biedę chłopską i gotowych do obrony interesów chłopskich. Dla czegoż szukać sobie zastępców za dziesiątą miedzą, a nie zgodzić się na tego, kogo wszyscy macie i komu najprędzej zaufać możecie? Tylko odwagi i zgody, bracia włościanie, a zwycięstwo może jeszcze być wasze.

W Tarnobrzeskiem przeciwko marszałkowi krajowemu hr. Tarnowskiemu staje jako kandydat, który ma ze strony włościan silne poparcie **Walenty Benc,** włościanin z Ostrówka, były deputowany do Rady państwa i członek Rady powiatowej. W Limanowskiem kandydatem włościańskiego komitetu jsst **Łukasz Goryczka**, wójt ze Stopnic szlacheckich. W Tłumackiem **Józef Huryk,** z Uhrynowa pod Stanisławowem.

Słychać jeszcze o następujących kandydatach włościan, co do których nie mamy wszakże bliższych i pewnych wiadomości: w Jasielskiem kandyduje Soboń; w Brzozowskiem Wojnowski z Haczowa; w Samborskiem Iwańczyszak z Biskowic; w Jarosławskiem mówią o kandydaturze Feresza z Pruchnika, w Dąbrowskiem, gdzie hr. Męciński po raz pierwszy od lat 18. raczył złożyć sprawozdanie poselskie. włościanie Czupryna z Mędrzychowa, Jan Banaś z Jamocic i Marcin Krzciuk z Sikonyc.

W okręgu Nisko najwięcej ma zwolenników kandydatura hr. Hompescha, posła do

Rady państwa. Uczciwem pojmowaniem obowiązków poselskich i dzielnem ujęciem się w Radzie państwa o krzywdy, wyrządzone ludowi, słusznie zaskarbił on sobie wdzięczność ludu i byłby niewątpliwie i w Sejmie nieszacowaną siłą.

Do okręgów, które nie dają znaku życia, odzywamy się imieniem tych, które nie szczędzą sił koło dobra publicznego: ocknijcie się, pamiętajcie, że każdy okręg wyborczy, który mandat w niegodne powierzy ręce, zaciśnie pętlę na szyi braci i kamieniem na doli kraju zacięży. Gdzie nie macie widoków przeprowadzenia kandydata ludowego, oddawajcie głosy na kandydatów, popieranych przez mieszczan i rusinów. W ten sposób wzmoże się ta lewica sejmowa, która broniła dotychczas waszych interesów przeciwko stronnictwu hrabiów Lassockich, Mieroszewskich, Wodzickich itp. Tam gdzie jest siła, tylko uśpiona, niechże złote słowa braci włościan gorlickich prędzej do czynu ją zbudzą, bo za kilka tygodni bezczynności 6 lat pokutować możecie.

„Najdrogocenniejszym klejnotem, perłą praw naszych jest **prawo wyborcze.** A czy umieliśmy wyzyskać to nasze prawo, czy mamy dotąd z niego jakie korzyści? Przenigdy — zmarnowaliśmy lekkomyślnie ten skarb nasz najdroższy, roztrwoniliśmy to mienie nasze i przyszłych pokoleń naszych i stąd bracia bieda w kraju i bieda będzie i bieda być musi, jeżeli i nadal nie złączymy się wszyscy do pracy i tam w sejmie, niejako u ołtarza ojczyzny, nie rozpoczniemy natychmiast pracy około podniesienia dobrobytu kraju naszego. Kazaliśmy, jak mówią jasielscy bracia, pracować w sejmie za nas wszystkich jednemu nielicznemu stanowi, posiadaczy dworskich i pokazało się, że ten stan jeden pracy tej wielkiej nie podoła, bo dla rzeczywistego dobrobytu ludu dotychczasowy sejm nic nie zrobił. *A zatem zmienić musimy skład sejmu, musimy tam wysłać innych, nowych pracowników, znających lepiej życie nas włościan i nasze najgwałtowniejsze potrzeby*“.

SAM SOBIE WINIEN

(powiastka galicyjska).

I.

»Wystawiony na publiczną sprzedaż grunt pod nr. 29 wraz ze wszystkiemi zabudowaniami gospodarskiemi (była tam tylko jedna chata ze stajenką na krowę, wszystko pod wspólnym dachem, skleconym z dawno przegniłych tarcic), własność Mykoły Procia, wartości 150 złr. na zaspokojenie pretensyi Mordki Schindera w sumie 40 złr. Kto da więcej?«

Całą tę odezwę wyrzucił z ochrypłego gardła woźny sądowy który zarazem pełnił urząd licytatora. Wypowiedziawszy ją, uderzył kilka razy młotkiem w deskę, opartą na kłodzie i zastępującą miejsce stołu.

— Kto da więcej, powtórzył. Suma żądana 40 złr.

Dokoła stało kilku wieśniaków w nędznych guńkach, w słomianych kapeluszach na głowie, w towarzystwie dwóch czy trzech pejsatych, brudnych żydów. Wszyscy oni gwarzyli między sobą, spoglądając na podwórko, na którem odbywała się licytacya, ale na okrzyk woźnego nikt nie odpowiedział.

Opodal od zgromadzonych, obok rozwalonego płotu, siedział na kłodzie sam Mykoła

Proć, wysoki mężczyzna około 35 lat wieku, chudy jak szczypka, z obliczem wyssanem nędzą i chorobą. Na kolanach trzymał chłopczyka pięcioletniego, który tulił się do ojca, spoglądając z trwogą na obcych ludzi, zgromadzonych przed chatą. Tuż obok stała Prociowa z małym dzieckiem na ręku i zapaską ocierała łzy, cisnące się gwałtem do oczu.

— Kto da więcej? — wołał woźny, spoglądając po obecnych.

W tej chwili przystąpił do niego jeden z żydów — sam Mordka Schinder — i dotknąwszy lewą ręką jarmułki rzekł:

— Nu, po co, proszę pana, dawać więcej? Ja dam czterdzieści.

— Mordko Szinder daje czterdziości; kto da więcej? Po pierwszy raz — krzyczał woźny.

Z obecnych nikt się nie odzywał.

— Po drugi raz!

Wszyscy milczeli, słychać było tylko głuche łkanie Prociowej.

— Po trzeci raz!

Głośne stukanie młotka o deskę było odpowiedzią na ten ostatni okrzyk. Mordko Schinder za swój dług 40 reńskowy został prawnym właścicielem gruntu i gospodarstwa oszacowanych na 150 złr., a przedstawiających w istocie wartość co najmniej 400 złr.

— Nu, jaki ty głupi — zwrócił się do Mykoły. Nie mówiłem, zgódź się ze mną, oddaj dobrowolnie połowę gruntu. A teraz widzisz, do mnie cały należy!

— Bóg cię pokarze za naszą krzywdę, ty pijawko ludzka! — zawołała, szlochając, Prociowa.

— Za co ma mię Bóg karać? Alboż to ja nie podług prawa zrobił? Ciebie niechaj Bóg skarze, ty paskudnice jakaś, ty!... Zaraz mi się tu wynoś z mego podwórza!

Prociowa żywo otarła łzy i chciała coś jeszcze powiedzieć, ale Proć skinął na nią ręką i rzekł złamanym, głuchym głosem:

— Daj mu pokój! Nic tu nie pomoże nasze gadanie! Bóg nas pokarał, bo taka była jego wola... Chodźmy.

Po tych słowaah wstał, ujął za rękę chłopca i oddalił się, a za nim poszła spłakana kobieta z małą dzieciną na rękach.

— Oj tak, tak, kumie, i znowu jednego gazdy nie stało w gromadzie — gwarzyli wieśniacy na dworze, kiwając głowami.

— Ha! widno dopust boży na naród chrześciański...

— Et, dopust boży! — bąknął jeden trochę porządniej ubrany, ot naród sam sobie winien — i tyle!

— Ej kumie, kumie — odparł drugi, nie mówcie tak. Łatwo to mówić, kiedy z łaski Boga wam dobrze. A biedny, niechby i najporządniejszy, to przecie jedną koszulą dwóch nie odzieje.

— Gadajcie zdrowi — odpowiedział bogatszy. Pracować trzeba więcej, rąk przykładać!

— Oj, a czyż to kumie biedny nie pracuje, aż mu nieraz oczy z głowy wyłażą... Ale co to wszystko pomoże? Ot, my tu stoimy, a kto zgadnie, czy jutro nie spotka którego z nas to samo, co dziś spotkało Mykołę?

— Tere fere... — odparł bogatszy. Nie bójcie się; dobremu, porządnemu nie trafi się to z pewnością, chyba takiemu próżniakowi jak nasz Mykoła. Mówcie, co chcecie, a ja zawsze powtarzać będę swoje, że sam sobie winien!...

II.

Świat szeroki — w którąż stronę zwróci się biedak nieszczęśliwy, gdzie złoży głowę? Mykoła Proć powlókł się w dół siołem, niby senna mara, a za nim postępowała żona, łkając i zawodząc jak za umarłym. Ludzie pracowali w polu. Był to skwarny dzień letni. We wsi nie widać było żywej duszy. Płacząca kobieta przyspieszyła kroku i zrównała się z mężem.

— Mykoło, dokąd ty idziesz?

— Do Świcy — odpowiedział chłop ponuro.

— Jezusie mój, co on mówi?

— No, a gdzież indziej pójdę?

— Niechże nas Bóg ochroni, Mykoło, nie gadaj tak! Ot, tu opodal mieszka moja ciotka, pójdźmy do niej, będziemy latem zarabiać w polu, a zimę, da Bóg, przebiedujemy jakoś.

— A potem?

— Potem... potem znowu będziemy pracować i wyżyjemy przecież od biedy między dobrymi ludźmi.

— Dobrymi?... Oj wartoż żyć z nimi! Nie — nic z tego nie będzie.

I Mykoła puścił się w drogę. Żona przytrzymała go za rękę.

— Bój się Boga człowieku, co ty chcesz robić? Grzech pomyśleć o tem! Cóż ja poczne nieszczęśliwa z dziećmi małemi?

— A co ja tobie, co dzieciom pomogę? Głupia, puść mię!

Ale ona nie puszczała, tylko ciągnęła go uparcie przez mostek na podwórko ciotki.

— Wiesz co — rzekł w końcu, jeżeli chcesz, to idź sama do ciotki.

— A ty?

— Ja nie pójdę.

— Czemu?

— Bo nie mogę jednej chwili żyć w tem przeklętem siole! Jeśli mię siłą przytrzymasz, to się powieszę. Toż lepiej puść!

— Ale którędyż pójdziesz?

— Pójdę szukać zarobku na Ludwikówkę do tartaku.

— Do tartaku? Boże mój, wszakżeż ty słaby jak mucha! Cóż ty tam zarobisz?

— Nie bój się, znajdę robotę, a że tam teraz potrzebują robotników, to i mnie przyjmą.

— Kiedyż powrócisz?

— Jak tylko zarobię tyle, żebym mógł wykupić grunt od żyda! Prędzej nie.

Popatrzyła na niego zdumiona, trwożnym wzrokiem.

— Mykoło, co ty mówisz?

— To, co słyszysz.

— Ależ...

Nie mogła dokończyć, w gardło ją coś dławiło.

— Albo zarobię, albo zginę, co mi po takiem życiu! Bywaj zdrowa!

Ucałował żonę i dzieci i powolnym, chwiejnym krokiem poszedł przed siebie gościńcem. Ona płacząc, patrzyła za nim, z mostka, póki nie zniknął na skręcie za pagórkiem.

Iwan Franko.

(D. n.).

KRONIKA.

Na jubileuszu 50-letniej pracy Kolberga, życiorys którego podaliśmy w zeszłym numerze, była też jedna deputacya, w wieśniaczych siermięgach, która złożyła wieniec jubilatowi. Włościanie z Modlnicy Mikołaj Kozień, Tomasz Janecki i Tadeusz Wyzga, do deputacji tej należeli, a pierwszy z nich przemówił od serca jak następuje:

Szanowny Panie! W chwili w której zewsząd składanemi Ci są słowa uznania i uwielbienia, za pięćdziesiąt lat naukowych prac Twoich, pozwól Szanowny Panie, że i my włościanie z Modlnicy z okolicy Krakowa, choć w skromny sposób przyłączamy sią do ogólnego uczczenia Twoich zasług dla kraju. A z tem większem jeszcze uczuciem przystępujemy do Ciebie, że to właśnie nasze zwyczaje i obyczaje nasze, śpiewy i pieśni badałeś i zbierałeś, aby to co w nas dobrego i pięknego zachować dla przyszłości. Pieśni i śpiewy nasze nie uczone i proste ale płyną z serca i przywiązania do tej świętej ziemi naszej, którą kochamy celem sercem! Składamy Ci Szanowny Panie wieniec z polnych kwiatów i kłosów zbóż naszych z życzeniem abyś jeszcze długie lata żył i mógł pracować dla dobra i zaszczytu Polski. Pan Kolberg niech żyje!

Okrzyk ten powtórzyli kilkakrotnie wszyscy zebrani, a najuroczystszą była chwila, kiedy sędziwy jubilat dziękując wieśniakom rzekł, iż oni to właśnie byli jego najdzielniejszymi pomocnikami, ich pieśni, zwyczaje, podania zebrał on tylko, gdy już były gotowe i za to wdzięczność im wyraża. Brał także udział w obchodzie wieśniaczy chór bierzanowski przybyły na uroczystość z zacnym swoim założycielem ks. proboszczem Kuflem.

Grono wieśniaków i wieśniaczek odśpiewało harmonijnie i z dziarskim zacięciem pieśni ludowe „Kwiatki nasze“, „Wesół i szczęśliwy“, „Dwie gwiazdki“ wreszcie „Skoro zabłyśnie piękny poranek“ i „Stoi Maryś w oknie“.

Pieśnią wieśniaczą zakończył się obchód na cześć sędziwego zbieracza tych pieśni.

Nieprawidłowości przy wyborach. Z rozmaitych stron kraju dochodzą wieści o mięszaniu się urzędników! do agitacji wyborczej, a nadto o oryginalnej procedurze z ustanawianiem liczby wyborców. Jak wiadomo, §. 12. ordynacji wyborczej powiada wyraźnie: „Każda gmina w okręgu wybierać ma na każdych 500 mieszkańców jednego

wyborcę. Jeżeli z podziału liczby mieszkańców przez 500 pozostanie reszta, to w razie gdy reszta ta wynosi 250 lub więcej, uważaną jest za 500, jeżeli zaś wynosi mniej niż 250, to nie uwzględnia się jej wcale. Gminy liczące mniej niż 500 mieszkańców, wybierają jednego wyborcę".

Dotychczas praktyka była taka, że liczbę wyborców ustanawiało starostwo na podstawie ostatniej konskrypcji. A że ostatnia konskrypcja odbywała się u nas w r. 1880, to wykazana w niej liczba mieszkańców każdej gminy była podstawą do ustanowienia liczby wyborców już przy wyborach sejmowych w 1883 i do Rady państwa 1885. Liczba wyborców nie może więc i teraz być nigdzie inną, jak w r. 1883, chyba, że gdzie liczba ta była wówczas mylnie obliczoną, co zresztą trudno przypuścić. Tymczasem dowiadujemy się, że obecnie starostwa, nie wiedzieć na jakiej podstawie, wyznaczają na niektóre gminy mniej, na inne więcej wyborców, niż było podczas poprzednich wyborów. O faktach tego rodzaju donoszą z pow. tarnopolskiego i kałuskiego.

Ostrzegamy dotyczące gminy, gdzieby się podobne rzeczy wydarzyły, że przeciw tym niewłaściwościom należy niezwłocznie wnosić reklamacje do c.k. starostwa, a ewentualnie do namiestnictwa.

Pożar przez nieostrożność wzniecony podczas jarmarku w sąsiedniem mieście, zniszczył wieś Krauszów w powiecie nowotarskim, bo spłonęło 44 domostw ze wszystkiem. Z pierwszym ratunkiem pospieszył starosta p. Orobkiewicz, zarządziwszy zakupno chleba i tymczasowe schronisko dla pogorzelców, oraz marszałek p. Krawczyński, który swoje zapasy żywności ofiarował parafianom. Następnie Wydział powiatowy ofiarował 300 złr. a drugie 300 złr. przeznaczył z funduszu 500 złr. ofiarowanego przez kandydata do Sejmu p. Hr. Raczyńskiego. Dotychczasowy poseł p. Pławicki ofiarował wielką ilość budulcu. Tak więc przy wyborczej walce wyrabia się ofiarność.

Nieszczęścia pożarów są już zbyt częste i pchają kraj w coraz większą nędzę. Byłby więc bardzo słusznym i koniecznym wniosek zaraz na początku kadencji sejmowej o przymusowej asekuracji.

Pożary. W pierwszej połowie czerwca znowu kilka większych i mnóstwo mniejszych pożarów nawiedziło nasz kraj. Spaliły się miasteczka, Zbaraż i Ulanów; większe pożary były w miasteczkach, Magierowie i Lubaczowie, jakoteż we wsiach Laszki murowane, Lipsko, Podłęże, Wielki Libiarz i Kranszowy.

Ofiarność włościan. Rada szkolna okręgowa w Lisku ogłasza: Przy rozprawie względem założenia szkoły ludowej w gminie Łupków ofiarowali dwaj gospodarze tamtejsi Hryć Kohutanicz i Dańko Maćków: pierwszy grunt pod szkołę, zaś drugi kwotę 50 złr. na częściowe pokrycie kosztów budowy tej szkoły.

Odpowiedzi od Redakcji.

Przyjacielowi w Zb. Prosimy usilnie o adres Sz. Pana celem zakomunikowania Mu spisu osób, które z zaprenumerowanych przez Niego egzemplarzy będą korzystały. Za wskazówki dotyczące p. M. dziękujemy; będziemy je mieli w pamięci.

Prenumeratorom, którzyby nie otrzymali reklamowanych numerów „Przyjaciela Ludu", ponownie takowe na żądanie wyszlemy.

Włościanom z pod Nowego Sącza. Dochodzi nas wiadomość, że kilku wójtów z pod Łącka wystosowało odezwę, wyrażającą obawę, że komitet Nowosądecki jako czysto włościański może być poczytany za nielegalny. Obawa ta jest płonną. Bo jedno z dwojga: albo każdy komitet zawiązany przez wyborców jest legalny, a w takim razie i wasz także, albo legalnym jest ten, który najlepiej wolę wyborców reprezentuje, a w takim razie, jak się zazwyczaj okazuje, komitety czysto włościańskie są bardziej legalne niż mieszane.

OGŁOSZENIE.

Książeczki na premie, polecane przez c. k. Radę szkolną krajową w stosownych oprawach z podpisami

NAGRODA PILNOŚCI

jakoteż i książeczki do modlenia dla dzieci i młodzieży poleca w wielkim wyborze

Księgarnia Polska we Lwowie.

Katalog rozsyła się bezpłatnie.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.** Z „Drukarni Polskiej" ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 7. We Lwowie, dnia 1. Lipca 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28

Wybory do Sejmu.

Otrzymujemy następujące pismo z powiatu **Brzeskiego:**

Bracia włościanie!

Skoro wiadomem już jest, iż włościanin Tomasz Wilk, dając piękny przykład bezinteresowności i zaparcia się siebie, kandydaturę swą na posła cofnął — i dla utrzymania zgody i jedności stanu włościańskiego sam wybór włościanina Jana Orzechowskiego nam zalecał, przeto my wyborcy powiatu brzeskiego prosimy Was wszystkich, braci naszych włościan wyborców, abyście wszyscy jak jeden mąż zgodnie i bez wyjątku oddali głosy Wasze na włościanina **Jana Orzechowskiego,** który interesów naszego stanu dzielnie bronić będzie.

Czasy są bardzo ciężkie!

Ważne sprawy nadchodzą, bo sprawa niepodzielności naszych gruntów, o prestacjach drogowych i kościelnych, o szkołach, o połączeniu gmin z obszarami dworskimi, sprawa o sługach i karaniu ich, itd. — wszystko to Sejm ma roztrząsać i prawa o tem wydawać.

Bracia włościanie! W sprawach tak bardzo nas włościan obchodzących, włościanin sam w Sejmie przemawiać powinien, bo inaczej naszego głosu i skarg naszych tam nie dosłyszą!

Wiecie o tem dobrze, że są ludzie, którzy zmuszają Was i chcą Wam koniecznie narzucić na posła pana hr. Stadnickiego.

Pamiętajcie jednak, że **wybory są wolne** i że to nasze prawo przez Najjaśniejszego naszego Monarchę nam nadane zostało i że prawa tego nikt nam odebrać nie może!

Najjaśniejszy Pan, jak piszą dzienniki, interesuje się teraz bardzo naszymi wyborami i zapytywał się prezesa Koła polskiego w Wiedniu p. Jaworskiego »o usiłowania włościan, aby sami włościanie interesów swych w Sejmie bronili«.

Więc Bracia włościanie, bądźmy jednomyślni i zgodni, a wtedy będziemy i mocni, bo zgoda buduje, a niezgoda rujnuje.

Bracia włościanie i szanowni Wyborcy! Nie dajcież się bałamucić — bo są tacy, którzy umyślnie dla tego wymieniają inne jeszcze kandydatury, by Was zbałamucić — część waszych głosów oderwać i aby przez niezgodę zwyciężył pan hr. Stadnicki, którego nie chcecie.

Nie dajcież się więc ugiąć żadnem pochlebstwem, żadnemi obietnicami ani groźbami, nikt za głosowanie według waszej woli i sumienia nic Wam zrobić nie może, a więc nie bójcie się!

Zjedźcie się więc wszyscy bez wyjątku na dzień 2. lipca (we wtorek) — aby żadnego z was nie brakowało, czekajcie trzeźwo do końca, a nie wracajcie do domu przed ukończeniem wyborów.

Posiedzenie komitetu lokalnego powiatu **tarnobrzeskiego** odbyte w pierwszej połowie bm. w Tarnobrzegu nastręczyło tamtejszej ludności włościańskiej obfitą sposobność do objawienia budzącego się z dniem każdym w ludzie naszym p o c z u c i a s a m o w i e d z y obywatelskiej i rozumnego pojmowania godności wyborców, co jest niepospolicie pocieszającym objawem odradzania się naszego społecznego, tj. w szerokich masach ludu polskiego.

W oznaczonym dniu wyborów o godz. 11 w południe marszałek krajowy Jan hr. Tarnowski zajechał poczwórną karetą z Dębicy przed salę obrad tarnobrzeskiej rady powiatowej, gdzie wójci gminni zaproszeni przez komitet lokalny w liczbie 30 kilku się zebrali.

W krótkiem przemówieniu swem zaznaczył p. marszałek, który w powiecie tarnobrzeskim rozległe ma dobra ziemskie, włościanom swoim, że „wychował się z nimi razem, zrósł się z nimi“, że przeto go znają i nie potrzebuje im dalej się polecać.

Z grona włościan, którzy przemówienie dostojnego kandydata w głębokiem przyjęli milczeniu, wystąpił włościanin B e n c Walenty, wójt z Ostrówka i w jędrnych, nieuczonych, ale rozumnych słowach przedstawił swoją kandydaturę. „Jeżeli N. pan, były słowa chłopa, dał nam, chłopom, prawo wybierania posła, to niechaj to będzie prawdziwy poseł wiejski, tj. włościanin a nie pan. Niech panowie pana wybierają nie my; panowie chłopa nie wybiorą“.

Po tem przemówieniu, które na członków komitetu lokalnego, złożonego z obywateli miejscowych — bardzo „zastraszające“ uczyniło wrażenie, powstał członek tego komitetu ks. S a p e c k i i istną przeciw Bencowi wytoczył krucjatę: „Któż będzie tak bezczelny, powiedział między innymi ks. Sapecki, ażeby przeciw „Jaśnie Oświeconemu, Jego Ekscelencji, Panu Hrabiemu, marszałkowi krajowemu, który z cesarzem jada obiady i jest jego przyjacielem — odważył się wybierać chłopa, który chyba po to pojedzie do Lwowa, ażeby brać djety i jeść zacierkę na mleku! Któż wam dopomoże w waszej biedzie, czy chłop, czy przyjaciel cesarza?“

Na te słowa odpowiedział niegodnie zaczepiony kandydat, że raczej bezczelnym być trzeba i chyba sukni duchownej nie nosić, aby szarpać cześć człowieka dlatego, że jest chłopem, i że ośmiela się przeciw panu kandydować. Wszakże każdemu wolno kandydować i nikomu nie wolno hańbić drugiego za jego szczere chęci służeniu sprawie krajowej.

Wójt z Gorzyc, — jeden z najdzielniejszych wójtów w powiecie — G r z y w a c z, ujął się również za sponiewieranym stanem chłopskim w słowach bardzo ostrych, zwracając uwagę księdza S., że chłopi wybierają posła na Sejm nie po to, aby z cesarzem jadł obiad, ale aby „biedzie chłopskiej“ zaradził.

Po tem przemówieniu członkowie komitetu widząc, że kandydatura p. hrabiego w jego własnej siedzibie upaść może, zarządzili głosowanie u s t n e nie kartkami w tem przypuszczeniu, że tym sposobem wielu nie będzie miało cywilnej odwagi, aby w oczach p. hrabiego nie oddać nań głosu. Tysiące względów zależności materjalnej i obaw nieprzewidzianych wyzyskano w ten sposób i pod tą presją przystąpiono do głosowania imiennego, przy którem Benc otrzymał kilkanaście głosów.

Przeciwnikom ruchu ludowego.

Wiadomo, że kogut pieje przed świtaniem. Dla tego też zwierzęta i złe duchy, lubiące ciemności nocne, boją się piania koguta i okazują wielki niepokój, gdy głos ten posłyszą. Otóż takim kogutem, zwiastującym świtanie nowego dnia — samodzielności i postępu ludu, stał się nasz *Przyjaciel ludu*. Nie dziw więc, że głosu jego przelękły się rozmaite ciemne siły i takiego narobiły zgiełku w dużych gazetach i ciemnych swych norach, jak gdyby nie dziś, to jutro miał nastąpić koniec świata. Gazety szlacheckie, jak *Czas*, lub lokajskie, jak *Przegląd* i *Gazeta Narodowa*, które im bardziej się zbliża chwila stanowcza przy wyborach, tem gwałtowniej uderzają na ruch mieszczański i włościański, pewne, że im skuteczniej zamącą opinję publiczną, tem więcej stronnictwo, któremu służą, nałowi mandatów — wyczerpały już cały słownik ujadań i podszczuwań na nasze pismo.

Gazeta, wydawana przez wielkich panów, pisana dla salonów i w salonach czytana, *Czas* krakowski, takie nam prawi grzeczności: „Zaprawdę nic bardziej wstrętnego i oburzającego, a do pewnego stopnia przerażającego, jak ten szereg podłości i nikczemności, jakie znajdujemy na szpaltach piśmideł, przeznaczonych dla ludu. *(Przyjaciela ludu, Wieńca* i *Pszczółki)*. Nie chcemy cytować nędznych wycieczek przeciw mężom najczystszym i najzacniejszym, najofiarniejszym i najpatrjotyczniejszym (to niby przeciw pp. Lasockim, Stadnickim, Wodzickim, Kozłowskim i innym stronnikom świętej karczmy, świętego kija i świętego länderbanku, ofiarnym i patrjotycznym do tego stopnia, że jeden z nich nie wahał się liczyć sobie i brać z kasy krajowej koszta podróży pierwszą klasą kolei z Wiednia do Lwowa, chociaż zasiadając w radzie zawiadowczej tej koleji jechał za darmo).

Ciekawiście zapewne co też gazeta szlachecka nazywa „nikczemnością“, co ją najbardziej niepokoi? Oto są przytoczone przez nią ustępy:

„Komitety centralne są komitetami jednego stronnictwa“ (co jest prawdą niezaprzeczoną) „lud powinien wybierać oddanych sobie zastępców“, „w sprawie wyborczej wolno głosować każdemu jak chce“, „prawo wyborcze jest dziedzictwem ważniejszem, niż zagon po ojcu odziedziczony“ itp. Więc *słowa te, zachęcające włościan nie do czego innego, jak tylko do uszanowania ustaw konstytucyjnych i do pilnego dbania o swe własne dobro w duchu tych ustaw, w drodze legalnej i uczciwej*, wstrętne są dla was, pytamy?

Przeraża was, że lud oceni całą wagę praw sobie należnych, pozna doniosłość zawarowanej sobie, a tylekroć deptanej wolności wyborczej! Zaślepieni przerażeniem, ruch nawskróś konstytucyjny chcielibyście podciągnąć pod paragrafy kodeksu karnego: mianując go „buntem“, „podpalaniem“, „podburzaniem jednej warstwy przeciwko drugiej! Zaprawdę przechodzicie granice wszelkiej godziwości! Przerażać się wam wolno, ile chcecie; wolno wam nawet nie czuć sromoty podszczuwań, ale nie wolno targać się na to, co jest dobrem współobywateli, co jest dorobkiem cywilizacyjnym wieków całych, targać się na to, co jest istotą konstytucji. Czyniąc to, odegrywacie rolę społecznie tak niską, jak gdybyście byli wstecznikami 18. jeszcze stulecia, którzy przypadkiem zabłąkawszy się do epoki o wyższym poziomie stosunków, ani ich zrozumieć, ani uszanować nie umieją. Stanowisko przedstawicieli minionej epoki groźnem być już nie może, ale czy pod względem moralności politycznej nie stoicie niżej od samych targowiczan, to wielkie pytanie. Tamci pod maską dbałości o „społeczeństwo“, woleli być grabarzami ojczyzny, niż zgodzić się na r e f o r m y, któreby przywileje ich kasty na rzecz mieszczan i włościan ograniczyły; wy uderzacie w dzwon alarmu, że miasta, że włościaństwo przez wieki niemowlęce, zaczynają z *istniejących należnych im ustaw* korzystać, do siły się poczuwać i sami o sobie stanowić. Kiedy bracia włościanie jasielscy zwrócili się do was ze słowami: „nie obawiajcie się otwartego ruchu ludowego, nie gardźcie czarną ręką od pługa, uszanujcie prawa, które w granicach ustawy i my wykonywać chcemy“ — coście odpowiedzieli? Oto: „W Jasielskiem urodził się Szela; w Jasielskiem rozpoczyna się teraz ruch ludowy!“ Te słowa, których niego-

dnej myśli tu nie będziemy obnażać, znamionują wasze pojęcia polityczne, waszą moralność, wasz stosunek do ludu!

Przeraża was, że lud garnie się do udziału w życiu publicznem, a czy nie przerażają was cierpkie owoce usuwania ludu od dobrodziejstw tego udziału: lęk przed powrotem do dawno minionej przeszłości, co się jeszcze wciska do duszy wieśniaczej; milknięcie poczucia narodowego na widok kilku uzbrojonych surdutowców; wzdraganie się przed posłuchem władzom autonomicznym; szukanie pomocy przeciwko wydanym ustawom — po za krajem i państwem!...

Pytacie: „czyż wszystko u nas wolno pisać bezkarnie, czyż wolno bezkarnie napadać ludzi, czyż wolno bez przeszkody buntować chłopa przeciw szlachcicowi, czyż wolno swobodnie siać rozbrat i waśń społeczną, czyż wolno świadomie zaburzać spokój publiczny? A jeżeli nie ma na to wyraźnego paragrafu w kodeksie karnym, toć społeczeństwo samo powinno i musi się bronić przed napastnikami, awanturnikami i buntownikami!“

Przypatrzcie się dobrze tym pięknym słowom, czytelnicy i korespondenci *Przyjaciela ludu*, zobaczcie w jaki sposób wojuje z wami organ szlachecki! Przedewszystkiem zwraca on uwagę prokuratorji na nasze pismo, oczywiście zachęcając ją do tego, by starała się zawiązać nam i wam wszystkim usta. By tego dokonać, udaje nawet głupiego, udaje jak gdyby nie wiedział, że to, co wypowiedział dotychczas *Przyjaciel ludu*, oczywiście *musiało mu być wolno* wypowiedzieć, gdyż ani jedno słowo nie wykraczało przeciw ustawie, sumieniu i uczciwości. I jeszcze bardziej głupiego udaje *Czas* pisząc: „jeżeli nie ma na to osobnego paragrafu“... Oj, wielmożny panie, są wyraźne paragrafy, bardzo wyraźne na wszystkie te zbrodnie, któreś nam wyliczył, a jeżeli prokuratorja i sąd dotychczas ani za jedną z tych zbrodni nie pociągnęły nas do odpowiedzialności, to rzecz chyba oczywista, nie to, że sąd i prokuratorja dla nas robią wyjątek i nie pełnią swych obowiązków, ale to, że wielmożny pan w swym zapale — *kłamie*, zarzucając nam owe zbrodnie. No, ale taką bronią nas nie zwalczycie.

W rachubach waszych tkwi błąd zasadniczy: mierzycie wszystkich miarą pół ludzi: a zdaje wam się, że nacisk przeważnego w kraju stronnictwa wszystko złamać może, wszystkiego dopiąć, byle chciał. My innego jesteśmy zdania. Haniebnym praktykom żadne sofizmaty, żaden grad złorzeczeń i podszczuwań nie doda tej mocy i powagi, któreby *skutecznie* dla waszych celów przemawiały do *prawa*, a jeszcze bardziej do *umysłów i sumienia miljonów współobywateli.*

Dziesięcioro przykazań dla wyborców.

Podajemy wam tutaj, bracia wyborcy z mniejszych posiadłości, dziesięć rad, jak się macie zachowywać w dniu wyborów, by jak najmniej doznać nieprzyjemności i jak największą mieć pewność, że wasz głos będzie uszanowany i wasz kandydat otrzyma większość. Przeczytajcie je sobie uważnie i zapamiętajcie dobrze.

1. Każdy wyborca ma wobec gminy i sąsiadów dać słowo honoru, że tego dnia dopóki się wybory nie skończą, nie weźmie do ust żadnego trunku prócz wody ani żadnej strawy, prócz swej własnej domowej.

2. Wyborcy z jednej wsi, a także znajomi wyborcy z pobliskich wsi powinni jechać do miasta i przez cały czas pobytu w mieście być r a z e m. Żaden wyborca od chwili wyruszenia z domu aż do ukończenia głosowania i ogłoszenia rezultatu wyborów nie powinien ani na chwilę być sam, nie powinien odłączać się od swej kompanji, jeżeli nie chce ściągnąć na siebie podejrzenia, jakoby i przy głosowaniu zamyślał pójść wbrew kompanji.

3. Każdy wyborca powinien pilnować swej karty legitymacyjnej jak oka w głowie i nie pokazywać jej nikomu prócz urzędników, któ-

rzy mają prawo o to pytać (tj. żandarmów lub policjantów, pilnujących wejścia do sali i w samej sali), i nie oddawać karty n i k o m u, tylko k o m i s j i, zasiadającej przy głosowaniu. Żaden wyborca nie powinien wobec faktorów i nieznajomych sobie drabów przyznawać się, że jest wyborcą, a tem mniej pokazywać im kartę legitymacyjną. Pytać o nią w mieście ani na drodze przed wejściem do sali wyborów nikt nie ma prawa.

4) Żaden wyborca nikomu prócz ludzi, których zna i którym zaufać może nie powinien mówić, na kogo myśli głosować. *Ani żandarmi, aui policjanci, ani żaden urzędnik, ani sam starosta* — nikt w ogóle aż do samej chwili głosowania nie ma prawa o to się pytać. Raz zmówiwszy się między sobą, na kogo mają głosować, wyborcy nie powinni imię jego po ulicach wykrzykiwać, imieniem jego komukolwiek się odgrażać itp.

5. Wyborcy nie powinni ani na rynku ani po ulicach ani po szynkach zatrzymywać się ani też brać udziału w jakichkolwiek-bądź zbiegowiskach, kłótniach, sprzeczkach, itp. Wszelkich zbiegowisk, wszelkiej ciżby, szczególnie, gdzie zamięszani są jacyś ludzie nieznajomi, hałaśliwi lub pijani, powinni wyborcy jak najusilniej unikać.

6. Wyborcy powinni wybrać się z domu; być na miejscu wyborów wcześnie, by przy samem rozpoczęciu wyborów być już na miejscu, ażeby nie potrzeba ich było zwoływać, lecz przeciwnie, by wszyscy w sam czas byli już w sali wyborczej i mogli dopilnować wyboru komisji.

7. Wyborcy powinni w ogóle w dniu wyborów unikać szynków. Najlepiej będzie, jeżeli każda kompanja lub po kilka kompanij razem zakwateruje się w mieście do jakiego znajomego mieszczanina, człowieka trzeźwego i uczciwego, a ztąd prosto, posiliwszy się z drogi, uda się na miejsce głosowania. Jeżeli by tam trzeba było czekać, to każda kompanja powinna stanąć sobie razem, osobno i cicho, bez hałasu i oczekiwać swej koleji. Ci, którzy oddali swój głos, nie powinni zaraz odchodzić, lecz zaczekać mają aż d o s a m e g o k o ń c a wyborów, dopóki nie będzie ogłoszony rezulatat, bo bywa i tak, że trzeba głosować i drugi raz.

8. Na żadne zaczepki, na żadne wyzywania, na żadne urągania ze strony żydów i wrogich agitatorów uczciwi wyborcy nie powinni ani oglądać się ani gniewać ani odpowiadać. Choćby i jak komu dokuczono, niech pocierpi, aż będzie po wyborach.

9. Przy wejściu do sali wyborcy nie powinni się cisnąć ani szturchać, ale stać spokojnie, wolno, by zewsząd wolne było przejście, bez krzyku, by słychać było, kogo wołają. Im spokojniej i porządniej wyborcy będą się zachowywać, tem mniej przyczyn będą mieli żandarmi i policjanci mięszać się do nich, tem mniej śmiałości będą mieć faktorzy i agitatorowie.

10. W samej sali wyborów każdy wyborca powinien zachowywać się spokojnie, z godnością; gdy wywołają jego nazwisko, powinien odezwać się, wyjść na środek i głośno, wyraźnie wymienić imię, nazwisko i stan swego kandydata, tak, żeby cała komisja słyszała. Każdy wyborca powinien zapamiętać sobie dobrze to imię, nazwisko i stan, by ani słówka nie przekręcić, bo w takim razie zdarzyć się może, że głos jego będzie nieważny.

Tych dziesięcioro przykazań niech sobie dobrze zapamięta każdy uczciwy wyborca. Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Krwawa rocznica.

W tym właśnie miesiącu r z ą d r o s y j s k i o b c h o d z i u r o c z y ś c i e p i ę ć d z i e s i ą t ą r o c z n i c ę p r z y ł ą c z e n i a u n i c-

kiego czyli grecko-katolickiego kościoła do prawosławja, którego głową jest car moskiewski — i nie wzdryga się przed kłamliwem głoszeniem, że cała ludność unicka dobrowolnie, dzięki niewypowiedzianemu miłosierdziu bożemu przyłączyła się do Moskwy. Otóż chcemy opowiedzieć wam, mili czytelnicy, w kilku słowach jakiemi to okrucieństwami, jakiemi mękami dręczono unitów, zmuszając do tego dobrowolnego połączenia.

Męki unitów, które dotąd jeszcze trwają na Podlasiu, nie od dzisiaj się zaczęły. Już sto ośmdziesiąt kilka lat upływa od czasu, gdy car moskiewski, Piotr, przybył do miasta Połocka z zamiarem nawracania unitów na prawosławje ogniem i mieczem. W tym celu car rozłożył swe wojska obozem koło cerkwi katedralnej i klasztoru bazyljańskiego — i pewnego wieczora, upiwszy się na uczcie, wpadł ze swymi żołnierzami do kościoła, w którym bazyljanie skończyli właśnie nabożeństwo wieczorne i śpiewali litanję przed ołtarzem błogosławionego Józefata Kuncewicza, który był za życia arcybiskupem w mieście Witebsku i został tam zamordowany przez carskich siepaczy. Pijany nienawiścią i wódką car, wpadł w większą jeszcze wściekłość, gdy ksiądz Zajączkowski mu powiedział, że arcybiskup Kuncewicz został zamordowany przez wyznawców wiary carskiej. Z dzikim rykiem rzucił się na zakonnika, zaczął go bić po twarzy i głowie, powalił na ziemię, kopiąc nogami, a w końcu obciął mu szpadą nos i uszy. Przelewanie gorącej krwi ludzkiej leżało w jego dzikiej naturze, załatwiwszy się więc z jednym, poskoczył do drugiego, do ks. Kołbieczyńskiego, porwał go za włosy i będąc olbrzymiej siły ściął mu jednem cięciem głowę. Za temi dwoma męczennikami poszli inni. Los jednak gwałtownie za mordowanych i posiekanych tego wieczora był jeszcze szczęśliwym w porównaniu z tymi, których car kazał uwięzić i trzymając aż do śmierci w więzieniu dręczył i katował w ohydny, nieludzki sposób.

Jak za uderzeniem jednego dzwonu zaczynają jęczyć wszystkie inne, tak po okrucieństwach w Połocku zaczęły płonąć klasztory i cerkwie rozsiane po całej Litwie i Białej Rusi, popłynęła czerwoną rzeką krew męczenników. Gdzie przeszły wojska carskie, tam się robiło pusto jak po cholerze, tam zostawały tylko popioły i gruzy...

Najokropniejszy jednak ucisk religijny, najdziksze pastwienie się nad unitami rozpoczęło się wówczas, gdy Polska, utraciwszy niepodległość, nie mogł już ich bronić.

Nie jeden dzień i niejedną noc trzebaby wam opowiadać, mili czytelnicy, chcąc wspomnieć o wszystkich okrucieństwach, jakie się działy i później za panowania carycy moskiewskiej, Katarzyny, szczególniej na Ukrainie. Mordowano dzieci, niewiasty i starców, we krwi zatopiono całe Pobereże, a w jednem tylko mieście Humaniu podczas rzezi zamordowano 18 tysięcy osób.

Dręczono w niesłychany, nieludzki sposób księży, zakonników i zakonnice, którzy nie chcieli odstąpić swej wiary. Posłuchajcie dla przykładu, co się działo w mieście Mińsku. Wszystkie zakonnice bazyljanki porwano z ich klasztoru i zamknięto w klasztorze prawosławnych zakonnic, które nazywają się czernicami. Okute dzień i noc w kajdany bazyljanki musiały ciężko i sromotnie pracować, a gdy która z nich mdlała z głodu i zmęczenia, to wówczas ćwiczono je rózgami. Kilka z nich skonało pod batami. Jedną, której na imię było Baptysta Downorówna, moskiewskie czernice spaliły żywcem w piecu, innej, Grotkowskiej, rozrąbały głowę. Po kilku latach ta-

kich cierpień kilka bazyljanek zwarjowało, wiele umarło ze zmęczenia i bolu. Te z nich, co jeszcze żyły, nie chciały przyjąć moskiewskiej wiary, widząc to prawosławny pop nazwiskiem Skrypin, kazał je zaszyć w płócienne wory i w późnej jesieni, kiedy już było bardzo zimno, wrzucić do jeziora na kilka godzin. Żołnierze moskiewscy, którzy trzymali w ręku sznury od tych worów, zanurzali nieszczęśliwe zakonnice do wody, a pop wzywał je do przyjęcia prawosławja, mówiąc, że wówczas przestanie je topić. Żadna z nich nie usłuchała tego szatana i byłyby tam wszystkie poginęły, gdyby nie uratowali ich żydzi, oburzeni okrucieństwem carskich sług. (Dok. nas.)

Ck. prokuratorja państwa skonfiskowała pierwszy nakład naszego pisma za artykuł o procesie ks. Stojałowskiego. Zarządziliśmy nakład drugi i rozsyłamy go naszym czytelnikom.

Odezwa włościan krośnieńskich.

Otrzymaliśmy wydaną przed paru dniami w Krośnie odezwę wyborczą, w której kilkunastu włościan zwraca się do ogółu wyborców i wyraża następujące poglądy.

»Jeżeli się odzywamy do wszystkich wyborców powiatu krośnieńskiego, to nie powoduje nami żadna zawiść, jako włościan do innych stanów, ale jedynie słuszność i żądanie sprawiedliwości.

Jeżeli postanowione są Sejmy krajowe przez Monarchę, który nam nadał prawa konstytucyjne i samorządu, czyli autonomję, to w prawie tem jest najwyraźniej powiedziane, że tak jak w całej monarchji Austro-Węgier, a tem samem i w Galicji wszystkie stany są uprawnione, aby radziły nad dobrem kraju. A przecież jest rzeczą jasną i naturalną, że ażeby te rady były dobre, powinien mieć każdy stan głos, aby wypowiadać co go boli co mu najwięcej szkodzi do rozwijania się dobrobytu i umoralnienia. Tak samo, jak właściciel większych posiadłości czyli pan, mieszczanin, kupiec, rękodzielnik, wie najlepiej co mu potrzeba, tak samo i włościanie, którzy przecież w całym kraju stanowią największą liczbę pracujących twardo i w nieustannym pocie czoła. Bez ich twardych rąk i nawykłych do najtrudniejszej pracy, tych rąk które uprawiają na chleb powszedni tę ukochaną ziemię Ojców naszych, że się obejść nie może, i każdy kraj stałby się pustynią, to każdy człowiek, który ma zdrowe zmysły, rozumie dobrze. Tem samem jest rzeczą zrozumiałą, jasną i sprawiedliwą, żeby ta liczna miljonowa gromada włościan miała również swoich własnych przedstawicieli w Sejmie krajowym ze swego własnego stanu. My włościanie tak przynajmniej pojmujemy wolę naszego Najmiłościwszego Monarchy i prawa konstytucyjnego i prawa samorządu. Niestety! słuszność ta zostaje w zupełności zapoznaną i usuwaną, bo gdy z początkiem konstytucji zasiadało choćby po kilku włościan w Sejmie krajowym i w Radzie państwa, obecnie jak to się można było przekonać, podczas ostatniego sześciolecia, we Lwowie nie było ani jednego włościanina chociażby na okaz, i zdawaćby się mogło, że cała rzesza włościańska w Galicji przedstawia tylko jednę masę małoletnich, którzy do pracy dla dobra kraju nie są zdolni.

Tak przecież nie jest, bo widzimy u nas, że nie tylko naczelnikami gmin, czyli wójtami, są przeważnie włościanie, ale także w każdej Radzie powiatowej, a nawet w wydziałach zasiadają. Widocznem więc jest, że są i pomiędzy włościanami zupełnie pełnoletnio-uzdolnieni. Pomimo tych warunków przekonywających, każdy włościanin stający jako kandydat przy wyborach do Sejmu, zawsze

natrafia na liczne przeszkody i trudności, które go od praw mu przynależnych usuwają.

Aby nas podpisanych nie posądzono o jakąkolwiek chęć rzucania niezgody lub nienawiści ku innym stanom, zamilczamy o środkach, jakich się używa, aby włościanina nie dopuścić do Sejmu krajowego. Nie powiemy, abyśmy tak rozumieli, żeby inne stany, czyli tak nazwana inteligencja i panowie, chcieli dla niegodnych celów usuwać włościanina i uważać go jako niedołężnego lub szkodliwego, jako posła — nie; o to nie chcemy nikogo oskarżać, ale musiemy wypowiedzieć to, co czujemy. Jest to poprostu złe, które bez względu na skutki, jakie wywołać może, szerzy jedynie niezgodę i nieufność i uprawnia do czynienia najrozmaitszych domysłów całą rzeszę mniej wykształconą włościan i daje pole do działania czynników wrogich.

My włościanie dziś przyszliśmy do przekonania, że gorączkowe ubieganie się o mandaty poselskie stanów innych, pochodzi głównie z powodów ambicji, aby dla honoru i zaszczytu zasiadać w Izbie sejmowej lub też dla zrobienia poprostu, jak to nazywają, karjery.

U nas w powiecie krośnieńskim musimy przedewszystkiem jedną rzecz poruszyć, która nam jest bardzo bolesną. Jesteśmy przedewszystkiem katolikami, a nikt nam zaprzeczyć nie może, że stoimy twardo i wiernie przy wierze ojców naszych i kościele. Żaden stan nie ma takiego poszanowania, jak stan duchowny, który uważamy i uważać chcemy za naszego przewodnika; cóż jednak możemy sobie myśleć i jaka boleść organia nasze dusze, widząc, że niektórzy z naszego Szanownego duchowieństwa, które przeważnie wychodzi z naszego stanu, dzisiaj nie chcą iść ręka w rękę z tą wierną swoją rzeszą i często nawet przykładają rękę przed obecnemi wyborami, aby kandydaturę włościanina obalić.

Upraszamy tedy nasze Szanowne duchowieństwo gorąco, aby nie zapoznawało obowiązku, jaki ma dla stanu wiejskiego tem więcej, że stan ten nie myśli nawet o zajęciu większości krzeseł poselskich, lecz żąda tylko, aby chociaż kilku włościan tam zasiadało, tak Polaków jak też i Rusinów. Sprawiedliwość taka doda nam otuchy, że przecież i ona jest poszanowaną, i że w Sejmie znajdą się nasi przedstawiciele od których bracia w płótniankach i guńkach dowiedzą się, co i jak radzono, a przez to wzmoże się zaufanie, które dotąd nieraz było mylnie przedstawiane.

My włościanie powiatu Krośnieńskiego postanowiliśmy wybrać na posła naszego brata i towarzysza twardej pracy, którego cały żywot jest czysty, a tem samem daje rękojmię, że będzie on użytecznym członkiem w gronie posłów krajowych.

Tym naszym mężem zaufania jest Jan Skwara, gospodarz z Targowisk.

Nie mamy nic przeciwko zacności drugiego kandydata p. Jana Trzecieskiego, wiceprezesa naszej Rady powiatowej. Pamiętamy dobrze i zachowujemy cześć pogrobową dla jego śp. rodzica p. Jana Trzecieskiego, któremu nie jedno dobro powiat krośnieński ma do zawdzięczenia; kochał on włościan i szanował ich i nigdy nie odmawiał praw im przynależnych, niechaj-że więc i syn jego zechce brać przykład z rodzica, i niech przyłoży rękę i zechce zrozumieć, że postąpi po bratersku i patrjotycznie, cofając swoją kandydaturę na rzecz Jana Skwary, którego miał czas dobrze poznać, zasiadając z nim przez lat kilka w wydziale Rady powiatowej.

Doszły nas wieści, jakoby kandydat nasz Jan Skwara, czy też my jego zwolennicy mieliśmy rozsiewać brednie, że jeżeli Jan Skwara nie będzie wybrany do Sejmu, to panowie przywrócą pańszczyznę.

Rozsiewanie takiego fałszu odpieramy stanowczo, bo byłoby to wysoką niegodziwością, za którą ci, co takową rozsiewają, odpowiedzieć-by musieli przed Bogiem. Zresztą włościanie w powiecie krośnieńskim są przynajmniej na tyle oświeceni, że nie uwierzyliby, aby pańszczyzna mogła być kiedykolwiek przywróconą.

Krosno, dnia 26. czerwca 1889.

SAM SOBIE WINIEN

(powiastka galicyjska).

(Dokończenie).

III.

Rok minął od tego czasu. Znowu lato. Słońce z pogodnego, jasnego nieba obsypuje żarem wysokie łyse góry, zielone moczarki nad rzeką i fabryczne zabudowania parowego tartaku na Ludwikówce. Świca szumi i obryzgiwa pianą okrągłe kamienie, na górach, nieogołoconych jeszcze z drzew ciemnieją świerkowe lasy, owite mgłą siną, przejrzystą. Wśród kotliny rozsiadła się fabryka, otoczona ze wszystkich stron, niby olbrzymim murem, wysokimi stosami grubych pni świerkowych. Z czerwonego komina bucha dym, z rur rozlega się przeraźliwy świst, w wnętrzu fabryki słychać szalony klekot, pisk, skrzyp i łoskot parowej maszyny, zmieszany z ogłuszającym szumem wody i krzykiem robotników. A w oddali na wierzchach gór rozlega się tu i owdzie odgłos toporów i trzask spadający olbrzymich świerków.

— Hura! — krzyczą rębacze przy każdorazowym upadku jednego z tych leśnych olbrzymów, a potem znowu zaczyna zię ciosanie: olbrzyma ogołacają z gałęzi i po utartej kolei spuszczają w dół na rzekę, która go poniesie prosto przed tartak. Codziennie ze wszystkich wierzchów gór brzmi ta wrzawa rębaczów, codziennie setki potężnych pni z chrzęstem zsuwają się po nagich, żwirowatych urwiskach górskich w dolinę, ażeby tam na wodzie czekać, aż z kolei dostaną się pod niezmordowane, żelazne zęby pił parowej maszyny. I co dnia 14 składowych pił, niby 14 wielkich robaków, toczy kości leśnych olbrzymów.

Między rębaczami pracuje i nasz Mykoła. Rok już upłynął mu na ciężkiej pracy w fabryce. Biedak wygląda dziś jeszcze nędzniejszym i chudszym, ale rąbie zawzięcie, jak gdyby te pnie świerkowe były jego śmiertelnemi wrogami.

— Wszak to dzisiaj ostatni raz rąbię — Boże mój... ostatni raz!... — powtarza sobie w myśli, podnosząc z rozmachem siekierę.

Dzisiaj on szczęśliwy. Ma owinięte w chustce 50 złr, zapracowanych w ciągu roku. Cztardzieści — rachuje Mykoła — będzie dla żyda, a dziesięć na początek gospodarstwa. Wieczorem skończy się jego robota, a jutro przyjdzie do domu.

I w rzeczy samej nazajutrz, jeszcze poranna zorza nie ukazała się była na niebie, kiedy nasz Mykoła był już daleko od Ludwikówki, w drodze do rodzinnej wioski. Szedł prędko zadyszany, a po głowie błądziła mu myśl o przyszłości, nie zatrzymując się ani razu na minionych chwilach życia, gdzie spotykałby się tylko z niedolą i niedostatkiem.

— Najprzód pójdę do żyda — myślał biedny wieśniak, wykupię pole i chatę, a potem już do kobiety... Człek znowu będzie u siebie.

Myśl ta dodawała siły osłabionym nogom. Słońce zachodziło właśnie, kiedy się zbliżał do rodzinnej wioski. Serce zabiło mu w piersiach na widok dawnej, do połowy rozwalonej chatki i obszernej karczmy, stojącej na skraju sioła. Dobywając ostatka sił, pospieszył do tej ostatniej.

— Dobry wieczór Mordko! — zawołał, wchodząc do Izby karczemnej.

— Dobre zdrowie! A, to wy Mykoło? — odpowiedział arendarz. Gdzieżeście bywali, że was tak długo nie było widać we wsi.

— Byłem na robocie — odrzekł Mykoła. Słuchaj Mordko, mam ci coś powiedzieć.

— Ny, co takiego?

Wydobył ze skórzanego pasa szmatkę, rozwinął i położył przed żydem cztery dziesiątki.

— Masz, widzisz — oddaj mi grunt i chatę.

— Co, co, co? — krzyknął żyd, cofając się o parę kroków. Ty chcesz za 40 reńskich kupić grunt i chatę? Cha, cha, cha!

— Nie kupić, ale swoje odebrać!

— Odebrać? A to jakiem prawem?

— Oddaję ci, com winien, a ty mi oddaj gospodarstwo.

— Owa! Ty Mykoło, jak się patrzy, nabrałeś gdzieś wielkiego rozumu. U nas nie tak idzie! Mnie za ten grunt dają trzysta reńskich. Ja chcę czterysta, ale tobie oddam go za dwieście pięćdziesiąt. Rozumiesz?

Mykoła na te słowa stanął jak osłupiały. Żyd widocznie zląkł się, bo uciekł do alkierza, zamknąwszy drzwi za sobą. W karczmie znajdowało się kilku znajomych wieśniaków, którzy, obstąpiwszy Mykołę, zaczęli witać się z nim i pocieszać; ale biedny człowiek ciągle stał jeszcze nieruchomo z wzrokiem wlepionym w miejsce, gdzie przed chwilą stał arendarz. Długo, długo pozostał tak nieporuszony, aż w końcu zwrócił się do obecnych.

— Ludzie dobrzy, czy może to być? — zapytał głuchym, drżącym głosem.

— A cóż, kumie, zrobicie żydowi, kiedy wszystko w jego rękach — odrzekł na to jeden ze znajomych.

— I prawa niema na to żadnego?

— Niema.

— Ha! — westchnął Mykoła i zamilkł — tylko grube, piekące łzy stoczyły się po bladej, wynędzniałej, opylonej od kurzu twarzy.

— Moiście wy — przemówił po chwili, weźcie te pieniądze, proszę was, oddajcie je żonie. Mnie ich nie trzeba. Pozdrówcie ją odemnie i powiedzcie, że niedługo wrócę. A o tem co było z żydem — ani słowa! Słyszycie, ani słowa!

— Dobrze kumie, dobrze.

— A teraz ostańcie zdrowi!

Po tych słowach nacisnął kapelusz na głowę i wyszedł spiesznie. Słońce złocistokrwawem światłem oblało zachód. Purpurową smugą błyszczała Świca, wijąc się pomiędzy borami wśród ciemno-zielonej równiny. Szumiała woda po kamieniach, świergotały wróble w wiklinie, a w sercu biednego Mykoły kłębiła się rozpacz.

IV.

W tym samym czasie, kiedy odbywała się powyższa scena, w Ludwikówce opowiadali sobie ludzie o strasznym wypadku, który się zdarzył przed kilku dniami. W jednej karczemce, stojącej samotnie na polu w pobliżu Doliny, wyrznięto w nocy całą rodzinę żydowską. Jeden tylko chłopczyna cudem prawie ocalał, ukrywszy się na piecu; od niego to dowiedziano się bliższych szczegółów o okropnem morderstwie. Ludzi, którzy popełnili tę zbrodnię, chłopczyna nie znał, nie rozumiał nawet ich mowy. Podejrzenie padło na dwóch włochów, robotników w Ludwikowieckiej fabryce, których też zaraz uwięziono. Włosi ci pracowali „na spuście".

Była to niebezpieczna praca: jeden z lesistych szczytów leżał w zbytniem oddaleniu od rzeki, tak, że nie można było spuszczać wprost zrąbanych pni na wodę, zwłaszcza, że górę otaczały dokoła nieprzystępne doły, zarzucone olbrzymimi odłamami skał. Świerki tymczasem, które obrosły wierzch góry, należały do najpiękniejszych. Dyrektor tartaku długo przemyśliwał nad tem, w jaki sposób możnaby się było dobrać do nietkniętego lasu, wreszcie wpadł na śmiały pomysł. W połowie wysokości wzgórza wypływało z pod skały niewielkie źródło, spadające w dół strumieniem, który w dalszym swym biegu gubił się między skałami, a potem znowu wypływał i wpadał spokojnie do Świcy. Od tego źródła dyrektor kazał zbudować spust, łączący się wprost z podwórzem fabryki. Był to po prostu wązki przewód wodny, zbudowany z grubych świerkowych tarcic w kształcie koryta długiego i pociągnięty w prostej jak struna linii od fabryki ponad straszliwą, skałami najeżoną przepaścią aż do samego serca przeciwległej góry. Z dna przepaści przewód wodny podobny był do grubej liny, a kobylice, na których się opierał, wyglądały jak długie, wiotkie żerdzie, które za najmniejszem trąceniem zakołyszą się i padną.

Tem to drewnianem korytem spływała woda ze źródliska; ułatwiając spuszczanie zrąbanych pni świerkowych. Tylko że ilość wody za małą była, ażeby porwać ze sobą olbrzymie kloce odarte z kory dla łatwiejszego ślizgania wzdłuż koryta. Musiało zatem bez

przerwy dwóch robotników ciągnąć te kloce w dół do tartaku. Spuszczanie odbywało się w ten sposób, że robotnik wrąbawszy silnie siekierę chwytał oburącz za toporzysko i stąpając po skraju, całem ciałem zwieszony ponad straszliwą przepaścią, wlókł za sobą kloc po ślizgiem dnie koryta. Była to powolna. a niebezpieczna praca; na wypadek bowiem, gdyby siekiera wyskoczyła z kloca, albo ręce robotnika ześliznęły się po toporzysku, nieszczęśliwego czekała nieochybna śmierć na dnie przepaści. Dlatego też miejscowi robotnicy w żaden sposób nie chcieli iść na »spust«, chociaż dyrektor dawał dwa reńskie dziennie. Tylko wspomniani dwaj włosi podjęli się byli tej pracy; jakoż istotnie wiodło im się szczęśliwie przez całe trzy miesiące. Ale miejscowi ludzie nie mieli nawet odwagi patrzeć na tych ludzi, jak wychyleni w tył nad przepaścią, wlekli olbrzymie kloce.

Wprawdzie wzdłuż koryta ułożone były deski, żeby wygodniej można było stąpać, atoli w razie upadku, deski nie były w stanie utrzymać spadającego robotnika.

Kiedy zatem Mykoła wrócił był do Ludwikówki, miejsce po dwóch włochach było opróżnione.

— Panie dyrektorze — rzekł Mykoła wchodząc do fabrycznej kancelarji, wróciłem znowu do tartaku i proszę o robotę.

— O robotę? — mruknął dyrektor. Aha, dobrze. Właśnie przy spuście potrzebuję ludzi, chcesz?

— Przy spuście? — wyjąkał Mykoła.

— Ja ci dobrze zapłacę, dwa reńskie dziennie.

Mykoła namyślał się, mróz przeszedł go po kościach. Ale wyboru nie było. Zresztą na cóż się miał teraz oglądać?..

— Dobrze panie dyrektorze — odpowiedział, pójdę na spust, dziej się boża wola!

— Co, pójdziesz? — zapytał dyrektor i spojrzał na niego ze zdziwieniem, jakby przestraszony zuchwałym krokiem chłopa.

— Tak, pójdę!

Na drugi dzień rano koło spustu zgromadził się tłum robotników i nadzorców fabrycznych. Chcieli zobaczyć, jak powiedzie się Mykole w tej karkołomnej pracy.

Mykoła był już w lesie. Dochodziły stamtąd krzyki i wołania robotników, odgłos siekier i chrzęst upadających świerków. Zwalono właśnie potężny kloc w koryto. Białe, odarte z kory drzewo smolne błyszczało w słońcu. Ale otóż i Mykoła. Przeżegnał się, pochwycił oburącz ogromną siekierę z długiem, mocnem toporzyskiem i rozmachnąwszy nią nad głową, wbił ostrze w grubszy koniec kloca.

— Ano w imię Boże! dalej!..

Ujął toporzysko, nachylił się przewieszony nad przepaścią i przy pomocy innych robotników poruszył pień z miejsca.

— Powoli, powoli! — krzyczano z dołu.

Kloc sunął się dosyć lekko po dnie przewozu. Mykoła stąpał bezpiecznie po desce. Zbliżył się właśnie do miejsca, gdzie pod nogami rozwarła swą paszczę straszliwa przepaść. Bojaźliwsi odwracali oczy, nie mogąc znieść widoku tego człowieka, przechodzącego jak po nitce między życiem a śmiercią.

— Boże ratuj go! — szeptali robotnicy.

— Ciekawym też, czy przejdzie? — mruknął dyrektor.

Mykoła tymczasem postępował w dół, utkwiwszy wzrok swój w kloc świerkowy i błyszczącą siekierę, kióra niby ogromny ząb wściekłego zwierza wpiła się była w białe, świecące ciało kloca. Oprócz siekiery i kloca nie widział nic więcej przed sobą. Nie czuł nawet strachu. Zdawało mu się tylko, że siłą wzroku trzyma się pnia, że odwróciwszy odeń oczy, znajdzie śmierć nagłą na dnie wąwozu.

Lecz cóż to?.. Czy ręka zadrżała mu ze strachu? Czy siekiera poruszyła się w klocu? Mykołę ścisnęło coś za serce. Czuł, że siekiera za słabo wbita i lada chwila wysunie się z drzewa. Chciał się zatrzymać i poprawić ją, ale jakaś nieprzeparta siła ciągnęła go w dół. Spojrzał w przepaść i w tej chwili dostał zawrotu głęwy, pociemniało mu w oczach, a z ust wyrwało się mimowoli jedyne, ostatnie słowo:

— Boże!

Krótki, przerażający krzyk trwogi, dobyty z piersi zgromadzonych przeszył w tej chwili powietrze. Mykoła z szybkością błyskawicy runął w przepaść. Zaraz na pierwszym ostrym

odłamie głowa jego rozprysła się w kawały jak rozbity arbuz.

— Boże! — jęknęli robotnicy i popędzili w dolinę, chociaż każdy wiedział, że dla biednego Mykoły nie ma już ratunku.

Pochowano go nad Świcą u stóp wysokiej góry. Zielony mchem i pięknem kwieciem obrosły pagórek, oblany z dwóch stron rzeką, sterczący nad nią wysoko, mieści w sobie jego ciało. Świca pieni się i szumi jakby w bezsilnej złości na wydartą jej falom ofiarą. Dokoła patrzą w zadumie wysokie góry na niewielką mogiłkę po jednej, a ogromną fabrykę z czerwonym kominem po drugiej stronie.

W leszczynie kuka kukułka, jakby pytała: „Kto tu? Kto tu?“ a czyżyk na wysokim badylu przeciągle wywodzi: »nieszczęśli-i-wy! nieszczęśli-i-wy!« Tylko nadąsana, krasa sójka na samotnym świerku przedrzeźnia się: »Sam sobie winien... Ehe, ehe!...«

Iwan Franko.

Legenda o Janie hr. Stadnickim

(kandydującym na posła z gmin wiejskich powiatu Brzeskiego).

W stronach, gdzie żyję, króluje graf Jan
Jak ów „Stadnicki djabeł“ w koło znan
Z różnych awantur niegodnych szlachcica,
O których mówi cała okolica.
Nie boi on się gromów żadnej chmury,
Ufając w czary swej „dziewiczej góry“
Wiec nie przystępuj do niego bez kija,
Bo ręka jego nikogo nie mija
Gdy go nie nazwie oświeconym panem —
Albo nie klęknie jakby przed bałwanem.
Niedawno „Maćka“ do kozy zasadził
Za to, że jadąc wierzchowcem — zawadził
O plecy jego umyślnie — a „Maciek“
Nie wiele myśląc wlepił kijem *placek*.
I jeśli tylko jest pustawo w kozach,
Graf staje w sądzie w wytartych rajthozach,
O co bądź chłopa skarży najgoręcej,
Rad, gdy kraj więźniów będzie żywił więcej.
Świeża historja z ogrodniczkiem trwożnym
Co nie zdjął czapki przed jaśnie wielmożnym
I tak się przeląkł tej zbrodni, że łkając
Począł uciekać jak przed chartem zając.
Smutny ma koniec! Graf gniewny w wyścigi
Puścił się za nim, nie szczędząc fatygi,
Przez płoty... rowy... Ach! wstrzymać nie mogę
Łez żalu... upadł — skręcił hrabską nogę!
Niosą rannego na boleści łoże,
Z którego długo podnieść się nie może.
Jeżdżą doktorzy — Józefek z Tarnowa
Lenderbankowskie dziesiąteczki chowa!
Żałoba kryje pałac wielkopański
Przez miesiąc cały! Jakiś głos szatański
Urąga temu, śmiechem w oczy pryska:
Że na Matyska przyszła wreszcie kreska.
W tem straszna na kraj nadeszła zawieja...
Hrabio! wstać musisz! Górna Galileja
Woła, że *wilki* żeżrą *brzeski* kątek...
Pono już niezły zrobiły początek.
Graf rusza w Brzesko! Na sejmiku wiele
Mądrego prawi o swem dawnem dziele,
Chce okna duże pokasować w szkole,
Bo to wyradza zbytek i swawolę.
Dzielnie też myśli wziąść się do tej szkoły:
„Bo dziś z niej same wychodzą warchoły“,
Potem do ludu zwraca się jak basza:
„Co czynić w Sejmie rzecz moja, nie wasza!“
Bohatyr wiecu z tryumfem spogląda
Dumny jak malec co wlazł na wielbłąda —
Ale tu po nim mowców szereg cały
Przemawia *przeciw*... graf drgnął oniemiały...
Klęska sromotna! Hrabia w kącie mruczy...
Ktoś mówi przeciw — sala od braw huczy!
Bractwo zgłupiało, i z grafem nie lepiej,
Któż mu ten „placek maćkowy“ odlepi?
Nagle wśród klęski pomoc mu przybywa,
Niejaki Jastrząb gdzieś z kąta się zrywa,
Po rozum (rzadki) zajeżdża do główki,
I niszczy skutki każdej zgubnej mówki:
„Wyrzucić z sali wyborców połowę
Po co to chłopom „zaprzątywać“ głowę!
Pomyślał, zrobił, „Precz za drzwi z chłopami!

I w jednej chwili: *zdrowy sąd* za drzwiami!
Hrabia odetchnął — a nawet z sejmiku
Na wiktoryi wyjechał koniku,
Lecz czuł, że trudno ująć brzeskich chamów
Mimo Jastrzębiów, Simków. Abrahamów.
Więc do Wojnicza wyrusza zgniewany
W myśli rozwija poselskie swe plany:
Urwać łeb *hydrze* już w samej kolebce,
To byłby tryumf!" w drodze sobie szepce...
Ciesz się szczęśliwe młode pokolenie,
Twą przyszłość hrabia chce wziąść na sumienie
Oto troskliwy dziś o przyszłość twoją
W Wojniczu zaraz zaczął pracę swoją —
Bo po rycersku ledwo wszedł tam ino
Pewnej dziecinie przeciął rączkę trzciną. —
Przyczyną takiej admonicji było,
Że dziecko we drzwiach gdzieś się zapatrzyło,
I nie zważając, nie zeszło mu z drogi,
Ani skłoniło się do pańskiej nogi.
Wzburzył się na to Wojnicz niemal cały,
Bo takie rzeczy w Moskwie nie bywały,
A dzieci z miesiąc nie wyściubią głowy
Bo graf czci uczyć kijem znów gotowy.
Ale ci, których wilkami przezwano
Do urn *wyborczych* jak jeden *człek* staną
By wybrać *ludzi*! — My, nie szlachty *wrogi*,
Lecz *przyjaciele* tej ziemi ubogiej.
Gdzież to są *owi*, którym prawo służy
Do nazwy: szlachta? Jest ich poczet duży
W miejskiem warcholstwie — a w dworach: [kto siedzi?
Ot, lepiej na to nie chcieć odpowiedzi!

Włościanin z brzeskiego powiatu
(w Djable krakowskim.)

Jak zakładać Czytelnie ludowe?

W każdej wsi, w każdem miasteczku powinna być Czytelnia ludowa, w której gospodarze mogliby się w wolnym czasie od zatrudnień schodzić, aby przeczytać gazetkę i dowiedzieć się, co się na świecie dzieje, pogawędzić o sprawach publicznych i naradzić się nad polepszeniem doli własnej i kraju całego. W innych częściach dawnej naszej Polski, naprzykład na Szląsku i w W. Ks. Poznańskiem, czytelni takich jest moc i każdy włościanin uważa sobie za święty obowiązek należenie do takiego Towarzystwa. O ludzie tamtejszym czytelnicy nasi mają pewne wyobrażenie z artykułu w pierwszym numerze czasopisma naszego pomieszczonego, w którym odmalowaliśmy ciężkie stosunki polityczne tamtejsze i przedstawiliśmy, jak włościanie poznańscy bronić praw swych politycznych umieją, jak chętnie pisma ludowe prenumerują i czytują, jak wysoko wreszcie jest u nich poczucie obywatelskich obowiązków rozwinięte. Wysoki ten stopień siły ducha, zawdzięczyć należy między innemi rozwiniętej nadzwyczaj instytucji Czytelń ludowych w tamtej prowincji dawnej Polski. W Czytelniach na wsi dziać się powinno wszystko, co tylko dotyczy spraw włościańskich. Tu powinny się odbywać narady nad tem, co włościan boli i nad tem, co robić należy, aby dobrobyt był lepszy. Jedni drugich powinni pouczać o tem, co dowiedzieli się z gazet i książeczek w Czytelni się znajdujących. Poruszać tu można sprawy rolnicze, jak gospodarzyć należy, ażeby rola plon lepszy zrodziła ; jakie są choroby u bydła i co na nie radzić potrzeba, aby je usunąć; jak czas wolny od zajęć gospodarskich zużytkować, ażeby dochodu sobie przysporzyć; w Czytelni zresztą najwłaściwsze miejsce do narady nad każdą sprawą publiczną. Kogo np. w gminie wójtem do rady gminnej wybrać należy a kogo do Sejmu, lub do Rady państwa, gdzie wszystkie najważniejsze włościańskie sprawy się rozstrzygają.

Redakcja nasza, z swojej strony wszystkim czytelnikom w tej mierze dopomódz zawsze gotowa i na wszystkie zapytania w sprawie czytelni, jak najprędszą i najbardziej wyczerpującą da odpowiedź i wskazówki. Udawajcie się zatem zawsze wprost do nas, jeżeli czegoś nie zrozumiecie, albo nie jesteście czegoś pewni, a my wam zaraz odpowiemy i do założenia Czytelni dopomożemy.

Przeświadczeni o potrzebie i użyteczności czytelń ludowych postanowiliśmy czytelnikom naszym ułatwić zakładanie takowych. W tym celu wydrukowaliśmy statuty dla czytelń, tutaj zaś podajemy rady jak należy postępować przy zakładaniu czytelni. Aby założyć czytelnię trzeba, żeby kilka osób wystąpiło jako założyciele. Założyciele ci powinni:

1). podać do Namiestnictwa podanie, zawiadamiające o mającej powstać czytelni.

2). Dołączyć do podania 5 egzemplarzy statutów, podanie i statuty mają być w języku polskim lub ruskim napisane. Na podaniu powinna być marka stemplowa za 50 centów; na statutach zaś marka za 15 centów na każdym arkuszu. Na doręczone statuty trzeba zażądać pokwitowania z odbioru, to znaczy posłać je pocztą za rewersem zwrotnym.

Po wniesieniu statutów trzeba czekać na odpowiedź Namiestnictwa, które może przyjąć statuty do wiadomości lub je odrzucić.

W razie odrzucenia namiestnictwo powinno pisemnie zawiadomić o tem założycieli i podać powody odrzucenia. Od tej decyzji można wnieść rekurs do ministerstwa w ciągu dni 60.

W razie zaś, jeżeli w ciągu dni 28 od daty doręczenia statutów, założyciele nie otrzymają żadnego zawiadomienia od namiestnictwa, czytelnię według praw w stowarzyszeniach, trzeba uważać za zatwierdzoną przez władzę.

W tym więc wypadku, jak również w wypadku, gdy nastąpi ta przychylna odpowiedź, można i trzeba przystąpić do dalszej działalności.

Założyciele wtedy powinni:

1) Zwołać pierwsze walne Zgromadzenie przez pisemne ogłoszenie z podaniem czasu i miejsca, i na porządku dziennym umieścić: wybór Wydziału i omówienie środków do osiągnięcia celów towarzystwa.

2) Zawiadomić pisemnie o tem Walnem Zgromadzeniu przynajmniej na 24 godzin starostę z podaniem czasu i miejsca zgromadzenia i porządku dziennego. Do zawiadomienia tego trzeba dołączyć odpowiedź namiestnictwa, a jeśli takowej nie było, to pokwitowanie zdoręczenia statutów.

Na tem Walnem Zgromadzeniu trzeba przedsięwziąść następujące czynności:

1) Zrobić spis członków czytelni, t. j. tych, którzy się zgłoszą, że do czytelni należeć pragną.

2) Wybrać wydział w myśl statutu.

3) Omówić sposoby osiągnięcia celów czytelni w myśl statutu i powziąść odpowiednie uchwały, to znaczy jakie zaprenumerować gazety, jakie kupić książki itd.

4) Uchwalić wysokość wkładki od członków.

Po tem pierwszem Walnem Zgromadzeniu, wydział powinien niezwłocznie zebrać się i wybrać z pomiędzy siebie przewodniczącego, jego zastępcę i wydziałowych, jak wymaga statut. Wydział o swym składzie powinien w ciągu 3 dni zawiadomić miejscowe starostwo.

Po dopełnieniu tych czynności Czytelnia może się swobodnie rozwijać.

Poradnik dla czytelń.

(Dr. Lesław Boroński): **O Sejmie i wyborach do Sejmu.** Lwów, 18[illegible]9 (72 stron Cena 30 centów). Pożyteczna ta książeczka wyszła jako tomik czwarty wydawnictwa imienia Stan. Staszica, nakładem Towarzystwa tegoż imienia. Jest to zatem książeczka przeznaczona dla najszerszego koła czytelników, czyli, używając utartego wyrażenia: książeczka dla ludu. Ubogą jest nasza literatura ludowa, ubogą nie tyle co do liczby druków, jak co do ich wartości. A co się tyczy działu książeczek politycznej treści, o tym zaledwie powiedzieć można, że istnieje. Zdawało się, że od czasu zaprowadzenia samorządu w Galicji sporo powinno pojawić się broszur, pouczających lud o znaczeniu Rad gminnych, Rad powiatowych i Sejmu, o prawach zasadniczych, obowiązkach obywatelskich i w ogóle o istocie i celu autonomicznych instytucyj i środkach zużytkowania tychże na korzyść szerokiego ogółu ludności. Nie, napróżnobyśmy za ruchem wydawniczym w tym kierunku śledzili. Dał mu wprawdzie dość wcześnie, bo w roku 1867 początek Ludwik Wolski, odpowiednią na owe czasy i z talentem napisaną „Nauką gromadzką, którą każdy gospodarz dobrze znać powinien“ (przez Bartłomieja z Wiśnicza), ale też po tej książeczce w ciągu 22 lat zaledwie kilka pojawiło się takich, o których wspomniećby warto. A jednakże gdy ten lud ma prawo sam się rządzić i wybierać posłów, należało go pouczyć, na czem polega samorząd i jakich należy wybierać posłów do Sejmu, aby skutecznie radzili o jego dobru. W interesie kraju należałoby zerwać z systemem demoralizacji i zapobiedz, aby wynik wyboru zależał nadal, jak dotąd, od wpływu złotych kołnierzy, od hojnego poczęstunku ze strony kandydata i od środków pieniężnych, jakiemi tenże szafuje. Uchowaj Boże! takie usiłowanie nazywa się w świątobliwych organach naszego pseudokonserwatyzmu „demagogią“, „nienawiścią szlachty“, „budzeniem waśni społecznej„. — Takim demagogiem, który poucza wyborców o ich prawach, przemawia do ich sumienia, a potępia przewagę kołnierza, wódki i kubana — jest autor powyższej książeczki. We wstępie wykłada on, co to są rządy konstytucyjne, na czem polega autonomia, co to jest demokracja i jakich należy wybierać posłów. Część pierwsza broszury traktuje o Sejmie, wyjaśnia jego skład, tok obrad i zakres działania Sejmu i Wydziału krajowego. Część druga zajmuje się wyborami do Sejmu i ordynacją wyborczą, a wreszcie sprawą komitetów wyborczych. W dodatku zamieszczono uchwały wiecu z 28 kwietnia b. r. — Broszura podaje czytelnikom stylem jasnym i zrozumiałym nietylko zwięzły wykład ustawy, ale także podstawowe wiadomości o pożytku autonomicznych instytucyj i o prawach i obowiązkach sumiennego wyborcy. W obec dzisiejszy walki stronnictw nader pożyteczną i na czasie będącą rzeczą jest popularne wyjaśnienie, na czem polega ich różnica, jakie są ich dążności. Szkoda, że w sprawie tej autor bardziej się nie rozpisał i nie wykazał przykładowo, jakie np. stanowisko zajęły oba stronnictwa w kwestji drogowej lub szkolnej itp. Takie fakta najlepiej przemówiłyby do przekonania. Natomiast spodziewamy się, że autor w drugiem wydaniu tej broszury (nie wątpimy, że ich będzie miała więcej) opuści niektóre ze zbyt

skrupulatną dokładnością prawnika wyłożone, mniej dla wiadomości wyborcy potrzebne szczegółowe postanowienia, np. co do wyborów z kurji większych posiadłości. Broszura ta w ogóle, jeśli mamy jej jaki zarzut uczynić, jest zbyt treściwą, zbyt wiele mieści w szczupłych ramach, wbrew zwyczajowi naszych ludowych pisarzy, którzy piszą dla ludu jak dla dzieci i rozwodniają każdy przedmiot bezdusznem gadulstwem Należy więc zaznaczyć, że ta broszura nie jest to bynajmniej dziełko dla warstwy. nieposiadającej zgoła wykształcenia i elementarnych wiadomości, owszem, to dziełko dla ludu, ale dla ludu oświeconego o tyle, aby go zajmowały sprawy publiczne i aby w nich lepiej oświecić się pragnął.—Takich nam właśnie książek potrzeba.

KRONIKA.

Dla wyborców i kandydatów. Artykuł 6. ustawy z dnia 17. grudnia 1862 (Nr. 8 DPP. z r. 1863) opiewa: *Kto* przy wykonywania dla wykonywania praw politycznych, *kupuje lub sprzedaje głosy wyborców*, lub chytrym sposobem fałszuje głosowanie lub jego wyniki, staje się winnym przestępstwa, i *ma być karany ścisłym aresztem od 1—6 miesięcy.*

Z powodu rzekomej napaści *Przyjaciela ludu* na dra **St. Niedzielskiego**, właściciela dóbr i kandydata na posła w pow. wielickim, podpisali, jak donosi *Czas*, wójtowie i liczni włościanie gmin Śledziejowice, Zabawa, Bogucice, Węgrzce, Mała wieś, Czarnochowice i Strumiany, protest, podnosząc w nim zasługi, jakie p. Niedzielski dla tych gmin położył, zakładając tamże, ochronkę, spiesząc dalej z pomocą w czasie powodzi czy jakiejkolwiek innej klęski". Dziwi nas ten protest. Nie ujmywaliśmy p. Niedzielskiemu nigdy żadnych zasług, prawdziwych ni domniemanych, ale podnosiliśmy tylko brzydkie fakta i nadużycia, jakich on się dopuszcza. Najlepszą tu obroną byłoby zaprzeczenie podniesionych faktów, a nie wysławianie zasług, których mu nikt nie ujmuje i które właśnie najbliżsi ludzie najlepiej potrafią ocenić. Zresztą jeszcze raz wyraźnie podnosimy, że fakty o p. Niedzielskim wzięliśmy z artykułu *Gazety Naddniestrzańskiej*, wydrukowanego jeszcze w r. 1886 i podaliśmy je bez zmiany. Od tego czasu miał p. Niedzielski dość czasu do oczyszczenia się z poczynionych mu temu zarzutów. Dla czegoż on wówczas milczał, a dopiero dziś gdy chodzi o mandat broni się protestami?

Z powiatu Limanowskiego otrzymujemy następującą wiadomość: W przeszłym tygodniu odbywały się po wsiach prawybory. Jedni mówili: Co mi tam, nie pójdę głosować, niech ta będzie jak chce, oni zawsze radzą, a nic nieuradzą i t. d. Inni przyśli i wybierali na wyborców takich co jnż dawno wzięli naprzód łapowe. Dawniej wybierano na Mordarkę-Szarysz trzech wyborców, teraz rząd wyznaczył tylko dwóch. Stara wieś ma trzech wyborców, ale wybrano tylko dwóch chłopów, trzeci wcisnął się pan St. Damasiewicz piwowar, pewnie będzie głosował na pańskich kandydatów, jeszcze innych do tego pociągnie. Komitet włościański przedwyborczy chyli się do upadku.

Ostatnie wiadomości o ruchu wyborczym.

Krosno. Rozgoryczenie pomiędzy włościanami w okolicy Krosna wielkie; powodem bardzo drażliwe i oburzające agitacje partji Trzecieskiego przeciw Skwarze. W Krośnie, Dukli, Jedliczu, Korczynie zszeregowano żydów. O Skwarze rozsiewają nikczemne oszczerstwa. W Jedliczu usunięto włościanina Pająka za pomocą żydów od prawyborów.

Jarosław. Kilka gmin z okolic Pruchnika zawiązało komitet włościański i usilnie popierają kandydaturę Marcina Feresza. Równocześnie nakazano Feresza oddalić z posady pisarza, przeciw czemu gminy zamierzają wnieść rekurs.

Łańcut. Włościanie gorąco popierają kandydaturę wice-marszałka Żardeckiego, który na zgromadzeniu wyborców obiecał, że będzie w Sejmie za rewizją ustawy drogowej, przeciwko ograniczenia własności gruntowej i że przed każdą ważniejszą sprawą będzie się porozumiewał z wyborcami.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.** Z „Drukarni Polskiej" ul. Sobieskiego l. 28

Nr. 8. We Lwowie, dnia 15. Lipca 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

Echa wyborów do Sejmu.

Wybory do Sejmu z grupy gmin wiejskich przeprowadzone 2. lipca b. r. nie dały tego, co powinny były dać i czego się po nich, sądząc z rozbudzonego poczucia ludowego i dość żywego ruchu włościańskiego, spodziewać się było można. Ruch ten, chociaż tak piękny, duchem obywatelskim natchniony i korzystnie o włościanach świadczący, był nieco spóźniony, zbyt późno się obudził i zbyt mało miał organizacji, środków i ruchliwości, by mógł przynieść większe zdobycze, zwłaszcza wobec wściekłej nieraz presji, nacisku i nadużyć przeciwników, którzy nie przebierali w środkach, wojowali wódką i kiełbasą, groszem i groźbą, kłamstwem i oszczerstwem, byle tylko na swojem postawić. Komitety włościańskie, pozawiązywane w kilku powiatach, nie mogły prawie nic zrobić, nie były w stanie nawet urządzić zjazdu swych delegatów i zawiązać centralnego komitetu włościańskiego, jak się tego z różnych stron domagano i co dla skutecznego przeprowadzenia wyborów jest koniecznem. To też nie dziw, że z ramienia komitetów tych zaledwie jeden kandydat włościański, Stanisław Potoczek w Nowym Sączu został wybrany; inne zwycięstwa włościańskich kandydatów były mniej lub więcej przypadkowe i ogółem bardzo nieliczne. Natomiast przeciwnicy włościaństwa przeparli bardzo dużo swoich kandydatów, a co najgorsza, przeparli jakby na przekór woli narodu właśnie takich, przeciw którym najsilniej powstawała opinja publiczna w kraju, jak hr. Jana Stadnickiego, hr. Wodzickiego i innych länderbankowiczów i geszefciarzy, dalej hr. Lassockiego, zapalonego chwalcę »świętej karczmy«, Niedzielskiego i wielu innych. Same gminy wiejskie wysłały do Sejmu 45 posłów takich, o których z góry powiedzieć można, że we wszystkich sprawach głosować będą z większością szlachecką wbrew interesom ludu, a nadto kilku takich, którzy choć może w sprawach mniejszej wagi oddadzą swe głosy zgodnie z interesem chłopskim, jednakowoż przy każdej sprawie ważniejszej baczyć będą przedewszystkiem na interes szlachty, a dopiero potem na interes chłopa. A że szlachta prócz tych 45 swoich zwolenników wybrała jeszcze z kurji większej własności 44 swoich posłów, i to zapewnie takich, do których ma zupełne zaufanie, że interesów szlacheckich przedewszystkiem bronić i pilnować będą, więc widzimy, że w nowym Sejmie zasiądzie około 90 zwolenników dotychczasowego po-

rządku, tj. że zwolennicy ludu i postępu będą w nim mieli mniejszość.

To znaczy, że biorąc absolutnie, większość ludowa i tym razem uległa mniejszości szlacheckiej, popieranej siłą majątku, wpływów i nieuczciwej agitacji.

Jest to jednak tylko jedna strona medalu. Przypatrzywszy się mu z drugiej strony, widzimy obraz nie tak bardzo smutny. We wszystkich 74 okręgach wiejskich d. 2. lipca oddano głosów 11.272. Z tego na kandydatów chłopskich lub też na takich, którzy gotowi byli popierać przedewszystkiem interesy ludu pracującego, padło głosów 4.573, zaś na kandydatów szlacheckich 6.553. To znaczy, że na każdych 100 głosów, oddanych przy głosowaniu, prawie 59 padło na kandydatów szlacheckich, a 41 na kandydatów ludowych. *Tych 41 procent głosów, to nasze zwycięstwo*, to niechybny znak, że świadomość i samodzielność ludu znaczne poczyniła postępy. Jeszcze parę lat pracy, a z tej gromady ludzi świadomych stanie się połowa, stanie się część przeważająca. Otuchy dodaje nam krótki stosunkowo czas, w jakim ta część prawie z niczego urosła.

Jeszcze większej otuchy dodaje nam to, co ta część wyborców, uczciwa, nieustraszona i świadoma swego celu, zrobiła przy wyborach. Wprawdzie według stosunku głosów wypada, że nawet ta część wyborców, gdyby się była trzymała solidarnie, powinnaby była przeprowadzić 31 swych posłów. No, ale na to, by w takich razach trzymać się solidarnie potrzeba długiej jeszcze szkoły, usilnej pracy. Bądź co bądź, przeprowadzenie 16 posłów ruskich w Galicji wschodniej, a 13 kandydatów ludowych lub ludowi przychylnych z Galicji zachodniej jest niemałem zwycięstwem.

Szlachta pozostanie wprawdzie i nadal w Sejmie w większości, ale bądź co bądź, utraciła przy wyborach obecnych w gminach wiejskich prawie 20 krzeseł, których da Bóg, nigdy już nie odzyska. Jeżeli weźmiemy na uwagę, że tak zwana lewica, czyli stronnictwo demokratyczne, ludowi przychylne, w Sejmie składać się będzie z polskich posłów ludowych (13), miejskich (16) i z posłów ruskich (16), dalej z biskupów ruskich (3), którzy w najważniejszych sprawach pójdą zapewne ręka w rękę z posłami ruskimi, jeżeli zważymy dalej, że i z pomiędzy posłów szlachciców przez gminy, a nawet przez kurję większych posiadłości wybranych, kilku przystąpi do lewicy, to zobaczymy, że lewica ta liczyć będzie w Sejmie obecnym poważny zastęp około 50 posłów. Co prawda, jest to mniej niż trzecia część wszystkich posłów w Sejmie zasiadających, ale to jest rzeczą pewną, że gdyby ten zastęp trzymał się dzielnie, zgodnie i śmiało, nie opuszczał posiedzeń i postępował oględnie, to bez wątpienia mógłby bardzo wiele uczynić dobrego dla kraju.

Podajemy tutaj spis powiatów, gdzie zwyciężyli kandydaci ludowi lub przychylni interesom ludowym:

Grybów, obrany notarjusz Klemensiewicz 62 głosami, przyczem 40 głosów padło na włościanina Filipowicza.

Turka, wybrany Rusin, notarjusz K. Teliszewski 106 gł.

Żółkiew, wybrany Rusin dr. Korol 74 głosami.

Nisko, wybrany włościanin, Polak Jachym 66 gł.

Żydaczów, wybrany Rusin sędzia Harasimowicz 90 gł.

Stryj, wybrany Rusin dr. Antoniewicz 139 gł.

Złoczów, wybrany Rusin sędzia Rożankowski 153 gł.

Biała, wybrany włościanin Polak Kramarczyk 79 gł.

Kołomyja, wybrany Rusin dr. Okuniewski 93 gł.

Bóbrka, wybrany Rusin dr. Kułaczkowski 84 gł.

Nowy Sącz, wybrany włościanin Polak Potoczek 134 gł.

Jasło, wybrany aptekarz Polak Palch 122 gł.

Łańcut, wybrany przemysłowiec Polak Żardecki 130 gł.

Pilzno, wybrany starosta, przyjaciel ludu Płaziński 54 gł.

Bohorodczany, wybrany włościanin Rusin Barabasz 64 gł.

Stanisławów, wybrany włościanin Rusin Huryk 71 gł.

Nadwórna, wybrany Rusin ks. Mandyczewski 110 gł.

Sniatyn, wybrany Rusin ks. Namorak 85 gł.

Drohobycz, wybrany Rusin, p. Ochrymowicz 157 gł.

Podhajce, wybrany Rusin sędzia Sawczak 77 gł.

Kałusz, wybrany Rusin prof. Romańczuk 87 gł.

Brody, wybrany Rusin ks. Sirko 146 gł.

Ropczyce, wybrany włościanin Polak Starek 64 gł.

Trembowla, wybrany Polak Olpiński 74 gł.

Prócz tych posłów przystąpią do lewicy Merunowicz pos. z pow. lwowskiego, Lenartowicz z Horodenki i Rayski z Rudek, mniej lub więcej głosować będą z nimi Hoszard z Brzeskai ks. Sawa z Tłumacza.

Sądząc, że obchodzi was również, mili czytelnicy, wynik wyborów z miast i większych posiadłości, podajemy wam również wykaz i innych posłów.

Posłowie do Sejmu z miast:

Biała. Na 142 głosujących wybrany został fabrykant Franciszek Strzygowski 138 głosami, adwokat Leo otrzymał 1. Czecz 3.

Brody. Otton Hausner jednogłośnie wybrany posłem.

Jarosław. Głosujących 520. Edward Micewski, właściciel dóbr Tuczapy, otrzymał 511 głosów.

Nowy Sącz. Jednogłośnie wybrany minister dr. Dunajewski.

Kołomyja. Ziemiałkowski otrzymał 883. Klusik 28 na 965 głosujących.

Przemyśl. Głosujących 594. Wybrany dr. Dworski 514 głosami. Dr. Walery Waygart otrzymał 79 gł.

Rzeszów. Wybrany dr. Zbyszewski 272 gł.; dr. Rybicki 160 głosów.

Stanisławów. Na 955 wyborców, głosowało tylko 182. Biliński otrzymał 177 głosów z tych 129 izraelickich a tylko 49 katolickich.

Stryj. Na 917 wyborców głosowało 351. Wybrany dr. Filip Fruchtmann 350 głosami.

Kraków. Głosujących 1604. Wybrani: Weigel 1539 głosami, Chrzanowski 1432 głosami, Asnyk 864 głosami.

Sambor. Głosujących 801. Dr. A. Czyżewicz wybrany 611 głosami. Niklewicz otrzymał głosów 260.

Drohobycz. Głosujących 974. St. Szczepanowski wybrany 585 głosami. Ks. Aleksy Toroński 384 głosów.

Tarnów. Głosujących 430. Wybrany Witołd Rogóyski.

Tarnopol. Wybrany Krynicki.

We Lwowie wybrano w dniu 4. lipca tylko trzech posłów: Dr. Franciszek Smolka otrzymał 2315, Tadeusz Romanowicz otrzymał 2298, Dr. Bernard Goldman otrzymał 2042 gł. O czwartego posła toczyła się tam gorąca

walka. Umysły niezawisłe, ludzie prawdziwie demokratyczni, kochający lud całem sercem i pragnący jego dobra, chcieli mieć posłem p. Henryka Rewakowicza, redaktora »Kurjera Lwowskiego«, lecz dzięki ogromnej agitacji ze strony wszystkich tych, którzy się go boją, ponieważ śmiało karci błędy i występki złych i nieuczciwych ludzi, przeszedł p. Michalski, kowal ze Lwowa. Zauważyć należy, że pomiędzy agitującymi za tym ostatnim byli ludzie tego rodzaju, jak znany bogacz galicyjski, lwowski żyd Horowitz, o którego lichwiarskich sprawach pisał przed niedawnym czasem »Kurjer Lwowski«, a który pomiędzy kahalnymi, to jest prawowiernymi żydami tutejszymi, ma wielkie poważanie dzięki swoim bogactwom, dalej zięć jego, niejaki Nathan Loewenstein, kandydat adwokacki, pracujący w biurze adwokata Roińskiego, który wraz z adwokatem Kraterem tylu a tylu skrzywdził biedaków, jak to znowu wykazał w »Kurjerze Lwowskim« p. Rewakowicz, broniąc gorąco pokrzywdzonych.

Na wstyd dla lewicy sejmowej do takich i im podobnych ludzi przyłączył się i poszedł z nimi ręka w rękę p. Teofil Merunowicz, poseł z Kurji mniejszych posiadłości. Nie wahał się on pisać i mówić rzeczy, obrażające prawdę, aby tylko przeszkodzić wejściu do Sejmu p. Rewakowicza, chociaż doskonale wiedział, że nikt nie potrafi lepiej, odważniej i skuteczniej od niego bronić dobra ludzi pracujących. Dzięki więc brzydkim agitacjom wymienionych panów, dzięki żydom kahalnikom i ludziom zależnym, a wskutek tego zmuszonym iść za p. Michalskim, ten ostatni zwyciężył, a upadł p. Rewakowicz na wielką klęskę sprawy ludowej i wielki smutek tych, co kochają prawdę i dobro publiczne.

Posłowie z kurji większych posiadłości:

Okręg *Lwów*. Wybrany Dawid Abrahamowicz.

Kraków. 143. Wybrani: Namiestnik Badeni jednogłośnie; dalej Stan. Tarnowski 130, Stan. Madejski 129, Wład. Struszkiewicz 125, Mich. Bobrzyński 123 i Marjan Dydyński 102 głosami.

Żółkiew. Głosujących 41. Wybrani dotychczasowi: Tom. Rozwadowski i ks. Tytus Kowalski jednogłośnie, a Stan. Łączyński 39 głosami.

Stanisławów. Głosujących 71. Wybrani dotychczasowi: Wojciech hr. Dzieduszycki i St. Brykczyński.

Przemyśl. Wybrani: Jerzy ks. Czartoryski, Zygmunt Dembowski i dr. Włodz. Kozłowski.

Tarnopol. Głosujących 69. Wybrani: Jan Vivien 68, Eustachy Zagórski 68, dr. Klemens Żywicki 66 gł.

Kołomyja. Wybrany Golejewski Ant. 69, Kapri 62 gł. Na hr. Dzieduszyckiego Stan. padło tylko 48 gł. Reszta się rozstrzeliła.

Złoczów. Głosujących 103. Otrzymali: Gnoiński Winc. 102, Jaworski Apol. 96, Schnell Oskar 60 głosów.

Brzeżany. Głosujących 80. Wybrani dotychczasowi: Alfons Czajkowski 73, Józef Wereszczyński 76, Emil Torosiewicz 56 głosami.

Czortków. Wybrani: Włodz. Siemiginowski, Bron. Horodyski i Jan Gnoiński.

Stryj. Wybrany Oktaw Pietruski i Klemens Dzieduszycki.

Tarnów. Głosujących 96. Wybrani: Tad. Langie 89, Wład. hr. Koziebrodzki 86 i dr. Tad. Rutowski 85 gł.

Rzeszów. Głosujących 63. Wybrani: Edw. Jędrzejowicz 62 i Karol hr. Scipio 61 gł.

N. Sącz. Głosujących 54. Jednogłośnie wybrani dotychczasowi: Gustaw Romer i Tad. Pilat.

Sanok. Głosujących 90. Wybrani jednogłośnie dotychczasowi: Aug. Gorayski, Stan. Gniewosz i Zygm. Kozłowski.

Sambor. Głosujących 67, wybrani: dr. Piotr Gross, dr. Tad. Skałkowski jednogłośnie, a 66 głosami Stan. hr. Tarnowski ze Sniatynki.

Oto jest rezultat najnowszych wyborów do Sejmu krajowego. Dużo nam jeszcze trzeba popracować, by rezultaty przyszłych wyborów więcej odpowiedziały nadziejom i potrzebom ludu wiejskiego, ale i to, co osiągnięto obecnie, powinno być niejako zadatkiem przyszłości, zachętą do dalszej nieustannej pracy. Jaka to ma być praca i jak się brać do niej należy, o tem nieraz jeszcze w najbliższym czasie i nadal obszernie mówić będziemy.

Wzorowe Kółka rolnicze.

Wydawany przez Zarząd główny kółek rolniczych „Przewodnik“ umieszcza opisy kółek, z których bardziej zasługujące na uwagę zamierzamy podać w „Przyjacielu Ludu“. Na razie bierzemy Wolę Rogowską. Przewodniczący tamecznego kółka, p. Tomasz Wilk, znany jest naszym czytelnikom z treściwych a wielce trafnych poglądów, które w trzecim numerze naszego pisma o niepodzielności gruntów i i wolności wyborów wypowiedział. Zorganizowane w Woli Rogowskiej (pow. Dąbrowa, w r. 1883 liczyło „Kółko rolnicze“ zaledwie 9 członków, ludzi dobrej woli i znających dobrze owę prawdę, że „każdy początek trudny“. Nie zrażali się też przeciwnościami, jakie napotykali u niedowierzających w powodzenie Kółka, ale wytrwale dążyli do tego, by słowem i czynem wywrzeć wpływ na innych mieszkańców gminy.

Już w roku 1884 liczyło Kółko 22 członków, a na każde zebranie garnęli się z całej gminy włościanie, słuchajac i postępując według rad i wskazówek chętnie im przez członków Kółka udzielanych. W następnym roku uchwala i zakłada Kółko wraz z gminą wspólną cegielnię, zakłada kasę pożyczkową, uchwala zalesienie łoziną pustek nad brzegiem Wisły — usuwa zgubne, a zakorzenione pieniactwo, zaprowadzając sądy rozjemcze i doprowadza gminę do pewnego stanu dobrobytu i wiary w swe siły. Lubo wielka powódź w r. 1884 niszczy cały zasiew i znaczną część całego dobytku, to jednakże członkowie „Kółka rolniczego“ nie upadają na duchu, ale doświadczeniem już nauczeni i moralnie podniesieni nie opuszczają rąk, lecz tem większą energią biorą się do pracy, i w sprawozdaniu z 13. grudnia 1885 donoszą Zarządowi głównemu, że skutkiem wiary i ufności, jaką sobie Kółko u wszystkich mieszkańców gminy zjednało, „widocznie byt materjalny i moralny się podnosi“. — W roku 1886 posiada Kółko 2 młocarnie i 7 sieczkarń, sprowadzonych za pośrednictwem Zarządu głównego, poucza obchodzenia się z maszynami rolniczemi — nie karczma, ale czytelnia ściąga co niedzielę i święto tak członków, jak niecłonków i przy żywych rozprawach radzą nad ulepszeniem gospodarstwa, moralność i pracę za podstawę wykazując. — W roku 1887 uchwala Kółko wraz z gminą powiększenie plantacji łoziny i wikliny, wpływa na utrzymanie w dobrym stanie dróg, zajmuje się przeprowadzeniem budowy szkoły i stara się o regulację dzikich wód.

Z ostatniego sprawozdania za rok 1888 przekonujemy się, że zabiegi „Kółka rolniczego“ coraz lepsze skutki odnoszą, bo Zarząd miejscowy donosi, że w celu usunięcia zgubnych wpływów, nie dopuszczają wrogo usposobionych obcoplemień-

ców do dzierżawy dóbr dworskich w Demblinie, ale członkowie Kółka uchwalili i wzięli w dzierżawę grunta dworskie w Demblinie, za roczny czynsz w kwocie 5.500 złr. i zakupili tamże las za 3.200 złr., wykazując temsamem dosadnie, co zespolonemi siłami zdziałać potrafi „Kółko rolnicze". Z tegoż samego sprawozdania dowiadujemy się o ubezpieczeniu się członków „Kółka rolniczego" od ognia, w Krakowskiem Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń, na kwotę 20.625 złr.

Przewodniczym „Kółka rolniczego" w Woli Rogowskiej jest znany od dawna Zarządowi głównemu, gorliwy kierownik p. Tadeusz Wilk, gospodarz, sekretarzem Wincenty Prusek, troskliwy i czynny nauczyciel, którym to panom, jak nie mniej i całemu Zarządowi Kółka publiczne należy się uznanie, za gorliwość w pożytecznych i obywatelskich dążnościach Kółka.

Golcowa (powiat Brzozów). Golcowskie „Kółko rolnicze", zaliczające się do pierwszych „Kółek rolniczych", od założenia naszego Towarzystwa zawiązanych, wykazuje, że włościanie czują potrzebę wydźwignięcia się wspólnemi siłami ze stanu niemocy, i że zarówno z innemi warstwami społecznemi, pojmują swe obowiązki obywatelskie. Członkowie „Kółka rolniczego" uchwałami zapadłemi na posiedzeniach Kółka, starają się siły swe wzmocnić, i dobrym przykładem wpłynąć na innych mieszkańców gminy. W roku 1884 liczba członków dochodzi do 27; skromna na razie czytelnia Kółka odnosi skutek, bo nabierają przekonania, że „polskie ubranie piękniejsze jest, niż obcej mody małpowanie" i jak Zarządowi głównemu w sprawozdaniu rocznem donoszą, zaczynają pomału w gminie zamieniać liche, tandetne łraczki i podarte żołnierskie płaszcze na swojskie płótnianki, sukmany i ciepłe kożuchy; a jak gdyby i serce pod owemi kożuchami żywiej bić i potrzeby lepiej odczuwać zaczynało, uchwalają niezadługo na posiedzeniach Kółka, „ażeby żaden członek pod karą wykluczenia, nie rozpoczynał procesu sądowego, bez poprzedniej porady „Kółka rolniczego" i w tym względzie winien się do zapadłej na zgromadzeniu uchwały i rady zastosować"; dalej „żadnemu członkowi nie wolno zaciągać długu bez uznania przez „Kółko rolnicze" potrzeby kredytu"; — na podstawie postawionego i jednogłośnie uchwalonego wniosku, „obowiązują się członkowie prowadzić rachunki dochodów i wydatków gospodarstwa swojego, i takowe po ukończonym roku „Kółku rolniczemu" przedkładać; postanawiają także, „aby „Kółko rolnicze" pośredniczyło, względnie zajęło się hurtowną sprzedażą opałek wyrabianych w Golcowy do 5.000 rocznie i koszyków do 2.000, a sprzedawanych dotychczas samopas po różnych jarmarkach i targach z wielką stratą czasu i grosza". W przeprowadzeniu tych doniosłych uchwał „Kółka rolniczego", członkowie napotykają na trudności i przeszkody różnorodne, jednakże nie obojętnieją i już w sprawozdaniu z roku 1888 liczba czynnych członków wzrosła do 46; a przy troskliwej opiece czcigodnego przewodniczącego Zarządu Kółka, Wielebnego ks. Rudnickiego, niewątpliwie usuną z czasem wszystkie trudności i pożądanych doczekają się owoców swej pracy.

Grębów (powiat Tarnobrzeg). Od początku swego istnienia okazuje Kółko najlepszą swą wolę i chęć do pożytecznej wpólnej pracy, która też już i niemałe po dziś dzień owoce przyniosła. Zawiązane i zorganizowane w roku 1883 przez wielce

zasłużonego sprawie „Kółek rolniczych“ prezesa Zarządu powiatowego p. Henryka Dolańskiego, liczyło „Kółko rolnicze“ w Grębowie początkowo 36 członków, którzy jako pierwszą potrzebę Kółka uznali zaprowadzenie czytelni i w tym celu odnieśli się do Zarządu głównego, prosząc o nadesłanie wykazu tych książeczek, któreby z własnych funduszów zakupić i z korzyścią czytać mogli.

Na zwykłych a regularnych zebraniach niedzielnych, czytali członkowie gazetki i wybrane książki, a zawsze obecny przewodniczący, tłómaczył im główniejsze ustępy z odczytanej książki; słuchali pouczających odczytów i wykładów rozmaitej treści, między tymi p. Wierzchowskiego, o gospodarstwie postępowem i o hodowaniu poprawnej trzody; p. Lanca, o wynalazkach; ks. Kasprzyckiego, o asekuracji; p. Fran. Kozdrasia, o życiu i czynach Kościuszki, o Adamie Mickiewiczu i jego dziełach itd. Gorliwy zarząd Kółka, budującymi i podnoszącymi ducha członków wykładami, wpajał w członków zamiłowanie ziemi ojczystej i poszanowanie sławy wielkich przodków naszych.

Krwawa rocznica.

(Dokończenie).

Wiecie już pokrótce, mili czytelnicy, jak rząd moskiewski męczył okrutnie księży, zakonników i zakonnice, którzy nie chcieli przyjąć prawosławja i pozostali wierni wierze swych ojców. Nie łagodniej obchodzono się z chłopami. Płynęła krew chłopska, jak czerwona rzeka, we wsiach Pratulinie, Drelowie, Kłodnie i wielu innych, gdzie strzelano do ludu i wbijano go na bagnety. Płynęły łzy i krew we wsiach Łomazach, Dołhobrodach, Jamach, Uściemowie, gdzie wszystkich mieszkańców, tak mężczyzn jak kobiety, smagano nahajkami dopóty, dopóki ciało nie zaczęto odpadać kawałkami od kości. Tych, co nie umarli pod rózgami wywożono daleko od rodziny i przyjaciół do Rosji i trzymano ich w więzieniach, skutych w kajdany jak zbójów lub podpalaczy, a od czasu do czasu zdejmowano z nich koszule nawet i stawiano nagich na wielkim mrozie. W innych miejscowościach znowu, widząc, że lud nie obawia się śmierci i męczarni, doprowadzano mieszkańców do strasznej nędzy, zabierając im wszystkie pieniądze, zboże ze śpichlerzów i bydło. W 1874 roku naprzykład, w powiecie Radzyńskim i Bialskim 39 parafij zapłaciło kary 250 tysięcy złotych reńskich. Pomyślcie tylko, ile to pracy i potu chłopskiego było w tych pieniądzach!

Lud bronił się mężnie od tych dzikich i okrutnych carskich sług. Dla przykładu opowiemy wam, kochani czytelnicy, co się działo we wsi Pratulinie. Do wsi tej przyjechał nowy proboszcz, nazwiskiem Urbanów, który chciał odprawiać nabożeństwo po prawosławnemu. Chłopi, dowiedziawszy się o tem, zabrali klucze od cerkwi i nie chcieli ich oddać nowemu proboszczowi. Wtedy przyjechał urzędnik moskiewski Kutanin i przywiózł ze sobą z innej wsi gospodarza Pikułę, który był wielce szanowany przez wszystkich dla swego rozumu i uczciwości. Kutanin kazał mu namawiać lud, żedy słuchał cara. Ale Pikuła wyjął krzyż z zanadrza, ukląkł i tak zaczął: „Przysięgam na siwe włosy i na zbawienie duszy, że nie odstąpię od wiary unickiej! Nasi bracia krew przeleli za Unję i my naśladować ich będziemy“. Za przykładem Pikuły zaczęli przysięgać i inni. Widząc to, dowódzca oddziału żołnierzy, niemiec Stein, kazał rąbać

opornych pałaszami. Lud bronił się kijami i kamieniami, ile mu sił starczyło, a gdy Stein kazał strzelać do bezbronnych, wtedy chłopi zawołali: „Wszyscy gotowi jesteśmy zginąć i nie cofniemy się ani krokiem przed śmiercią!“ Tak się też stało. Klęczących i śpiewających rozgłośnie „Święty Boże“ i „Kto się w opiekę“ rozbijały kule moskiewskie.

Straszne, okrwawione ich ciała leżały bez pogrzebu na cmentarzu, żeby przerazić innych i zmusić do posłuszeństwa. Ale to nic nie pomogło, a przeciwnie dodawało siły i odwagi wiernym. Niemiec Stein nie wiedział pewnie, że kulą i pałaszem zabije tylko ciało, ale nie zabije ducha, nie zabije myśli i miłości do tego, co było drogiem naszym ojcom.

Na pamiątkę bohaterów-chłopów, zamordowanych w Pratulinie, odbito później piękny medal. Na jednej stronie tego medalu się znajduje krzyż, opleciony cierniową koroną, jako godło czyli znak męczeństwa, a na drugiej księga otwarta, na kartach zaś tej księgi stoją wypisane następujące imiona męczenników: Andrzejuk Jan, Bazyluk Wincenty, Bocian Teodor, Bojko Konstanty, Bojko Łukasz, Charytoniuk Trochim, Charytoniuk Andrzej, Franczuk Ignacy, Franczuk Michał, Hawryluk Maksym, Hryciuk Niceta, Karmaszuk Daniel, Kiryluk Filip, Łukaszuk Konstanty, Osipiuk Bartłomiej, Pawluk Szymon, Romaniuk Jan, Tomaszuk Onufry. Zachowajcie i wy, kochani bracia, te imiona w pamięci swojej, żeby się uczyć od tych bohaterów-męczenników, jak to trzeba bronić świętości narodowych od wrogów i nie żałować dla tej obrony ani mienia, ani krwi, ani życia!

Cześć tym, co polegli za wielką sprawę, pamięć o nich nigdy nie wygaśnie na ziemi, a wstyd i hańba tym, co dopuszczali się takiego nieludzkiego okrucieństwa, a teraz mówią i piszą, że unici dobrowolnie przyłączyli się do prawosławnej cerkwi.

Poradnik dla czytelń.

Pieśń o ziemi naszej przez Wincentego Pola (Wydawnictwo Macierzy polskiej, książeczka 44). Dobrze zrobiła »Macierz polska» wydając dla ludu tę śliczną pieśń, przejętą takiem gorącem uczuciem miłości dla ludu i kraju. Pieśń tę napisał jeszcze w r. 1843 sławny, teraz już zmarły pieśniarz polski Wincenty Pol, choć z ojca Niemca urodzony, ale szczery Polak, a w późniejszych latach swego życia wielki zwolennik szlachetczyzny. W »Pieśni o ziemi naszej«, która jest jednym z najpiękniejszych jego utworów, przemawia on jako wielki miłośnik ludu, jego cnót, prostoty i siły. »Bo i cóż to tam za dusza— woła on (str. 61), co tym ludem skrycie wzrusza?... O! z tym ludem, ojców Boże, nim w spoczynku głowę złożę, dozwól jeszcze siać i zbierać! Lub gdy nie dasz przy nim pożyć, pozwól przy nim choć umierać i studzone kości złożyć«. Prosty rozum chłopski i szczere uczucie stawia on na wzór szlachcie, gdy mówi: »A tej szlachcie znarowionej gdyby Bóg dał rozum kmiecy — cóż za życie pełne cudu, co za dola, co za zorza zeszłaby nam z tego morza i świeciłaby dla ludu!« Chociaż serce autora lgnie do szlachty i do panów (jak to dalej zobaczymy), nie jest on jednak ślepym na ich wady. Oto jak maluje nam autor panów polskich na Wołyniu: »Gdy ataman zakołata: »Hej do dwora!« nieprzelewki! Bo tam kiedy dwór, to wiel-

ki! kiedy posłuch to już wszelki! Kiedy liczą to miljony! Kiedy jedzą to łakotki! Kiedy biją, to na sotki! Kiedy pan, to urodzony pewno z księcia albo króla! W domu jego dworno, szumno, a tak straszna jego wola, że nieposłuch chłopu trumną! Tysiąc pługów na obszarze orze zagon, gdy pan każe i po dawnym tam zwyczaju brzęczy złoto przy tokaju. Koń arabski rży przy żłobie, służba panu szczerość kłamie, a o głodzie i po dobie drży przy koniu kozak w bramie. Gdy przybędziesz tam nieznany, pan cię dumnem okiem zbada, sam zamorską mową gada, a z błazeńska dwór ubrany. Na to tylko w dom cię prosi, by cię dumą upokorzył, bo łaskawie ledwo znosi, że i ciebie Pan Bóg stworzył«. Chociaż słowa te pisane były jeszcze za czasów pańszczyzny, a od tego czasu dużo się zmieniło, to jednak pewni jesteśmy, że niejeden z naszych czytelników przyzna, iż i teraz jeszcze mieszczą one dużo prawdy.

Lecz przypatrzmy się w porządku całej »Pieśni« Wincentego Pola. Chce w niej autor obejrzeć całą ziemię polską, a właściwie wszystkie te kraje, które kiedyś wchodziły w skład rzeczypospolitej polskiej. Dziś się to może niejednemu dziwnem wydać, jakiem prawem »Pieśń o ziemi naszej« zalicza do Polski i Żmudź i Litwę i Wołyń i Ukrainę i Podole i Ruś czerwoną i jakiem prawem Łotyszów, Litwinów, Białorusów i Rusinów nazywa Polakami. Otóż powiedzieć tu potrzeba, że w owym czasie, kiedy pisaną była »Pieśń o ziemi naszej« narodowość liczono nie według ludu, ale przeważnie według szlachty, a więc z tego powodu, że na Litwie, Żmudzi, Wołyniu, Ukrainie i Podolu szlachta przeważnie była polską, autor mógł te kraje zaliczyć do Polski, w wędrówce też swojej autor najczęściej i najmilej wszędzie zagląda do dworów szlacheckich, najlepiej je zna i rozumie, a chłopa widzi przeważnie tylko z okien dworu, widzi go przy robocie, przy polowaniu jako posłańca, w cerkwi wreszcie, ale zupełnie prawie nie zna jego życia duchowego, jego pragnień, potrzeb, jego biedy i walki o kawałek chleba. Skłonnym on jest widzieć wszystko w jakimś odświętnym stroju, radośne, różowe, hoże i nie podejrzywa, że po za tą pozorną radością kryć się może ciężka zaduma lub gorycz.

»Pieśń o ziemi naszej« długo jeszcze pozostanie piękną pamiątką po tym młodszym, gorącym Wincentym Polu, długo jeszcze zagrzewać będzie niejednego do miłości ludu i naszego pięknego kraju, i dlatego dobrze zrobiła »Macierz polska« wydając ją dla ludu z objaśnieniami. Szkoda tylko, że nie dodała nieco dokładniejszej przedmowy o tym czasie, kiedy »Pieśń« była napisana i o treści tej »Pieśni«. Dziś ta treść z wielu względów nie może nas zadowolnić i daje fałszywe wyobrażenie o tych krajach i ludach, o których mówi, a to trzeba było w przedmowie zaznaczyć.

Doktor Stach.

(Powiastka).

I.

Było to lat temu koło 60. W kraju panowała straszna zawierucha, zaczęła się bowiem wielka wojna: coraz przebiegały wojska obce lub swoje, szerząc niepokój po ci-

chych wioskach. I do Wólki karpowskiej przychodziły też od czasu do czasu głuche wieści o bitwach, klęskach częstych, a niekiedy i o sławnem zwycięstwie...

Różni różnie wieści te przyjmowali: jedni cieszyli się, inni głowami kiwali lub machali ręką, radząc wszystkim czekać spokojnie, co dalej z tej wojny będzie. Jeden tylko Jaśko Kurpik nie mógł usiedzieć na miejscu: wypychało go coś ze wsi w szeroki świat, tam gdzie grzmiał huk armat, gdzie świstały kule. Jaśko był nietutejszy: lat temu kilkanaście przywędrował het z za Wisły z Mazowieckiej ziemi w Krakowskie, przyjął służbę u zamożnego gospodarza, a ożeniwszy się tutaj osiadł na zawsze w Wólce. Z żony miał dwoje dzieci — syna i córkę; córka mu wkrótce umarła, żonę też Pan Bóg zabrał do siebie, jeno syn Stach wychował się szczęśliwie i miał właśnie teraz siódmy rok życia. Oj, żeby nie ten syn, dawnoby już Jaśka we wsi nie zobaczył, bo to w nim jakaś niespokojna żyłka grała; mawiał nieraz, że dziad i pradziad jego na całych Kurpiach dotąd słyną z wojaczki!

W końcu jednak nie mógł chłop wytrzymać... Razu pewnego zaprosił do chaty kilku starszych gospodarzy i powiedziawszy im, że niech oni sobie robią co chcą, a on już dłużej czekać nie może, że kiedy nasi się biją, za wolność Polski, najdroższej ojczyzny, to i on iść musi — pożegnał się ze wszystkimi, uściskał syna, polecił go opiece starej krewnej i gromadzie i poszedł w świat.

Poszedł i przepadł. Już i wojna się skończyła, ludzie do domów popowracali, Jaśka tylko jak nie widać — tak nie widać...

»Musi zginął«, myśleli sobie Karpowiacy i myśleli prawdę. Z wiosną przechodził przez Wólkę Matus z Zamborzyc — wracał on do domu — i on to opowiedział im o śmierci Jaśka — »W moich oczach zarąbali go« — mówił. »Tyle jeno miał siły, że oddał mi ten oto krzyżyk żelazny, który mu w bitwie sam pułkownik na piersiach przypiął; kazał syna uściskać, a krzyżyk ten oddać wam, żebyście synowi, jak podrośnie, na pamiątkę po ojcu dali«.

Gdy wspomnieli teraz ludzie na małego Stacha, sierotę bez ojca i matki, markotno robiło im się w duszy; postanowili więc czuwać nad nim gromadą i nie dać mu krzywdy zrobić.

II.

Tymczasem mały Staśko rósł sobie pod opieką starej krewnej, mało co rozumiejąc swoje sieroctwo. Chyba, gdy która z sąsiadek gładząc go po głowie okrytej długimi, jak len jasnymi włosami, użaliła się głośno nad biednem sieroteńką, Stach przypominał sobie tatula, na płacz mu się zbierało — ale zwyczajnie jak dziecko prędko zapominał o smutku.

Chował się on tak, jak i reszta wiejskich dzieci. Boso, w podartej koszulinie, krajką podpasany, biegał po łąkach i gajach, pasł latem trzodę i bydło, pilnował po nocach koni na pastwisku, pomagał w gospodarstwie koło domu, a w końcu dostał się do chudego Jakóba na owczarczyka. I byłby Staśko pewno sam z czasem został owczarzem, bo bardzo mu się spodobało chodzić dzień cały po polach, słuchać jak w niebie skowronki śpiewają, jak świerszczą koniki polne, przyglądać się ziołom i kwiatom i wygrywać wesoło na fujarce... Zdarzył się jednak w Wólce wypadek, który zmienił zupełnie całe dalsze jego życie.

Było to pod jesień w Niedzielę, w parę lat po śmierci Jaśka. Gospodarze, niedawno wróciwszy z kościoła, stali przed chatami, rozprawiając o pogodzie i zasiewach, powtarzając sobie nowinki, jakie zasłyszeli w mieście, gdy drogą od miasteczka nadszedł jakiś człowiek, już podeszły w lata; duże wąsy zwisały mu na dół, kryjąc szeroką szramę na brodzie, a idąc podpierał się kijem, bo utykał na lewą nogę.

»Niech będzie pochwalony!« powitał stojącą gromadkę.

— Na wieki — odpowiedzieli. — A skąd Bóg prowadzi?

Uśmiechnął się stary smutnie: »Dużoby o tem gadać, dobrzy ludzie, a i nie wesoło! Ot lepiej wypocznę u was nieco, posilę się i pójdę dalej w świat... Szukam kąta jakiego, gdzie mógłbym stale osiąść i na kawałek chleba spokojnie zarabiać".

— A jakiegoż wy byście zarobku chcieli?

zagadnęli ludzie. Toż wy człek stary, styrany jakiś; odpocząćby wam gdzie przy familji, albo co...

»Ba, kiedy z familji nikogo już nie mam na ziemi — śmierć dawno wszystkich zabrała! A zarobić jeszcze ja sobie potrafię. I teraz od roku, choć kulawy, chodzę po kraju i uczę dzieci, gdzie się zdarzy. Ale to straszna mordęga tak wciąż o kiju się włóczyć i nigdy nie być pewnym jutra. Ot, żebym tak gdzie mógł zostać bakałarzem w jakiej szkole na wsi, tobym już niczego więcej nie pragnął! A może tu gdzie w sąsiedztwie nauczyciela potrzeba? nie słyszeliście czasem?...«

Spojrzeli ludzie po sobie, coś pogadali po cichu, aż jeden ozwał się nieśmiało: »A to możebyście wy u nas pozostali... bo u nas jest szkoła, ale od wojny stoi pusta, a mybyśmy nie chcieli, żeby nam dzieciaki rosły jak głąby!«

— »Ostańcie z nami, — dorzucili inni, — może wam się tu u nas spodoba!« Ano, poprobójcie«!

I stary pozostał w Wólce początkowo tylko na miesiąc na próbę, bo sam chciał tego; lecz po miesiącu, gdy gromada przyszła do niego, prosząc uroczyście, żeby ich nie opuszczał, został w ich szkole na dłużej.

III.

Nowe życie zaczęło się w Wólce z panem Błażejem Skibą — tak zwał się ów nauczyciel. Szkołę wnet wyprzątnięto, nakupiono papieru i książek, i zaczęła się we wsi na dobre nauka. Przestały dzieci zbijać bąki po drogach, bo pan Błażej był na to bardzo surowy i nie dawał żadnemu próżnować. »Nie za to ja od waszych ojców pieniądze biorę, żebyście wy nic nie robiły, na osłów wyrastały. A do szkoły!« — mawiał do takich dzieciaków. I dzieci biegły chętnie na naukę, bo pan Błażej umiał im tę naukę tak jakoś prosto, tak jasno, a tak z serca podawać, że aż dusza do niej się rwała.

Do takiej szkółki, do takiego nauczyciela dostał się i nasz Stach. Miał on wtedy lat dziesięć. Początkowo trudno szło w szkole, bo chłopiec choć duży, dotąd się nigdy na książce nie uczył i czytać nawet nie umiał. Że jednak pojęcie miał bystre, a chętny był do wszystkiego, wkrótce nietylko czytać się nauczył, ale po roku stał się najlepszym i najukochańszym uczniem pana Błażeja.

Tak na pracy i nauce przeszły Stachowi trzy lata. W szkole nauczył się on wszystkiego, co tylko było można; przy końcu już nawet panu Błażejowi pomagał. Widział to stary i od dawna przemyśliwał, jakby to zrobić, żeby takiego pojętnego, a tak poczciwego dzieciaka jakoś dalej uczyć... »Bo to żal chłopca, dalibóg żal! na taką pojętność, jaką go Bóg obdarzył, mógłby on zostać daleko rozumniejszym i pożyteczniejszym człowiekiem, niż tak... a to co, pójdzie za parobka i będzie całe życie służył, bo swego nic nie ma«. Biedził się staruszek długo, aż radę wymyślił.

Z początkiem lata, kiedy nauka w szkole już się skończyła, pan Błażej zaprowadził taki zwyczaj, że zbierał wszystkie dzieci, zapraszał ich rodziców, i przy nich każde z dzieci wysłuchiwał, czego też się przez cały rok nauczyło. »Bo to — mówił — niech ojcowie sami widzą i słyszą, czy ich dzieci korzystają co z nauki, żeby nie myśleli, że praca ich idzie na marne, że nauczycielowi darmo płacą!« Po takiem przesłuchaniu rozdawano pilnym dzieciom różne książki w nagrodę, a że pilnemi były prawie wszystkie dzieci, bo przy rozumnym a pracowitym nauczycielu każde dziecko dobrze uczyć się będzie, więc też każdemu dostawał się jakiś upominek. W tym roku było to samo: najlepszą nagrodę dostał oczywiście Stach. Nie dość, że książkę ładną otrzymał, jeszcze pan Błażej przy wszystkich pocałował go w czoło i uściskał, potem wyjął z pudełka żelazny krzyżyk ojca jego i przemówiwszy gorąco, kiedy i za co ojciec krzyż ten dostał, zgodnie z wolą nieboszczyka oddał go chłopcu... Na wspomnienie ojca, na widok świętej po nim pamiątki, Stach zapłakał rzewnie, a z nim i wszyscy obecni łzy mieli w oczach.

Po skończonej uroczystości, gdy dzieci się rozbiegły do domów i tylko starzy pozostali, dziękując panu Błażejowi za jego opiekę i pracę, staruszek skorzystał z pory i powiedział im, że najlepszą okazaliby mu wdzięczność, gdyby pomogli do jednej sprawy, której on sam jeden nie może podołać. Tu przyznał

im się, że chciałby Stacha sierotę dalej uczyć, chciałby go do miasta do szkół wysłać. „Ale cóż, mówi, nauka w mieście droga, a ja mam wszystkiego tutaj uzbieranych siedmdziesiąt złotych... Na początek to starczy, ale co potem? Otóż niechby tak cała nasza gromada składała się każdy po trochu na biednego sierotę. Za pieniądze gromadzkie wyszlemy chłopca do szkół, a potem, da Bóg, pokieruje się jakoś, dopomogą dobrzy ludzie i za naszą sprawą może jeden rozumny a pożyteczny człowiek przybędzie krajowi. Toż gromada winna być ojcem sierocie«.

Mówił tak, długo a z serca, że choć to o własne kieszenie chodziło, a chłopska kieszeń i tak dość ma zawsze wydatków, jednak wszyscy prawie gospodarze przyjęli jakoś tę radę i postanowili uroczyście na koszt gromady wysłać Stacha sierotę do szkół rządowych.

IV.

Przez dwa miesiące szły przygotowania do wyjazdu Stacha. Trzeba go było oporządzić, buty i mundur sprawić, koszul narobić. Poczciwy pan Błażej krzątał się jak mógł, a ludzie dopomagali chętnie, bo wszystkim coraz więcej się podobało, żeby gromada od siebie chłopca utrzymywała w szkołach. Niejednemu, co prawda, przychodziło do głowy, że wolałby, aby to jego dziecko wysłano; ale jak pomyślał sobie, że Stach najpilniejszy ze wszystkich do nauki, że przytem stokroć więcej pomocy potrzebuje, bo sierota, to sam wstydził się potem w duszy swego sobkostwa.

Gdy wszystko było już gotowe, zebrała się gromada, zeszły dzieci z całej wioski pożegnać się ze Stachem. Wystąpił stary Szymon, krótko powiedział Stachowi, że gromada za swoje pieniądze szle go do szkół; niech więc pamięta o tem i uczy się dobrze, jak dotąd, żeby wstydu gromadzie za niego nie było; a potem niech też pamięta całe życie, że to gromada swą ciężką chłopską pracę daje na jego naukę; niech nigdy nie zapomina, że jest chłopem, niech w państwo się nie dmie, a w przyszłości na dobro gromady niech swą naukę obróci...

Skłonił się chłopiec do nóg starszym, uściskał z towarzyszami zabawy i pracy, siadł na wózek i z panem Błażejem odjechał do miasta.

Tutaj pan Błażej wnet wynalazł dawnego swego znajomego, nauczyciela szkół, opowiedział mu historję chłopca, ugodził się i umieścił Stacha na stancyi u jakiejś wdowiny na przedmieściu. Potem Stacha do szkół zapisał i, załatwiwszy wszystko porządnie, polecił go raz jeszcze opiece Boga i dobrych ludzi i odjechał!

Stach został sam w obcem mieście pośród obcych ludzi. Parę dni markotno mu było tak, że chciał już uciekać napowrót do Wólki. Ale gdy wspomniał, że to gromada go wysłała, że wstydu by jeno swoim narobił, przestał się smucić i wziął się do nauki, ile że już zjechały się inne chłopcy i nazajutrz miały się rozpocząć szkoły.

(D. n.).

KRONIKA.

Nasi przyjaciele. Jeden z naszych prenumeratorów z okolicy Rawy pisze nam co następuje: „Bardzo nam się gospodarzom podobała Wasza gazeta, że tak gorliwie broni wiejskiego ludu i nasze ciężary, które dźwigamy, przed oczy naszym krzywdzicielom przedstawia. Gdyśmy ją zaczęli czytać przed zgromadzonymi wyborcami, wpadli dwaj obywatele i chcieli nam ją wydrzeć, mówiąc, że to „łajdacka gazeta“. Na to przeprosiłem tych dwóch panów i powiedziałem im: „Dziwna to rzecz, że u was panów kto tylko prawdę powie i krzywdy, jakie ludziom wyrabiacie, ogłosi, zaraz zostaje złym, a wy sami nigdy ani troszeczki do złego się nie poczuwacie!“ Tak ich te słowa obeszły, że odwrócili się i poszli.

„Bat'kiwszczyna“, ruska gazetka ludowa, redagowana dotychczas bardzo pięknie przez p. M. Pawlika, syna chłopskiego i szczerego demokratę, przeszła obecnie pod inną redakcję. P. Pawlik ustąpił, bo, jak pisze w swem oświadczeniu, wydawca żądał od niego zmiany przekonań. Bardzo to smutno, że aż do takiego żądania mogło dojść między ludźmi szczerymi, demokratami i synami ludu!

Konkurs warszawskiej *Gaz. Świąt.* na artykuł popularny i powiastkę dla ludu został rozstrzygnięty. Sędziowie nie przyznali nagrody ża-

dnemu z 18 nadesłanych artykułów, zaś z 25 powiastek odznaczyli powiastkę p. t. „Wdowa kukała — siebie oszukała“, której autorem jest p. Jan Kowerski. Tenże otrzyma 100 rs. nagrody.

Nowe guldeny papierowe, które się pojawiły w sobotę 13. b. m., mają datę 1. lipca 1889, format 104 mm. wysokości, 68½ milim. szerokości, a zatem są mniejsze aniżeli dotychczasowe. Kolor niebieski z ciemnemi prążkami bez wodnych znaków. Zadrukowane są z obu stron: z jednej po niemiecku, z drugiej po węgiersku. Po stronie niemieckiej widnieje napis „Ein Gulden“, po stronie węgierskiej „Egy forint“. Nowe guldeny zaopatrzone są w napisy objaśniające, że walor ten stanowi część wspólnego długu państwowego i że przyjmują go wszystkie urzędy państwowe. Na dole umieszczony jest podpis dyrektora centralnej kasy państwowej Fauseka. Na górnej części mieści się portret cesarza, na dolnej części postać klęczącego chłopięcia z gałęzią palmową w ręku.

Stare guldeny przyjmować będą kasy państwowe do 30. czerwca 1890, t. j. przez cały rok jeszcze.

Przykład do naśladowania. Naczelnik sądu powiatowego w Medenicach, p. Jaworski, przekonawszy się, że mieszkańcy tego okręgu sądowego, biedni i nieświadomi złych skutków zaniedbania wpisów hipotecznych, unikają wnoszenia próśb tabularnych ze względu na ogromne wydatki nie stojące w żadnej proporcji z wartością zakupionych kawałków ziemi, przekonawszy się dalej, że włościanie przywykli zwracać się ze swymi interesami do pisarzy pokątnych. którzy nie znając przepisów ustawy piszą prośby do sądu mylnie i niedokładnie, a powodując się chęcią zysku namawiają chłopów do procesów, obdzierają ich następnie i demoralizują — wydał rozporządzenie, w którem postanawia, że włościanie wspomnianego okręgu sądowego mogą co tygodnia w piątek przychodzić do sądu w Medenicach z potrzebnymi dokumentami i pod kierownictwem sędziego lub innego urzędnika sądowego *wnosić ustnie do protokołu prośby hipoteczne, jakoteż wszelkie inne prośby i zażalenia.* Rozporządzenie to ma na celu ustanowić zgodność stanu hipotek z posiadaniem faktycznem i odwrócić szkodliwe następstwa z powodu zaniedbania próśb o wpisy tabularne, szczególnie zaś ulżyć włościanom w wydatkach na prośby tabularne i położyć koniec ich wyzyskiwaniu przez pisarzy pokątnych. Byłoby rzeczą nader pożądaną, by podobna procedura została zaprowadzoną we wszystkich sądach galicyjskich, tem bardziej, że jest to jeden z licznych przepisów ustawowych, u nas niestety z powodu! „nawału kawałków“ niewykonywanych.

Za dobrym przykładem. Z Jaworowa donoszą, że i tam do niedawna nie mniejsza była bieda z intabulacjami gruntów chłopskich, jak w innych powiatach. Kto kupił kawałek gruntu za 20 złr. szedł do notarjusza i musiał za przeprowadzenie intabulacji płacić 5—10 złr., przez co niejeden nie był wstanie odpowiedzieć wymogom prawnym. Wskutek tego sędzia jaworowski p. Zawadzki kazał zawiadomić wszystkie gminy, że przyjmować będzie od stron ustne zawiadomienia o tego rodzaju transakcjach.

Posucha długo trwająca źle oddziałała na żniwa tegoroczne. Ze wszystkich stron kraju dochodzą wiadomości o bardzo słabych zbiorach. Z Węgier piszą, że tegoroczny zbiór pszenicy będzie bardzo słaby. Ziarno traci na wartości wskutek tego, że jest bardzo mięszane.

Ofiarność włościan dla szkoły. Według relacji okręgowej Rady szkolnej w Śniatynie, złożył Stefan Makowijczuk włościanin na rzecz budowy szkoły w Lubkowcach kwotę 300 złr., a syn jego Maciej 100 złr. i oprócz tego 20 złr. na zakupno książek dla biednych uczniów. Krajowa Rada szkolna wyraża im publiczne podziękowanie.

Krakowiaki wyborcze. *W Gaz. przem.* spotykamy następujące kwiatki poetyczne, wykwitłe pod skwarem akcji wyborczej nad Sanem, ale dobrze dające się zastosować i do wielu innych.

Wśród krzewiastej niwy,
Z róż potoczek płynie,
Z kim jest propinacja,
Ten nigdy nie zginie.

Rośnie w górę, rośnie,
Z krzyżykami drzewo,
Kto chce rwać ten owoc,
Nie pójdzie na lewo

Nic nie masz za darmo
U kahalnej braci,
Więc koszta wyborów,
Miasto im zapłaci.

Sąd przysięgłych w Poznaniu skazał dnia 4. b. m. elementarnego nauczyciela, Weimanna, ze wsi Jaryszewa w powiecie obornickim na jeden rok więzienia, a to za pobicie ucznia swego, 12-le

tniego chłopca, Antoniego Wachowiaka, skutkiem czego nastąpiła śmierć w dwa dni po pobiciu. Wypadki takie wydarzają się tu często, a jeżeli przed sądy mało z nich się dostaje, przypisać to należy nieporadności naszego ludu i wstrętowi do wdawania się w procesy przed niemieckimi sądami, w których tylko za pomocą tłómacza porozumieć się może. Sprawa Weimanna musi obudzić największe oburzenie w każdym człowieku.

Chłopiec, Antoni Wachowiak, przybył owego dnia zupełnie zdrów do szkoły. Popołudniu była lekcja rachunków, przyczem Wachowiak nie umiał dać odpowiedzi. Nauczyciel popadł w pasję, pochwycił kij jałowcowy, ten na chłopcu potrzaskał a nie zważając na płacz i prośby dziecka, pochwycił je za włosy i uderzył głową tegoż o ścianę i ławkę. Chłopiec nie mógł już trzymać głowy prosto, więc na ławce opierać ją musiał, za co nauczyciel kazał mu po szkole zostać w areszcie, gdzie ponownie odebrał karę cielesną za to, że nie chciał czyli raczej nie mógł już pisać, jak nauczyciel rozkazywał. Do domu ledwo już chłopiec doszedł i wnet ze sił opadł zupełnie, a przytem i mowę utracił. Matka zawiozła go do lekarza w Szamotułach, który poznał zapalenie błon mózgowych i zapowiedział śmierć, która nazajutrz nastąpiła.

Według zeznania nauczyciela, ma on w szkole 140 dzieci, z których połowa słowa nie umie po niemiecku, nauczyciel zaś nie rozumie ani słówka po polsku, uczy więc dzieci n a m i g i. Pokazując dzieciom rozmaite przedmioty lub ich obrazy, powiada ich nazwy po niemiecku i każe dzieciom powtarzać tak długo, aż to jako tako utkwi im w pamięci. Za tę naukę dano Weimannowi, według zeznania inspektora szkolnego, pastora Munzla, gratyfikację z kasy rządowej. Śliczna metoda nauczania!

Woda w studniach nie zawsze jest dobrą do picia i jak wykazali uczeni lekarze, woda w studniach częstokroć zawiera w sobie trujące składniki. Jak tylko woda przepływa przez glebę nasiąkniętą gnojem, albo przez cmentarz, lub miejsce, gdzie leży padlina, zabiera z sobą nieczyste i niezdrowe cząsteczki, które wodę w studniach robią bardzo szkodliwą, tak dla człowieka, jakoteż i bydlęcia. W gminach, gdzie na to pilnie nie uważają, wydarza się często, iż ludzie giną na rozmaite choroby, jak tyfus, cholerę, czerwonkę, a nikt nie zna przyczyny, dla której to się dzieje. Jedynym środkiem, na zabezpieczenie się przeciw chorobom, wynikającym z picia złej wody, jest baczna uwaga na to, ażeby studnie same, jakoteż najbliższe ich otoczenie były czysto utrzymywane, ażeby w pobliżu nie było składów nieczystości, gnojów, jakoteż cmentarzy, wreszcie należy uważać, ażeby przy czerpaniu brudnemi naczyniami wody nie zanieczyszczać. Pamiętajmy, że dobra woda to pierwszy warunek zdrowia.

Rudolf Falb nie pomylił się. Jak wiadomo, słynny ten astronom oznaczył dzień 12. bm., tj. dzień zaćmienia częściowego księżyca, jako dzień krytyczny pierwszego rzędu, przepowiadając na dzień ten i następnych kilka burze, orkany i nawalne deszcze. Przepowiednia ta spełniła się. Zewsząd dochodzą wieści o burzach i nawalnicach połączonych z oberwaniem się chmur i piorunami. Ogromna burza przeciągnęła przez całe Niemcy, Hessję, Westfalję, południowy Hanower, Turyngję, Nassau i prowincje nadreńskie, zrządzając wszędzie ogromne szkody. Z Morawy i Czech dochodzą wieści o szalonych orkanach, z różnych zaś stron Galicji otrzymujemy również wiadomości o burzach złowrogich, niszczących i tak już mizerne tegoroczne plony.

Wskutek burz, panujących w całej środkowej Europie 13. i 14. bm., została przerwaną zupełnie komunikacja telegraficzna pomiędzy Francją, Niemcami i Austrją.

W krajowej niższej szkole rolniczej w Horodence, której głównem zadaniem jest kształcenie oficjalistów gospodarskich niższej kategorji, nastąpi otwarcie roku szkolnego d. 1. września br. Z prośbą o przyjęcie odnieść się należy do dyrekcji szkoły i wykazać: ukończone szkoły ludowe, ukończony 16. rok życia i świadectwem lekarskiem stwierdzony dobry stan zdrowia. Kandydat, który nie mógłby opłacać 150 złr. rocznie za całe utrzymanie, może uzyskać przyjęcie na fundusz krajowy; starający się o takowe, dołączyć winien świadectwo ubóstwa. Podania wnosić można do 15. sierpnia br.

Próby ulepszenia gruntów naftą, w celu wygubienia pasożytów, które w ostatnich czasach stały się najzaciętszym wrogiem rolnictwa, będą przedsięwzięte na południu Rosji w roku bieżącym. Będą to pierwsze próby w tym kierunku.

Co tam słychać w świecie?

W zeszłym miesiącu upłynęło pięćset lat, jak pobratymcy nasi, Serbowie, na Kosowem polu ponieśli straszną klęskę w walce z Turkami, stracili swą samodzielność na długie a długie lata, bo niemal pięć wieków się ciągnące. Dziś Serbia wolna i niepodległa, święci uroczyście pamiątkę tego nieszczęśliwego dnia.

Sułtan turecki Murad I. stanął na Kosowem polu na czele wojska, liczącego 200 tysięcy ludzi, król serbski Łazarz wystąpił z siłą 120 tysięcy ludzi.

Serbowie pobici zostali, na polu walki legł król Łazarz, legli najprzedniejsi wojewodowie i bohaterzy.

Bajazet, syn Murada, w tryumfalnym pochodzie wszedł do stolicy Serbii Kragujewaczu, i tam nałożył haracz na Serbów i pojął za żonę Melissę, córkę bohaterskiego Łazarza.

I od tej chwili w ciągu prawie pięciu wieków wraz z szlachetną krwią Serbów, wylaną na Kosowem polu, płynęły wciąż krew ich i łzy wyciśnięte przez Turcją. Dzieje to okropne.

A jednak nie upadli Serbowie w ciągu tych smutnych dni i w czasie tej sromotnej niewoli tureckiej. Walka toczyła się wciąż i oto dziś Serbia jest niezależnem królestwem i dziś wieńcząc koroną krolewską młodego swego króla Aleksandra, zarazem święci pięćsetną rocznicę nieszczęsnej bitwy na Kosowem polu.

Czemu zawdzięczają Serbowie po tylu wiekach okropnej niedoli stan swój dzisiejszy? Oto temu niewątpliwie, że przez cały czas swej okropnej i sromotnej niewoli nie zwątpili nigdy o tem, że będą wolni; oto temu, że starannie przechowywali swe obyczaje i zwyczaje, że pielęgnowali swój język, swe pieśni narodowe i nieustającą a wytrwałą pracą dorabiali się lepszej doli i przyszłości. Wiara niezachwiana, nieustająca wytrwałość i ciągła praca zbawiła ich.

Przykład to dla wszystkich narodów, co również cierpią, jak Serbowie cierpieli. Przykład pocieszający i wlewający w duszę ich nadzieję, że byle one wytrwały w swej wierze w lepszą przyszłość, a gorliwie pracowały na nią, to i dla nich dni promienne swobody zajaśnieją.

Francja obchodziła uroczyście dnia 14. lipca wzięcie Bastylli, uważanej za twierdzę tyraństwa, gdyż nietylko więziono w niej niewinnych ludzi, ale zamykano w niej książki i pisma, niepodobające się rządowi francuskiemu. Nie sława wojenna czyni ten dzień pamiątkowym nietylko dla Francji, ale i całego ucywilizowanego świata, lecz myśl wspaniała, która pędziła tłumy przeciwko murom Bastylli, owo gorące poddanie się temu popędowi bożemu, który się nazywa „wolnością.“ Głód wywołał rozruchy w Paryżu, a jednak lud nie wołał: chleba! tylko z namiętnym okrzykiem zapragnął: broni! Młodzieńczy, bo zaledwie dwudziestoletni Kamil Desmoulins, (czytaj: Demulę) niepokojące przyniósł wieści z Wersalu; popularny minister Necker otrzymał dymisję, a wojska królewskie zaczęły się ściągać naokół Paryża, zagrażając swobodzie obrad zgromadzenia narodowego. Tłumy ludu przebiegały ulice, zaczęły się kupić około zapalonego mowcy, a gdy tenże przemówienie swoje zakończył: „Pochwyćmy za broń!“ — okrzyk ten znalazł w tej chwili niesłychane echo w murach Paryża.

W jednym momencie wypróżnione zostały wszystkie składy publiczne, w jednym momencie zdobyto arsenał i zabrano broń potrzebną. Gwardję narodową uzbrojono w piki, na wieżach kościołów paryskich zabrzmiały dzwony i w jednym momencie zmieniło się

miasto w obóz potężny. Naraz zawołał ktoś wśród tłumów: „Do Bastylli! wziąć Bastyllę!“ i w jednym znowu momencie pospieszono w stronę „arystokratycznego“ więzienia. Kaźnią przeznaczoną dla „przestępców“ z ludu było tak zwane „Bicetre“, ruch więc nie interesowanych w danym przypadku tłumów, obracając się w stronę Bastylli, tem większe, tem donioślejsze ma znaczenie. Nie chodziło bowiem ludowi o pomszczenie swych własnych, klasowych krzywd, chodziło mu o pomszczenie niesprawiedliwości wogóle, chodziło mu o zburzenie przybytku bezprawia i samowoli bez różnicy ich ofiar. Okrzyk wydobywający się z tysiącznych piersi: „Do Bastylli! wziąć Bastyllę!“ znaczył tyle co: „Chcemy sprawiedliwości, chcemy, ażeby tylko winny był karany, ażeby podlegał karze tylko ten, który rzeczywiście łamie prawa, a nie ten, który się nie podobał komubądź z jakichkolwiek względów; władać ma *prawo* a nie samowola i kaprys“.

W Ameryce północnej, w Stanach Zjednoczonych, w kraju Pennsylwania, dokąd udaje się też dużo ludzi z naszego kraju na zarobek, przyszło wskutek powodzi do wielkiego nieszczęcia. Nad rzeką Colemaugh w górach leżało jezioro długie na 7 kilometrów, szerokie na 1 kilometr i głębokie na 100 sążni. Cała ta masa wody od strony ciasnej doliny spartą była ogromną groblą i ztąd prowadzono wodę w dół do rozmaitych fabryk. Otóż w ostatnich dniach maja wskutek wielkich deszczów w górach wezbrało to jezioro, grobla pękła na przestrzeni 200 sążni i cała jego woda ogromnym wałem wylała się w dolinę. O kilka mil poniżej w tej dolinie leżało parę wsi i dość duże, bo 50.000 ludności liczące miasto Johnstown (czytaj Dżonstąn). Nagły napływ wody w jednej godzinie zniszczył do gruntu owe wioski, fabryki i największą część miasta wraz z ludźmi. Gruzy domów, drzewa, kamienie, maszyny i ludzi poniosła fala dalej, lecz tu natrafiła na kamienną groblę kolejową, zbudowaną poprzek doliny. Tutaj woda sparła się, ale zerwawszy most i zabrawszy po drodze dwa pociągi kolejowe wraz z ludźmi, popłynęła dalej, zostawiając ogromną kupę gruzów i ludzi przed nasypem. Nieszczęście chciało, że w tej kupie gruzów wybuchł pożar, i wszyscy ludzie znajdujący się tam, z których dużo było żywych, uratowawszy się od wody, zginęli w ogniu. Ogółem liczą, że w tem okropnem nieszczęściu zginęło do 50.000 ludzi. Niektóre trupy popłynęły z wodą o kilkadziesiąt i kilkaset mil do wielkich rzek Ohio (czytaj Ohajo) i Missisipi, zatruwając swem gniciem wodę i powietrze.

Z Belgradu (w Serbji) donoszą, że według otrzymanych tam urzędowych doniesień, w Nowym Bazarze wybuchły rozruchy przeciw Turkom. Czterej belgowie, dziedzice (z Serbów poturczeni) napędzili prefekta i zorganizowali partyzantów. Dla przywrócenia pokoju wysłano cztery bataljony tureckie, które walczą obecnie z oddziałami zorganizowanymi przez buntowniczych begów. O stłumieniu rozruchów dotychczas nic nie wiadomo. Wszyscy Serbowie przebywający w Nowym Bazarze zostali aresztowani. Jest to wiadomość bardzo ważna, gdyż powstanie w Nowym Bazarze, gdyby się rozszerzyło, mogłoby dać początek do takich samych zawikłań, jak powstanie w Bośni w 1875 r.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.** Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 9. We Lwowie, dnia 1. Sierpnia 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

Kilka słów o lichwie na wsi.

I. Któż z was, kochani czytelnicy, nie zna owej żydowskiej pijawki, ssącej krew chłopską! Na pozór niewinne to stworzenie, krąży po wsi niby ćma bez oznaczonego celu: zajrzy do chaty, zapyta o zdrowie, dowie się o zasiewie lub zbiorze jakby od niechcenia, a tymczasem nawet się nie spostrzeżesz, a już ci się żydzisko dowiedziało lepiej i prędzej, niż ty sam gospodarzu, o tem, ile masz pieniędzy, wie o twoich potrzebach i niedostatkach.

Zmiarkowawszy co ci najwięcej dopieka, zaczyna od dobrej rady i tak niby od serca wciska ci w dłoń potrzebne pieniądze. Nie żąda zrazu żadnego kwitka, pożycza bez procentu, albo na bardzo mały procent, nie oznacza nawet terminu do zwrotu pieniędzy, takie ma niby zaufanie do chłopa, że mu je odda, kiedy będzie miał.

Chłop w wielkiej potrzebie — ale na nieszczęście nieraz i przez lekkomyślność — bierze monetę. Dlaczego nie brać, pomyśli sobie, kiedy dają? i zaciąga pożyczkę, przez którą dostaje się od razu w szpony lichwiarskie.

Lichwiarz czatuje na swe ofiary w szynkach, w sklepikach, lub włócząc się od wsi do wsi na wózku, ciągnionym przez wychudłą i kościstą szkapę i skupując wszystko, co wpadnie pod rękę: stare łachy, kości, skórki zajęcze, jaja, żelaziwo stare itp. Handelek ten, to tylko środek do nawiązania stosunków z chłopem, na którego gdy zarzuci swoje lichwiarskie siecie, już go z nich tak prędko nie wypuści. A różne są sposoby, jakiemi bałamuci swego dłużnika i przyprowadza go do ostatniej nędzy: To zapisuje na wekslu większą sumę, niżeli chłop rzeczywiście pożyczył, odtrącając naturalnie od razu z góry procenta, to liczy te procenta nie na lata, lecz na kwartały, na miesiące, a nawet na tygodnie, co wychodzi na grube oszukaństwo. Przytem stara się ostrożnie i pokryjomo ściągać wysokie procenta, bo ustawa przeciw lichwie ostro za to karze.

Do mniej znanych kruczków lichwiarskich należy wystawienie zapisu dłużniczego czyli kwitu, na czas krótki, albo wyznaczenie takiego czasu do spłaty dłu-

gu, kiedy chłop pieniędzy nie ma, ani mieć może, naprzykład na przednówku. O takiej to porze zjawia się lichwiarz w chacie chłopskiej, z cyrografem w ręku, żądając już stanowczo zwrotu pożyczki — wie on, że teraz nie dostanie pieniędzy od chłopa, ale jest to najlepszy sposób przyciśnięcia go do muru, przestraszony bowiem groźbami gospodarz, zawiera teraz nowe układy, naturalnie pod najgorszymi dla siebie warunkami. Lichwiarz, chcąc trzymać chłopa w ciągłej od siebie zależności, pozwala na częściową spłatę długu, niby pragnąc ulżyć ciężaru spłacenia całej kwoty na raz, lecz w istocie trzyma go na uwięzi przez klauzulę, czyli warunek taki, że jeżeli chłop nie uiści jednej raty, to żyd ma prawo żądać całej sumy dłużnej. Teraz zagląda lichwiarz coraz częściej do zagrody chłopskiej — bierze niby za procent kartofle, zboże, ogrodowinę, jaja i tym podobne rzeczy, wprawdzie potrosze, ale ziarnko do ziarnka zbierze się miarka; domaga się grzecznie od chłopa pewnych posług, koni do jazdy, fury do lasu itp. narzuca mu swoje towary: soli na gospodarstwo, wstążki dla córki, różne tandeciarskie szmatałajstwa centa nie warte, za które grubo sobie liczy, a biedny chłop, nie bardzo rozumiejący się na tych szatańskich sztuczkach, nie umie i nie może się temu sprzeciwić z obawy przed grożącem mu »wypowiedzeniem długu« — to jest rozkazem zapłacenia pożyczonych pieniędzy. Przytem robi żyd jakiś »większy interes« kupna lub sprzedaży, spłatę długu usuwa się przez to na plan ostatni. »Jeszcze czas, powiada kupiec, nic nie spieszy, przecież i ja winien wam jestem pieniądze za kupione u was zboże albo chudobę, jakoś to się już obrachujemy«. I następują coraz nowe »handelki« żyd prowadzi ciągle jakieś rachunki, dolicza procenta, i znowu procenta od procentów, przyczem nie szczędzi słodkich słówek, rozmaitych pochwał, które się podobają próżnym i głupim ludziom i zamykają im oczy na niebezpieczeństwo. Wreszcie przychodzi czas, kiedy pretensje do chłopa wzrosły tak ogromnie, że biedny gospodarz nie może już w żaden sposób spłacić długu. Lichwiarz skarży go teraz do sądu, fantuje rzeczy, a grunt i chałupę wystawia na licytację. Lecz gdyby go puścił z torbami zaraz, nie byłoby to tak korzystnem dla lichwiarza, jak gdy go zaciągnie w swoje poddaństwo. Jako poddany lichwiarza siedzi wprawdzie chłop na zagrodzie swojej, lecz ta pozornie tylko do niego należy, gdyż wszystko, co przynosi ziemia i praca chłopska, zabiera lichwiarz dla siebie i rządzi, jak mu się podoba w gospodarstwie, kupując i sprzedając co chce. Tak tuczy się krwią i potem włościanina, aż wycisnąwszy go jak cytrynę — zadaje mu ostatni cios ekonomiczny, przez wywłaszczenie go z gruntu i wypędzenie z ojcowskiej chaty bez grosza i koszuli na wieczny głód i nędzę.

I czyż takie smutne przykłady nie powinneby odstraszyć innych mieszkańców wsi od lichwy? Na nieszczęście nie odstraszają, a winien tu przedewszystkiem fałszywy wstyd chłopa, który jak może ukrywa przed drugimi swoją »biedę« i chciałby uchodzić za bogatszego niż jest w istocie. Sprytny lichwiarz korzysta z tej słabości jego i zawiązuje z nim interesy,

pożycza większe sumy w najgłębszej tajemnicy, a nawet później, gdy się upomina o nie, nie zdradza chłopa, co mu jest bardzo dogodne. Dalszą okolicznością, dopomagającą lichwiarzowi, jest ciemnota i nieznajomość rachunku u chłopa, jego łatwowierność i niegospodarność, a głównie jego nałóg pijaństwa, będący przyczyną tylu nieszczęść w rodzinie chłopskiej. Nędza, nieurodzaje, wreszcie i wysokie podatki, przygotowują grunt, na którym wyrasta jadowita roślina lichwy. Ale jak dobre gospodarstwo i staranna uprawa usuwa chwasty i kąkole, tak samo uregulowane stosunki ekonomiczne wypleniłyby lichwę z korzeniem. W dalszym ciągu podamy środki zaradcze przeciw lichwie, wprzódy jednak zastanowimy się nad innemi rodzajami lichwy. Mamy bowiem oprócz lichwy pieniężnej, o którejśmy dotąd mówili, jeszcze lichwę bydłem i towarami, a potem lichwę gruntową i bankową, o których w najbliższym numerze napiszemy.

Wódka i woda.

Zapytacie może zkąd nam przyszło do głowy pisać o takich rzeczach, jak wódka i woda i po co mówić o tem, kiedy to nie są rzeczy nowe?

Pierwsi jeszcze ludzie, zacząwszy od Adama i Ewy, aż do dni naszych, znali wodę, jak i każdy z nas dobrze wie, co to woda i jak miło się jej napić, kiedy się pić chce człowiekowi. Prawda to, ale i to prawda, że z czasem wynaleźli ludzie rozmaite inne napoje, które nazywamy trunkami i wtedy zaczęli zaniedbywać wodę a smakować w wódce.

Mówiono, i dziś jeszcze wielu powiada, że wódka krzepi siły ludzkie, że w chorobie jest lekarstwem, a kiedy człowiek zdrów, dodaje sił do pracy. Gadanie takie zachęciło wielu do wypijania tak dużo tego trunku, że nareszcie obrzydła im woda i nie widzą nic lepszego nad wódkę.

To także prawda, ale to już smutna prawda, bo wszystkie gadania o przymiotach wódki, są kłamstwem. Wódka ani sił człowiekowi nie dodaje, ani go pokrzepia, ani kuruje z choroby, ale chorobę w człowieka wprowadza. Zdrowem dla człowieka jest tylko to, do czego nie ma obrzydzenia. Każdy zaś z was pewnie widział, że kiedy młody chłopak, albo wyrostek, który nigdy jeszcze nie skosztował wódki, pije ją pierwszy raz, to się krzywi i krztusi. Dowód to, że mu na zdrowie nie wychodzi, że aby połknąć tę truciznę, gwałci sam siebie, czyli swoją dobrą naturę.

Piszemy o tem, bo dziś wielu uczonych a poczciwych ludzi zaczęło rozmyślać nad przyczynami chorób ludzkich i po sumiennem zbadaniu natury człowieka, przekonali się, że wódka to właśnie jest największą trucizną dla ludzi. Jeden z tych uczciwych ludzi powiada, że największą nędzę na ludzkość, to jest na ludzi całego świata, sprowadziła zaraza od wódki. Zarazą nazywa on nałóg, nawyknienie. Bo już taka natura ludzka, że przyzwyczaja się nawet do trucizny. Ale przywykłszy do tej trucizny, nazywanej wódką, skraca sobie człowiek życie i nabawia się chorób, którychby nie zaznał, gdyby nie wódka.

Dzikie narody, powiada ten sam rozumny i poczciwy człowiek, nie darmo nazywają wódkę »wściekłą wodą«. Wypisze-

my tu, co mówi tenże miłośnik ludu o truciźnie z wódki:

»Wódka robi takie same zniszczenie we wnętrzu człowieka, jąk każda inna trucizna. Robi to samo, tylko powolniej. Wódka przenika całe ludzkie ciało, przewierca kości, trzewy ludzkie, serce, wszystkie żyły i mózg człowieczy. Trucizna ta zohydza człowiekowi życie, żywi w nim nie człowieka, ale bydlę, bo rozum go odbiega, zamąca się i nareszcie robi się z człowieka coś gorszego jeszcze, niż bydlę, któreby dobrowolnie wódki nie wypiło.

Potem opowiada historje prawdziwe, jakie to choroby i nieszczęścia sprowadza wódka na ludzi. Wielu bardzo dostaje szaleństwa, inni znowu targają się na własne życie, obwieszają się albo inną śmierć sobie robią. Nawet ci, którzy piją na pozór w miarę, nigdy nie czują się szczęśliwi i zdrowi całkiem. Zawsze ich trapi jakaś »melancholja, nud jakiś, czegoś im brakuje, a że nie wiedzą czego, szukają znowu kuracji w wódce i tem już zabijają się do reszty. Mówi jeszcze ten sam przyjaciel ludzkości, że jeżeliby nałóg do wódki nie ustał, to byłyby skazane całe gminy i kraje na zagładę, a ludzie żyjący i kochający się w wódce na to, żeby ich inni, trzeźwi obdarli ze wszystkiego.

Ciała ludzkiego nie czepi się łatwo choroba, jeżeli to ciało zdrowe, nie przewiercone wódką; ale ciała człowieka, zakażonego tą trucizną, czepi się każda choroba i przemoże człowieka. A wtedy rzadko mu pomoże i kuracja.

Największą nieprzyjaciółką wódki, a prawdziwą i najlepszą przyjaciółką zdrowia ludzkiego, jest czysta, zdrojowa woda, wypływająca ze źródeł i krynic świętej naszej ziemi.

Tę naszą wodę bardzo oczernili ludzie, którym się zdawało, że wódka dodaje sił człowiekowi. Oczernili ją chyba dla tego, żeby człowiekowi siły odebrać. Bo oto co się dzieje, a co potwierdzili doktorowie i poczciwi ludzie uczeni: sprawdzili oni, że wódka zagłusza w człowieku głód, a zaś woda świeża, czysta, zdrojowa, powiększa głód. Jasno tedy, że kto pije tylko wodę, zje więcej, a jak więcej zje, więcej sił nabierze. Kto pije wodę, temu smakuje wszelkie proste pożywienie. Żywiąc się obficie, przysparza sobie człowiek krwi, a z krwią i mocy większej nabiera, jeżeli tę krew utrzymuje czystą, a czystą utrzyma, popijając wodą zdrojową.

Ale za to człowiek pijący wódkę, głodzi się, bo trucizna zabija w nim chęć do pożywienia; źle karmiony, traci siły i schodzi na charłaka. Charłactwo zaś, to już największa nędza, bo charłak ani zdrowia nie ma, ani sił, żeby zarobić, ani mu nawet samo życie miłe.

W zdrowiu szczęście prawdziwe, bo człowiek zdrów i silny, potrafi zarobić, a żadna praca mu nie ciężka. Zdrowie daje nam proste pożywienie i woda.

Woda, to skarb prawdziwy, bo to nawet lekarstwo na wszystkie prawie choroby. Tak jest, dziś coraz więcej przybywa takich zakładów, gdzie kurują tylko wodą. Ale przy kuracji tej nie wolno pić ani wódki, ani wina, ani żadnego innego trunku. Ciekawsze jeszcze, że przy kuracji tej tak każą doktorowie żywić się chorym, jak żyją na wsi włościanie. Dają więc chorym mleko słodkie, kwaśne, chleb razowy i inne potrawy proste, a także mięso, ale nigdy gotowane, tylko pieczone.

Najciekawszą wszelako prawdą jest w tej kuracji, że wynalazł ją prosty chłop, który najpierwej sam zaczął się kurować

wodą z choroby ciężkiej, bo z zapalenia płuc. Chłopem tym był Wincenty Priessnitz, a jak my wymawiamy Prysnic, który w roku 1826 jako ośmnastoletni młodzieniec użył wody za lekarstwo.

Był to, chociaż chłop, a wielki mędrzec, bo myślał sobie, że kiedy tak dużo znajduje się na świecie czystej wody, to nie na darmo. I myślał także, że człowiek nie powinien oddzielać się od natury, ale u niej szukać ratunku i kuracji. Tak rozmyślając, zabrał się do używania wody, którą nacierał swoje ciało, a potem się pocił. Dużo by o tem można pisać, w jaki sposób robił to dalej, jak potem innych kurował, jak mu byli ludzie wdzięczni i jak on sam nie pijąc przez całe życie żadnych trunków, był zdrów aż do bardzo późnej starości. Żywił się po prostu, pił tylko wodę i został sławnym i bogatym człowiekiem. Później ten jego wynalazek, choć taki prosty, uznali za dobry najrozumniejsi i najuczeńsi ludzie. Wszyscy zaś, którzy o tem wiedzą jaka to siła ogromna jest w wodzie, szanują ten skarb prawdziwy a taki tani na ziemi i wszyscy, którzy żyją podług owych przepisów prostego chłopa, nie piją wódki, tylko wodę. Tacy ludzie są zwykle bardzo zdrowi, a jeżeli choroba ich opadnie, to łatwo się jej pozbywają i błogosławią tę godzinę, w której przez okno wyrzucili ze swego domu ostatnią flaszkę trucizny, nazwanej wódką.

To cośmy napisali jest świętą prawdą, dla tego to warto było pomówić o wódce i o wodzie i warto posłuchać rady mędrca chłopa, którego rozumowi cały świat się dziwuje. Chłop Prysnic do ostatniego tchnienia powtarzał: wódka, to trucizna; woda zdrojowa to zdrowie i szczęście ludzi.

Wzorowe Kółka rolnicze.

Przy końcu r. 1883, liczy kółko grębowskie już 62 członków, którzy uchwalają założenie sklepiku, początkowo tylko dla sprzedaży soli i nafty, a stopniowo w miarę przybywania członków do Kółka, zaopatrują sklepik w inne towary. Już w r. 1884 wykazują rocznego obrotu w sklepiku blizko na 4.000 złr., a w roku 1888 na 10.000 złr. W r. 1886 gdy liczba członków wzrosła do 202, sprowadzają wszelkiego rodzaju potrzebne artykuły jak: korzenne, bławatne i galanteryjne; — a nadto staje się sklepik składem miejscowych wyrobów: mioteł i kół do pługów, chętnie w sklepiku kupowanych, przezco, szczególnie w zimie przy braku zarobku, nie jednemu w gminie dostarcza się sposobu do utrzymania. Dla wygody ludności miejscowej sprowadzają także do sklepiku wprost z Węgier wino w beczkach po 73 litry i sprzedają na butelki bardzo tanio. Wreszcie mając na uwadze więcej dobro ogółu, jak własne materjalne korzyści, urządzają przy sklepiku pożądaną w każdej gminie apteczkę, zakupując z apteki w Rozwadowie, z znacznym opustem nabywane materjały lecznicze, jak: synapizmy, papier Rigolot, papier Wlinsi, rumianek, miętę, ślaz i wszelkie inne lecznicze ziółka; olejek rycinowy, różne maści, arnikę, kapucyńskie krople i t. p. — Pomysł ten »Kółka rolniczego« w Grębowie, pozyskał wszelkie uznanie w gminie, a zaprowadzenie przy sklepikach podobnej apteczki, nie powinno uchodzić uwagi innych »Kółek rolniczych«, — Kwitnący stan Kółka zawdzięczają członkowie gorliwości Zarządu, a w szczególności pier. wszemu przewodniczącemu p. Józefowi Lanc, którego dobrym radom wszyscy członkowie chętne ucho dawali, z jego go

towości służenia dobrej sprawie biorąc dla siebie przykład; również na uznanie zasługuje obecny przewodniczący, ks. Józef Kasprzycki.

Korzystne wpływy rozwijającego się coraz bardziej »Kółka rolniczego« nie mogły ujść oka Zwierzchności gminy. Oceniając należycie działalność »Kółka rolniczego« dla dobra ogółu, z wszelką ufnością, że udzielona pomoc pieniężna, nie jedną dobrą i pożyteczną myśl Zarządu »Kółka rolniczego« w czyn zamieni, udzieliła gmina Kółku hojny dar 500 złr., i dała w domu Urzędu gminnego lokal na sklepik Kółkowy.

Zarząd zdobył sobie zupełnie zaufanie i powagę u członków «Kółka rolniczego« i całej gminy, którzy idąc za jego życzliwymi radami, pierwej licznie uczęszczane karczmy ze wstrętem obchodzą, a za to z ochotą uczęszczają do Kółka.

Nie napróżno nawoływał Zarząd członków do ubezpieczenia swego mienia od klęsk ogniowych, bowiem sprawozdanie za rok 1886 wykazuje 113 członków Kółka, którzy przystąpili do Krakowskiego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, a w latach następnych liczba ubezpieczonych w Grębowie znacznie wzrosła.

W roku 1886 uchwala »Kółko rolnicze« na posiedzeniu, urządzenie dla nauki i przykładu innych, wzorowej gnojowni. Uchwałę tę wykonywa jeden z najgorliwszych członków »Kółka rolniczego«, gospodarz p. Jan Gil, dla którego Zarząd główny, przesyłając należne uznanie Zarządowi miejscowemu, dołączył 5 złr. nagrody. Za pośrednictwem Zarządu głównego sprowadziło Kółko 17 sieczkarń, z których 15 dla pojedynczych członków a dwie z funduszów Kółka, dla ogólnego użytku członków »Kółka rolniczego«; — jedną ręczną młocarnię i jeden siekacz do buraków; — zakupiono z funduszów Kółka knura rasy angielskiej za 20 złr., którego członkowie używają darmo do odstanawiania swych macior, inni zaś mieszkańcy gminy opłacają za jednorazowe użycie po 20 ct., które dla siebie pobiera członek Kółka utrzymujący knura.

Od dawna żywione chęci zaprowadzenia i uorganizowania ochotniczej straży pożarnej, zamienia Zarząd »Kółka rolniczego« w czyn i z funduszów Kółka, daje na ten cel 150 złr.; równą kwotą przyczynia się gmina, a Towarzystwo ubezpieczeń w Krakowie ofiarowuje 70 złr. Przy współudziale gminy zakupił Zarząd »Kółka rolniczego« sikawkę, z fabryki Chylewskiego w Tarnowie za 150 złr., beczkę do dowozu wody, zrobioną na miejscu kosztem 40 złr.; sprowadził z Wiednia konewki płócienne i opatrzył 15 strażaków w hełmy, pasy, trąby, pochodnie i toporki, zrobione tak jak i odpowiednie mundury, w Grębowie. Straż ta pod dowództwem »Kółka rolniczego« p. Leopolda Prottunga, już przy dwóch pożarach udowodniła swą pożyteczność, a w roku 1888 podczas wielkiego pożaru w Tarnobrzegu, o 2 mile od Grębowa odległego, udała się z pomocą na miejsce wypadku. Włościanie, którzy z początku niechętnem okiem patrzyli na tę nowość, później przekonawszy się o wielkiej użyteczności tejże straży ochotniczej, błogosławili jej założycieli mówiąc: »Przecież to dobra rzecz ta straż ogniowa, ileby by było nieszczęścia bez niej. I sikawka - - wyborna, jak to z niej woda daleko sięga, a każdą szparą do ognia wlizie, to i musi go zalać.«

W roku 1885 ofiarowane przez Zarząd główny 200 dziczków owocowych i 30 uszlachetnionych drzewek, zostały w części rozlosowane między członków Kółka, a

w części dały podstawę do założenia własnej szkółki drzewek owocowych, która, jak stwierdza sprawozdanie z r. 1886, ucieszyła bardzo członków. Na tem Zarząd Kółka nie poprzestał i szerząc zamiłowanie do pielęgnowania drzew, w r. 1888 postanowił kosztem składek wspólnych zasadzać drzewka na nieużytkach oraz wzdłuż ulic i dróg wiejskich. Uchwała ta, została w czyn wprowadzona, i zasadzono drzewami różnego gatunku puste miejsca przed kościołem, szkołą i sklepikiem Kółka i miejsca te ogrodzono.

W roku 1888 Zarząd Kółka odpowiednio do §. 11. lit. *n* statutu, zwołał do Grębowa zjazd delegatów wszystkich »Kółek rolniczych« powiatu Tarnobrzeskiego, i na przeszło dwugodzinnem posiedzeniu obradowano nad rozwojem i wspólnymi potrzebami »Kółek rolniczych«. Przykładny ten, a i w innych powiatach pożądany zjazd, zakończył się skromnem acz serdecznem ugoszczeniem przybyłych delegatów.

W końcu dla przykładu i pouczenia »Kółek rolniczych«, jak sobie radzić powinny przy sprowadzaniu soli w większych ilościach, podajemy nieco obszerniej przygody w tej sprawie »Kółka rolniczego» w Grębowie — z tem nadmienieniem, że jeżeli jedno »Kółko rolnicze« nie jest w stanie bardzo znacznej ilości soli na raz sprowadzić, to niechaj uczyni to wspólnie z »Kółkami rolniczemi« innych miejscowości.

»Kółko rolnicze« w Grębowie sprowadziło sobie cały wagon soli ze Stebnika, odległego 8 kilometrów od Drohobycza, skąd już idzie kolej żelazna. Po tę sól jechali z Grębowa p. Mscisz, sekretarz »Kółka rolniczego« i Tadeusz Janeczko członek »Kółka rolniczego«, gospodarz inteligentny i energiczny. Trudności mieli wielkie do przezwyciężenia, gdyż pierwszy raz jeździli do Stebnika, nie znając ani miejsca, ani ludzi, a żydzi, w których ręku cały interes dowozu soli spoczywa, wszelkiemi sposoby starali się nie dopuścić ich do wykonania wywózki, a przynajmniej stawianymi przeszkodami odstręczyć ich na przyszłość od wywozu soli. Na przedmieściach drohobyckich nakłonili gromadę urwiszów do wszczęcia bójki i niedopuszczenia pakowania soli do wagonu i gdyby nie pomoc nadbiegłych chrześcjan i wachmistrza żandarmerji p. Wawreka, naładowanie nie byłoby może do skutku przyszło. Wreszcie po wielu trudach i kłopotach, zdołali sól w wagonie upakować i wyprawić koleją do Tarnobrzegu, najbliższej Grębowa stacji kolei. W wagonie mieści się 52 tak zwanych wag soli, każda waga po 100 topek, a zatem razem 5.200 topek. Jedna waga soli kosztuje w Stebniku 9 zł. czyli 5.200 topek kosztują 468 zł. Koszta przewozu i wszelkie inne (zważywszy, że jechało dwóch ludzi) wyniosły około 100 zł. a zatem jedna topka soli kosztowała blisko 11 ct. Aby uniknąć na przyszłość niemiłych zajść, winny »Kółka rolnicze« chcące jechać do Stebnika po sól, na 14 dni przedtem zawiadomić piśmiennie urząd solny w Stebniku o uzyskanym na sól certyfikacie i oznaczyć dzień zamierzonego przybycia po sól, a to dlatego, aby niekiedy całymi tygodniami nie czekać, zanim »niby« na nich kolej przyjdzie. Przy pierwszym razie lepiej, jeżeli dwie osoby pojadą, ale później po obznajomieniu się, i jedna osoba da sobie radę, a w takim razie sól będzie tańszą, gdyż kolej i utrzymanie, będzie się płaciło tylko za jedną osobę. Przy wydawaniu soli z rządowego maga-

zynu, trzeba pamiętać, że topki poodtrącane można odrzucić, i natomiast innych, całych zażądać. W razie stawianych przeszkód ze strony niegodziwców, lub ich gwałtów przy ładowaniu soli, należy udać się z prośbą do c. k. Starostwa o opiekę, która niewątpliwie udzieloną zostanie.

ZA SŁUŻBĄ.

Przyszło bose, w brudnej koszulinie,
I stanęło spokojnie u progu —
Chłopskie dziecię, dziewcze pięcioletnie,
Złotowłose, w twarzy żółte szpetnie,
Oczka żywe, choć pół-płaczu w mince;
Wnet je ujrzał anioł mego domu.
— Co chcesz dziecię moje?
— Sława Bogu!
— Na wieki wieków — co chcesz dziecię moje?
— Ja za służbą... o pies! ja się boję!...
— Pies ten złego nie robi nikomu —
A chodź tu bliżej, bliżej — a czyja ty?
— Ja niczyja —
— A gdzież matka?
— Zmarła maty.
— A twój ojciec?
— Ojciec w karczmie siedzi.
— Cóż ty robisz?
— Żywią mnie sąsiedzi.
Czasem dadzą, a czasem nie dadzą;
W zimie często do pierza posadzą,
Teraz nic... Pan Bóg mnie hoduje
Jagodami... ot! człowiek bieduje...
— Jaki człowiek?
To ja, pani miła —
Zle na wierzchu ziemi być sierotą —
Ciężkie życie — lepiej gdzie mogiła,
Tam gdzie matka....
— O, moje ty złoto!
Takie małe! tak mówi rozumnie —
To ty, dziecię, ty chcesz służyć u mnie?
Cóż ty umiesz?
Ta chatę zamiatać,
Wody przynieść...
— Figle umiesz płatać?
(Ono myśli długo) — Także umiem,
A i gęsi ludzkie paść rozumiem...
— Czy ty głodna?
— O! o! bardzo głodna...

O ty ziemio polska! ty zawodna!
O ty ziemio polska! tak bogata,
Że wyżywić mogłabyś pół świata,
A dla własnych dzieci nie masz chleba!
Bujne twoje łąki, żyzne niwy,
Zawsze pełne rosy twoje nieba,
A podobnaś do popiołów urny,
I twój naród chodzi smutny, chmurny,
Czyto grzeszny, ach! bo nieszczęśliwy.

O ty ziemio polska! ty zawodna!
Taka strojna licem i swobodna —
Grzybne twoje lasy, wody hojne,
Kwietne twoje sady, pszczoły rojne,
A dla większej części swego rodu
O, nie owoców już, ani miodu,
Ale nie masz nawet chleba, chleba!...

Oto dziecko ledwie nie z kołyski,
Smutnie patrzy na twoje połyski,
Już dojrzało, już nieszczęściem stare,
Rozwinęła już jemu potrzeba
Myśl i serce — i już traci wiarę;
Ledwie mówić umie, już się skarży,
I o grobie niby starzec marzy...
O ty ziemio! ty macocho gminy!...

Gdzie me dzieci? chodź tu, chodź moj synu!
I ty drobny w pieluszkach — tu chodźcie,
Powitajcie tę siostrzycę waszą,
Ta, co zmarła, równie była małą!

Niech was plamy w koszulce nie straszą,
Bo jak wasze białem jest jej ciało,
No, rączkami twarz jej pogłaskajcie,
Ale najprzód jeść, o! jeść jej dajcie!!

Kornel Ujejski.

Listy do „Przyjaciela Ludu".

W ciemnościach każdy promyk światła drogi, w posuchę każda kropla deszczu cieszy. W tym roku niewiele pociechy przyniosły nam pola, niewiele radości sprawili ludzie, dlatego śpieszę podzielić się z czytelnikami »Przyjaciela« miłem wrażeniem, jakiego doznałem, bawiąc w powiecie Dąbrowskim.

Wielka to prawda, że dobrobyt i szczęście idą w ślad za oświatą, człowiek, co się nauczy czytać i zrozumie dokładnie to, co czyta, podobny jest do takiego, który posiada oczy, widzące wszystko, co się dzieje na świecie i uszy, słyszące co się mówi za morzami i górami i w najdalszych krajach. Przykładem, że tak jest naprawdę, służyć może znana już dobrze czytelnikom waszym Wola rogowska, położona nad Wisłą o jakie 3 mile od Dąbrowy. Mieszkańcy tej wsi czytają nietylko gazetki, lecz i rozmaite książki, znają dobrze historję ojczystą i znakomitsze powieści. To też ład i porządek, panujące w ich głowach przebijają się i we wzajemnych stosunkach i w gospodarstwie.

Pastwisko ślicznie utrzymane, otoczone ze wszystkich stron płotem i obsadzone wierzbami, ani jednego kretowiska na niem nie dojrzeć, ani jednej gęsi, a wszystkie świnie mają ryje przekłute drutem, żeby ryć nie mogły. Najdziwniejsza jednak i najbardziej pocieszająca rzecz, że stada ładnego bydła pasą się same, bez dozoru, bo przez wysoki płot nie mogą przeskoczyć i wejść w szkodę lub zabłądzić do lasu Wszystkie dzieci tymczasem siedzą w szkole i nabierają rozumu i wiedzy do głowy, żeby urość na pożytecznych ludzi. *Z.*

Nawojowa w Lipcu.

Pan Jan Krzysztof, człowiek z ludu, oficjalista z działu ekonomicznego dóbr Nawojowa, opuścił nasze okolice, będąc przeniesiony w Czartkowskie do Bilcza, dóbr księcia Sapiehy. Są pewne osobistości, które swą prawością charakteru, korzystny wpływ wywierają, obudzając ogólną dla siebie sympatję. Takim jest p. Jan Krzysztof.

My razem w stosunku do dworu lat 10. przepędziwszy, z żalem rozłączaliśmy się z naszym druhem i przyjacielem, który, acz przy rygorze i przykrościach, ze służby wypływających, umiał wierność i gorliwość łączyć ze sprawiedliwością. Nawet i u ludu, z łona którego wyszedł, jako łącznik z dworem umiał pozyskać życzliwość chłopa, któremu nie jedno chore bydełko uratował. My zaś żegnając go ze łzą w oku, życzymy mu takiego powodzenia, sympatji i uznania na nowej siedzibie, jakie go tu otaczały.

Rudolf Stasiewicz i *Paweł Podbielski*
ze skarbu.

Jan Piórko, wójt.

Poradnik dla czytelń.

Kuba Gąsior, opowiadanie prawdziwe przez Adolfa Dygasińskiego. Warszawa. Nakładem redakcji „Głosu" 1889. Cena 15 kopiejek.

Pan Adolf Dygasiński, znakomity znawca życia ludu, zajmujący się sprawami chłopa polskiego, wydał pod powyższym tytułem niewielką, ale bardzo a

bardzo zajmującą książeczkę. Polecamy ją gorąco czytelnikom „Przyjaciela Ludu“; oprócz bowiem bardzo pięknego sposobu przedstawienia rzeczy, który każdemu podobać się będzie, można się niejednego z tej książeczki nauczyć. Wykazuje w niej pan Dygasiński, jak to mianowicie z jednej strony źle nabyty majątek nie przynosi nic dobrego, lecz owszem gotuje nieuczciwemu a skąpemu zdobywcy straszny koniec, z drugiej zaś strony przekonać się można na owym przykładzie, że oddawanie się złym narowom, jak n. p. pijaństwu zabija w człowieku wszelkie szlachetniejsze popędy i uczucia i prowadzi niejednokrotnie do zbrodni.

Dla zachęcenia czytelników do zakupienia tej książeczki, podajemy w krótkich słowach jej treść. Kuba Gąsior był najbogatszym gospodarzem we wsi Chrobaczowie. O zdobyciu przezeń majątku różnie ludzie bąkali, najpewniejszą zaś rzeczą było to, że przywłaszczył sobie skarb brata, jaki tenże przyniósł sobie z wojny. Był zaś Gąsior człowiekiem nader skąpym, a największą roskosz widział w tem, jeśli mógł przeliczać pieniądze, których miał w srebrze całe worki. Wyganiał wtedy pod lada badź pozorem najmłodszą córkę, Marynię, z chałupy, sam zaś zabierał się pod jej nieobecność do liczenia swych skarbów. Napróżno wzywała go stara żona jego, Kaśka, aby się upamiętał i swojemu skąpstwu koniec położył; napróżno narzekała, że nieuczciwie zdobyty grosz i jej cięży na sumieniu, i że ulżyć sobie pragnie choćby w ten sposób, że wyspowiada się przed księdzem i będzie suszyć piątki; Kuba Gąsior odpowiadał jej zawsze w ten sposób: Susz i módl się, ile sobie chcesz, ale zdradzać tajemnicy choćby na spowiedzi tobie nie wolno, na wierność przysięgałaś przed ołtarzem, lecz nie na zdradę“, — i broił swoje. Był zaś tak skąpym, że nie chciał złamanego grosza dać nawet starszym dwom córkom, które powychodziły za Maślocha i Siarę i wskutek złego nałogu pijaństwa, jaki obudwóch mężów opanował, wielką cierpiały biedę. Przytem obie niedomagały, zwłaszcza zaś żona Siary, nigdy prawie nie opuszczała łóżka, taka była chora. Leczył ją niejaki Krzywczyk, wróż i golibroda wiejski, który naturalnie na żadnych dobrych lekach się nie znał, ale spekulując na głupotę ludzką, używał środków takich, jak zażegnywanie itd. Przytem był z niego człowiek niedobry, który dla kieliszka wódki gotów był do wszystkiego. Pytał się też Siary, czy jego żonę ma tak leczyć, ażeby poszła na tamten świat, lub czy ją ma jeszcze zachować przy życiu. Siarze szło o to, ażeby żona przeżyła ojca, Kubę Gąsiora, spodziewał się bowiem po jego śmierci spadku, który by go ominął, w razie gdyby Siarzyna umarła wcześniej. Z tego względu rad był nawet, żeby żona coprędzej wyzdrowiała, tak mu chodziło — nie o nią, tylko o pieniądze. Ale żona coraz to była słabszą. Gryzł się więc Siara i przemyśliwał nad środkami, jakby ogołocić Kubę Gąsiora z majątku. Pomógł mu w tem żydek Szmul, karczmarz, u którego Siara całe przepędzał dnie, pijąc wódkę. Szmul ten podsunął Siarze myśl zamordowania starego Gąsiora. Siara też spiknął się ze szwagrem Maślochem i obaj postanowili zgładzić pana ojca. Wybrali więc stosowną chwilę po temu, gdy żona starego udała się na kilka dni na odpust do jednej z dalszych wsi, do Zieleniec, aby tam uprosić Matkę Boską o zdrowie dla córki i upamiętanie dla męża. Pozostała jeszcze w domu Marysia, najmłodsza córka. Szło więc o to, ażeby jakoś wywołać ją na naznaczoną noc z chałupy, spoili zatem dobrego chłopca, sołtysowego syna, Jaśka Włozika, który się miał ku

Marysi, i namówili go, aby Marysię namówił do wieczornego spotkania się z nim w sadzie sołtysowym. Tak się też stało. Marysia, gdy Gąsior usnął, poszła z Jaśkiem. Maśloch trzymał przed domem wartę, Siara zaś wszedł cichaczem do chałupy i zabił siekierą Kubę. Myśleli, że ich zbrodnia się nie wykryje. Atoli na podwórzu Gąsiora spał zagrzebany w słomie niejaki Palimąka, powsinoga żydowski, ale zresztą człowiek dobry, który to wszystko słyszał. Narobił więc hałasu, gmina się zleciała i nim Siara z Maślochem zdołali zbiegnąć, przytrzymała zbrodniarzy, aby ich nazajutrz odstawić w ręce sprawiedliwości.

Doktor Stach.

(Powiastka).

(Dokończenie).

V.

Ubiegł cały rok. Stach uczył się pilnie. został pierwszym uczniem i przy końcu roku z nagrodą poszedł do wyższej klasy.

Toż to była radość pana Błażeja i gromady, gdy w lipcu Stach powrócił do Wólki na wakacje w mundurze i z nagrodą! Szczycili się wszyscy z takiego gromadzkiego ucznia. A chłopiec o mało nie oszalał z radości, dostawszy się znów do swej rodzinnej wioski! Tegoż dnia obleciał wszystkie kąty, do wszystkich chat zajrzał, wszystkie psy, konie i krowy przywitał.

Na drugi dzień, nie mówiąc nikomu ani słowa, raniutko wstał, odział swe stare chłopskie ubranie, wziął grabie z komory i poszedł na łąkę pana Błażeja, gdzie właśnie siano zbierali. A gdy inni zaczęli śmiać się, że pewno w mieście grabić zapomniał, Stach odrzekł, coby to on za chłop był, żeby chłopskiej roboty zapomiał, — i pokazał, że i grabić, i wiązać, i deptać na stogu potrafi.

Tak powtarzało się przez lat kilka, z tą różnicą, że już w trzecim roku Stach napisał do pana Błażeja, żeby podziękował gromadzie za jej pomoc, bo on teraz będąc w czwartej klasie, dostał robotę, uczy młodsze dzieci i za to ma stół i stancją! Prosi jeno o parę butów i płótna trochę.

Potem już i na wakacje przestał Stach przyjeżdżać do domu. Zaczął na dobre sam na siebie pracować, uczył innych i tyle zarabiał, że od gromady nic brać nie potrzebował.

Nareszcie po kilku latach Stach skończył chlubnie szkoły, zajrzał raz jeszcze do Wólki podziękować swoim dobrodziejom i pojechał dalej w szeroki świat, do Warszawy, do najwyższej szkoły, gdzie miał uczyć się na doktora.

VI.

Nie będę opowiadał przygód Stacha podczas pięciu lat jego nauki na doktora: tyle powiem, że tu, jak zawsze, swą pracą i zacnością zyskał on sobie u wszystkich przyjaźń i szacunek.

Nakoniec Stach został doktorem. Napisał do Wólki list o tem, dodając, że za uzbierane pieniądze wyjeżdża het za granicę jeszcze się trochę pouczyć, żegna wszystkich i jeszcze raz dziękuje im, że jemu, biednemu sierocie, dopomogli wykierować się na pożytecznego człowieka.

Przez dwa lata nie było o nim wieści. Zaprzepaścił się, czy co? myśleli ludzie; a może zepsuł się; może zapomniał o swoich? Jeden tylko pan Błażej na wszystkie gadaniny brwi marszczył i czekał cierpliwie...

Aż pewnego razu przyniósł ktoś do wsi wiadomość, że w sąsiedniem miasteczku jakiś pan zamówił cały domek na mieszkanie dla doktora, który z żoną ma wkrótce zjechać z Warszawy. Cieszyli się ludziska bardzo, bo to o pięć mil dokoła doktora nie było, a felczer w miasteczku nie miał wzięcia u nikogo. Przyjazd doktora był więc prawdziwem szczęściem dla całej okolicy!

Błażejowi na tę wiadomość serce silnie zabiło, sam jednak nie wiedział czemu. Spodziewał się jeno czegoś, czegoś dobrego!

W parę miesięcy potem staruszek siedział na ławie przed gankiem, gdy drogą od miasteczka zajechała bryka, wyskoczył z niej jakiś pan młody, wysoki i szybko biegł drogą

ku szkółce. Przyłożył starzec rękę do oczu, ile że już dobrze nie widział, — i jakież było zdziwienie jego i jaka radość zarazem, gdy w przybyłym, pomimo zmiany, poznał swego ukochanego, oczekiwanego Stacha! Rzucili się sobie w objęcia, łzom i uściskom końca nie było. Aż stary spostrzegł, że na bryczce została jakaś pani. „To żona moja, rzekł Stach, pozwól ojcze, to przyprowadzę ją do Ciebie«. — „A prowadź-że, prowadź czemprędzej!“...

Pobiegł Stach i wnet powrócił, prowadząc pod rękę swą żonę: była to śliczna brunetka, jak topola wysmukła. a z oczami takiemi, że zda się sama dobroć z nich tryskała. Nowe zaczęły się uściski, staruszek aż głowę tracił z radości.

Gdy się już tak nacieszyli sobą i nagadali dowoli o wszystkiem, co zaszło przez tyle lat w życiu każdego, Stach prosił pana Błażeja, żeby nie mówiąc nic, sprosił do siebie całą gromadkę Karpowską, bo chciałby się z nimi przywitać. Wieczorem zaczęli się schodzić gospodarze zaciekawieni co to takiego będzie — dwie izby szkolne jeszcze wszystkich pomieścić nie mogły. Gdy już wszyscy byli zgromadzeni, do izby wszedł Stach z Błażejem i z żoną... Stanął pośrodku, a wyciągając ręce do najbliższego ze starców:

„Nie poznajecie mnie, Ojcowie! —zawołał — A toż ja jestem ów Stach sierota, któregoście kiedyś przygarnęli gromadą do serca, któremuście pomoc dali i na naukę posłali do miasta“...

Dopieroż zaczęli się ludzie cisnąć do Stacha, witając go serdecznie i wypytując, co z nim słychać było tyle czasu.

Stach wszystkich wzajemnie witał, odpowiadał na zapytania, a w końcu tak się odezwał: Ojcowie, nie po to tylko ja was tutaj zaprosiłem, żeby przywitać się z wami: mam ja do załatwienia z wami jedną ważną sprawę. Lat temu piętnaście, gdyście mnie, dzieciaka, w świat wyprawiali, błogosławiliście na drogę i upominali, żebym gromadzie wstydu nie zrobił, żebym kiedyś gromadzie dobrem za dobre się odwdzięczył... Słowa te zapadły mi w duszę — nieraz w najcięższych chwilach życia podtrzymywały mnie one w pracy, przypominając, że jestem dłużnikiem gromady. Otóż dziś jestem już w możności dług ten serdeczny wypłacić — a wypłacić go nie inaczej, jeno szczerą, sumienną pracą dla dobra gromady. — Wiedziałem, że w całej okolicy naszej nie masz doktora; postanowiłem więc sobie osiąść tutaj w pośród was, w sąsiedniem miasteczku... O jedno was tylko proszę, ojcowie i bracia! niech dla innych będę ja panem doktorem — dla was chcę pozostać na zawsze Stachem, owym Stachem sierotą, któregoście tak poczciwie przygarnęli!“

Podobały się gromadzie te serdeczne słowa, jeszcze raz uściskali doktora Stacha, i dopieroż zaczęły się na dobre wypytywania i gawędy, które do późna w noc się przeciągnęły, pozostawiając po sobie na długo wspomnienie we wsi.

Nazajutrz Stach z żoną odjechał z miasteczka, w tydzień potem przysłał furmankę i zabrał do swego domu pana Błażeja, bo też czas, wielki czas było staruszkowi wypocząć po trudach.

* * *

I jakżeż myślicie, czy dotrzymał słowa ów chłopski sierota, ów wychowanek gromadzki?... Pytajcie ludzi w tamtych stronach: i chłopów i szlachtę, i mieszczan i żydów — popytajcie karpowską gromadę. W całej okolicy tyle jeno słychać co o doktorze Stachu; dniem i nocą na nogach, gdzie niedola kogo dotknie, gdzie radę dobrą i promyk światła nieść trzeba, wszędzie zjawia się uczynna dłoń doktora Stacha..,

Ileż to razy noc ciemna, zawierucha w powietrzu, a drogą na koniu sadzi jakiś człowiek burką okryty, w baraniej czapce na głowie: to doktor Stach, pędzący z pomocą choremu biedakowi, który nie ma za co przysłać po niego furmanki...

Wieść o zacnym chłopie doktorze rozeszła się wnet po okolicy; o kilka mil chorzy zjeżdżali się do niego, więc też zamożność jego rosła z dniem każdym. Niema co mówić, że od swej gromady i grosza jednego za leczenie Stach nigdy nie wziął.

Pisali do niego znajomi, żeby porzucił wieś i wracał do Warszawy, że z taką nauką, jak jego, może się w mieście wielkiego majątku dorobić.

„Co mi tam, mawiał na to Stach: chłopska rola mnie w dzieciństwie karmiła, chłopskie serca przytuliły w sieroctwie, ręce chłopskie na człowieka mnie wykierowały– niechże i ja dla chłopów zrobię, co będę mógł. A zresztą, potrzebniejszy ja na wsi, niż w mieście, bu tu i nędzy i ciemnoty więcej“.

KRONIKA.

Pomnik dla Jana Kochanowskiego, sławnego poety polskiego, który żył przed trzystu laty, został uroczyście poświęcony w Poznaniu zeszłego miesiąca. Kochanowski zostawił po sobie wiele pięknych dzieł, największą jednak sławę zyskał przez napisanie „Trenów“ czyli smutnych żalów po śmierci ukochanej córki, Urszulki, i przetłumaczenie psalmów króla Dawida. Niektóre z tych psalmów, jak naprzykład: „Kto się w opiekę poda panu swemu“, „Bóg naszą ucieczką i mocą“ i wiele innych, śpiewacie zapewne nieraz, mili czytelnicy, w niedziele i dni świąteczne.

Zarząd Kółek rolniczych zwrócił się niedawno z prośbą do pana Hermana Czecza, posła do Rady państwa, aby poruszył w Wiedniu sprawę trafik i postarał się, żeby do trzymania tych trafik mieli prawo nietylko żydzi, lecz i włościanie i Kółka rolnicze.

Gminy Opoki, Werchobuż i Huta Werchobuzka przydzielone zostaną od 1. stycznia przyszłego roku de okręgu sądu powiatowego w Złoczowie.

Pół wsi w areszcie. Mieszkańcy wsi Popowce w powiecie brodzkim wiedli dłuższy czas spór z dziedzicem swoim o pastwisko. Gdy w tym roku dziedzic zabronił chłopom kosić siano na spornym gruncie, a chłopi mimo to gwałtem na pastwisko wtargnęli i skosili, wysłał starosta brodzki hr. Rusocki 40 żandarmów, którzy prawie połowę mieszkańców wsi uwięzili i odstawili do sądu w Złoczowie.

Rada powiatowa dolińska wykupiła już wszystkich ze swego powiatu dłużników banku włościańskiego, będącego w likwidacji. Pełnomocnicy Rady pp. Witosławski, marszałek, ks. Łopatyński, jego zastępca, ks. Nabyłowiec i notarjusz Minkusiewicz, podpisali umowę z komitetem likwidacyjnym banku.

Samowola. Z Jaryczowa donoszą nam, iż na łąkę skarbową Dziędziłowską 18. bm. napędził bydło swoje Chaskel Donner, właściciel Chremowa, z 20 towarzyszami uzbrojonymi w koły i pałki i zniszczył trawę. Zaprzysięgły gajowy, Fedko Guła, Wasyl Bera i Jan Tomaszewski, gospodarze wiejscy, poszli, aby wypędzić ze szkody bydło z łąki. Chaskel Donner napadł tych trzech ludzi, bijąc ich po głowie kołami, wskutek czego ciężkie odnieśli rany. Polowego rozbroili, połamali mu strzelbę i zabrali szczątki jej ze sobą. Przeciw Chasklowi Donnerowi wytoczono proces kryminalny.

Szarańcza w Budapeszcie. Dnia 9. lipca stolica Węgier zasypana została ogromnemi masami wędrownej szarańczy, która zapełniła ulice i wciskała się przez drzwi i okna do mieszkań ludzkich.

Szkoła akuszerek wiejskich. Przy szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie znajduje się szkoła akuszerek, w której uczą się same tylko włościanki. Cała nauka roczna dzieli się na trzy kursa (czyli jakby klasy); na każdym z nich trzeba się uczyć przez cztery miesiące. Pierwszy kurs zaczyna się 1. października, a kończy się 31. stycznia; drugi kurs od 1. lutego do 31. maja, a trzeci kurs trwa od 1. czerwca do 30. września. Na każdym kursie zarząd szpitala utrzymuje swoim kosztem sześć włościanek; inne uczą się na koszt swojej gminy, albo też na swój własny. Uczenice powinny mieć nie mniej jak 25 lat wieku, a nie więcej jak 50; muszą być przytem zdrowe, mieć dobry wzrok i słuch, a szczególniej powinny poczciwie i moralnie żyć. Włościanki, które uczyły się na koszt szpitala, gdy całkiem ukończą kursa, mają obowiązek pracować w swoim zawodzie najmniej przez trzy lata w tej wsi, gdzie mieszkają stale. Rozumie się, że gdy gmina na swój koszt wysyła włościankę na naukę, to tak samo ma prawo od niej wymagać, aby, wyuczywszy się akuszerji, mieszkała w gminie swojej. Te zaś włościanki, co na swój własny koszt się uczą, mogą potem zamieszkać, gdzie im się podoba, a wszędzie mają zapewniony kawałek chleba.

Burze. W ostatnim numerze wspomnieliśmy o słynnym uczonym Rudolfie Falbie, który przepowiedział na środek i koniec lipca burze, orkany i trzęsienia ziemi. Przepowiednia ta sprawdziła się zupełnie i do dzisiaj jeszcze nadchodzą wiadomości o strasznych burzach na stałym lądzie. Przed kilku dniami przyszła wiadomość z Węgier o szalonych bu-

rzach, jakie tam panowały zeszłego tygodnia. Orkan zniszczył pola, łąki i lasy. Niezebrane jeszcze zboża stratowane jakby stada wołów po nich przebiegały. Burza nie uszanowała także domów mieszkalnych i kościołów. W Mohaczu zniszczył orkan wieżyce kościoła grecko-katolickiego zupełnie. Nad Dunajem zniósł wicher z powierzchni ziemi 21 młynów wiatrakowych. W czasie tym przeprawiała się koło Mohacza przez Dunaj na tratwie gromada ludzi. Wicher przewrócił tratwę, a wielu ludzi, pomiędzy tymi kobiety i dzieci — potonęło. Z innych okolic Węgier dochodzą również straszne wiadomości. Gościńce popsute, mosty pozrywane, domy poprzewracane. Zewsząd donoszą też o stratach w ludziach i bydle.

Szalona burza panowała też 14. zm. w okolicy Sokalskiej. Burza ciągnąc od wsi Steniatyna, gdzie w tamtejszym lesie stare dęby i sosny połamała, grubsze zaś z korzeniami powyważała, przeniosła się na wieś „Baranie Peretoki“ i tutaj poniszczyła plony, powyrywała drzewa owocowe w sadach, a w lasach peretockich poczyniła niezliczone szkody. Równocześnie we wsiach Szarpańce i Łuczyce grad wybił zboże do szczętu.

Pomiędzy nieszczęśliwymi, których większą część mienia burza ta zniszczyła, znajdują się dwie rodziny, które w cztery dni później dotknięte zostały nadto klęską pożaru, wznieconą skutkiem pozostawienia dzieci bez dozoru. Gdyby nie szybki ratunek pod kierownictwem wójta Iwańca, kowala Waniurskiego i Tomczaka, mogła przy panującym wietrze wieś cała spłonąć.

Pożar. W Zagwoździu, powiatu stanisławowskiego spłonęło 3. bm. 28 zagród włościańskich. Przyczyny pożaru nie wiadome.

Marszałkiem Sejmu galicyjskiego został ponownie mianowany hr. Jan Tarnowski, a jego zastępcą metropolita ks. Sembratowicz. Zdaje się, że Sejm galicyjski nie zostanie prędzej zwołany, jak na początek października.

Prezydentem krajowym na *Szląsku austrjackim* został mianowany dr. Karol Jäger, który karjerę swoją urzędową rozpoczął za rządów centralistycznych. P. Jäger jest urzędnikiem z krwi i kości i będzie rządowi hr. Taaffego zapewne bardzo na rękę. Tak przynajmniej utrzymują wszystkie prawie dzienniki.

Co tam słychać w świecie?

Moskale nie przestają ciągle prześladować unitów. Oto naprzykład wrócił do rodzinnej swojej wioski Kiślakowej gospodarz, Szymon Jarończuk, który uciekł z Rosji z chersońskiej gubernji, dokąd był zesłany za wierność dla swej wiary. Szpiedzy moskiewscy donieśli natychmiast strażnikom, że Jarończuk wrócił. Strażnicy kilka razy napadali na jego dom w nocy, ale Jarończuk zawsze potrafił od nich uciec. Aż oto w tym roku strażnik spostrzegł go wychodzącego z lasu, strzelił do niego jak do szkodliwego zwierza i ranił go, lecz nieszczęśliwy człowiek i teraz jeszcze uciekł. Wkrótce potem strażnik zobaczył go na podwórzu i chciał związać. Na pomoc przybiegła żona unity z sąsiadką i obroniły go od napaści. Rozwścieklony sługa carski poprzecinał żonie ręce do kości, zbił ją okrutnie i związawszy obie kobiety, odwiózł je do więzienia w mieście Radzyniu. Gdy córka poszła do urzędu skarżyć się, że tak okrutnie obchodzono się z jej matką, odpowiedziano jej tam, że strażak miał prawo ją nawet zabić, bo jest unitką. Od tego czasu w tak nieludzki sposób obchodzono się z rodziną Jarończuka, że nieszczęśliwy unita, nie mogąc dłużej na to patrzeć, dobrowolnie wrócił na miejsce wygnania i rozstał się na całe życie zapewne z ojczystym zagonem, chatą ojca i wszystkiem, co kochał.

Do Serbji zaczyna przyjeżdżać bardzo wielu oficerów moskiewskich. Niepodoba się zapewnie Moskwie wolność, dla której pobratymcy nasi, Serbowie, tyle krwi wyleli i chcieliby przynajmniej choć w armji ich rządzić jak szara gęś.

Rząd niemiecki wydał niedawno zakaz przywożenia w granice swojego państwa nierogacizny z Austrji, Węgier, Rumunji i

Rosji. Zakaz ten upozorował rząd niemiecki obawą zawleczenia przez nierogaciznę z tych krajów chorób zaraźliwych pyskowych i racicowych. Rzeczywista przyczyna jednak leży gdzieindziej; mianowicie rząd niemiecki widzi bardzo dobrze, iż wskutek silnego dotychczasowego dowozu świń z Austrji, Węgier i Rosji, handel niemiecki nierogacizną upadał, chcąc go zatem podnieść na nowo, zamknął się od państw tych granicą, tak samo jak przedtem już nałożył ogromne cło na wszystkie towary, nadchodzące z zagranicy. Niemcy mają przytem nadzieję, że zachodnie państwa, jak Belgja, Holandja i Francja otworzą swe granice dla nierogacizny niemieckiej, w co jednak wątpić należy, jaką bowiem miarą mierzysz, taką i tobie odmierzonem zostanie, jak mówi przysłowie. Nie chcą Niemcy świń autrjackich i rosyjskich, nie zechcą i Francuzi niemieckich.

Do Niemiec ma przybyć 20 b. m. w odwiedziny cesarz austrjacki, Franciszek Józef. Pomimo, że cesarz austrjacki wypraszał się od solennego przyjęcia, z powodu żałoby po swym synie, arcyks. Rudolfie, to przecież w Berlinie na przyjęcie sprzymierzeńca państwa robią się wielkie przygotowania. Najpierw ma odwiedzić cesarz austrjacki króla saskiego w Dreźnie, następnie zaś pojedzie do Berlina, gdzie ma zabawić dni kilka.

We Włoszech rozwiązano pewne stowarzyszenie. W Rzymie zaczął rządowi wyrastać nad głowę tak zwany „Komitet dla oswobodzenia Tryestu i Trydentu“, dążący do oderwania tych włoskich terrytorjów od Austrji. Oczywiście głośne odzywanie się i działanie tego komitetu nie mogło być na rękę rządowi włoskiemu, ze względu na sprzymierzoną z Włochami Austrją. Minister Crispi zarządził więc rozwiązanie rzeczonego komitetu. Stronnictwo opozycyjne w parlamencie zgłosiło atoli w tej sprawie inperpelacją do rządu.

Dzienniki francuskie ogłaszają akt oskarżenia przeciw generałowi Bulanżerowi. Akt ten wydany został przez trybunał senatu i oskarża Bulanżera o przekupywanie urzędników, o nieuczciwe przywłaszczanie sobie pieniędzy, o podburzanie armji i wiele innych rzeczy. Bulanżer uciekł z Francji, przebywał w stolicy Belgji, Brukseli, a po wydaleniu stamtąd, udał się do Anglji.

Wybory do parlamentu francuskiego, które mają rozstrzygnąć o losie Rzeczypospolitej, odbędą się z końcem września. Aby zapobiedz wyborowi Bulanżera na wielu miejscach razem, uchwalił, jak wiadomo, parlament francuski, przed swojem rozejściem się, ustawę, zakazującą wybór jednego i tego samego deputowanego w kilku okręgach. Każdy ubiegający się o mandat poselski, musi swoją kandydaturę w należnym czasie zgłosić, zgłoszenie kandydatury na kilku miejscach razem jest nieważne i podlega karze. Ustawa ta atoli chyba nie ocali Rzeczypospolitej, jeżeli życzyć jej sobie nie będzie lud francuski. Całego narodu nie można przecież karać, jeżeli mimo ustawy odda głosy swoje Bulanżerowi.. Acz wybory te zostaną uznane za nieważne, będą one wyrokiem dla obecnego rządu, bo przeciw wyraźnej woli ludu nie można w Rzeczypospolitej rządzić.

Z powodu tajnego szpicla niemieckiego Wolgemuta, który w wolnej Szwajcarji podżegał Niemców tam mieszkających do rozruchów i buntów i za to przez władze szwajcarskie został wydalony, wszczęły się między Niemcami a Szwajcarją przykre nieporozumienia. Niemcy żądają ograniczenia wolności szwajcarskiej, przemawiają za tem, by Szwajcarji nie wolno było przyjmować u siebie tych ludzi, którzy za dążności wolnościowe byli w innych krajach prześladowani i mu-

sieli uciekać lub zostali wydaleni. Szwajcarja mężnie broni swego prawa, zabezpieczonego jej traktatami i równocześnie wydaje wielkie pieniądze na swe uzbrojenie, mianowicie uchwaliła 15 miljonów na nowe karabiny i 600.000 franków na obwarowanie koleji, idącej przekopem po pod górę św. Gotthardа. Pisma niemieckie przemawiają już teraz za rozdziałem Szwajcarji między Niemcy, Włochy i Francję, zdaje się jednak, że do tego nie przyjdzie, bo i cesarz niemiecki jest temu przeciwny i Szwajcarowie potrafią się bronić w swych górach, tembardziej, że u nich każdy dorosły obywatel jest zarazem żołnierzem.

Turcja narobiła w ostatnim czasie bardzo wiele hałasu. W dziennikach pojawiły się pogłoski, że Turcję wciągnięto do trójcesarskiego przymierza, tak samo, jak to stało się świeżo z Włochami. Czy tak jest w istocie, trudno dociec, gdyż konszachty polityczne państw interesowanych grubą są osłonięte tajemnicą a nie było jeszcze sposobności choćby najdrobniejszej dowiedzenia się prawdy. Okazja taka jednak nie daje na siebie długo czekać i prawda wychodzi sama przez się. Turcja teraz jest zajęta sprawą domową, albowiem na wyspie *Krecie* wybuchło powstanie. Kreteńczycy nieraz już zrywali się przeciwko rządowi tureckiemu, przez który ujarzmieni zostali, ale zawsze bezskutecznie. Powstanie przybrało w ostatnich dniach szerokie rozmiary. Rząd turecki wysłał na wyspę kilka okrętów wojennych dla stłumienia wybuchu. Mieszkańcy tamtejsi żądają od Turków łagodnych rządów i zmniejszenia podatków. Jeżeli na to rząd turecki nie przystanie, Kreteńczycy gotowi są prosić Grecję o objęcie nad niemi panowania, skutkiem czego mogłaby w następstwach wyniknąć wojna pomiędzy Turcją a Grecją.

Korespondencja Redakcji.

P. Adamowi M. w S. Za życzenie, dodające otuchy w pracy, przesyłamy serdeczne: Bóg zapłać!

P. Józefowi Z. w Piersz. Sami mówicie, Szanowny gospodarzu, że „Przyjaciel“ jest szczerym przyjacielem, a więc bądźcie spokojni, nie opuści on was i co dwa tygodnie regularnie zapuka do waszej chaty, którą bardzo kocha.

P. Jan Stad. w Jakubk. Numera wysłaliśmy. Za wyrazy przyjaźni dziękujemy stokrotnie. Starać się będziemy zawsze zasługiwać na waszą życzliwość i zaufanie, bo ono nietylko sprawia nam radość, ale i budzi w nas dumę.

P. Alojzy Z. w Tow. Pierwsze numera posłaliśmy bezpłatnie. Prenumeratę liczyć będziemy od 1. Czerwca.

Prenumeratorom naszym, którzyby nie otrzymali reklamowanych numerów „Przyjaciela Ludu“, ponownie na żądanie wyszlemy. Reklamacje otrzymujemy często w listach z markami, a tak nam żal ciężką pracą zdobytych waszych centów, że powtarzamy raz jeszcze, iż reklamację trzeba napisać na kawałku zwykłego papieru, potem złożyć ten papier, napisać na jednej stronie: „Reklamacja“, a pod spodem adres i oddać na pocztę bez marki.

Zagadka.

Kłębuszek leży, toczy się, bieży, a na nim zamiast nici — igły, lecz nie do szycia.

Zgadnijcie, mili czytelnicy, co to takiego?

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.** Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 23.

Nr. 10. We Lwowie, dnia 15. Sierpnia 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

Zadanie posłów-włościan.

Dzięki rozbudzeniu się poczucia obywatelskiego u masy ludu wynik tegorocznych wyborów o tyle trzeba uważać za pomyślny, o ile w niektórych okręgach wyborcy włościańscy i małych miasteczek pomimo nadużyć wyborczych z najrozmaitszych stron wysłali do Sejmu krajowego mężów swego zaufania, którzy mają bronić sprawy ludu przeciw zakusom ludzi nieuczciwych, samolubnych. Nie powinniśmy jednak teraz założyć rąk i zadowolnić się li tylko tem, że w Sejmie będzie się miało swoich ludzi. Trzeba zawcześnie obmyśleć plan działania w Sejmie, jakoteż przyszłe wybory. A najpierw co do planu działania w Sejmie. Otóż posłowie włościańscy, przyzwyczajeni od dzieciństwa do znęcania się nad nimi ze strony możnych, a niesumiennych ludzi, do wszelkich przykrości ze strony takich urzędników, którzy wbrew ustawie i woli naczelnych władz nie zawsze przestrzegają ustawy, powinni pamiętać, że na mocy konstytucji są nietykalnymi, t. j. że nie można im samowolnie robić procesów, ani ich więzić, ani u nich robić rewizji bez zezwolenia Sejmu. Dalej powinni oni pamiętać — chociaż może o tem dobrze wiedzą — że w Sejmie mogą bez ogródek wszystko otwarcie wypowiedzieć, co im i ich wyborcom dolega. Mogą podnosić publicznie w Sejmie nadużycia dygnitarzy powiatowych, aby cały świat się dowiedział, jak kto z ludem sobie postępuje. A że nie wszędzie u nas dzieje się dobrze, to rzecz wiadoma. Szczególnie sprawy wyborcze powinni nasi włościanie posłowie w Sejmie dokładnie omówić. Niech tam w Sejmie rozpowiedzą, jak starano się najpierw ich własnemu wyborowi przeszkodzić, jak sobie postępowały wydziały powiatowe i niektórzy urzędnicy starostwa. Powinni posłowie włościanie w prostych a dobitnych słowach opowiedzieć, jak jednych wyborców straszono, a drugich kupowano wódką, kiełbasą i pieniędzmi. Nie dosyć na tem. Posłowie włościanie powinni pamiętać, że nie tylko zastępują własny swój okręg wyborczy, ale że są zastępcami całego włościaństwa naszego kraju. Dla tego powinnością posłów włościan będzie w Sejmie otwarcie ująć się za krzywdy swych współbraci

w innych powiatach. Radzilibyśmy zatem aby włościanie całego kraju z całą ufnością udawali się ze swemi krzywdami wprost do swych braci włościan, będących posłami. Także i protesty wyborcze i petycje powinne być nadsyłane na ręce posłów włościan. Tylko przez nich cały świat, rząd i cesarz mogą się dowiedzieć całej prawdy, w jaki to sposób hr. Stadnicki, hr. Wodzicki, hr. Lasocki i inni stali się posłami.

Oprócz spraw wyborczych jeszcze inne zadania czekają naszych posłów włościan, jeżeli chcą szczerze i sumiennie służyć sprawie ludowej. I tak ustawa drogowa, z której lud wiejski jest niezadowolony, powinna być zmieniona, także sprawa propinacyjna wymaga głębszego zbadania, bo wiadoma rzecz, że lud teraz mniej pije, a mimo to kraj ma płacić właścicielom propinacji 62 miljonów złr. Lud nasz od wielu lat domaga się taniej soli dla bydła. Koło polskie, w którem zasiada tylko jeden włościanin, szanowny gospodarz Orzechowski, nic w tej sprawie nie chce robić, tak samo nic w tej sprawie nie zrobił dawny Sejm. Gdy teraz posłowie włościanie przedstawią rządowi życzenie ludu, to ten z pewnością te życzenia uwzględni.

Moglibyśmy jeszcze więcej takich spraw ważnych dla ludu wyliczyć, co z czasem uczynimy.

W ogóle celem obmyślenia całego planu działania powinniby posłowie włościanie, a do tych należy także poseł do Rady państwa p. Jan Orzechowski, który bardzo dobrze już jest obznajomiony ze sprawami parlamentarnemi i sprawy włościan doskonale zna, zawczasu się w pewnem miejscu zgromadzić, naradzić się o wszystkiem, aby pokazać »starszej braci», szlachcie, że »chłopi« sami o sobie umieją radzić, że żądają tego tylko, co jest możliwe i słuszne. Na tę naradę powinni zaprosić swoich braci włościan choć nie posłów, do których lud ma zaufanie, a także prawdziwych przyjaciół ludu, jakimi są: poseł do Rady państwa, dr. Karol Lewakowski i brat jego August Lewakowski, hrabia Hompesch, redaktor »Kurjera Lwowskiego«, p. Henryk Rewakowicz, a następnie niech zaproszą tych, których im wyżej wymienieni panowie wskażą.

Józef ze Spiża.

Pamiętna rocznica.

Dnia 31. lipca upłynęło właśnie 42 lat od chwili, kiedy na hyclowskiej górze koło Lwowa na szubienicy skończyli życie dwaj ludzie, których wtenczas już, a tembardziej później rodacy uważali i dotychczas uważają za męczenników sprawy narodowej. Ci ludzie, byli to Teofil Wiśniowski i Józef Kapuściński.

Czterdzieście dwa lat — toż to nie tak dawne dzieje! Dużo jeszcze ludzi żyje, którzy znać mogli tych mężów osobiście, widywać ich, rozmawiać z nimi. A przecież nie tylko pośród ludu wiejskiego, ale i pośród t. zw. inteligencji u nas bardzo mało jest ludzi, którzy dokładnie wiedzą, kim był Teofil Wiśniowski, jak żył, co zrobił i za co umarł. A przecież jest to świętym obowiązkiem każdego człowieka, a szczególnie każdego Polaka, miłującego wolność i sprawiedliwość - - wiedzieć dokładnie o takich, jak on ludziach Osobliwie wy, bracia włościanie, powinniście do-

brze sobie zapamiętać dzieje Wiśniowskiego. Należał on do najgorętszych miłośników ludu wiejskiego w czasie, gdy ten lud jęczał pod jarzmem pańszczyzny. Dla pracy nad uwolnieniem tego ludu z owego haniebnego jarzma Wiśniowski porzucił dom ojczysty, rodzinę, żonę, wyrzekł się wygód, uciech i spokoju, długie lata tułał się za granicą, a potem jak dziki źwierz krył się w kraju ojczystym, przebiegając nieustannie z wioski do wioski, z miasteczka do miasteczka i wszędzie siejąc słowa prawdy, wolności i braterstwa, budząc uśpionych i podnosząc zaczerstwiałe serca do wielkiej myśli o ojczyźnie i wolności. A gdy walka, do której wzywał, nie powiodła się, Wiśniowski ze spokojnem czołem poszedł na szubienicę. Szczególnie dziś, mili bracia włościanie, w chwili, gdy włościaństwo galicyjskie naprawdę zaczyna się budzić do samodzielnego życia obywatelskiego, zaczyna samo o sobie myśleć i samo swych interesów bronić — szczególnie dziś uważamy za rzecz stosowną i potrzebną opowiedzieć wam nieco dokładniej o Teofilu Wiśniowskim.

Teofil Wiśniowski urodził się w Jazłowcu w Galicji wschodniej w r. 1807, kończył nauki gimnazjalne w Stanisławowie, a potem zapisał się we Lwowie na uniwersytet, gdzie ukończył prawo 1829. roku. Wkrótce potem przyłączył się do gromadki tej młodzieży gorącej i szlachetnej, która przemyśliwała nad uwolnieniem ojczyzny i za najpierwszy do tego środek uważała uwolnienie ludu wiejskiego od pańszczyzny. Młodzież ta potworzyła była między sobą tajne towarzystwa, które się rozmaicie nazywały (»Stowarzyszenie ludu polskiego«, »Młoda Sarmacja« i t. p.); zadaniem ich było w części przygotowywać młodzież do walki za wolność, w części zaś przygotowywać lud wiejski do przyjęcia tej wolności i skłaniać szlachtę do myśli o zniesieniu pańszczyzny. W r. 1835 rząd austrjacki przypadkowo dowiedział się o jednem z tych towarzystw i wtenczas to między innymi aresztowano także Teofila Wiśniowskiego wraz z jego starszym bratem Hugonem, ale po roku więzienia dla braku dowodów wypuszczono ich obu. Wiśniowski mimo że był już żonatym i miał nie złą posadę u adwokata, porzucił wszystko i w r. 1838 udał się do Francji, by tam, pośród emigracji polskiej, gdzie wówczas skupiało się całe prawie umysłowe życie narodu, wszystkiemi siłami służyć ukochanej nadewszystko ojczyźnie. Przystąpił do Towarzystwa demokratycznego, którego hasłem było »Wszystko dla ludu i przez lud« i wkrótce pomiędzy członkami tego Towarzystwa tak się odznaczył znajomością stosunków galicyjskich i miłością dla sprawy wolności, że 1841 r. wybrano go do najwyższego wydziału, kierującego sprawami tego towarzystwa, do t. zw. centralizacji. Przyjął on na siebie obowiązek najtrudniejszy i wymagający najwięcej pracy — obowiązek sekretarza, którego rzeczą było prowadzić ciągłe porozumienie z ludźmi szlachetnie a rozumnie myślącymi, a rozsianymi po całej Europie. Ciężki ten obowiązek pełnił Wiśniowski do r. 1844.

W Galicji tymczasem nastąpiły ciężkie czasy. Od r. 1836 stopniowo, ale ciągle wykrywano tu jedno tajne towarzystwo po drugiem, aresztowano jego członków, wyłapywano emisarjuszów czyli wysłańców, którzy przybywali z zagranicy, a wreszcie w r. 1841 wytoczono wszystkim proces. Wówczas to 40 młodych ludzi za-

sądzono na śmierć, łaska cesarza jednak darowała im życie; inni poszli na długoletnie więzienie do Kufsteinu i Spielbergu. Zdawało się, że cała dawniejsza praca przepadła marnie i że Galicja nigdy już nie podniesie się ze stanu odrętwienia. W takim to czasie zjawił się z Polski Kongresowej energiczny i śmiały człowiek, Edward Dembowski, który także porzucił rodzinę, młodą żonę, drobne dzieci i majątek, by służyć sprawie ludu i jego uwolnienia. Przebywszy jakiś czas w Poznaniu, Dembowski przybył do Francji i przedstawił Towarzystwu demokratycznemu, że konieczną rzeczą jest rozpocząć na nowo w Galicji pracę nad uwolnieniem ludu od pańszczyzny. Znalazł też w Teofilu Wiśniowskim gorącego zwolennika tej samej myśli, i obaj ci ludzie postanowili udać się do Galicji, przygotowani na to, że w każdej chwili mogą dostać się do więzienia. Nie wstrzymywała ich jednak żadna obawa o własny los, gdzie wołała ich do pracy gorąca miłość ludu i wolności,

Przybywszy w r. 1844 do Galicji, Wiśniowski i Dembowski zaczęli pod różnemi nazwiskami i w różnych przebraniach przebiegać wsie i miasta. Wszędzie zachodzili: do dworów szlacheckich, do rezydencyj księży, do pokoików studenckich i do chałup wieśniaczych; widywano ich po karczmach, gdzie wieczorem odpoczywali gospodarze, zmęczeni całodzienną pańszczyzną, i po kuźniach gminnych, gdzie wśród stuku młotów i sapania miechów kowalskich toczyły się nieskończone pogawędki o ciężkiej chłopskiej doli i o tem, jakimby sposobem los chłopski poprawić. Może też niejeden z was, starsi bracia włościanie, widywał ich w tym czasie, nie podejrzywając nawet, że w podartych szmatach wędrownego czeladnika, w chałacie żydowskim, lub w wyszarganym uniformie woźnego ma przed sobą apostoła wolności ludowej! Jakimi sposobami, jakiemi sztukami unikali oni przez dwa lata czujności władzy, o tem cuda opowiada w swych pamiętnikach (»Polnische Revolutionen«) ówczesny dyrektor policji lwowskiej, Sacher. Że na całe społeczeństwo galicyjskie działalność obu tych mężów wielkie wywarła wrażenie, tego dowodem jest piękna pieśń o Edwardzie Dembowskim, która się zaczyna następującemi zwrotkami:

„Znacie młodziana, co z jasnym włosem
„Z toporem w ręku, w stroju górala
„Przebiega ścieżki zarosłe wrzosem,
„I nagle stanął, gdzie wzniosła hala,
„I bystrem okiem dokoła śledzi,
„Przyłożył ucho do matki ziemi —
„Poznał krok wojska, pewno się biedzi,
„Aby się w drodze nie spotkał z niemi,
„Bo szybkim krokiem, nie tracąc czasu,
„Przeskoczył parów. i już wśród lasu.

„A gdy skończyli poszukiwania,
„Wtedy ów młodzian wybiega z lasów,
„I wybiegł w górę do pól Krywania
„I ściskał ręce zwinnych juhasów,
„I coś im długo a długo prawi,
„Oni to płaczą, to znów się śmieją,
„Każdy słuchając strzelbą się bawi, —
„A jemu oczy błyszczą nadzieją,
„I coś im mruknął: W dzień zmartwychwstania!
„I znikł w wąwozie bez pożegnania.

„A na Kalwarji z zwieszoną głową
„Starca żebraka?.. Jak gołąb siwy,
„Śpiewa pieśń dawną: „Polska królowo,
„Módl się za Polski lud nieszczęśliwy!“
„A głos staruszka tak miły, święty,
„A głos tak pełen miłości, wiary,
„Że tłum dokoła czuciem przejęty
„Z płaczem powtarza, co śpiewa stary —

„I głos jak fala płynie nad niwy:
„Módl się za Polski lud nieszczęśliwy!“

Kończy się zaś pieśń ta następującemi zwrotkami:

„Znacie Morawca, starca, górala,
„Znacie żebraka, kominiarczyka,
„Węgra, Cygana, Włocha, Moskala,
„Co ledwie przyjdzie, natychmiast znika?
„Co dziś jak flisak do Gdańska płynie,
„Jutro jak handlarz do Węgier zmierza,
„Co dziś w Stambule, jutro w Londynie,
„Dziś u wieśniaka, znów u Papieża,
„Dziś w głębi Litwy, jutro w Poznaniu,
„A wszędzie mówi o zmartwychwstaniu?

„Znacie człowieka, co zaparł siebie,
„Co dla Ojczyzny, braci, wolności
„Przebiegł pół świata o suchym chlebie,
„Wyrzekł się żony, dziatek, miłości?
„Co mu wiatr zesiekł wychudłe lica,
„Chlebem powszednim cierpienia, troski,
„Uściskiem stryczek, grób szubienica?...
„To emisarjusz Edward Dembowski,
„Co za to wszystko w chwili skonania
„Chce tylko słyszeć dzwon zmartwychwstania.

(C. d. n.)

Wzorowe Kółka rolnicze.

W drugim zeszycie „Przewodnika“ dla Kółek, wydawanego przez Zarząd centralny Kółek rolniczych znajdujemy artykuły o ubezpieczaniu od pożaru i gradu, o pobieraniu wyrobów tkackich od spółek krajowych, o lustracjach gospodarstw włościańskich, o książkach dla Kółek itp.

Najbardziej zaś zajmującemi dla każdego prawdziwego miłośnika ludu są sprawozdania pt. „Co się dzieje w pojedyńczych kółkach rolniczych.“ Czytamy tam:

Wiązownica i *Szówsko*, (powiat Jarosław). Obydwie te gminy, należące do klucza Pełkińskiego, własności książąt Jerzych Czartoryskich, zawiązały u siebie „Kółka rolnicze“ zaraz w samych początkach istnienia naszego Towarzystwa. Działalność i cechy tych dwóch „Kółek rolniczych“ nie wiele się różnią. Tak w Wiązownicy, jak i w Szówsku, też same dobre chęci do wspólnej a uczciwej pracy, tak tu, jak tam jednakowy stopień oświaty, jednakowe interesowanie się włościan sprawami dobra własnego i ogólnego dotyczącemi, taż sama szczerość, otwartość, ochoczość, ufność i wiara w lepszą przyszłość.

Karczmy w Wiązownicy i Szówsku, wydzierżawiane moralnym ludziom — Polakom lub Rusinom, wykonywującym obok tego jakieś rzemiosło, nie stają się siedliskiem do podżegania złych namiętności, i źródłem wszelkich występków i nędzy ludu, ale raczej pożądaną gospodą wytchnienia i miejscem przyzwoitej a dozwolonej rozrywki.

Nietrudne też było zadanie zarządu „Kółka rolniczego“ w Wiązownicy i Szówsku, gdzie już w maleńką dziatwę zasady moralności i poczucia obowiązków względem siebie samych i ojczyzny zaszczepiono w szkółkach, zostających pod kierownictwem gorliwych członków „Kółka rolniczego“ pp. Józefa Dąbrowskiego i Bronisława Karasińskiego.

Tak pojmowane i wykonywane obowiązki obywatelskie względem ludu nie mogły pozostać bez dodatniego skutku — i już w roku 1884 spostrzega to lustrator Kółek rolniczych p. Zygmunt Gawarecki, zaznaczając, że tak w Wiązownicy, jak Szówsku włościanie w umysłowym rozwoju i podniesieniu dobrobytu bardzo postąpili.

Ze sprawozdania zarządu miejscowego z r. 1883 i 1884 dowiadujemy się, że „Kółko rolnicze“ w Wiązownicy zajmuje się troskliwie osuszaniem nisko położonych grun-

tów i zalesieniem miejsc piaszczystych, a za radą lustratora, p. Zygmunta Gawareckiego, obsadzają gminne wybrzeże rzeki łoziną, w celu powstrzymania zniszczenia brzegów przez powódź, a oraz dla przysporzenia gminie nowego źródła dochodów.

Zarząd Kółka sprowadza dla swych członków sól, naftę, smarowidło — zakupuje dla wspólnego użytku płużek do ogartywania kartofli, młynek do czyszczenia zboża — przyprowadza las gminny do porządku — uchwala założenie śpichlerza gromadzkiego, na który to cel członkowie Kółka składają po 2 złr. — Na posiedzeniach regularnie co drugą niedzielę po nieszporach się odbywających, omawiane bywają sprawy o ulepszeniu gospodarstw — jak uprawiać rolę pod zasiew, jak produkować więcej i lepszy nawóz — o uprawie buraków, — a uznawszy potrzebę racjonalnego chowu bydła, postanawiają uprawiać więcej jak dotychczas roślin pastewnych. Za ich przykładem i inni mieszkańcy gminy starania około poprawy bydła czyniąc, w dwój i trójnasób większe już z krów osiągają korzyści.

Protokoły z każdego posiedzenia pilnie wpisywane bywają do księgi uchwał, porządnie utrzymywanej.

W r. 1884 udają się członkowie Kółka do Czerc, aby przypatrywać się drenowaniu pól podówczas tamże wykonywanemu przez inżyniera p. Śliżewskiego, który pouczając o korzyściach zakładania drenów, zmienił dotychczasowe przekonanie włościan, jakoby ulepszenia tego rodzaju nie dla nich były; a nauki te im dawane, jakoteż i widok sączenia się wody ze świeżo założonych drenów, lubo ziemia po wierzchu suchą była, zachęcił włościan do naśladownictwa.

Toż w sprawozdaniu na r. 1887 donosi zarząd Kółka, że przeważną część podmokłych gruntów już osuszono, i „Kółko rolnicze“ stwierdziwszy wielkie z tego wynikłe korzyści, nie ustaje w naleganiach i zachęcie, ażeby wspólnemi siłami w całej gminie należyte osuszenie gruntów przeprowadzić. — Obsadzenie odsepisk Sanu, brzegów i wydm łoziną, również pożądane już przynosi owoce, bo z tegoż samego sprawozdania z r. 1887 przekonywamy się, że oprócz zapobieżenia szkodom, wynikającym z wezbranej wody, wyrób koszyków do znacznych dochodzi rozmiarów i wielu rodzinom przysparza dochodu.

Niemniej sprawa ubezpieczeń od ognia i gradu jest przedmiotem pieczołowitości zarządu Kółka.

W roku 1886 członkowie przesyłają zarządowi głównemu prośbę wystosowaną do Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie o utworzenie ajencji w Wiązownicy, a w sprawozdaniu z r. 1888 wykazuje zarząd miejscowy, że nietylko wszyscy członkowie Kółka są ubezpieczeni, ale za ich przykładem i wpływem, także znaczna liczba innych mieszkańców gminy.

„Kółko rolnicze“, a w szczególności członek Kółka pan Podwin, rządca folwarku, gorliwy przyjaciel oświaty i dobrobytu ludu, nie szczędzi, jako znawca chowu drobiu, rad i zachęty do rozszerzenia i ulepszenia hodowli drobiu, — wielkie, okazałe kury Brama, wysiadujące młode trzy razy w roku, kury rasy włoskiej nadzwyczaj nośne, i inne — znaczną intratę w gospodarstwie przynoszą. Zwracamy na to uwagę innych „Kółek rolniczych“, nie wątpiąc, że pan Podwin gatunki tych kur lub jaja zarodne chętnie członkom „Kółek rolniczych“ odstąpi po cenie przystępnej.

W „Kółku rolniczem“ w *Szówsku* na zebraniach niedzielnych, przewodniczący Kółka, pan Piotr Gerula i sekretarz, pan Bronisław Karasiński, rozprawami i udzielonemi nau-

kami bogacą umysł członków i do czynu ich pobudzają. Żywo zajmują słuchaczy rozprawy o komasacji gruntów, urabianiu i przechowywaniu gnoju — ochronie ptaszków — o poszanowaniu mienia ojczystego — o uregulowaniu targu itd. Znając złe skutki z częstego a bezpotrzebnego odwiedzania jarmarków, odnoszą się w roku 1883 na mocy uchwały Kółka do zarządu głównego, celem wniesienia petecji do Sejmu, aby targi i jarmarki po miastach i miasteczkach w jednym dniu się odbywały.

Przykładne wspieranie się wzajemne święcie obowiązuje wszystkich członków Kółka — toż w r. 1884 uchwalają zakupić zboże, aby niem na wiosnę przyjść w pomoc członkom w owym roku powodzią dotkniętym — w czem i Zarząd główny na przedstawienie zarządu miejscowego przychodzi z pomocą, posyłając nasienie rzepy i 12 zł. Także i w r. 1885, gdy pogorzał członek Kółka, Walenty Zając, poczuwają się do obowiązku niesienia mu bratniej pomocy i nie dopuszczają do jego upadku, a zarząd główny, ceniąc przykładną spójnię członków Kółka, przesłał na ręce zarządu miejscowego 10 zł. na zakupno zboża dla pogorzelca.

Podczas lustracji odbytej w r. 1884 przez p. Zygmunta Gawareckiego, odbyło się posiedzenie Kółka, na które przybył książę Witold Czartoryski, oraz gorliwi w pracy około dobra ludu członkowie „Kółka rolniczego“ w Wiązownicy pp. Jan Mielnicki i Józef Dąbrowski. Na tem posiedzeniu p. Józef Maciałek, postępowy i inteligentny gospodarz, jeden z najgorliwszych członków zarządu Kółka, radził uprawę ciężkiego (łazowego) gruntu, przez nawiezienie piaskiem i wykazał, że z kawałka gruntu swego, piaskiem nawiezionego, miał dwa razy obfitszy plon, zwłaszcza kartofli, aniżeli na innym takim samym kawałku, piaskiem nie nawiezionego. Inny członek Kółka, p. Wawrzyniec Kłak przemówił jak następuje: „Będąc przy wojsku, spostrzegłem, że lepiej w Czechach i Niemczech, a i w „Kółku rolniczem“ w Wiązownicy słyszałem, jak książe opowiadał o postępach w gospodarstwie braci naszych w Poznańskiem — a ja mówię, iż początkowo nie lepiej i tam było, tylko tamte kraje nauką i „Kółkami rolniczemi“ nas wyprzedziły, a więc i my tylko oświatą i „Kółkami rolniczemi“ dojdziemy do tego, że nam lepiej będzie. Połączonemi siłami starajmy się o to, aby nas nie wyzyskiwano i nie oszukiwano, od czego tylko wspólne pouczanie się ochronić nas może“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Listy do „Przyjaciela Ludu“.

Krzeszowice, 2 sierpnia 1889.

W numerze 6. »Przyjaciela Ludu« z 15. czerwca 1889 r. zaprasza Szanowna Redakcja do wyjaśnienia sprawy banku włościańskiego przez hr. Artura Potockiego, przeprowadzonej.

Chcąc zadość uczynić życzeniom Szanownej Redakcji, mamy zaszczyt uwiadomić, że sprawa banku włościańskiego została już publicznie przez naczelnika gminy z Frywałdu, Walentego Bigaja należącego do komitetu pomocniczego, wyborcom włościanom powiatu Chrzanowskiego w d. 2. lipca 1889 r. po jednogłośnie dokonanym wyborze hr. Artura Potockiego na posła—wyjaśnioną. Dla obznajomienia szerszej publiczności z sprawą banku podajemy wiarogodny wyciąg z ksiąg rachunkowych kancelarji hr. Artura Potockiego, z którego okazuje się, że hr. Artur Potocki wykupił 284 włościan zadłużonych na kwotę 80.663 złr, 93 ct. Po przeprowadzeniu akcji pomocniczej na wniosek i za protekcją hr. Artura Potockiego w myśl odezwy Rady po-

wiatowej dtto Chrzanów 12. lutego 1884. L. 272. Ciż włościanie spłacili swój dług kwotą 49.629 złr.

Zyskali zatem nietylko kwotę 31.034 złr. 93 ct., ale prócz tego mieli i tę dogodność, że spłacili i spłacają powyższą kwotę do kas zaliczkowych: chrzanowskiej i krzeszowickiej w terminach przez siebie oznaczonych.

Oto jest cyfrowy rezultat akcji pomocniczej, przeprowadzonej na wniosek i za protekcją hr. Artura Potockiego, przez komitety opiekuńcze w Chrzanowie i w Krzeszowicach pod przewodnictwem WP. Bieńkowskiego i Sieglera.

Akcja pierwsza rozpoczęta 24. lutego 1884, ukończona 31. maja 1884, obejmowała 246 włościan z okr. sądowych Krzeszowice i Chrzanów. Długi ich w Zakładzie kredytowym włościańskim wynosiły: w kapitale płatnym, listami dłużnymi, oprocentowanymi po 6 od sta 35.250 złr., po 5 od sta 7.050 złr., gotówką 141 złr. 62 ct., w procentach i różnych kosztach 23.513 złr. 70 ct. razem 65.955 złr. 32 ct. Przy spłacie tego długu osiągnięto umniejszenie tegoż na korzyść włościan przez kupno listów dłużnych 6-procentowych o 14.100 złr., 5-procentowych o 3.243 złr., przy spłacie gotówką o 8 złr. 55 ct., dalej uzyskano opust procentów i różnych kosztów na sumę 4.492 złr. 24 ct., a nadto uzyskano zwrot depozytów włościan na sumę 416 złr. 15 ct., czyli razem umniejszenie wynosiło 22.269 złr. 94 ct. Resztującą kwotę długu w sumie 43.685 złr. 38 ct. przyjęło na siebie Towarzystwo zaliczkowe, któremu włościanie obecnie dług ten spłacają.

Akcja druga, rozpoczęta 2. maja 1884, ukończona 26. lipca 1884 r. dotyczyła 38 włościan z okr. sądowego chrzanowskiego. Długi ich wynosiły: w kapitale płatnym listami dłużnymi 6-procentowymi 1800 złr., 5 procentowymi 5700, w procentach i kosztach 7.208 złr. 61 ct., razem 14.708 złr. 61 ct. Przy spłacie tego długu osiągnięto zmniejszenie tegoż na korzyść włościan przez kupno listów dłużnych 6-procentowych o 720 złr., 5-procentowych o 2707 złr. 50 ct., uzyskano opust w procentach i kosztach o 5174 złr. 56 ct., a uzyskano zwrot depozytów włościańskich w kwocie 1622 złr. 93 ct., czyli razem zmniejszono dług o kwotę 8.764 złr. 99 ct., tak że kwota długu, przejęta za tych włościan przez Towarzystwo zaliczkowe, wynosiła 5943 złr. 62 ct.

Akcja pierwsza obejmowała włościan, których realności przedstawiały wartość wyższą od zaciągniętego długu, i którzy mogliby się byli jeszcze ratować. Ale włościanie akcją drugą objęci po zlicytowaniu byliby kompletnie pozbawieni dachu, i nic by im nie pozostawało, jak tylko kij i torba żebraka. Zwraca się więc uwagę czytelników, że hr. Artur Potocki był i w tym razie prawdziwym dobroczyńcą dla tych biedaków, bo tylko na jego wniosek zostali do pożyczki przypuszczeni. W interesie prawdy zatem upraszamy Szanowną Redakcję, żeby w łamach swojego pisma zamieściła niniejszą korespondencję. (Pieczęć: Gmina Krzeszowice) naczelnik gminy nieczytelny, *E. Rybacki*, członek rady gminnej i kasjer.

Z całą przyjemnością umieszczamy tę korespondencję, chociaż przykro nam jest, że musimy tu wyrazić pewne swoje rozczarowanie. Podczas wyborów i przedtem jeszcze w powiecie chrzanowskim i w całym kraju okrzyczano hr. Artura Potockiego z powodu tej akcji ratunkowej jako wielkiego dobroczyńcę ludu. Takim też nazywają go nasi korespondenci, a za co? Czy hr. Artur Potocki z własnej kieszeni zapłacił długi chłopskie? Czy może dał chłopom choć centa na ich spłatę? Rachunki powyższe nic a nic o tem nie mówią. Powiedziano nam tylko, że

chłopi spłacają swe (znacznie zmniejszone, to prawda) długi sami swemi pieniądzmi, a pośrednictwo między nimi a bankiem objęła kasa zaliczkowa. No, ale na czemże polegało dobrodziejstwo hr. Artura Potockiego? Korespondenci nasi szczerze i otwarcie odpowiadają na to pytanie: na wniosku i protekcji. Hr. Artur postawił wniosek, by kasa zaliczkowa dopomogła chłopom wykupić się z banku — i okazał jakąś protekcję — komu i w czem, to rzecz niewyjaśniona — oto i całe jego dobrodziejstwo. Że chłopi zadłużeni protekcji jego nie potrzebowali, to rzecz pewna, skoro raz mieli protekcję kasy zaliczkowej, gdyż takie same opusty dawał bank bez żadnej protekcji, wszystkim dłużnikom, płacącym gotówką lub listami dłużnymi.

Prosty chłop, Hrycko Zaparyniuk, który w taki sposób wykupił z banku przeszło 40. włościan pow. Śniatyńskiego, okazał tym chłopom taką samą protekcję, bo uzyskał dla nich taki sam opust długu, a zasłużył w daleko większym stopniu na miano dobroczyńcy ludu, gdyż w interesie zadłużonych chłopów. dziewięć razy wędrował piechotą ze Śniatyna do Lwowa, by nie tracić pieniędzy na kolej i nie narażać zadłużonych biedaków na większe wydatki. A przecież o tym prawdziwie bohaterskim czynie prostego, niepiśmiennego chłopa Zaparyniuka nikt dotychczas nie wie, podczas gdy o »dobrodziejstwie« hr. Artura od chwili postawienia wniosku i oddania zadłużonych chłopów na opiekę Tow. Zaliczkowego roztrąbiono po całym świecie.

Ale ba, jeszcze jedno »dobrodziejstwo« hr. Artura wymieniają nasi korespondenci! Oto owi 28. włościanie, których długi przewyższały wartość ich majątku, tylko »za protekcją« hr. Artura dopuszczeni zostali do pożyczki. Co to było za dobrodziejstwo, nie będziemy się bliżej rozwodzić. Każdy myślący włościanin zrozumieć potrafi, jak wielkiem jest dobrodziejstwem »przypuszczać do pożyczki« bankowej biednych chłopów, o których z góry wiedzieć można, że się z niej nigdy nie wyskrobią i że pożyczka ta niezawodnie doprowadzi ich do bankructwa. I za to wszystko hr. Artur Potocki zostaje obwołanym dobroczyńcą ludzkości i prawie jednogłośnie wybrany posłem do Sejmu!..

Redakcja „Przyjaciela Ludu“.

Brzegi nad Wisłą (pow. Wielicki), 3. sierpnia.

Czytam w gazetach doniesienia z różnych stron i krajów o zbiorach tegorocznych, więc i ja też nie chcę być niedbałym w tej tak ważnej sprawie, która mnie, jako włościanina, więcej dotyka, aniżeli tych, co zazwyczaj donoszą o nieurodzajach. Nie mogę wam pisać o nieznanych mi gminach, czy tam urodzaje liche czy dobre, ale piszę o miejscowości, na którą się patrzę własnemi oczyma, o gminach nadwiślańskich w pow. wielickim. Gminy te przed niedawnym czasem zniszczone były powodziami, a obecnie posucha wyrządziła nam nieobliczone straty w plonach. I tak prawie rok rocznie spada klęska elementarna na nas rolników nadwiślańskich. Któż z nas będzie w stanie ponosić z gruntu ciężary państwowe i krajowe, jeżeli do gruntu rok rocznie dopłacać potrzeba? A rząd mało na to zważa, jeżeli w terminie nie zapłacisz podatku gruntowego, zaraz następuje „zwłoka“ (t. j. kara pieniężna), po „zwłoce“ sekwestracja, — a ty, biedny chłopku, nie masz w domu swoim centa na zapałki, i któż ci temu uwierzy!... Z góry powiedzieć mogę, że w tych gminach, o których piszę, nie ma gospodarza, któryby się nie spodziewał przednówku na rok przyszły, a *wieluż jest takich, którzy już w listopadzie b.r. i ziarnka swego w domu mieć nie będą*! Czem żyć z familją i

skąd wziąć na podatki?.. Bez pomocy kraju niema najmniejszej nadzieji, byśmy się z tej nędzy dźwignąć mogli. *Maciej Szarek.*

Słusznie pan Maciej Szarek odzywa się do pomocy kraju. Kraj, którego siła spoczywa we włościaństwie, powinien przyjść temu włościaństwu z pomocą w tak ciężkiej potrzebie, jak nieurodzaj obecny. Przedewszystkiem jednak sami włościanie nie powinni zaniedbywać swej sprawy i spuszczać się na to, co Bóg da, bo milczeniem i nieczynnością doprowadzić mogą siebie i swe familje do gorączek, tyfusów i śmierci głodowej. Na dwie rzeczy powinni tak pojedynczy włościanie, jak i zarządy gminne zawczasu zwrócić uwagę. Po pierwsze: *by uzyskać z urzędu zmniejszenie lub* całkowite odpisanie podatku gruntowego. W tym celu trzeba się udać do starostwa i do urzędu powiatowego z doniesieniem o nieurodzaju i z prośbą o opust lub odpisanie podatku i o wysłanie do gminy detaksatora urzędowego. Po drugie: *by uzyskać zapomogę krajową* dla tych; którzy nie będą mieli chleba już w zimie, a tem bardziej na nasienie. W tym względzie powinny gminy wnosić petycje do Sejmu, na ręce swych posłów, udawać się o poparcie tych petycyj do rad powiatowych, donosić o rozmiarach klęski Namiestnictwu, a w razie bezskuteczności zwracać się do Rady państwa przez posłów Orzechowskiego i braci Lewakowskich. Tylko nie rozpaczajcie, bracia włościanie, i rąk nie opuszczajcie, ale — pomni słów Chrystusowych — pukajcie, a będzie wam otworzono! *Redakcja „Przyjaciela Ludu“.*

ŚLIMAK.

I.

Dawno to było, lat temu przeszło dwadzieścia kilka, kiedy na drodze, prowadzącej z Drohobycza do Borysławia spotkali się pewnego letniego dnia dwaj młodzi ludzie. Nie wiem, czy można było znaleźć dwóch parobczaków prawie jednakowych lat, a tak niepodobnych do siebie, tak z postaci, jak i z charakteru. Jeden wysoki, silny i przystojny, stąpał prosto i lekko, uśmiechał się często i często nucił wesołe piosenki; jego ubogie, ale czyste odzienie i stolarskie narzędzia w worku na plecach, odrazu świadczyły, że to stolarski czeladnik, śpieszący szukać zarobku w Borysławiu. Drugi wędrowiec, był to mizerniutki, zgarbiony i obszarpany żydek, ze zgrzybiałą, prawie bez wyrazu twarzą, małomówny i smutny. Jego chude nogi zaledwie mogły dotrzymać kroku zdrowemu stolarzowi, a maleńkie, zapadłe oczka niespokojnie biegały, jak wylęknione i jak gdyby chciały się gdziekolwiek schować. I on szedł do Borysławia szukać szczęścia, ale nie niósł ze sobą żadnych narzędzi, żadnych środków zarobkowania.

— I czemże to, Judko, myślisz żyć w Borysławiu? pyta stolarz.

— Czem Bóg da — odpowiada bojaźliwie zgarbiony Judko.

— Ta tak to niby, wszystko w ręku Boga — odpowiada stolarz, ależ bo u nas mówią; „Boga wzywaj, a rąk przykładaj!“

— U nas tak nie mówią — krótko odrzekł Judko.

— A jakże u was mówią? Radbym też wiedział!

— U nas mówią: „kto się na Boga spuści, tego Bóg nie opuści“.

— Cha, cha, cha! rozśmiał się stolarz i machnął swemi potężnemi rękami. Niechnoby ja spróbował nie robić z miesiąc, czy Bóg zlazłby z nieba i nakarmił mię?

— Nie mów tak, Ślimaku, nie obrażaj Boga.

— Boga obrażać nie myślę, ale Bóg przecież nie na darmo dał człowiekowi pomoc własną.

I znowu rozmachnął potężnemi rękami, jak gdyby gotował się rozbijać niemi skały.

— Jak Bóg zechce, to i ręce twoje nie pomogą, Ślimaku!

— Chyba mi poodpadają, wtenczas to i żyć nie zechcę.

— I zdrowe będą i nie pomogą!
— O, tak źle nie będzie!
— Zobaczymy!
— No, no, zobaczymy!

Obaj towarzysze podczas tej rozmowy szli samotną drożyną przez pola. Do Borysławia było jeszcze z pół mili. Słońce chyliło się z południa i piekło niemiłosiernie. Ślimak dawno już uczuwał pragnienie, a i Judka też od czasu do czasu, żałośnie zerkał na węzełek za plecyma Ślimaka, z którego dolatywała go woń świeżego chleba i sera. On nie miał przy sobie ani kawałka chleba, ani jednego centa.

Aż oto Ślimak zboczył ze zwykłej drogi na lewo pod stromy, spadzisty pagórek, Judka zatrzymał się na skręcie.

— A ty, Ślimaku, dokąd?
— Patrz, ot tutaj źródełko, chcę się wody napić.
— A może i odpocząć trochę?
— No, pewnie; słońce piecze, niby ogień praży, a do Borysławia i tak jeszcze w sam czas zajdziemy!
— Niech i tak będzie.

Posiadali koło źródełka. Ślimak napił się wody, wydobył chleb i ser z węzełka, a widząc, że towarzysz jego nie ma nic swego, zaprosił go do przekąski.

— Ale może tobie niewolno, bo to trefne?
— E, rzekł Judka nasz zakon w ostatecznej potrzebie pozwala jeść i trefne.
— A w zwykłym razie to nie pozwala?
— Nie, nie pozwala.
— No, to dobry wasz zakon, kiedy go w razie potrzeby można naciągać, jak szewc skórę.
— Nie mów tak, Ślimaku, grzech tak mówić. Nasz zakon tak samo od Boga, jak wasz zakon.

Przekąsili i dalej. Ot już i Borysław. Chociaż dotychczas szli po suchej ziemi, chociaż deszczu nie było prawie od tygodnia, to przecież w Borysławiu po wszystkich uliczkach było głębokie i grzęzkie błoto. Żydzi, parobki, nafciarze, wozy i taczki snuły się dokoła. Gwar, śpiewy, krzyki i pijane przekleństwa nie ustawały ani na chwilę.

— Dokądże ty teraz, Judko?
— Pójdę gdzie szukać miejsca. A ty dokąd?
— Ja tutaj zamówiony, do tej tam budowy, widzisz? Mam tam robić drzwi, futryny i całą stolarską robotę. No, bywaj zdrów!
— Bywaj zdrów, Ślimaku! A wiesz co? Gdyby ci czego było potrzeba, a jabym mógł, wiesz, ja nie taki żyd, przychodź do mnie! Ja ci nie zapomnę.
— Ja do ciebie? cha, cha, cha! roześmiał się Ślimak. A cóż ty mi możesz pomódz, kiedyś sam goły!
— Kto wie, Slimaku, kto wie, co komu Bóg sądził. Jeszcze raz mówię ci: przychodź! Judka ci nie zapomni.

I rozeszli się.

II.

Minęło lat dziesięć. Przy głównej ulicy borysławskiej dopiero co otwarty został nowy szynk. Szynk stał na rogu dwóch ulic, w bardzo dobrem miejscu, chociaż prawie o łokieć niżej od poziomu ulicy, tak że do drzwi trzeba było schodkami złazić w dół. Robotnicy we dnie i nocy wypełniali obszerną, brudną i wilgotną szynkownię; śpiewy, krzyki i kłótnie nic milkły tam nigdy i głuchym klekotem wylatywały na Borysław przez wiecznie otwarte okna. Nad drzwiami szynku przybita tablica, pomalowana na czarno, opiewała ogniście czerwonemi literami wypisane słowa: *„Piwo i wódka. Wyszynk Judki Maultrommera“*. W szynku zaś pomiędzy pijanymi robotnikami uwijał się jak piskorz zgarbiony, choć i nie bardzo już mizerny żydek. Żydkiem tym był Judka. Za szynkwasem siedziała brzydka jak noc, ale bogato ubrana żydówka, zwykle z jednem lub z dwojgiem dzieci na ręku; była to żona Judki.

Wieczór. Tłumnie wysypali się robotnicy od roboty i rozsypali się każdy w swoją stronę; część największa po szynkach. U Judki pełno, jak nabito. Ale cóż to za smutny, przygarbiony, nędzny człowiek przeciska się przez tłum do szynkwasu? Twarz jego blada i zbolała świadczy o przebytej

słabości. W rękach trzyma dwa kije, któremi się podpiera, bezwładnie wlokąc chore, wychudłe nogi. Oto z ciężką biedą dotarł do szynkfasu, stanął i ogląda się.

— Czego wam trzeba? — spytała żydówka.

— Judki.

— Judki? A na co wam Judki? Chcecie wódki, to i ja wam dam sama. Na borg, to i Judka nie da.

— Nie, nie chcę wódki; chciałbym pomówić z Judką.

— Pomówić? przeciągle zapytała żydówka i pogardliwie zmierzyła oczyma obdartego nędzarza. Co wy macie jemu pomówić? Pomówcie mnie, to ja mu powiem.

— Nie, ja chcę jemu samemu. Lecz oto i on! I obdarty nędzarz zwrócił się do Judki, który właśnie przecisnął się do szynkwasu ze szklankami i kieliszkami w obu rękach.

— Ten człowiek chce mówić z tobą — rzekła żydówka do Judki. Ten obrócił się i przez chwilę wpatrywał się w obdartego nędzarza, lecz oczywiście nie mógł go poznać.

— Wyście chcieli ze mną mówić? Ny, mówcie, czego chcecie?

— Wy mnie nie poznajecie, Judko?

— Nie, nie mogę jakoś odparł Judka, jeszcze raz spojrzawszy na niego.

— Prawda, nie dziś to się działo, jak to my obaj, młodzi jeszcze, wędrowaliśmy do Borysławia... nie pamiętacie?

— A Ślimak! O, toż to u mnie pamięć! Jakże nie pamiętam! Ny, co słychać, Ślimaku?

— Źle słychać, Judko. Bieda koło mnie.

— Koło mnie dobrze, Bogu dzięki — odrzekł Judka.

— Widzę, widzę — rzekł Ślimak smutnie kiwając głową.

— Wiecie co, Ślimaku, ja teraz nie mam czasu z wami gadać. Ot siądźcie sobie tutaj na ławkę, tak... Małko daj mu dobrej wódki i zakąskę, słyszysz? A potem jak będzie wolniej, to pogadamy. Dobrze?

— Ta dobrze — rzekł Ślimak i usiadł w kącie koło szynkwasu.

Było już późno po północy, kiedy w szynku o tyle mniej zostało ludzi i było ciszej, że Judka mógł mieć nieco wolniejszego czasu. Obudził więc Ślimaka, który przez ten czas pośród gwaru i zaduchy spał na ławce.

— Ny, Ślimaku, powiadaj, co tam u ciebie słychać?

— Sami widzicie — rzekł niechętnie Ślimak. Ot czegom się dorobił przez dziesięć lat. Żona rozpiła się i umarła, roztrwoniwszy wszystko, com miał; samego mię rzuciło w chorobę, nogi odjęło. Co teraz począć? Do stolarskiej roboty nie przyjmują, tam trzeba stać, biegać, dźwigać, a ja nie mogę. Do jamy także nie. Co czynić? Ręce zdrowe, a przyjdzie się widać żywcem ginąć.

— A widzisz, Ślimaku, czy ja tobie nie mówił, że Boga nie trza uczyć, jak ma człowieka karać. U Boga na wszystko sposób jest.

— Oj, widzę już, widzę! — westchnął Ślimak. Ile przecierpiałem przez te lata... Boże jedyny! Spójrz, posiwiałem!

— Ny, a cóż teraz będzie!

— Albo ja wiem, co będzie. Przyszedłem do was, Judko. Wiecie, wówczas mówiliście: przyjdź. Dopókim mógł zarobić, to myślałem sobie: zarobię! A teraz ani rusz. I to, widzicie, nie tak, żeby całkiem nie można: ręce zdrowe i wszystko, tylko nogi, to bieda!

— I cóż ja wam na nogi poradzę?

— E, już mi na nogi nikt nie poradzi, chyba rydel i łopata — rzekł z żałośnym uśmiechem Ślimak. Ale możebyście wynaleźli dla mnie robotę jaką.

— Robotę? Hm! rzekł Judka i zamyślił się. Dla ciebie robotę? To trudno, nieboże Ślimaku. Ale co robić, obiecał człowiek, to trzeba jakoś pomiarkować. Ny, wiesz, Ślimaku, połóż się tutaj na ławeczce. Małko, daj mu brudną płachtę pod głowę. Przenocuj, a jutro zobaczymy.

Z temi słowy Judko poszedł spać, a Ślimak, westchnąwszy i pomodliwszy się na ławce, zwinął pod głowę brudną płachtę, którą mu wetknęła żydówka i także zasnął.

(Dok. nast.).

Kółka rolnicze.

W ostatnich dwóch miesiącach, zawiadomiły Zarząd główny Towarzystwa o swojem zawiązaniu się następujące Kółka: 435) Szalowa pow. Gorlice, zawiązał miejscowy proboszcz ks. Walawender; 436) Kotów pow. Brzeżany, zawiązał p. Władysław Zrogowski, nauczyciel, przy pomocy p. Pawła Astana właściciela dóbr 437). Chrząstów pow. Mielce, zawiązał Piotr Reć nauczyciel za pomocą miejscowego duchowieństwa i właściciela dóbr Jana hrab. Tarnowskiego; 438). Żeglce pow. Krosno, zawiązali: hr. Antoni Rożen, proboszcz z Bóbrki, p. Zenon Surzycki, dyrektor kopalni nafty, p. Jastrzębski, rządca dóbr, ks. Rymar z Zręcina i pp. nauczyciele: Franciszek Dudek, Sielecki z Zręcina, Roman Szostkiewicz z Żeglec, oraz p. Groblewski, rządca z Polanki i 439). Machów pow. Tarnobrzeg, założyła tamtejsza gmina za staraniem p. nauczyciela Józefa Duszkiewicza; 440). Stara-wieś powiat Limanowa zawiązał p. Michał Ociepka, gospodarz; 441). Niedzwiedza pow. Brzesko, zawiązali gospodarze: Jan Kuna, i J. Sikorski, 442). Spytkowiec pow. Wadowice, zawiązał p. delegat M. Naimski ze Spytkowic.

Książek rozesłano 799. a mianowicie do Kółek roln. Łysagóra, Targanice, Jachówka, Krzyżowe, Trzemeśna, Kotów, Chrząstów, Szalowa, Machów, Cholewiana góra, Polanka wielka, Stara wieś, Niedzwiedza, Borzencin i Spytkowice. Wysłano książek w tym roku 1687.

Do Towarzystwa jako członkowie wspierający przystąpili pp. książę Andrzej Lubomirski, ordynat na Przeworsku, Szczepan hr. Tarnowski z Malinic, Jan hr. Szeptycki z Przyłbic, Jan Biedroń agronom z Lipowej, dr. Henryk Jordan prof. uniwersytetu w Krakowie.

Zarząd główny otrzymał od Wydziału Rady pow. w Stryju subwencję w kwocie złr. 20., za który to dar składa podziękowanie.

W celu umożliwienia wydawnictwa Przewodnika Kółek rolniczych wpłynęły następujące datki: od p. Zbyszewskiego z Chorostkowa złr. 2., ks. Jaworskiego proboszcza z Grybowa złr. 4., od p. dr. K. Orleckiego z Nowego Sącza złr. 3., p. Antoniego Wajdy z Niecwi złr. 2., p. Henr. Dolańskiego z Grębowa złr. 5., od Wydz. Rady pow. w Grybowie złr. 5., p. Bolesława Augustynowicza złr. 10., dr. Bron. Dulęby złr. 3., p. Włod. Nowickiego z Krecowa, złr. 10., p. M. Naimskiego z Spytkowic złr. 5. od Kółka roln. w Grębowie złr. 5., za pośrednictwem p. St. Wysockiego złożyli pp. Stefan Wysocki z Zamarstynowa złr. 2., Marjan Bratkowski z Hołoska złr. 1., Andrzej Perediatkiewicz złr. 1., Jan Krach złr. 1., Bolesław Mikuliński złr. 1., Karol Przybylski złr. 1., Stanisław Olexiński złr., Michał Michalski poseł na sejm złr. 5., i Kółko rolnicze w Zamarstynowie złr. 1.

Zeszyt 2. Przewodnika dla Kółek rolniczych (3 arkuszy druku) zostanie wraz ze prawozdaniem z czynności Zarządu głównego za rok 1888 w tym tygodniu rozesłany.

Towarzystwo rolnicze okręg. rzeszowskiego.

wniosło do Wysokiego c. k. Namiestnictwa następującą petycję w sprawie ryczałtowego zamykania targów i jarmarków:

»Posucha obecnego roku, niepamiętna od wielu lat w naszym kraju, stała się przyczyną licznych i bardzo ciężkich niepowodzeń we wszystkich gałęziach gospodar-

stwa rolnego, w najważniejszej gałęzi zaś w wychowie inwentarza żywego, grozi sprowadzeniem klęski najzupełniejszej w całem znaczeniu tego słowa.

»Pierwszy zbiór siana, później wprawdzie schowany, rzecz zwykła w czasach posuchy, wypadł średnio, drugi wskutek tejże posuchy należy uważać za przepadły: słoma ozima jest tak czystą, że prawie żadnej wartości dla karmy nie przedstawia, o jarzynnej, można powiedzieć bez przesady, że jej prawie nie ma. Kartofle mogą pod względem paszy poratować tylko tych właścicieli większej własności, którzy mają gorzelnie; buraki jedynie w żyźniejszych okolicach bywają uprawiane.

»Nie dość powiedzieć, że pasza dojdzie w tym roku do cen niepraktykowanych, w wielu miejscowościach, mianowicie podgórskich, nie dostanie się jej za żadne pieniądze i nietylko że wyżywienie inwentarza paszą kupną byłoby za kosztowne, bez stosunku do jego wartości, będzie ono wprost niemożliwe dla zupełnego braku paszy, dla zupełnej niemożliwości jej nabycia.

»Własność większa może jeszcze jako tako zdoła wybrnąć z tych trudności, ma ona stosunkowo do obszaru często mniej inwentarza, miewa tu i ówdzie gorzelnie, zamożniejsi poratują się choć miejscami zakupionemi otrębami i t. p. Mniej zamożni właściciele a przedewszystkiem włościanie znajdują się bezwzględnie w najkrytyczniejszem położeniu.

»Jedynem wyjściem dla nich z tego krytycznego położenia jest zbycie części, połowy a nieraz może i całego inwentarza, niestety, i to jedyne wyjście zostało im zamknięte!

»Dla pojawiającej się mniej lub wiecej epidemicznie, w wielu miejscach li sporadycznie, zarazy pyska i racic, zostały całemi okolicami targi i jarmarki zakazane, przyprowadzanie nawet zdrowego bydła i trzody wzbronione, sprzedaż choćby najzdrowszego uniemożliwioną, a że naturalnym porządkiem rzeczy stan taki przeciągnąć się musi, nie ma nawet widoku, aby otwierające się przed zimą gorzelnie, złemu zaradzić mogły, bo jak nikt nie będzie sprzedawał, z trudnością i one kupować zdołają.

»Włościanin musi patrzeć z założonemi rękami w najgroźniejszą przyszłość, poradzić sobie nie może, poradzić sobie nie wolno mu, a przyciśnięty obowiązkiem płacenia podatku, sprzedaje przedwcześnie zboże, i naraża się przy lichym tegorocznym urodzaju na możliwy w przyszłości brak środków wyżywienia własnej rodziny.

»Towarzystwo okręgowe rolnicze rzeszowskie już samem istnieniem powołane do zajmowania się interesami rolników swojej okolicy, widzi się w obowiązku drzedłożyć jasny i dokładny stan stosunków obecnych i łatwo przewidzieć się dającej przyszłości Wysokiemu c.k. Namiestnictwu i prosić o jak najśpieszniejsze środki zaradcze.

»Obecnie jedno chore bydlę lub świnia, które często zdrowieje po 14 dniach, powoduje zamknięcie targów i jarmarków najbliższej okolicy; wieś, w której nie ma żadnego wypadku zarazy, zostaje niejako kontumacją objętą, a mieszkańcy bez winy, bez przyczyny skazani na niemożność sprzedania jakiejkolwiek sztuki, na konieczne patrzenie, jak ona z braku paszy marnieje, a w konsekwencji do tego jeszcze i na egzekucję za podatki, bo wiadomo, że chów i sprzedaż trzody chlewnej bywa najważniejszym, często jedynym środkiem ich pokrywania

»Towarzystwo okręgowe rolnicze rzeszowskie nie poważa się żądać zmiany, którąby sięgała aż do internacjonalnych stosunków, nie śmie nawet żądać zmian co do przepisów ruchu kolejowego, sądzi jednak, że gdyby zamiast zamykania ryczałtowego targów i jarmarków, dozór został ograniczony do wzbronienia wyprowadzania bydła i trzody z gmin bezpośrednio zarazą dotkniętych, nie tamując wolności handlu dla tych, które są od niej wolne, jużby wielka ulga nastąpiła w ogólnych stosunkach, bez kolizji z przepisami, i śmie prosić Wys. c. k. Namiestnictwo o wzięcie podanej w tym kierunku prośby pod rozwagę«.

KRONIKA.

O pośle Jachimie z powiatu niskiego, piszą ciągle i wiele po wszystkich dziennikach. Aż serce boli i trudno uwierzyć, ażeby włościanin osiągnąwszy dzięki zaufaniu swoich braci taki zaszczyt, iż został posłem, mógł tak brzydko zdradzić swoich wyborców. Już z końcem zeszłego miesiąca dochodziła głucha wieść, że p. Jędrzejowicz, który upadł przy wyborach wobec Jachima starał go się rozmaitemi sposobami pozyskać, ażeby złożył mandat. Naraz ukazał się w jednej gazecie list pewnego naocznego świadka, który tak opisuje całą historję: „Przyjaciele p. Jędrzejowicza tak wzięli Jachima po jego wyborze na posła pod swoją opiekę, że on po dniu 2. lipca co nocy gdzie indziej nocował, zwykle zaś po karczmach w towarzystwie żydów, między którymi rej wodził Uscher Amster piwowar, którego niedawno odprawił p. Rességnier, a p. Jędrzejowicz przyrzekł mu wystarać się o koncesję na zamawianie ludzi na flis. Po długiej wędrówce po karczmach Jachim wreszcie w nocy z dnia 19. na 20. lipca w karczmie w Nowosielcu podpisał, że zrzeka się poselstwa. Rezygnację tę wysłano wprost do Lwowa. Wszystko to działo się w sekrecie, ale do sekretu potrzeba tylko dwóch, gdyż trzeci już napewno zdradzi. Tak stało się i tu: żydzi wygadali. Chłopi mazurscy zebrali się i nacisnęli na Jachima, by powiedział prawdę. Wtedy Jachim przyznał się do rezygnacji i dodał, że powody, jakie go do tego skłoniły, ogłosi w dziennikach. Na to odpowiedzieli mu włościanie: „Pisz, a my ci odpiszemy swoje i wykażemy prawdziwą przyczynę, dla której się zrzekłeś mandatu“. Dnia 22. lipca p. Jędrzejowicz był już u starosty w Nisku. Gdy zaś deputacja włościan zjawiła się u statosty, ten odpowiedział jej, że o rezygnacji Jachyma nic mu nie wiadomo“.

W kilka dni później wydrukowały gazety, przychylne p. Jędrzejowiczowi list, pisany niby to przez Jachima, w którym donosi, że złożył mandat dlatego, ponieważ między jego wyborcami są i mieszczanie, a on nie potrafiłby w Sejmie bronić inseresów miast. Smutno się zrobiło wszystkim przyjaciołom posłów w sukmanie, że poseł włościański na takie brzydkie wykręty się puścił. Wkrótce jednak nadeszła pocieszająca wiadomość, że Jachim przyszedł do notarjusza w Rozwadowie i wobec świadków zeznał, że *„do złożenia mandatu zmuszono go, wskutek tego cofa swoją rezygnację«*.

Jak jest raz sprawa nieczysta, to od początku do końca się wikła, tak i tu pokazuje się, że Jachim albo nie zasługiwał na zaufanie swoich wyborców, albo daje się teraz powodować różnym ludziom, gdyż po cofnięciu rezygnacji u notarjusza, miał dnia 6. sierpnia przyjść ze świadkiem do c. k. starostwa i zeznał do protokołu co następuje: „Odwołanie rezygnacji z mandatu poselskiego ogłoszone w gazetach, podpisałem pod *wpływem namowy*, a rozważywszy, teraz *trzeźwym rozumem*, odwołuję to odwołanie“.

Jeżeli to prawda, to bardzo wątpić należy w tę *trzeźwość*.

Rzetelny poseł włościański. Dnia 25. lipca przybył do Sokołowa poseł hr. Tyszkiewicz Zdzisław, celem wysłuchania różnych przedstawień, wniosków, zażaleń itp., aby je wyjaśnić, po-

uczyć i objaśnić wójtów, jak pojmować i rozumieć niektóre ustawy. W sali radnej zgromadzili się wójtowie i radni z okolicznych wiosek, a także i kilku księży. Cała narada dążyła do tego, aby nowy poseł mógł być świadomym potrzeb i żądań swoich wyborców i potem w Sejmie mógł niejedną rzecz z dobrym skutkiem przeprowadzić. To też na tem zgromadzeniu poruszane były różne kwestje. I tak: naprzód omawiano sprawę uregulowania taks notarjalnych w ten sposób, aby od mniejszego aktu notarjalnego była mniejsza taksa, to jest, aby brano pod uwagę cenę kupna. Tutaj wywiązała się dyskusja pomiędzy obecnymi, której koniec położył obecny tamże na zgromadzeniu naczelnik sądu, wyjaśniając rzecz stosownie do litery prawa. Następnie omawiano ustawę drogową, jako jedną ze spraw piekących. Dalej zastanawiano się nad sprawą rewizorów bydła, w której to kwestji zadecydowano starać się w Sejmie, aby czynności rewizorów bydła przenieść na pojedyńcze gminy, w których jeden z radnych czynność tę za bardzo małem wynagrodzeniem sprawowałby, a przeto odpadłyby znaczne sumy, łożone na utrzymanie rewizorów i mogłyby być użyte na inne cele. Między innemi poruszono także kwestję weterynarzy, względnie co do orzeczenia panującej zarazy. Mianowicie, aby do uchwalenia czyli orzeczenia, czy w tym wypadku jest zaraza lub nie, potrzebne było orzeczenie nie jednego weterynarza, ale kilku, między którymi ma być doktor medycyny. Popołudnie tegoż dnia poświęcił p. Tyszkiewicz pouczaniu wójtów, jak w różnych wypadkach tej lub owej ustawy mają sobie postąpić.

Pruska komisja kolonizacyjna, która kupuje ziemię od Polaków i odprzedaje ją tylko Niemcom, nabyła znowu majątek Rojewo w Prusach zachodnich za 225 tysięcy marek, to jest koło 130 tysięcy guldenów.

Burza z gradem wielkości jaja gołębiego dotknęła dnia 7. b. m. okolice Janczyna pow. przemyślańskiego, mianowicie w Błotni poniszczyła owies, groch, kapustę, jęczmień, proso, otawy, potłukła szyby i wiele bardzo wyrządziła szkody, a biedni włościanie zachodzą się od płaczu. Może komisja zjedzie do otaksowania szkody.

We wsi Rybno w powiecie stanisławowskim zamordowany został w nocy z 7. na 8. bm. gospodarz gruntowy przez trzech swoich bliskich krewniaków, którzy napadli go niespodzianie w nocy, gdy wracał z wesela do domu. Mordercy w tak straszny sposób poranili swą ofiarę, że zabitego z twarzy nie było można poznać. Wybito mu wszystkie zęby, które znaleziono obok trupa leżące ziemi. Zamordowany liczył lat 27 i był nadzwyczaj silnie zbudowany, to też walka musiała być zacięta. Żandarmerja wyśledziła już i uwięziła morderców. Powodem strasznej zbrodni były oddawna trwające niesnaski familijne.

Meteor. W okolicy Jasła dnia 2. bm. o godzinie 11. wieczorem widziano meteor ogromnej wielkości, który przebiegł znaczną część sklepienia niebieskiego i oświeciwszy okolicę prawie słonecznym blaskiem następnie znikł z przestworu, zostawiwszy długą smugę świetlaną, która jaśniała prawie przez całą minutę,

Meteorami czyli aerolitami nazywają się szczątki dawnych planet. Szczątki te krążą zwykle w około słońca, przyciągane do niego siłą ciążenia, czasem jednak spadają na ziemię, a lecąc z nadzwyczajną szybkością przez powietrze, wskutek tarcia o jego cząstki nagrzewają się tak silnie, że stają się podobne do kul ognistych. Że wskutek tarcia przedmioty się nagrzewają, o tem wiecie zapewne dobrze, mili czytelnicy, bo nieraz pewnie słyszeliście o zapalających się osiach u wozów, gdy były źle posmarowane.

Trzęsienie ziemi dość silne zauważano d. 10. bm. w Idrji, o czem donoszą do centralnego zakładu meteorologicznego w Wiedniu. Dzień 12. bm. oznaczył Falb jako krytyczny, dotychczas jednak nie mamy żadnych wiadomości o jakichś katastrofach, w niedzielę tylko szalał wicher nad Lwowem.

Rozwiązanie zagadki w Nr. 9.

Jeż.

Trafne rozwiązanie zagadki nadesłali pp. Andrzej Krzyścin i J. Zając. Obu wysłaliśmy w nagrodę książeczki: »Kuba Gąsior« i »Sprawa o wóz«.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig**. Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 11. We Lwowie, dnia 1. Września 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

Towarz. zaliczkowe i ochrony własności ziemskiej.

Wielce to pocieszająca rzecz, że skoro tylko powstanie w mądrzejszych głowach jaka dobra, pożyteczna myśl, zaraz się znajdą ludzie, co starają się taką myśl zamienić w czyn. Tak się stało i obecnie. Światlejsi gospodarze, będący członkami „Kółek rolniczych“, nie raz i nie dwa, ale może więcej niż sto razy mówili przed panami lustratorami, jakby to dobrze było, gdyby w kraju powstało towarzystwo, któreby uczciwie pośredniczyło między szlachtą, sprzedającą wielkie majątki, a włościanami, mogącymi kupować tylko małe kawałki ziemi, to jest Towarzystwo parcelacyjne, któreby parcelowało majątki na drobne części między chłopów. To samo życzenie wypowiadanem było i na zgromadzeniach włościańskich przed wyborami tegorocznymi.

I oto dnia 2. lipca w mieście Biała uchwalono na licznem zgromadzeniu zawiązanie takiego towarzystwa.

Założyciele, do których należą również dwaj nowo wybrani posłowie włościańscy, Potoczek i Kramarczyk, wydali odezwę, w której tak mówią o celach Towarzystwa:

W razie rozwoju Towarzystwo miałoby następujące dalsze zadanie: wspólną sprzedaż płodów rolniczych, a przedewszystkiem wyszukiwanie korzystnych dróg zbytu, wspólne zakupywanie nasion gospodarczych po tańszych, hurtownych cenach (jakby się to w roku obecnym była przydała instytucja, któraby wobec wielkiego braku paszy była mogła dostarczyć po cenach przystępnych takich roślin pastewnych, któreby się były zdały do obsiania ściernisk zaraz po zbiorze żyta w celu uzyskania paszy zielonej), tworzenie spółek przemysłowych do przerabiania własnych produktów rolniczych w sposób fabryczny, wreszcie urządzenie stacji doświadczalnej nowych zbóż, nasion rolniczych i jarzyn. Zadań takich nie mogą spełniać pojedyńcze osoby, lecz tylko liczne towarzystwo, złożone ze wszystkich warstw społecznych, a przedewszystkiem z ludu wiejskiego, który nie powinien wyczekiwać, aż wyższe stany około jego dobra pracować będą, ale powinien się sam brać do pracy nad polepszeniem swej doli i powiększeniem dochodów wobec wzrastających z dnia na dzień coraz większych wydatków.

Podpisany tedy przygotowawczy komitet uprasza wszystkich ludzi kraj i lud miłujących, tudzież szanowne zwierzchności gminne, aby zachęcili lud wiejski do jak najliczniejszego udziału w Towarzystwie i sami jako

członkowie do tegoż wstąpili Głównie też ze względu na lud ustanowiono jak najlżejsze warunki przystąpienia do Towarzystwa, idąc za przysłowiem: Ziarnko do ziarnka, a uzbiera się miarka. Udział ma tedy wynosić tylko 20 zł., który kwartalnemi ratami po 5 zł. wpłacać będzie można. Na organizację Towarzystwa, sprawienie potrzebnych ksiąg, sprzętów, kasy ogniotrwałej itd. składać będą wstępujący po 1 zł. 50 ct. jako wpisowe.

Założenie Towarzystwa nastąpi na pierwszem walnem zgromadzeniu, które się odbędzie we czwartek dnia 5. września w dzień jarmarku w Wadowicach. Na tem zgromadzeniu uchwalone będą statuta, któremi się Towarzystwo rządzić będzie, oraz nastąpi wybór rady nadzorczej i dyrekcji z pomiędzy członków. Prawo wybierania i wybieralności będą mieli, którzy złożą całe udziały, lub pierwszą ratę udziału i wpisowe tj. 6 zł. 50 ct.

Kraju naszego nie podniesiemy nigdy, jeżeli na wzór innych narodów nie zabierzemy się do pracy wspólnemi siły, z energją i wytrwałością, w zgodzie i z poczuciem obowiązku, jaki cięży na każdym obywatelu kraju.

Myśl o naszem Towarzystwie rozeszła się już szeroko i znalazła jak najprzychylniejsze przyjęcie tak, że na zgromadzeniu w dniu 5. września w Wadowicach będziemy mieli gości ze stron dalekich, bo z pod Lwowa, Sanoka, Rzeszowa, Tarnowa, Nowego Sącza itd., którzy z chętnem słowem zachęty i pomocą pieniężną do nas przybędą i wstąpią jako członkowie do naszego towarzystwa.

W końcu zwracamy się jeszcze raz z prośbą do przewielebnego duchowieństwa i szanownych zwierzchności gminnych, aby list niniejszy do jak najszerszej wiadomości podały i do jak najliczniejszego udziału w towarzystwie zachęciły.

Dr. *Emil Adelman*, adwokat w Myślenicach, dr. *Jozef Bogdanik*, lekarz w Białej, *Czapik Józef*, wójt w Choczni, członek wadowickiej Rady powiatowej, ks. *Józef Komorek*, dziekan wadowicki, *Franciszek Kramarczyk*, poseł na Sejm krajowy z powiatu Biała, ks. *Franciszek Kurzyniec*, notarjusz dekanalny wadowicki, proboszcz w Wieprzu, *Lekki Franciszek*, młynarz w Osieku, *Stanisław Potoczek*, poseł na Sejm krajowy z powiatu Nowy Sącz, *Raj Antoni*, radny z Bielan, *Rajda Jan*, radny z Wieprza, *Emil Schünke*, z Myślenic, *Uchacz Jędrzej*, burmistrz miasta Myślenice, ks. *Jakób Wolny*, dziekan makowski, marszałek myślenickiej rady powiatowej, *Franciszek Zalański*, naczelnik filji bankowej w Jaśle.

Sądzimy, że między czytelnikami naszymi nie znajdzie się chyba ani jeden, coby się nie ucieszył serdecznie wiadomością o zakładaniu takiego pożytecznego Towarzystwa i nie zechciał przyczynić się do jak najrychlejszego jego powstania, zapisując się na członka. Pamiętajcie, bracia mili, że tylko wytrwale, zgodnie i rozumnie pracując, potrafimy pozbyć się nędzy, nabrać rozumu i służyć tak, jak się należy ukochanej ojczyźnie.

Pamiętna rocznica.

(Dokończenie).

Aby ów dzwon »zmartwychwstania« rozległ się czystszym, donioślejszym, srebrzystszym dźwiękiem, nie szczędzili odważni ci ludzie zabiegów i pracy.

Teofil Wiśniowski nietylko w Galicyi rozszerzał pisma, wydawane przez Towarzystwo demokratyczne, w których była mowa o gorącej miłości ojczyzny, o podniesieniu ludu wiejskiego i o daniu mu praw wolnych obywateli kraju, lecz jeździł on również i do Wielkiego Księstwa Poznańskiego i tam nau-

czał, budził, krzepił, zachęcał, zbierał składki pieniężne, wydawał odezwy. mianował ajentów którzy mieli następnie działać w tym samym co on duchu.

W Poznańskiem w jesieni 1844 r. zawiązał się już centralny komitet do kierowania ogólnego spis u, w Galicji zaś dopiero w połowie roku 1845 widzimy silniejszy ruch do przygotowania powstania. Księża, właściciele dóbr, dzierżawcy łączą się w stowarzyszenia na prowincji, we Lwowie zaś — gdzie podówczas znajdował się Edward Dębowski ze swym przyjacielem Hugonem Wiśniowskim, zapał nadzwyczajny ogarnął wszystkie stany, to jest: mieszczan i urzędników, kupców i rzemieślników.

W początku 1846 roku liczba związkowców była już tak znaczną, że dzień powstania w dzielnicach Polski, to jest w Królestwie, księstwie Poznańskiem i Galicji naznaczono na dzień 21 lutego tegoż roku. W obwodzie Tarnowskim jednak musiano go przyspieszyć z obawy licznych aresztowań i uwięzień, które zagrażały spiskowcom.

Wybuch nastąpić miał już w nocy z 18 na 19 lutego.

Mniejsze i większe oddziały powstańców uzbrojone w szable i kosy, strzelby, pistolety spieszyły w oznaczonym dniu z różnych stron do miasta. W drodze jednak spotkały ich rozmaite nieszczęścia i nieprzewidziane trudności.

Śnieżna zadymka, trwająca od rana, zasypała bez śladu białym całunem wszystkie ścieżki i gościńce, wielu więc postańców, błądząc po mało znanej okolicy, znacznie się spóźniło z przybyciem na umówione miejsce, wielu innych zostało w drodze zatrzymanych przez włościan, którzy znękani pańszczyzną, nędzą i ciemnotą widzieli wrogów w ludziach, pragnących przelać krew dla ich dobra.

Rezultatem tych niepowodzeń było to, że zamiast 2 tysięcy oczekiwanych powstańców stanęło w oznaczonem czasie zaledwie 450 i napad na załogę miejską musiał być zaniechany dla braku sił zbrojnych.

W rocie, która dążyła z Pilzna do Tarnowa owej smutnej nocy, znajdował się Józef Kapuściński, kancelista magistratu Pilzneńskiego, liczący wówczas 29 lat, który już w 1838 r. będąc podówczas jeszcze uczniem w gimnazjum w Sączu, brał udział w pracach rewolucyjnych.

Józef Kapuściński przed wyjazdem z Pilzna zamordował burmistrza tego miasta, Kaspra Markla za to, że był szpiegiem i zdrajcą.

I rocie pilzneńskiej nie sądzono było również przybyć do Tarnowa. O pół mili od tego miasta zatrzymały ich straże w Lisiej Górze i skrępowawszy powstańcom nogi i ręce postronkami, odwiozły ich na drugi dzień do Tarnowa pod sąd.

Wiadomość o krwawych zajściach pod Tarnowem i o niepowodzeniu, jakie tam spotkało powstańców, przestraszyła dowódców bliższych okolic i stała się powodem, że dzień powstania odłożono z 21 lutego na później. W dalszych zaś obwodach, jak w Samborskim, Sandeckim i Sanockim miało miejsce kilka krwawych utarczek.

Opowiemy wam tutaj, mili czytelnicy, tylko o jednej z nich, a mianowicie o tej, do której należał Teofil Wiśniowski.

W karczmie około Narajowa, zwanej Krągła, zgromadziło się dnia 21 lutego koło 60 zbrojnych powstańców pod wodzą Wiśniowskiego, który w gorącem przemówieniu opowiedział im, że tego dnia wszędzie w Polsce chwycą za broń, wszędzie walczyć będą. Następnie odebrał od nich przysięgę na posłuszeństwo i na to, że przeleją do ostatniej kropli krwi za wolność ojczyzny.

Powstańcy oczekiwali przybycia reszty towarzyszy, którzy mieli przyjść jeszcze w li-

czbie stu czterdziestu, żeby razem z nimi wykonać napad na stajnie huzarów króla Wirtemberskiego, znajdujące się w Narajowie i po zabraniu koni i broni i pokonaniu żołnierzy na Brzeżany uderzyć.

Tymczasem w Narajowie dowiedziano się o zbrojnem zebraniu w karczmie i dowódca sztandaru wysłał podoficera z czterma huzarami i pachołkiem na zwiady.

Powstańcy, ujrzawszy ich, dali ognia, jednego ciężko ranili, inni zaś puścili się jak najspieszniej do miasta z powrotem, żeby dać znać o tem, co się dzieje.

Teraz nie było już czasu czekać na spóźniających się towarzyszy. Powstańcy skupili się i po krótkiej naradzie pospieszyli do Narajowa z bronią w ręku, silnie bijącem sercem i płonącem okiem.

W drodze spotkał ich oddział huzarów. Okrzyki rozległy się w powietrzu, zgrzytnęły pałasze, świsnęły kule, zbroczyła się ziemia czerwoną krwią swych obrońców....

Po krótkiej walce huzarzy, mając kilku zabitych i kilku rannych, wrócili do Brzeżan i ukryli się w murach miasta. Szczupła garstka powstańców nie odważyła się napaść na liczną załogę miejską i cofnęła się.

Z uczestników tej nocnej potyczki władze wykryły i uwięziły kilkunastu, a między nimi i Teofila Wiśniowskiego, który mimo gorących nalegań przyjaciół nie chciał szukać schronienia w Mołdawji, lecz pragnął pozostać na stanowisku aż do końca, nie mogąc uwierzyć, aby skutek tak długich usiłowań jedno niepowodzenie zniweczyć mogło. Miał nadzieję, że w obwodzie złoczowskim lepiej się dzieje, udał się więc w tamte strony sam jeden — i w drodze schwytany został. Od tej chwili zaczynają się dla Wiśniowskiego straszne cierpienia moralne i fizyczne. Zmieniły one tak bardzo jego twarz, że najbliżsi przyjaciele nie mogli go poznać, nie zdołały jednak złamać wielkiej duszy. Wiśniowski nie zdradził żadnego z towarzyszy, nie wydał tajemnicy, którą mu powstająca ojczyzna powierzyła. A gdy wybiła godzina śmierci, spojrzał jej śmiało a wesoło w oczy, bo wiedział, że są czasy, kiedy śmierć jest największą chlubą i szczęściem, a zarazem obowiązkiem.

Dnia 31. lipca 1846 r. o godzinie 6. z rana ukazał się na drodze, wiodącej od kryminału na plac stracenia czarny wóz, na którym siedzieli obaj skazani: Teofil Wiśniowski i Józef Kapuściński. We wszystkich oknach, na wszystkich balkonach domów, koło których wóz miał przechodzić, ciśnęli się ludzie w żałobnych sukniach, na placu zaś śmierci ścisk publiczności stał się nadzwyczajny; wszyscy mieszkańcy Lwowa cisnęli się, aby zobaczyć raz ostatni skazanych, każdy rzucał im na śmierć wieńce i bukiety, zroszone łzami. Wiśniowski szczególniej był przedmiotem żalu i uniesienia dla publiczności. Na pięknej, bladej, znękanej cierpieniem jego twarzy, malowało się zupełne zwycięstwo ducha nad ciałem. Swobodnym, pełnym miłości wzrokiem ogarniał on tłumy, odpowiadając na okrzyki i kwiaty ukłonami lub skinieniem lewej ręki, gdyż w prawej trzymał krzyż, godło męczeństwa. Nie mniej śmiało i spokojnie zachowywał się Kapuściński. Pod szubienicą na miejscu stracenia Wiśniowski darował swój ślubny pierścionek księdzu, który mu towarzyszył, Kapuściński zdjął surdut i darował go chłopcu, co go wiózł. A gdy zakładano już im sznury na szyję, Kapuściński zawołał donośnym głosem: Boże błogosław Polskę! a Wiśniowski mówił do tłumu: Niech nie ustrasza was śmierć nasza; niech ona będzie raczej przykładem, jak za ojczyznę umierać, — wytrwajcie! Na szubienicy już zawołali

raz jeszcze: Niech żyje Polska! a tłum rozpłakany powtórzył ten okrzyk z tysiąca piersi.

Do siódmej wieczór, dopóki skazani wisieli na szubienicy, lud w żałobie nie odstępował ani na chwilę ciał powieszonych, modląc się i płacząc. Najbardziej jednak rozrzewniającą była chwila, gdy ciała zdjęto wieczorem i składano je do grobu. Kobiety rzucały się wówczas na kolana, całowały nogi Wiśniowskiego, rzucały na niego kwiaty, a odchodząc unosiły po garści ziemi z mogiły człowieka, który oddał życie po to, by kiedyś, później miłość ojczyzny przestała być męczeństwem, wolnomyślność nie nazywała się spiskowaniem, prawa ludu nie nosiły miana buntu.

Co się działo w Oświęcimiu.

Coraz to bardziej zwiększające się wychodźtwo włościan do Ameryki stało się w ostatnich czasach największą może klęską i nieszczęściem biednego naszego kraju.

Sprytni ajenci i oszuści namawiają dla własnego zysku biednych, ciemnych chłopów do sprzedawania za liche pieniądze ojcowizny i wyprawiają ich daleko za morze, w obce kraje na śmierć głodową i zgubę niechybną.

W mieście Oświęcimiu odkryto niedawno taką ajencję łotrów i wytoczono im proces. Wspólnikami tej ajencji byli: Klausner, Landau, Landerer, Herz i Löwenberg. Dwaj ostatni, to jest Herz i Löwenberg, prowadzili dawniej wielki handel świniami, a później wpadli na myśl, że wygodniej jest handlować ludźmi. I rzeczywiście mieli słuszność, bo w miesiącu maju w roku 1888 zarobili na wysyłaniu chłopów do Hamburga 20 tysięcy 553 złotych reńskich, a w innych miesiącach niemniej, a chyba więcej pakowali do swych złodziejskich kieszeni chłopskich pieniędzy zdobytych ciężką, krwawą pracą.

A czy chcecie wiedzieć, mili czytelnicy, jakim sposobem ci panowie przywłaszczali sobie te pieniądze? Oto najpierwej towarzystwo żeglugi parowej Hamburgu dawało im po 30 centów od każdego reńskiego, zapłaconego za bilet na okręt. Jeżeli więc kupili biletów za tysiąc reńskich, to już mieli zysku 300 reńsk., a ponieważ zakupywali miesięcznie biletów prawie za 27 tysięcy, więc mieli stąd dochodu koło 8 tysięcy miesięcznie! Ale na tem nie koniec. Zyskiwali oni jeszcze odsprzedając karty kolejowe z Oświęcimia do Hamburga i zmieniając bardzo drogo guldeny na marki pruskie. Kazali sobie również płacić, jeżeli w papierach legitymacyjnych znalazła się jaka niedokładność. Mówili wychodźcom, że muszą posłać depeszę do Amerykańskiego króla z zapytaniem, czy zechce przyjąć do swego państwa chłopów galicyjskich. Było to naturalnie wierutnem kłamstwem, bo w Ameryce niema żadnego króla, a nawet gdyby i był, to nie mógłby zabronić uczciwym ludziom wstępu do swego królestwa. Oszuści też nie myśleli posyłać depeszy, pieniądze wzięte na nią chowali w kieszeń, a sami wychodzili do drugiego pokoju i dzwonili na zegarku, zwanym budzikiem, a wychodźcy słuchali i cieszyli się, że to ich depesza idzie do Ameryki. Następnie przychodził żydek, udający doktora i oglądał każdego z wychodźców, żeby się przekonać, czy dostatecznie jest zdrów i silny. Jeżeli oglądany włościanin był zamożniejszy i miał przy sobie pieniądze, to żydek zaraz zaczynał trząść głową i mówił: „Nu, ty nie masz sił pracować, ciebie król nie przyjmie, chyba mu drogo zapłacisz“. Nieszczęśliwy wychodźca wydobywał z zanadrza głęboko ukryte, ostatnie pieniądze i oddawał je ze łzami, a żyd szedł do drugiego pokoju dzwonił na budziku i powracał, mówiąc z u-

śmiechem: „Nu, twoje szczęście, król pozwolił“. A w duchu sobie myślał: „toż dopiero oszukałem głupiego chłopa!“

Strach i rozpacz ogarnia, gdy się pomyśli, że w ostatnich kilku latach wyemigrowało i zostało w ten sposób oszukanych i zgubionych koło 60 tysięcy włościan galicyjskich!

Niektóre starostwa posiadają wykazy ubytku ludności wskutek emigracji. Podajemy wam, bracia kochani, te cyfry, żebyście się przerazili, widząc ilu to kmiotków polskich poszło na poniewierkę między obcych i marnie zginęło i żebyście wszystkich znajomych odmawiali od opuszczania drogiej ojczyzny.

1).	powiat	Przemyślany	wyemigr. dusz	321.
2).	„	Jarosław	„ „	340.
3).	„	Sanok	„ „	1042.
4).	„	Gorlice	„ „	3065.
5).	„	Nowy Targ	„ „	586.
6).	„	Dąbrowa	„ „	212.
7).	„	Mielec	„ „	1768
8).	»	Nowy Sącz	„ „	1051.
9).	„	Ropczyce	„ „	1718.
10).	„	Nisko	„ „	320.
11).	„	Sambor	„ „	405.
12).	„	Rzeszów	„ „	687.
13).	„	Tarnów	„ „	505.
14).	„	Łańcut	„ „	422.
15).	„	Kolbuszowa	„ „	486.
16).	„	Biała	„ „	671.
17).	„	Drohobycz	„ „	397.
18).	„	Jasło	„ „	3555.
19).	„	Grybów	„ „	1117.
20).	„	Krosno	„ „	1237.
21).	„	Brody	„ „	283.
22).	„	Lisko	„ „	723.
23).	„	Brzozów	„ „	209.
24).	„	Pilzno	„ „	1208.
W 24. powiatach razem dusz				22.328.

Z wykazów wychodźców, objętych księgami ajencji hamburskiej i bremeńskiej w Oświęcimiu, dowiadujemy się, że sama ajencja hamburska w Oświęcimiu w czasie od 1. maja 1887 do 23. lipca 1888 drogą na Hamburg wyprawiła 12.406 osób, bremeńska zaś ajencja „Północno-niemieckiego Lloyda“ w czasie tylko od 10. maja do 24. lipca 1888 r. drogą na Bremę... 615 osób.

A ileż to ziemi, tej ziemi kochanej, na której rosła złocista pszenica, srebrne żyto, wąsaty jęczmień i wielkie okrągłe i podługowate kartofle, takie smaczne z solą lub barszczem, przeszło wskutek emigracji do obcych, wrogich rąk! Posłuchajcie jeno:

Starostwo Przemyślany: wysprzedano morgów 915.

Starostwo Gorlice: wysprzedano morgów 411, za sumę 41.155 złr.

Starostwo Mielec: wysprzedano morgów 530, za sumę 47.087 złr.

Starostwo Nowy Sącz: wysprzedano morgów 126, za sumę 8.370 złr.

Starostwo Ropczyce. wysprzedano morgów 610.

Starosłwo Żółkiew: wysprzedano morgow. 421.

Starostwo Tarnów: wysprzedano morgów 793, za sumę 85.896 zł.

Starostwo Jasło: wysprzedano morgów 916.

Razem za sumę 114.448 zł.

Uzyskane przez wychodźców za wysprzedane mienie sumy szły całkowicie niemal na wzbogacanie zagranicznych towarzystw żeglugi parowej. Wychodźcy galicyjscy wybierali się w podróż zamorską przeważnie z bardzo skąpemi środkami. Za zamożnych uchodzili ci, którzy w chwili wyjazdu z domu mieli kwotę 300 złr. Większość zaś, przybywszy na ląd nowego świata, ogołoconą już była z ostatniego grosza.

A tam nikt się już o nich nie troszczył.

Ajencja Klausnerowsko-Herzowska posiadała biura poboczne w Krakowie, w Podgó-

rzu, Płaszowie i najważniejszą filję w Brodach, którą prowadził sam Klausner.

Na usługach ajencji było bardzo dużo rozmaitych faktorów, najemników, ajentów, naganiaczy i spędzaczy. Piętnastu z nich pobierało stałą, miesięczną zapłatę, inni, jak naprzykład szynkarze przy gościńcach oświęcimskich, za wyłapywanie i przyprowadzanie wychodźców do ajencji dostawali po jednym lub kilku reńskich od człowieka.

Jak widzicie, drodzy bracia, wiele krzywdy i nieszczęścia ludzkiego leży na sumieniu tych złych ludzi. Każdy jednak grzech prędzej czy później zostanie ukaranym. Otóż i ajenci oświęcimscy dostali się do sądu, który zatwierdził akt oskarżenia i naznaczył termin rozprawy do 4. listopada tego roku w Wadowicach.

Wzorowe Kółka rolnicze.

Uczestniczący na tem posiedzeniu zamiejscowi gospodarze, zwidzając gospodarstwa członków „Kółka rolniczego“, naocznie się przekonali o znacznym postępie, działalnością towarzystwa „Kółek rolniczych“ spowodowanym. Szczególnie dobre wrażenie wywarło i dla niejednego przykładem do naśladowania się stało wzorowo urządzone gospodarstwo powyżej wspomnianego członka, p. J. Maciałka. Mieszkanie niewielkie, lecz zewsząd chędogie, toż i podwórze dobrze urządzone i czysto utrzymywane wykazuje rządność i dbałość gospodarza, — stodoła pełna zboża, obok niej stogi w pewnej od siebie odległości pięknie poustawiane, każą się domyślać, że w tym domu mieszka dostatek, — gnojownia dobrze urządzona świadczy o umiejętnem i dobrem gospodarowaniu.

Z przyjemnością i ciekawością przyglądali się zwiedzający narzędziom rolniczym już to zrobionym, już to ulepszonym przez p. Józefa Maciałka. Podziwiano dobrze urządzony warsztat do narzędzi rolniczych, szrubsztak drewniany jego własnej roboty, toż ekstyrpator siedmioradełkowy przez niego samego sporządzony, młynek poprawniejszej budowy z rafą trzęsącą u dołu itp.; a szczególniej podziwiano wiatrak pomysłu i roboty p. J. Maciałka, obracający się bez śmig czyli skrzydeł, a jednak za pomocą wiatru. Lustratorowie pp. Zygmunt Gawarecki i Antoni Świeżawski w sprawozdaniach swych do zarządu głównego, podnosząc inteligencję tego gorliwego członka „Kółka rolniczego“, z wszelkiem uznaniem wyrażali się o owych narzędziach rolniczych. Polecamy też członkom „Kółek rolniczych“ i gminom powiatu Jarosławskiego, ażeby naocznie o dobroci tych narzędzi rolniczych, przez p. Józefa Maciałka sporządzonych, się przekonali, a bez wątpienia z korzyścią to dla nich będzie.

Od Towarzystwa gospodarskiego oddziału Łańcucko - Jarosławskiego otrzymało Kółko w Szówsku młynek do czyszczenia zboża, pług z podrzynaczami i płużek do ogartywania roślin okopowych, oraz bezprocentową pożyczkę 100 zł. na 4 lat, za którą to szczodrą pomoc zarząd Kółka w odniesieniu się swem do zarządu głównego podziękowanie i wdzięczność szanownemu oddziałowi wyraża.

Z własnych, lubo szczupłych funduszów zakupiło Kółko na wspólny użytek tryer, ekstyrpator i sieczkarnię, a uzyskana od członków i nieczłonków za wypożyczanie tych narzędzi rolniczych kwota pieniężna, zasila kasę Kółka. Oprócz tego członkowie za pośrednictwem zarządu głównego sprowadzili dla siebie zalecane przez profesora szkoły Dublańskiej p. Tomasza Rylskiego, ulepszone rydle, motyki, grabie, widły do gnoju i siana itp. z fabryki G. W. Sillcosa w Brukseli.

Dbając o poprawę i dobre utrzymanie

bydła, sprowadzają w znacznej ilości nasiona pastewne i co raz znaczniejszy dochód z bydła osiągają, a na wystawie odbytej w Przeworsku, wszyscy członkowie „Kółka rolniczego“, którzy bydło swe na tę wystawę przyprowadzili, otrzymali nagrody.

W r. 1886 uchwalają zaprowadzenie ochotniczej straży pożarnej, do której przystąpiło 30 członków „Kółka rolniczego“ pod dowództwem przewodniczącego pana Piotra Geruli. — O dobrej organizacji tej straży, przekonywa nas sprawozdanie byłego lsutratora a obecnego dyrektora szkoły rolniczej w Jagielnicy p. Antoniego Świeżawskiego, podczas którego obecności w Szówsku na lustracji w r. 1888 zarządzono alarm, a niespełna w kwandransie stanęła cała straż na odgłos trąbki i okazała, że jest karną i należycie wyćwiczoną; co też udowodniła, przyczyniwszy się głównie do ugaszenia pożaru w sąsiedniej wiosce i za to od właściciela, p. Maksa otrzymała 15 zł., za którą to kwotę, jak i za otrzymane od Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie 50 zł. i ofiarowane od księcia Jerzego Czartoryskiego 10 zł., zakupiono potrzebne rekwizyta pożarne.

Nie bez szerszego zadowolenia przytaczamy ocenę skutków działalności „Kółka rolniczego“ wyrażoną przez p. A. Świeżawskiego w tymże samym sprawozdaniu z r. 1888, w którym zaznacza, że „dłuższe trwanie Kółka rolniczego“ w Szówsku, korzystnie wpłynęło na poprawę gospodarstw i przechodząc przez pola, łatwo po dobrej ich uprawie rozpoznać można, że należą do członków „Kółka rolniczego“. Urządzane kiedy niekiedy przez „Kółko rolnicze“ wspólne składkowe a przyzwoite zabawy, korzystnie oddziaływują na obyczaje ludu, i w równej mierze z innemi powyżej wykazanemi działalnościami „Kółka rolniczego“, stają się pobudką dla włościan do poczucia w sobie godności obywatelskiej i tem samem przyczyniają się do wzmocnienia sił narodu.

Nienadówka (powiat Kolbuszowa). Założyciele „Kółka rolniczego“ w Nienadówce, w roku 1884 zawiązanego, rozpoczynają działalność swą od włożenia na członków Kółka obowiązku regularnego zbierania się w dni niedzielne i świąteczne, ażeby przez wzajemne zbliżanie i porozumiewanie się rozbudzili w sobie ochotę do wspólnej a pożytecznej pracy. Na zasadzie, że każdy czyn dobry poprzedzać musi myśl zdrowa i dobra, postanawiają czerpać ją z nadesłanych przez zarząd główny a i z własnych szczupłych funduszów zakupywanych książeczek z „Komitetu wydawnictwa dzieł ludowych“ i „Macierzy Polskiej“. Omawiając czytane dziełka przejmują się przedstawianymi w nich wzorami cnót obywatelskich, i zwolna, nieznacznie, a jednak skutecznie nadają sobie wzajemnie i potęgują tę moralną podstawę, na której jedynie polepszenie i utrwalenie bytu materjalnego za możliwe uznają.

Pierwszy też wynik, tych pierwszych działań spostrzegamy w przesłanem zarządowi głównemu sprawozdaniu z roku 1884, w którem zarząd Kółka odpowiada na postawione pytania, nadto od siebie donosi, że na podstawie jednomyślnej uchwały członków, urządziło „Kółko rolnicze“ obchód Mickiewiczowski, na którym odpowiednie tej uroczystości spiewy, deklamacje i odczyty kierowały myśl uczestników na pole pracy dla dobra powszechnego.

Trafnie i dobrze podjął swe chlubne zadanie pod światłem kierownictwem swego przewodniczącego ks. kanonika Antoniego Momidłowskiego i nauczyciela oraz sekretarza p. Józefa Kobosowicza, zarząd „Kóła rolniczego“ w obec członków i gminy w Nienadówce — bo dopóki serca wystudzone i

głowy puste, dopóty trudno spowodować ochotną i skuteczną pracę nad podniesieniem własnego nawet dobrobytu; to też naprzód rozwidniona przytoczoną powyżej działalnością zarządu Kółka głowa, i serca zagrzane, ochoczo teraz do pracy rwać się zaczęły.

Już w następnym roku donosi nam zarząd Kółka, że członkowie dawniej nieczuli i niedbali o własne dobro, obojętni na nędzę i niedolę swą, rozpoznawać ją teraz zaczynają a zaczynają a zasmakowawszy w zebraniach niedzielnych, nie trwonią w karczmach całych dni roboczych i ostatniego dobytku, ale raczej usilną pracą w polach, starają się naprawić dotychczasowe zaniedbywanie gospodarstw.

Nic dziwnego, lubo wiele smutnego, że ten zwrot ku lepszemu, widoczny u członków Kółka, a w następstwie mogący za sobą pociągnąć i innych mieszkańców gminy, niechętnem musiał być widziany okiem przez tych, dla których nie dobro gminy, ale przeciwnie zupełne jej wyzyskanie dla własnych, osobistych swych korzyści przewodnią jest myślą. To też „w gardle kością, w chlebie ością — w drodze górą, w moście dziurą — i piekielną solą w oku, i śmiertelną kolką w boku“ — stało się „Kółko rolnicze“ dla karczmówzawa adr Nie n .ce

Osiadły, jak to wiemy, w każdej niemal gminie, a więc i w Nienadówce, karczmarz, nie przebierał w środkach, ażeby do rozprężenia zawiązane „Kółko rolnicze“ doprowadzić — korzystając z łatwości bałamucenia wódką zawieruszonych głów, wyzyskał i ów wspomniany obchód Mickiewiczowski, wmawiając w mieszkańców gminy, że członkowie Kółka, to buntownicy, z którymi już sama styczność naraża na niebezpieczeństwo. Osiąga to ten skutek, że ten i ów istotnie obawia się zapisać do Kółka i liczba członków nie wzrasta; „Kółko rolnicze“ atoli istnieje i dalej, dla wzajemnego pożytku członków i dobra gminy pracować nie przestaje. Gdy ednakże w roku 1885 uchwała założenia sklepiku w czyn zamienioną została i „Kółko rolnicze“ bezinteresowną rozsprzedażą nafty, soli, płótna i innych codziennych potrzeb służących towarów, osłabia wpływ żyda karczmarza, nie poprzestaje tenże na dotychczasowem podburzaniu, ale skuteczniejszych według swego mniemania używa środków. — Rozgłasza w karczmie i po za karczmą, że „Kółko rolnicze“ organizuje powstanie, że członkowie będą zmuszeni porzucić gospodarstwo, żony dzieci i zejdą na biedę, że „Kółka rolnicze“ to sprawa panów wcelu powstania podjęta, że każdemu kto się do Kółka zapisze starostwo podwyższy podatki, słowem do tego stopnia bezustannie trwoży, że niektóre lękliwe gospodynie powzięły już skryty zamiar, ofiarą pieniężną uwalniać swych do Kółka zapisanych mężów, od pójścia do owego powstania. Tu już zarząd Kółka uznał potrzebę energicznego wystąpienia przeciwko temu niecnemu podburzaniu i wniósł oskarzenie do ck. prokuratorji państwa, żądając ukarania żyda nie dopuszczającego „powstania“ włościan z nędzy i upadku. Na podstawie ścisłego dochodzenia sprawy, podburzający żyd karczmarz, stawiony przed ławą przysięgłych w Rzeszowie, uznany został winnym i skazany na czteromiesięczne więzienie.

Na takie zakończenie owej sprawy, stars i w gminie dający się uwodzić żydowi, ze wstydem spoglądali na siebie i garnąc się odtąd do „Kółka rolniczego“, nabrali przekonania a za nimi i inni, że „chyba dobrą to pożyteczną i prawdziwie przyjacielską jest radą zawiązanie się w „Kółka rolnicze“, jeżeli niechętnem okiem na to patrzą i przeciwko temu działają tacy ludzie, jak ów skazany przez sądy przysięgłych żyd karczmarz“.

Wędrówki Mazurów do Rumunji.

Nie myślcie, że źle się dzieje tylko tym, co emigrują do Ameryki, że tylko ich oszukują i wyzyskują sprytni ajenci.

Jako przestrogę dla wybierających się za zarobkiem do Rumunji, podajemy tu opis kilku wypadków, w których obiecujący sobie złote góry w Rumunji wyszli jak Zabłocki na mydle, to jest stracili wszystko, co mieli, a nic na to miejsce nie znaleźli. Wielu bardzo, zwłaszcza Mazurów, zwabionych obietnicami faktorów, ciągnie corocznie do Rumunji, a jaki los ich najczęściej spotyka, niech pouczy fakt następujący:

Przed kilkoma miesiącami za pośrednictwem biura wywiadowczego niejakiego p. Lewickiego w Rzeszowie, a pod przewodnictwem faktora t. zw. „grubego żyda“ z Czerniowiec wyruszyło z Naguszyna koło Ropczyc i z okolicy 50 Mazurów, a wielu z nich z familjami do Rumunji. Jak ich stręczyciele zapewniali, mieli być umieszczeni po dworach, jako furmani, lokaje etc., a mieli pobierać oprócz wiktu po 12 zł. miesięcznie. Złote ich marzenia rozwiały się dopiero po przybyciu na miejsce do Oneszti, własności żyda, niejakiego Marka Justera, który wszystkich wyprawił w pole do roboty przy pługach. Mazury mają w Rumunji ustaloną opinję, jako wytrwali i pilni robotnicy, jeżeli potrafią przetrzymać zmianę klimatui przyzwyczają się do wody, dla świeżo przybyłych nadzwyczaj szkodliwej i do pokarmu, składającego się wyłącznie z mamałygi i przegniłej bryndzy.

Nasi Mazury jednak, z powodu upałów, tego roku wyjątkowo dokuczających — wody szkodliwej i pokarmu, do którego nie byli nawykli, opadli na siłach i kolejno rozchorowali się. Dotychczas 15 jeszcze nie uległo febrze, która wszystkich zresztą wraz z kobietami i dziećmi opanowała. Los tych nędzarzy, leżących w gołem polu, z dala od osad ludzkich, pozbawionych wszelkiej pomocy, opisać się nie da. Koniec końcem, biedacy postanowili wykonać odwrót do swych stron rodzinnych, ale jak tego dokonać w obec braku środków? Za kilka miesięcy roboty odliczywszy czas choroby, wydatki na podróż, ów p. Markus Juster dał im zaledwie po parę franków, za które najęto fury i ruszono ku granicy. Jak się jednak ci nędzarze dostaną od granicy do swych wiosek o tem straszno nawet pomyśleć, to tylko pewne, że niejeden złoży kości daleko od miejsca, w którem się urodził.

Jeden z nich, wśród drogi trapiony gorączką, zszedł z wozu i wstąpił do karczmy, aby się napić wina. Zanim żyd podał żądany napitek, towarzysze podróży, nie wiedzieć dlaczego — ruszyli dalej. Biedaczysko przyspieszył kroku, wołał na odjeżdżających — ale daremnie. Wkrótce siły go opuściły, upadł i całą noc bezprzytomny przeleżał na drodze. Deszcz ocucił go. Podniósłszy się, szedł dalej, aż natrafił na chatkę, której mieszkaniec za resztę grosza, jaki posiadał, odwiózł go do Botuszan pogranicznego miasta. Nie znając wcale rumuńskiego języka — nie mając grosza jednego, kilka dni plątał się po bruku, pijąc tylko wodę, a z osłabienia legając po placach. Dopiero po kilku dniach usłyszał przypadkiem mówiących po polsku i mógł się rozmówić i dopytać o kościół katolicki, gdzie na razie znalazł pomoc o tyle przynajmniej, że uniknął głodowej śmierci

Jak się jednak dostanie do wsi rodzinnej, jeżeli nie wyzdrowieje, aby sobie mógł zarobić przynajmniej na koszta podróży?

Jak się od niego dowiaduję, reszta 15, chociaż szczęśliwsi od innych, bo zdrowi, zostaną tylko dotąd, aż sobie zarobią sumę konieczną na opłacenie podróży do domu.

Drugi raz może nie dadzą się namówić do Rumunji. W obec tego obowiązkiem byłoby duchowieństwa z tych okolic, w których faktorowie swe operacje wykonują, przestrzegać z ambon lud, aby się bałamucić nie dawał, tem więcej, że wielu, nie mając środków do powrotu, zostaje w Rumunji, czego pierwszem następstwem jest utrata narodowości; ci zaś, którzy po dłuższym, lub krótszym pobycie w Rumunji powracają do domów, są następnie rozsadnikami zepsucia między swoimi".

To też teraz, gdy zabrano się do ajentów amerykańskich, należałoby to samo uczynić z rumuńskimi stręczycielami.

ŚLIMAK.

(Dokończenie).

Na drugi dzień rano Judka długo naradzał się ze swoją Małką, biegał gdzieś do sąsiadów, a wreszcie około południa, zawołał Ślimaka do swej sypialni, zawalonej pierzynami i prawie całkiem ciemnej.

— Wiesz co, Ślimaku, jest dla ciebie robota.

— Jaka?

— Łatwa robota, stolarska. A masz ty jakie narzędzia?

— Jest tam coś: para hebli, świder, topor...

— Dobrze. Świder możesz sprzedać, świdra nie trza. Trzeba tylko hebla, siekiery i piłki.

— A cóż to za robota taka, tylko z heblem, siekierą i piłką?

Łatwa robota, Ślimaku. Będziesz strugał rączki do korb i młynków, listewki, kołki, wiesz — same drobiazgi. Nawet warsztatu nie trzeba, można na ławce; będziesz sobie siedział i swoją robotę robił.

— A po czemu? Co zapłacicie?

— Zapłacicie, Ślimaku? Za co tu płacić? Słuchaj, co ja tobie powiem. Chaty nie masz, prawda?

— Nie mam.

— To ja ci dam chatę ot tutaj, na podwórzu. Cicho ci będzie, spokojnie, tylko siedź i rób. Słyszysz? A i jeść także dostaniesz. No, a bieliznę ty jaką masz?

— Jest tam coś.

— To dobrze. Jak będzie trzeba, to i u mnie się znajdzie. Płachtę ci dam na pościel i dwie paczki tytoniu na tydzień i co soboty dwa kieliszki wódki. Przystajesz, Ślimaku?

— Ta cóż mam robić, niech i tak będzie — rzekł ponuro Ślimak i pochylił głowę z wyrazem takiego smutku, jak gdyby pochylał ją w jakieś ciężkie jarzmo, z którego już żadna siła nie jest w stanie go wydobyć.

III.

Minęło drugich lat dziesięć. Przyjazd cesarza w lecie 1880 r. zgromadził w Borysławiu tysiące narodu z całej podgórskiej okolicy. Poszedłem i ja także. Zrana pogoda była prześliczna i wesoło rozmawiając, wędrowałem z gromadką znajomych wieśniaków, lubując się pięknemi okolicami i gęstemi kopami owsa, co jak gwiazdy na niebie usiały pola dokoła. Lecz niedaleko od Borysławia napadł nas deszcz, gęsty i przejmujący, tak, że gdyśmy doszli na miejsce, byliśmy wszyscy przemoknięci do nitki. Drżałem cały od chłodu, wybrawszy się w drogę w jednej bluzie z szarego płótna. Rzecz zatem oczywista, że w tak niemiłych okolicznościach wcale nie do tego mi było, by rozglądać się po wieńcach, trjumfalnych bramach z napisami i tysiącznych chorągwiach. Ja i mój towarzysz nie długośmy się włóczyli po błotnistych ulicach; chłód i deszcz zmusiły nas co żywo szukać suchego schronienia. Wstąpiliśmy do pierwszego szynku,

zaraz za trjumfalną bramą. Był to szynk Judki Maultrommera.

Stara żydówka stała za szynkfasem, chociaż w tej chwili, z powodu uroczystości nikogo, prócz nas, nie było w szynku. Po izbie przechadzał się podeszły już żyd z ładnym brzuszkiem, w atłasowej bekieszy, podpasanej świątecznym, jedwabnym pasem. Na gładkiej, błyszczącej twarzy, widać było spokój i zadowolenie. Przechadzającym się tym był Judko.

Ogrzawszy się trochę, wyszedłem na podwórze, do którego ze wszystkich stron przypierały ślepe ściany sąsiednich domów i szop, wylepione żółtą gliną. Podwórze to wyglądało więc jak wielka klatka, brudna, zaniedbana, nadgniła i cuchnąca nad wszelki wyraz. Pośrodku wznosiła się wielka kupa śmiecia i wszelkich odpadków. Na prawo, po przez róg szynku, było wąziutkie przejście na ulicę i tędy też z pod sąsiednich okapów strumieniem spływała woda na niskie, jak jama podwórze. Ale z drugiej strony odpływ jej był po części zatamowany. Tam właśnie przyparta do ślepej ściany jakiegoś długiego budynku, stała nędzna ni to szopa ni to buda, z przegniłym dachem i czarnemi, nie wylepionemi i w wielu miejscach dziurawemi ścianami. Między szynkiem i budą był tylko wąziutki przesmyk dla wody, ale napływający strumień nie mógł się w nim pomieścić i zalał prawie całą połowę podwórza szerokim stawkiem błotnistej, burej wody. Osobliwie koło budy, jako najniżej leżącego miejsca na całem podwórzu, zebrało się najwięcej wody i duże potoki lały się przez szpary w potrzaskanych drzwiach i pod przegniłym progiem do wnętrza. Jedno wąziutkie okienko z powybijanemi od dawien dawna szybami, całe zalepione było pożółkłym od słońca i deszczu papierem. W budzie było cicho, jak w grobie. Deszcz nietylko że nie ustawał, lecz wzmagał się jeszcze. Z ulicy dolatywały do podwórza głuche krzyki i gwary; żaden jednak ślad na tem wstrętnem podwórzu nie pokazywał, że dziś w Borysławiu święto, że cała ta osada przystroiła się odświętnie, by przywitać najdostojniejszego gościa.

Stałem czas jakiś pod poddaszem, rozglądając się dokoła. W tem z prawej strony wązkim przełazem przecisnęła się maleńka, może ośmioletnia dziewczynka i nieśmiało, pytająco spojrzała mi w oczy.

— Czego ci, dziecię, potrzeba? spytałem.

— Przyszłam tu — do dziada.

— Do jakiego dziada?

— A ot tutaj, pokazała mi nędzną budę, tu dziad Ślimak, ja go tak i nazywam: dziad .. Przyszłam popatrzeć się na niego. Nie wiecie, czy on jest?

— Nie wiem, moje dziecię. A czy wychodzi on czasem?

— Nie wychodzi nigdy. Mówił mi tylko przedwczoraj dziad, kiedym była u niego, że go Judka chce wyrzucić.

— Wyrzucić? A to dlaczego?

— Ba, widzicie, bo dziad już stary, robić nie może.

— A cóż ten dziad tutaj robi?

— Ta ot; rączki do korb, listewki, kołeczki. Od kiedy zapamiętam, zawsze to samo robi; matuś mówili, że już tak jest z dziesięć lat.

— A ty od przedwczoraj nie byłaś u niego?

— Ta nie byłam, bo moi matula także coś byli chorzy, to musiałam koło nich siedzieć. Aż dzisiaj jest trochę lżej, tom się wyprosiła do dziada. Dziad to taki dobry, bajki takie ładne opowiada. A matula mówili, żebym szła, może dziadowi potrzeba co przynieść, bo dziad słaby na nogi i chodzić nie może. A jak niczego nie trzeba, to żebym zaraz wracała.

— No, dobrze, to idź i popatrz się.

Dziewczynka postąpiła kroków parę — i zatrzymała się, zobaczywszy ogromną kałużę przed drzwiami.

— Oj — oj — oj, jakże ja tu przejdę! Popatrzcie jaka woda, jak Wisła!

— Zaczekaj, ja cię przeniosę rzekłem, i wziąwszy dziewczynkę na ręce, stąpiłem w kałużę. Brodząc omal że nie po kolana, doszedłem do drzwi i otworzyłem je. Dziwny, straszliwy widok przedstawił się naszym oczom. Cała buda stała w wodzie. Dokoła czarne, gołe ściany, przez które gdzie niegdzie przebłyskiwało bure dzienne światło. Koło drzwi stała ławka do strugania, na niej

hebel, piłka, topor i kupa niedostruganych kawałków desek. A w kącie, także prawie całkiem w wodzie, kupa trzasek, heblówek przegniłych, nawalonych może na łokieć wysoko. Na tej dopiero kupie, zaryty w heblówkach do połowy i ledwie przykryty staremi czarnemi szmatami, leżał człowiek osiwiały jak bez, suchy jak szczapa, z wyrazem nieopisanej tęsknoty i jakiegoś żalu na wynędzniałej twarzy. Człowiekiem tym był Ślimak.... czyli mówiąc ściślej: tylko trup Ślimaka...

Dreszcz po mnie przeszedł. Dziesięć lat w takiem piekle, i tu żył człowiek, „dobry ten dziad, który takie ładne bajki opowiadał“. Więc w sercu jego tryskało jeszcze ciche, niedostrzeżone źródełko poezji i miłości? Dziesięć lat! Jakieś urywane, bezkształtne wyobrażenia przesuwały się przez moją głowę, lecz myśl nie mogła ich opanować i złożyć w jakąbądź całość. Tymczasem dziewczyna rzuciła się budzić dziada. Zobaczywszy jednak, że dziad zimny i zdrętwiały i taki jakiś straszny, krzyknęła głośno i uciekać poczęła na dwór. Znowu przebrodziliśmy kałużę. Krzyk dziewczynki atoli nie zwabił nikogo do chłodnego trupa, w tej samej chwili gęsto zbite tłumy ludu podniosły na ulicy ogłuszający okrzyk:

— Wiwat! Niech żyje nasz ojciec! „Niech żyje!“

Był to znak, że wysoki gość znajdował się już w obrębie ulic borysławskich. Niebo wypogodziło się, poszarpało bure chmury i zrzuciło je z siebie w kąt, jak nędzne żebracze łachmany, by natomiast pokazać swą świąteczną, błękitną odzież.

— Wiwat! Wiwat! Szumiało po całym Borysławiu, rozlegało się z tysięcznych ust, a dziad Ślimak w tej chwili niemo, ponuro, ze skostniałym od boleści wyrazem twarzy, leżał na swoim zgniłym barłogu, w owej ohydnej skorupie, w której zamknęła go pożądliwość ludzka, a z której uwolniła go tylko ostatnia przyjaciółka: śmierć!

KRONIKA.

Chłop polski. W chwili, kiedy szlachta znowu sprzedała w ręce niemieckie wielkie majątki Rojewo, Zbrachlin i folwark Czechy, chłop polski dał znowu dowód takiej miłości dla zagonu, uprawianego od tysiąca lat czarnemi rękami jego ojców, wykazał taką szlachetność i siłę charakteru, że zapominając o „starszej braci“, szlachcie, mamy prawo zawołać z głębi piersi, aż pod niebiosa: jeszcze Polska nie zginęła, póki żyją chłopi, co brali kiedyś armaty pod Stoczkiem, co pobili Moskali pod Racławicami, a dziś ratują ziemię od Niemców. Rzecz tak się miała.

Jest w Łubowie gospodarz Polak, nazwiskiem Koperski właściciel 33 morgów polskiej ziemi, ojciec kilkorga dzieci, dobry gospodarz, dobry mąż i małżonek, mieszkający sam jeden jako gospodarz we wsi Łubowie, podczas gdy inni gospodarze łubowscy, Polacy, mieszkają po tak zwanych hubach łubowskich. Do tego gospodarza Koperskiego przyszedł jeden z kolonistów, osiadłych na dominium łubowskiem, dawnej własności p. Lewandowskiego i zaczął chłopa kusić, aby mu to gospodarstwo sprzedał dla krewnego Niemca, chcącego jeszcze osiąść na Łubowie.

Wiemy z ust najwiarogodniejszych, iż Koperskiemu ofiarowano 100, potem 150, następnie 180, a w końcu 300 talarów (około 500 reńskich) (nie marek) za jeden morg ziemi (jestto cena niesłychana; nikomu jeszcze komisja kolonizacyjna nie ofiarowała 200 talarów za 1 morg), razem 6.600 talarów, czyli 20.000 marek za gospodarstwo 33 morgowe, mające lichą chałupkę, liche budyneczki gospodarskie. Na gospodarza wiejskiego, niemającego długu i żyjącego skromnie na 33 morgach, pokusa uderzyła: „cobyś to morgów mógł kupić za te 20.000 marek? cobyś to mógł za majątek dzieciom zostawić, prawie każdemu tyle, co dziś sam posiadasz?“ Ale przypomniał sobie wiersz drukowany kiedyś w pismach ludowych, w którym powiedziano jest:

Przyszli tutaj Niemce, przyszli tu odmieńce:
Sprzedaj chłopie ziemię, będziesz miał czerwieńce,
Będziesz miał czerwieńce, będziesz miał talary,
Sprzedaj chłopie ziemię, boś chory i stary!

I przypomniał sobie dalsze strofy tego wiersza, przypomniał sobie lata chłopięce, spędzone na tym kawale ziemi polskiej, którą miał sprzedać kolonistom — zwyciężył pokusę! Odepchnął 6.600 talarów, mówiąc: nie sprzedam dziś, ani jutro, ani nigdy; już mi tu nie przychodźcie, bo was psami wyszczuję! Chciano od niego kupić choć tylko 3 czy 4 morgi, przylegające do kolonji, dawano mu za te morgi, coby tylko sam zażądał,

ale chłop się uparł i ani piędzi swej ojcowizny, pracą podwojonej, nie sprzedał kolonistom.

Grzyby jadowite stały się w ostatnich czasach przyczyną śmierci. I tak w pow. przemyślańskim 9. sierpnia w Wiśniowczyku zmarło dwoje dzieci Was. Czuprýńskiego, w Brykoniu otruło się 5 osób, z których trzy zmarły. W Ciemierzyńcach zachorowało 10 osób, z których dwie już umarły. W pow. złoczowskim, we wsi Pleśnianach cztery osoby, z których dwie zmarły. W Podlipcach padła ofiarą rodzina Tomka Banety, złożona z 4 osób; na obszarze dworskim w Tworynince zmarło 4 parobków. W powiecie przemyskim, gm. Wielunicach, otruła się rodzina Iwana Wróblowskiego, złożona z 5 osób, z tych zmarły 3 osoby. W Peknatyczach, w powiecie jarosławskim zmarła cała rodzina Hrycia Nowaka złożona z 4 osób.

Zarząd Kółek rolniczych zwrócił się niedawno z prośbą do p. Hermana Czecza, posła do Rady państwa, aby poruszył w Wiedniu sprawy trafik i postarał się, żeby do trzymania tych trafik mieli prawo nietylko żydzi, lecz i włościanie i Kółka rolnicze.

Szach Perski. Nasr-ed-di, o którym tyle teraz piszą dzienniki z powodu jego podróży po Europie, ma być człowiekiem rozumnym i wcale wykształconym. W Persji zaprowadził szach koleje żelazne, poczty i telegrafy, gościńce murowane i szkoły, używając do tego celu sprowadzonych z Europy urzędników. Spodziewać się należy, iż podróż ostatnia nie będzie także bez korzyści dla podniesienia państwa perskiego. Szach Nasr-ed-di liczy lat 58, ale nie wygląda więcej jak na 40. Jest to mężczyzna silnie zbudowany, dość otyły o miłym wyrazie twarzy. Nosi tęgie czarne wąsy i używa złotych okularów, przytwierdzonych do czapki baraniej, której nigdy nie zdejmuje z głowy. Szach perski nosi strój narodowy, perski, t. j. surdut długi z ciemnego sukna po kolana, podobny do polskiej czamary i spodnie z niebieskiego sukna z czerwoną wypustką. Na ramionach nosi szlify z drogocennych kamieni, z których i guzy u surduta są zrobione.

U boku ma karabelę, której główna i pochwa wysadzane są bogato kamieniami.

Szach odbył podróż po Europie, zatrzymując się w Petersburgu, Warszawie, Berlinie, Londynie, Paryżu, Wiedniu, Budapeszcie i króciutko we Lwowie, poczem wraca do Teheranu, stolicy swojego kraju w Azji.

Wędrówka mrówek. Znad granicy gubernji chersońskij w Rosji wyruszyła olbrzymia masa mrówek, kierując się ku północy. Mrówki szły we wzorowym porządku ławą, mającą blisko łokieć szerokości, a przeszło 60 łokci długości. Armja tych owadów postępowała równo i bez przestanków, z szybkością blisko dwóch stóp na minutę, trzymając się obranego kierunku. Przednie szeregi tej dziwnej armji szły bez pakunków, ostatnie dźwigały niewylęgnięte gęsienice, ziarno, kawałki drzewa, w ogóle wszystko, co jest niezbędne do założenia mrowiska. Po przejściu mrówek wszystkie mrowiska okazały się pustemi, mniejsze kolumny mrówek dążyły za ową wielką armją w tym samym kierunku z południa na północ.

Nowa szajka oszustów. W Raciborzu, na Szlązku pruskim, rozpoczął się w tych dniach wielki proces, zupełnie podobny do tego, jaki obecnie wytoczono w Wadowicach. Na Szląsku przed kratki sądowe zawezwano 66 ajentów emigracyjnych, którzy przyobiecankami złotych gór i przy pomocy różnych innych sztuczek, namawiali lud szląski do wychodźtwa do Ameryki. Akt oskarżenia w tej sprawie obejmuje 200 stronic druku wielkiego formatu. W czasie rozpraw trybunał odczyta 189 listów i 146 telegramów, na których opiera się akt oskarżenia, tudzież zeznania protokolarne 439 świadków zagranicznych, a nadto przesłucha 377 świadków, którzy stawią się przed sądem.

Co tam słychać w świecie?

Sejm krajowy zbierze się, jak mówią, na pewne, w pierwszych dniach października. Posłowie włościańscy powinni już zatem teraz obmyśleć dobrze wszystkie sprawy, dotyczące ludu, z któremi przed Sejmem chcą wystąpić, aby złemu skutecznie zaradzić. W tym względzie zwracamy ich uwagę na ostatni numer *Przyjaciela ludu*, w którym mówiliśmy o zadaniu posłów włościan. Do spraw, o których mówiliśmy już wtedy, przybywa teraz jeszcze kwestja pilna, co radzić należy z powodu klęski nieurodzaju, jaki kraj dotknął wskutek posuchy. Sejm powinien postarać się u Rządu o łagodne ściąganie i cierpliwe czekanie na po-

datki, jakoteż o wydawanie z żup solnych i kopalń taniej soli bydlęcej, gdyż bydła gospodarz prawie żaden przezimować nie będzie w możności. Te sprawy, oprócz innych, jak wyborczych, ustawy drogowej i propinacyjnej, powinny posłom naszym włościańskim przed innemi leżeć na sercu, bo bieda w kraju wielka, a pomoc leży w nas samych tylko. Jak nie pomożemy sobie sami, to pewnie nikt nam nie dopomoże.

Sejm badać będzie, zanim się do innych spraw weźmie, czy posłowie wybrani, zostali rzetelnie wybrani i czy nie popełniono przy ich wyborze jakich nadużyć. Otóż posłowie włościańscy będą mogli i powinni wtedy głos zabrać i opowiedzieć całą prawdę, jak głosy u wyborców kupowano za pieniądze i trunki, żeby raz na zawsze przekupstwu takiemu koniec położyć. Między innemi przyjdzie także na stół głośna sprawa włościanina z Niska, Jachyma, o którym pisaliśmy w kronice w ostatnim numerze, opisując jak mandatem przez swoich współbraci sobie powierzonym kręcił na wszystkie boki, aż wreszcie zrzekł się go całkiem. W miejsce jego został wybrany p. Jędrzejowicz. Ludzie głośno mówią, że Jachym miał poprostu sprzedać swój mandat poselski za judaszowe srebrniki panu Jędrzejowiczowi. Jeżeli tak było, co się pokaże, bo prawda zawsze wyjdzie na wierzch, każdy uczciwy człowiek musiałby się takim Jachymem brzydzić.

Niemniej będzie ciekawą sprawa uzupełniającego wyboru z okręgu Pilzno — Brzostek, gdzie został wybranym poprzednio długoletni poseł, starosta Płaziński.

Panowie poparli tam Midowicza całą siłą, aby nie dopuścić do wyboru notarjusza z Pilzna Bujnowskiego, który oświadczył, że zgadza się ze znanym czytelnikom naszym postępowym programem wiecu miast i miasteczek.

W Niemczech działo się ostatnimi czasy dużo rzeczy prawie naraz. Ze wszystkich jednak dwie są najważniejsze, mianowicie bytność cesarza austrjackiego w Berlinie, stolicy Niemiec i podróż cesarza niemieckiego również do Alzacji i Lotaryngji, krajów przed 19 laty zdobytych na Francuzach.

Cesarz austrjacki przyjmowany był w Berlinie wspaniale, pomimo że się wypraszał od wszelkiej parady. Wizyta ta miała na celu utrzymanie pokojowych i przyjaznych stosunków, panujących między Austrją a Niemcami. O przyjaźni tej zapewniali się przy ucztach obaj cesarze nawzajem, a dzienniki rozniosły ich mowy po całym świecie. Oby dobrym ich chęciom, w które niema powodu nie wierzyć, jak najdłużej nic nie przeszkodziło.

Drugim takim ważnym wypadkiem była podóż cesarza niemieckiego, Wilhelma, do Strasburga, stolicy Alzacji. Obie prowincje, Alzacja i Lotaryngja, przechodziły różne koleje, raz należały do Francji, drugi raz do Niemiec i były od wieków kością niezgody pomiędzy obu temi państwami. Ludność w prowincjach tych jest przeważnie francuską, jakkolwiek niebrak i Niemców. Skutkiem ostatniej wojny pomiędzy Francją a Niemcami Alzacja i Lotaryngja odpadły do Niemiec. Ludność jednak cała zawsze ciągnie do Francji, pod której łagodnemi rządami było jej dobrze. Cesarz niemiecki, jadąc do Strasburga chciał udowodnić, że kraje te już raz na zawsze uważa za niemieckie. Rząd niemiecki w Alzacji i Lotaryngji postarał się o to, ażeby przyjęcie dla cesarza niemieckiego, którego noga pierwszy raz na zdobytej ziemi postała, było jak najokazalsze. Pospędzano zewsząd tłumy włościan groźbą i kazano im głośnymi okrzykami witać cesarza niemieckiego. Czterystu dziewczętom kazano sypać kwia-

ły na drogę, którą cesarz niemiecki przejeżdżał, a domy ozdobić kwiatami, dywanami i chorągwiami niemieckiemi.

Jak kto, tak kto, ale my, Polacy, których bracia pod Moskalem zmuszeni są nieraz takie same komedje wyprawiać, temu serdecznemu powitaniu nie bardzo wierzymy, wiemy bowiem z doświadczenia własnego, co to znaczy, „musieć“.

Jaką miłością otaczają podbici Alzatczycy rząd niemiecki, najlepiej dowodzi to, że młodzież tamtejsza przed poborem gromadami ucieka i załącza się do wojsk francuskich.

We Francji wciąż jeszcze dużo hałasu robi generał Bulanżer, którego sąd skazał na więzienie w twierdzy za rozmaite szacherki. Sąd odbył się zaocznie, Bulanżer bowiem uciekł do Anglji. Rząd francuski będzie się domagał pewnie wydania go i Anglja będzie musiała to zrobić, ponieważ oprócz politycznych występków miał także Bulanżer dopuścić się prostego oszustwa. Bulanżer i dwu jego przyjaciół równie jak on skazanych, ogłosili w odpowiedzi na ten wyrok, że skazani zostali niewinni i że odwołują się do sądu całego narodu. Z końcem września br. mają się odbyć w całej Francji wybory do parlamentu, to jest do Rady państwa. Bulanżer kandyduje we wszystkich okręgach. Jeżeli zostanie wybrany w znacznej ilości okręgów, to i z wyroku sądowego nic sobie robić nie będzie, głos ludu bowiem będzie dla niego ochronną tarczą.

Serbja i Bułgarja zbroją się na gwałt. Oba bratnie narody mają pomiędzy sobą stare rachunki do załatwienia; szczególnie Serbja, która w r. 1885 została przez Bułgarję na głowę pobita, nie może tej klęski do dzisiaj zapomnieć. Stosunki pomiędzy obu państwami mocno są naprężone to jest nieprzyjazne i ladachwila może przyjść pomiędzy niemi do wybuchu.

Na wyspie Krecie powstanie trwa jeszcze dotychczas, jakkolwiek nie w takich jak z początku rozmiarach. Znaczna liczba powstańców wróciła już do domów i niebawem spokój zapanuje na całej wyspie. Rząd turecki bowiem bojąc się, aby obce państwa w sprawę tę się nie wmięszały, chce zrobić Kreteńczykom pewne ustępstwa.

Szach perski, Nasr-ed-din, przejechawszy całą Europę, wraca już do swojej ojczyzny w Azji. Władca wschodni przejeżdżał przez Lwów, gdzie na dworcu kolejowym powitali go najwyżsi urzędnicy i wojsko, które mu robiło honory. Szach wydał podobno na podróż swoją 30 kilka milionów zł. Pokaźna to suma. Pieniądze te byłyby stracone, gdyby nie to, że szach perski zaprowadza w kraju swoim ulepszenia europejskie. Żeby wyszły one tylko na korzyść poddanych.

Korespondencya redakcji.

W. P. Bronisław w Bur. Żądane statuta, Przewodnik i 3. nr. »Przyjaciela« wysłaliśmy.

W. P. Józef Amster. w Gródku. Prenumeraty nie otrzymaliśmy. Wysłaną została zapewne do Krakowa, a »Przyjaciel« wychodzi we Lwowie. Ztąd zwłoka. Dziś wysyłamy komplet.

W. P. Felix Chr. w Drag. Dwa egzemplarze »Przyjaciela« wysyłamy co dwa tygodnie pod wskazanymi adresami. Nie dochodziły może dla tego, że nazwa wsi była przekręconą na Dragonost. Proszę spytać na poczcie, jeżeli nie ma, to wyślemy powtórnie. Prenumeraty nie otrzymaliśmy,

W. P. Filip Z. w Zakliczynie. Za chęć przyjścia nam z pomocą, serdeczne dzięki, ale wierszy wydrukować nie mogliśmy. Natomiast prosimy bardzo o korespondencję o tem, co u was słychać, a umieścimy ją natychmiast w „Przyjacielu“.

W. P. Szczer. w Nar. Gazetkę wysłaliśmy. Należeć nam się będzie do końca roku 65. cnt.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.** Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 12. We Lwowie, dnia 15. Września 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

Zjazd ludowy w Wadowicach.

Zapowiedziany na 5. września zjazd ku zawiązaniu „Ludowego Towarzystwa zaliczkowego i ochrony własności ziemskiej“ — wypadł nielicznie. Przybyli — oprócz miejscowych — delegaci włościan z okolic Biały, Myślenic, Nowego Sącza, Jasła i Brzozowa, a znajdowali się też między nimi dwaj posłowie włościańscy: Kramarczyk Franciszek z powiatu bialskiego i Potoczek Stanisław z nowosądeckiego. Ogółem było na sali około 40.

Zgromadzenie zagaił Józef Czapik, wójt z Choczni pod Wadowicami, a przy ostatnich wyborach kandydat na posła. Czapik wygląda bardzo poważnie, ma długą a bujną siwą brodę — nosi szarą polską kapotę. Mówi płynnie, spokojnie, językiem poprawnym — formy parlamentarne zna dobrze, a obrany następnie przewodniczącym, spełniał ten urząd w sposób poważny i rzec można bez zarzutu. W zagajeniu zebrania przemówił mniej więcej w następujące słowa: Jako włościanin tutejszego powiatu czuję się obowiązanym powitać gości tak z dalszych stron jak i z naszych tu bliższych, którzy zgromadzili się w celu wielkiej doniosłości. Kraj cały gniecie bieda. Inne warstwy ludności gromadzą się i skupiają i radzą nad tą biedą — tylko włościanie uśpieni poddają się biedzie. Dawniej, gdy dwór starał się o poddanych, którzy obrabiali pańszczyznę, były inne stosunki, byliśmy jak małoletni, o których inni myśleli. Ale odkąd przed 40 laty nadano nam swobodę — sami o sobie radzić i pomagać sobie musimy — bo własna rada najlepsza. We wschodniej części kraju lepiej niż my tutaj myślą o sobie — tutaj, wielu przyrzekło przybyć na dzisiejszy zjazd, a mało przybyło, co ze smutkiem widzimy. Wdzięczność nasza należy się tym, co nas radą wspierają. Korzystajmy z tej rady — a rozsiewajmy wszędzie między braci rolników tę myśl, że lud ma o sobie sam pamiętać i sam sobie pomagać, przez co i państwu się przysłużymy, bo lud jest podstawą państwa, jako klasa najliczniejsza i produkująca. Kto w Boga wierzy, kto wierzy, że włościanin może i powinien sobie radzić, niech staje razem z nami do wspólnej, pracy. Mowca zakończył powtórnem powitaniem przybyłych z dalszych stron i zaproponował, by wybrać przewodniczącym ks. Wawrzynowskiego. Gdy jednak ten się wymówił, zebranie powołało na przewodniczącego p. Czapika.

Drugim mowcą był p. Franciszek Zalański z Jasła, inicjator zebrania i autor projektu statutu zamierzonego Towarzystwa. Po

krótkim wstępie, wspomniał, że — jeżeli chwycił się myśli zawiązania Towarzystwa ochrony ekonomicznej ludu — to dlatego, że od wielu lat pracując nad oświatą ludu, widział konieczność podjęcia takiej pracy ekonomicznej. Gdy inne narody, które dawniej były tak biedne, jak my, ale miały wolność, pracowały nad sobą i podźwignęły się, my blisko przez 100 lat nie pracowaliśmy, zaniedbaliśmy się, i stoimy dzisiaj prawie niżej od narodów świeżo do życia powołanych, a do niedawna w świecie prawie nieznanych, jak Rumuni, Bułgarzy, Serbowie.

Podatków obliczonych na głowę ludności płacimy znacznie mniej, niż inne kraje — ale w stosunku do dochodu są one bardzo wysokie. Nie można zaś łudzić się nadzieją, aby podatki zostały zniżone, przeciwnie w obec wzrastających potrzeb państwa, jeszcze się one podniosą. A do tego wysyłamy z kraju bardzo wiele miljonów za towary, których nie chcemy sami wyrabiać w kraju. Jeżeli ten stan rzeczy dłużej potrwa — zginiemy. Trzeba się zatem ratować.

Trzeba więc łączyć się w Towarzystwa i wspólnie pracować, aby zakupywać większe role, podnosić wydatność gospodarstw, jąć się przemysłu. Głównym celem zamierzonego Towarzystwa będzie zakupywanie ziemi, zwłaszcza tam, gdzie ona może przejść w ręce obce — regulowanie zadłużonych gospodarstw, ażeby je zatrzymać w ręku dzisiejszych rodzin rolniczych. Gdy się Towarzystwo wzmocni, będzie można i działalność jego szerzej, na inne działy rozwinąć. W krótkości przedstawia mowca zarys organizacji Towarzystwa, na wzór limanowskiej i mieleckiej „ochrony własności“.

Poseł Potoczek Stanisław wyraża ubolewanie, że tak mało przybyło, zaręcza, że sądeckie dostarczy setek członków. Tak samo wyraża się delegat z brzozowskiego. Poczem jednomyślnie uchwalono w zasadzie potrzebę zawiązania Towarzystwa i przystąpiono do obrad nad statutem.

Cel Towarzystwa określono jak następuje:

Celem Towarzystwa jest udzielanie członkom swoim moralnej i materjalnej pomocy, zdążającej do ochrony, powiększenia obszaru i podniesienia wartości posiadanej ziemi, wszelkiemi rozporządzalnemi środkami, jakie Towarzystwo do dyspozycji mieć będzie w zakresie statutu. W tym celu Tow. będzie zakupywać posiadłości ziemskie, czy to z wolnej ręki, czy też na publicznych licytacjach na podstawie oznaczonej wartości przez znawców, do oszacowania przez dyrekcję powołanych.

Towarzystwo będzie dalej pośredniczyć między obdłużonymi członkami Tow. a ich wierzycielami, aby zadłużoną realność w części lub całości dla dotychczasowego właściciela utrzymać, wreszcie będzie udzielało członkom swoim taniego kredytu, potrzebnego w gospodarstwie, handlu i przemyśle, o ile fundusze jego nie będą zaangażowane w zakupnie ziemi.

Wysokość udziału oznaczono na 10 zł. — wpłacać można w dwóch półrocznych ratach, po 5 zł. Wpisowe wynosi 1 zł. 50 ct. Porękę przyjęto najniższą, jaką ustawa dopuszcza. Po obradach nad statutem zapisywali się obecni i subskrybowali 64 udziałów, na które zaraz wpłynęło gotówką 335 zł. Wybrano potem dyrekcję i radę nadzorczą. Do dyrekcji weszli: Zalański Franciszek jako dyrektor fachowy, Czapik Józef, ks. Bryniarski Tomasz, Wiśniowski Franciszek i ks. Wawrzynowski Michał, jako członkowie — Sikora Antoni i Widlarz Piotr, jako zastępcy. Do rady nadzorczej wybrani: Kramarczyk Franciszek, Potoczek Stanisław, Stręk Wojciech, ks. Kuryniec Franciszek, Raj Antoni, Czapik Stanisław,

Schünke Emil, ks. Komorek, Rajda Jan, dr. Adelman Emil i Foltyn Franciszek.

Serdecznemi słowami pożegnania i podziękowania zamknął przewodniczący, p. Czapik, zgromadzenie.

Poseł-włościanin.

»Przyjaciel« opowiadał wam, mili bracia, w kwietniu jeszcze o głównych wypadkach z życia włościanina, Jana Orzechowskiego, posła do Rady pastwa, a dziś podaje list p. Kramarczyka, posła na sejm, pragnąc byście lepiej poznali tego zacnego, godnego miłości i szacunku człowieka. List ten został nadesłany do redakcji »Chaty», którą odbierał przez 13 lat pod adresem: »Franciszek Kramarczyk, syn wieśniaczy».

»Rzeczywiście byłem wówczas synem wieśniaczym, pisze p. Kramarczyk, liczyłem lat 22, pracowałem pługiem, kosą i cepem na 49-morgowem gospodarstwie u śp. rodziców moich, a obok tej pracy mojej prowadziłem dość liczną pasiekę pszczelną, którą sobie w 16 roku życia mojego już założyłem za własny grosz uzbierany, począwszy od dzieciństwa, i wydoskonaliwszy się sam według zakupionych książek Lubienieckiego o pszczelnictwie. Dalej obok tych prac w wolnych chwilach od robót gospodarczych, prowadziłem krawiectwo, którego się przez trzy lata poprzednio, tj. po skończeniu szkoły ludowej u bardzo porządnego majstra wyuczyłem, i tak jak świat poznałem, nie miałem nic innego na myśli, li tylko nauki; lecz ponieważ śp. rodzice moi, pomimo próśb i płaczu, do szkół wyższych oddać mnie nie chcieli, przeto postanowiłem sam nad sobą pracować i kształcić się w tem, co do życia wiejskiego jest potrzebne.

Takie życie moje ciche i skromne niedługo mogło pozostać w zaciszu, bo oto jeszcze byłem parobczakiem przy moim ojcu, a już Rada gminna w Osieku jednogłośnie postanowiła mnie powołać na sekretarza gminy, ja jednak opierałem się bardzo temu powołaniu i pod żadnym warunkiem zaszczytu tego przyjąć nie chciałem. Lecz kiedy już śp. ks. proboszcz i śp. pan nauczyciel mój, zaczęli mi przedkładać korzyści z pracy tej, więc niejako byłem zmuszony przyjąć tak wielki ciężar, jaki cała gmina na mnie włożyła. Po przyjęciu jednak tegoż obowiązku zacząłem pracować mocno z pomocą Bożą i rzeczywiście za jeden rok praktyki pojąłem dokładnie cały skład prowadzenia gminy, zrozumiałem dobrze ustawę gminną i administracyjną i umiałem się zastosować na każdym kroku w sprawach gminnych i policyjnych, jak tego mój obowiązek wymagał. Po trzech latach pisarstwa mojego, kiedym już doszedł do pełnoletności, a ojciec mój umierając, legował mi 10 morgów gruntu, jako część na mnie przypadłą, natenczas powołano mnie do grona pp. radnych i tak jako sekretarz gminy i członek Rady gminnej pracowałem bez przerwy do r. 1885, tj. przez lat 9. W tymże zaś r. 1885. dopiero gmina zwaliła na barki moje cały już ciężar gminy, bo zrobiła naczelnikiem gminy, który to ciężar jako — naczelnik gminy i sam do tego prowadzący kancelarję gminną, tj. pisarstwo — od r. 1885 bez przerwy prowadzę. Co się zaś tyczy stosunków gospodarskich, to mój dział ojczysty, 10 morgowy odstąpiłem bratu mojemu, a sam, pracując zawsze uczciwie i oszczędnie przy pomocy Bożej i żony mojej, złożyliśmy piękny kapitał, bo około 10.000 złr. i wykupiliśmy z rąk innowierców bardzo piękny majątek, położony w naszej wiosce, obejmujący 70 morgów samej ornej ziemi wraz

z budynkami, na które dopożyczyliśmy pieniędzy do spłacenia na raty.

Otóż w tak krótkich latach, przy tak ciągłej pracy, to około dobra gminy, to około podniesienia gospodarstwa własnego, daruje mi szan. Redakcja, żem mało kiedy mógł być wolny, by nawet jakąś, choćby i ważną rzecz do waszego pisma mógł napisać. Lecz dzisiaj, kiedy rzeczywisty cud stał się u nas w powiecie bialskim na d. 2. lipca, w on dzień wielki nawiedzenia Najś. Panny Marji, kiedy bez żadnych agitacji ze strony mojej zostałem wybrany posłem na Sejm krajowy 79 przeciw 60 głosom, które otrzymał nasz dawny poseł i marszałek Rady pow. p. Klucki, więc dziś już zamilczeć mi dalej nie idzie, ażeby szan. Redakcja, która mnie już 13 lat karmi swojemi radami, nie miała o tem wiedzieć, że w gronie swoich stałych prenumeratorów posiada dzisiaj jednego włościanina, który za parę tygodni, jeżeli Bóg pozwoli, odwiedzi was osobiście i to jako poseł sejmowy i podziękuje wam za tyle, tak ciągłej i wytrwałej pracy około oświaty tego wieśniaczego ludu.

Jaki zaś był powód do poznania mnie w całym powiecie bialskim, jaką pracę, jakie zasługi tutaj mogłem położyć dla całego powiatu jako wójt pojedynczej gminy, co wycierpiałem, z kim się ścierałem, jakie silne walki na każdym kroku staczać musiałem i jakie zabiegi były, abym jako poseł wyjść nie mógł, na to wszystko rzućmy zasłonę, aby mnie przez to kto nie zarzucił słowa onego mędrca, który mówi, »że własna chwała niczem jest«. Stanąłem zaś jako kandydat na posła, sami włościanie bowiem tego chcieli. To zaś, com napisał o początkach z młodości mojej, jest wszystko bez żadnej przesady, i chciałem tylko dać poznać szanownym czytelnikom, jak młodość każdego człowieka jest drogim, nieoszacowanym skarbem w koronie doczesnego i wiecznego życia, i jak każdy powinien dbać o swoje wykształcenie i ciągle pracować nad stanem swoim i to jedynie tylko z pomocą Pana Boga, bo kto ciągle z Bogiem idzie, więc Bóg z nim zawsze będzie.

Ale dobrze, powie mi ktoś z czytelników »Chaty«: »no, pięknieś się szan. nasz pośle sejmowy, rozpisał i dał nam poznać, kto jesteś i kim byłeś, ale kto wie, jakie masz zapatrywanie na sprawy publiczne, jak znasz dobrze stosunki włościańskie, które ustawy nas za bardzo gniotą, co i jakby należało poprawić?

O, szanowni współbracia rolnicy i rzemieślnicy, jeżeli dotychczas jako młody, bo 35 lat liczący, byłem wszystkiem, czem tylko bez większych nauk syn wieśniaczy mógł być, i jak to mówią, na wozie i pod wozem, bo kto trzy lata terminu w rzemiośle odbył, kto później parę lat jak zagrodnik 10 morgowy, a obecnie jako gospodarz większego gruntu, a do tego kierujący sprawami publicznemi już lat 13. przeszło, pracował, ten wiele się nauczył. W pierwszym wypadku, jako prosty włościanin, znam doskonale, co to za raj ucieszny, być dzisiaj rzemieślnikiem lub rolnikiem, a prawdziwego hartu duszy potrzebowałem, kiedy z jednej strony trzeba było zmusić lud do porządku gminnego, a z drugiej go bronić.

Bądźcie, szanowni bracia włościanie, pewni, że nietylko powiat Bialski, który mnie wybrał, będę zastępował, nietylko sprawę waszą, sprawę włościan jako najżywotniejszą siłę i podstawę całego kraju, lecz sprawy całej Galicji, całego kraju będą mi na sercu leżeć. To tylko może mnie zasmucać, że włościan uczciwych i rzetelnych i znających stosunki administracyjne i autonomiczne wejdzie do Sejmu za mało·

Wielka szkoda Ciebie, zacny rolniku p. Janie Skwaro, żeście nie mogli przejść razem ze mną. Wy mnie nie znacie, ja was znam z wystawy krakowskiej z r. 1887.

A zatem, kiedy już tak los pokierował, żeśmy się nie mogli razem połączyć do wspólnej pracy, to przynajmniej proszę Was, abyście choć czasem swoje zapatrywania na sprawy publiczne opisali, a ja Wam chętnie na nie odpowiem i tak przez wymianę dobrych zdań naszych możemy rozbudzić ducha w naszych współczytelnikach i niejedno dobre zdanie, które dzisiaj jest przywalone grubą warstwą snu głębokiego, możemy z łatwością na jaw wydostać«.

Z wielką radością zapewne odczytaliście piękny ten list, mili czytelnicy i weselej wam się zrobi na sercu, gdy pomyślicie, że choć kilku posłów będzie broniło szczerze interesów waszych w Sejmie. A na przyszłe wybory, to z pewnością nie dacie się oszukać i złudzić wielkim panom, bo to za drogo kosztuje i za bardzo później boli.

Wybory w Nisku.

Pisaliśmy w nrze 9. „Przyjaciela“, o tem, co Jachym wyrabiał z mandatem swoim poselskim. Wskutek jego rezygnacji, następnie odwołania rezygnacji, a w końcu cofnięcia odwołania, odbyły się w Nisku powtórne wybory, o których pewien poczciwy człowiek tak opowiada:

„Dowiedziawszy się o wyborach, mających się powtórnie, mimo odwołania rezygnacji przez Walentego Jachyma, odbyć w Nisku 20. sierpnia, udałem się tam pocztą, aby się przejrzyć, w jaki to sposób reprezentanci naszego biednego ludu uzyskują mandaty.

W Kamieniu przysiadł się do mnie jeden z prawyborców, poważny gospodarz z Kamienia, a członek Wydziału powiatowego w Nisku. Można sobie wyobrazić moją radość z tak pożądanego towarzysza podróży; to też poczęstowawszy go cygarem, wdałem się zaraz w pogawędkę — naturalnie o wyborach, które nas wtedy najwięcej interesowały. Dowiedziałem się też od niego wiele ciekawych rzeczy.

Otóż przed pierwszymi wyborami, gdy p. Stanisław Jędrzejowicz zdawał przed wyborcami sprawozdanie sejmowe, interpelowano go, czy to prawda, że jako referent ustawy drogowej w Sejmie, przyczynił się najwięcej do ustawy nowej drogowej. — Na to im kandydat odpowiedział, że prawda, ale zapewnił, że teraz, gdy go wybiorą, ustawę tę zmieni.

Towarzysz mój, ów gospodarz z Kamienia, był przez komitet przedwyborczy wydelegowany wraz z innymi do marszałka powiatu niskiego hr. Hompescha, który ludzkiem postępowaniem zjednał sobie naszą miłość i zaufanie, w celu uproszenia go, by przyjął mandat na posła do Sejmu; lecz hr. Hompesch odpowiedział, że nie może przyjąć mandatu, dla nieznajomości polskiego języka; — do Rady państwa to co innego, bo tam mówią po niemiecku. A gdy go radzili się, kogo mają wybrać, wskazał im p. Stanisława Jędrzejowicza; lecz na to oznajmili delegaci, że p. Jędrzejowicza nie chcą i oświadczyli, że jeżeli nie przyjmie ich mandatu p. Kostheim, to wybiorą chłopa. Na to hr. Hompesch odpowiedział: „To dobrze, to wybierzcie sobie chłopa“. I tak się też stało. Pomimo, że p. Jędrzejowicz za pośrednictwem całej zgrai szynkarzy poił chłopów i płacił

za głosy, jednak wybraliśmy chłopa, Walentego Jachyma, który także jest członkiem wydziału powiatowego, i jako wysłużony sierżant wojskowy i umiejący dobrze pisać, zdawał nam się za najodpowiedniejszego na posła.

Jachym, gdy został wybranym, ofiarował 25 guldenów na poczęstunek wyborców, lecz wyekspensował tylko 17, a 8 mu zwrócono, mówiąc, by to schował, bo sam ma nie wiele.

Dalej opowiadał mi towarzysz, że nie wie, co to się stało, że Jachym zrezygnował, za co chłopi są na Jachyma oburzeni i zarzucają mu, że ich „sprzedał“!

Na to ja odpowiedziałem mu, że wpłynąłem na Jachyma, że cofnął rezygnację; — ale widać nie chcieli przyjąć cofnięcia, kiedy rozpisali nowe wybory; więc zapytałem mego towarzysza: kogo na nowo wybiorą — i dlaczego sam nie stanie jako kandydat?

Odpowiedział mi na to: „Ja nie umiem pisać, ni czytać, więc w Sejmie na nicbym się nie przydał, choć poważanie mam większe od Jachyma, a przy pierwszych wyborach, chociaż sam musiałem głosować za Jędrzejowiczem, ale powiedziałem innym, by głosowali na Jachyma.

„Teraz powtórnie go nie wybiorą, bo są na Jachyma bardzo rozgniewani, że ich sprzedał, ale też i Jędrzejowicza pewnie nie wybiorą, bo byłem w Ulanowie, Rudniku — a chociaż prawyborcy pili po gospodach na rachunek p. Jędrzejowicza, ale mówili, że głosować na niego nie będą; za p. Jędrzejowiczem będą tylko wyborcy z Niska, księża, żydzi, burmistrz z Ulanowa i rewizor bydła, były żandarm z Kamienia; a chłopi za kim będą głosować, tego jeszcze nie wiem, dopiero gdy zejdą się w Nisku, to przed wyborami się naradzą“.

I tak gawędząc, o 3. rano stanęliśmy w Nisku.

Przed 7. zbudził mię gospodarz, mówiąc, że już goście się schodzą, więc też ubrałem się i poszedłem do Kaspra na kawę.

Przypatrywałem się z daleka. jak wyborcy się gromadzili, a żydzi między nimi się uwijali, agitując za Jędrzejowiczem, lecz chłopi go nie chcieli i zmawiali się głosować na hr. Hompescha; a gdy sekretarz rady powiatowej oświadczył im w imieniu hrabiego, że ten wyboru nie przyjmie, byli rozbici; jedni obstawali przy Hompeschu, a drudzy postawili na kandydata jednego z chłopów, ale żydzi zaraz ich wyśmiali wołając: osły!

Aż dopiero, gdy jeden z żydów w materjalnym chałacie z zajadłością zaczął lżyć chłopów i zapewniać, że p. namiestnik życzy sobie, by był wybrany p. Jędrzejowicz, więc musi być wybranym i gdy odgrażał się żandarmami na tych, co chcieli innego, dopiero wtedy podszedłem do kłócących się i zapytałem, co to za jeden; przytem oświadczyłem, iż za takie agitowanie ustawa karze od 1 do 6 miesięcznym aresztem, wtedy dopiero ten zajadły agitator, Uszer Amster, piwowar z Niska, nieco się umitygował, a wyborcy podążyli do lokalu starostwa.

Chciałem i ja tam pójść, lecz nie wpuszczono mnie, jako niemającego karty wyborczej (p. Jędrzejowicz już od 7. rano był tam, choć także nie miał karty). Nie tylko na nic się nie przydała moja uwaga, iż wybory winne być publiczne, ale nawet i przez okno nie pozwolono mi przypatrywać się wyborom.

Wyborcy z chłopów, idąc do starostwa, byli przeciwni wyborowi p. Jędrzejowicza i

dopiero tam jakoś ich przerobiono i przekonano, że głosowali za nim, bo wyszedł bardzo znaczną większością głosów.

Przy wyborach Jachym wcale się nie pokazał, tylko nadesłał mi posłańcem list, w którym mi doniósł, że odwołanie rezygnacji było o jeden dzień spóźnione.

Po wyborach, ukończonych o 11. przed południem, wyczekując na pocztę, odchodzącą o 3. popołudniu, miałem sposobność patrzyć na niemiły widok ucztujących wyborców, biedniejszych po szynkach, a bogatszych wraz z nowo wybranym posłem w handlu Kaspra.

P. Jędrzejowicz, ucieszony mandatem, tak hojnie częstował swych wyborców, że podchmieleni pp. Amstery wszystkich gwałtem częstowali; o 2. już tylko ochrypłe głosy od Kaspra się wydobywały.

Na poczcie widziałem, jak wypłacano znaczną kwotę pieniężną jednemu z dostojników wyborczych bez stwierdzenia odbioru.

Gospodarz z Kamienia, wożący pocztę, z którym przyjechałem do Niska i miałem wracać, z tego żalu, że wybrali p. Jędrzejowicza, tak się upił, że tylko od czasu do czasu machał ręką, mówiąc: sprzedali nas! Przez całą drogę do Kamienia musiałem go pilnie strzedz, by z kozła nie zleciał, lub do rowu nie zajechał".

Kółka rolnicze.

W miesiącu sierpniu b. r. zawiadomiły Zarząd główny Towarzystwa o swojem zawiązaniu następujące Kółka: 443) Rzochów powiat Mielec, zawiązał p. Michał Krawczyk, akademik z p. Mateuszem Wydro, burmistrzem i radnemi gminy, 444) Pstrągowa pow. Ropczyce założył ks. Józef Fyda tamtejszy wikary, 445) Kamienopol pow. Lwów, zawiązał p. Lange Jan nauczyciel przy współudziale p. Edwarda Ubysza, właśc. dóbr. 446) Złotniki pow. Mielec założyli pp. Jan Gerlach, nauczyciel i naczelnik gminy Adam Duszkiewicz, 447) Biesiadki pow. Brzesko założył p. J. Sikorski z naczelnikiem gminy p. Józefem Niemcem. 448) Jeleń pow. Chrzanów, założył p. Jan Jarosz nauczyciel przy współudziale ks. Proboszcza Jana Bobka i całej gminy.

Jako członkowie wspierający przystąpili do Towarzystwa pp. Mieczysław Grzybowski właśc. realn. w Smerehowie i Jan Szczęsny Sikorski prof. z Dublan.

W miesiącu grudniu otrzymał Zarząd główny subwencje:

a) na cele ogólne; od galic. Kasy o szczędności we Lwowie złr. 200 i Wydziału Rady powiatowej w Rudkach złr. 15.

b) na wydawnictwo »Przewodnika»; od Komitetu c. k. Towarz. rolniczego w Krakowie złr. 50, od Oddziału Towarzystwa gospodarskiego w Żółkwi złr. 5, oprócz tego na powyższy cel nadesłali: ks. Franciszek Lacroix dziekan w Radłowie złr, 4. pp. Antoni Rozmanit z Krakowa złr. 1, Jan Lebenstein z Krakowa złr. 1. i August Charzewski z Przemyśla złr. 1., a Oddział podolski Towarzystwa gospodarskiego zaprenumerował dla Kółek rolniczych powiatu Buczackiego i Husiatyńskiego 12 egz. »Przewodnika«, przesyłając na ten cel złr. 12. Zarząd główny składa za powyższe dary Szanownym ofiarodawcom serdeczne podziękowania.

Poradnik dla czytelń.

Ucieszne przygody dziada Florka i chłopca Beldonka w drodze do Częstochowy opowiedział A. Dygas.

Ten A. Dygas jest nie kim innym, tylko owym Adolfem Dygasińskim, o którego powiastce „Kuba Gąsior“ opowiadaliśmy wam, mili czytelnicy, w nr. 9. „Przyjaciela.

Beldonek był to sobie chłopak jeden — taki mały, brudny. Na przypiecku siadywał i kozikiem strugał a strugał patyki, bo okrutnie lubił to robić. Lubił także słuchać jak myszy piszczą pod nalepą i jak wiatr śwista i niby gra po dworze.

Przyszło jakieś złe powietrze i umarł ojciec temu chłopakowi. Za ojcem poszła i matula. Zbeczał się biedak strasznie, bo bardzo kochał matusię.

Po pogrzebie wziął sierotę do swojej chałupy stryjek Matus. Z początku było mu tam dobrze, ale później zaczęli zapędzać do ciężkiej roboty i chłopak często żałował, że się matusinej zapaski nie czepił i z nią na tamten świat nie poszedł.

Pewnego razu świnki, co im niósł jeść, wpadły mu hurmem pod nogi, pchnęły i przewaliły go na ziemię. Beldonka z tego bólu złość porwała, łap jedną świnkę za ucho i pięścią ją młóci. Świnka w kwik, a tu wylatuje stryjna i setnie go skatowała, a stryjek powrozem tak ściągnął go uczciwie, że chłopak z bólu aż posiniał na gębie. Jak się wyrwał od stryjka, tak głośno rycząc wypadł na chłopskie grunta, przeleciał miedzami i pobiegł drogą het, przed siebie. Dopiero nad wieczorem się uspokoił i powiada sobie. — Nie wrócę ja już do nich, nie, pójdę kaj bądź, a do nich nie wrócę!

Idzie dalej i śpiewa:

„Matuś, moja matuś,
Już ty w grobie leżysz,
Ja się poniewieram,
Może o tem nie wiesz“

I chce mu się koniecznie dójść na tamten świat. A tu słonko jeno mig, mig, gasło tak, nikiej łuczywo, jak się już dopala i zgasło. Na łąkach mgła dźwiga się w górę, jak białe rańtuchy i chodzi po powietrzu jak żywa. Beldonek siadł na miedzy, patrzył, patrzył w te mgły i zasnął.

Przebałamucił się jeszcze po la sach polach dwa dni i chciał już lecić do chałupy, bo mu się okrutnie cniło bez chleba i warzy, aż widzi pod drzewem siedzi dziadek z brodą siwiuśką do samego pasa.

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki.

Słowo za słowem rozgadali się. Beldonek wszystko wyśpiewał temu dziadkowi, a dziadek na to:

— Ha, no, kiedy ci tak źle na świecie, to się zabierz i chodź ze mną, zażyjesz świata i obaczysz, kaj co jest, bo idę właśnie do Częstochowy na odpust.

I poszli.

Rozmaicie im tam w drodze bywało. Dziadek Florek umiał wszystkich chwycić za serce i do torby wpadały im często i pieniądze, i partyki chleba, i skrawki skórki ze szperki. A jak trzeba było, to zamrużył oczy i był niby ślepy, żeby baby prędzej się wzruszyły i więcej dały.

Florek kazał Beldonkowi jedną torbę nosić, nauczył go święte pieśni spiewać i prosić cienkim, beczącym głosem jałmużny. Ale nauczył go oni innych rzeczy, ot jak na ten przykład: kazał mu z cudzego pola koło drogi kartofle kraść. Bo ten dziad był to wielki filut i miał już sporo grosiwa. Pewnego razu w lesie Florek zobaczył, jak dziad odszedłszy na stronę w gęstwinę, usiadł sobie na ziemi, rozłożył torbę papierowych pieniędzy, poukładał to precz porządkiem

naokoło po trawie, na kolanach i musi coś kalkulował w głowie, a jak tylko spostrzegł Beldonka, tak odrazu zerwał się na równe nogi, zgarnął te papiery i włożył je w zanadrze, gdzie nosił takoż szkaplerz.

Wiele ciekawych rzeczy widział Beldonek w drodze do Częstochowy: i ludzi rozmaitych. i klasztory, i także wielkie miasta, że mu się w głowie pomieścić nie mogło, że to wszystko na jawie prawda, i że nie śmiał nawet pary z siebie puścić. Aż nakoniec niedaleko od Częstochowy spotkali kompanję pobożnych ludzi, którym w drodze umarł przewodnik. Tak dziad zaraz mówi do nich:

— Jabym was może i poprowadził, żebyście mnie jeno chcieli słuchać...

Baby zaraz między sobą rada w radę, żeby koniecznie poprowadził, bo ten Florek okrutnie się im spodobał bez to, że miał bieluśką brodę jak święty Józefek. Złożyli się ci ludzie zaraz, coby takiego przewodnictwa nie było za darmochę i Florek poprowadził tę kompanję.

Mijają las, patrzą z górki, a tu w dali przed nimi widać wieżycę, kopułę, a na wierzchu świecił się w słońcu krzyżyk, nikiej cudowna gwiazda. Tak cała kompanja w płacz, w krzyk, w szlochanie. Ludzie na kolana padają, biją się w piersi; widać każdy miał swoje bóle, cierpotę jakową, albo strapienie okrutne. A potem zaśpiewali:

Witaj, królowo nieba i matko litości.

Witaj, nadziejo nasza w smutku i żałości!...

Beldonek, kiedy wszedł do kościoła nie miał śmiałości nawet spojrzeć na obrazy, tyla się chylił do ziemi. A jak spojrzał w wielki ołtarz, tak omal nie zemdlał i tak się zczulił, że choć przecie umiał siła różnych modlitw i pieśni, to nawet pacierza zmówić nie mógł, tylko w cichości powtarzał: „Zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad nami!“

A tu Florek jego trąca:

— Wychodź ze mną z kościoła, mówi, bo musimy swoje robić.

Wyszli za bramę, a dziadów tam była ćma ogromna, obsiedli cudowną górę i w niebogłosy krzyczeli do miłosierdzia ludzkiego. A kłócą się między sobą, a odbierają sobie jałmużnę, a biją się. A najgorzej wszystkich oszukuje to Florek. Beldonkowi kazał się sadowić przy takim dziadku, co już na wieki oślepł, żeby, jak kto ciśnie pieniądz takiemu ślepcowi, żwawo go chwytać.

Siedzi Beldonek i patrzy, a tu idzie pan jeden, cały bieluśko ubrany jak gęś jaka, tyla mu z boku wyglądał świecący łańcuch — musi być bogacz jakiś. Widzi Beldonek, że temu panu coś upadło, a Florek czemprędzej to chwycił i do zanadrza schował. Ale ten pan zaraz zobaczył, że zgubił pulares, wraca tedy i pyta, czy kto nie znalazł. Inne dziady bez złość na Florka pokazały. Dziad ostro się stawiał i krzyczał, ale przyszli policjanci, odebrali pulares, zabrali Florka i gdzieś schowali.

Beldonkowi markotno się trochę zrobiło, jak dziada nie stało, ale później natknął się na baby z onej kompanji, co z nimi przyszła, pilnował się ich, łaził z niemi na nabożeństwa, obejrzał wszystko doskonale, przebył cały odpust, a później przy pomocy dobrych ludzi do swojej wioski powrócił. Ledwie się Beldonek u swoich pokazał, zaraz go wszyscy z ogromną szczerością witali. Chłopak precz opowiadał różne historje, bo kupę świata widział, ale i to mawiał, że, choby mu stryjna jeszcze kiedy skórę wyłoiła, toby drugi raz na wędrówkę z dziadami nie poszedł.

DALEKA MOGIŁA.

W kwitnącym sadzie, stał domek stary, szary, trochę krzywy.

Pewnego kwietniowego poranku po raz pierwszy zobaczyłam i poznałam właściciela

tego domku, Stał on w sadzie, tuż przy domku, plecami oparty o gruby pień wiązu i odpoczywał po pracy. Wysoki, barczysty w kapocie, której poły opadały na zrudziałe cholewy obuwia, w czworokątnej czapce, baraniem futrem oszytej, zdala już wyglądał na silnego wyrobnika ziemi, na oracza i siewcę tych pól szerokich, płaskich, które miejscami ciemne jak chleb razowy, a miejscami od młodej runi zielone, cicho teraz drzemały pod złotym płaszczem słońca. Kiedy się zbliżyłam ku niemu, na pozdrowienie moje odpowiedział grzecznem pozdrowieniem i wskazał spory płaski kamień, tuż przy chropowatej ścianie domku leżący:

— Proszę usiąść i spocząć, — zaprosił.

Fajkę, z której popiół wytrząsł, do kieszeni kapoty schował, stopą zadeptał kilka na trawę upadłych iskier i zaczęliśmy rozmawiać o tem, co słychać w mieście, jak tam ludzie żyją, co robią. Na drzewach tymczasem ptaszki śpiewały, na dachu gołębie gruchały, na płocie piał kogut. Aż nagle dał się słyszeć śród szerokiego pola głos ludzki, męzki, młody, czysty, który śpiewał bardzo piękną pieśń i zagłuszył wszystkie ptaki.

Gospodarz ku polom spojrzał, i rzekł z uśmiechem.

— A to już Kazio pieśni swoje wywodzić zaczął. Młodemu, a głupiemu tylko śpiewanie w głowie...

Na polu, po zagonie, szedł człowiek i jedną ręką trzymał u piersi okrągłą kobiałkę ze słomy, drugą rzucał na zagon ziarna bujne. żółte, okrągłe, które wciąż padały na ciemne puchy ziemi.

— Czy to syn wasz, panie gospodarzu? spytałam.

— A jakże! groch sieje. Trochę to już na tę siejbę i spóźniona pora, ale inaczej nie było można, bo przymrozki ziemię chwytały. A groch, widzi pani, to takie ziarno, że jak pod przymrozki je rzucić, z całego zasiewu nic nie będzie...

Mówiąc to stary człowiek ku polom wciąż patrzał.

— Cały to mój gospodarz i wyręczyciel ten Kazio... Wczas też wyrósł, bo choć dusza i chętliwa byłaby jeszcze do pracy, ciało domaga się odpocznienia. A jakże!

Smiał się z radości, patrząc na młodego, pięknego i silnego syna, a potem zaczął mi opowiadać o swoich dzieciach.

Siedmioro ich Pan Bóg mu był dał, ale dwoje zawczasu też odebrał, z pięciu zaś pozostałych troje w świat poszło, a dwoje najmłodszych w domu ostało. Już to na zawsze jeden tylko Kazio przy nim ostanie, bo ostatnia córka Jadwisia, tak samo, jak starsze siostry, niebawem pewnie za mąż pójdzie.

Dwoje najmłodszych dzieci wyrosło bez matki, która wprędce po urodzeniu Jadwisi, więc ośmnaście lat temu, umarła. On im był tedy i ojcem i matką, ale że, przy roli pracując, nie zawsze miał czas ich doglądać, jedne drugim niańkami były.

Spytałam ile posiada ziemi. Odpowiedział, że ma jej morgów osiem.

— Nie jest to wiele, ale i nie mało — mówił. — Ludzie mniej mają a żyją. I my chwała Bogu, od dziadów pradziadów żyli tu, łaski bozkiej tylko potrzebując. Jedna tylko bieda, że w bezleśnych stronach drzewo drogie, tedy chatę wyreperować i gumno nowe postawić niełatwo.

Ale nad tym kłopotem niech już sobie Kazio głowę łamie. On tu gospodarzem teraz jest i zawsze ostanie. Ożeni się, może z posagiem dziewczynę weźmie, a jeżeli nie, to jakkolwiek tam tę biedę z chatą i gumnem zmoże. Wprędce też pewno i ożeni się, bo gdy Jadwisia za mąż pójdzie, pusto i smutnie zrobi się w chacie.

Żartowałam, że wkrótce wnuki mieć będzie, od których w tym sadzie i na tym podwórku zrobi się wesoło, wesoło!

— A jakże! zaśmiał się, już to inaczej nie może być! Już tak być musi, aby i staremu robota jaka na świecie była! Choćby wnuki kołysać!...

— I całować! — dorzuciłam.

— A jakże! i bez tego nie obejdzie się pewno! Niema kochania, bez całowania!

W tej chwili niespodzianie i gdzieś bardzo blizko, silny, głos jakiś, na nutę skoczną i raźną huknął.

— „Hej, dziewczyno kochana
Czemuś taka spłakana,
Czy rozbiłaś dzban może?...“

Wydało mi się, że ta piosnka nad samą głową moją wybuchnęła, ale gdy twarz ku sadowi obróciłam, przekonałam się, że zabrzmiała ona za gęstemi splotami grubej jabłoni, z poza których wyszedł ten sam chłopak, który przed kwadransem siał groch na polu i, z głową podniesioną w górę, na gołębie może, który strzechę oblatywały spoglądając, śpiewał dalej;

— „Pozwól, chwacko się sprawię
Ślicznie dzbanek naprawię,
Tylko nie płacz...“

Teraz, spostrzegłszy osobę obcą, u ściany domu siedzącą, umilkł i na chwilę pod kwitnącą jabłonią stanął. Dąb to był nie mężczyzna, ale dąb, który żadnej zimy srogiej, ani ulewy, ani gromowego uderzenia jeszcze nie zaznał: młody, wysmukły, zgrabny. Pod białą koszulą plecy miał gładkie i wyprostowane, policzki ściągłe, ogorzałe i rumiane, pod ciemnemi brwiami duże oczy z siwą źrenicą. Wąs złotym puchem zaledwie wysypywał mu się nad koralową wargą, złotawe włosy świeciły z pod zgrabnej czapeczki. Szedł już ku domowi krokiem szerokim i giętkim, ręką, w której pustą kobiałkę trzymał, zamaszyście nieco u boku wymachując.

— Więcej tam pewnie na polu naśpiewałeś, niż nasiałeś! rzekł do niego ojciec żartobliwie. Aż wróble na dachu dziwowały się twojemu śpiewaniu. Ze trzy garnce grochu wysiałeś, co?

— Piękną pieśń, spiewałeś tam, w polu, rzekłam.

— A piękną, odparł chłopak z przekonaniem.

— Jakim sposobem jej się nauczyłeś?

— Jest napisana, — odpowiedział.

— Chciałabym ją całą przeczytać.

— Czemuż nie? — uprzejmie podjął stary i do syna się zwrócił.

— Idź-że, przynieś pani swoje pieśni!

Chłopak zawahał się, trochę jakby zawstydził.

— Nic tam osobliwego niema... — zaczął.

— Idź-że zaraz i przynieś! — powtórzył ojciec.

Szerokim, prędkim krokiem ku chacie poszedł, a po chwili trzymałam w ręku dwa spore zeszyty, z których jeden na okładce swej nosił napis: *Pieśni nabożne*, a drugi *Pieśni świeckie*. Okładki były stare, zbrudzone, połamane: papier żółty, siny, stary; pismo papier ten okrywające: niewprawne, koszlawe poplamione! Z nad tego papieru i pisma, wzrok na młodego człowieka podnosząc zapytałam:

— A nuty zkąd?

Wzruszył lekko ramionami.

— Czy ja wiem? — odpowiedział.

Ale po namyśle, z uśmiechem, w którym z za warg koralowych białe zęby mu błysnęły, a jednak i z powagą dokończył:

— One prawie w powietrzu są rozsypane, i kto sobie chce, ten je łapie!

* * *

Kilkanaście miesięcy minęło. Dzień był letni, skwarny, a długa i wązka ulica miejska wydawała się olbrzymim, dusznym piecem.

Na ulicy panowały ścisk, hałas i turkot. Nagle dał się słyszeć odgłos turkotu, do wszystkich innych turkotów niepodobnego i u skrętu ulicy w żółtej kurzawie, ukazała się artylerja opuszczająca miasto i wiozące za sobą wielkie mnóstwo armat.

W jednym z jeźdców, wiozących błyszczącą na słońcu armatę, poznałam Kazia, co niegdyś siał groch i śpiewał takie piękne pieśni.

Na jednym z dwu czarnych koni jak przykuty, jak kamienny, jak młody dąb silny, wysmukły i zgrabny siedział; przed nim inny człowiek w takiem samem ubraniu kierował parą drugą; a za nim, na żółtych kołach sunęła armata.

Od czasu jak go widziałam, zmienił się trochę: na twarzy schudł, w ramionach jeszcze poszerzał, bujniejszy wąs puścił się mu nad wargą.

Patrzał uważnie przed siebie, daleko. Co tam daleko spostrzegał? Chatę swoją? pola szerokie? gołębie nad strzechą? czy kraje nieznane? wysokie góry, bogate winnice, dolinę, zapełnioną kwitnącemi różami? czy bitwę? czy śmierć? Któż wiedzieć może? Na wojnę jechał, daleko na południo-wschód, daleko, aż do Turcji.

Sporo czasu minęło aż zobaczyłam znowu ojca Kazia z pługiem parą koni zaprzężonym, wychodzącego z zagrody. Postarzał bardzo, zmarszczki okryły mu twarz, kaszel dusił w piersiach.

— Pani wie... że Kazio zginął na wojnie, rzekł smutnie. Papier do mnie o tém przyszedł, a w tym papierze... tak i tak... pisali... taki i taki... z takiej i takiej wsi. Wtedy i wtedy... honoru dostąpił... w batalji od kuli... familji oświadczyć przykazano...

Umilkł.

Potem jakby nagle coś sobie przypomniał, na mnie spójrzenie zwrócił i zapytał:

— Niech pani będzie łaskawa mnie powiedzieć, w której to stronie znajduje się ta... Turcja? Ukazałam mu południowy, ku wschodowi zbliżony punkt widnokręgu. Domyślałam się, o co mu chodzi. Chciał wiedzieć dokładnie, w którą stronę za zniknionym synem oczy ma obracać.

Stary natychmtast też we wskazanym punkcie wzrok utkwił, patrzał, patrzał i głową powoli trząsł.

— Dalekoż... on pozostał... daleko... za lasami... za górami...

— I za doliną róż — dodałam.

— Za jaką doliną? — zapytał ciekawie

Nie chciałam mówić nieszczęśliwemu ojcu o górach ostrych, wąwozach nieprzebytych, wałach śnieżnych, przepaściach, których tak wiele w Turcyi, ale długo mówiłam mu o dolinie rajskiej, od krańca do krańca okrytej różami, których szkarłaty piękniejsze są niż królewskie purpury, a wonie słodkiemi snami kołyszą może głowy nawet umarłych.

— Cudności! — rzekł stary — cudności! A może i teraz choć w jesiennej porze, to róże tam kwitną?

— Ciągle, przez okrągły rok one kwitną, rzekłam umyślnie, bo chciałam żeby myślał, że synowi jego dobrze leżeć pod różami.

— To może on... pod temi różami? — zaszeptał.

— Najpewniej! — odpowiedziałam.

— To dobrze, to chwała Bogu! piękny nadgrobek... A za tą doliną... co tam?

— Za tą doliną są winnice, pyszne, pachnące, po zielonych wzgórzach rozpięte, złotemi gronami jagód osypane.

To już inaczej być nie może, — z rozwagą i stanowczością zaczął — albo na tej dolinie, albo za nią, albo pod różami, albo pod winnicami...

I wpadł w takie zamyślenie, że zupełnie o mnie zapominając, machinalnie położył dłonie na rączkach pługa, i na konie przeciągle zawołał:

— Heeej!

Konie ruszyły, lemiesz zarył się w ziemię, a na nim, ze zgarbionymi plecami i krokiem ciężkim, powolnym i smutnym postąpił ojciec Kazia... Silny powiew wiatru zakłębił nad nim mgłą chłodną i mokrą, i jak ciemne skrzydła rozwiał poły jego kapoty, a on szeptał:

— Może w dolinie... może za doliną róż!

Nędza z powodu zamknięcia targów.

Klęska, jaka dotknęła już i tak ubogi nasz kraj wskutek nieurodzajów ogólnych a bardziej jeszcze z braku paszy, w dziesięcioro się spotęgowała przez grasującą zarazę pyska i racic u bydła i trzody chlewnej. Wprawdzie bydło na tę zarazę nie ginie, a zapadłszy na nią w kilkunastu dniach ją przechodzi, najgorsze jednak skutki wywołuje kontumacja tudzież zamykanie targów i jarmarków.

W gospodarstwie rolnem mniejszej własności najważniejszym środkiem uzyskania grosza jest sprzedaż nierogacizny i bydła, a gdy to jest zabronionem, gospodarz nie ma czem opłacić podatków, gdyż jedyny sposób uzyskania funduszu na ten cel jest mu zabroniony. Ludzie głośno powiadają „niech sekwestrzy zabierają i sprzedają bydło za podatki“, gdyż ten sposób jedynie jest do zbycia bydło.

Gospodarze nie mają również czem płacić robotnika, wskutek tego pożyczają na procenta, a łudząc się sprzedażą bydła, wpadają w długi.

Wskutek nieurodzajów, a bardziej jeszcze z braku paszy, nie są w stanie bydło wyżywić a o przezimowaniu go i mowy być nie może. Bydło nędznieje, marnieje dla braku odpowiedniego wyżywienia, a wskutek tego traci na swej wartości. Strzechy chałup włościańskich w wielu miejscowościach przedstawiają się w opłakanym stanie, gdyż właściciele na podściółkę i sieczkę dla bydła pozdzierali poszycie, a dla braku słomy nie będą nawet mogli strzech na zimę na nowo pokryć.

Ponieważ zaś różne dodatki, daniny i należytości ludność pokryć musi. a niemiej też na opędzenie swych domowych potrzeb, fundusze są jej potrzebne, nie mogąc zbyć coś z bydła — czemprędzej wymłaca tegoroczny i tak lichy zapas zboża, by takowy sprzedać.

Wobec jednego lub kilku wypadków zarazy w jednej gminie zamykają targi, jarmarki tudzież przepęd bydła na takowe w 30—40 gminach okolicznych, a zanim po jednym wypadku przejdzie zaraza przez całą gminę, trwać będzie w nieskończoność zamknięcie targów, oraz zakaz wypędzania bydła i świń ze wszystkich 30—40 gminach, chociażby tu bydło było najzdrowsze. Żeby zaradzić złemu, trzeba by postanowić, aby zamkniętą była ta gmina, w której panuje zaraza, i wreszcie najbliższe sąsiadujące gminy, a innym gminom przypędzanie bydła było dozwolone, lub w inny jeszcze sposób, który nasi włościanie sami swoim chłopskim rozumem wymyślili, mianowicie: radzą, by, jeżeli jeden lub więcej wypadków tej zarazy pokaże się w pewnej gminie natychmiast zarazić część lub całą gminę, a w ten sposób odrazu całe, bydło w dniach kilkunastu przejdzie słabość, która nie jest niebezpieczną, bo na zarazę pyskową bydło wcale nie ginie.

KRONIKA.

Dobry przykład. Gdy po wielu miasteczkach nie zaprowadzono jeszcze dotychczas straży pożarnych, nic więc dziwnego, że nie posiadają ich i nasze gminy wiejskie. Aby jednak przynajmniej częściowo niedostatek ów zmniejszyć, starosta w Kocmaniu na Bukowinie p. Mieczysław Zachar, dał przykład prawdziwego uznania i naśladowania godny. Jeszcze w ubiegłym roku sprowadził on z Wiednia sikawkę dla własnego użytku; następnie zawołał do Kocmania naczelników gmin całego powiatu i w ich obecności kazał czynić próby z sikawką. Kiedy wszyscy przekonali się naocznie o użyteczności przyrządu, zaproponował, ażeby każda gmina zakupiła sobie przynajmiej jedną sikawkę, przyczem przyrzekł postarać się u fabrykanta o ulgi w wypłacie. Naczelnicy gmin istotnie poszli za tą radą i każda wioska zakupiła sikawkę, wypłacając ją w trzech ratach po 28 złr. 33 ct.

O dobrych rezultatach tego zarządzenia mieliśmy sposobność przekonać się temi dniami. Dn. 10. bm. w samo południe wybuchł pożar w chacie jednego z tutejszych włościan. Niebezpieczeństwo było tem większe, że skutkiem posuchy, trudno było o znaczniejszą ilość wody, wiele bowiem studni wyschło, a i w stawach wody mało. Jednakże w chwili największego niebezpieczeństwa przybył p. Jan Dobrowolski z sikawką gminną i przy wybornej pomocy miejscowych żandarmów przystąpiono do lokalizowania, a następnie gaszenia ognia, co też powiodło się w zupełności przy stosunkowo małem użyciu wody. Doskonała działalność sikawki przekonała wieśniaków o jej wielkiej użyteczności tak dalece, że niejeden z gospodarzy postanowił dla własnego użytku zakupić sobie taką samą. Tak więc starania gorliwego starosty wydają jak najlepsze rezultaty, oby też i u nas znalazła jak najwięcej naśladowców.

Straszna nędza panuje w pow. turczańskim. Wskutek wielkiej posuchy ani na wiosnę, ani w lecie nie było paszy dla bydła i teraz jej niema i

na zimę nie będzie. Owsy w górach są tak nędzne, że niema co i kosić. Zaraza pyskowa i raciczna panuje w całym powiecie. Lecz ten nieurodzaj i zaraza niczem są jeszcze wobec panującej choroby czerwonki, która od 10. tygodni dziesiątkuje ludność. W trzydziestu wsiach mrą ludzie na tę chorobę nadzwyczajnie. W Zawadce na 700 mieszkańców umarło dotychczas 80 na czerwonkę. Tak samo dzieje się w Turce, w Rozłuczu, w Jaworzu: mrą starzy i dzieci, ratunku zaś znikąd niema. Wprawdzie jest trzech lekarzy w Turce, ale lud nie wzywa lekarza, gdyż niema czem płacić i za mało jest lekarzy w takich razach, a zresztą cóż może lekarz zapisać za lekarstwo, jeżeli mu nie wolno droższego używać jak za 18 ct. chyba, że sam zapłaci.

W naszych górach nie rodzi się nic prócz ziemniaków. Jak nasz bojko ma ziemniaki i kapustę o innem pożywieniu nawet nie marzy; ludność żywi się więc prawie wyłącznie ziemniakami — a gdy tych zabraknie — to nastaje głód. Dwadzieścia procent ludności, — to jest na każdą setkę ludzi dwudziestu — je ziemniaki nawet bez soli, gdyż niema za co soli kupić. Kobiety karmią swe dzieci po dwa i po trzy lata piersią, gdyż nie mają dzieciom dać co zjeść. W innych powiatach przecież ludność doznaje jakiegoś ratunku: to zakładają szkoły przemysłowe, to kasy pożyczkowe, w turczańskim niema żadnej pomocy.

Jak prusaki uczą dzieci polskie. Znowu mamy do opowiedzenia o brutalnem pobiciu dziecka w szkole przez nauczyciela niemca. D. 30. sierpnia, stawał przed tutejszą Izbą karną nauczyciel Bernard Bayer z Sarbinowa, oskarżony o pobicie w szkole d. 13. marca br. czternastoletniego chłopaka, Wacława Abramowskiego z Paczkowa. W dniu wspomnianym było do rozwiązania w szkole sarbinowskiej zadanie rachunkowe (naturalnie po niemiecku), którego rozwiązać Abramowski nie umiał, za co otrzymał kilka porządnych „łap“. Następnie, mimo że prosił nauczyciela, aby go nie bił, otrzymał Abramowski jeszcze kilka razy w twarz, tak, iż się potoczył i zranił o stojący w szkole czworokątny słup. P. dr. Kube z Kostrzyna, do którego w dniu następnym się udano, zobaczył, że cała lewa część twarzy chłopca była nabrzmiała, że policzki były posinione i krwią zaszłe, że z ust i lewego ucha krew ciekła. Według jego zdania musiał oskarżony z cała siłą Abramowskiego bić po twarzy. Chłopak dodał nadto w terminie, że nauczyciel chwycił go za włosy i że go pchnął do ściany i że go kijem bił po głowie. Sąd skazał oskarżonego na 10 marek, to jest 6 złr. 20 ct. kary. Prusacy sądzą zapewne, że krzywda i cierpienie polskiego dziecka więcej nie warto.

Deputacja nauczycieli szkół ludowych w Krakowie, złożona z delegata nauczycielskiego p. Jul. Maciołowskiego, dyrektora szkoły na Smoleńsku i p. Sal. Spitzera, nauczyciela szkoły na Kazimierzu, wręczyła d. 1. września Oskarowi Kolbergowi. o którego jubileuszu i pracach pisaliśmy obszernie w „*Przyjacielu Ludu*“, adres podpisasany przez inspektora szkół ludowych, dyrektorów i profesorów obydwóch seminarjów naucz., dyrektora i nauczycielki szkoły wydziałowej, dyrektorki, nauczycieli i nauczycielki szkół ludowych.

Dyrektor Maciołowski imieniem nauczycieli krakowskich wyraził jubilatowi słowa czci dla niezmordowanej jego pracy na polu literatury ludu naszego.

Czcigodny jubilat z rozrzewnieniem i wzruszeniem dziękował delegatom, następnie przedłożył deputacji ostatnie dwa tomy swego wydawnictwa, obejmujące pieśni ludowe, spiewane na Łęczycach i Kujawach, tudzież jeszcze nader obfity zasób materjału, przygotowanego do dalszych wydawnictw.

Pożar. W Pyskorowicach, w powiecie jarosławskim, zgorzały d. 26. Sierpnia cztery zegrody włościańskie wraz z budynkami gospodarczymi i zbiorami tegorocznymi, nadto spaliły się trzy konie, krowa i drób. Szkoda wynosi do 5000 zł. Pożar powstał w skutek podpalenia. Zbrodnię tę popełnił Jurko Sobaszka, który podpalił chatę swego ojca, żył bowiem z nim w niezgodzie.

Co słychać w świecie?

Lwów 15. września. Sprawy wyborcze dotychczas jeszcze nie ucichły i z rozmaitych stron Galicji nadsyłają zażalenia do namiestnictwa na nadużycia, jakie się działy podczas wyborów.

Czasopismo dla ludu, *Pszczółka*, donosi, że posłowie włościańscy, wybrani świeżo do Sejmu, nie wejdą do żadnego klubu, tylko utworzą odrębny, samoistny klub katolicko-ludowy. Zdaje się nam, że nowina ta jest zawczesną, gdyż jak wiemy, posłowie włościanie nie zbierali się dotychczas na żadne narady i wcale jeszcze nie uchwalili, gdzie wstąpią. *Pszczółka* chciała zdaje się, tylko poddać posłom-włościanom myśl taką, aby utworzyli klub odrębny. Pomysł ten, zdaniem naszem, nie jest najlepszy, albowiem klub ten byłby za mały i byłby pozostawiony sam sobie. Więcej zrobić można, jeżeli się w jakiejś sprawie połączy wielka liczba posłów o jednych i tych samych zapatrywaniach. Sądzimy zatem, że myśl *Pszczółki* się nie przyjmie, i że posłowie-włościanie wstąpią do lewicy, która zawsze we wszystkiem ich poprze i w której znajdą szczerych i prawdziwych przyjaciół ludu.

Nie możemy przypuszczać, ażeby pomiędzy posłami-włościanami znalazł się choćby jeden taki, któryby wstąpił do prawicy, gdzie zasiadają panowie szlachcice, tacy, jak znani naszym czytelnikom pp. Stadniccy, Skrzyńscy Jędrzejowicze, Lasoccy, Trzeciescy itp. Dla lepszego zrozumienia, jak szlachta nasza dziś jeszcze zapatruje się na prawa ludu, niech posłowie-włościanie przeczytają sobie to, co w tych dniach pisał jeden ze szlachciców, niejaki p. Koźmian w liście drukowanym, publicznym. Pan ten jest redaktorem *Czasu*, gazetki wielkopańskiej, wychodzącej w Krakowie. Otóż w liście tym pisze p. Koźmian, że włościanie powinni zostawić radzenie o pożytku kraju i ludu samym panom, i że źle bardzo się stało, iż kilku włościan wejdzie tego roku do Sejmu, bo nie powinni oni nigdy w Sejmie zasiadać, gdyż na to za mało mają rozumu i nauki, a zresztą „tradycja“ na to nie pozwala. „Tradycja“ znaczy tyle co wspomnienie dawnych zwyczajów, p. Koźmian pamięta o dobrych starych czasach, kiedy to chłop giął się pokornie do nóg pana, który żył z jego pracy, a bat ekonomski orał do krwi skórę na chłopskim grzbiecie... Pamięta o tem szlachetny panek i wolałby, żeby lepiej wrócił ten zwyczaj, niż żeby chłopi w sejmie o swoich potrzebach radzili. Nie doczeka się jednak, na szczęście, tej pociechy nigdy. Wielkim panom pewnie bardzo to jest nie na rękę, że chłop razem z nimi w jednej sali siedząc, nieraz powie w Sejmie słowa prawdy i dlatego piszą, że chłopi w Sejmie na nic się nie przydadzą. To już jednak daremne, lud do panów po smutnych doświadczeniach nie może mieć zaufania i woli sam stać przy kuchni i doglądnąć, aby mu się kartofle ugotowały, aniżeli spuszczać się na pańskich kucharzów, którzy sobie marcepany smażą, nie pamiętając o tem — bo to im wszystko jedno — czy chłop będzie miał co jeść, czy nie.

Od 3. do 9. b. m. bawił w Galicji cesarz austrjacki na wielkich manewrach, jakie się odbywały w okolicach Jarosławia. Z powodu przybycia tak znakomitego gościa do kraju odbywały się wszędzie po stacjach kolejowych uroczyste przyjęćia, w których przedstawiciele powiatów zapewniali cesarza o miłości, jaką go lud polski otacza. Cesarz kilkakrotnie dał wyraz swojej przychylności dla Galicji i przyrzekł swą pomoc dla ludności, zubożonej wskutek nadzwyczajnego nieurodzaju. Minister skarbu kazał sobie zdać o klęsce nieurodzaju w Galicji dokładne sprawozdanie, być może przeto, iż

podatkom ulży się w tym roku trochę, a może rząd udzieli także zapomogi gminom, głodem zagrożonym. Byłoby to istotnie w niektórych okolicach koniecznie potrzebne, donoszą bowiem z wielu stron, że włościanie, którym pasza nie dopisała, sprzedają bydło za byle co, nie będą go mogli bowiem przezimować, gdyż biedacy i sami do ust nie będą mieli co włożyć. Gminy zatem, dotknięte nadzwyczajną klęską nieurodzaju, powinny zaraz robić podanie do starostwa, wykazać, iż zbiory nie wystarczą więcej jak na parę miesięcy i wskutek tego prosić o ulgę w podatkach, a nawet o zapomogę.

Manewry wojskowe odbyły się na przestrzeni kilkumilowej pomiędzy Jarosławiem, Radymnem, Lubaczowem, Krakowcem i Jaworowem.

Podczas pobytu cesarza w Jarosławiu zdarzył się tam bardzo przykry wypadek. Dwaj oficerowie, jeden od ułanów, drugi zaś rachmistrz od artylerji, zostali tam w sposób skrytobójczy zamordowani. Obaj, ale każdy z osobna, zostali jednej i tej samej nocy przez niewyśledzonych dotychczas sprawców napadnięci z nienacka i śmiertelnie pokaleczeni. Jeden z nich umarł nazajutrz, drugi dogorywa. Co było powodem tej zbrodni, różnie mówią, prawdy jednak trudno dociec, gdyż sprawców zbrodni nikt się nawet nie domyśla.

W Niemczech dużo mówią o nieprzyjaznych stosunkach, jakie zaszły w ostatnich czasach pomiędzy Rosją a Niemcami. Car rosyjski obiecał pojechać do Berlina z wizytą, podobnie jak to uczynił niedawno cesarz austrjacki. Nie wiedzieć z jakiej przyczyny car podróż swoją z dnia na dzień odwleka i do Berlina nie przyjeżdża, natomiast razem z rodziną bawi w sąsiedniej Danji. Dzienniki zagraniczne, zwłaszcza niemieckie, mocno temu się dziwią, i uważają przyjaźń pomiędzy Rosją a Niemcami z tego powodu za zerwaną i przebąkują coś o bliskiej wojnie. Zdaje się jednak, że nic z tych pogłosek nie będzie.

Z Szwajcarji rząd wydala ustawicznie cudzoziemców, takich nawet którzy od lat kilkudziesięciu tam zamieszkali. W ostatnich dniach wydalono ztamtąd 80 cudzoziemców, a to Rosjan, Polaków, Francuzów i Włochów, przeważnie studentów i literatów. Naród szwajcarski przeciwko tym surowym zarządzeniom mocno protestuje i oburza się na rządy, które Szwajcarję do tego zmuszają.

W Antwerpji, głównem mieście Belgji, wydarzyło się 6. b. m. okropne nieszczęście. Skutkiem straszliwego wybuchu nabojów, które rozbierano w warsztatach, utraciło życie przeszło 200 ludzi, drugich tyle zostało mocno pokaleczonych. Ofiarą strasznego wypadku padli przeważnie biedni robotnicy, zajęci w warsztatach. Skutkiem tego wybuchu patronów zapaliły się ogromne składy prochu, które eksplodjowały z tak wielką siłą, że powstał huk, jak przy trzęsieniu ziemi. Po tej eksplozji nastąpiła druga w pobliskich składach nafty. Spaliło się 20.000 beczek nafty, a pożar trwał przez kilka dni. Szpitale przepełnione są rannymi i umierającymi. W całym kraju zarządzono składki dla nieszczęśliwych rodzin, które postradały ojców, braci i synów. Wina tego straszliwego wypadku pada na pewnego bogatego przedsiębiorcę, który zakupił w Hiszpanji 50.000 niezużytych patronów i w olbrzymiej szopie kazał patrony te rozbierać, aby wydostać czystą miedź. Podczas tej roboty jeden patron eksplodjował, a od niego zapalił się cały magazyn.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig**. Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 13. We Lwowie, dnia 1. Października 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

Administracja „Przyjaciela“ uprasza tych z pomiędzy szanownych czytelników, którzy dotąd nie nadesłali prenumeraty na rok bieżący, o uczynienie tego w jak najkrótszym czasie.

Pierwszy nakład „Przyjaciela Ludu“ skonfiskowała c. k. Prokuratorja państwa za artykuł pod tytułem „Propinacja“.

Ks. ŚCIEGIENNY.

Ksiądz Ściegienny w Kielcach, ich okolicy, ba w całym łańcuchu gór Śto-Krzyzkich jest postacią w pełni legendową. Krążą o nim najrozmaitsze wieści, i to nietylko między wioskową szlachtą, nie tylko mieszczaństwem, czy więcej, czy mniej oświeconem — ale i pomiędzy włościanami.

W ostatniem nie ma nic dziwnego.

Włościanin śto-krzyzki, na pół góral, na pół górnik i kowal, a jak tu zwią „kuźniak“, z dawien dawna był prawie niepodległym, godność swą czuć umiał. Ojczyznę też kochał. Jakże więc nie miał i nie ma mówić o człowieku takim, który, jak ks. Ściegienny, życie swe dla tej Ojczyzny poświęcił. Opowiada on zresztą o ks. Ściegiennym chętniej niż o kim innym dla tego, że ten ksiądz to kość jego kości, krew jego krwi, ksiądz bowiem Ściegienny jest włościaninem z pod Kielc.

Urodził się we wsi Bilczy, odległej od Kielc o wiorst 7, a położonej na południowych stokach gór posławskich, zamykających piękną dolinę kielecką z południa tamą nieprzebytą. W tej bramie jest tylko jedna przerwa, przy młynie Słowika, przerwa szeroka na 40 do 50 sążni, którą się przemykają wody czarnej Nidy na południe, którą idzie wielki trakt krakowski, a teraz i kolej demblińsko-dąbrowska.

Śliczna to miejscowość ten Słowik.

Bilcza od Słowika leży blisko milę na wschód; wieś to duża i szeroko rozsiadła w zagłębieniu gór posłowskich. Domostwa ma porządnie pobudowane, stodoły, obory, chlewy również, lubo z drzewa, a wszystko gontem kryte, jak wszędzie na Śto-krzyzkiem.

Rodzina ks. Ściegiennego była liczna, pomimo to ojciec go oddał do szkół do Kielc, skąd młody Ściegienny już sam się przeniósł

do Pijarów do Warszawy i tu skończywszy nauki, przywdział sukienkę zakonną i został nauczycielem szkoły pijarskiej w Opolu, w Lubelskiem.

Kiedy po roku 1831 zniesiono szkoły pijarskie, Ściegienny, już ksiądz, otrzymał probostwo w Chodlu, w lubelskiem nad Wisłą, niedaleko Opola. Tu przeżył lat wiele, pracując dużo nad oświatą ludu. Ztąd także w roku 1844 ruszył w Sto-Krzyzkie, w swe rodzinne strony, aby skłonić lud włościański do powstania przeciw Moskalom. Lud tłumnie wziął udział w sprzysiężeniu, które ogarnęło sobą i szlachtę młodszą, oraz mieszczaństwo Krakowskiego i Sandomierskiego; sięgnęło i Warszawy, lubo niewyłącznie w niej miało swe źródło,

Wszystko się to jednak na nic nie zdało, albowiem przedwcześnie na wierzch wyszło dzięki zdradzie Perkowskiego, wójta gminy kieleckiej, któremu zwierzył się nie bez złych zamiarów włościanin Janicz ze wsi Krajna.

W końcu września aresztowano mnóstwo włościan w Sto-Krzyskiem; w Kielcach dwóch Pantoczków i Zawadzkiego, w Radomiu Jana Nowakowskiego, podpisarza Trybunału; w Warszawie sławny Leichte, żandarm z lokaja, napełnił kazamaty cytadeli więźniami, a obchodził się z nimi tak nie po ludzku przy śledztwie, że młody Levittoux, obawiając się aby kogo nie wydał, odebrał sobie życie przez spalenie się żywcem na więziennem łóżku.

Śledztwo z tych, których aresztowano w Kielcach, Radomiu, Sandomierskiem i Krakowskiem, prowadzono w Kielcach pod kierunkiem Szyszkowskiego, majora żandarmów, i w konsekwencji skazano: dwóch Pantoczków Zawadzkiego, Nowakowskiego, dwóch włościan Ściegennych, miernika i górnika — na tysiąc kijów i zesłanie w Sybir — mnóstwo włościan na liczne kije i w Sybir, młodszych na kije i w sołdaty, wojować Czerkiesów na Kaukazie; a bardzo niewielu tylko na kije, poczem ich uwolniono.

Ksiądz Ściegienny ukrywał się, nie dając za wygraną; ale i tego chwycono na jesieni 1844 roku, dzięki przypadkowej interwencyj niejakiego Bońkowskiego, strażnika tabacznego w Kielcach, (wówczas w Królestwie istniał monopol tytoniowy i była zorganizowana specyalna straż t. z. tabaczna). Po długiem śledztwie ks. Ściegiennego skazano na śmierć przez powieszenie. Ale że to były czasy, w których car Mikołaj niby umizgał się do papieża Grzegorza XVI. mimo że mało co przedtem obalił Unją na Litwie i Rusi przy pomocy zdrajcy Siemaszki (r. 1839). przeto Ściegiennego nie powieszono, ale go podprowadzono pod szubienicę wystawioną na placu Panny Marji w Kielcach, gdzie stoi katedra i tu po zdjęciu z niego przez księży »sakry« przeczytano mu wyrok, założono stryczek na szyję, poczem oświadczywszy mu »carską łaskę« (!!) powieziono w Sybir. Ówcześni księża kieleccy podjęli się ks. Ściegiennemu zdjąć sakrę, pomimo że to kanonicznie nie ma znaczenia. A jednak w lat kilka potem w podobnym razie we Lwowie miejscowy arcybiskup łaciński, gdy władze ówczesne domagały się odeń równoważnego czynu, odpowiedział im zacny kapłan odmownie, stanowczo i z godnością Tej niezaszczytnej roli podjęli się jednak księża kieleccy względem ks. Ściegiennego.

Tak ta ochydna egzekucja na ks. Ściegiennym, tak i wszystkie inne w Kielcach się odbyły. Tu tysiące pałek dostali wspomnieni: Jan Nowakowski, Pantoczkowie, Zawadzki bracia Ściegienni i liczni włościanie.

Sądny to był dzień dla Kielc.

I wyroki te wydali Polacy, wbrew obowiązującemu prawu karnemu, a wykonawcami owych wyroków byli, rzecz prosta, moskiewscy sołdaci.

Egzekucje odbywały się w ten sposób, że ofiarę obnażoną do pasa przywięzywano za ręce na krzyż złożone do luf dwóch karabinów, które za kolby trzymając dwóch żołnierzy za sobą ciągnęło wraz z ofiarą — przeprowadzając ostatnią pomiędzy szeregami dwoma sołdatów, z których każdy był uzbrojony prętem grubości małego palca u ręki dorosłego mężczyzny. Pręty winny były być wierzbowe lub leszczynowe. W miarę jak ofiara nadchodziła ciągniona, każdy z żołnierzy obowiązany był ją uderzyć prętem w plecy. Ilu żołnierzy, tyle uderzeń. Jeśli uderzeń miało być 1000, tyluż żołnierzy winno było stać. Gdy ich było mniej, ofiarę przeprowadzano przez szereg po razy kilka. Jeśli po kilkuset, t. j. stu kilkudziesięcu, 200 razach bity zemdlał, kładziono go na wózku i wożono przez szeregi, póki cyfry naznaczonej nie wybito. Nazywało się to niewinnie w urzędowym języku rosyjskiem: »perewiesti skwoś stroj tysiacz czełowiek...«

(Dokończenie nastąpi).

Dla zarady głodowi.

Dnia 23. września odbyła się w Wydziale krajowym wspólna konferencja delegatów namiestnictwa i Wydziału krajowego dla zastanowienia się nad obecnem położeniem ludności, dotkniętej głodem w skutek tegorocznych nieurodzajów.

Okazało się, że na zasiewy ozime i jare, oraz na wyżywienie do r. 1890 ludności potrzebaby było około sześciu miljonów. Jest nadzieja, że roboty publiczne, prowadzone przez rząd i Wydział krajowy w znacznej mierze dostarczą zarobku, zatem suma, z jaką należałoby przyjść tej ludności z pomocą, może być znacznie zredukowaną. Po konferencji Wydział kraj. odniósł się do namiestnika z prośbą wyjednania u rządu kwoty 900.000 złr, jaka jest koniecznie potrzebną, jeśli klęska nie ma przybrać przerażających rozmiarów. Z sumy tej należałoby — rozdać 300.000 złr. tytułem bezzwrotnych zapomóg, zaś 600.000 złr. wyznaczyć na bezprocentowe pożyczki, zwrotne w sześciu latach, licząc od roku 1891.

Upraszano również namiestnika o wyjednanie, aby ściągania podatków w r. 1890 nie zaprowadzano z całą surowością, ale aby zezwalano na ratalne spłaty.

Odniósł się Wydział kraj. również z prośbą do namiestnika o wstawienie się u rządu, aby prowadził budowy dróg w tych okolicach naszego kraju, w których ludność narażoną jest na niedostatek i głód.

Wydział kraj. udzielać będzie również zasiłków na budowę i naprawę dróg powiatowych i gminnych w r. 1890 przedewszystkiem powiatom, dotkniętym tegorocznym nieurodzajem. Wydział krajowy wstawił do budżetu, to jest wydatków r 1890 kwotę 210.000 złr. na bezzwrotne zasiłki dla dróg powiatowych i gminnych; 20.000 złr. na budowę i utrzymanie publicznych dojazdów kolejowych, oraz 20.000 złr., jako ósmą ratę do funduszu pożyczkowego drogowego.

Wydział krajowy wystosował okólnik do wydziałów powiatów, dotkniętych najwięcej nieurodzajem, a mianowicie: Bochni, Borszczowa, Brzeżan, Brzozowa, Buczacza, Czortkowa, Dobromila, Gorlic, Gródka, Horodenki, Husiatyna, Jarosławia, Jaworowa, Kałusza, Kamionki strum., Kolbuszowej, Kołomyji

Krakowa, Łańcuta, Lwowa, Nadwórny, Niska, Pilzna, Podhajec, Przemyśla, Przemyślan, Rohatyna, Rudek, Rzeszowa, Skałatu, Śniatyna, Stanisławowa, Tarnopola, Tłumacza, Wieliczki, Zaleszczyk, Zbaraża, Złoczowa, Żółkwi i Żydaczowa.

Polecił im, aby najdalej do 15. października przedłożyły Wydziałowi krajowemu szczegółowe daty co do potrzebnych robót publicznych.

Jeszcze o nieurodzaju.

Nie ma chyba takiego zakątku w naszym kraju, któregoby nie dotknęła klęska nieurodzaju. Oto co piszą o niej z Birczy:

„Jesteśmy w przededniu strasznej biedy, która odbije się u ludu rolniczego przez długi szereg lat przyszłych, z powodu bowiem braku paszy wyprzedał rolnik ostatni dobytek, jaki miał w swojej zagrodzie, a wyprzedał za $^1/_4$ część zwykłej jego ceny, biorąc po 7—10 zł. za krowy, którę rok temu wstecz płacono po 40—50. lub po 50—70 za parę wołów, zapłaconych w jesieni zeszłej 150—200 zł. — Dobytek zatem, ta podstawa w gospodarstwie rolnem, wyprzedano, oborniku czyli gnoju pod tegoroczne jesienne i przyszłe wiosenne zasiewy nie ma i nie będzie, a więc za pożyczone pieniądze kupuje się nawozy sztuczne, kupuje i ziarno do siewu, najmuje pług i bronę no, i jeśli sprzyjające będą warunki, spodziewać się należy pięknych urodzajów w przyszłym roku. Ale z czego, pytamy, zapłaci dług zaciągnięty na dokonane zasiewy i za co kupi inwentarz, kiedy już mieć będzie paszę na wyżywienie, z czego wreszcie żyć będzie przez całą drugą zimę, skoro i kapusty zupełnie chybiły i skoro słota, trwająca od paru tygodni, grozi zgnojeniem tego jedynego w tym roku dość obfitego plonu kartofli, w których chłop pokładał dotąd nadzieję swego ocalenia?

O działalności zaś ratunkowej nikt pono nie myśli, jakkolwiek czas już wielki, aby o niej na serjo pomyślano, a gdyby wreszcie ojcowie kraju po zwołaniu sejmu uchwalili zwykłą w podobnych wypadkach zapomogę w formie pożyczek zwrotnych, czy bezzwrotnych, to pomoc taka jest raczej prostą jałmużną żebrakowi rzuconą, niż skutecznym środkiem ku osłabieniu fatalnych skutków tegorocznej klęski, jaką stan rolniczy w ogóle dotkniętym został.

Dla ludu naszego jednym dziś ratunkiem byłyby roboty, podjęte funduszem krajowym, czy państwowym, gdzie by mógł tyle przynajmniej zarobić, aby najpierwsze i najniezbędniejsze dzienne jego potrzeby zaspokojone zostały i aby w ciągłej pracy znalazł zapomnienie ciężkiej swej doli.

To też w pierwszym rzędzie do „Kółek Rolniczych“ należeć by powinno, aby przedstawiły, gdzie należy, stan opłakany rolnika, a spodziewać się należy, że roboty np. około dróg krajowych i regulacji rzek już postanowione lub, w przyszłości postanowić się mające, dziś by rozpoczęte zostały i tem samem dostarczyłyby pracy i kawałka chleba spragnionym.

Że na ten krok nie zdobędzie się zarząd tutejszego »Kółka Rolniczego« o tem nie wątpimy, jakkolwiek delegat głównego zarządu Towarzystwa zwołał podobno reprezentantów wszystkich „Kółek“ w powiecie na dzień 29. września na naradę w tej sprawie. Poruszamy jednak tą sprawę na tem tu miejscu dla tego jedynie, aby dać niejako sposobność do zastanowienia się nad nią także innym „Kółkom Rolniczym,“ które będąc w lepszych warunkach, skuteczniej mogą ją poprzeć u sfer decydujących.

Rozpisawszy się dość obszernie o smutnych rzeczach, nie zawadzi może wspomnieć na pociechę o Towarzystwie straży ogniowej ocho-

tniczej. Instytucja, ta bezsprzecznie wysoko pożyteczna, zdaje się mieć wszelką rację bytu, ma już bowiem i sikawkę własną i niezbędne rekwizyta i wyborne na 18 ludzi umundurowanie; jest karność i niezwykła ochota do niesienia w razie potrzeby pomocy; otrzymała jnż i chrzest ogniowy w paru wypadkach w okolicy, ma i sporo długów — bo mówiąc nawiasem, członkowie honorowi nie śpieszą skwapliwie z uiszczaniem zaległych wkładek, a gmina przyobiecanej subwencji nie wypłaca od roku — ale to wszystko razem wziąwszy nie zapewnia jej jeszcze trwałego bytu. Oprócz bowiem braku stałych funduszów na rekwizyta ogniowe niezbędnych, zachodzi ta jeszcze niefortunna trudność w należytem wyćwiczeniu komendy, że rok rocznie dzielniejsi strażacy zostają zaasenterowani do wojska.

Oto właśnie w dniu wczorajszym byliśmy świadkami jak korpus strażacki (śród którego znajdował się jeden towarzysz przemyskiej straży p. Cichoński, który przybywszy w odwiedziny do swego ojca natychmiast zameldował się w tutejszej komendzie i prawdziwie po koleżeńsku wszelkie ćwiczenia i trudy wspólnie odbywał) żegnał czterech swoich towarzyszy, odchodzących do wojska. Z okazji tej naczelnik straży miał krótką a jędrną przemowę do opuszczających towarzyszy, którym dziękując za gorliwą i pełną trudów ich służbę, podniósł, że »do tej chwili będąc zawsze gotowi do niesienia pomocy z narażeniem częstokroć własnego zdrowia i życia, służyli ludzkości, a też samemu krajowi i ojczyźnie, jak więc tu pilnością i gorliwością w wykonywaniu rozkazów swoich przełożonych zasłużyli na uznanie i podziękę, tak i tam, postępując znaną już drogą posłuszeństwa, zjednają sobie życzliwość i uznanie swoich naczelników. Serdecznemi słowy szczególnej żegnał naczelnik adjutanta komendy p. Potopę, który wyszczególniał się zawsze przykładną gorliwością i niezmordowaną pracą nad zorganizowaniem towarzystwa straży ogniowej w Birczy.

Na wielkie uznanie zasłużyła tutejsza straż ogniowa przyczyniwszy się do wydania zakazu palenia tytoniu wśród miasteczka w czasie tegorocznej posuchy i zarządzenia, aby przy każdym domu znajdowała się beczka napełniona wodą, a ck. Starostwo w Dobromilu na wdzięczność, że do wykonania tych chwalebnych zarządzeń chętnie swej udzieliło pomocy.

Wzorowe Kółka rolnicze.

Uorganizowane dopiero w r. 1887, liczy już dzisiaj „Kółko rolnicze“ w *Sokołowie* 110 członków. Czytelnia Kółka rozwija się bardzo pomyślnie, rozprawy i wykłady treści religijnej, moralnej, historycznej i gospodarskiej, miewane przez ks. katechetę Józefa Tokarskiego i pp. nauczycieli: Bolesława Chodzińskiego, Karola Gardziela i Hipolita Wodeckiego, ściągają przeszło 100 członków i dorośleszą młodzież co niedzielę do czytelni.— Chów bydła się podnosi, w którym to celu „Kółko rolnicze“ utrzymuje rozpłodnika rasy holenderskiej, sprowadzają, — jak sprawozdanie z roku 1888, a więc w rok po zawiązaniu Kółka wykazuje, znaczną ilość nasion pastewnych i 2 sieczkarnie, za pośrednictwem zarządu głównego, zasilają czytelnię 120 książeczkami ze znanych wydawnictw, i prenumerują *Niedzielę*, *Chatę* i *Nowiny* i *Kurjera Rzeszowskiego*.

Obowiązując wszystkich członków do ubezpieczenia się od ognia, uznają potrzebę założenia straży pożarnej ochotniczej, i sprowadzają za pośrednictwem Towarzystwa

wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie sikawkę cztero-kołową. Wreszcie udziałem członków, wynoszącym 1.100 zł., zakłada „Kółko rolnicze“ sklepik.

Wśród licznych w Sokołowie sklepików żydowskich, w obec różnorodnych w sprawozdaniu do zarządu głównego wykazanych usiłowań żydów, aby temu przeszkodzić, wobec gwałtów nawet, przez żydów dokonywanych, jak okrutne pobicie tego, który lokal „Kółku rolniczemu“ na sklepik wydzierżawił, dawna zasada: „zespolonymi siłami nawet małe sprawy do znaczenia dochodzą“ odnosi i w „Kółku rolniczem“ w Sokołowie tryumf, i zarząd Kółka wykazuje pomyślny rozwój sklepiku, bo zaraz w pierwszym roku 1888 sprzedano w nim towarów za 6.812 zł., a nadto przyjmuje sklepik w komis produkty i wyroby miejscowych rzemieślników.

Wedle ostatniego sprawozdania, w r. 1889 przedłożonego, do zarządu „Kółka rolniczego“ należą: przewodniczący ks. kanonik Leon Stokowski, proboszcz miejscowy; zastępca przewodniczącego p. Mikołaj Daroch, przemysłowiec; sekretarz p. Karol Gardziel, nauczyciel; członkowie zarządu pp. Kazimierz Bienek, rolnik i Józef Chmiel, garncarz.

Pochwały godna wytrwałość, wobec przytoczonych przeszkód i stosunków, toż gorliwość zarządu Kółka i energja, czerpiąca swą siłę w poczuciu spełniania obowiązku obywatelskiego, zasługuje na wszelkie uznanie, które też wyrażając, nie wątpimy, że „Kółko rolnicze“ w Sokołowie, wsparte dobrą wolą i życzliwością przyjaciół oświaty i podniesienia dobrobytu ludu naszego, z każdym rokiem skuteczniejszą swą działalność zaznaczać będzie.

W *Kalwarji Pacławskiej*, pow. Dobromil, zaznaczyli również członkowie „Kółka rolniczego“ swą gorliwość i łączność wobec przeciwieństw.

Pomimo licznej osady handlarzy i rękodzielników, szczególnie tkaczy, pomimo znacznego przypływu pątników z dalekich nawet stron na odpusty do Kalwarji przybywających, co bez wątpienia do podniesienia dobrobytu tamtejszych mieszkańców przyczynić się było mogło, pozostawała znaczniejsza część ludności w ubóstwie, z nędzą graniczącem, a rujnowały ich coraz bardziej wysokie procenty, bo 20 prc. i wyżej, opłacane od długów, zaciąganych lekkomyślnie u miejscowego żyda.

Jako zbawczy środek wybrnięcia z tego położenia uznają zawiązanie się w „Kółko rolnicze.“

Uorganizowane w r. 1885 pod przewodnictwem czcigodnego księdza Benignego Chmury, gwardjana klasztoru w Kalwarji Pacławskiej, Kaliksta p. Feduniewicza zastępcy przewodniczącego; Franciszka Solskiego, sekretarza; Antoniego Brożyniaka i Alojzego Nawojskiego jako członków zarządu, liczy „Kółko rolnicze“ 70 członków.

Hasło Towarzystwa „Kółek rolniczych“, walka nie przeciw ludziom, lecz z ciemnotą, nędzą, lekkomyślnością, próżniactwem i innymi wadami nas, do upadku doprowadzającymi“, znajduje odgłos u członków „Kółka rolniczego“ w Kalwarji Pacławskiej.

Poradnik dla czytelń.

O rolę, obrazek przez Walerję Morzkowską. P. Morzkowska mieszka w Warszawie i jest nietylko znakomitą autorką, ale i dobrą polką. Jako więc dobra polka, ko-

cha bardzo lud wiejski i pisze śliczne historje z życia włościan.

W powiastce o Rolę opowiada nam, jak to gospodarz Sochala prawował się z synem swego ojczyma, Marcinem Kozikiem o kawał roli i wygrał proces, choć to było nieprawdziwie i z krzywdą Kozika. Wskutego powstała straszna nienawiść między Sochalą a Kozikiem i choć chaty ich stały bliziutko od siebie, żaden z mieszkańców tych chat nie przestępował nigdy progu drugiego, spotykając się zaś z daleka, omijali się jak najprędzej, a czasem tylko, gdy zeszli się w karczmie lub koło kościoła, przychodziło między niemi do kłótni, która się nieraz kończyła bójką.

Rodzice nienawidzili się okrutnie, a tym czasem dzieci ich kochały się serdecznie. Jasiek, syn Kozika, oddawna już upatrzył sobie piękną Małgosię, córkę Sochali i lgnął do niej, jak mucha do miodu, dziewczyna ze swej strony oddała mu również całe serce. Widywali się rzadko z sobą i ukradkiem, bo ojcowie nie przebaczyliby im nigdy, gdyby się dowiedzieli o ich miłości, ale sercu rozkazać trudno: Jasiek nie mógł porzucić Małgosi, Małgosia nie mogła zapomnieć o Jaśku i jak tylko ojciec wyjechał dokąd lub wyszedł na robotę w pole, biegła szybko do gaju, wedle drogi. Tam czekał na nią o umówionym czasie młody parobczak, którego oczy niespokojnie zwracały się ku ścieżce, wiodącej od chaty Sochali.

Matka domyślała się przyczyny, dla której Małgoś tak często wybiegała z chaty i mówiła jej nieraz załamując ręce:

— Oj Małgoś, Małgoś! a na co ci to! Niechby, Boże broń, ojciec zobaczył, miałabyś ty za swoje i ja przy tobie. Gotówby ubić na miejscu.

— Niech ubije! raz będzie koniec! — szepnęła dziewczyna przez zaciśnięte zęby. Sochalina nie usłyszała jej może i udobruchana nagle dodała:

— Nie trzeba gadać: chłopak świarny, do roboty zuch i ojców szanuje. Cóż! żeby był jeszcze świarniejszy, kiej między Sochalami a Kozikami nijakiej zgody być nie może.

— Co ja temu krzywa! — odparła dziewczyna, — bawiliśma się razem od dziecka, razem chodzili za bydłem, a teraz przez niego to mi już nic nie miłe na świecie.

— Abo to prawda! — ofuknęła ją matka. — Czy to jeden Jasiek na świecie? Poczekaj! przed zapustami tylko patrzeć, jak tu Szymek Pazdunów z wódką przyśle.

— Ja nie chcę! — wołała Małgosia.

Ojciec ze swej strony przestrzegał ją ostro mówiąc:

— Pamiętaj sobie — żeby ci głupstwa nie chodziły po głowie! pamiętaj, że pókim dobry — to dobry, ale niedoczekanie twoje, żebyś mi się z tymi zadawała, co na krzywdę moją dybią! Pamiętaj, od Jaśka wara, bobym was ubił oboje własnemi rękami!

Tak rzeczy stały, kiedy smutny nadszedł dzień dla całej prawie wioski.

We wsi tego dnia panował ruch niezwykły. Rodziny wysyłały swoich synów do losowania, żegnały ich, gościły, naradzały się i pocieszały wzajemnie. Kobiety piekły chleby, gotowały kiełbasy lub jaki kto miał w domu przysmak dla odchodzących, bo nikt nie wiedział, czy wrócą.

Kozikowa również z zapłakanemi oczyma krzątała się około komina, by ostatnie może śniadanie zgotować synowi, a Jasiek stał ponury, patrząc to na matkę, to na tę chatę, co ją miał porzucić. I robiło mu się dziwnie na sercu. Brała go ochota obiegnąć jeszcze ten las, którego szum miał w uszach, te zagony czarnej roli, na których teraz rosła bujna zieleń ozimych posiewów, cała od nocnej rosy perlista, te błonia, gdzie ubiegły mu jego pierwsze lata razem z rówieśnikami przy pasaniu, i te wierzby, z których kręcił fujarki, z których każdą znał z osobna tak dobrze, iż byłby poznał ją pomiędzy tysiącem innych. Najsmutniej mu było jednak odejść od Małgosi. Nakoniec czas już był wyruszyć w drogę. Losownicy i ich rodziny skierowali się ku gminie, a droga szła tuż koło chaty Sochali. Na progu jej stała Małgośka. Czekała na Jaśka, nie bacząc na ojca, który w podwórku szykował pług i coś ciosał zawzięcie, — choć wiedziała, że mógł ją zobaczyć.

Cały orszak przechodził właśnie koło niej, Jasiek zatrzymał się.

— Ostań z Bogiem Małgorzato! — wyrzekł zdławionym głosem.

Chciała mu odpowiedzieć dobrem życzeniem, ale nie mogła. A ludzie patrząc na nich szeptali sobie.

— Byłaby z nich śliczności para!

Szmery te niewyraźne doleciały Sochali; Wypadł na drogę, pochwycił dziewczynę za rękę tak gwałtownie, że jęknęła i przerażona osunęła się na kolana.

Jasiek rzucił się na Sochalę, ażeby wyswobodzić z rąk jego Małgośkę. Sochala odtrącił go tak, że aż się zatoczył.

Ale na to przyskoczył Kozik.

— Zbóju jeden! złodzieju! — krzyknął ochrypłym głosem.

Sochala trzymał właśnie w ręku siekierę i zamierzył się nią na przeciwnika.

Byłby go niezawodnie zamordował, szczęściem ktoś przytomny pochwycił go z tyłu za ramię: siekiera osunęła mu się z dłoni i spadła ostrzem na głowę Małgosi.

Dziewczyna padła na ziemię z rozciętem czołem, z którego krew płynęła. Jasiek przypadł do niej i unosił z ziemi jej głowę.

Widok krwi opamiętał Sochalę; stanął nieruchomy, zdrętwiały, patrząc błędnemi oczami na córkę z twarzą zbielałą, która leżała jak martwa w objęciu Jaśka. Patrzał na nią jakby to z jego serca płynęła ta krew, którą miał na sobie.

Gdy tak wszyscy stali około rannej- dał się słyszeć drżący głos starego i ro, zumnego gospodarza Nogi, który wsparty na kiju był świadkiem tego, co się stało.

— Jaśku! — mówił Noga, — trza ją zanieść do chaty, a wy Kozikowo, podtrzymajcie jej głowę!

Posłuchano go, Jasiek pierwszy raz od czasu kłótni ojca z Sochalą przestąpił próg jego chaty. Sochala jak martwy padł na ławę i wodził oczami po chacie, po ludziach, którzy ją napełniali. Czyż to on był sprawcą tego? i czy naprawdę Kozikowie krzątali się koło niej, ratowali, jakby swoją, gdy matka głowę straciła, a on był zabójcą swego dziecka?

— No, teraz w drogę! — odezwał się sołtys — Zmarnowało się kawał czasu. Jaśku, puść dziewczynę i chodźwa!

Jasiek postąpił parę kroków, ale gdy odchodził, Małgośka jęknęła tak boleśnie, jakby jej kto serce wyrywał. Sochala wówczas przypadł do łóżka, ryknął głosem wielkim: »Małgoś moja, co ja zrobiłem«!

W tej chwili Jasiek już był na progu.

Dziewczyna śledziła go wzrokiem, nie zważają na ojca.

— Jaśku, Jaśku! — wołała i wybuchnęła płaczem.

Wówczas odezwał się Noga.

— Oj Jakóbie! Jakóbie! skrzywdziliśta własne dziecko omal nie na śmierć przez swoją popędliwość, a teraz lamentujecie po próżnicy, zamiast takie słowo powiedzieć, coby i ją niebogę pocieszyło i wam ciężar zdjęło z sumienia.

— Mówcie, ojcze! — zawołał Sochala, którego serce zmiękło, a jak mi poradzicie, tak zrobię.

— Ano! — rzekł Noga, — czy nie widzicie, że Małgośka z Jaśkiem się kochają i że połączyć ich trzeba?

Sochala długo milczał, to bladł, to czerwieniał.

— Ha! niech ta będzie, jak mówicie! — wybuchnął wreszcie, podnosząc czoło z dobrem postanowieniem.

Małgośka pochwyciła ręce ojcowskie i przyciskała je do ust, a Kozikowa przypadła mu do kolan.

Wielka radość i wielkie szczęście zapanowały w chacie.

— Ha! — wyrzekł wreszcie Sochala — wola wasza! szczęściu dziecka nie będę przeciwny.

Podali sobie ręce — a stary Noga powiedział; nie pierwszyzna to, że miłość dzieci jedna waśnie ojców.

Jasiek szczęśliwie i rychło wrócił z losowania, bo wybrał dobry los, a na początku zapust odbyło się huczne wesele Małgosi z Jaśkiem. Chata Sochalów ledwie mogła pomieścić licznych gości, między którymi pierwsze miejsce zajmował stary Noga. Był on wesół nadzwyczajnie, ręce zacierał z radości i z uśmiechem patrzał to na młodą parę, to na jej ojców, ściskających się, jak prawdziwi przyjaciele.

Kilka słów o lichwie.

III.

Nie lepszą od żydowskiej jest lichwa bankowa. Wskutek ostrych kar, nałożonych na lichwiarzy prywatnych i zapowiedzenia noweli egzekucyjnej — nie łatwo biednemu o kredyt, a tu nadchodzą ciężkie czasy przednówku, spłaty podatku albo choćby i chrzciny, wesela, pogrzeby — trzeba się koniecznie zapożyczyć. Z ciężkiem sercem idziesz do banku, do owej garbarni chłopskich skór, skąd już cało nie wyjdziesz. Banki włościańskie, szmaciarskie, kryłoszańskie runęły, doprowadziwszy do największej nędzy wielu włościan, zostały jednak zaliczkowe kasy powiatowe, miejskie kasy powiatowe, miejskie kasy oszczędności, towarzystwa zaliczkowe i tym podobne »instytucje kredytowe». Szkodliwemi są one dla wieśniaka przez wysoką stopę procentową i zawiłą administrację, a dalej przez brak należytej kontroli, nareszcie przez narażenie członków na ruinę w razie bankructwa tych stowarzyszeń, opartych na nieograniczonej poręce wszystkich członków, to jest nie tylko tych, którzy się u nich zadłużyli, lecz i tych, którzy mają tam swą udziałami złożoną gotówkę. Procenta zwykłe wynoszą w takich zakładach razem z dodatkami wpisowymi do 14%, a z procentami zwłoki do 27%, gdy tymczasem rola daje 3% a rzemiosło na wsi tyle co nic. Ani rola, ani rzemiosło nie dadzą więc nawet trzeciej części spłacanych za dług odsetek — co ostatecznie pożera żelazny kapitał, to jest obdłużoną własność i albo dłużnika albo ręczyciela

prowadzi do żebractwa. A zdarzają się zbyt często wypadki, że w zakładach takich popełniają wprost kradzieże i rabunki. Kilku sprytnych ludzi chwyci taką instytucję pieniężną w swoje ręce, tucząc się krwią nieopatrznych prostaczków i tak długo w niej kręci i wierci, aż cały zakład zgubi, a siebie wtrąci do kryminału. Wielkie zło wynika także z tego, że dłużnicy zależni są od tych banków i muszą nieraz być im posłuszni, choćby nie chcieli. Oto naprzykład, dłużnik banku musi tak głosować jak »dyrekcja» każe, bo inaczej grozi mu egzekucja. Dłużnik, mający do wyboru albo oddanie głosu na narzuconego mu kandydata albo oddanie gruntu i chaty na licytację — nie długo wybiera. Kiedy założono bank krajowy, spodziewano się powszechnie oczyszczenia tych gnojówek finansowych, lecz oczekiwania zawiodły.

Bank krajowy, urządzony kosztem podatkujących całego kraju, stał się instytucją dla ludzi bogatych tylko, bo przez uchwałę, ażeby nie udzielano w nim pożyczek niżej 500 złr., wykluczył lud nasz od kredytu. Oprócz tego dano zastępstwa na prowincji towarzystwom zaliczkowym, to tak samo znaczy, jak gdyby kto oddał sprzedaż swego towaru w komis przekupniom, kupczącym tym samym towarem, naturalnie, że przekupień taki, sam będzie sprzedawał drogo, a kupić będzie chciał jak najtaniej. Największa niesprawiedliwość dzieje się w bankach wskutek złego albo i nieuczciwego zarządu.

Kilku sprytnych ludzi, którzy myślą tylko o własnej korzyści lub wprost ukrytych lichwiarzy nawet, uchwyci zarząd zakładu i krzywdzi biedaków przez całe lata, a to wskutek tego, że nikt nie wgląda i nie pilnuje, to jest nie kontroluje banków, jakoteż wskutek tego, że statuta bankowe są źle ułożone.

Nie o wiele lepiej dzieje się, gdy garbaty ze ślepym lub głuchy z żarłokiem zagarną całą władzę, drąc swemi pazurami chłopską skórę bez litości. Czuje to dobrze biedny lud, lecz nie ma odwagi bronić się. Jeden człowiek nie potrafi tu poradzić złemu, trzeba koniecznie, żeby wszyscy razem zażądali lepszych porządków.

Kto chce dziś dostać pożyczki w »kasach«, ten bez jaj, kur, gęsi, żyta, owsa lub siana niczego nie wskóra, a przecież urzędnicy kasowi są płatni albo »honorowi« ludzie, to jest podejmują się pełnić swe obowiązki dla dobra kraju i za to kraj płaci im szacunkiem i wdzięcznością, a pieniądz z kasy, to własny grosz chłopski, złożony dodatkiem do podatku. Ten sam opłacający podatki dłużnik, który może ostatnią krowę, ostatnią żywicielkę swych dziatek sprzedał, aby zpłacić zaległy podatek, pyta się potem, gdy go zaciągają do wyborów z za pieca: »Na co mnie te wybory, co mnie tam rady powiatowe«. Oto widzisz na co: Abyś nie potrzebował ostatniej kwarty krup, ostatniej garści owsa oddawać z domu, po to, aby otrzymać choćby i z kasy powiatowej kilka złotych, potrzebnych ci na konieczne wydatki.

KLEMENS BORUTA

przez

W. Okońskiego.

Na Górnym Szląsku znajduje się wieś, która nosi nazwę Nędzy. Mieszkańcy tej wsi są wogóle niezamożni, najbiedniejszym jednak między nimi był Wawrzyniec Boruta, ojciec Klemensa. Kiedy w r. 1847 nawiedził Nędzę głód, Wawrzyniec, podówczas wdowiec, bez środków żywności i roboty, łapał nocą pod strzechami wróble, a dniem łowił

na sidła wrony, których mięsem karmił dziesięcioletniego syna. Gdy nareszcie wróbli nie stało, a wrony zmądrzały, zrozpaczony wyrobnik, nie mogąc przez dwa dni znaleść dla dziecka pożywienia, postanowił się powiesić. Przechodząc wszakże koło zabudowań dworskich, spostrzegł na śniegu obdartego ze skóry lisa. Boruta wziął mięso do domu, upiekł je, a ponieważ sam od kilku dni nic nie miał w ustach, a dziecko spało, zjadł więc skwapliwie naprzód kawałek pieczeni. Po chwili uczuł gwałtowne boleści. Przekonany, że lis był trucizną otruty, wyrzucił mięso, wybiegł za chatę, położył się na ziemi i zaczął jeść gwałtownie śnieg z ziemią w nadzieji, że się tem uleczy. Chłopiec zbudziwszy się w nocy, zaczął krzyczeć i wołać tatula, ale tatulo nie przyszedł. Na drugi dzień znaleziono go martwym za chałupą.

Po śmierci ojca, przyjaciel jego, owczarz dworski, Szymon Brzost, wziął Klemensa do owczarni i tam go przezimował, dzieląc się strawą. Czasem było jadła skąpo, ale czasem, zwłaszcza ku wiośnie, gdy owce zdychać zaczęły, Brzost dorzynał je i wyprawiał sobie z wychowańcem sutą biesiadę. Zgromadziwszy w lecie zapas korzeni, plótł on zwykle zimą ładne koszyki. Chłopiec tak szybko wyuczył się przy nim tej sztuki, że zarobił kilka talarów, za które kupił sobie dymkowy surdut, spodnie i dwie koszule. Gdy owce wyszły w pole, a nadewszystko, gdy zdychać przestały, stary rzekł do Klemensa:

— No, spróbuj poszukać sobie chleba. Jak ci bieda dobodzie, przyjdź do mnie.

Klemens w swojem nowem dymkowem ubraniu wyszedł płacząc, powłóczył się po wsi, odnowił z kilku chłopcami znajomość i wieczorem stanął w owczarni.

— A, hultaj jesteś — zawołał rozgniewany stary — ty myślisz, że tu przy mnie, jak Burek, będziesz ciągle leżał? Ruszaj mi w świat!

Nietyle rozkaz, ile owczarski bat, który Brzost ze ściany porwał, zdmuchnął chłopca z podwórza, jak świecę. Było wszakże już ciemno; potuławszy się więc za stodołami, gdy noc zapadła, przyległ do sterty słomy i zasnął. Ale nazajutrz, chociaż stary bardzo rano wstał, już Klemensa nie było. Gdzie się podział? Pytał owczarz ludzi we wsi, pytał przejezdnych, ten i ów spotkał chłopca, ale wszyscy objaśnić nie umieli.

— Zawzięty kaduk! — mruczał stary. Szelma, ani piśnie, jak gdybym go nie przezimował. Może zamarł gdzie? Nie przyszedłby to, nie pogadał, i zjadłby coś, oto tłustego barana dorżnąłem. Psy pożrą...

Brzost długo jeszcze wywiadywał się, nareszcie, machnąwszy ręką, całkiem o chłopcu mówić przestał. Upłynęło lat siedm. Jednego dnia parobek dworski, spotkawszy owczarza zagadnął go:

— To i mamy napowrót Klimka.

— Jakiego Klimka?

— No, juści Borutę, tego, co z wami zimował.

— Jest tutaj?

— A jaki *fryc!* Nie poznalibyście go! Zgodził się do pługa.

Brzost nic nie odrzekł i wrócił do owczarni.

Położywszy się na słomie, zaczął rozmyślać. Doznał jakiegoś przyjemnego dreszczu, ale zarazem obudziły się w nim uśpione uczucia gniewu.

— Dam po łbie batem, jak tu zajrzy — szepnął.

W tej chwili do owczarni wszedł Klemens. Rzeczywiście wyglądał elegancko. W czarnej kamizelce, z której wysuwały się rękawy czerwonej koszuli dymkowej, w długich, nowych butach, w świeżej czapce niebieskiej, osadzonej na wytłuszczonych włosach, z cygarem w ustach, nad któremi, pod przypłaszczonym nosem, zaczął się wysypywać jasny wąs, wszedł on śmiało i stanął na progu.

— Dzień dobry! — zawołał junacko.

— A co to — krzyknął Brzost — nie widzisz, że tu słoma — z cygarem wchodzisz!

— Toć je w gębę wetknąłem, nie w snopek — odrzekł Boruta, nadrabiając miną.

— Pójdź stąd, żebym go głębiej nie wetknął.

Klemens wyjął z ust cygaro, opluł je i zgaszone schował do kieszeni.

— Czemuż to dziadek — rzekł, zbliżając się łagodnie — tak mnie wypędza, jak wilka,

Przecież wam drzazeg za paznogcie nie biłem. A że poszedłem w świat, toście kazali.

— Kazali! — krzyknął stary — jużci całe życie w torbie nosić cię nie mogłem, żebyś z niej chleb wyjadał, a dopóki trzeba było, tom od miski nie odganiał.

— Albo to mówię? Ale kiedy musiałem swojej miski poszukać, to musiałem.

— O, ja wiem, zostałeś panem i dlatego nie chciałeś się nawet dowiedzieć, czy stary nie zdechł gdzie pod krzakiem. Jużci, pan taki — to nie Burek, który zaraz przyleci, jak krzyknę do nogi. Pal djabli głupich.

— Ja, pan? bo po siedmiu latach mam czem skórę przyodziać. Nie gadalibyście po próżnicy. Żebyście wiedzieli, po jakiej to ja drabinie lazłem, zanim wylazłem, ile się szczeblów załamało, ile biedy doznałem.

— Zkądże miałem wiedzieć — rzekł, widocznie ugłaskany Brzost, podciągając za uszy skurczoną u buta cholewę.

— O, może i wam w młodości tak bieda nie dobodła — mówił z westchnieniem Boruta, usiadłszy na progu. Przez miesiąc ciepłego nie kosztowałem, potem ledwie kilka groszy na dzień w kopalni wydrapałem, w fabryce dali zarobek, póki nie stanęła, z dworca kolejowego za przespanie wypędzili, wziąłem się do służby na folwarku i ot, co na mnie, to całe z niej bogactwo.

— Ciężko, ciężko — zauważył Brzost już bez śladu złości.

Widząc to Klemens podsunął się bliżej do niego, wyjął z kieszeni zgaszone cygaro i ssąc je, roztoczył przed oczyma Brzosta całe pasmo swych siedmioletnich przygód. Były w nich wszystkie nici, z jakich się zwykle tka życie biedaka. Słuchając tej powszedniej doli sierocej, stary przerywał ją ciągle radami madrości po szkodzie:

— Nie byłoż ci — zawołał wreszcie — trzymać się kopalni!

— A toż trzymałem się — odrzekł Boruta — póki kawał węgla się nie oderwał i nosa mi nie przetrącił.

Brzost spojrzał na swego wychowańca i dostrzegł widoczne przełamanie chrząstki nosowej.

— Długo chorowałeś?

— Ze dwa dni krew buchała, ale to była furda. Jak mi, panie, maszyna ten oto palec odgryzła, to świerkało w oczach świerkało!

Owczarz ze zdziwieniem popatrzył na rękę Klemensa, u której istotnie palca brakło.

— A tu głód, bo robić nie mogłem. Poszedłem do apteki po maść, to centa nie ustąpił. Myślałem, że sobie łeb ukręcę. I gdyby tyle! Ale raz przyszedłem do fabryki, stoję, a psi wnuk, Born, puszczał żelazo w rynnę; kiedy nie pryśnie, na wskroś do kości zbój przepalił mi nogę.

Zdjął but i odsłonił na łydce szeroką szramę po oparzeniu.

— To cię opadło ze wszystkich stron — mruknął Brzost i zaczął czegoś szukać w słomie pod poduszką posłania.

— A no! rzekł Boruta — może przecie koniec. Mnie i świdra djabeł w ręce nie utrzyma, bo mu się wykręcę.

Podczas gdy zaciekawiony poszukiwaniami pana, Burek powstał i zaczął mu przypatrywać się, kręcąc ogonem, niemniej zaciekawione obecnością Boruty owce zbliżyły się w gromadce. Klemens, chcąc je za tę uwagę wynagrodzić, podał wysuniętemu naprzód skopowi niedopałek cygara. Baran ujął je zębami, zgryzł i plując odbiegł, a spłoszone jego ucieczką stado, bojaźliwie w kąt się stoczyło.

— Myślałeś, że piernik — rzekł śmiejąc się Boruta i w przystępie wesołości porwał za ogon Burka, okręciwszy go kilka razy w koło. Pies zaskowyczał i zaczął szczekać. Przestraszone owce jeszcze gwałtowniej skupiły się w kącie.

— Nie pójdziesz ty darmozjadzie! krzyczał owczarz na Burka, nie zważając, że pies miał słuszną rację gniewu.

Pies tem smutniej ogon spuścił, że jego pan wyjął ze słomy butelkę, a zarazem kawał gotowanej baraniny, owiniętej w skórę ze starej torby, co dla kudłatego towarzysza było wielkim przysmakiem.

— Na zdrowie twoje — rzekł Brzost, przykładając do ust butelkę, z której obficie pociągnął.

— Na wasze — odpowiedział Klemens i pożądliwie zanurzył w gardło pokrzepiającą szyjkę.

— Ostra! rzekł przymużając oczy.

— Trzmielówka — mówił stary z widocznem zadowoleniem. Sam sobie ją przyprawiam. Biorę okowitę, wlewam na korę trzmielinową i tak stoi tydzień, potem kładę trochę głogu, macierzanki, rozchodniku, dębowych gałek, pokrzywiego korzonka i cynamonu.

— Ho! ho! podziwiai Boruta.

— Dobrze łyknąć, to każdą chorobę wystraszy. Albo to raz i sobie i drugim kości prostowałem. No, zjedz kawałek mięsa, wczoraj barana dorżnąłem — motylica precz dusi.

— Co ma tłusty połeć smarować, lepiej że ludziom da się pożywić. Czy sam pan często tu przyjeżdża?

— Ale skąd. Siedzi w Berlinie, albo nad morzem. A chociaż przyjedzie, to na tyle folwarków czasu mu nie starczy. Jużci zajrzy, powącha i dalej. Tu i nie ma gdzie mieszkać. Dwór stary, trzy pokoje lepsze, to rządca mieszka.

— Podobno okrutny niemiec, ten rządca.

— Ludzkiego słowa nie da. Krzyczy, rozgania, żebyś ze skóry wylazł, to jeszcze mu za mało. Dziedzic, mówią, niezły człowiek. Ale jak przyjedzie, Klein nikogo nie puszcza, a choć uda się komu dostać, póty będzie wymyślał, że wszyscy gałgany, próżniaki, polskie szkodniki aż pana przekona. Wyjrzyj, czy tam kto nie podsłuchuje, tego, co mówię. Nie?

— Niema nikogo.

— Albo i ze mną. Dwanaście lat tu jestem i dobrze było. Jak on nastał, zaraz zakrzyczał, żem głupi, niedołężny, że mnie wygoni. Ot tak. A, niech go robaki! Do ciebie, Klimku.

— Czuć macierzankę — rzekł Boruta, smakując.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Komitet dla zjazdu Kółek rolniczych zajmował się na posiedzeniu onegdajszem sprawą ulokowania delegatów, którzy w pokaźnej liczbie dwustu kilkudziesięciu zgłosili dotychczas swoje przybycie do naszego miasta. Przyjęto jednomyślnie zaproszenie towarzystw rzemieślniczych „Skały“ i „Gwiazdy“, które obszerne sale swoje oddają na nocleg dla włościan. Dla okolicznościowej wystawy, która obejmować będzie przyrządy pożarnicze, wyroby przemysłu domowego, jako też narzędzia rolnicze i gospodarstwa włościańskiego dotyczące, wybrał komitet osobną komisję wykonawczą. Ta sprawując zarazem obowiązki informacyjne, urzęduje od dziś codziennie w hotelu Żorża od godz. 9—12 i od 3—6 po poł.

Towarz. gimnastyczne „Sokół“ zaprosiło delegatów na ćwiczenia, które odbędą się w dniu pierwszym zjazdu, tj. 9. października, ze stosownem objaśnieniem i przemówieniem. Po tych ćwiczeniach udadzą się wszyscy uczestnicy zjazdu do kasyna miejskiego, gdzie komitet urządza gościnne przyjęcie. Na przedstawienie uroczyste, które nazajutrz odbędzie się, jak wiadomo, w teatrze Skarbkowskim na dochód Kółek rolniczych, zatrzymał komitet cały parter dla włościan.

Prawdziwy poseł ludowy. P. Teliszewski notarjusz w Turce, wybrany w lipcu br. posłem z tamtejszych gmin wiejskich przeciwko magnackiej kandydaturze jakiegoś Lubomirskiego, (który przy pomocy faktorów, zdobył dla siebie banknotami aż sześć głosów,) — zwołał ogół wyborców włościańskich na zgromadzenie w celu wysłuchania ich życzeń i wyrozumienia naglących potrzeb tego w br. podwójnie nieszczęśliwego powiatu, gdyż z powodu nieurodzaju grozi tam ludowi głód ciężki. Postępek p. Teliszewskiego zasługuje na publiczne uznanie i gdyby wszyscy włościanie w kraju mieli takich posłów, nędza w kraju nie byłaby tak dotkliwą.

100-letni jubileusz. W Dobczycach obchodzoną będzie d. 10. października br. stuletnia rocznica istnienia tamże trzechklasowej szkoły ludowej.

Rada oddziału łańcucko-jarosławskiego tow. gosp. wniosła do namiestnictwa pismo następującej treści: Tegoroczne klęski spadłe na kraj nasz: klęska posuchy i zaraza pyskowa i raciczna — doprowadziły rolników do ostatnich granic wyczerpania i grożą nieuniknioną ruiną! Zaraza pyskowa — raciczna do dziś jeszcze nie ustała w kraju, przez co hodowcy bydła i trzody chlewnej, nawet w miejscowościach zupełnie zdrowych, z powodu zamknięcia jarmarków i targów nie są w możności sprzedania bydła (dla którego nie mają paszy do przezimowania), ani trzody chlewnej, z której dochód służył włościanom na opłatę podatku i kupna soli! Ogólne zgromadzenie członków od-

działu łańcucko-jarosławskiego gal. tow. gosp. zastanawiając się nad tą klęską, poleciło radzie oddziału udać sią do namiestnictwa z przedstawieniem następującem:

Jeżeli zaraza pyskowa i racic dotąd nie ustaje, to jedynie z przyczyny zsrządzenia pp. weterynarzy, aby każdą podejrzaną sztukę bydła odosobniano od zdrowych, a ponieważ zataza ta, gdzie się pokaże, rzadko kiedy omija nietylko w stajni, ale i w całej gminie bydło się znajdujące, tym sposobem przez odosobnienie pojedyńczych chorych sztuk, przewleka się w nieskończoność i ztąd pochodzi, że posuwa się z miejsca na miejsce. Najlepiejby było zarazić naraz całą stajnię, bo bydło razem wszystko chorujące, razem powraca do zdrowia. Postępowanie takie w oborze, dałoby się zastosować i do gmin. Komisjonowanie pp. weterynarzy powiatowych, oddzielanie chorego od zdtowego hydła połączone nieraz z szykanami i tak biednej ludności, widocznie nie prowadzi oo celu, bo jak nadmieniono: zaraza ta trwa dotąd w kraju! Otóż upraszamy namiestnictwo, aby rada sanitarna w tych wypadkach choroby nakazała swym organom, nie powstrzymywania jej w danej miejscowości, wewnątrz obszaru gminy zarazą dotkniętej, lecz tylko pilnego strzeżenia granic, aby po za jej obręb przenieść się nie mogła.

Co do targów i jarmarków, to zamknięcie takowych w całym powiecie wtenczas, gdy zaraza panuje w jednej tylko nieraz miejscowości, jest krzywdą wielką dla rolników, bo odjętą im jest możność spieniężenia bydła, którego żywić nie ma czem, i nierogacizny, z której włościanin ma dochód jedyny na najgwałtowniejsze potrzeby, upraszam więc namiestnictwo, aby raczyło polecić podwładnym swym organom politycznym, iżby zamykano tylko te miejscowości, które zostały dotknięte rzeczywiście zarazą, a targi i jarmarki dozwolone zostały, byle na nie przyprowadzano bydło z gmin niezarażonych i drogami wolnemi od zarazy.

Jubileusz prac nauczycielskich. We wsi Żarki w powiecie chrzanowskim, odbyła się 22. bm. jubileuszowa uroczystość 25-letniej pracy nauczycielskiej p. Ferdynanda Kłapy. W pięknie przystrojonej sali szkolnej i wobec licznie zebranego grona nauczycieli i znajomych, przemówił najpierw drugi nauczyciel w Żarkach, p. Wilimek, podnosząc zasługi jubilata, jako kierownika i nauczyciela, poczem w imieniu dzieci szkolnych chłopczyk i dziewczynka serdeczne wyrazili uczucia. Miłą niespodziankę następnie sprawił jubilatowi były jego uczeń, obecnie abiturjent gimnazjalny, p. Hodur. W pięknej i wiele wzniosłych myśli zawierającej mowie podniósł on znaczenie nauczyciela w ogóle, a szczególnie jako Polaka, nawiązując swoje myśli do osoby szan. jubilata, który jeszcze jako 17 letni młodzieniec w pamiętnym r. 1863 pospieszył w szeregi walczących, ażeby na ołtarzu ojczyzny złożyć także ofiarę z krwi swojej. Następnie wójt gminy Żarki w prostych lecz serdecznych słowach wyraził życzenia gminy, która kocha i poważa swego i dzieci swoich przewodnika i wskazał na łączność, jaka istnieje w pomienionej wsi między szkołą a ludem i jej naczelnikiem. Przemawiali dalej: p. Nosalik, nauczyciel z Kwaczały, imieniem Kółka pedagogicznego babickiego, którego jubilat jest przewodniczącym; p. Mioduński, nauczyciel z Gromca, w imieniu osób nieobecnych, a wreszcie p. Zięba, nauczyciel kierujący z Ciężkowic, w imieniu nauczycieli zamiejscowych. Uroczystość ta cała, będąca najlepszym dowodem, jak dalece p. Ferdynand Kłapa swą gorliwą pracą i postępowaniem swem serca wszystkich zaskarbić sobie potrafił, zakończoną została wręczeniem pierścienia pamiątkowego jubilatowi, który w serdecznych słowach wszystkim, którzy do tej uroczystości się przyczynili, podziękował.

W płomieniach. O strasznym wypadku donoszą do *Gaz. Świąt.* Niedawno w domu mieszkalnym dzierżawcy majątku Słupnie, w Płockiem zapalił się dach nad kuchnią. Służba ratowała się ucieczką. W domu pozostała jednak śpiąca pani Kędzierzawska z czworgiem dzieci. Dopiero blask ognia i ryk bydła obudził śpiącą, w chwili, kiedy już cały dom stał w ogniu. Widząc niebezpieczeństwo, pani K. porwała troje starszych dzieci i wybiegła z niemi na korytarz, gdzie już buchały płomienie. Przedarła się jednak przez nie i wybiegła na podwórze. Zostawiwszy tu dzieci, powróciła raz jeszcze do sypialni po czwarte, najmłodsze dziecko. Porwała je w objęcia i już wybiegała z korytarza, gdy nagle wskutek straszliwego gorąca straciła przytomność i padła. W tej chwili przybiegła służba i nieszczęśliwą matkę wraz z dzieckiem z płomieni wydobyła, ale było już zapóźno. Pani K. była strasznie poparzoną, dziecko zaś już żyć przestało. P. Kędzierzawski nie był w domu. Powróciwszy w kilka godzin później, odwiózł nieszczęśliwą rodzinę do szpitala

w Płocku, gdzie wskutek poparzenia zmarła wkrótce matka i dwoje dzieci, które wyniosła z płonącego domu. Zmarł także i starzec Modzelewski, rezydent państwa K., również poparzony.

Odpowiedź od Redakcji. *W. P. Filipowi Z.* Za list serdecznie dziękujemy. Umieścimy go w przyszłym numerze. „Przyjaciel“ prosi o nim nie zapominać i pisywać często.

Co słychać w świecie.

Sejm galicyjski na pewno zostanie zwołany 10. października. Nie potrzebujemy, zdaje się, przypominać posłom włościańskim obowiązków na nich ciążących, pisaliśmy o nich niedawno obszernie, zresztą jesteśmy przekonani, że nie na to dali wybrać się do Sejmu, aby tylko figurować i siedzieć jak lalki malowane, ale aby radzić nad dobrem ojczyzny i biedą włościańską, większą w tym roku, aniżeli zazwyczaj z powodu klęski nieurodzaju, jaka kraj nawiedziła. Wydział krajowy wniósł właśnie do rządu prośbę o wyznaczenie z funduszów państwa 900.000 zł. na zapomogi i bezprocentowe pożyczki.

Jak na wielką biedę, obliczoną w drodze urzędowej na 6 milionów zł., jest to pomoc prawie żadna, i wystarczyłaby zaledwie na obdzielenie jałmużną zagrożonej nędzą ludności, na zaspokojenie głodu w pierwszych dniach kilku. A co potem? Chyba przyjdzie tysiącom rodzin mrzeć z głodu i wziąwszy torby żebracze na plecy, przeciągać przez kraj cały od wsi do wsi, od miasta do miasta i wzywać miłosierdzia ludzi i Boga? Pomoc zatem przez Wydział krajowy obmyślana nie jest dostateczną pomocą i jeżeli ma się biedzie zaradzić naprawdę, to trzeba u rządu wystarać się jeszcze o 5 milionów złr. co najmniej, jeżeli na kraj nie ma spaść głód i pomór. Na posłach właściańskich cięży święty obowiązek upomnienia się o tę pomoc. To samo upomnieć się należy o rozdawanie ze składów i żup solnych soli dla bydła, jeżeli to nie ma być do szczętu wyniszczone.

Również dowiadujemy się, że Wydział krajowy postanowił Sejmowi przedłożyć projekt ustawy o pisarzach gminnych. Byłby też już czas najwyższy aby złe, jakie częstokroć wyrządzają gminom niesumienni pisarze, raz usunąć!

Bułgarja utraciła jednego z mających wielką sławę w tym kraju ludzi. Zacharjasz Stojanów, który za młodu był pasterzem, a potem wykształciwszy się wyszedł na pisarza pieśni, i mężnie walczył za wolność Bulgarji, był obrany prezesem sejmu, pojechał do Paryża, dla obejrzenia wystawy, i tam umarł. Cały kraj wylewa za nim gorące łzy i przywdział żałobę.

W Czechach nie ma zgody pomiędzy ludnością czeską a niemiecką. Od jakiegoś czasu przyszło do tego, że niemcy nie chcą należeć do sejmu, co się zgromadza w mieście Pradze, ponieważ w sejmie tym bywają zwykle przegłosowani przez czechów, których tam więcej zasiada. Otóż rząd austryjacki chciał wezwać do Wiednia ludzi przez obie narodowości z Czech wybranych, aby naradzili się i doszli raz do jakiejś zgody. Czesi gotowi byli wdać się w te układy, ale niemcy rzekli: „Niech cesarz najpierw przyrzecze, że będzie z nami trzymał; niech powie, że nie będzie koronować się na króla czeskiego; niechaj i czesi najpierw przystaną na to, żeby kraj podzielić na okręgi czeskie i niemieckie, według tego, gdzie jaka ludność mieszka, i żeby w niemieckich okręgach były tylko niemieckie urzędy i szkoły, — to my wtedy poszlemy swych ludzi na ową naradę i dla zawarcia ugody z Czechami“ Cesarz jednak nie chce żadnych przyrzeczeń z góry dawać, więc myśl o układach przynajmniej nateraz w łeb wzięła.

W całej Francji odbyły się teraz wybory nowych posłów do sejmu, ponieważ skoń-

czyły się już lata, na które dotychczasowi byli obrani. Ogromna więc w tych dniach była wrzawa we Francji, bo wszystkie stronnictwa starały się o to, żeby mieć jak najwięcej swoich posłów w sejmie. Dochodziło przytem w wielu miejscach do kłótni, o mało że nie do bójek. A najzawziętsza walka przy tych wyborach toczyła się w samym Paryżu, gdzie jedni są stronnikami teraźniejszych ministrów, a drudzy — Bulanżera. Chociaż rząd ogłosił, że Bulanżer, jako wygnaniec z kraju, odsądzony od praw obywatela francuskiego, nie może być posłem, to jednak w jednym okręgu Paryża większa część wyborców dała za nim swe głosy. W kilku innych znów częściach miasta obrano przyjaciół Bulanżera. Za to po innych okręgach Francji stronników jego znalazło się mało, tak, że Bulanżer nie będzie miał w sejmie chyba i 30-stu przyjaciół.

We Włoszech główny minister Kryspi, pojechawszy niedawno do Neapolu, największego miasta w Włoszech, doznał tam bardzo przykrego zajścia.

Jakiś człowiek, nazwiskiem Kaporali, ugodził dostojnego gościa ostrym kamieniem w twarz. Minister został zraniony, tak że musiał się do łóżka położyć, a rana jakoś bardzo wolno się goji. Kaporali został wzięty do więzienia. Z początku rozeszła się wiadomość, że jest to warjat, ale on sam zaprzecza temu, mówi do rzeczy i dowodzi, że należy do tej części narodu włoskiego, która jest przeciwna teraźniejszemu rządowi, więc dla tego uczynił zamach na życie Kryspiego. W kilka dni potem duży tłum z pomiędzy mieszkańców Neapolu zgromadził się na ulicy przed domem, w którym Kryspi się leczy, i wydawał okrzyki na cześć ministra, wołając: »Niech żyje Kryspi«. Ten z podwiązaną twarzą wyszedł na ganek i dziękował zgromadzonym za dowód takiej przychylności dla siebie.

Z Niemiec. Niemcom nie na żarty trudno się obyć bez świń z zagranicy przywożonych. Swoje im nie wystarczają. Rząd nie chce znieść zakazu przywożenia tego towaru z krajów obcych, ale musi wydawać pozwolenia wyjątkowe. Oto pozwolono sprowadzać wieprze z Galicji do miasta Gliwic na Szlązku pruskim, a wieprze bite z Królestwa Polskiego do regiencji Bydgoskiej w Księstwie Poznańskiem. Postawiono jednak warunek, że wieprze bite mogą być wiezione przez granicę tylko w tych miejscach, gdzie mieszkają rządowi rewizorzy mięsa. Każda sztuka musi być daną do zbadania rewizorowi, aby ten zaświadczył, że jest zdrowa, a szczególniej, że nie ma w sobie trychin. Za czynność tę ma płacić właściciel wieprza. Kto się do tego nie zastosuje, podlega karze 30-tu marek, (czyli 18 złr.) albo aresztowi.

Do Serbji powróciła wypędzona stamtąd przed rokiem królowa Natalja, której małoletni syn Aleksander obecnie jest królem. Jak czytelnikom naszym wiadomo, dawny król Milan, który zrzekł się tronu i rozwiódł z żoną, zakazał jej powrotu do kraju. Pomimo to Natalja wróciła do Serbji, za zgodą rządzących w imieniu jej syna rejentów, i prawdopodobnie w Belgradzie stale zamieszka. Rejencja pozwoliła powrócić królowej pod tym warunkiem, że do rządów ani do wychowania swojego syna mieszać się nie będzie. Natalja zgodziła się na wszystko, aby tylko być blisko swojego jedynaka. W Serbji panuje wielkie rozdwojenie z powodu niechęci do obecnie panujących książąt Obrenowiczów i jest silna partja, która żąda powrócenia na tron linji Karageorgiewiczów. W ogóle kraj ten czekają zaburzenia i jeżeli nieład dotychczasowy dalej tam potrwa, to niedługo będzie się Serbja cieszyła samodzielnością i gotowa wpaść w ręce którego z wielkich państw sąsiednich.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.** Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 13. We Lwowie, dnia 1. Października 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

Administracja „Przyjaciela“ uprasza tych z pomiędzy szanownych czytelników, którzy dotąd nie nadesłali prenumeraty na rok bieżący, o uczynienie tego w jak najkrótszym czasie.

Propinacja.

Są jeszcze ludzie, którzy lud polski, włościanina polskiego, dla tego, że cały rok boży ciężko pracuje na życie, że chodzi w siermiędze, a nie w drogich jedwabnych materjach, sprowadzonych od cudzoziemców, w grubej koszuli, wyrabianej w kraju, a nie w cieniuteńkich, sprowadzonych z Wiednia, uważają jeszcze ciągle za coś gorszego, za ludzi niezdolnych pomyśleć o swej biedzie, o sprawach krajowych, dotyczących zarówno obywateli państwa, urodzonych pod słomianą strzechą jak i ludzi z miasta, dworów i pałaców. A przecież włościanin opłaca tak samo podatki, jak i inni, tak samo daje rekruta jak i inni, a przecież ma takie same prawo obywatelskie, jak inni, a zatem ma prawo o sobie radzić, sam sobie poradzić, byleby tylko postąpił według praw i ich nie przekroczył. Kto to prawo zaprzecza ludowi, włościaninowi, ten jest jawnym nieprzyjacielem ustaw państwowych, ten by chciał ustawy nowe zaprowadzić, na niekorzyść ludu i państwa.

U nas chwała Bogu, każdy może mówiż o tem, co mu dolega i szukać rady na złe, mamy ku temu wiele sposobności. Jest u nas Rada państwa we Wiedniu, gdzie posłowie wprost stykają się z rządem i ministrami, jest Sejm krajowy i Rady powiatowe, w których zastępcy ludności, biedni czy kogaci, włościanie, mieszczanie i szlachta mogą wyjawić swe życzenia, o których potem donoszą rządowi, jego słudzy: minister i namiestnik. Dla tego też włościanie powinni się starać, aby do Rady państwa, Sejmu i Rad powiatowych wybierali swoich ludzi, ludzi nie goniących ani za honorami, ani uchowaj Boże, za pieniędzmi, ale takich, którzy potrzeby włościan dobrze znają i chętnie by biedzie ludzkiej zaradzić chcieli. Jeżeli włościanie jeszcze swoich ludzi w Radzie państwa, w Sejmie nie mają, jest to ich własna wina, a nie niczyja, wina tego, że się mało zajmują się sprawami publicznymi. Ot naprzykład teraz. W całym kraju i zagranicą o niczem nie mówią, jak o propinacji galicyjskiej, o wykupnie tejże, o mil-

jonach, który kraj zapłaci. A czy wiele n nas włościan jest, którzy się nad tem zastanowili, co to jest ptopinacja, co to jest wykupno tejże, kto ją sprzedał i jak sprzedał, kto ją i jak kupił, dlaczego kraj płaci, komu i ile płaci on za propinację i z czyjej kieszeni to się płaci? A przecież propinacja jest sprawą krajową, nad którą wszyscy zastanowić się powinni, panowie a jeszcze bardziej włościanie, do których w sprawie propinacji daje się zastosować przysłowie ruskie: »ne peredresz oczy, peredresz moszenku« (»jesli ócz nie rozedrzesz, to rozedrzesz kieszeń«) A wiecie wy najpierw, co to propinacja? skąd się ona u nas wzięła? Zapewne wielu z włościan wie to, ale nie wszyscy i dlatego ją teraz omawiamy. Za czasów, kiedy jeszcze włościanie obrabiać musieli panom pańszczyznę, a mieszczanin nic nie znaczył i także podlegał szlachcie, w tych czasach panowie mieli prawa na włościan nakładać rozmaite podatki. I tak umyślono sobie, że nikt nie śmie wódki wyrabiać, jak tylko dziedzic i że włościanin u nikogo nie śmie wódki kupować, jak tylko u swego pana. Później wielu panów zaprzestało wyrabiać wódkę, zaprzestali sami ją sprzedawać, ale pozwolili drugim wyrabiać wódkę, a innym szynkować. Takie pozwolenie nie każdy otrzymał, tylko ten, który panu za to prawo grubo zapłacił, i takie prawo nazywało się i nazywa się propinacją, a dzierżawcy, którzy panu za prawo wyszynku płacili, nazywali się propinatorami, albo arendarzami, szynkarzami. Nie każdemu więc wolno było i wolno jest szynkować, tylko takim wolno jest, którzy propinację u panów dzierżawili, a wyszukano do tego żydów, bo panowie chcieli jak najwięcej mieć za dzierżawę, a żydów za najsprytniejszych do wyszynków uważali.

Prawo propinacji, postanowione jeszcze w czasach dawniejszych, miało istnieć po wieczne czasy. Zeszłego roku dopiero rząd cesarski powiedział, że propinacja, która czyni zawisłemi całe wsie i miasta od dziedziców i ich arendarzy, musi ustać, że się to nie godzi, aby lud był ograniczony, aby nie śmiał kupować za swoje pieniądze choćby szkodliwą wódkę, gdzie chce i u kogo chce. Panowie właściciele dóbr zakrzyknęli wtedy, że rząd chce ich zedrzeć, że oni prawie żyją z tego, co arendarz im płaci za propinację, że propinacja jest ich odwiecznem prawem, a zatem jeżeli rząd chce, aby propinacja ustała, to musi im (właścicielom dóbr) za to zapłacić. Rząd aby usunąć propinacją, jako resztę zabytku czasów pańszczyznianych, i na to się zgodził i wniósł do Sejmu ustawę, że panom cały kraj ma zapłacić 54 i pół miljonów złr. Suma to ogromna dla tak biednego kraju, ale cóż miał rząd robić, kiedy ustawa o zniesieniu prawa propinacji musi być w Sejmie uchwalona, a w Sejmie jak wiadomo, nawet gminy wiejskie wybierają panów, właścicieli propinacji. Ale tą sumą właściciele propinacji się nie zadowolnili. Zeszli się oni razem na narady, rachowali i rachowali, aż narachowali i uradzili, że im musi się przynajmniej za zniesienie prawa propinacyjnego zapłacić ośmdziesiąt miljonów złr. Tak wielkiej sumy znów rząd nie chciał przyznać. Po długich rozprawach zgodzili się wreszcie panowie na 62 i pół miljonów złr.

Tak to uchwałą sejmową ze stycznia prawo propinacyjne zostało wykupione od panów za 62 i pół miljonów złr. A teraz spytacie się, kto propinacją kupił? kto tę sumę ma zapłacić? Otóż najpierw rząd, który daje na ten cel gotówki dwadzie-

ścia i dwa miljonów złr. a resztę tj. czterdzieści i pół miljonów złr. sam kraj. Spyta się ktoś może, jak kraj tak biedny, jak Galicja, gdzie wielka jest bieda, gdzie trzeba płacić rozmaite podatki państwowe i krajowe, może tyle płacić, skąd te pieniądze wziąć? I na to znalazła się rada. Jak niema pieniędzy, to się pożyczy i płaci procenta. Otóż i kraj za uchwałą sejmową ma na cele propinacyjne pożyczyć pieniądze, a za każdą setkę płacić będzie po cztery procent. Pożyczka taka zaciąga się na gatunek weksli, które się zwą obligacjami, każda taka obligacja opiewa na 100 złr., chociaż pożyczający gotówką daje tylko około 88 złr., a więc już się traci na każdej setce po 12 złr., nie licząc do tego 4 procent. Wiemy więc już, że za uchwałą Sejmu propinacja została wykupioną, że się za nią właścicielom dóbr i propinacji zapłaciło 62 i pół miljonów złr. i że około 40 miljonów sam kraj ma zapłacić, że na ten cel kraj pożyczy u ludzi, którzy mają pieniądze, kapitały, u kapitalistów, więcej jak 40 miljonów, a jeszcześmy nie powiedzieli skąd kraj weźmie na zapłacenie tej pożyczki, lecz o tem pomówimy następnym razem, bo to właśnie — jak kraj taki dług zapłaci, obchodzi wszystkich, a przedewszystkiem mieszczan i włościan.

Dla zarady głodowi.

Dnia 23. września odbyła się w Wydziale krajowym wspólna konferencja delegatów namiestnictwa i Wydziału krajowego dla zastanowienia się nad obecnem położeniem ludności, dotkniętej głodem w skutek tegorocznych nieurodzajów.

Okazało się, że na zasiewy ozime i jare, oraz na wyżywienie do r. 1890 ludności potrzebaby było około sześciu miljonów. Jest nadzieja, że roboty publiczne, prowadzone przez rząd i Wydział krajowy w znacznej mierze dostarczą zarobku, zatem suma, z jaką należałoby przyjść tej ludności z pomocą, może być znacznie zredukowaną. Po konferencji Wydział kraj. odniósł się do namiestnika z prośbą wyjednania u rządu kwoty 900.000 złr., jaka jest koniecznie potrzebną, jeśli klęska nie ma przybrać przerażających rozmiarów. Z sumy tej należałoby — rozdać 300.000 złr. tytułem bezzwrotnych zapomóg, zaś 600.000 złr. wyznaczyć na bezprocentowe pożyczki, zwrotne w sześciu latach, licząc od roku 1891.

Upraszano również namiestnika o wyjednanie, aby ściągania podatków w r. 1890 nie zaprowadzano z całą surowością, ale aby zezwalano na ratalne spłaty.

Odniósł się Wydział kraj. również z prośbą do namiestnika o wstawienie się u rządu, aby prowadził budowy dróg w tych okolicach naszego kraju, w których ludność narażoną jest na niedostatek i głód.

Wydział kraj. udzielać będzie również zasiłków na budowę i naprawę dróg powiatowych i gminnych w r. 1890 przedewszystkiem powiatom, dotkniętym tegorocznym nieurodzajem. Wydział krajowy wstawił do budżetu, to jest wydatków r 1890 kwotę 210.000 złr. na bezzwrotne zasiłki dla dróg powiatowych i gminnych; 20.000 złr. na budowę i utrzymanie publicznych dojazdów kolejowych, oraz 20.000 złr., jako ósmą ratę do funduszu pożyczkowego drogowego.

Wydział krajowy wystosował okólnik do wydziałów powiatów, dotkniętych najwięcej nieurodzajem, a mianowicie: Bochni, Borszczowa, Brzeżan, Brzozowa, Buczacza, Czortkowa, Dobromila, Gorlic, Gródka, Horodenki, Husiatyna, Jarosławia, Jaworowa, Kałusza, Kamionki strum., Kolbuszowej, Kołomyji,

Krakowa, Łańcuta, Lwowa, Nadwórny, Niska, Pilzna, Podhajec, Przemyśla, Przemyślan, Rohatyna, Rudek, Rzeszowa, Skałatu, Śniatyna, Stanisławowa, Tarnopola, Tłumacza, Wieliczki, Zaleszczyk, Zbaraża, Złoczowa, Żółkwi i Żydaczowa.

Polecił im, aby najdalej do 15. października przedłożyły Wydziałowi krajowemu szczegółowe daty co do potrzebnych robót publicznych.

Jeszcze o nieurodzaju.

Nie ma chyba takiego zakątku w naszym kraju, któregoby nie dotknęła klęska nieurodzaju. Oto co piszą o niej z Birczy:

Jesteśmy w przededniu strasznej biedy, która odbije się u ludu rolniczego przez długi szereg lat przyszłych, z powodu bowiem braku paszy wyprzedał rolnik ostatni dobytek, jaki miał w swojej zagrodzie, a wyprzedał za $^1/_4$ część zwykłej jego ceny, biorąc po 7—10 zł. za krowy, które rok temu wstecz płacono po 40—50. lub po 50—70 za parę wołów, zapłaconych w jesieni zeszłej 150—200 zł. — Dobytek zatem, ta podstawa w gospodarstwie rolnem, wyprzedano, oborniku czyli gnoju pod tegoroczne jesienne i przyszłe wiosenne zasiewy nie ma i nie będzie, a więc za pożyczone pieniądze kupuje się nawozy sztuczne, kupuje i ziarno do siewu, najmuje pług i bronę no, i jeśli sprzyjające będą warunki, spodziewać się należy pięknych urodzajów w przyszłym roku. Ale z czego, pytamy, zapłaci dług zaciągnięty na dokonane zasiewy i za co kupi inwentarz, kiedy już mieć będzie paszę na wyżywienie, z czego wreszcie żyć będzie przez całą drugą zimę, skoro i kapusty zupełnie chybiły i skoro słota, trwająca od paru tygodni, grozi zgnojeniem tego jedynego w tym roku dość obfitego plonu kartofli, w których chłop pokładał dotąd nadzieję swego ocalenia?

O działalności zaś ratunkowej nikt pono nie myśli, jakkolwiek czas już wielki, aby o niej na serjo pomyślano. a gdyby wreszcie ojcowie kraju po zwołaniu sejmu uchwalili zwykłą w podobnych wypadkach zapomogę w formie pożyczek zwrotnych, czy bezzwrotnych, to pomoc taka jest raczej prostą jałmużną żebrakowi rzuconą, niż skutecznym środkiem ku osłabieniu fatalnych skutków tegorocznej klęski, jaką stan rolniczy w ogóle dotkniętym został.

Dla ludu naszego jednym dziś ratunkiem byłyby roboty, podjęte funduszem krajowym, czy państwowym, gdzie by mógł tyle przynajmniej zarobić, aby najpierwsze i najniezbędniejsze dzienne jego potrzeby zaspokojone zostały i aby w ciągłej pracy znalazł zapomnienie ciężkiej swej doli.

To też w pierwszym rzędzie do „Kółek Rolniczych“ należeć by powinno, aby przedstawiły, gdzie należy, stan opłakany rolnika, a spodziewać się należy, że roboty np. około dróg krajowych i regulacji rzek już postanowione lub, w przyszłości postanowić się mające, dziś by rozpoczęte zostały i tem samem dostarczyłyby pracy i kawałka chleba spragnionym.

Że na ten krok nie zdobędzie się zarząd tutejszego »Kółka Rolniczego« o tem nie wątpimy, jakkolwiek delegat głównego zarządu Towarzystwa zwołał podobno reprezentantów wszystkich „Kółek“ w powiecie na dzień 29. września na naradę w tej sprawie. Poruszamy jednak tą sprawę na tem tu miejscu dla tego jedynie, aby dać niejako sposobność do zastanowienia się nad nią także innym „Kółkom Rolniczym,“ które będąc w lepszych warunkach, skuteczniej mogą ją poprzeć u sfer decydujących.

Rozpisawszy się dość obszernie o smutnych rzeczach, nie zawadzi może wspomnieć na pociechę o Towarzystwie straży ogniowej ocho-

tniczej. Instytucja, ta bezsprzecznie wysoko pożyteczna, zdaje się mieć wszelką rację bytu, ma już bowiem i sikawkę własną i niezbędne rekwizyta i wyborne na 18 ludzi umundurowanie; jest karność i niezwykła ochota do niesienia w razie potrzeby pomocy; otrzymała jnż i chrzest ogniowy w paru wypadkach w okolicy, ma i sporo długów -- bo mówiąc nawiasem, członkowie honorowi nie śpieszą skwapliwie z uiszczaniem zaległych wkładek, a gmina przyobiecanej subwencji nie wypłaca od roku — ale to wszystko razem wziąwszy nie zapewnia jej jeszcze trwałego bytu. Oprócz bowiem braku stałych funduszów na rekwizyta ogniowe niezbędnych, zachodzi ta jeszcze niefortunna trudność w należytem wyćwiczeniu komendy, że rok rocznie dzielniejsi strażacy zostają zaasenterowani do wojska.

Oto właśnie w dniu wczorajszym byliśmy świadkami jak korpus strażacki (śród którego znajdował się jeden towarzysz przemyskiej straży p. Cichoński, który przybywszy w odwiedziny do swego ojca natychmiast zameldował się w tutejszej komendzie i prawdziwie po koleżeńsku wszelkie ćwiczenia i trudy wspólnie odbywał) żegnał czterech swoich towarzyszy, odchodzących do wojska. Z okazji tej naczelnik straży miał krótką a jędrną przemowę do opuszczających towarzyszy, którym dziękując za gorliwą i pełną trudów ich służbę, podniósł, że »do tej chwili będąc zawsze gotowi do niesienia pomocy z narażeniem częstokroć własnego zdrowia i życia, służyli ludzkości, a też samemu krajowi i ojczyźnie, jak więc tu pilnością i gorliwością w wykonywaniu rozkazów swoich przełożonych zasłużyli na uznanie i podziękę, tak i tam, postępując znaną już drogą posłuszeństwa, zjednają sobie życzliwość i uznanie swoich naczelników. Serdecznemi słowy szczególnej żegnał naczelnik adjutanta komendy p. Potopę, który wyszczególniał się zawsze przykładną gorliwością i niezmordowaną pracą nad zorganizowaniem towarzystwa straży ogniowej w Birczy.

Na wielkie uznanie zasłużyła tutejsza straż ogniowa przyczyniwszy się do wydania zakazu palenia tytoniu wśród miasteczka w czasie tegorocznej posuchy i zarządzenia, aby przy każdym domu znajdowała się beczka napełniona wodą, a ck. Starostwo w Dobromilu na wdzięczność, że do wykonania tych chwalebnych zarządzeń chętnie swej udzieliło pomocy.

Wzorowe Kółka rolnicze.

Uorganizowane dopiero w r. 1887, liczy już dzisiaj „Kółko rolnicze“ w *Sokołowie* 110 członków. Czytelnia Kółka rozwija się bardzo pomyślnie, rozprawy i wykłady treści religijnej, moralnej, historycznej i gospodarskiej, miewane przez ks. katechetę Józefa Tokarskiego i pp. nauczycieli: Bolesława Chodzińskiego, Karola Gardziela i Hipolita Wodeckiego, ściągają przeszło 100 członków i doroślejszą młodzież co niedzielę do czytelni.— Chów bydła się podnosi, w którym to celu „Kółko rolnicze“ utrzymuje rozpłodnika rasy holenderskiej, sprowadzają, — jak sprawozdanie z roku 1888, a więc w rok po zawiązaniu Kółka wykazuje, znaczną ilość nasion pastewnych i 2 sieczkarnie, za pośrednictwem zarządu głównego, zasilają czytelnię 120 książeczkami ze znanych wydawnictw, i prenumerują *Niedzielę*, *Chatę* i *Nowiny* i *Kurjera Rzeszowskiego*.

Obowiązując wszystkich członków do ubezpieczenia się od ognia, uznają potrzebę założenia straży pożarnej ochotniczej, i sprowadzają za pośrednictwem Towarzystwa

wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie sikawkę cztero-kołową. Wreszcie udziałem członków, wynoszącym 1.100 zł., zakłada „Kółko rolnicze“ sklepik.

Wśród licznych w Sokołowie sklepików żydowskich, w obec różnorodnych w sprawozdaniu do zarządu głównego wykazanych usiłowań żydów, aby temu przeszkodzić, wobec gwałtów nawet, przez żydów dokonywanych, jak okrutne pobicie tego, który lokal „Kółku rolniczemu“ na sklepik wydzierżawił, dawna zasada: „zespolonymi siłami nawet małe sprawy do znaczenia dochodzą“ odnosi i w „Kółku rolniczem“ w Sokołowie tryumf, i zarząd Kółka wykazuje pomyślny rozwój sklepiku, bo zaraz w pierwszym roku 1888 sprzedano w nim towarów za 6.812 zł., a nadto przyjmuje sklepik w komis produkty i wyroby miejscowych rzemieślników.

Wedle ostatniego sprawozdania, w r. 1889 przedłożonego, do zarządu „Kółka rolniczego“ należą: przewodniczący ks. kanonik Leon Stokowski, proboszcz miejscowy; zastępca przewodniczącego p. Mikołaj Daroch, przemysłowiec; sekretarz p. Karol Gardziel, nauczyciel; członkowie zarządu pp. Kazimierz Bienek, rolnik i Józef Chmiel, garncarz.

Pochwały godna wytrwałość, wobec przytoczonych przeszkód i stosunków, toż gorliwość zarządu Kółka i energja, czerpiąca swą siłę w poczuciu spełniania obowiązku obywatelskiego, zasługuje na wszelkie uznanie, które też wyrażając, nie wątpimy, że „Kółko rolnicze“ w Sokołowie, wsparte dobrą wolą i życzliwością przyjaciół oświaty i podniesienia dobrobytu ludu naszego, z każdym rokiem skuteczniejszą swą działalność zaznaczać będzie.

W *Kalwarji Pacławskiej*, pow Dobromil, zaznaczyli również członkowie „Kółka rolniczego“ swą gorliwość i łączność wobec przeciwieństw.

Pomimo licznej osady handlarzy i rękodzielników, szczególnie tkaczy, pomimo znacznego przypływu pątników z dalekich nawet stron na odpusty do Kalwarji przybywających, co bez wątpienia do podniesienia dobrobytu tamtejszych mieszkańców przyczynić się było mogło, pozostawała znaczniejsza część ludności w ubóstwie, z nędzą graniczącem, a rujnowały ich coraz bardziej wysokie procenty, bo 20 prc. i wyżej, opłacane od długów, zaciąganych lekkomyślnie u miejscowego żyda.

Jako zbawczy środek wybrnięcia z tego położenia uznają zawiązanie się w „Kółko rolnicze.“

Uorganizowane w r. 1885 pod przewodnictwem czcigodnego księdza Benignego Chmury, gwardjana klasztoru w Kalwarji Pacławskiej, Kaliksta p. Feduniewicza zastępcy przewodniczącego; Franciszka Solskiego, sekretarza; Antoniego Brożyniaka i Alojzego Nawojskiego jako członków zarządu, liczy „Kółko rolnicze“ 70 członków.

Hasło Towarzystwa „Kółek rolniczych“, walka nie przeciw ludziom, lecz z ciemnotą, nędzą, lekkomyślnością, próżniactwem i innymi wadami nas, do upadku doprowadzającymi“, znajduje odgłos u członków „Kółka rolniczego“ w Kalwarji Pacławskiej.

Poradnik dla czytelń.

O rolę, obrazek przez Walerję Morzkowską. P. Morzkowska mieszka w Warszawie i jest nietylko znakomitą autorką, ale i dobrą polką. Jako więc dobra polka, ko-

cha bardzo lud wiejski i pisze śliczne historje z życia włościan.

W powiastce o Rolę opowiada nam, jak to gospodarz Sochala prawował się z synem swego ojczyma, Marcinem Kozikiem o kawał roli i wygrał proces, choć to było nieprawdziwie i z krzywdą Kozika. Wskutego powstała straszna nienawiść między Sochalą a Kozikiem i choć chaty ich stały bliziutko od siebie, żaden z mieszkańców tych chat nie przestępował nigdy progu drugiego, spotykając się zaś z daleka, omijali się jak najprędzej, a czasem tylko, gdy zeszli się w karczmie lub koło kościoła, przychodziło między niemi do kłótni, która się nieraz kończyła bójką.

Rodzice nienawidzili się okrutnie, a tym czasem dzieci ich kochały się serdecznie. Jasiek, syn Kozika, oddawna już upatrzył sobie piękną Małgosię, córkę Sochali i lgnął do niej, jak mucha do miodu, dziewczyna ze swej strony oddała mu również całe serce. Widywali się rzadko z sobą i ukradkiem, bo ojcowie nie przebaczyliby im nigdy, gdyby się dowiedzieli o ich miłości, ale sercu rozkazać trudno: Jasiek nie mógł porzucić Małgosi, Małgosia nie mogła zapomnieć o Jaśku i jak tylko ojciec wyjechał dokąd lub wyszedł na robotę w pole, biegła szybko do gaju, wedle drogi. Tam czekał na nią o umówionym czasie młody parobczak, którego oczy niespokojnie zwracały się ku ścieżce, wiodącej od chaty Sochali.

Matka domyślała się przyczyny, dla której Małgoś tak często wybiegała z chaty i mówiła jej nieraz załamując ręce:

— Oj Małgoś, Małgoś! a na co ci to! Niechby, Boże broń, ojciec zobaczył, miałabyś ty za swoje i ja przy tobie. Gotówby ubić na miejscu.

— Niech ubije! raz będzie koniec! — szepnęła dziewczyna przez zaciśnięte zęby. Sochalina nie usłyszała jej może i udobruchana nagle dodała:

— Nie trzeba gadać: chłopak świarny, do roboty zuch i ojców szanuje. Cóż! żeby był jeszcze świarniejszy, kiej między Sochalami a Kozikami nijakiej zgody być nie może.

— Co ja temu krzywa! — odparła dziewczyna, — bawiliśma się razem od dziecka, razem chodzili za bydłem, a teraz przez niego to mi już nic nie miłe na świecie.

— Abo to prawda! — ofuknęła ją matka. — Czy to jeden Jasiek na świecie? Poczekaj! przed zapustami tylko patrzeć, jak tu Szymek Pazdunów z wódką przyśle.

— Ja nie chcę! — wołała Małgosia.

Ojciec ze swej strony przestrzegał ją ostro mówiąc:

— Pamiętaj sobie — żeby ci głupstwa nie chodziły po głowie! pamiętaj, że pókim dobry — to dobry, ale niedoczekanie twoje, żebyś mi się z tymi zadawała, co na krzywdę moją dybią! Pamiętaj, od Jaśka wara, bobym was ubił oboje własnemi rękami!

Tak rzeczy stały, kiedy smutny nadszedł dzień dla całej prawie wioski.

We wsi tego dnia panował ruch niezwykły. Rodziny wysyłały swoich synów do losowania, żegnały ich, gościły, naradzały się i pocieszały wzajemnie. Kobiety piekły chleby, gotowały kiełbasy lub jaki kto miał w domu przysmak dla odchodzących, bo nikt nie wiedział, czy wrócą.

Kozikowa również z zapłakanemi oczyma krzątała się około komina, by ostatnie może śniadanie zgotować synowi, a Jasiek stał ponury, patrząc to na matkę, to na tę chatę, co ją miał porzucić. I robiło mu się dziwnie na sercu. Brała go ochota obiegnąć jeszcze ten las, którego szum miał w uszach, te zagony czarnej roli, na których teraz rosła bujna zieleń ozimych posiewów, cała od nocnej rosy perlista, te błonia, gdzie ubiegły mu jego pierwsze lata razem z rówieśnikami przy pasaniu, i te wierzby, z których kręcił fujarki, z których każdą znał z osobna tak dobrze, iż byłby poznał ją pomiędzy tysiącem innych. Najsmutniej mu było jednak odejść od Małgosi. Nakoniec czas już był wyruszyć w drogę. Losownicy i ich rodziny skierowali się ku gminie, a droga szła tuż koło chaty Sochali. Na progu jej stała Małgośka. Czekała na Jaśka, nie bacząc na ojca, który w podwórku szykował pług i coś ciosał zawzięcie, — choć wiedziała, że mógł ją zobaczyć.

Cały orszak przechodził właśnie koło niej, Jasiek zatrzymał się.

— Ostań z Bogiem Małgorzato! — wyrzekł zdławionym głosem.

Chciała mu odpowiedzieć dobrem życzeniem, ale nie mogła. A ludzie patrząc na nich szeptali sobie.

— Byłaby z nich śliczności para!

Szmery te niewyraźne dolecíały Sochali; Wypadł na drogę, pochwycił dziewczynę za rękę tak gwałtownie, że jęknęła i przerażona osunęła się na kolana.

Jasiek rzucił się na Sochalę, ażeby wyswobodzić z rąk jego Małgośkę. Sochala odtrącił go tak, że aż się zatoczył.

Ale na to przyskoczył Kozik.

— Zbóju jeden! złodzieju! — krzyknął ochrypłym głosem.

Sochala trzymał właśnie w ręku siekierę i zamierzył się nią na przeciwnika.

Byłby go niezawodnie zamordował, szczęściem ktoś przytomny pochwycił go z tyłu za ramię: siekiera osunęła mu się z dłoni i spadła ostrzem na głowę Małgosi.

Dziewczyna padła na ziemię z rozciętem czołem, z którego krew płynęła. Jasiek przypadł do niej i unosił z ziemi jej głowę.

Widok krwi opamiętał Sochalę; stanął nieruchomy, zdrętwiały, patrząc błędnemi oczami na córkę z twarzą zbielałą, która leżała jak martwa w objęciu Jaśka. Patrzał na nią jakby to z jego serca płynęła ta krew, którą miał na sobie.

Gdy tak wszyscy stali około rannej, dał się słyszeć drżący głos starego i rozumnego gospodarza Nogi, który wsparty na kiju był świadkiem tego, co się stało.

— Jaśku! — mówił Noga, — trza ją zanieść do chaty, a wy Kozikowo, podtrzymajcie jej głowę!

Posłuchano go, Jasiek pierwszy raz od czasu kłótni ojca z Sochalą przestąpił próg jego chaty. Sochala jak martwy padł na ławę i wodził oczami po chacie, po ludziach, którzy ją napełniali. Czyż to on był sprawcą tego? i czy naprawdę Kozikowie krzątali się koło niej, ratowali, jakby swoją, gdy matka głowę straciła, a on był zabójcą swego dziecka?

— No, teraz w drogę! — odezwał się sołtys — Zmarnowało się kawał czasu. Jaśku, puść dziewczynę i chodźwa!

Jasiek postąpił parę kroków, ale gdy odchodził, Małgośka jęknęła tak boleśnie, jakby jej kto serce wyrywał. Sochala wówczas przypadł do łóżka, ryknął głosem wielkim: »Małgoś moja, co ja zrobiłem«!

W tej chwili Jasiek już był na progu.

Dziewczyna śledziła go wzrokiem, nie zważają na ojca.

— Jaśku, Jaśku! — wołała i wybuchnęła płaczem.

Wówczas odezwał się Noga.

— Oj Jakóbie! Jakóbie! skrzywdziliśta własne dziecko omal nie na śmierć przez swoją popędliwość, a teraz lamentujecie po próżnicy, zamiast takie słowo powiedzieć, coby i ją niebogę pocieszyło i wam ciężar zdjęło z sumienia.

— Mówcie, ojcze! — zawołał Sochala, którego serce zmiękło, a jak mi poradzicie, tak zrobię.

— Ano! — rzekł Noga, — czy nie widzicie, że Małgośka z Jaśkiem się kochają i że połączyć ich trzeba?

Sochala długo milczał, to bladł, to czerwieniał.

— Ha! niech ta będzie, jak mówicie! — wybuchnął wreszcie, podnosząc czoło z dobrem postanowieniem.

Małgośka pochwyciła ręce ojcowskie i przyciskała je do ust, a Kozikowa przypadła mu do kolan.

Wielka radość i wielkie szczęście zapanowały w chacie.

— Ha! — wyrzekł wreszcie Sochala — wola wasza! szczęściu dziecka nie będę przeciwny.

Podali sobie ręce — a stary Noga powiedział; nie pierwszyzna to, że miłość dzieci jedna waśnie ojców.

Jasiek szczęśliwie i rychło wrócił z losowania, bo wybrał dobry los, a na początku zapust odbyło się huczne wesele Małgosi z Jaśkiem. Chata Sochalów ledwie mogła pomieścić licznych gości, między którymi pierwsze miejsce zajmował stary Noga. Był on wesół nadzwyczajnie, ręce zacierał z radości i z uśmiechem patrzał to na młodą parę, to na jej ojców, ściskających się, jak prawdziwi przyjaciele.

Kilka słów o lichwie.

III.

Nie lepszą od żydowskiej jest lichwa bankowa. Wskutek ostrych kar, nałożonych na lichwiarzy prywatnych i zapowiedzenia noweli egzekucyjnej — nie łatwo biednemu o kredyt, a tu nadchodzą ciężkie czasy przednówku, spłaty podatku albo choćby i chrzciny, wesela, pogrzeby — trzeba się koniecznie zapożyczyć. Z ciężkiem sercem idziesz do banku, do owej garbarni chłopskich skór, skąd już cało nie wyjdziesz. Banki włościańskie, szmaciarskie, kryłoszańskie runęły, doprowadziwszy do największej nędzy wielu włościan, zostały jednak zaliczkowe kasy powiatowe, miejskie kasy powiatowe, miejskie kasy oszczędności, towarzystwa zaliczkowe i tym podobne »instytucje kredytowe». Szkodliwemi są one dla wieśniaka przez wysoką stopę procentową i zawiłą administrację, a dalej przez brak należytej kontroli, nareszcie przez narażenie członków na ruinę w razie bankructwa tych stowarzyszeń, opartych na nieograniczonej poręce wszystkich członków, to jest nie tylko tych, którzy się u nich zadłużyli, lecz i tych, którzy mają tam swą udziałami złożoną gotówkę. Procenta zwykłe wynoszą w takich zakładach razem z dodatkami wpisowymi do 14%, a z procentami zwłoki do 27%, gdy tymczasem rola daje 3% a rzemiosło na wsi tyle co nic. Ani rola, ani rzemiosło nie dadzą więc nawet trzeciej części spłacanych za dług odsetek — co ostatecznie pożera żelazny kapitał, to jest obdłużoną własność i albo dłużnika albo ręczyciela

prowadzi do żebractwa. A zdarzają się zbyt często wypadki, że w zakładach takich popełniają wprost kradzieże i rabunki. Kilku sprytnych ludzi chwyci taką instytucję pieniężną w swoje ręce, tucząc się krwią nieopatrznych prostaczków i tak długo w niej kręci i wierci, aż cały zakład zgubi, a siebie wtrąci do kryminału. Wielkie zło wynika także z tego, że dłużnicy zależni są od tych banków i muszą nieraz być im posłuszni, choćby nie chcieli. Oto naprzykład, dłużnik banku musi tak głosować jak »dyrekcja» każe, bo inaczej grozi mu egzekucja. Dłużnik, mający do wyboru albo oddanie głosu na narzuconego mu kandydata albo oddanie gruntu i chaty na licytację — nie długo wybiera. Kiedy założono bank krajowy, spodziewano się powszechnie oczyszczenia tych gnojówek finansowych, lecz oczekiwania zawiodły.

Bank krajowy, urządzony kosztem podatkujących całego kraju, stał się instytucją dla ludzi bogatych tylko, bo przez uchwałę, ażeby nie udzielano w nim pożyczek niżej 500 złr., wykluczył lud nasz od kredytu. Oprócz tego dano zastępstwa na prowincji towarzystwom zaliczkowym, to tak samo znaczy, jak gdyby kto oddał sprzedaż swego towaru w komis przekupniom, kupczącym tym samym towarem, naturalnie, że przekupień taki, sam będzie sprzedawał drogo, a kupić będzie chciał jak najtaniej. Największa niesprawiedliwość dzieje się w bankach wskutek złego albo i nieuczciwego zarządu.

Kilku sprytnych ludzi, którzy myślą tylko o własnej korzyści lub wprost ukrytych lichwiarzy nawet, uchwyci zarząd zakładu i krzywdzi biedaków przez całe lata, a to wskutek tego, że nikt nie wgląda i nie pilnuje, to jest nie kontroluje banków, jakoteż wskutek tego, że statuta bankowe są źle ułożone.

Nie o wiele lepiej dzieje się, gdy garbaty ze ślepym lub głuchy z żarłokiem zagarną całą władzę, drąc swemi pazurami chłopską skórę bez litości. Czuje to dobrze biedny lud, lecz nie ma odwagi bronić się. Jeden człowiek nie potrafi tu poradzić złemu, trzeba koniecznie, żeby wszyscy razem zażądali lepszych porządków.

Kto chce dziś dostać pożyczki w »kasach«, ten bez jaj, kur, gęsi, żyta, owsa lub siana niczego nie wskóra, a przecież urzędnicy kasowi są płatni albo »honorowi« ludzie, to jest podejmują się pełnić swe obowiązki dla dobra kraju i za to kraj płaci im szacunkiem i wdzięcznością, a pieniądz z kasy, to własny grosz chłopski, złożony dodatkiem do podatku. Ten sam opłacający podatki dłużnik, który może ostatnią krowę, ostatnią żywicielkę swych dziatek sprzedał, aby zpłacić zaległy podatek, pyta się potem, gdy go zaciągają do wyborów z za pieca: »Na co mnie te wybory, co mnie tam rady powiatowe«. Oto widzisz na co: Abyś nie potrzebował ostatniej kwarty krup, ostatniej garści owsa oddawać z domu, po to, aby otrzymać choćby i z kasy powiatowej kilka złotych, potrzebnych ci na konieczne wydatki.

KLEMENS BORUTA

przez

W. Okońskiego.

Na Górnym Szląsku znajduje się wieś, która nosi nazwę Nędzy. Mieszkańcy tej wsi są wogóle niezamożni, najbiedniejszym jednak między nimi był Wawrzyniec Boruta, ojciec Klemensa. Kiedy w r. 1847 nawiedził Nędzę głód, Wawrzyniec, podówczas wdowiec, bez środków żywności i roboty, łapał nocą pod strzechami wróble, a dniem łowił

na sidła wrony, których mięsem karmił dziesięcioletniego syna. Gdy nareszcie wróbli nie stało, a wrony zmądrzały, zrozpaczony wyrobnik, nie mogąc przez dwa dni znaleść dla dziecka pożywienia, postanowił się powiesić. Przechodząc wszakże koło zabudowań dworskich, spostrzegł na śniegu obdartego ze skóry lisa. Boruta wziął mięso do domu, upiekł je, a ponieważ sam od kilku dni nic nie miał w ustach, a dziecko spało, zjadł więc skwapliwie naprzód kawałek pieczeni. Po chwili uczuł gwałtowne boleści. Przekonany, że lis był trucizną otruty, wyrzucił mięso, wybiegł za chatę, położył się na ziemi i zaczął jeść gwałtownie śnieg z ziemią w nadziei, że się tem uleczy. Chłopiec zbudziwszy się w nocy, zaczął krzyczeć i wołać tatula, ale tatulo nie przyszedł. Na drugi dzień znaleziono go martwym za chałupą.

Po śmierci ojca, przyjaciel jego, owczarz dworski, Szymon Brzost, wziął Klemensa do owczarni i tam go przezimował, dzieląc się strawą. Czasem było jadła skąpo, ale czasem, zwłaszcza ku wiośnie, gdy owce zdychać zaczęły, Brzost dorzynał je i wyprawiał sobie z wychowańcem sutą biesiadę. Zgromadziwszy w lecie zapas korzeni, plótł on zwykle zimą ładne koszyki. Chłopiec tak szybko wyuczył się przy nim tej sztuki, że zarobił kilka talarów, za które kupił sobie dymkowy surdut, spodnie i dwie koszule. Gdy owce wyszły w pole, a nadewszystko, gdy zdychać przestały, stary rzekł do Klemensa:

— No, spróbuj poszukać sobie chleba. Jak ci bieda dobodzie, przyjdź do mnie.

Klemens w swojem nowem dymkowem ubraniu wyszedł płacząc, powlóczył się po wsi, odnowił z kilku chłopcami znajomość i wieczorem stanął w owczarni.

— A, hultaj jesteś — zawołał rozgniewany stary — ty myślisz, że tu przy mnie, jak Burek, będziesz ciągle leżał? Ruszaj mi w świat!

Nietyle rozkaz, ile owczarski bat, który Brzost ze ściany porwał, zdmuchnął chłopca z podwórza, jak świecę. Było wszakże już ciemno; potuławszy się więc za stodołami, gdy noc zapadła, przyległ do sterty słomy i zasnął. Ale nazajutrz, chociaż stary bardzo rano wstał, już Klemensa nie było. Gdzie się podział? Pytał owczarz ludzi we wsi, pytał przejezdnych, ten i ów spotkał chłopca, ale wszyscy objaśnić nie umieli.

— Zawzięty kaduk! — mruczał stary. Szelma, żyje, pisnie, jak gdybym go nie przezimował. Może zamarł gdzie? Nie przyszedłby to, nie pogadał, i zjadłby coś, oto tłustego barana dorżnąłem. Psy pożrą...

Brzost długo jeszcze wywiadywał się, nareszcie, machnąwszy ręką, całkiem o chłopcu mówić przestał. Upłynęło lat siedm. Jednego dnia parobek dworski, spotkawszy owczarza zagadnął go:

— To i mamy napowrót Klimka.

— Jakiego Klimka?

— No, juści Borutę, tego, co z wami zimował.

— Jest tutaj?

— A jaki *fryc!* Nie poznalibyście go! Zgodził się do pługa.

Brzost nic nie odrzekł i wrócił do owczarni.

Położywszy się na słomie, zaczął rozmyślać. Doznał jakiegoś przyjemnego dreszczu, ale zarazem obudziły się w nim uśpione uczucia gniewu.

— Dam po łbie batem, jak tu zajrzy — szepnął.

W tej chwili do owczarni wszedł Klemens. Rzeczywiście wyglądał elegancko. W czarnej kamizelce, z której wysuwały się rękawy czerwonej koszuli dymkowej, w długich, nowych butach, w świeżej czapce niebieskiej, osadzonej na wytłuszczonych włosach, z cygarem w ustach, nad któremi, pod przypłaszczonym nosem, zaczął się wysypywać jasny wąs, wszedł on śmiało i stanął na progu.

— Dzień dobry! — zawołał junacko.

— A co to — krzyknął Brzost — nie widzisz, że tu słoma — z cygarem wchodzisz!

— Toć je w gębę wetknąłem, nie w snopek — odrzekł Boruta, nadrabiając miną.

— Pójdź stąd, żebym go głębiej nie wetknął.

Klemens wyjął z ust cygaro, opluł je i zgaszone schował do kieszeni.

— Czemuż to dziadek — rzekł, zbliżając się łagodnie — tak mnie wypędza, jak wilka.

Przecież wam drzazeg za paznogcie nie biłem. A że poszedłem w świat, toście kazali.

— Kazali! — krzyknął stary — jużci całe życie w torbie nosić cię nie mogłem, żebyś z niej chleb wyjadał, a dopóki trzeba było, tom od miski nie odganiał.

— Albo to mówię? Ale kiedy musiałem swojej miski poszukać, to musiałem.

— O, ja wiem, zostałeś panem i dlatego nie chciałeś się nawet dowiedzieć, czy stary nie zdechł gdzie pod krzakiem. Jużci, pan taki — to nie Burek, który zaraz przyleci, jak krzyknę do nogi. Pal djabli głupich.

— Ja, pan? bo po siedmiu latach mam czem skórę przyodziać. Nie gadalibyście po próżnicy. Żebyście wiedzieli, po jakiej to ja drabinie lazłem, zanim wylazłem, ile się szczeblów załamało, ile biedy doznałem.

— Zkądże miałem wiedzieć — rzekł, widocznie ugłaskany Brzost, podciągając za uszy skurczoną u buta cholewę.

— O, może i wam w młodości tak bieda nie dobodła — mówił z westchnieniem Boruta, usiadłszy na progu. Przez miesiąc ciepłego nie kosztowałem, potem ledwie kilka groszy na dzień w kopalni wydrapałem, w fabryce dali zarobek, póki nie stanęła, z dworca kolejowego za przespanie wypędzili, wziąłem się do służby na folwarku i ot, co na mnie, to całe z niej bogactwo.

— Ciężko, ciężko — zauważył Brzost już bez śladu złości.

Widząc to Klemens podsunął się bliżej do niego, wyjął z kieszeni zgaszone cygaro i ssąc je, roztoczył przed oczyma Brzosta całe pasmo swych siedmioletnich przygód. Były w nich wszystkie nici, z jakich się zwykle tka życie biedaka. Słuchając tej powszedniej doli sierocej, stary przerywał ją ciągle radami mądrości po szkodzie:

— Nie byłoż ci — zawołał wreszcie — trzymać się kopalni!

— A toż trzymałem się — odrzekł Boruta — póki kawał węgla się nie oderwał i nosa mi nie przetrącił.

Brzost spojrzał na swego wychowańca i dostrzegł widoczne przełamanie chrząstki nosowej.

— Długo chorowałeś?

— Ze dwa dni krew buchała, ale to była furda. Jak mi, panie, maszyna ten oto palec odgryzła, to świerkało w oczach świerkało!

Owczarz ze zdziwieniem popatrzył na rękę Klemensa, u której istotnie palca brakło.

— A tu głód, bo robić nie mogłem. Poszedłem do apteki po maść, to centa nie ustąpił. Myślałem, że sobie łeb ukręcę. I gdyby tyle! Ale raz przyszedłem do fabryki, stoję, a psi wnuk, Born, puszczał żelazo w rynnę; kiedy nie pryśnie, na wskroś do kości zbój przepalił mi nogę.

Zdjął but i odsłonił na łydce szeroką szramę po oparzeniu.

— To cię opadło ze wszystkich stron — mruknął Brzost i zaczął czegoś szukać w słomie pod poduszką posłania.

— A no! rzekł Boruta — może przecie koniec. Mnie i świdra djabeł w ręce nie utrzyma, bo mu się wykręcę.

Podczas gdy zaciekawiony poszukiwaniami pana, Burek powstał i zaczął mu przypatrywać się, kręcąc ogonem, niemniej zaciekawione obecnością Boruty owce zbliżyły się w gromadce. Klemens, chcąc je za tę uwagę wynagrodzić, podał wysuniętemu naprzód skopowi niedopałek cygara. Baran ujął je zębami, zgryzł i plując odbiegł, a spłoszone jego ucieczką stado, bojaźliwie w kąt się stoczyło.

— Myślałeś, że piernik — rzekł śmiejąc się Boruta i w przystępie wesołości porwał za ogon Burka, okręciwszy go kilka razy w koło. Pies zaskowyczał i zaczął szczekać. Przestraszone owce jeszcze gwałtowniej skupiły się w kącie.

— Nie pójdziesz ty darmozjadzie! krzyczał owczarz na Burka, nie zważając, że pies miał słuszną rację gniewu.

Pies tem smutniej ogon spuścił, że jego pan wyjął ze słomy butelkę, a zarazem kawał gotowanej baraniny, owiniętej w skórę ze starej torby, co dla kudłatego towarzysza było wielkim przysmakiem.

— Na zdrowie twoje — rzekł Brzost, przykładając do ust butelkę, z której obficie pociągnął.

— Na wasze — odpowiedział Klemens i pożądliwie zanurzył w gardło pokrzepiającą szyjkę.

— Ostra! rzekł przymużając oczy.

— Trzmielówka — mówił stary z widocznem zadowoleniem. Sam sobie ją przyprawiam. Biorę okowitę, wlewam na korę trzmielinową i tak stoi tydzień, potem kładę trochę głogu, macierzanki, rozchodniku, dębowych gałek, pokrzywiego korzonka i cynamonu.

— Ho! ho! podziwiai Boruta.

— Dobrze łyknąć, to każdą chorobę wystraszy. Albo to raz i sobie i drugim kości prostowałem. No, zjedz kawałek mięsa, wczoraj barana dorżnąłem — motylica precz dusi.

— Co ma tłusty poleć smarować, lepiej że ludziom da się pożywić. Czy sam pan często tu przyjeżdża?

— Ale skąd. Siedzi w Berlinie, albo nad morzem. A chociaż przyjedzie, to na tyle folwarków czasu mu nie starczy. Jużci zajrzy, powącha i dalej. Tu i nie ma gdzie mieszkać. Dwór stary, trzy pokoje lepsze, to rządca mieszka.

— Podobno okrutny niemiec, ten rządca.

— Ludzkiego słowa nie da. Krzyczy, rozgania, żebyś ze skóry wylazł, to jeszcze mu za mało. Dziedzic, mówią, niezły człowiek. Ale jak przyjedzie, Klein nikogo nie puszcza, a choć uda się komu dostać, póty będzie wymyślał, że wszyscy gałgany, próżniaki, polskie szkodniki aż pana przekona. Wyjrzyj, czy tam kto nie podsłuchuje, tego, co mówię. Nie?

— Niema nikogo.

— Albo i ze mną. Dwanaście lat tu jestem i dobrze było. Jak on nastał, zaraz zakrzyczał, żem głupi, niedołężny, że mnie wygoni. Ot tak. A, niech go robaki! Do ciebie, Klimku.

— Czuć macierzankę — rzekł Boruta, smakując.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Komitet dla zjazdu Kółek rolniczych zajmował się na posiedzeniu onegdajszem sprawą ulokowania delegatów, którzy w pokaźnej liczbie dwustu kilkudziesięciu zgłosili dotychczas swoje przybycie do naszego miasta. Przyjęto jednomyślnie zaproszenie towarzystw rzemieślniczych „Skały“ i „Gwiazdy“, które obszerne sale swoje oddają na nocleg dla włościan. Dla okolicznościowej wystawy, która obejmować będzie przyrządy pożarnicze, wyroby przemysłu domowego, jako też narzędzia rolnicze i gospodarstwa włościańskiego dotyczące, wybrał komitet osobną komisję wykonawczą. Ta sprawując zarazem obowiązki informacyjne, urzęduje od dziś codziennie w hotelu Żorża od godz. 9—12 i od 3—6 po poł.

Towarz. gimnastyczne „Sokół“ zaprosiło delegatów na ćwiczenia, które odbędą się w dniu pierwszym zjazdu, tj. 9. października, ze stosownem objaśnieniem i przemówieniem. Po tych ćwiczeniach udadzą się wszyscy uczestnicy zjazdu do kasyna miejskiego, gdzie komitet urządza gościnne przyjęcie. Na przedstawienie uroczyste, które nazajutrz odbędzie się, jak wiadomo, w teatrze Skarbkowskim na dochód Kółek rolniczych, zatrzymał komitet cały parter dla włościan.

Prawdziwy poseł ludowy. P. Teliszewski notarjusz w Turce, wybrany w lipcu br. posłem z tamtejszych gmin wiejskich przeciwko magnackiej kandydaturze jakiegoś Lubomirskiego, (który przy pomocy faktorów, zdobył dla siebie banknotami aż sześć głosów,) — zwołał ogół wyborców włościańskich na zgromadzenie w celu wysłuchania ich życzeń i wyrozumienia naglących potrzeb tego w br. podwójnie nieszczęśliwego powiatu, gdyż z powodu nieurodzaju grozi tam ludowi głód ciężki. Postępek p. Teliszewskiego zasługuje na publiczne uznanie i gdyby wszyscy włościanie w kraju mieli takich posłów, nędza w kraju nie byłaby tak dotkliwą.

100-letni jubileusz. W Dobczycach obchodzoną będzie d. 10. października br. stuletnia rocznica istnienia tamże trzechklasowej szkoły ludowej.

Rada oddziału łańcucko-jarosławskiego tow. gosp. wniosła do namiestnictwa pismo następującej treści: Tegoroczne klęski spadłe na kraj nasz: klęska posuchy i zaraza pyskowa i raciczna — doprowadziły rolników do ostatnich granic wyczerpania i grożą nieuniknioną ruiną! Zaraza pyskowa — raciczna do dziś jeszcze nie ustała w kraju, przez co hodowcy bydła i trzody chlewnej, nawet w miejscowościach zupełnie zdrowych, z powodu zamknięcia jarmarków i targów nie są w możności sprzedania bydła (dla którego nie mają paszy do przezimowania), ani trzody chlewnej, z której dochód służył włościanom na opłatę podatku i kupna soli! Ogólne zgromadzenie członków od-

działu łańcucko-jarosławskiego gal. tow. gosp. zastanawiając się nad tą klęską, poleciło radzie oddziału udać się do namiestnictwa z przedstawieniem następującem:

Jeżeli zaraza pyskowa i racic dotąd nie ustaje, to jedynie z przyczyny zsrządzenia pp. weterynarzy, aby każdą podejrzaną sztukę bydła odosobniano od zdrowych, a ponieważ zataza ta, gdzie się pokaże, rzadko kiedy omija nietylko w stajni, ale i w całej gminie bydło się znajdujące, tym sposobem przez odosobnienie pojedyńczych chorych sztuk, przewleka się w nieskończoność i ztąd pochodzi, że posuwa się z miejsca na miejsce. Najlepiejby było zarazić naraz całą stajnię, bo bydło razem wszystko chorujące, razem powraca do zdrowia. Postępowanie takie w oborze, dałoby się zastosować i do gmin. Komisjonowanie pp. weterynarzy powiatowych, oddzielanie chorego od zdtowego hydła połączone nieraz z szykanami i tak biednej ludności, widocznie nie prowadzi oo celu, bo jak nadmieniono: zaraza ta trwa dotąd w kraju! Otóż upraszamy namiestnictwo, aby rada sanitarna w tych wypadkach choroby nakazała swym organom, nie powstrzymywania jej w danej miejscowości, wewnątrz obszaru gminy zarazą dotkniętej, lecz tylko pilnego strzeżenia granic, aby po za jej obręb przenieść się nie mogła.

Co do targów i jarmarków, to zamknięcie takowych w całym powiecie wtenczas, gdy zaraza panuje w jednej tylko nieraz miejscowości, jest krzywdą wielką dla rolników, bo odjętą im jest możność spieniężenia bydła, którego żywić nie ma czem, i nierogacizny, z której włościanin ma dochód jedyny na najgwałtowniejsze potrzeby, upraszam więc namiestnictwo, aby raczyło polecić podwładnym swym organom politycznym, iżby zamykano tylko te miejscowości, które zostały dotknięte rzeczywiście zarazą, a targi i jarmarki dozwolone zostały, byle na nie przyprowadzano bydło z gmin niezarażonych i drogami wolnemi od zarazy.

Jubileusz prac nauczycielskich. We wsi Żarki w powiecie chrzanowskim, odbyła się 22. bm. jubileuszowa uroczystość 25-letniej pracy nauczycielskiej p. Ferdynanda Kłapy W pięknie przystrojonej sali szkolnej i wobec licznie zebranego grona nauczycieli i znajomych, przemówił najpierw drugi nauczyciel w Żarkach, p. Wilimek, podnosząc zasługi jubilata, jako kierownika i nauczyciela, poczem w imieniu dzieci szkolnych chłopczyk i dziewczynka serdeczne wyrazili uczucia. Miłą niespodziankę następnie sprawił jubilatowi były jego uczeń, obecnie abiturjent gimnazjalny, p. Hodur. W pięknej i wiele wzniosłych myśli zawierającej mowie podniósł on znaczenie nauczyciela w ogóle, a szczególnie jako Polaka, nawiązując swoje myśli do osoby szan. jubilata, który jeszcze jako 17 letni młodzieniec w pamiętnym r. 1863 pospieszył w szeregi walczących, ażeby na ołtarzu ojczyzny złożyć także ofiarę z krwi swojej. Następnie wójt gminy Żarki w prostych lecz serdecznych słowach wyraził życzenia gminy, która kocha i poważa swego i dzieci swoich przewodnika i wskazał na łączność, jaka istnieje w pomienionej wsi między szkołą a ludem i jej naczelnikiem. Przemawiali dalej: p. Nosalik, nauczyciel z Kwaczały, imieniem Kółka pedagogicznego babickiego, którego jubilat jest przewodniczącym; p. Mioduński, nauczyciel z Gromca, w imieniu osób nieobecnych, a wreszcie p. Zięba, nauczyciel kierujący z Ciężkowic, w imieniu nauczycieli zamiejscowych. Uroczystość ta cała, będąca najlepszym dowodem, jak dalece p. Ferdynand Kłapa swą gorliwą pracą i postępowaniem swem serca wszystkich zaskarbić sobie potrafił, zakończoną została wręczeniem pierścienia pamiątkowego jubilatowi, który w serdecznych słowach wszystkim, którzy do tej uroczystości się przyczynili, podziękował.

W płomieniach. O strasznym wypadku donoszą do *Gaz. Świąt.* Niedawno w domu mieszkalnym dzierżawcy majątku Słupnie, w Płockiem zapalił się dach nad kuchnią. Służba ratowała się ucieczką. W domu pozostała jednak śpiąca pani Kędzierzawska z czworgiem dzieci. Dopiero blask ognia i ryk bydła obudził śpiącą, w chwili, kiedy już cały dom stał w ogniu. Widząc niebezpieczeństwo, pani K. porwała troje starszych dzieci i wybiegła z niemi na korytarz, gdzie już buchały płomienie. Przedarła się jednak przez nie i wybiegła na podwórze. Zostawiwszy tu dzieci, powróciła raz jeszcze do sypialni po czwarte, najmłodsze dziecko. Porwała je w objęcia i już wybiegała z korytarza, gdy nagle wskutek straszliwego gorąca straciła przytomność i padła. W tej chwili przybiegła służba i nieszczęśliwą matkę wraz z dzieckiem z płomieni wydobyła, ale było już zapóźno. Pani K. była strasznie poparzoną, dziecko zaś już żyć przestało. P. Kędzierzawski nie był w domu. Powróciwszy w kilka godzin później, odwiózł nieszczęśliwą rodzinę do szpitala

w Płocku, gdzie wskutek poparzenia zmarła wkrótce matka i dwoje dzieci, które wyniosła z płonącego domu. Zmarł także i starzec Modzelewski, rezydent państwa K., również poparzony.

Odpowiedź od Redakcji. *W. P. Filipowi Z.* Za list serdecznie dziękujemy. Umieścimy go w przyszłym numerze. „Przyjaciel“ prosi o nim nie zapominać i pisywać często.

Co słychać w świecie.

Sejm galicyjski na pewno zostanie zwołany 10. października. Nie potrzebujemy, zdaje się, przypominać posłom włościańskim obowiązków na nich ciążących, pisaliśmy o nich niedawno obszernie, zresztą jesteśmy przekonani, że nie na to dali wybrać się do Sejmu, aby tylko figurować i siedzieć jak lalki malowane, ale aby radzić nad dobrem ojczyzny i biedą włościańską, większą w tym roku, aniżeli zazwyczaj z powodu klęski nieurodzaju, jaka kraj nawiedziła. Wydział krajowy wniósł właśnie do rządu prośbę o wyznaczenie z funduszów państwa 900.000 zł. na zapomogi i bezprocentowe pożyczki.

Jak na wielką biedę, obliczoną w drodze urzędowej na 6 milionów zł., jest to pomoc prawie żadna, i wystarczyłaby zaledwie na obdzielenie jałmużną zagrożonej nędzą ludności, na zaspokojenie głodu w pierwszych dniach kilku. A co potem? Chyba przyjdzie tysiącom rodzin mrzeć z głodu i wziąwszy torby żebracze na plecy, przeciągać przez kraj cały od wsi do wsi, od miasta do miasta i wzywać miłosierdzia ludzi i Boga? Pomoc zatem przez Wydział krajowy obmyślana nie jest dostateczną pomocą i jeżeli ma się biedzie zaradzić naprawdę, to trzeba u rządu wystarać się jeszcze o 5 milionów złr. co najmniej, jeżeli na kraj nie ma spaść głód i pomór. Na posłach właściańskich cięży święty obowiązek upomnienia się o tę pomoc. To samo upomnieć się należy o rozdawanie ze składów i żup solnych soli dla bydła, jeżeli to nie ma być do szczętu wyniszczone.

Również dowiadujemy się, że Wydział krajowy postanowił Sejmowi przedłożyć projekt ustawy o pisarzach gminnych. Byłby też już czas najwyższy aby złe, jakie częstokroć wyrządzają gminom niesumienni pisarze, raz usunąć!

Bułgarja utraciła jednego z mających wielką sławę w tym kraju ludzi. Zacharjasz Stojanów, który za młodu był pasterzem, a potem wykształciwszy się wyszedł na pisarza pieśni, i mężnie walczył za wolność Bulgarji, był obrany prezesem sejmu, pojechał do Paryża, dla obejrzenia wystawy, i tam umarł. Cały kraj wylewa za nim gorące łzy i przywdział żałobę.

W Czechach nie ma zgody pomiędzy ludnością czeską a niemiecką. Od jakiegoś czasu przyszło do tego, że niemcy nie chcą należeć do sejmu, co się zgromadza w mieście Pradze, ponieważ w sejmie tym bywają zwykle przegłosowani przez czechów, których tam więcej zasiada. Otóż rząd austryjacki chciał wezwać do Wiednia ludzi przez obie narodowości z Czech wybranych, aby naradzili się i doszli raz do jakiejś zgody. Czesi gotowi byli wdać się w te układy, ale niemcy rzekli: „Niech cesarz najpierw przyrzecze, że będzie z nami trzymał; niech powie, że nie będzie koronować się na króla czeskiego; niechaj i czesi najpierw przystaną na to, żeby kraj podzielić na okręgi czeskie i niemieckie, według tego, gdzie jaka ludność mieszka, i żeby w niemieckich okręgach były tylko niemieckie urzędy i szkoły, — to my wtedy poszlemy swych ludzi na ową naradę i dla zawarcia ugody z Czechami“ Cesarz jednak nie chce żadnych przyrzeczeń z góry dawać, więc myśl o układach przynajmniej nateraz w łeb wzięła.

W całej Francji odbyły się teraz wybory nowych posłów do sejmu, ponieważ skoń-

czyły się już lata, na które dotychczasowi byli obrani. Ogromna więc w tych dniach była wrzawa we Francji, bo wszystkie stronnictwa starały się o to, żeby mieć jak najwięcej swoich posłów w sejmie. Dochodziło przytem w wielu miejscach do kłótni, o mało że nie do bójek. A najzawziętsza walka przy tych wyborach toczyła się w samym Paryżu, gdzie jedni są stronnikami teraźniejszych ministrów, a drudzy — Bulanżera. Chociaż rząd ogłosił, że Bulanżer, jako wygnaniec z kraju, odsądzony od praw obywatela francuskiego, nie może być posłem, to jednak w jednym okręgu Paryża większa część wyborców dała za nim swe głosy. W kilku innych znów częściach miasta obrano przyjaciół Bulanżera. Za to po innych okręgach Francji stronników jego znalazło się mało, tak, że Bulanżer nie będzie miał w sejmie chyba i 30-stu przyjaciół.

We Włoszech główny minister Kryspi, pojechawszy niedawno do Neapolu, największego miasta w Włoszech, doznał tam bardzo przykrego zajścia.

Jakiś człowiek, nazwiskiem Kaporali, ugodził dostojnego gościa ostrym kamieniem w twarz. Minister został zraniony, tak że musiał się do łóżka położyć, a rana jakoś bardzo wolno się goji. Kaporali został wzięty do więzienia. Z początku rozeszła się wiadomość, że jest to warjat, ale on sam zaprzecza temu, mówi do rzeczy i dowodzi, że należy do tej części narodu włoskiego, która jest przeciwna teraźniejszemu rządowi, więc dla tego uczynił zamach na życie Kryspiego. W kilka dni potem duży tłum z pomiędzy mieszkańców Neapolu zgromadził się na ulicy przed domem, w którym Kryspi się leczy, i wydawał okrzyki na cześć ministra, wołając: »Niech żyje Kryspi«. Ten z podwiązaną twarzą wyszedł na ganek i dziękował zgromadzonym za dowód takiej przychylności dla siebie.

Z Niemiec. Niemcom nie na żarty trudno się obyć bez świń z zagranicy przywożonych. Swoje im nie wystarczają. Rząd nie chce znieść zakazu przywożenia tego towaru z krajów obcych, ale musi wydawać pozwolenia wyjątkowe. Oto pozwolono sprowadzać wieprze z Galicji do miasta Gliwic na Szlązku pruskim, a wieprze bite z Królestwa Polskiego do regiencji Bydgoskiej w Księstwie Poznańskiem. Postawiono jednak warunek, że wieprze bite mogą być wiezione przez granicę tylko w tych miejscach, gdzie mieszkają rządowi rewizorzy mięsa. Każda sztuka musi być daną do zbadania rewizorowi, aby ten zaświadczył, że jest zdrowa, a szczególniej, że nie ma w sobie trychin. Za czynność tę ma płacić właściciel wieprza. Kto się do tego nie zastosuje, podlega karze 30-tu marek, (czyli 18 złr.) albo aresztowi.

Do Serbji powróciła wypędzona stamtąd przed rokiem królowa Natalja, której małoletni syn Aleksander obecnie jest królem. Jak czytelnikom naszym wiadomo, dawny król Milan, który zrzekł się tronu i rozwiódł z żoną, zakazał jej powrotu do kraju. Pomimo to Natalja wróciła do Serbji, za zgodą rządzących w imieniu jej syna rejentów, i prawdopodobnie w Belgradzie stale zamieszka. Rejencja pozwoliła powrócić królowej pod tym warunkiem, że do rządów ani do wychowania swojego syna mieszać się nie będzie. Natalja zgodziła się na wszystko, aby tylko być blisko swojego jedynaka. W Serbji panuje wielkie rozdwojenie z powodu niechęci do obecnie panujących książąt Obrenowiczów i jest silna partja, która żąda powrócenia na tron linji Karageorgiewiczów. W ogóle kraj ten czekają zaburzenia i jeżeli nieład dotychczasowy dalej tam potrwa, to niedługo będzie się Serbja cieszyła samodzielnością i gotowa wpaść w ręce którego z wielkich państw sąsiednich.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.** Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 14. We Lwowie, dnia 15. Października 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28

ZAGAJENIE SEJMU.

Sejm galicyjski, dla którego obszerną otwieramy rubrykę w naszem piśmie, zebrał się dnia 10. października. Zagaił go namiestnik kraju, hr. Kazimierz Badeni, dłuższem przemówieniem, z którego streścimy poniżej najważniejsze ustępy.

Zaznaczywszy na początku, że cesarz zamianował marszałkiem sejmu hr. Jana Tarnowskiego, zastępcą zaś arcybiskupa, księdza Sembratowicza, i powinszowawszy im tej godności, oświadczył namiestnik w dalszym ciągu swej mowy zagajającej, że przekonania jego co do spraw krajowych w niczem się nie zmieniły, od czasu, w którym pierwszy raz jako namiestnik witał przedstawicieli kraju.

Licząc się z kierunkiem, w jakim większość sejmowa iść zamierza, mając dalej na oku załatwienie tak ważnej sprawy, jak sprawa propinacyjna, oświadczył namiestnik, że co do przedkładania projektów, dotyczących praw ustawodawczych, będzie nader wstrzemięźliwym. Przedkłada zatem kilka tylko najważniejszych podług jego zdania spraw. Pierwsze już przedłożenie rządowe, co do wynagradzania katechetów w kilkoklasowych szkołach wydziałowych i ludowych. Ustawa ta nie otrzymała sankcji sejmowej w zeszłorocznej kadencji, pan namiestnik ma zaś nadzieję, że sejm, usunąwszy pewne trudności, umożliwi obecnie przyjście do skutku owej ustawy.

W dalszym ciągu podniósł p. namiestnik projekt rządowy ustawy sanitarnej (dotyczącej stosunków zdrowotnych kraju). Zaprowadzenie ładu w te stosunki, okazuje się koniecznem i bardzo naglącem wobec faktu, że rok rocznie tyle ludzi marnie ginąć musi, wskutek braku odpowiedniego nadzoru. Wymówka, że nie ma na to sił fachowych nie powinna tutaj grać żadnej roli. Namiestnik nie wątpi, że zabezpieczenie jakiego takiego bytu tym ludziom, wyrobi u nich chęć poświęcenia się swej pracy dla zaradzenia złemu.

Następnie omówiwszy budżet (zestawienie rachunków na potrzeby krajowe) na rok 1890 i zamknięcia rachunkowe za rok 1888 funduszów indemnizacyjnych, przeszedł namiestnik do omawiania stosunków szkolnych kraju. Zaznaczył mianowicie, że rada szkolna walczy z brakiem odpowiednich kandydatów na posady inspektorów okręgowych, gdyż ludzie na te posady wskazani, bronią się i niechętnie przyjmują te obowiązki, dlatego, że warunki, pod tym względem panujące, nie są stałe, lecz tylko

prowizoryczne (tymczasowe). Dlatego też ministerstwo oświaty, chcąc temu zaradzić, przedłożyło Izbie deputowanych ustawę, regulującą, stanowisko inspektorów okręgowych. Jest także i brak uzdolnionych nauczycieli, wobec tego staje się, nieodzownem pomnożenie seminarjów nauczycielskich t. j. zakładów, wychowujących nauczycieli. Wskutek tego zestawienie wydatków na potrzeby szkolne na rok przyszły jest większem, aniżeli było dotychczas. Jeżeli szkoły nasze ludowe, powiedział namiestnik, nie są tem, czem być powinny, to nie rada szkolna temu winna, gdyż ta pełni swoje obowiązki należycie, ale stoją na przeszkodzie temu trudności, z jakiemi mają odnośne władze do walczenia.

Wobec tego, że w szkołach średnich panuje wielkie przepełnienie, sądzi pan namiestnik, że byłoby korzystniej dla kraju, gdyby młodzież zamiast uczęszczać do szkół średnich, zwróciła się do szkół przemysłowych, którym szczególną poświęci uwagę. (Nam się zdaje, że jeżeli do szkół średnich jest za wielki napływ, to aby uniknąć przepełnienia, należałoby się postarać o pomnożenie liczby tych szkół. Tak postępują w innych krajach cywilizowanych, gdyż oświaty nigdy nie może być za wiele, a ograniczanie się pragnących wiedzy szkołami przemysłowemi nie może wpłynąć dodatnio na poziom oświaty krajowej. Szkoły przemysłowe bowiem nie mogą z natury rzeczy dać takiego wykształcenia, jakie dają dobrze urządzone szkoły średnie). *(Przyp. Red.)*.

W sprawie budynków szkolnych gimnazjalnych poszliśmy — powiedział namiestnik, o kilka kroków naprzód, a mianowicie we Lwowie buduje się gimnazjum państwowe, które z początkiem roku szkolnego będzie wykończone — w Krakowie toczą się układy z instytucjami finansowemi, które chcą się podjąć budowy za rocznym czynszem, któryby pokrywał procent wraz z wolnem umorzeniem; w ten sposób przyszlibyśmy w Krakowie w posiadanie dwóch zupełnie odpowiednio wybudowanych domów dla umieszczenia szkoły realnej i jednego gimnazjum.

W Przemyślu przystąpi rząd w najbliższej przyszłości do budowy nowego gmachu gimnazjalnego.

Przechodząc do ciężkiej, a ważnej sprawy propinacyjnej, zaznacza, że dzięki pomocy, którą się dyrekcja fund. prop. szczyci i dzięki wytężonej pracy organów do tej czynności powołanych, uprawnieni, tak ci, którzy się zadowolili orzeczeniami pierwotnemi, jak i ci, którzy wyższe dochody reklamowali, otrzymają wszyscy wyroki przed upływem roku bieżącego, a z przekazem sądowym w ręku będą mogli na dniu 2. stycznia r. 1890 podnosić swe kapitały wynagrodzenia.

Oprócz tego nadmienia p. namiestnik, że cyfra, którą dyrekcja z dzierżaw propinacyjnych uzyska, sowicie pokryje tę, którą w. Izba w roku zeszłym na ten cel obliczyła, jako potrzebę na oprocentowanie i umorzenie wypuszczonego kapitału.

Ciężki pod wszystkiemi względami rok dla rolników, nie uszedł uwagi rządu. Nędza występująca już dziś groźnie w niektórych powiatach i to właśnie może w najżyźniejszych, skłoniła namiestnika do robienia zawczasu kroków potrzebnych dla ratunku gospodarstw włościańskich; dostarczenie zarobków i zapewnienie zasiewów, oto środki najważniejsze, co do których porozumiał się z Wydziałem kraj.

W końcu przemówienia swego oświadczył p. namiestnik, że według telegramu, który odebrał od prezydenta ministrów, *dziennik praw państwa publikuje rozporządzenie cesarskie, które upoważnia rząd do udzielenia klęską nieurodzaju dotkniętym okolicom Galicji*

kwotę 300.000 złr. bezpowrotnej zapomogi i kwotę 600.000 złr. bezprocentowej pożyczki, za którą fundusz krajowy winien dać poręke i która ma być spłaconą w 6 rocznych równych ratach, począwszy od 1. stycznia 1892 r.

Sumy te nie wystarczą zapewne do zaspokojenia tych potrzeb, z któremi na wiosnę szczególnie będziemy mieli do walczenia. Nie wątpi jednak p. namiestnik, że w. Izba, idąc za przykładem cesarza, otworzy także Wydziałowi kraj. kredyta, które się jeszcze potrzebne okażą.

KRONIKA SEJMOWA.

Po sprawdzeniu wyboru hr. Jana Tarnowskiego i po złożeniu przez niego przyrzeczenia marszałkowskiego, przemówił marszałek, zapewniając pomiędzy innemi, że zadaniem sejmu będzie własną pracą przyczynić się do udoskonalenia naszego gospodarstwa krajowego, starać się o utrwalenie, a gdzie zachodzi potrzeba, o poprawę naszych stosunków tak, iżby one odpowiadały rzeczywistym potrzebom ogółu i zapewniały naszemu organizmowi narodowemu rozwój pod względem moralnym i materjalnym.

Wydział krajowy jest wykonawcą woli sejmu, ale winien także przynajmniej w pewnej mierze być jego doradcą; jeżeli przedłożenia swoje ustawodawcze dla tegorocznej sesji sejmowej ograniczył on do skromniejszej niż zwykle liczby, uczynił to w mniemaniu, że Izba wychodząca z nowych wyborów, wskaże mu zapewne drogi, jakiemi ma dalej postępować i wytknie cele, ku którym zechce przeważnie jego prace i usiłowania skierować.

Nie rozumie pan marszałek przez to, żeby ogólny kierunek gospodarstwa krajowego mógł uledz zasadniczej zmianie, byłoby to błędem, którego z pewnością nie popełnimy. Nie ulega wątpliwości, że jak dotychczas tak i nadal starać się będzie sejm, o podniesienie oświaty i rozpowszechnienie jej we wszystkich warstwach społeczeństwa, że dbać będzie o podniesienie przemysłu wszędzie, gdzie ma warunki żywotności i powodzenia, że system nasz komunikacji utrzyma w dzisiejszym stanie kwitnącym, a gdzie tego zajdzie potrzeba, takowy uzupełni, że otoczy opieką szpitale i zakłady humanitarne i doprowadzi do końca rozpoczęte dzieło regulacji i obwałowania rzek, o ile obowiązek ten cięży na kraju.

Do rzędu najważniejszych spraw należy kwestja naszych stosunków gminnych, które pod niejednym względem poprawy wymagają.

Od wys. Izby zależy, czy wogóle projekta zmierzające do reformy ustawodawstwa gminnego, mają w przyszłości być przedmiotem jej obrad.

Kwestja finansów krajowych jest zawsze pierwszorzędnej wagi, a w roku ogólnego nieurodzaju i wobec trwającego ciągle przesilenia ekonomicznego, nabiera coraz większego znaczenia. Wydział kraj. stara się usilnie o możliwe oszczędności, pragnie, o ile od niego zależy, ochronić kraj od podwyższenia dodatków, niezależnie jednak od jego woli, naturalnym biegiem spraw i wzrostem potrzeb wzmagają się także wydatki krajowe.

Oprócz normalnego przyrostu szkół ludowych, same ustawy krajowe o podwyższeniu płac nauczycieli i o katechetach, zwiększyłyby preliminarz Rady szkolnej kraj. o przeszło 200.000 złr.

W roku tak niepomyślnych zbiorów, Wydział kraj. ze świadomością trudnego położenia i koniecznością tylko znaglony, przedkłada Izbie sprawozdanie budżetowe, wykazujące potrzebę podwyższenia dodatku krajowego. Wys. Izba osądzi, czy proponowany sposób

pokrycia niedoboru, z podwyższeniem dodatków tylko o 1 cent od złotego odpowiada potrzebie i stosunkom finansowym kraju.

Urlopy na cały czas sesji wzięli Adam ks. Sapieha i Artur hr. Potocki.

Przystąpiono do sprawdzenia wyborów.

P. Rożankowski domagał się odroczenia weryfikacji pp. Barańskiego i Borkowskiego. Wniosek ten większość odrzuciła.

Podobny wniosek stawił p. Rożankoski także przy weryfikacji Chamca z Zaleszczyk, ponieważ jest wniesiony protest z rozmaitemi zarzutami na starostę tamtejszego, który kazał nawet aresztować wyborców podczas głosowania. Wydział krajowy kontentując się po prostu gołosłownem tłumaczeniem starosty bez żadnego śledztwa, wniósł uznanie ważności tego wyboru. Sprzeciwili się temu i żądali odroczenia pp. Siczyński i Antoniewicz, podczas gdy Kozłowski Zygm., Golejewski i sprawozdawca Pietruski bronili ważności. Uznano ważność 52 głosami przeciwko 44. Odroczenie weryfikacyi żądał Rożankowski bezskutecznie przy Lenartowiczu, Niezabitowskim, Puzynie, Rayskim i Sawie. Zweryfikowani złożyli przyrzeczenie poselskie, poczem przystąpiono do porządku dziennego. Przytaczamy rzeczy ważniejsze:

Postanowienia o wynagrodzeniu za udzielanie nauki religji w szkołach ludowych.

Projekt ustawy, nakładającej na Towarzystwa ubezpieczeń od ognia, operujące w Galicyi, obowiązek przyczyniania się do kosztów utrzymania *służby pożarnej*.

Sprawozdanie z petycji wiecu miejskiego w sprawie założenia domu *pracy przymusowej* etc.

Przedmioty wymienione i inne przekazano rozmaitym komisjom, i postanowiono wybrać komisje: budżetową, szkolną, sanitarną (dla projektu służby zdrowia), asekuracyjną, administracyjną, gminną, przemysłową, kultury, drogową, prawniczą, bankową, petycyjną, podatkową i górniczą, razem 14 komisyj.

Nadto p. Huryk zaproproponował wybór osobnej komisji głodowej z 15 członków dla obmyślenia sposobów zaradzenia nędzy, a w szczególności odpisania podatków i zarządzania robót publicznych z zaniechaniem systemu jeneralnych przedsiębiorców.

Na drugiem posiedzeniu Sejmu (12 bm.): włościanin Huryk przemawia za nagłością swojego wniosku *głodowego*, który opiewa:

Zważywszy, że z powodu elementarnych klęsk ostatnich dwóch lat bardzo znaczna część włościan zagrożoną została w swojej egzystencji; zważywszy, że co najmniej dwie trzecie wszystkich zasiewów zniszczyły jak nie tamtego roku myszy, to spaliła tego roku posucha, a do reszty już zalały powodzie; zważywszy, że przez choroby pyskowe i raciczne bydła i wskutek tego przez zamknięcie jarmarków, włościanie nasi nie są w stanie nawet sprzedać swego bydła i tak już spadłego poniżej wszelkiej ceny, by przyjść choć do najmniejszego grosza na pokrycie podatków i na zaspokojenie swoich piekących potrzeb; zważywszy, że wskutek tego bardzo znacznej części naszego i tak zubożałego włościaństwa zagraża, jeżeli nie głodowa śmierć, to ciężkie choroby głodowe, zważywszy, że na porządku dziennym dzisiejszego posiedzenia nie znajdujemy tej tak ważnej i piekącej sprawy, podpisani stawiają następujący wniosek naglący: Izba raczy jeszcze na dzisiejszem posiedzeniu wybrać komisję z 15 członków, któraby się nad tą sprawą zastanowiła i porozumiawszy się z wys. rządem, przedłożyła w jak najkrótszym czasie Sejmowi odpowiednie wnioski celem zaradzenia grożącej

nędzy, a mianowicie: 1) przez odpisanie zalegających tamtegorocznych i tegorocznych podatków gruntowych i domowo-klasowych; 2) przez udzielenie bezzwrotnej zapomogi; 3) przez udzielenie bezprocentowej pożyczki; 4) przez dostarczanie publicznych robót i zajęcie przy nich naszych włościan z wyłączeniem generalnych przedsiębiorców, a natomiast nadaniem tych robót gminom; 5) przez udzielenie surowicy i soli kamiennej dla naszych włościan.

Wyborowi osobnej komisji sprzeciwił się p. Struszkiewicz i zaproponował, aby pierwsze trzy punkta wniosku Huryka przekazać komisyi budżetowej, a resztę komisji gospodarstwa kraj. Wniosek ten poparł Hausner, a chociaż pp. Sawczak, Teliszewski i Romańczuk gorąco przemawiali za wyborem osobnej komisji dla sprawy, która jest ważną i specjalną, Izba znaczną większością uchwaliła propozycję Struszkiewicza.

Projekt do zmiany sejmowej ordynacji wyborczej i statutu krajowego pomnożenia liczby posłów), tudzież sprawę ustanowienia w okręgu starostwa w Brzesku czwartego sądu powiatowego przekazano komisji prawniczej.

Z kolei porządku dziennego przystąpił Sejm do wyboru 14 rozmaitych komisyj.

Z klubu włościańskiego weszli do komisji szkolnej Potoczek; do sanitarnej Kramarczyk: do przemysłowej Żardecki do petycyjnej Stręg i Żardecki.

Na porządku dziennym stoi weryfikacja wyborów. Pietruski referował o wyborze p. Polanowskiego z okr. gm. wiejskich w Sokalu.

Przeciwko wyborowi p. Polanowskiego wniesiono protest, licznemi zaopatrzony podpisami. Zarzuca on okoliczności, że wybór rozpoczęto na pół godziny przed terminem oznaczonym, wskutek czego skład komisji wyborczej wyszedł tak, że sprzyjała ona widocznie wyborowi p. Polanowskiego, a nie dopuszczała do głosowania wyborców przeciwnika, lub przyjmowała z umysłu głosowanie na mylne nazwiska Wachnianina, aby mu ubywało głosów. Protest wylicza mnogie przekupstwa i wyprawienie bankietu podczas głosowania.

Protest ten zakomunikowano Wydziałowi kraj. ten namiestnictwu, a ono starostwu, które zdało sprawę, zaprzeczając podanym okolicznościom lub usprawiedliwiwiając je.

P. Sawczak oświadczył, że nie jest z nieprzyjaźnią dla p. Polanowskiego, o którym słyszał, że ludowi dobrze czyni, ale dla zasady musi wystąpić przeciwko takim sposobom demoralizującym przy wyborach.

Usprawiedliwienia starosty są gołosłowne i sprzeciwiają się dowodom. Przedwczesny wybór komisji jest niesprawiedliwością, podobnie jak inne precedury i przekupstwa, albowiem byli wyborcy, którzy przy komisji składali zadatki otrzymane za głosowanie na Polanowskiego. Na przyszłość należałoby surowe zarządzić dochodzenia.

Sekretarz Kozłowski odczytał wniosek złożony do laski marszałka, P. Kramarczyka o zmianie zastosowania przepisów względem zarazy na nierogaciznę.

VI. Zjazd Kółek rolniczych.

W dniach 9. 10. i 11. bm. odbywał się we Lwowie zjazd delegatów i członków Kółek rolniczych. Na zjazd ten przybyło z rozmaitych stron kraju około 360 osób. Obrady zjazdu odbywały się w sali ratuszowej, a uchwały, jakie na nim zapadły, jakoteż odczyty i wykłady uczonych ludzi w przedmiocie gospodarstwa wiejskiego, sklepików wiejskich i radzenia sobie w sprawach domowych i gminnych zasługują na przytoczenie ich

w głównych bodaj punktach. Włościanie brali także udział w naradach i poruszali niektóre sprawy w sposób rozumny i trzeźwy. Na zjazd przybyli także szan. posłowie włościańscy: Potoczek, Kramarczyk i Stręg. Po otworzeniu zjazdu przez prezesa Towarz. Kółek rolniczych p. Augustynowicza i formalnościach zwyczajnych przystąpiono do obrad. Pierwszego dnia najwięcej mówiono o sklepikach wiejskich, które w niektórych gminach bardzo dobrze się rozwijają, dzięki ludziom dobrej woli i ich przedsiębiorczości. Pokazuje się, że nie święci garnki lepią i że możemy bardzo dobrze się obejść bez żydów, którzy dotychczas cały handel w swoich trzymali rękach, sprzedając towar lichy za drogie pieniądze. Pokazał się tylko brak sklepów hurtownych, z którychby sklepiki sprowadzać mogły towar dla użytku członków Kółka rolniczego. W niektórych miejscowościach poradzono sobie w bardzo dobry sposób i składy hurtowne pozakładano na własną rękę. Tak np. stało się w Jaśle, gdzie istnieje duży skład, zaopatrujący sklepiki w powiatach jasielskim i krośnieńskim we wszelki towar. Kilku ludzi złożyło się na 1000 złr. i z tym kapitałem założyli sklep. Po pół roku pokazało się, że założyciele wyszli na sklepie bardzo dobrze, dawali bowiem Kółkom rolniczym rzetelny towar po bardzo niskich cenach, a zyskali jeszcze pomimo to 500 złr. Przykład ten powinien innych obywateli zachęcić do założenia podobnych spółek. Potrzeba do tego tylko silnej woli i starania, nic więcej, przeszkody usuną się same, a korzyści opłacą wszystek trud i niewielkie kłopoty.

Na zjeździe uchwalono, aby zarząd główny postarał się o założenie w miastach powiatowych składów hurtownych. Na uchwałę tę jednak nie powinni się członkowie Kółek rolniczych oglądać, ale niech sami, jeżeli mają ku temu środki, sklepy takie zakładają. Z włościan zabierali głos w tej sprawie: Grzegorz Sowa z Barysza koło Buczacza i Józef Krukowski z pod Trembowli, który przemawiał po rusku w kilku innych jeszcze sprawach.

Z innych uchwał zanotować należy i tę, że postanowiono prosić Sejm, aby postarał się o utworzenie przy seminarjach nauczycielskich osobnych kursów praktycznego gospodarstwa wiejskiego, na któreby mogli uczęszczać kandydaci nauczycielscy. Byłaby to rzecz bardzo pożądana, albowiem nauczyciel wiejski wyuczywszy się dobrze gospodarstwa, mógłby na wsi uczyć dzieci i nieraz dobrze włościanom poradzić.

Uchwalono także, aby zarząd główny wydawał „Przewodnik dla Kółek rolniczych“. Będzie on wychodził co miesiąca i będzie zamieszczał same rady gospodarcze i wiadomości o sprawach Kółek rolniczych. Pożyteczne to pismo będzie redagowane przez ludzi uczonych w gospodarstwie i każde Kółko powinno je sobie zaprenumerować.

Mówiono także na zjeździe o nasionach, które nie zawsze w najlepszej jakości Kółkom się dostawały. Jest nadzieja, że na przyszłość dostawcy będą rzetelniejsi.

W sprawie zaradzenia klęsce głodowej uda się zarząd Kółek do rządu o odpisanie zaległych podatków tym gminom, które najbardziej klęską tą zagrożone zostały i wyjednanie bezpłatne lub po zniżonej cenie soli bydlęcej dla łatwiejszego wyżywienia inwentarza.

Z odczytów, jakie miano na zjeździe, wspomnieć należy o odczycie lustratora gospodarstw wiejskich p. Bielskiego, który wykazał, że nietylko sama posucha, ale i zła, płytka uprawa wpłynęła na dzisiejszą klęskę głodem grożącą, doradzał też dlatego włościanom staranność w uprawie i dawał praktyczne rady jak na zimę w liść suchy z lasu zaopatrywać

się trzeba, aby nie brakło na pościółkę dla bydła i jak wszystko zużytkować w gospodarstwie można, żeby nic się nie marnowało. Profesor p. Ciesielski mówił o hodowaniu pszczół, a lustrator Kołek p. Wiśniewski o inwentarzu, że tylko tyle tyle trzymać go można, na ile paszy własnej wystarczy, dawał też mądre rady, jak z bydłem, tym prawdziwym skarbem każdego włościanina obchodzić się należy i jak go szanować, żeby mieć z niego jak największy pożytek. Najwięcej jednak zyskali włościanie w Dublanach, pod Lwowem, dokąd ich zaprosiła tamtejsza szkoła rolnicza. Tam wykładali im profesorowie o gospodarstwie, pokazując na przykładach, jak rola powinna być uprawiana, a bydło hodowane.

Ks. ŚCIEGIENNY.

(Dokończenie).

Musiał więc ks. Ściegienny pożegnać na długo, może na zawsze ziemię swoją rodzinną, przyjaciół, krewnych i wszystko co kochał. Posłano go na karę ciężkich robót do kopalni nerczyńskich, daleko na północ, gdzie zima trwa dziesięć miesięcy, a straszliwe mrozy ścinają krew w żyłach. Do tychże kopalni posłani zostali dwaj bracia jego Karol geometra i Dominik gospodarz, którego przy tem okrutnie obili kijami.

Na smutnem tem wygnaniu w kopalniach nerczyńskich spotkał się ks. Ściegienny ze sławnym pisarzem polskim i wielkich zasług człowiekiem, Agatonem Gillerem, który za wierną służbę ojczyźnie został również wysłany na Sybir przez moskiewskiego cara.

Agaton Giller umarł dopiero przed dwoma laty w Stanisławowie, gdzie mieszkał po powrocie z Syberji i pracował nad napisaniem »Historji powstania narodu polskiego“.

W pięknem swem dziele Giller tak pisze o ks. Ściegiennym: Rozczytując się w ewangelji świętej, która głosi o miłości i braterstwie wszystkich ludzi, Piotr Ściegienny wpadł na pomysł urządzenia tak społeczeństwa polskiego, aby te cnoty zapanowały między wszystkiemi dziećmi jednej wspólnej matki-ojczyzny. Pokrzywdzenie ubogich i ciemnych, korzystanie niesumienne z trudów i ciężkiej pracy włościanina, przeciwne Bogu pogardzanie ludem roboczym, uważał ks. Ściegienny za wielką niesprawiedliwość, która wymagała natychmiastowej naprawy, bo od niej zależała przyszłość Polski i szczęście jej dzieci Sądził on, że niesprawiedliwość ta da się usunąć, jeżeli każda gmina będzie wybierała na przewodnika i naczelnika swego proboszcza, który rozumem, dobrocią i przykładnem życiem potrafi pozyskać sobie jej zaufanie. Gmina miała radzić o interesach i sprawach swych członków, dążąc do tego jedynie celu, aby zabezpieczyć szczęście, które Bóg człowiekowi przeznaczył. Każdy członek gminy miał posiadać równą ilość gruntów, zostających pod rozporządzeniem zarządu gminnego.

Gminy miałyby reprezentację w powiatowem zebraniu czyli sejmie; powiaty w prowincjonalnem, wszystkie zaś prowincje czyli kraj cały pozostawałby pod władzą krajowego sejmu, który rządzić miał państwem jako rzeczpospolitą wolną a zabezpieczoną od przewagi wielkich panów, od samowoli i od samowładztwa pojedyńczych ludzi.

Ks. Ściegienny wierzył, że według jego pomysłu urządzona Polska stanie się przykładem dla innych narodów i wskaże im jak zapewnić szczęście i wolność dla całej ludzkości, od tylu lat we krwi i pocie dorabiający się królestwa bożego na ziemi.

Jakkolwiek ubrany w suknie księdza, Ściegienny nie przestał być chłopem nawet co do obyczajów.. Cała też rodzina jego, prócz jednego brata, który został geometrą,

nie opuściła stanu kmiecego. Miał więc nadzieję, że kmiecie nie odepchną go od siebie i że ramionami chłopskiemi dźwignie ojczyznę i urządzi ją chłopskim rozumem, bo w rozumie tym widział najwięcej prawdy i sprawiedliwości.

Zabrał się też z wiarą i energją do pracy i na wiosnę r. 1844, opuszczając często Chodel, w okolicach Kielc i Świętego Krzyża zgromadzał lud i prowadził z niemi długie rozmowy, zawiązując jednocześnie stosunki z mieszczaństwem i szlachtą. W rozmowie z włościanami, którzy mu wierzyli, jako księdzu i synowi włościanina, używał najczęściej przypowieści ewangielicznych.

Dnia 8. września, w święto Matki Boskiej ks. Ściegienny wystąpił z publicznem kazaniem w kościele na św. Krzyżu, zachęcając lud do kupienia się koło sztandaru Matki Boskiej przeciw wrogom Jej, ojczyzny i wolności ludu. Włościanie zrozumieli, że idzie o Polskę i zniesienie pańszczyzny i pogarnęli się do ks. Ściegiennego.

Kuźniacy tymczasem po fabrykach klepali kosy, pałasze, groty do lanc, lali kule, przygotowywali proch, naprawiali starą broń włościanie przygotowywali drzewce.

Ks. Ściegienny, mając na celu jedynie dobro i szczęście włościan, nie przypuszczał, że znajdą się wśród samychże włościan judasze. A jednak tak się stało.

Gdy dnia 24. października w lesie, we wsi Krajno pod Kielcami ks. Ściegienny zgromadził chłopów i przemawiał do nich gorąco, wzywając do walki z moskalami, gospodarz tej wsi, Walenty Janic, poszedł do wójta gminy, Perkowskiego z doniesieniem o zebraniu w lesie i o rozpoczynającej się ruchawce. Perkowski zaś nie omieszkał donieść o tem Moskalom.

W przeddzień wybuchu, w noc poniedziałkową, zwołano w okolicę Kielc cztery bataljony piechoty i kilka sotni kozaków, które jednej i tej samej godziny zająwszy wsie: Niewachlów, Białogon, Posłowice, Bilczę, Mayczę, Krajew, Cisów, oraz dalsze, Samsonów, Suchedniów, Żagdańsk, aresztowały wszystkich włościan i wielu ze szlachty, wedle listy sporządzonej przez Perkowskiego. Nazajutrz tysiąc więźniów napełniło więzienie w Kielcach; szpital św. Leonarda zamieniono również w więzienie.

Ks. Ściegienny uszedł i krył się u Bernardynów w klasztorze na Karczówce, górze odległej o 1 i pół kilometra od Kielc. W Kielcach bywał jednak nieomal co dzień, pod różnemi postaciami przebrany i nie dając za wygraną, chciał powiązać zerwane nici spisku. Policja wedle wskazówek Perkowskiego, kierowana przez inspektora Jurgaszkę śledziła bacznie ks. Ściegiennego.

Kiedy w połowie jakoś października, pewnego pięknego, ciepłego dnia jesiennego ks. Ściegienny przybywszy z Karczówki do Kielc, wstąpił na chwilę do domu mieszczanina Podolskiego przy ulicy Staro-Warszawskiej, wpadł tam jeden z ocalonych dotąd spiskowych z ostrzeżeniem, że policja idzie ks. Ściegiennego aresztować. Ks. Ściegienny wyszedł z domu Podolskiego tyłem na ulicę Kozią, a ztamtąd dostawszy się na łąki, przebiegł je i puścił się drogą ku Kaczarówce. Policja szła za nim, goniąc go na oko.

Straszne wyścigi!

Ks. Ściegienny wydostawszy się na drogę do Karczówki, sądził, że ujdzie. Tymczasem nieszczęście chciało, że natknął się na Bańkowskiego, strażnika tabacznego, uzbrojonego, bo powracającego z jakiejś wyprawy za przemytnikiem. Bańkowski był mężczyzna silny i wysokiego wzrostu. Spostrzegłszy człowieka ściganego przez policję, w przekonaniu

że to złodziej lub przemytnik, zatrzymał go i oddał w ręce policji.

Tym sposobem ks. Sciegienny został schwytany.

Bańkowski dowiedziawszy się kogo dopomógł aresztować, był w rozpaczy, ale za późno.

Co się potem stało ze Ściegiennym już wiemy. Dodamy więc tylko w tem miejscu, że na Sybirze, za Bajkałem, gdzie ks. Ściegienny wraz z licznym zastępem spiskowych do kopalń zesłanym został — starał się tam sformować śród wygnańców towarzystwo, które wspólnie według jego zasad pracowało i dzieliło się owocami swej pracy, dopomagając sobie wzajemnie i krzepiąc radą i miłością słabszych na ciele i duchu.

W roku 1857 ks. Ściegienny wrócił do kraju, a w 1883 roku przywrócony jak wiemy, do pełnienia urzędu kapłańskiego, pędzi dni jako kapelan w szpitalu Bonifratrów w w Lublinie.

Takie to są dzieje ks. Ściegiennego.

Z ludzi, którzy bezpośredni brali udzia w przygotowaniu powstania koło Kielc, żyje Jan Nowakowski; po powrocie z Sybiru został rejentém w Iłży pod Radomiem i te obowiązki pełni po dziś dzień. Zawadzki poległ w r. 1863. Pantoczkowie pomarli w Sybirze. Włościanin Janicz, który zdradził, zmarniał pogardzony przez wszystkich; Perkowski wójt również, a umierając miał widzenia. Ciągle zdawało mu się, że mu w głowach stoi ks. Ściegienny, grozi i nie chce dać rozgrzeszenia.

Ks. Ściegienny żyje po dziś dzień. Wzrostu jest niskiego, szczupły, nieco zgarbiony. Pomarszczoną, o przyjemnych rysach twarz jego otaczają białe jak mleko włosy i takaż broda, którą przywykł nosić na Sybirze, a którą potem zwierzchność duchowna nosić mu pozwoliła. Siwe jego oczy świecą z pod gęstych brwi młodzieńczym zapałem i wielką bystrością. Zachował dotąd umysł jasny i wolnomyślny, a lud kocha tak szczerze, jak dawniej i również gorąco pragnie jego szczęścia i dobra. Pracuje obecnie nad książką do nabożeństwa dla włościan, a dawniej pisał pamiętniki.

Listy do „Przyjaciela Ludu".

Ponieważ widzę, że »Przyjaciel Ludu« pisze rzeczywiście w tym duchu, jak się tytułuje i jest przyjacielem dla ludu, przeto uważam, że może będzie użytecznem niektóre wiadomości z okolicy dla użytku redakcji przesłać, a to tem bardziej, że niemal wszystkie pisma poruszają obecnie sprawy, mające być obradami Wysokiego Sejmu, i że mimo innych licznych spraw może by się dało poruszyć jedną, bardzo lud rujnującą. Była ona już wprawdzie poruszoną, mianowicie, kiedyśmy onego czasu przesłali z Tarnowskiego odezwę na ręce wielce zasłużonego ks. dr. A. Kopycińskiego, posła pow. naszego, ale jak wiele innych odbiła się i ona echem na puszczy. Podnosimy więc znowu tę sprawę, ażeby mogła dojść do wiadomości Wysokiego Sejmu, by tenże wglądnął w położenie ludu i złemu zaradził. Odnośny ustęp tej odezwy, obejmującej w ogóle 16 punktów, opiewał mniej więcej jak następuje. Jest pożądanem, ażeby procesa, a mianowicie procesa gruntowe mogły mieć sporszy i lepszy obrót, a nie tak, jak się to dziś praktykuje, że mając pretensję do odebrania części lub całego gruntu, potrzeba się oddać adwokatom, co przy procedurze, pozwalającej na prowadzenie procesu przez lata całe, obie strony procesujące się doprowadza do ruiny. Adwokat zazwy-

czaj nie wchodzi w to, czy jego klient ma o czem tak długi przeciąg czasu proces prowadzić, a często i tak bywa, że człowiek mający największą słuszność ale nie posiadający funduszów do prowadzenia procesu, przegrywa, albo też zupełnie musi go zaniechać. Nawet gdy zmizerowany oddawaniem każdego centa dziennego zarobku doczeka się po długiem kłóceniu sprawy wyroku, rekursa odwlekają przyjście do gruntu i resztki wyciągają.

Nie jednemu, ale setkom ludzi w podobny sposób krzywda się dzieje. Cicho o tem. Ale czyż to nie prowadzi do zniszczenia narodu, czyż nie ujmuje sławy sądowi? Ażeby temu tamę położyć, niechaj Sejm raczy środki obmyśleć. Mybyśmy pragnęli, aby zamiast tych pieniężnych obrońców wybierano w każdej gminie mężów zaufania, którzyby w każdym zachodzącym wypadku tj. procesie gruntowym zdali sprawozdanie pod przysięgą sądowi a na podstawie ich świadectwa sąd by wyrok wydał i to by się zamiast kilku lat w kilku dniach a niech by nawet tygodniach skończyło. Pomoc adwokata potrzebnąby była chyba do wniesienia pierwszego pozwu. Dla wyjaśnienia tego, cośmy wypowiedzieli niech posłuży następujący przykład: W gminie Janowicach ciągnie się o grunt proces już około 7 lat a jeszcze końca nie ma. W roku nie wiem którym—dosyć że jeszcze przed zniesieniem pańszczyzny był posiadaczem gruntu Nr. 54 niejaki Kazimierz Cąber, który miał dwóch synów Jacentego i Piotra. Gdy synów tych oddali mu do wojska przyjął on wtedy sobie komornika z innej wsi Błażeja Kozę. Po śmierci starego Cębra komornik jego, rzeczony Błażej Koza grunt objął, gospodarował na nim parę lat i umarł, pozostawiwszy po sobie syna Wojciecha Kozę. Gdy powrócili synowie pierwszego posiadacza Kazimierza Cąbra z wojska, naówczas starszy z nich Jacenty zaprocesował Wojciecha Kozę i wygnał go. Z córką Jacentego Marjanną, ożenił się zczasem 2-gi syn Błażeja Kozy a brat wygnanego Wojciecha. Ten ożeniony Józef Koza siedział lat 10 z żoną na gruncie i miał z nią syna Wincentego Kozę a po jej śmierci ożenił się z drugą żoną Rozalją Ludwów i miał z nią czworo dzieci. W jakiś czas pomarł, pozostawiając po sobie pięcioro dzieci i majątek przeważnie z pierwszą żoną zapracowany: wołów 4, krów 4, jałówek 2, trzody chlewnej sztuk 6, śliw suchych około 10 korcy i innego zboża ze 30 korcy, lasu nierąbanego mniej więcej morg. oraz budynki gospodarcze, ogród owocowy w dość dobrym stanie, a rozumie się i tę drugą, żonę Rozalję. Wdowa ta wydała się potem za mąż za Feliksa Pałeckiego i pozostała na gruncie tym, a gdy zawezwano do przeprowadzenia pertraktacji, więc postarała się o to, że detaksatorowie zeznali i oszacowali grunt ten, jakoby był własnością po Józefie Kozie. Wprawdzie chcieli, aby ówczesny wójt zwrócił uwagę notarjuszowi, że raczej niech przeprowadzi pertraktację nie po Józefie Kozie, lecz po jego żonie Marjannie z Cąbrów, ale ten robił co chciał, a Sąd też na tej podstawie wydał dekret dziedzictwa z prawem równego podziału wszystkich pięciorga dzieci.

Dopóki był pozostały syn po Marjannie, Wincenty Koza mały i myśleli ojczymy, że może umrze lub nic z niego nie będzie, to go żywili jako tako, ale że ten nie umierał, więc powoli zaczął go pewnie za podmowieniem żony ojczym pobijać, tak zaraz jeden przyszedł pijany, wywalił dostępne do niego w nocy drzwi i byłby

go pewnie mało żywo puścił, gdyby mu był nie umknął i nie udał się o ratunek do wójta. Wójt wprawdzie upomniał tego ojczyma, ale toby było i tak mało co pomogło, gdyby do obowiązku się nie udał. Służył parę lat, a gdy doszedł do pełnoletności zwołał do wójta tych ojczymów i chciał, ażeby mu byli przynajmniej pół gruntu dobrowolnie oddali, ale o tem ani słyszeć nie chciała macocha, tylko mu przyznaną część w dekrecie przyznawała i takowa odmierzoną mu na jego żądanie została, że zaś do tej części nie miał nic więcej, oni mu dopomóc nie chcieli, przeto udał się do adwokata Wiktora Włyńskiego i opowiedział wszystko nie tak on, jak jego teść i zażądał zrobienia pozwu o cały grunt. Adwokat zamiast zrobić pozew jego rodzeństwu, gdyż wedle dekretu oni to byli dziedzicami, to zrobił pozew macosze, tej Rozalii Pałuckiej. Rozumie się, że pozew ten się nie utrzymał i na pierwszym kroku Wincenty Koza przegrał. Zyskał na tem tyle, że mu sąd nakazał w pewnym terminie zapłacić Rozalii kosztów 24 złr.

Więc cóż tu robić? trzeba ponownie robić pozew rodzeństwu. Idzie tedy do adwokata rozumie się płaci i robi ponowny pozew; dobrze przynajmniej, że się ożenił, więc go z pieniądzmi zastępuje ojciec żony. Idą termina za terminami, nie dosyć że żółwim krokiem, ale jeszcze co termin to przeciwny jemu adwokat p. Perski wyrabia sobie delacją a jak ją uzyska na dni 14., to sąd wydaje termin nieraz za tygodni 14., a czasem to i później. Doprowadziło się przecie do tego, że sąd naznaczył termin do przesłuchania świadków. Mimo tego, że oświadczyli, że gdyby się był ojciec Wincentego Kozy, to jest Józef Koza nie ożenił z Marjanną z Cąbrów, to by był tego gruntu nie miał, bo grunt nie był familji Kozów, lecz Cąbrów. Zrozumiał tę sprawę sąd i przeznaczył termin do spisania aktów, a gdy wyszedł wyrok na rzecz Wincentego Kozy, na wyrok ten założono rekurs do Krakowa, ale wyższy sąd krakowski zatwierdził wyrok i na podstawie orzeczeń dwóch sądów, adwokat Wincentego Kozy, p. Buś, bo już nie Włyński, wyrobił zezwolenie u Sądu i przez komisję osadził na gruncie Wincentego Kozę. Osiadłszy na gruncie, Wincenty Koza po prawdzie powiedzieć zastał go już w trzech czwartych częściach przepustoszonym co do lasu i ogrodu, a co do bydłą i ruchomości zupełnie, nie mógłby był nic robić t. j. gospodarzyć, gdyby nie dobroczynność ludzi, co go wspomagali i dopomogli do obsiewu i za ospodarowania się a tymczasem gdy on się starał o obsadzenie i obsianie gruntu, założył adwokat przeciwnej strony rekurs do Wiednia, udowodniając, że nie prawnie go obsadzono na gruncie całym, gdyż z tego gruntu Józef Koza jakiś kawałek wykupił, spłacając pewną część familji Cąbrów, a zatem ta część prawomocnie należy do wszystkich pięciorga dzieci, a nie do samego Wincentego Kozy. Wiedeń przychylił się do tego wniosku i świeżo osadzonego Wincentego Kozy nakazał usunąć, a komisja napowrót Rozalję Pałuckę na grunie osadziła. Sąd tarnowski robi na nowo dochodzenie od kogo i którą parcelę nabył Józef Koza; przeto rozpoczął się nowy proces i są nowe termina, a adwokaci znów wyrabiają nowe delacje i przerabiają z kilku dni na parę tygodni, a właściciel jak nic nie miał, tak nic nie ma i kto wie kiej co będzie miał, bo już i ojcu jego żony fundusze się wyczerpały. Tymczasem przeciwnicy resztki drzewa tak dzikiego, jak i owocowego niszczą i mecenasowi zanoszą, a grunt leży odłogiem.

W dodatku część co to dawali i co już była odmierzoną Wincentemu Kozie za wspomniane na początku nieprawidłowe zaskarżenie Rozalji Pałuckiej Sąd sprzedał przez licytację i przez komisję ją oddał nabywcy, mężowi Rozalji, Feliksowi Pałuckiemu. Więc kończąc swój przykład, udaję się pod łaskawy rozsądek sz. Redakcji i dobrze myślących ludzi, czy odnośny ustęp naszej przesłanej do Wysokiego Sejmu odezwy nie miał po sobie słuszności i czy by nie czas było, ażeby się Wysoki Sejm za tem ujął i postarał się o rychłe ulepszenie ustawy, ażeby naród poznał, że ma nad sobą opiekę prawdziwą i jako tako mógł odżyć. A stanie się to wówczas dopiero, gdy Sejm i Rada państwa spiesznie zniwelują ustawy, które cieżą ludowi a które jak były, tak są.

Filip Zapart.

KLEMENS BORUTA

przez

W. Okońskiego.

(Ciąg dalszy).

— Jakby człowieka połechtało — prawda? Choć płaczesz, wypijesz kropkę, zaraz śmiać się musisz. Owczarz zna zioła. Przychodzą do mnie z kieliszkami, a ja tylko po kropelce, po kropelce i za najmniejszą odrobinę płać, bo spirytus w rzece nie płynie, a cynamon na miedzy nie rośnie. Burek, masz kanalio kość i ty podjedz. Na starą zgodę wypijemy jeszcze.

Obaj znowu pociągnęli kolejno z butelki, na której dnie niewiele zostało.

— Jak umierzył — rzekł Brzost — trzymając flaszkę do światła. Mamy gęby równe jak kieliszki, ha, ha, ha! — jak kieliszki — półkwartki! Hu — ha!

— Hu — ha! powtórzył, zataczając błędnym wzrokiem Boruta i zaśpiewał:

Moja gąsko, stąpaj wąsko...
Moja sroko, chodź szeroko.

A, żeby tak kapela, tupnąłbym...

— Ba! rozśmiał się Brzost, skłaniając głowę na posłanie i przymykając radośnie załzawione oczy.

— No, Brzoście, pójdziemy do karczmy; prawa w górę, lewa na dół...

Moja gąsko...

Już Brzost nie mógł odpowiedzieć na to wezwanie, bo zasnął. I Boruta również rozpocząwszy daremnie kilka śpiewek, zapadł w sen głęboki. Po chwili, ośmielony milczeniem Burek, zbliżył się i zabrawszy resztę baraniny, odszedł na bok. Zwolna po owczarni zaczęła się rozchodzić i mięszać z wyziewem nawozu ostra woń trzmielówki, którą Brzost, wypuściwszy z ręki butelkę, obok siebie wylał. Zdziwione owce podsunęły się gromadką do śpiących, ale Burek, odpędził je natychmiast warczeniem. Kilka wszakże odważniejszych skopów znowu wróciło, jeden nawet zaczął obwąchiwać miejsce, z którego rozchodziła się woń trzmielówki.

Gdy Burek, naśladując pana, syt baraniny również usnął, gdy odstraszone jego warczeniem i wonią trzmielówki owce spokojnie legły, w owczarni zapanowała uroczysta cisza. Swobodnie też przez otwarte drzwi rozlewał się po słomie jasny potok wrześniowego światła.

Nagle na smudze światła u progu owczarni odbił się jakiś cień. W progu jej stanął niskiego wzrostu, dobrej tuszy, w kurtce i dużym kapeluszu młody mężczyzna. Rozejrzał się na około, zatrzymał wzrok na śpiących, wywinął wzgardliwie grube wargi i mruczał.

Był to Klein, rządca.

Popatrzał z gniewem na śpiących, następnie cofnął się na podwórze, a spostrzegłszy przechodzącego parobczaka, kiwnął na niego:

— Brzost leży chory, rzekł ze złośliwym uśmiechem. Wypędź owce na pole po cichu, żeby go nie obudzić.

Parobczak pobiegł do owczarni, zdjął ze ściany bicz i zaczął po cichu wyganiać owce.

Owczarz, który odgłosy swego bicza znał, drgnął silnie. W tej chwili Klein zawołał po niemiecku:

— Nie przeszkadzać panom!

Ockniony już do połowy, zerwał się w przerażeniu.

— Co pan każe? spytał.

— Nic, szanowny panie Brzost — odrzekł ironicznie Klein — ja tylko upominałem chłopaka, co owce popędził, ażeby śpiących panów nie budził.

— Owce popędził — wybełkotał strwożony starzec, oglądając się po pustej owczarni, Zdrzemnąłem się chwilę, jagniaki musiały odpocząć. Burek, psia paro, gdzie bat mi zawlokłeś, a ty szelmo, bodaj cię...

Kopnął psa, który zaskowyczał przeraźliwie, zaczął się kręcić bezmyślnie, wreszcie wybiegł z owczarni.

— Panie Brzost! zawołał rządca.

— Co pan każe?

— Powtarzam, że ja panu nic nie rozkazuję, bo jesteś wolny. Chcę tylko poradzić, ażebyś pan przespawszy się, poszedł ze swoim towarzyszem na przechadzkę.

— Co to ma znaczyć? proszę pana.

— To ma znaczyć, że od jutra będziesz pan pasał tylko swego Burka, bo ja pijaków nie trzymam.

— Alboż...

— Milcz, zabieraj swoje łachmany i precz!

— Słowa te, wypowiedziane gniewnym tonem, przebudziły Borutę.

— Łotrze! — krzyknął Klein — to ty zgodziłeś się po to, żeby mi ludzi rozpajać. Oddawaj zadatek i wynoś się gałganie, bo cię kijem przemierzę.

Boruta wytrzeszczył oczy, zbierając myśli, które mu wódka jeszcze rozpraszała, nareszcie nachylił się i z rozpędem uderzył głową Kleina w brzuch tak silnie, że ten padł w znak na słomę. Nie rzekłszy ani słowa, wyszedł.

— Zbój — krzyczał, dźwigając się, rządca, łapać go, zbój!

Boruta nie obejrzał się nawet i wkrótce znikł za budowlami.

— Ja cię zbrodniarzu, przebodę — wołał siny z gniewu Klein — ty nie wiatr, nie uciekniesz! Ha! podłe gnaty polskie! I ty może myślisz łbem rozbijać? wrzasnął do stojącego pokornie Brzosta.

— Dwanaście lat, panie, tu wiernie służę — odrzekł spokojnie owczarz.

— Wy wszyscy równi — mówił nieco spokojniej Klein, przeszedłszy nagle do polskiej mowy. Pamiętaj Brzost, że przed sądem przysięgniesz. Ty w Boga wierzysz — co?

— Zawsze.

— No jeśli ty w Boga wierzysz, to w sądzie powiesz, że on zbój był. Idź do owiec, ja tobie przebaczam, bo winę swoją znasz.

Owczarz nizko skłoniwszy się, odszedł w pole. Klein udał się do dworu — a gdzie był Boruta?

Dworskie zabudowania Nędzy wznosiły się na górze. U jej spodu biegła pokrzywiona w różne strony wieś, której ubogie, przeważnie słomą kryte chaty, z rzadka jedynie pokładane domkami z czerwonej cegły, wskazywały, że głód szerokie prowadził w niej gospodarstwo. Znać to było i z ubogich plonów, które wieśniacy zwozili na małych furkach do stodół. A słońce wrześniowe świeciło tak jasno, jak nad obrazem szczęścia i dostatku. Ach to poczciwe słońce, czasem ono jedno tylko nie odmawia człowiekowi swych promieni, gdy los go ze wszystkich swoich łask obedrze. Czasem zamiast chleba położy swój odblask na stole biedaka, jak gdyby go światłem nakarmić chciało. Dobre słońce, nie gaśnij, nie zasłaniaj swego oblicza dla ubogich.

Boruta, usiadłszy na klocu pod chatą, od której skręcał się na wieś gościniec dworski, utkwił wzrok w słońce. O czem myślał? Więcej o tem, co z sobą zrobi, niż o tem, co zrobił z Kleinem. Zwróciwszy wzrok na pole, spostrzegł Brzosta, spieszącego do owiec. Wstał więc z kloca, okrążył zabudowania folwarku i podążył za Brzostem.

— Szymonie! Szymonie! wołał zdaleka.

Ale Szymon, pogrążony we wspomnieniach świeżego wypadku, nic nie słyszał.

— Cóż tak zagony liczycie? — krzyknął wreszcie Boruta, doganiając owczarza.

— A co? rzekł, zatrzymawszy się Brzost.

— Potłukłem go bardzo?

— Tłusty wieprz — nic mu się nie stało. Ale co upadł, to upadł, jak kłoda.

— Krzyczał, słyszałem, niech mnie za ogon złapie.

— Powiedział, że cię do sądu weźmie, a mnie postawi, żebym przysiągł.

— Niech skarży. Was zostawił?

— Czort go wie, kazał iść do owiec. Wypędzi. To pójdę z torbą. A co ty?

— Trzeba poszukać roboty.

— Byłeś u Jana?

— Po co? Stryj to nie pan i nie kupiec. Chleba nie ma, a roboty nie da. A co mi z tego, że w chałupie przenocować pozwoli!

— A ty głupi, chałupa jest do połowy twoja i ogród także. Przecież dziedzictwo po nieboszczyku ojcu do ciebie należy. Toć grosz warto.

— Więc połowa chałupy i ogrodu moja? powtórzył Boruta zdziwiony.

— Jakeśmy żywi oba! Idź tylko i powiedz kto jesteś. Oni cię sami poznają, siedem lat nie wieki.

— Tak, tak! mówił Brzost — to twoja ojcowizna.

— Dziedzic, to po dziedzicku. Dziś się upijemy, Szymonie, ale bawarskiem.

— To pewnie! Wyszczułby mnie jutro za dziesiąty kopiec.

— Nie bójcie się, mam łeb twardy.

— Masz go dla siebie. a wreszcie, ja tylko trzmielówkę... Bawarskie w głowie zawraca

— E, to odwróci. Przyjdźcie dziś do szynku.

— Nie mogę, ja tylko moją...

— Sprobójcie innej. Pójdę do stryja, a wieczorem potańcujemy.

No, do wieczora. Szymonie — rzekł Klemens, podawszy rękę owczarzowi i wesoło odszedł.

— Przynieś jutro na pole krople, to skosztuję... — wołał Brzost.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Sejmik włościański w Turce. Na wezwanie zacnego posła Teliszewskiego zebrało się d. 30. września kilka set wyborców i prawyborców, aby wyrazić nowemu wybrańcowi swojemu życzenia i potrzeby swoje. P. Teliszewski zagaił zgromadzenie obszerną mową programową, w której skreślił nędzne położenie całego kraju. Szczególniejszy uacisk położył na potrzebę oświaty, a w końcu sformułował żądania wyborców, które są dwojakiej natury: miejscowej i ogólnej.

Pierwsza kategorja żądań zawiera budowę kilku dróg niezbędnych dla rozwoju powiatu, założenie szkoły gospodarsko-przemysłowej w Turce, opust $^2/_3$ części podatków z powodu nieurodzaju, słoty i zarazy, założenie szpitala w Turce, subwencyę głodową, ochronę od pustoszeń przez dzikie zwierzęta, zakładanie tylko szkół etatowych (a nie filjalnych.)

Krajowe zadania są następujące: Wykluczenie miast i miasteczek z okręgów wyborczych wiejskich, powszechne głosowanie, uwolnienie gmin od poruczonego zakresu działania, oddanie Rad powiatowych pod zawiadowstwo Wydziału krajowego dla lepszego nadzoru — sprawiedliwa zmiana ustawy drogowej, oszczędność w adm. krajowej — polepszenie uprawy ziemi na podstawie studjów szczegółowych przedsiębranych w rozmaitych stronach kraju przez uczniów szkół rolniczych Dublan i Czernichowa, przymusowa asekuracja od ognia, przymusowe zakładanie kas oszczędnościowo-pożyczkowych i szpichlerzów gromadzkich — przymusowe straże ogniowe — komasacja gruntów, pomnożenie stacyi bydła rozpłodowego — zaprowadzenie wag na bydło po jarmarkach — oswobodzenie spadków do 500 złr. od opłat i od stempli przy intabulacjach — regulacja w ogóle należytości „prawnych“, — zaprowadzenie krajowych magazynów soli i surowicy, — upraktycznienie nauki szkolnej — zrównanie konkurencji szkolnej — zrównanie konkurencji szkolnej dworów z gminami. Jest także szereg wymagań do zmian w sądownictwie, osobliwie ustna procedura, stłumienie pisarstwa pokątnego, lepsza opieka nad majątkami sierocińskiemi, przekazanie procesów o obrazę czci — jurysdykcji gminnej.

Ostatnim punktem, uchwalonym przez zgromadzenie włościan ruskich jest mandat: Dążyć do zgody Rusi z Polską! Uchylamy czoła przed tem hasłem, bo w ziszczeniu się jego leży przyszłość i Polski i Rusi.

Sprawa gorlicka. Dopiero teraz wyjechał ze Lwowa do Gorlic radca namiestnictwa, hr. Łoś, a to celem przeprowadzenia śledztwa co do nadużyć tamtejszego starostwa przy wyborach z powodu wniesionego protestu. Przesłuchiwanie świadków potrwa prawdopodobnie kilka dni.

Zgorzało prawie do szczętu miasteczko Bo-

bowa w pow. Grybowskim. Ogień powstał z kuczki żydowskisj, gdzie się choina od świecy zajęła.

Bójka. W Żurawicy powstała przed kilku dniami między chłopstwem a żołnierzami bójka w karczmie, przy której żołnierze dobyli bagnetów i poranili kilku włościan. Dwa bagnety pokrwawione odebrano żołnierzom i odesłano do komendy korpusu w Przemyślu.

Stuletnia rocznica ogłoszenia praw człowieka. W Wiedniu 10. b. m. odbyło się zgromadzenie „Stowarzyszenia demokratycznego“, na którem deputowany dr. Kronawetter miał mowę pod tytułem: „Rzut oka na dzień 4. sierpnia 1789 r.“

Dr. Kronawetter nadmienił na wstępie, że dzisiejsze pokolenie nie ma nawet wyobrażenia, jak się ukształtowały były stosunki przed rewolucją francuską, ponieważ wierzy nędznym gadaniom konserwatystów, że to były dobre, złote czasy, i że nie można byłoby nic lepszego uczynić, jak zaprowadzić na nowo te stosunki. Ówczesne stosunki Francji i Europy dają się w następujący sposób scharakteryzować: była tylko jedna uprzywilijowana klasa, która potęgę swą zużytkowała aż do ostatecznych granic możliwości, gdy tymczasem reszta ludności nie miała w obec tej klasy najmniejszych praw. W owym czasie nie było państwa dla ludu, tylko było państwo dla szlachty i duchowieństwa. Handel i przemysł stanowiły monopol w rękach cechowych korporacji. Zasadniczą więc myślą, jaka wówczas panowała, był zakaz każdej uczciwej pracy, z wyjątkiem posiadającej przywileje. Uprzywilejowana klasa składała się z 75.000 głów, reszta ludności, wynoszącej 25 miljonów, była bez najmniejszych praw i bez posiadania. Atoli lud francuski, tak wysoce inteligentny i mający w sobie taką siłę pracy, nie mógł znieść dłużej podobnych stosunków. Skutkiem tego była rewolucja. Francja atoli nie zdobyła tylko dla siebie ideałów swobody i praw człowieka, wywalczyła je ona dla całego świata. (Oklaski).

Najnowsze dążenia naszych czasów zmierzają do tego, ażeby „szare tłumy“ ludu, nie nabrały świadomości swych praw. Z największą boleścią trzeba atoli patrzeć na to, że miljony ludu są dzisiaj jeszcze tak ubogimi na duchu, że im się zdaje, iż trzeba koniecznie pójść na lep tych zacofańców w celu polepszenia swego bytu. (Huczne brawa). W końcu przemówienia swego powiedział dr. Kronawetter: I w najnowszych czasach wyszydzają niejednl i przeklinają owe zajścia we Francji, ali na sto, nie czytało 99 osób ani słówka z historji ogłoszenia praw, inaczej bowiem wstydziliby się być takimi ludźmi; ten zaś jeden z owej setki, który jest świadomy historji, staje się z egoistycznych względów zdrajcą własnego ludu. (Huczne oklaski).

Niektóre z 17 artykułów, uchwalonych 26 sierpnia 1789 r. w sławnej deklaracji praw człowieka, przytaczamy poniżej. Zasady te zapisane są dzisiaj w konstytucjach europejskich. Wywołały one były w całej Europie ogromny zapał. Oto są one:

Ludzie rodzą się i żyją swobodni i równi w swych prawach.

Celem każdego stowarzyszenia politycznego jest zachowanie praw przyrodzonych i nieodmiennych człowieka. Prawami temi są: wolność, własność, bezpieczeństwo i opór przeciw uciskowi.

Wszelka władza pochodzi od narodu.

Wolność polega na możności robienia wszystkiego, co nie szkodzi drugiemu.

Czego prawo nie zabrania, to wolno czynić każdemu.

Przed wydaniem wyroku obwiniającego, nie wolno obchodzić się surowo z więźniem.

Nikogo nie należy niepokoić z powodu jego przekonań, jeżeli zastosowanie ich nie narusza ustanowionego porządku.

Siła publiczna powinna służyć ku pożytkowi ogólnemu.

Podatek powinien być równo podzielony pomiędzy wszystkich obywateli, stosownie do ich możności.

Wszyscy obywatele mają prawo albo osobiście albo przez swych przedstawicieli brać udział w stanowieniu i kontrolowaniu użycia podatków.

Społeczeństwo ma prawo żądać rachunku od każdego urzędu publicznego.

Ponieważ własność stanowi niepogwałcalne i święte prawo, przeto nie można nikogo jej pozbawiać, chyba wyraźnie domaga się tego konieczność publiczna, prawnie stwierdzona i to tylko pod warunkiem słusznego i poprzedniego wynagrodzenia.

Ander Semsey patrjota węgierski, ofiarował akademji węgierskiej na cele naukowe 100.000 złr. Na posiedzeniu akademji urządzono dawcy owację, witając hucznem „eljen!“ wiadomość o tej ofierze, zakomunikowaną przez prezydenta, a gdy ten wezwał obecnych do podniesienia się z krzeseł na znak czci dla Semseya, komiczna zdarzyła się scena:

wszyscy powstali, z wyjątkiem jednego niepokaźnego, łysego człowieka, o łagodnem niebieskich ócz wejrzeniu. Sąsiedzi jego powstawszy, zwrócili uwagę na jego obojętność w takiej uroczystej chwili i wezwali również do powstania.

— Nie wypada mi — odrzekł skromnie.

— Dlaczego? — burknęli.

— Ponieważ jestem Semsey.

Sprawa o przekupstwo. Adw. dr. Bauman, uwięziony przed kilku dniami z powodu poszlaków, iż współdziałał w usiłowanem przekupstwie sędziów przysięgłych w procesie o oszustwo, poderznął sobie w kaźni niebezpiecznie gardło. Rannego odstawiono do szpitala.

Co słychać w świecie.

Praga 13. października. Posłowie młodoczescy wypracowali projekt adresu do korony, który został wniesiony w czeskim sejmie. Projekt adresu zwraca się przeciwko szerzeniu się niemczyzny, domaga się zmiany ordynacji wyborczej i żąda, aby prawa należne królestwu czeskiemu były, jak się to działo dawniej, zaprzysiężone przez króla.

(U nas o projekcie adresu nie słychać. Z dzienników jeden tylko „Kurjer Lwowski“ za takowym obstaje. Przypominając słowa cesarskie, wypowiedziane przed trzema laty podczas pobytu w Galicji: Nur nicht die Leute drücken (Tylko nie cisnąć ludzi) i w roku bież. wypowiedziane na widok niedoli ludu (podczas manewrów koło Krakowca): Dem muss abgeholfen werden (Temu należy zaradzić) pismo to utrzymuje, że obowiązkiem jest sejmu nową kadencję rozpocząć adresem do tronu z wyłuszczeniem całej prawdy o stanie, w jakim się kraj pod względem politycznym i materjalnym znajduje).

Kijów 14. października. Pod koniec sierpnia b. r. aresztowano tu, wkrótce po zaaresztowaniu kilku ukraińców we Lwowie, — około 80 osób. Żandarmi rosyjscy dochodzili tajnego towarzystwa polsko-ruskiego, mającego rzekomo na celu oderwanie Ukrainy od Rosji i utworzenie z niej wraz z Rusią galicyjską samoistnego państwa pod protektoratem Austrji. Wszelako żadnego tajemnego towarzystwa, o jakiem łotrowskie denuncjacje mówiły, nie znaleziono i po kilku tygodniach wszystkim uwięzionym zwrócono wolność.

Berlin 14. października. Niemieckie gazety zaznaczają, że car rosyjski, który do cesarza Wilhelma w odwiedziny był przyjechał, dość ozięble był przyjmowany. Snać przyjaźń nieco ochłodła, dużo jednak wody upłynie, zanim się rozchwieje.

Rzym 10. paździer. Zasadnicze podstawy ugody między Rosją a Watykanem zostały podpisane przez pełnomocnika rosyjskiego Izwolskiego i kardynała Rampollę. — Skutkiem tego prawdopodobnie nastąpi wkrótce nominacja pięciu biskupów w dyecezjach polskich. Treść ugody ma jakiś czas pozostać w tajemnicy. Słychać, że papież uczynił Rosji dość znaczne ustępstwa. O bliższych szczegółach nie można się dowiedzieć.

Od Redakcji.

P. Br. J. Statuta czytelni ludowej, wysłaliśmy ponownie wraz ze wzorem podania do namiestnictwa i 3 nr. „Przyjaciela Ludu“.

P. J. K. Prenumeratę w kwocie 1 złr. 50 ct. otrzymaliśmy. Numer 6. wysłany.

P. W. w K. Sprawę podniesioną przez Sz. Pana poruszymy w przyszłych numerach. Dziękujemy za zwrócenie uwagi.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig**. Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 15. We Lwowie, dnia 1. Listopada 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

ZE SEJMU.

Donosiliśmy w ostatnim numerze o rozpoczęciu Sejmu i mowach jakie wygłosił marszałek krajowy i zastępca cesarski, namiestnik hr. Badeni. Dzisiaj należy nam zanotować wybór komisyj i jak się podzielili posłowie na stronnictwa. Tak jak już w czasie wyborów przewidywaliśmy, bardzo znaczna część posłów wybranych przez włościan wstąpiła do klubu pańskiego, tj. do prawicy. Dosyć powiedzieć, że do tego koła konserwatywnego przystąpiło aż 36 posłów z mniejszych posiadłości. Jeżeli weźmiemy na uwagę, że cały klub konserwatywny liczy 70 członków, to cyfra 36, jaką przedstawiają w niej posłowie włościańscy jest imponującą. Dla włościan naszych niech to będzie na przyszłość nauczką, aby nie wybierali posłów takich, którzy nie złożą przyrzeczenia, że wstąpią do obozu postępowego t. j. do lewicy, lub też nie utworzą osobnego klubu posłów włościańskich. Klub taki, t. j. włościański powstał w Sejmie naszym i liczy tylko czteru posłów. Są nimi Kramarczyk, Potoczek, Stręk i Żardecki, ten ostatni, jedyny z wszystkich posłów wybrany przez włościan, który aczkolwiek sam nie będąc włościaninem do klubu ludowego przystąpił.

Klub postępowy, czyli lewicy, liczy 21 członków. Utworzył się także osobny klub posłów ruskich składający się z 16 posłów. Klub ruski i lewicy działa zgodnie i można oba, jak dotychczas przynajmniej, uważać za jeden klub wielki postępowy. Do żadnego klubu nie przystąpiło 21 posłów, którzy nazywają się po sejmowemu „dzikimi“.

Potrzeba dodać, że wszyscy posłowie ruscy, tworzący jeden klub odrębny a postępowy, są wybranymi z kurji włościańskiej.

Na pierwszych posiedzeniach sejmowych „weryfikowano“ wybory, to znaczy obradowano, czy posłowie zostali w sposób sprawiedliwy wybrani, czy też przez rozmaite cygaństwa. Niektórzy posłowie skorzystali z tej sposobności i wykryli cały szereg nadużyć, jakich się dopuszczano w niektórych powiatach celem przeprowadzenia wyborów. Tak np. ruski poseł p. Okuniewski opowiedział, w jaki sposób został wybrany w pow. kossowskim minister Zaleski. Użyto tam presji żandarmów, postrachu i wszelkiej możliwej demoralizacji tego rodzaju. Pan Okuniewski wniósł z tego powodu unieważnienie wyboru ministra Zaleskiego, w obec tego jednak, że z powiatu, w którym on został wybrany, nie nadszedł żaden protest

na piśmie, wybór ten został uznany za ważny. Nie możemy pominąć przy tej sposobności milczeniem zachowania się posła także włościańskiego, p. Merunowicza, z rodu Rusina, który wystąpił przeciwko swojej własnej narodowości. Dlatego doczekał się od posła Antoniewicza nazwy publicznej „hermafrodyty“, co znaczy w tym wypadku, że nie jest ani Polakiem, ani Rusinem. Takie same protesty podniosły się przeciwko wyborom posłów: Polanowskiego, Ant. Wodzickiego, Dzieduszyckiego i kilku innych.

Z wniosków, jakie postawiono dotychczas w Sejmie, na uwagę zasługuje wniosek posła Kramarczyka o przymusowej asekuracji od ognia, Merunowicza o subwencjonowaniu kas pożyczkowych gminnych systemu Reiffeisena i ruskiego posła Romańczuka o utworzeniu ruskiego gimnazjum w Czortkowie i oddziałów ruskich w gimnazjach w Tarnopolu, Kołomyi i Stanisławowie i jednego ruskiego seminarjum we wschodniej Galicji.

Wniosek posła Kramarczyka podajemy osobno, powyżej. Również bardzo ważnymi dla ludności wiejskiej szczególnie są wnioski posła pow. łańcuckiego p. Żardeckiego o zniesienie opłaty 17½ ct. za doręczanie pism sądowych przez woźnych. Wniosek ten poparł poseł Teliszewski. Opłata ta jest niesprawiedliwą i uboży najbiedniejszą ludność wiejską.

Równie ważnym jest wniosek posła Teliszewskiego, domagający się, aby rząd ułożył świeżą instrukcję dla egzekutorów podatkowych celem osłonięcia włościaństwa od zaboru tak zwanego „fundus instructus“.

Dalej domagał się ten poseł odpowiedzialności za nadużycia i ustanowienia egzaminowanych egzekutorów, jakoteż żądał reformy urzędów wymiarów należytości i żeby niesłusznie pobrane należytości skarb państwa wracał poszkodowanym z dopłatą 6%.

Zanotować także potrzeba, że poseł Torosiewicz postawił wniosek o ułatwienie drobnych wpisów tabularnych z pominięciem kosztów legalizacji, dr. Okuniewski o lepsze płacenie za podwody, Teliszewski o reformę postępowania spadkowego i uwolnienie spadku niżej 500 złr. od opłat.

Wszystkie te wnioski odesłano do komisji, która zbadawszy je, przedłoży następnie Sejmowi do uchwalenia.

Pamiętają szan. nasi czytelnicy wiele to hałasu narobiły wybory w Gorlicach, gdzie namiestnik rozwiązał Radę powiatową. Jak wiadomo, kandydował tam p. Skrzyński przeciwko burmistrzowi Biechońskiemu. Rząd wysłał do powiatu gorlickiego komisarza umyślnego w celu sprawdzenia, ile jest prawdy w protestach, wniesionych przeciwko wyborowi Skrzyńskiego. Komisarz wrócił i orzekł po zbadaniu faktów, że „nadużyć nie było“. Wskutek tego wywiązało się o tych wyborach szerokie w Sejmie gadanie. Zrobiono rządowi zarzut, że wysłał komisarza bardzo późno, skutkiem czego nadużycia niektóre się zatarły, jakoteż, iż rząd popierał kandydaturę Skrzyńskiego, powinien zaś był zachować się bezstronnie. Pomimo to wszystko uznano wybór Skrzyńskiego za ważny

Na jednem z ostatnich posiedzeń przyjęto wniosek komisji administacyjnej, poruszony petycją wiecu miast i miasteczek w sprawie założenia domu pracy przymusowej kosztem 19.000 zł. W Galicji dotychczas domu takiego nie było i zastępowały jego miejsce więzienia kryminalne, gdzie więźniowie uczyli się pewnych rzemiosł. Domy takie istnieją w Królestwie polskiem, Austrji i Niemczech i wpływają na poprawienie nieletnich zwłaszcza przestępców bardzo skutecznie.

Do Sejmu wpłynęła wielka ilość petycyj

rozmaitego rodzaju. Petycje te świadczą bardzo dobrze o biedzie powszechnej w kraju. Wiele gmin i osób prywatnych nawet podało o zapomogi głodowe; kilka petycyj jest o przyznanie prawa wybierania własnego posła (np. Brzeżany), kilka o upaństwowanie prywatnej kolei Karola Ludwika, która wysokie na transporty osób i towarów nakłada ceny. Lwowskie Towarzystwo gospodarskie podało do Sejmu o obniżenie cen soli. Petycje takie idą najpierw do poszczególnych komisyj, które jeżeli uznają rzecz za słuszną, przedkładają ją dopiero do uchwalenia Sejmowi.

Uchwalono wteszcie wydzielić z funduszów krajowych 300.000 złr. dla ratowania ludności dotkniętej nieurodzajem. Ze sumy tej będzie 100.000 złr. obróconych na subwencjonowanie robót publicznych po powiatach, 150.000 złr. na bezprocentowe pożyczki na roboty i zakupno ziarna i paszy i 50.000 złr. na bezprocentowe zapomogi, z czego udzieli Sejm zasiłków czyli jałmużny najbardziej potrzebującym gminom. Oto jest krótki obraz dotychczasowych czynności naszego Sejmu.

Mowa posła Kramarczyka Franciszka

(na uzasadnienie wniosku o przymusowej asekuracji, wygłoszona w sejmie dnia 19. października).

Wysoki Sejmie! Jak dalece sprawa asekuracyjna jest ważną i piekącą nietylko dla stanu włościańskiego, ale i dla całego kraju naszego, na to zdaje mi się nie potrzeba dużo dowodów. I tak naprzód gdybyśmy się zastanowili nad ogólnem dobrem, jakie z tej instytucji, którą w życie wprowadzić zamierzamy, wypłynie dla dobra całego kraju, to najprzód spostrzeżemy pierwszą i najgłówniejszą zasadę naszą. a to jest ubezpieczenie od ognia każdego, choćby najuboższego włościanina, otóż dlatego, bo wiem dobrze, że wszystkie wyższe stany, jako i miasta, tak lekkomyślnie sprawy asekuracyjnej nie zasypiają i asekurują swoje budynki gdzie jak mogą, chociaż prawdą jest, że za tę ostrożność swoją wyrzucają niopotrzebnie po za granicę swojego kraju ogromne miljony. Włościanin zaś, jak mówię, najuboższy, przyciśnięty różnemi nędzami i klęskami, które się na nim najwięcej odbijają, nie wiele troszczy się o ubezpieczenie od ognia swojego mienia. Dlaczego? Bo znajduje się w tak krytycznem położeniu że obecnej tak wygórowanej premji asekuracyjnej każdorocznie opłacać nie jest w stanie.

Otóż znów w razie wydarzonej pogorzeli na kimże owa klęska najbardziej się odbije, jak nie na owym wieśniaku, który będąc w tem nieszczęśliwem położeniu, musi albo odczuć strasznie tę krytyczną chwilę. albo obciążyć nowym długiem swoją i tak słabą hipotekę. A co go dalej czeka, to już pewnie sami, zacni panowie, dobrze zrozumiecie.

Otóż tak nadal pod żadnym warunkiem zostać nie może, i jeżeli każda sprawa ma swoje przesilenia, to już sprawa asekuracyjna, ta najważniejsza kwestja dobrobytu krajowego, musi raz wejść na lepsze tory.

Dalej zważyćby należało, że takie ubezpieczenie przymusowe całego kraju na rachunek dochodu krajowego dałoby się przeprowadzić za bardzo mały procent.

Na uzasadnienie tego punktu zdaje mi się nie potrzebuję dużo dowodzić, gdyż to każdy z panów Wysokiej Izby naocznie widzi, że jeżeliby cała Galicja oszacowała swoje budynki, jakie ziemia nasza dźwiga, a nie chcielibyśmy rachować na żaden zysk, jaki po zapłaceniu każdorocznej pogorzeli pozostanie, to zdaje mi się, że ani 10 ct. rocznie od setki, a może 5 centów od setki szacowanej wartości opłacić należało. A niechbyśmy zapłacili nawet 20 ct. od setki, to jeszcze mamy straszny zysk wobec

tego, kiedy dzisiaj za budynki drewniane słomą kryte, płacimy towarzystwu krakowskiemu przeszło 100 centów od setki, więc czyż ten dowód nie powinien nas przekonać o pożyteczności naszej krajowej asekuracji?

Nareszcie czyby się jeszcze nie wypadło zastanowić nad jednem dobrem, jakieby z tej instytucji krajowej wypłynąć miało. Chociażbyśmy zapłacili i 20 centów odsetki jako dodatek asekuracyjny, to oprócz korzyści, jaką jeszcze z bardzo taniej taksy otrzymujemy, możemy z owej zwyżki utworzyć galicyjski fundusz żelazny asekuracyjny z paru miljonów złożony, któryby można oprocentować na dochód budżetu krajowego, a resztę zwyżki możnaby użyć z korzyścią za uchwałą wysokiego Sejmu na różne dobre cele, posłużyć mogące na obniżenie obecnego stanu podatków krajowych.

Dalej zważyćby należało, iż w stosunku takim nie istniałyby żadne agentury, które i tak cały kraj dużo kosztują, bo jeżeli się nie mylę, to one same około 8 proc. pieniędzy asekuracyjnych pobierają, w naszej zaś asekuracji krajowej nikt by marnie grosza asekuracyjnego nie rozrzucał, bo ck. urzęda podatkowe, na mocy przedłożonych spisów i oszacowanych budynków gospodarczych przez zwierzchności gminne, dopisałyby w tabeli podatkowej rzeczony dodatek asekuracyjny, któryby się razem z podatkami w ck. urzędach podatkowych na książeczkę podatkową opłacał.

Może jednak ktoś z wysokiej Izby powie mi, że ta sprawa jest dosyć dobrze obmyślana, lecz wysoki rząd z pewnością się nie zgodzi, a to *raz dlatego, że nie chce naruszać wolności autonomicznej, powtóre że nie chce odbierać praw i przywilejów towarzystw asekuracyjnych*, operujących w Galicji, *a po trzecie, że nie będzie chciał obciążyć urzędów podatkowych* poborem tegoż dodatku.

A zatem pozwólcie panowie, że wam i te trzy pytania stanowczo rozwiążę.

Co do pierwszej wątpliwości, nie byłoby to uzasadnionem ze strony wysokiego rządu, iżby wys. rząd dlatego nie chciał się zgodzić na propozycję naszą, że nie chce naruszać naszą wolność autonomiczną, bo jeżeli my sami, którzy tą wolnością autonomiczną oddychamy, żądamy takiej przymusowej instytucji dla siebie, w której upatrujemy dobro nasze ogólne i prywatne, to proszę, dlaczegóżby wysoki rząd miał nam to odmówić lub wzbraniać, co my za nasze dobro uważamy.

Na zarzut jakoby wysoki rząd nie chciał odbierać praw i przywilejów towarzystwom asekuracyjnym, operującym w Galicji, pozwolę sobie zapytać, dlaczegoży wysoki rząd tego rzeczywiście nie miał zrobić, jeżeli tu jest ratunek nasz; gdybym tu pozwolił sobie dzisiaj jeszcze poszukać na prawicy i w samem centrum wysokiej Izby, to bym znalazł dziesiątkami zacnych i dostojnych świadków, którzy by mi jednogłośnie potwierdzili, co im wys. rząd wyrobił. Oni mieli prawa swoje, ziemię swoją własną, na której nie jedną rodziną wędrującą i może z głodu umierającą przyjęli, osadzili i uposażyli jak mogli, nakazując sobie za tę łaskę nic innego jak parę dni tygodniowo pomóc pracować na roli dworskiej, a że z ubiegiem paruset lat lud zapomniał o tej rzeczywistej łasce, a prawo chlebodawców zdawało się uciążliwe, więc cóż rząd zrobił? Oto powiedział: My prawo takie skasujemy, kto z ludu ma ziemię twoją, to ją stopniowo musi zapłacić, a ty dostaniesz wykup.

Ale po co mi nawet ruszać półwiekowy czas, kiedy w zeszłym roku po raz drugi wysoki rząd odezwał się do tych samych panów, oddajcie resztki prawa i przywileje jakie w propinacjach macie, tu macie 60 miljonów, podzielcie się, a prawo nasze.

Powie mi ktoś: właśnie widzisz, panie ko-

lego, że wys. rząd odbierał prawa i przywileje, ale płacił za nie miljonami, a towarzystwa dotychczsowe jakże zaspokoić?

Otóż, wysoki Sejmie, ja i dla tych obmyślił środek do zaspokojenia, a tem są ich miljonowe zakładowe fundusze, które my im złożyli, cały kraj, Galicja, więc niech to sobie zabiorą, niech się tem podzielą, a nam wystawią kwit i zostawią w sprawie ogółowej wolne ręce do działania.

W końcu co się tyczy tego punktu, jakoby wysoki rząd nie chciał obciążać urzędów podatkowych jaką nową pracą, to ja właśnie tutaj widzę dla wysokiego rządu najważniejszą korzyść, która stosunkowo za bardzo małą pracę, bo tylko wliczenie do tabeli płatniczej dodatku asekuracyjnego stokrotnie się zapłaci, bo się niejako zmusi lud do punktualnego w terminach zapłacenia podatków, a zatem nie będzie potrzeba wysokiemu rządowi tyle sił sekwestracyjnych, ile dziś ich potrzebuje.

Ponieważ już ta sprawa od r. 1860 4 razy traktowana była przez Wysoki Sejm, więc proszę, by obecnie znalazła ogólne poparcie, a tak uczynimy zadość tyle pożytecznej i ważnej instytucji. Proszę zatem, by wniosek mój odesłany został do komisji asekuracyjnej.

(Oklaski i brawa).

VI. Zjazd Kółek rolniczych.

(Dokończenie).

Uczestników Zjazdu przyjmowano we Lwowie serdecznie i starano stę im czas pobytu w stolicy kraju jak najwięcej uprzyjemnić, jakoteż nadarzyć im sposobność do przyjrzenia się rzeczom pożytecznym. W tym celu urządzono na Strzelnicy miejskiej wystawę narzędzi rolniczych i przemysłowych, wystawiono tam także wyroby ślusarskie, stolarskie, tokarskie, tkackie, książki pożyteczne, rośliny pastewne itd. Na Strzelnicy także odbyła się próba ogniowa z dachem słomianym pomysłu inżyniera ze Sambora p. Uderskiego. Inżynier ten przemyśliwał nad tem, w jaki sposób najlepszy możnaby zapobiec pożarom, po wsiach i miasteczkach corocznie kraj nasz ubożących i wpadł na pomysł bardzo praktyczny poszywania dachów słomą pościskaną drutem.

System p. Uderskiego jest zaiste znakomitym. Dach jego jest z zwykłej słomy, ściągniętej drutem cynkowanym. Grubość dachu słomianego wynoci 3 ctm. najwyżej 4 ctm. Szwy druciane są w oddaleniu 5 ctm. od siebie. Płaty słomiane pozszywane ze sobą są drutem i tak silnie ściśnięte, że powietrze przystępu pomiędzy pojedyńcze źdźbła słomy nie ma i w tem leży cały sekret ogniotrwałości tych dachów. Dachy p. Uderskiego mają ogromne zalety, są bowiem z materjału lekkiego i dla włościan zawsze dostępnego. Chłop każdy może sobie dach taki sam sporządzić i ponosi przy tem jedyny wydatek na drut. Aby zabezpieczyć dachy te przed przemoknięciem wskazanem jest pokostowanie ich farbą olejną, a przynajmniej pociągnięcie warstwą gliny. P. Uderski objaśniwszy obecnych szczegółowo o systemie swoim, jakoteż o sposobie robienia dachów, dla każdego włościanina dostępnym, kazał dach zapalić. W tym celu narzucano na dach pęki palącej się słomy, podpalano go z krawędzi i od spodu, ogień jednak dachu się nie imał. Ściśnięta silnie słoma zatliła się gdzieniegdzie, ale natychmiast gasła, nie wydawszy z siebie płomyka. Wszelkie próby zapalenia jej były bezowocne. Wynalazcy, który ze swojego pomysłu nie robi żadnego przedsiębiorstwa, tylko oddaje go w całości na pożytek społeczeństwa, serdecznie gratulo-

wano. Włościanie zwłaszcza nie mogli wyjść z podziwu i oblęgli szan. inżyniera, rozpytując o sposób szycia mat i spajania ich razem. P. Uderski dawał wszystkim szczegółowe objaśnienia i zachęcał włościan do spróbowania tego rodzaju dachów.

To jeszcze podnieść należy. iż z dachu takowego nie może się ogień przerzucać ze strzechy na strzechę, co zwykle jest przyczyną pożaru: gdy na wsi jedna chałupa zacznie się palić, wnet cała wieś idzie z dymem, bo płonące szmaty słomy idą na dachy sąsiednie i zapalają je w okamgnieniu. Włościanie powinni zatem wszędzie u siebie wprowadzić te dachy, które ich ochronią przed wielkiemi nieszczęściami. Kosztu nie ma w tem prawie żadnego, słomę bowiem każdy ma swoją, uszyć mocno drutem także potrafi, chodzi więc tylko o spróbowanie. Włościan naszych przyjmowano w towarzystwie gimnastycznem »Sokół«, które ma zadanie rozwijać u młodszych ludzi siły i hartować ciało przez odpowiednie ćwiczenia; w szkołach wiejskich uczą profesorowie także gimnastyki, jest to bowiem nauka bardzo pożyteczna i przez rady szkolne dlatego nakazana.

W kasynie miejskiem w pięknej sali odbyła się na cześć członków zjazdu uczta, podczas której przemawiali włościanie. Delegat Kółek rolniczych z jasielskiego, Franciszek Dubiel mówił o potrzebie zgody w narodzie, zgodą tylko można coś zrobić, niezgodą zaś wszystko tylko zepsuć i zniszczyć. Włościanin z pod Trembowli, Krukowski, mówił o dobrych duszpasterzach po wsiach i wzniósł ich zdrowie. Grzegorz Sowa z pod Buczacza zachęcał braci swoich do pracy dla ojczyzny a panów do zaufania włościaństwu i wyraził nadzieję, że gdy zniknie ta obopólna nieufność, ziści się to, co powiedział poeta »że lud ten kmiecy, dźwignie Polskę swemi plecy«. Włościanin Zajączkowski z Prus pod Lwowem zachęcał braci swoich do pracowania około oświaty, uczenia się, czytania pożytecznych książek i pism dla ludu przeznaczonych a Jan Głowacki, mazur z Wierzchosławiec wypił serdeczny toast na zdrowie Polek i Rusinek, aby ojczyźnie dzielnych wychowały synów.

Oprócz tego odbyła się podobna wieczerza w towarzystwie rękodzielników »Skała« i przedstawienie w teatrze. Dano piękną sztukę »Kościuszko pod Racławicami« opowiadającą o tem, jak to wielki nasz jenerał, Kościuszko, wezwał włościan do wojny z Moskalami i wspólnie z dzielnym Bartoszem Głowackim, który prowadził pod sobą tęgich kosynjerów, gorącego sadła nalał Moskalom za skórę.

W obradach zjazdu brali udział zarówno Rusini jak Polacy i można się było przekonać, jak zgodnie i pięknie radzili wspólnie nad dobrem ludu, i że tak jedni, jak drudzy równie dobrze kraj swój kochają.

Szląsk.

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody,
Z czego słyną, kędy giną,
W jakim kraju i Dunaju.
(W. Pol. Pieśń o ziemi naszej).

Ziemia, na której urodziliśmy się, którą zamieszkujemy, wraz z tym ludem, z tem plemieniem, z którego wyszli ojcowie nasi, zowie się o j c z y z n ą. Jak dzieci matkę, tak naród powinien kochać ziemię, na której rozrasta się i rozwija, która go żywi i do której po śmierci ciało nasze powraca. Aby ziemię ojczystą kochać, trzeba ją przedewszystkiem poznać na wszystkie strony, wzdłuż i wszerz.

Dzisiaj poznamy najdalej na zachód wysuniętą ziemię słowiańską, którą zamieszkują bracia nasi Szlązacy, co przechodzą od kilku już wieków ciężkie walki z Niemcami, którzy pragną odwieczne polskie siedziby zająć.

Na zachód od Krakowa po obu brzegach rzeki Odry, leży piękny kraj, który nosi nazwę Szląska. Kraj to malowniczy, ograniczony od południa tj. od Węgier górami Karpatami, bogatemi w kruszce i przecięty licznemi rzekami, nad któremi rozsiadły się liczne włości i miasta. Dziejopisarze wspominają w kronikach, że już w piątym wieku po narodzeniu Chrystusa ziemię tę zamieszkiwali Słowianie rodu polskiego. Około rzeczki Ślęzy mieszkali Ślęzanie czyli Ślęzacy, dzisiejsi Szlązacy; oni to całemu krajowi nadali nazwę Szląska. Dzieje początkowe Szląska są zupełnie związane z historją reszty Polski; w roku 1159 król polski Bolesław Kędzierzawy nadał Szląsk synom brata swego Władysława z tym warunkiem, by ci zrzekli się praw do innych części Polski. Potomkowie Władysława żenili się z Niemkami, sprowadzali osadników Niemców — a wojując nieustannie ze sobą kawałkowali kraj na coraz drobniejsze dzielnice, które się też coraz bardziej niemczyły i i zrywały węzły narodowe i polityczne z macierzystą Polską.

W r. 1675 umarł ostatni Piast szląski Jerzy Wilhelm, a w 65 lat później wkroczył Fryderyk II., król pruski na Szląsk bez żadnego powodu do wojny i to dało powód do długotrwałych sporów między cesarzową austrjacką Marją Teresą a pruskim królem Fryderykiem. Krwawe te zapasy, na których najwięcej ucierpieli mieszkańcy, zakończyły się podziałem Szląska na dwie części: jedna połowa dostała się Austrji, druga Prusom. Od stu więc lat przeszło Szląsk dzieli się na pruski i austrjacki. Pruska część Szląska jestto kraina 60 mil długa a 20 szeroka, licząca w polskiej, wschodniej stronie około miljona mieszkańców, którzy mówią po polsku. Mieszkańcy trudnią się przeważnie rolnictwem; są tam również fabryki sukna, płótna, cukru, dalej kopalnie łupku, ołowiu, miedzi; ostatniemi czasy poszukują tam złota — najważniejsze są jednak kopalnie węgla kamiennego, którego wydobywają rocznie około 90 miljonów cetnarów; słusznie też Prusacy nazywają Szląsk perłą monarchji pruskiej. Również i Szląsk austrjacki, mniejszy od pruskiego a liczący przeszło pół miljona mieszkańców, jest bogato od natury uposażony. W części jego wschodniej, czyli w księstwie cieszyńskiem mieszkają Polacy, na zachodzie Czesi i i Niemcy. Szląsk tak pruski, jak austrjacki postanowili Niemcy wszelkiemi siłami wynarodowić, zniemczyć — bez względu na to, że Szlązacy wszelki możliwy temu stawiają opór. Chcemy tu pokrótce zaznajomić szanownych czytelników z obecnymi stosunkami na Szląsku. Przykro to bardzo patrzeć, jak mocniejszy napada na słabszego, ale możemy się przynajmniej tem pocieszyć, że niemczenie czyli germanizowanie Szląska nie zupełnie się Niemcom udaje i im więcej światła i nauki zagląda pod strzechy braci naszych Szlązaków, tem silniejszy — tem skuteczniejszy jest ich opór przeciw nawale niemieckiej.

Pierszą podstawą rozwoju i bytu jakiejś narodowości jest szkoła. Konstytucja powiada, że nikt nie śmie być zmuszony do uczenia się obcego języka; tymczasem na Szląsku, mimo iż Polacy stanowią trzecią część ludności całego kraju, nie ma *ani jednego seminarjum nauczycielskiego, ani jednej*

polskiej szkoły rolniczej, ani jednego polskiego gimnazjum; każdy przeto musi się uczyć obcego języka, a swojego nauczyć się nie może. Ustawy więc istnieją na to w Austrji, aby ich nie przestrzegano! Jak ze szkołą tak i ze sądem; do sądu i urzędów politycznych wolno pisać po polsku, ale *odpowiedź zawsze niemiecka.* Zapomniano tu więc pewnie o dziewiętnastym artykule ustaw państwa, który mówi o równouprawnieniu języków w sądach i urzędach. Dla przeprowadzenia równouprawnienia językowego na Szląsku austr, potrzeba koniecznie podziału kraju na 3 części, tj. część wschodnią (polską); środkową (czeską) i zachodnią (niemiecką). Rząd krajowy i sąd wyższy musiałyby urzędować we wszystkich 3 językach a władze powiatowe czy sądowe, czy polityczne w jednym stosownie do części kraju — to samo i szkoły. Śród obecnych stosunków mogą się jednak bracia Szlązacy pocieszać tylko nadzieją lepszej doli. Ale nie tylko w szkole i urzędzie panują takie błogie stosunki. Metryki kościelne zawsze i wszędzie jako oryginalne dokumenty muszą być s p i s y w a n e przez proboszczów d o s ł o w n i e według zeznań świadków. Tymczasem dla Szląska wyszedł z a k a z prowadzenia w *polskich* parafjach metryk po *polsku.* Czy to nie Chińszczyzna? Inny przykład. Gmina czysto polska, dzieci polskie, nauczyciel Polak, nauka polska, ale musi być niemiecki »Stundenplan«, niemiecki »Schulkatalog«, niemiecki »Wochenbuch« i t. d. Na podania polskie rząd się krzywo patrzy; dlatego interesowani boją się pisać podania w ojczystym języku. Obawa ta jednak jest niewłaściwą, gdy będziemy z pokorą zginali karki i spuszczali się na pstrą łaskę pańską doczekamy się powoli wymarcia naszej gnębionej narodowości na Szląsku. Jedynym ratunkiem jest obecnie obrona na każdym kroku w wielkich i drobnych sprawach — obrona godności prawa i bytu *polskiego* narodu na *polskiej,* szląskiej ziemi. Popatrzmy na Niemców, z jaką oni wytrwałością kroczą naprzód; nie pytają o środki byle swego dopiąć.

We Frysztacie na przykład, gdzie lud tylko ze znaków i rycin odgaduje urzędnika niemca, ogłoszenia drukowane były i w polskim języku; dziś już są tylko niemieckie i czeskie. I jeszcze tacy posłowie jak Menger uskarzają się w Radzie państwa że na Szląsku są urzędnicy, którzy nie dobrze władają językiem niemieckim i rząd wierzył tym bajkom posła niemieckiego. — Dnia 10 października rozpoczął sejm szląski swoje obrady w Opawie. Poseł ks. Świeży (polak) wskazywał jakie szkody wynikły dla rolników wschodniego Szląska z zakazu wywozu żywego dobytku i żądał, by zakaz takowy wydawano tylko w razie konieczności; nadto przy rozdziale zapomóg sejmowych podniósł ks. Świeży, że polska część Szląska jest przy tych subwencjach upośledzona, otrzymując tylko 800 złr.

Wykazaliśmy tu mniej więcej jakich środków używają niemcy, aby polską ludność wyprzeć z jej odwiecznych siedzib, nie wspominaliśmy o Szląsku pruskim, gdzie walka o wiele zaciętsza i trudniejsza. Mimo tak smutnego położenia bracia Szlązacy bronią dzielnie naszych kresów, — a jakkolwiek szlachta tamtejsza dawno się już zniemczyła, to jednak lud nasz polski coraz silniejszy stawia opór germanizmowi. Najważniejszą jego bronią są liczne stowarzyszenia, Kółka i czytelnie polskie! Bierzmy przykład z zacnych braci Szlązaków i popierajmy u siebie całem sercem Kółka rolnicze i czytelnie wiejskie. Gdy będziemy

zamożni i oświeceni, wtedy ani niemcy ani moskale nie zdołają nam wydrzeć ani mowy, ani drogiej każdemu ziemi ojczystej!

St.

Zaraza pyskowa i racicowa

napisał **dr. Barański**

(Z Przewodnika Kółek rolniczych).

Zaraza pyska i racic nazywa się zarazą, gdyż szerzy się nadzwyczajnie szybko i jedno bydle zaraża się od drugiego; wszelako choroba ta nie jest zabójczą i owszem prawie każda chora sztuka wyzdrawia do 2. tygodni. Bydło jednakże chudnie a krowy dają złe mleko.

Przyczyną choroby jest zarażenie się, gdy bowiem zdrowe zwierzę zetknie się z chorem, wnet popadnie w tę chorobę. Niekoniecznie musi się zetknąć zdrowe bydlę z chorem, by choroba wybuchła, wystarczy, by zdrowe bydło jadło tę samą paszę co chore, by było w tej stajni, wstąpiło w gnój chorego bydlęcia, było pędzone temi samemi drogami lub pojone w tej samej studni. Nawet człowiek może zarazić bydlę, gdy się bowiem zetknie z chorem zwierzęciem i to go obślini lub obuwie gnojem zanieczyści, a tenże wejdzie do obcej stajni i dotyka się zdrowego bydła, może stać się powodem wniesienia zarazy.

Bydlę dotknięte zarazą pyskową nie choruje zaraz na nią po zarażeniu się, lecz dopiero po kilku dniach, tak, że taji się z początku i jest niewidoczna. Wnet atoli zaczyna się ślinieć, niechętnie je paszę, lub wcale jej nie je i cierpi ból w pysku. Na wargach i na dziąśle, podniebieniu i na języku znajdują się pęcherzyki i małe zranienia, które sprawiają ból zwierzęciu. Po tygodniu zaczynają się goić ranki, jeżeli się bydle należycie utrzymuje.

Ta sama choroba występuje także i nad racicami, często nawet jest równocześnie choroba w pysku i nad racicami u tego samego zwierzęcia. Wówczas jest skóra nad racicami jakoteż i po między racicami zaczerwieniona, obrzmiała i bolesna a na niej znajdują się małe wrzody. Owe to ranki sprawiają zwierzęciu ból w nodze, wskutek czego tak bydle rogate jakoteż i świnie chodzą sztywnie, włóczą nogę, lub kuleją. Jeżeli chorą sztukę dobrze się pielęgnuje, wrzody goją się na nodze w przeciągu 10 dni i zwierzę wyzdrawia. Przy wypędzaniu bydła, niechlujstwie i zaniedbaniu jątrzą się wrzody i choroba trwa kilka tygodni.

Leczenie zarazy pyska i racic jest łatwe, trzeba jednakże bardzo czysto chodzić koło bydła.

Chorobę pyskową leczy się w ten sposób, iż bydłu daje się miękką paszę, jak n. p. trawę zieloną, delikatne siano, napój z grysu lub mąki i t. p. Gruba i twarda pasza jest zła, najgorsza jest sieczka i ości jęczmienne, gdyż bydle obraża zranione miejsca w pysku i te nie tylko, iż nie chcą się goić, lecz co gorsze, jątrzą się. Choremu bydlęciu podstawia się w stajni wodę do picia, by często piło i płukało sobie pysk. Tym sposobem ranki się czyszczą i ból się zmniejsza. To pojedyncze leczenie wystarcza, by bydlę wyzdrowiało do 8—10 dni.

Na chorobę racicową leczy się podobnie jak i na pyskową. Przedewszystkiem należy bydlę pozostawić w domu, nie zaś wypędzać na pastwisko lub pędzić je po twardych drogach, gdyż chodzenie szkodzi i wrzody nie chcą się goić. Zwierzę powinno ciągle stać na czystej i suchej pościółce, często więc trzeba słać pod bydło. Wilgoć bowiem, gnój i błoto zanieczyszcza nogi, rany się jątrzą i pogarszają. W niechlujstwie utrzymywane bydło, długi czas choruje, wrzody

się powiększają, dolna część nogi obrzmiewa a nieraz zbiera się materja w racicach, co może bardzo złe pociągnąć za sobą skutki.

Oprócz pozostawienia bydlęcia w domu i zachowania czystości, trzeba codziennie bodaj dwa razy przemywać chorą nogę zwykłą wodą i osuszyć takową. Zamiast tego można moczyć nogę w rzece lub stawie. Tym sposobem oczyszczają się wrzody i szybciej się goją.

Mleko pochodzące z chorych krów jest niezdrowe dla dzieci, jeżeli karmi się bowiem dzieci mlekiem surowem, to mogą zarazić się od mleka i zachorować na wrzodziki w ustach. Dlatego trzeba ugotować mleko i takiem karmić dziatwę, a wówczas już nie zaszkodzi.

Kto posiada więcej bydła i ma już zarazę w stajni, ten najlepiej uczyni, jeżeli umyślnie zarazi całą stajnię. Jestto z korzyścią połączone dla właściciela, gdyż wszystkie sztuki przechorują się w tym samym czasie i choroba wnet się ukończy. Inaczej zaś zachoruje jedna sztuka, potem druga, trzecia i t. d. Zanim cała stajnia przechoruje się, wlecze się zaraza kilka tygodni lub nawet kilka miesięcy i stajnia musi być miesiącami zamknięta. W tym celu bierze się ślinę z pyska chorego zwierzęcia i naciera nią pysk każdej zdrowej sztuce, czem zaraża się umyślnie i bydło całej stajni choruje naraz.

Jeżeli zaraza ta panuje w sąsiedniej wsi lub w pobliżu, trzeba się starać wszelkimi sposobami, by nie zawlec jej do swej obory.

Najskuteczniej uchronić się można od tej choroby, jeżeli unika się wszelkiego zetknięcia swego bydła z chorem. Nie należy więc odwiedzać stajen, w których są chore sztuki, nie stykać się z takiem bydłem ani na pastwisku, ani na drodze, ani na miedzy; nie pociągać paszy z zagrody dotkniętej zarazą, nie pędzić bydła temi samemi drogami, któremi pędzono chore, jednem słowem strzedz się i unikać wszelkiej styczności. W czasie panującej zarazy w okolicy nie puszcza się nikogo obcego do swej stajni, a przedewszystkiem handlarzy i ludzi wędrownych, gdyż ci często przynoszą zarazę ze sobą.

Ustawa przeciw chorobom zaraźliwym uważa chorobę pyskową i racicową za dotkliwą zarazę i nakazuje, aby każdy człowiek zawiadomił natychmiast wójta, jeżeli choroba się pojawi. Wójt donosi Starostwu, które zarządza przez swego weterynarza lub lekarza środki zaradcze na miejscu. Wówczas zamykają stajnię, zagrodę, całą wieś lub nawet cały powiat. Po wygaśnięciu zarazy trzeba stajnię, w której przebywały chore sztuki dobrze oczyścić, podłogę wymyć i wyszorować, gdzie podłogi nie ma, świeżą nawieść ziemię, ściany wybielić lub obmyć. Gnój należy wywieść końmi na rolę i zaraz przykryć ziemią, by bydle nie przyszło i nie zaraziło się tutaj. Po dokonanem oczyszczeniu stajni wietrzy się takowę przez dni kilka.

Zakład ubezpieczenia robotników od wypadków.

Korzystając z uprzejmości redakcji »Przyjaciela Ludu«, chcę podzielić się z wami szanowni czętelnicy wiadomością o »Zakładzie ubezpieczenia robotników od wypadków«.

Wiecie zapewne z doświadczenia, bo i między wami, po wsiach, znajdują się robotnicy, którzy nie posiadając ani jednego zagona roli, ani nawet najlichszej lepianki własnej, pracą swoją muszą zarabiać, na opłacenie komornego, wyżywienie i przyodziewkę dla siebie i swojej rodziny, że los takiego robotnika jest nędzny i nikt mu go nie zazdrości nawet kiedy znajduje się on w najlepszym zdrowiu i zarobi tyle co mu koniecznem jest na utrzymanie. Ale patrzaliście zapewne i na wypadki, gdzie biedak taki robotnik złożony chorobą, albo pracujący przy kieratach, tarta-

kach, młocarniach, kamieniołomach, młynach i t. p. okaleczały — niezdolny już do roboty, poszedł w świat o kiju żebraczym, a dzieci jego w poniewierkę.

W innych krajach już od wielu lat upominali się u swoich rządów robotnicy o równe z innymi prawa obywatelskie, boć przecież dają rekruta i kupują opodatkowaną żywność i odzież, tym samym płacą tak zwany podatek pośredni, i doprowadzili do tego, że mają swoich zastępców w gminach, sejmach krajowych i w radach państwowych, zarówno z innymi mieszkańcami. U nas do tego jeszcze nie przyszło, ale robotnicy, szczególnie po większych miastach jak Wiedeń. Praga czeska, Berno, Grac, a nawet we Lwowie, kołatają u rządu o te prawa obywatelskie — bo jak to nasze przysłowie mówi. »Kto puka — temu otworzą« i spodziewać się należy, że w naszym kraju robotnicy otrzymają należące im się po sprawiedliwości prawa wyboru i wybieralności, to znaczy, że będą wybierali zastępców swoich interesów do gmin, sejmów i do Rady państwa.

Tymczasem rząd uznając konieczną potrzebę zaopiekowania się robotnikami, wydał dotychczas dwie ustawy a mianowicie: »Ustawę o zabezpieczeniu robotników w razie choroby, o której później pomówimy — i ustawę o zabezpieczeniu robotników od wypadków, która już od 1. listopada tego roku ma wejść w życie i o niej to, pokrótce bodaj, chcemy pomówić.

Ubezpieczeniu podlegają jak to §. 1. ustawy orzeka: »Robotnicy i urzędnicy zatrudnieni w przedsiębiorstwach przemysłowych albo rolnych i leśnych w których używa się kotłów parowych i motorów poruszanych siłą żywiołu (wiatr, woda, para gaz do oświetlania, powietrze gorące, elektryczność itd.) lub przez zwierzęta«.

Systematyczny podział przedsiębiorstw podlegających obowiązkowi ubezpieczenia, ustanowiony przez ministerstwo spraw wewnętrznych stawia jako grupę I.:

Przedsiębiorstwa rolne i leśne tudzież młyny.

a) Przedsiębiorstwa rolne i leśne używające motorów.

	Kategorya niebezpieczeństwa
Przesiębiorstwa używające pługów parowych	VII
Przedsiębiorstwa używające młocarni: *a*) kieratowych, poruszanych siłą zwierząt	VII
b) parowych	VIII
c) wodnych	VIII
Przedsiębiorstwa używające młocarni i sieczkarni: *a*) kieratowych, poruszanych siłą zwierząt	VIII
b) parowych	IX
c) wodnych	IX
Przesiębiorstwa używające przyrządów do parzenia paszy	VII
Przedsiębiorstwa używające sieczkarni: *a*) kieratowych, poruszanych siłą zwierząt	IX
b) parowych	IX
c) wodnych	IX
Inne różne przedsiębiorstwa rolne używające machin	VIII
Przesiębiorstwa używające kosiarek	IX
b) Młyny.	
Przesiębiorstwa czyszczenia zboża	VII
Młyny (przedsiębiorstwa poboczne: piekarnie, olejarnie, czyszczenie grysu itp. i machiny rolnicze): *a*) parowe	VIII
b) wodne	VII
c) wietrzne	VII
d) pływające (pływaki)	IX
Młyny w połączeniu z tartakami (przedsiębiostwa poboczne oprócz poprzedzających, wyrób gątów i stępy dębnicy): *a*) parowe	X
b) wodne	IX
Fabryki krup perłowych	VII
Żarna: *a*) parowe	VIII
b) wodne	VII

Opłaty do tego zakładu będą wynosiły kwotę, jaka według taryfy opłat wydanej przez ministerstwo spraw wewnętrznych dla kategorji mniej lub więcej niebezpiecznych będzie przypadała. Na przykład jeżeli przedsiębiorstwo ubezpieczone będzie w kategorji 10. w której od każdych 100 złr. zarobionych przez robotnika rocznie, wy-

nosi należytość 3 złr. to właściciel ma zapłacić 1 złr. 70 ct. (to znaczy 90%) a robotnik 30 cnt.

O ratach stanowi §. 6., 7. i 8. a mianowicie:

W razie uszkodzenia ciała wynagrodzenie szkody stanowić będzie renta, która płacona być ma uszkodzonemu od początku piątego tygodnia po wypadku, przez czas trwania niezdolności do zarobkowania.

Celem obliczenia renty bada się naprzód, jaki zarobek pobierał uszkodzony w ciągu ostatniego roku w przedsiębiorstwie, w którem się wypadek wydarzył.

Renta wynosi:

a) w razie zupełnej niezdolności do zarobkowania i na czas tejże trwania, 60 od sta zarobku rocznego;

b) w razie częściowej niezdolności do zarobkowania i na czas tejże, część ułamkową renty pod *a)* ustanowionej, którą wymierzyć należy podług stopnia zdolności do zarobkowania, jednakże tak, aby renta nie przenosiła 50 od sta zarobku rocznego.

Uszkodzonemu nie służy prawo żądania wynagrodzenia szkody, jeżeli sam rozmyślnie sprowadził wypadek.

§. 7. W razie jeżeli wypadek stał się przyczyną śmierci, natenczas oprócz świadczeń, któreby według §. 6. należały się uszkodzonemu za czas aż do chwili zgonu, należy się jeszcze następujące wynagrodzenie szkody:

1. koszta pogrzebu, które wymierzyć należy stosownie do zwyczajów miejscowych, jednak w kwocie nie wyższej jak 25 złr.

2. renta, która począwszy od dnia zgonu płacona być ma pozostałej rodzinie zabitego, a którą oblicza się według postanowień §. 6. ustępu 2 do 7.

Renta rzeczona wynosi:

a) dla wdowy zabitego aż do jej śmierci lub powtórnego zamęścia 20 od sta; dla wdowca, jeżeli i dopóki jest niezdolny do zarobkowania, 20 od sta; dla każdego pozostałego dziecka ślubnego, dopóki nie ukończy 15. roku życia, 15 od sta, a jeżeli straciło lub traci drugie z rodziców, 20 od sta rocznego zarobku; dla każdego pozostałego dziecka nieślubnego, aż do skończenia 15. roku życia, 10 od sta rocznego zarobku. Renty wdowy a względnie wdowca i dzieci nie mogą razem przenosić 50 od sta zarobku rocznego; jeżeli z powyższych obliczeń wypadnie większa kwota, należy pojedyncze renty stosunkowo zmniejszyć.

b) dla następnych zmarłego, jeżeli tenże był ich jedynym żywicielem, za czas aż do ich śmierci albo aż do czasu ustania potrzeby 20 od sta zarobku rocznego. Kwota ta nie może być przekroczoną z przyczyny, iż jest więcej uprawnionych, w którym to przypadku rodzicom należy się pierwszeństwo przed prarodzicami.

W razie powtórnego zamęścia, otrzyma wdowa potrójną kwotę renty rocznej tytułem odprawy.

Jeżeli osoba okaleczała zawarła małżeństwo dopiero po wypadku, w takim razie po jej śmierci wdowie a względnie wdowcowi i dzieciom w takiem małżeństwie spłodzonym, nie służy żadna pretensja. Również nie służy żadna pretensja dzieciom nieślubnym, spłodzonym dopiero po wypadku, tak jak i małżonkom, z własnej winy nie żyjącym w spólności małżeńskiej.

Jeżeli obok uprawnionych pod *a)* wzmiankowanych, są uprawnieni wzmiankowani pod *b)*, tym ostatnim służy pretensja tylko o tyle, o ile przez pierwszych najwyższa kwota renty nie została wyczerpaną.

§. 8. Za płacę lub zarobek w ro-

zumieniu ustawy niniejszej uważa się także tantiemy i pobory w naturze. Wartość tych ostatnich obliczać należy według przeciętnych cen miejscowych.

Jak z powyższego zestawienia widać, jest tu wiele do zauważania, jak naprzykład wsparcie wypłacane dopiero począwszy od piątego tygodnia po wypadku — a cóż ten biedak ma robić bez pomocy w najgorszych właśnie pierwszych czterech tygodniach? Spodziewamy się jednak, że zarząd tego zakładu zabierze się jak najspieszej do zmiany na lepsze niektórych paragrafów tej ustawy i przedłoży je panu ministrowi do uwzględnienia.

Ja zaś z mojej strony, jeżeli wam to szanowni czytelnicy przypadnie do zadowolenia przypomnę wam się częściej na tem miejscu, a w razie potrzeby pośrednictwa lub jakiej niewłaściwości doznanej z przyczyny tego ubezpieczenia, to upraszam zwrócić się do »Przyjaciela Ludu«, a on postara się o sprawiedliwe załatwienie sprawy.

A. M. Paproć, ze Zarębek pod Kolbuszową.

Klęska w Dobromilskiem,

(Głos „Kółka rolniczego“ z Birczy).

Od kilku miesięcy śledząc bacznie ruch jarmarków i targów, odbywających się w powiecie Dobromilskim, osobliwie w miasteczku Birczy i skrzętnie notując ilość sprzedanego bydła w ciągu 4 miesięcy upłynionych, stanowczo twierdzić możemy, że z ogólnej ilości bydła posiadanego w powiecie dobromilskim z początkiem wiosny roku bieżącego 50% wyprzedano już dotąd za $^1/_3$ część przeciętnie zwykłej jego ceny z lat poprzednich. Z inwentarza pozostałego jeszcze, który do tej chwili nie mógł być sprzedany z powodu braku kupca i zakazu wywozu na targi w niektórych miejscowościach — połowa zostanie przed zimą wysprzedana, lub wyrznięta przez samych właścicieli a z pozostałej $^1/_4$ części wyginie nie mało z różnych chorób, jakie niewątpliwie w porze zimowej rozwinąć się muszą z powodu złej i niedostatecznej paszy.

To też w obec przytoczonych dat twierdzić możemy, że zaledwie 10% inwentarza doczeka się przyszłej wiosny, ile że wyprzedane bydło poszło wyłącznie pod nóż, czyli po prostu wymarnowano, jakto świadczy dosadnie ta okoliczność, że obecnie sprzedaje się u nas po wsiach mięso po 4 cnt. za funt.

Jeżeli zatem i gdzieindziej w kraju dzieje się to samo, co u nas — a jak wieści nas dochodzą tak ma być niestety wszędzie — to oprócz niczem niepowetowanych strat z powodu ubytku 90% nawozu, który jak wiadomo jest podstawą rolnej kultury, wypadnie z wiosną przyszłą wydać wiele miljonów na zakupno z zagranicy sprowadzonego nwentarza.

Strata to zbyt wielka, jak na nasze stosunki ekonomiczne i stan nasz rolniczy odczuwać ją będzie bezpośrednio przez długi szereg lat przyszłych.

Zapomogi i różne ulgi w zwykłej dotąd formie przyznawane rolnikowi, nie uratują już straconego lub na rzeź brakiem paszy wskazanego jego dobytku, nie uratują go również kilkanaście lub kllkadziesiąt złotych — udzielone tytułem pożyczki bezprocentowej, bo on sam paszy nigdzie nie dostanie w bliższej okolicy, a o sprowadzeniu takowej z zagranicy chłopek nasz nie pomyśli; pieniądz zaś dostawszy się w jego ręce przejdzie niebawem do kieszeni szynkarza, a bieda jego pozostanie w chałupie,

jak była przedtem. Jedynym sposobem uratowania pozostałego jeszcze inwentarza byłoby dostarczenie rolnikowi paszy w sianie i słomie prasowanych, co oczywiście połączone jest z wielkiemi trudnościami — i soli bydlęcej, co najmniej po ¼ części centnara na jedną sztukę, zebrawszy bowiem w tym roku dość obfity plon kartofli mógłby niemi zastąpić poniekąd zwykłą paszę; dla wyżywienia się zaś własnego wystarczy, jeżeli kraj i rząd dostarczą mu zarobku i w tym celu wskazanem jest, aby projektowane roboty publiczne, jak na przykład u nas około przełożenia drogi krajowej z Olszan do Birczy, jeszcze w tym roku rozpoczęte być mogły.

KLEMENS BORUTA

przez

W. Okońskiego.

(Ciąg dalszy).

Owa ojcowizna, która tak niespodzianie zbogaciła Borutę, była nędzną chatą, za którą wązkim paskiem wyciągnął się kawałek ogrodu. Zabłocona sień dzieliła dom na dwie połowy. Na prawo znajdowała się dość obszerna izba, a za nią alkierz. W tej izbie Janowa, kobieta podeszłego wieku i wychudłej budowy, maczała właśnie w szafliku kurę, która na jajkach siedzieć chciała, gdy wszedł Klemens.

— Pochwalony.

— Na wieki wieków.

— Nie poznajecie pewnie — Klemens.

— A! odrzekła, przyglądając mu się uważnie, gdy ją pocałował w rękę. Zkądże?

— Ze świata. Cóż tu słychać?

— A słychać. Kaśka ot leży, bo febra ją trzęsie, a stary ledwie dziś do szosy nogi zawlókł. Gdzież ty teraz?

— Tu mnie dziś zgodzili i dziś wypędzili.

— Za co?

— Bom się na godzinkę spać położył.

— To jaskinia, nie dwór, żeby ziemia się pod nim zapadła. Gdzie wracasz?

— Nie wracam, pozostanę tu tymczasem, oddacie mi połowę chałupę.

— Człowieku! — zawołała oburzona Janowa — nie boisz ty się Boga, młody, zdrów, zabierać nam tę głupią izbę!

— A ona wam po co?

— Na dworze prosiaki uwiążę, czy to psy?

— O, spleciemy chlewek, będą stały.

— Okien nie ma, przez pułap się leje.

— Gdybym na drodze sypiał, jeszcze bardziej by się lało.

— Tfu! — splunęła Janowa — wilcze ślepie. Z ołtarza by zdarł.

— E, z wami gadać, a miesiącowi się przedrzeźniać, to jedno — rzekł Klemens i wyszedł.

O ile Janowa z natury była chciwa, o tyle jej mąż chętnie z każdym się dzielił. Bez trudu więc tegoż jeszcze dnia dopomógł synowcowi przeprowadzić prosiaki do sieni. Klemens nie mając garści słomy, a przytem chcąc zagłuszyć smutek, jaki mu się co chwila w duszy odzywał, zgodnie z pierwotnym zamiarem poszedł do karczmy, gdzie ucieszywszy się tańcem i piwem przenocował. Nazajutrz od świtu zaczął porządkować mieszkanie. Wymiótł je, oczyścił z kurzu, pozaklejał wybite okna i myślał nad tem jedynie, jakby je wywietrzyć z zapachu, jaki tam pozostawiły prosięta, gdy w tem wybawiła go z kłopotu niespodziana okoliczność: dostał wezwanie do sądu w sprawie Kleina.

— Pootwieram okna — mówił do siebie — jeśli wsadzą do kozy, mieszkanie przez ten czas wywietrzeje.

Domysł jego sprawdził się najzupełniej: do kozy zamknięto go na dwa tygodnie, a gdy powrócił do izby, zaledwie odczuł ślady woni poprzednich jej mieszkańców to jest prosiąt. Co więcej znalazł Boruta i okna deseczkami pozabijane i garść słomy w kącie, przykrytą starym kilimkiem. Stryja w domu nie było, stryjenka nie przywitała się z nim nawet, Klemens więc tylko rozejrzał się po izbie i już miał wyjść, gdy przez drzwi odchylone zajrzała Kasia.

— Wleźże głupia — zawołał wesoło — bo nos sobie przytniesz. Tatulo u roboty?

— Przy szosie — odrzekła nieśmiało, stanąwszy na progu.

Boruta wyciągnął z kieszeni bułkę i kawałek kiełbasy, które sobie po wyjściu z kozy kupił, i podał Kasi.

— Na, zjedz.

Kasia zrobiła z początku zawstydzoną minę, ale wreszcie skusiła się do łakoci. Kasia miała twarz okrągłą jak jabłuszko, nos jej filuternie się zadzierał do góry, a oczy żywo biegały.

— Tańcowałaś w niedzielę? spytał Boruta.

— Boga tam! Na przespanie nocy mało.

— Aleś ty nie od tego... mruknął Klemens i objął dziewczynę, która tylko głowę odwróciła.

— Katarzyna! odezwał się skrzeczący głos z sieni.

Wybiegła.

— Prosiaki kwiczą — krzyczała matka — a ty zęby suszysz przed chłopem. Ja ci je porachuję.

Jak tylko groźby ucichły. Boruta wyszedł z domu, uciął sobie pręt wierzbiny i ruszył pogwizdując w pole. Oczekiwał on stryja, z którym chciał się rozmówić co do dostania roboty; ale że słońce jeszcze było wysoko, więc szukał dla reszty dnia jakiejś rozrywki.

Na tę samą miedzę, po której szedł Boruta, wjechał z za krzaków jakiś mężczyzna na wielkim, ciężkim koniu.

— Rządca, czy nie rządca, a jużci on — szepnął Klemens, uczuwszy lekkie drzenie w nogach.

Klein poznał go z daleka. podciął konia i zbliżywszy się, osadził gwałtownie.

— Co tu robisz? zawołał po niemiecku.

— Idę, odrzekł Boruta.

— Przez czyje pole?

— Przez Szlązkie.

— Ty zbóju! krzyknął Klein, zmierzywszy się szpicrutą.

Klemens chwycił konia za uzdę.

— Ostrożnie, bo ściągnę i umiarkuję.

Rządca wiedział, że Boruta dotkliwie miarkuje nawet, gdy nie grozi, a cóż dopiero, gdy grozi. Rzekł więc spokojniej i po polsku:

— Proszę nazad, tu chodzić nie wolno.

— Swięta ziemia, bo niemiec ją kupił! bąknął Boruta i wrócił do drogi, idąc przed Kleinem, który za nim postępował na koniu a później gościńcem popędził do dworu.

Boruta usiadł na kamieniu, wziął kawałek leżącego kija i zaczął strugać wiatraczek. Przechodzący i przejeżdżający ze zdumieniem spoglądali na młodego, zdrowego chłopa, który w porze roboczej zabawiał się dziecinnemi figlami. Klemens tymczasem strugał starannie deszczułki, aż wreszcie osadził je w krzyż złożone na patyku i zatknął na górce w ziemię. Wiatr poruszał skrzydłami wiatraczka i puścił je w szybki ruch. Klemens z zadowoleniem stanął przed swem dziełem i przypatrywał mu się długo uśmiechnięty.

— Pochwalony! rzekła jakaś stara, przechodząca wieśniaczka. Dużoście umelli?

Boruta, zawstydzony, nic nie odpowiedział a gdy kobieta oddaliła się, poszedł wolnym krokiem do wsi. Słońce już się zniżało ku ziemi. Boruta wszedł do swojej izby i położył się na posłaniu. Zasnąć nie mógł, bo w kozie dobrze się wywczasował. a przytem jakiś niepokój wewnętrzny utrzymywał go w ciągłej czujności. Zamknął więc oczy i myślał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRONIKA.

Konfiskata „Przyjaciela ludu“ Krajowy Sąd karny we Lwowie odmówił zatwierdzenia zarządzonej przez c. k. prokuratorję państwa konfiskaty Nr. 13 czasopisma „Przyjaciel ludu“ z powodu że artykuł pod tytułem „Propinacja“ nie wykracza przeciw ustawie karnej. Prokurator wniósł jednak przeciw tej uchwale zażalenie do Sądu apelacyjnego i ten zatwierdził konfiskatę z powodu, że artykuł poddaje działalność i zabiegi właścicieli propinacji w tej sprawie ostrej krytyce a wyliczając spadłe z powodu tego na kraj niepowodzenia i ciężary winę takowego zrzuca na szlachtę pomawiając ją o chęć wzbogacenia się kosztem ludu wiejskiego i mieszczaństwa.

Łaska pańska, jak wiadomo, jeździ na pstrym koniu. Smutnej tej prawdy doświadczyły, jak donosi *Diło.*, gminy Potok i Nanczowce w pow. staromiejskim, które podczas wyborów do sejmu „trzymały się dobrze“, tj. z pogwałceniem swego poczucia obywatelskigo głosowały i agitowały za hr.

Ludw. Wodzickim. Czyniły zaś to, spowodowane obietnicą p. Ziglera, zarządcy dóbr hr. Wodzickiego, że pozwoli tym gminom paść bydło w lasach hrabiowskich. Brak paszy, wszędzie tak dotkliwy dla chłopów, zwłaszcza po szczelnem zamknięciu lasów kameralnych, szczególnie uczuć się dawał ubiegłego lata — i biednym gminom nie pozostawało prawie żadnego wyboru, jak tylko poświęcić względy obywatelskie — dla paszy. Lecz skoro minął „gorący“ czas wyborów, leśniczy hrabiowscy otrzymali nakaz przepędzić chłopów wraz z bydłem z lasów, wkrótce zaś potem lasy sprzedano na wyrąb kupcom jarosławskim za 75.000 zł. i chłopi oczywiście na zawsze muszą pożegnać się z nadzieją paszenia bydła w lasach hrabiowskich.

Przed kilku dniami zostali wydaleni z Galicji i granic państwa austryjackiego dwaj akademicy. Wypadek to jest bardzo rzadki i zastosowywany przez rządy w takich tylko razach, jeżeli się pokaże, iż ktoś, będący poddanym innego państwa jest dla rządu niebezpiecznym. Wydaleni ci dwaj akademicy pochodzili z Królestwa polskiego i uczyli się jeden w Dublanach na dobrego gospodarza, drugi w Krakowie na profesora. W lipcu b. r. uwięziono ich niespodzianie i oderwano od nauk wraz z kilku innymi i wytoczono proces polityczny o należenie do towarzystwa, które władzy politycznej nie było wiadomem. Proces trwał przez cały tydzień i co się pokazało? Oto, że młodzież ta starała się działać tylko dobrze, że zajmowała się dobrem ludu, popierała Towarzystwa oświaty ludowej i posiadała biblioteczki ludowe, życzliwie się odnosiła do „Przyjaciela ludu“, którego redaktor p. Wysłouch, także został uwięziony. Z powodu tego dużo było podczas procesu mowy o naszem pisemku. Zarzucano p. Wysłouchowi, że założył „Przyjaciela ludu“ tylko w celu wpływania na wybory po wsiach, jakoteż, że nasze pisemko budzi niechęć włościan do innych warstw narodu. Ile w tych zarzutach prawdy, możecie sobie, szanowni nasi czytelnicy, na to sami dać odpowiedź. Że nie zostało ono założone tylko na czas wyborów, najlepszy dowód, że wychodzi stale i po wyborach, a da Bóg, że i nadal będzie wychodziło, żeby zaś miało za cel siać nienawiść do wszystkich, kto tylko nie urodził się chłopem, to tak samo prawda, jak to, że teraz maj a nie listopad. „Przyjaciel ludu“ występował zawsze przeciwko złym ludziom, bez względu na to, kto ich rodzi, dbał i dba o to, aby włościanom naszym krzywda się nie działa i żeby sami sobie we wszystkiem rady dawać umieli i stara się działać na ich pożytek i dla dobra ojczyzny, a że to nie wszystkim jest w smak, to już nie jego w tem wina.

Proces ten narobił dużo w kraju hałasu a nawet i wiedeńskie i inne niemieckie gazety dużo o nim pisały, skończył się zaś tak, że sąd wszystkich oskarżonych, także i redaktora „Przyjaciela ludu“ zupełnie uwolnił, jednego tylko akademika na 14 dni aresztu skazał. Dlatego nikt się nie spodziewał, żeby po tem wszystkiem z Austrji uwolnionych w procesie wydalano. Stało się inaczej: dwaj młodzieńcy rodem z pod zaboru rosyjskiego musieli iść na wygnanie w świat szeroki.

„Gospodarz“ kalendarz ludowy na rok 1890. Redaktor i wydawca Jan Biedroń. P. Jan Biedroń, syn włościanina polskiego z Limanowy pod Krakowem, ukończywszy szkołę rolniczą w Dublanach postanowił poświęcić się pracy nad podniesieniem bytu naszego ludu. Pierwszy krok, jaki w tym celu zrobił, wydając powyższy kalendarz, dobrze świadczy i o jego uzdolnieniu i o jego praktycznym umyśle. Wiedząc bowiem, że kalendarz jest niezbędną książką w każdym domu, i że łatwiej go rozpowszechnić, aniżeli wszelką inną książeczkę, obrał sobie tę formę w celu krzewienia pożytecznych dla ludu wiadomości. Noworocznik też jego zupełnie odpowiada swemu zadaniu. Oprócz bowiem zwykłego kalendarjum t. j. spisu dni w roku itd. zawiera „Gospodarz“ kilka bardzo dobrze napisanych, a każdemu rolnikowi pożytecznych rozprawek. Znajdujemy w nim pomiędzy innemi artykuły czysto gospodarskiej treści jak: „Jak gospodarzyłem“, „Spółki solne“, „Czy należy sól dawać bydłu“, „O wadach mleka“, „Kiedy należy przystępywać do żniwa zbóż i do koszenia trawy“, „Sposób zabezpieczenia pszenicy od śnieci“, „O wyborze ziemniaków do sadzenia“, „Ciężarność zwierząt domowych“ itd.

Oprócz tego znajdujemy w kalendarzu tym treściwie napisane żywoty świętych polskich, „Kto był Adam Mickiewicz“, „O Kurpiach“, „Pogląd na powstanie, rozwój i działalność Kółek rolniczych“ „Krakowskie towarzystwo Oświaty ludowej“, Poradnik książkowy o stemplach, pocztach, telegrafach, Spis jarmarków w Galicji, Bukowinie i Szląsku itd. Kilka powiastek i wierszyków uzupełnia ten ze wszech miar pożyteczny kalendarz. Polecamy go też jak najgoręcej.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.** Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego 12.

Nr. 16. We Lwowie, dnia 15. Listopada 1889. **ROK I**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

Młodzież polska o „Przyjacielu Ludu“.

Młode nasze pisemko, bo zaledwie trzeci kwartał wychodzące, doczekało się niemałej pociechy. Oto niedawno w Krakowie w „Czytelni akademickiej“ były wybory do zarządu. Kandydaci na prezesów Towarzystwa młodzieży, wygłaszali mowy, każdy wyrażając w nich swoje poglądy i zasady, tak samo, jak np. kandydaci na posłów. Ze wszystkich kandydatów, najlepiej przypadł do serca akademikom krakowskim p. Franciszek Nowicki, który wypowiedział śmiało i otwarcie, jaką młodzież polska być powinna i jaką drogą postępować, ażeby ojczyźnie naszej było lepiej.

Otóż młodzieniec ten powiedział pomiędzy innemi rzeczami, że programem działalności młodzieży polskiej powinien być program *Przyjaciela Ludu*, który wziął sobie za zadanie nawoływać włościan do brania udziału w życiu obywatelskiem, ażeby włościanie sami z pomiędzy siebie wybierali posłów do Sejmu i do rady państwa i w ten sposób sami swoich własnych bronili i pilnowali interesów, ażeby sami nad dobrem swojem własnem i nad przyszłością ojczyzny radzili.

„Zadaniem mojem będzie — powiedział ten młodzieniec, skupić demokratycznych kolegów Czytelni koło tego programu. A tem śmielej go stawiam, gdyż wiem, że znajdę wśród kolegów wielu, którzy poprą moje w tej mierze usiłowania. Młodzież powinna sformułować odnoszenie się swoje do kwestji ludowej, bo to jest jej obowiązkiem. Na wykształcenie nasze łoży społeczeństwo, a że najliczniejszą częścią tego społeczeństwa są klasy ludowe, lokujące w tych nakładach na nas część krwawego potu i trudu czarnych, spękanych od pracy dłoni — ztąd świętym obowiązkiem naszym: spłacenie długu temu ludowi przez poznanie teraz jego potrzeb, a poparcie ich w przyszłości“.

Czytelnicy nasi przypomną sobie, że w jednym z pierwszych numerów *Przyjaciela Ludu*, musieliśmy publicznie odpowiadać nieprzyjaciołom naszego pisma na zarzuty i napaście, jakiemi nas zasypano za to, żeśmy w ludowem piśmie odważyli się jasno postawić kwestję włościańską i nawoływali lud do pracy samodzielnej, obywatelskiej. Uznanie pracy naszej i oświadczenie się młodzieży polskiej akademickiej, że pójdzie razem z *Przyjacielem Ludu*, że zasady jego będzie rozszerzała i pracowała w duchu naszego pisma dla dobra ludu i ojczyzny, jest najlepszą dla wszystkich nieprzyjaciół ludu odpowiedzią, a dla nas zachętą do wytrwałej pracy na zajętem przez nas stanowisku.

Sprawy sejmowe.

W sejmie naszym w ciągu tych kilkunastu dni załatwiono parę spraw dość ważnych dla kraju. I tak w samym początku listopada uchwalono budżet dla szkół ludowych. W roz-

prawie nad tym budżetem niektórzy posłowie szczególnie Rusini Harasimowicz i Romańczuk, użalali się na to, że ze szkół wiejskich ludność mało ma pożytku, gdyż właśnie najpotrzebniejszych rzeczy w tych szkołach nie uczą, narzekali też na inspektorów szkolnych, którzy samowolnie postępują sobie z nauczycielami. Ze strony rządu odpowiedziano wprawdzie na te zarzuty, że to wszystko nieprawda, ale zarzuty te bardzo często się powtarzają, a posłowie ruscy odpowiedzieli, że nie chcą nazywać osób po imieniu, gdyż celem ich nie jest denuncjowanie pewnych jednostek, ale zwrócenie uwagi rządu na ogólne braki.

Druga, daleko ważniejsza sprawa, którą załatwiono w sejmie, to sprawa pisarzy gminnych. Wiadomo każdemu, jak ważną figurą na wsi jest pisarz gminny, jak dużo dobrego dla gminy może zrobić dobry pisarz. Niestety jednak dotychczas pisarze gminni w ogromnej większości nietylko że nie robili dla gmin nic dobrego, ale przeciwnie, robili bardzo dużo złego, zaniedbywali swe obowiązki, ściągając na gminy kary, tumanili ludzi, okradali kasy gminne, uszczuplali majątek, wyzyskiwali naród przy poborze podatków itp.; a zawsze wychodzili bezkarnie, gdyż za wszystko odpowiadała gmina swą kieszenią. Na domiar złego, pisarze ci byli nieraz zupełnie niezdolni do prowadzenia spraw gminnych i nie umieli podołać tym różnorodnym wymaganiom, jakie im stawiają władze, nie znali się na ustawach i wskutek tego dopuszczali się rozmaitych nadużyć. Otóż już w poprzednim roku sejm celem zaradzenia bodaj po części tej biedzie, uchwalił był ustawę o koniecznem uzdolnieniu pisarzy gminnych, którzy mieli być egzaminowani przez osobne komisje. Ustawa ta jednak nie została przez cesarza potwierdzoną, i dlatego obecnie sejm zajął się nią na nowo. Komisja sejmowa porobiła w ustawie zeszłorocznej dosyć poprawek, ale rzecz główną pozostawiła taką, jaką była. Otóż obecnie wystąpili stronnicy rządu w sejmie przeciw całej ustawie, mówiąc: poco mamy jeszcze raz tę ustawę uchwalać, kiedy cesarz i takiej nie zatwierdzi. Lepiej p r o ś m y rząd w osobnej rezolucyi, niech on sam tę rzecz rozpatrzy i niech wniesie od siebie taką ustawę, jaka jemu się podoba. Przeciw temu wystąpiła gorąco większość posłów, szanujących autonomję krajową, tak Polaków jak i Rusinów. Osobliwie gorąco za nową ustawą przemawiali posłowie: Polanowski, Teliszewski i Romanowicz. Stanęli oni na tem stanowisku, że ponieważ już raz ogólnie uznano, iż stan obecny pisarzy gminnych wymaga koniecznie poprawy, to nie godzi się posłom oglądać się na to, co myśli o tej sprawie rząd. Róbmy tylko to, co nam dyktuje sumienie i potrzeba kraju, a jeżeli rząd odrzuci naszą robotę, to nie na nas ciążyć będzie wina. Głosy te uczciwe odniosły tym razem walne zwycięztwo, gdyż przy głosowaniu tylko 44 posłów oświadczyło się przeciw ustawie, reszta zaś głosowała za nią. Jestto pierwszy w obecnym sejmie i bardzo pocieszający dowód, że myśl słuszna i uczciwa, poparta gorąco i rozumnie przez posłów przejętych jedynie dobrem ludu, może przy głosowaniu odnieść zwycięztwo, może połączyć około siebie ludzi różnych stronnictw i narodowości. Czytelnicy nasi przypomną sobie, że już podczas wyborów przepowiadaliśmy to, zachęcając wyborców, by silnie stali przy swojem, i nie dawali się zniechęcać tem, że posłów ludowych w sejmie będzie mniejszość.

Z innych spraw, załatwionych w sejmie w obecnym półmiesiącu, dwie jeszcze podniesiemy. Oto sędziwy weteran sprawy polskiej, dr. Franciszek Smolka ustąpił ze swej posady członka Wydziału krajowego, a sejm, uznając jego zasługi, uchwalił wypłacać mu do samej śmierci pensję, jaką dotychczas za swą pracę pobierał, tj. po 4.000 złr. rocznie. Nie wątpi-

my o tem, że dr. Smolka położył wielkie zasługi dla kraju i że sejm nasz bardzo dobrze zrobił, uchwalając mu tę dożywotnią pensję. Pewni jesteśmy, że dr. Smolka, jak zapewniali niektórzy posłowie, bez uchwalenia mu tej pensji nie miałby wcale żadnego utrzymania, gdyż sterawszy swój wiek na służbie publicznej, żadnego majątku nie złożył, a co miał, to wydał na rozmaite rzeczy ogólnego pożytku, jak na sypanie kopca pamiątkowego na Wysokim Zamku we Lwowie, na który z własnej kieszeni przeszło 20.000 złr. wyłożył. Słusznie też zrobili niektórzy posłowie, że uchwalając tę pensję dla Smolki, zastrzegli się, że czynią to tylko dla niego jednego i że uchwała ta nie powinna innym członkom Wydziału krajowego, chociażby zasłużonym, dawać prawa domagania się podobnej pensji, gdyż kasa krajowa jest bardzo ubogą, kiedy wsparcia dla pogorzelców całych spalonych wiosek wynoszą zaledwie po 100 lub 150 złr., a oprócz tego jeszcze grozi krajowi powszechny głód.

Wspomnieć wreszcie należy o wniosku dra Madejskiego, podpisanym przez 90 posłów również ze wszystkich stronnictw, a domagającym się poprawy sądownictwa galicyjskiego O tym wniosku i losach jego opowiemy dokładnie w numerze następnym.

Szląsk.

II.

Zaznajomiliśmy szanownych czytelników na wstępie ze Szląskiem—mówiliśmy gdzie leży ta kraina i kto ją zamieszkuje, a wspomniawszy, że odwieczna ta siedziba słowiańska przed stu przeszło laty podzielona została na dwie części, z których jedną zabrały Prusy, a drugą Austrja —opowiedzieliśmy wam nieco o niemieckiej gospodarce na Szląsku austrjackim. Dziś pomówimy o Szląsku pruskim czyli górnym.

W państwie austrjackiem, gdzie się znajduje około 20 miljonów pokrewnych nam Słowian, to jest Polaków, Rusinów, Czechów, Serbów, Chorwatów i Słoweńców, a zaledwie 9 miljonów Niemców rząd musi się liczyć z potrzebami i żądaniami Słowian. Mimo to jak Wam już drodzy bracia wiadomo — ciężko i nieustannie muszą Polacy szląscy walczyć o swe prawa z Niemcami, którzy starają się wszelkiemi sposobami z kościoła, ze szkoły i urzędu żywioł polski wyrugować. Na Szląsku pod zaborem pruskim walka jest o wiele trudniejszą niż na szląsku austrjackim, bo Górno-szlązacy sąsiadują bezpośrednio z Niemcami, których jest 40 miljonów. Tu już rząd pruski całkiem otwarcie tępi polszczyznę; na rozkaz księcia Bismarka sejm pruski wyznaczył sto miljonów marek na wykupno ziemi od Polaków. Uczciwi Niemcy sprzeciwiają się temu pokrzywdzeniu polaków. Duchowieństwo w przeważnej części jest narzędziem germanizacji; biskup wrocławski na 50 kandydatów teologji przyjmuje zaledwie 18 władających językiem polskim; a wiedzieć należy, że ludność polska stanowi więcej niż połowę katolików szląskich. W Poznaniu, tem najstarszem gnieździe Polski, usadowiono arcybiskupa Niemca, Dindera, który jest także narzędziem Prusaków.

Zaprowadzają kazania i nabożeństwa obok polskich niemieckie, mimo że ludność polska wcale ich nie rozumie. Minister oświecenia dąży do tego, aby całą uczącą się młodzież polską przerobić na niemców; wszystkie szkoły zapychają nauczycielami sprowadzanymi z Niemiec. W Opolu wyszła niedawno z druku po niemiecku napisana książeczka, w której nauczyciel przy zakładzie głuchoniemych w Raciborzu radzi uczyć dzieci Polaków na sposób,

jak się uczy głuchoniemych tj. zapytywać je nieustannie, wskazując na przedmioty malowane na tablicach „was ist das?“ (co to jest) i wbijać im bezustannie odpowiedź niemiecką. Wyuczywszy biedną dziatwę jak papugi niemieckich wyrazów, miałby nauczyciel dopiero nauczać czytania i pisania, naturalnie niemieckiego; z polskiej mowy nie miałoby w takim razie nic pozostać — ani śladu. Jak w kościele i szkole tak samo w urzędzie, sądzie, sejmie i radzie państwa. Nietylko nauczyciele niemczą Polaków, czynią to również właściciele fabryk, przy których pracujący robotnicy polacy muszą się kryć ze swoją mową, jeśli nie chcą utracić pracy; niemczą ich dalej właściciele dóbr ziemskich, którzy przy pomocy rządu wykupują ziemię od Polaków i osadzają na niej Niemców. Smutna to rzecz, że panowie nasi, osobliwie w Księstwie poznańskiem pozbywają się lekkomyślnie ziemi rodzinnej; możemy się jednak pocieszyć tem, że lud polski silnie się trzyma ziemi ojczystej. Rzadki to wypadek aby włościanin sprzedał Niemcowi ojcowiznę. Niedawno pisał nam jeden włościanin z Górnego Szląska, że w okolicy Zgorzelic znalazło się dwóch takich, co ziemię Niemcom sprzedali — ale nikt tam z nimi nie żył, to też jeden rozpił się i zmarniał, a drugiego Bóg pokarał, bo nie pożył i 6 tygodni.

Przyjdzie zorzeńka do mojej chaty.

Przyjdzie zorzeńka do mojej chaty,
Znikomy sen odgania:
»Wstań, wstań do kosy! już się wschód
Od łuny, od świtania!« [mieni
Na grzbiet, siermięgo! nie oschłaś z potu
Przez krótką noc czerwcową...
Do ręki koso, ty bojownico,
Na łąkę, za dąbrową!

Przyjdzie południe do mojej chaty,
U twardej siędzie ławy...
I patrzy — jasne — na moją dziatwę,
Bladą od lichej strawy.
I rozłamuje czarny kęs chleba
Drżącemi, ot, rękami...
A co poniesie do ust kruszynę,
To się zaleje zami!

A przyjdzie nocka do mojej chaty,
Podeprze główkę ręką,
I w dumach, dumkach siedząc na progu,
Rozlega się piosenką...
A serce w piersiach ptakiem się zrywa
I drży ta chata licha,
Gdy pieśń tęskliwą o chłopskiej doli
Śpiewa ta nocka cicha!

Marja Konopnicka.

Przyjaciel ludu dziwnego nabożeństwa.

W ostatnim czasie pismo nasze, zyskawszy sobie bardzo zaszczytne uznanie u wielu ludzi prawdziwie miłujących lud, a szczególnie u samych włościan i u młodzieży uczącej się w najwyższych szkołach, a więc zdolnej i dobrze zrozumieć i gorąco odczuć potrzeby i interesy ludu, i doczekawszy się wreszcie chwili, kiedy zamilkły gwałty i rety w łamach »Czasu«, »Przeglądu« i »Gazety Narodowej« (wiedzieliśmy, że chwila taka wkrótce po wyborach nastąpić musi, gdyż panowie ci interesują się ludem i jego sprawami tylko wtenczas, kiedy własna skłania ich do tego potrzeba), zostało natomiast zaatakowane ze strony człowieka, który sam siebie uważa i całemu światu uważać się każe za największego przyjaciela ludu i miłośnika okwiaty ludowej. Mamy tu na myśli ks. Stojałowskiego, wydającego dla ludu

pisemka »Pszczółka illustrowana« i »Wieniec polski«. W numerze 20-stym, ostatniego pisemka, wystąpił przeciwko nam ks. Stojałowski otwarcie, zarzucając nam bałamucenie ludu i nazywając nas »pismem, które mieni się przyjacielem ludu«, a więc nibyto nie jest nim w rzeczywistości. Czy my tylko mienimy się przyjaciółmi ludu, czy też nimi rzeczywiście jesteśmy, o tem rozwodzić się nie będziemy. Każdy, kto przeczyta wszystkie numery naszego pisma, sam sobie o tem wyrobić może pojęcie, a my też niczego nie żądamy, jak tylko jednego: sądźcie nas według czynów naszych, według tego, co piszemy, co radzimy ludowi. Pozwoli też ks. Stojałowski, że tą a nie inną miarą zmierzymy i jego, by się przekonać naocznie, kto z nas dwóch mieni się, a kto nie.

Podczas ostatniej agitacji wyborczej, w maju i czerwcu br. kilkakrotnie z uznaniem podnosiliśmy głos ks. Stojałowskiego, wzywający włościan do samodzielnego i niezawisłego postępywania przy wyborach. Podnosiliśmy ten głos dlatego, że był zgodny z naszemi przekonaniami, nie oglądając się przytem na to, co ks. Stojałowski pisał i radził ludowi przedtem i jakie było jego dawniejsze postępywanie. Dziś jednak, gdy ks. Stojałowski zarzuca nam, że się mienimy przyjaciółmi ludu, a siebie pasuje na męczennika, który za sprawę ludu tylko cierpiał i tylko cudem bożym i siłą swej niewinności został wybawiony z nieszczęścia—oświadczamy, że ks. Stojałowski pomimo wielkich zasług, jakie położył dla sprawy ludowej, nie ma prawa być sędzią kto jest przyjacielem ludu, a kto nie jest, bo sam raz występuje jako przyjaciel, drugi raz jako wróg.

Na teraz to tylko podniesiemy, że ten sam ks. Stojałowski, który podczas wyborów całkiem zgodnie z nami wzywał lud do samodzielności, do wybierania samych swoich i nawet po wyborach, obliczywszy głosy puste przy wyborach, oświadczył, że tylko ci włościanie, którzy głosowali na włościan, postąpili sobie uczciwie, wszyscy inni zaś zdradzili sprawę ludową i zasłużyli na nazwę Judaszów—ten sam ks. Stojałowski, parę tygodni przedtem, pisał w artykule ze swoim podpisem co następuje:

Najpierw złe i niepożyteczne, a nawet bardzo szkodliwe jest wołanie Wasze: »Obierajmy swoich t. j. chłopów! Moi drodzy Bracia, co Wy włościanie zrobicie w sejmie, choćby Was tam było siedmdziesięciu czterech! Zrobilibyście chyba to, że taki sejm z tyloma włościanami nie byłby zdolny do pracy sejmowej — musiałby go Najjaśniejszy Pan chyba rozwiązać t.j. rozpuścić do domu i nakazać nowe wybory. W sejmie, kochani Bracia, nawet 6 klas gimnazyalnych skończyć, to znaczy tyle, co kropla w morzu! Tam trzeba znać i prawo nasze austryackie i prawa całego świata, a przedewszystkiem prawo Boże.

Więc obierać chłopów do sejmu, to rzecz niemądra a nawet szkodliwa. W peryodzie sejmowym, który się skończył ile pamiętam w r. 1877, a więc przez sześć lat tj. przez rok 1870—1878 było chłopów w sejmie kilkunastu — a cóż oni Wam zrobili dobrego? jakie korzystne dla Was włościan prawa zostały w tym czasie uchwalone? Nic — zgoła nic szczególnego i osobliwego! Owszem więcej powiem. Z tymi posłami chłopami w latach 1875 i 1876 często w czasie sejmu rozmawiałem i często ich odwiedzałem, i na własne oczy przekonałem się, że o sprawach, o których w sejme była mowa,

mało co lub nic nie rozumieli, i wcale się nimi nie interesowali; to jedno mi tylko powiedzieć mogli, ile pieniędzy z dyet sejmowych do domu przywieźli i co sobie za to kupili! Zauważyłem przytem. że byli to ludzie dosyć przytem wszystkiem zarozumiali, i rzadko dobrej rady usłuchali, a w sejmie byli także po prostu niczem innem jak baranami, a raczej upartemi kozłami.«

Przytoczyliśmy naumyślnie własne słowa ks. Stojałowskiego, by czytelnicy sami mogli osądzić, kto się mieni, a kto pozostaje jednakowym. Podobnych zmian stanowiska u ks. Stojałowskiego moglibyśmy nazbierać bardzo dużo w rozmaitych sprawach, jeżelibyśmy chcieli sięgnąć nieco dalej w przeszłość, ale na dziś damy temu spokój. Jedną tylko rzecz podnieść musimy. Ks. Stojałowski, choć wielkim mieni się być przyjacielem ludu, bardzo nie lubi, gdy kto prócz niego zajmuje się ludem i pracuje nad jego oświatą. Bardzo to nie dobry znak, bo przecież człowiek, któremu szczerze chodzi o to, by jakaś robota była zrobiona, tylko cieszyć się powinien jeżeli do tej roboty bierze się jak najwięcej robotników. Że zaś ks. Stojałowskiemu jest to nie na rękę, tego dowodzi nietylko jego wystąpienie przeciwko nam, wystąpienie zrozumiałe z powodu odmiennego stanowiska przez nas w sprawie ludu zajętego, ale całkiem bezpodstawne wystąpienie przeciw posłowi ludowemu p. Żardeckiemu. W nrze 20. »Pszczółki ilustrowanej« pisząc o zawiązaniu przez włościan polskich klubu katolicko-ludowego, ks. Stojałowski dodaje: »Przysiadł się do tego klubu, aczkolwiek stanowczo się jeszcze nie przyłączył, p. Żardecki«. Co ma znaczyć takie gadanie, kiedy powszechnie wiadomo, że p. Żardecki od pierwszej chwili stanowczo przystąpił do klubu katolicko-ludowego? Czy ks. Stojałowski chciał wobec włościan podać p. Żardeckiego w podejrzenie, że tenże w każdej chwili może ich porzucić, czy też chciał poddać im myśl, że p. Żardecki jest dla nich obcy i »przysiadł się« do nich w jakichś niedobrych celach? Wszystkiego z takich słów domyślać się można, przedewszystkiem zaś zdaje się z nich wynikać ta jedna pewność, że p. Żardecki jest ks. Stojałowskiemu nie na rękę, i że ks. St. nie rad widzi go w tym klubie, w którym zapewne spodziewał się sam mieć wpływ przeważający. Sądzimy, że się przeliczył, i że nawet gdyby w klubie nie było p. Żardeckiego, sami posłowie włościanie na tyle już są dojrzali i świadomi swych obowiązków, że nie poszliby na ślepo za człowiekiem, u którego ta sama rzecz dziś czarna, a jutro biała i który — nie wątpimy o tem—jutro potrafi nazwać ich samych zdrajcami, niedołęgami i nieużytecznymi, jak wczoraj nazwał dawniejszych posłów włościańskich.

Pierwszy nakład „Przyjaciela Ludu“ skonfiskowany został przez c. k. Prokuratorję za artykuł włościanina pod tytułem „Oświata ludowa“ i korespondencję włościanina z Chrzanowskiego.

Potrzeba nam oświaty.

Czterdzieści lat już ubiegło, jak poczęto pracować około oświaty naszego biednego ludu w Galicji. Dziś oświata postąpiła cokolwiek naprzód, ale jeszcze nie dorównywa innym krajom, a przynajmniej w znajomości dziejów ojczystych, miłości ojczyzny, wzajemnem zaufaniu i łączeniu się węzłem bratnim z wszystkiem co polskie, pozostała daleko w tyle. — I jakżeż może być inaczej, skoro wieśniak nasz czyta wprawdzie, ale pomimo szkolnej nauki, nie wie, nie rozumie, co czyta, umie pisać, ale nie wie co pisać. A dlaczego nie ma zamiłowania, ani dobrych chęci? Winien tu zdaje mi się, przyjęty sposób nauczania, powierzchowny, teoretyczny, nie wchodzący w szczegóły, skąpy w potrzebne objaśnienia.

Dam tylko przykład z moich blizkich znajomych i sąsiadów, z którymi mam częste stosunki, choć nie sądzę, aby ogół ludności był taki. Umieją oni czytać i pisać, zapytajcie ich jednak czem dawniej była Polska, a czem jest teraz, jak była rozległą, jacy byli królowie, jaki był początek i koniec rozbioru ojczyzny, kto się w niej zasłużył, a kto był zdrajcą i t. p., z pewnością nie wiele który z nich na to odpowie, bo nie jest oczytany w historji, a o czasopismach i mowy nie ma. Przyjdź do chaty, a znajdziesz u gospodarza tylko jedną książkę do modlitwy, a jeśli ktoś zrobi uwagę, zapyta o tę lub o ową książkę, odpowie, że nie ma czasu czytać, albo, że mu nic nie przyjdzie z czytania, a czasem nawet wyrazi się: »Moi ojcowie nie czytali a żyli, toć i ja się bez tego obejdę«. I tak długo to będzie, tak długo lud nie nabierze zamiłowania do nauki, jak długo duma stać będzie między nami, bo nie dość dać wieśniakowi książkę i odejść od niego, z nim potrzeba pogadać jak z bratem, objaśnić mu i wytłumaczyć mu, co zawiera ta książka, zachęcić go do jej przeczytania, wzbudzić w nim zaufanie do siebie, nie wstydzić się blizkich z nim stosunków, owszem kochać go i uczyć poznawać, czego nam trzeba, zrozumieć jego skłonności i wyzyskać dobre myśli i serce, a gdy on zaufa i pokocha, gdy miłość bratnia między nami zakwitnie, wówczas i oświata pójdzie szybkim krokiem.

Nam potrzeba wspólnej pracy, dobrych chęci i jednego ducha, bo te stanowią siłę narodu.

Darujcie, żem się zanadto rozgadał, ale wiem, że u was wyrazy moje mile przyjęte zostaną, toż i rad jestem, iż mam się z kim podzielić tem, co na sercu cięży; a jeśli mi odpowiecie, to Wam przyszłą razą więcej napiszę. Zapomniałem tyiko jeszcze nadmienić, że w Maju otwieramy tu czytelnię, przez zimę zaś będziemy czytać to, co jest pod ręką, ludzi zaś dobrej woli upraszamy o nadsyłanie książek i czasopism. Stancję na czytelnię odstąpiłem w moim domu bezpłatnie, jak długo żyć będę, a i światła na tę zimę, jeżeli nikt nam w pomoc nie przyjdzie, będę sam dostarczał. Mała nasza gmina, zaledwie 65 numerów licząca, nie ma w niej ani szkoły, ani plebanji, ani dworu, ale chociaż nas tu tak szczupło i nikt się nami nie zajmuje, nie upadamy na duchu, zaczniemy pukać do serc braci starszych, a może znajdziemy je otwarte i chętne do tak drobnych ofiar.

Maciej Szarek,
włościanin, Brzegi koło Wieliczki.

Nędza u Łemków na Podgórzu.

(Korespondencja).

Wiadomo, iż tego roku nigdzie się nie obrodziło zboże w naszej Galicji, a zboże, które dojrzało, słoty i wylewy zniszczyły zupełnie. U Łemków rok rocznie zboża mało

się rodzi, a tego roku pole orne stało się pustkowiem. Łemkowie żyją tylko z tego, co utargują na bydle i owcach.

Tego roku Łemki na wiosnę nakupili dużo owiec na wypadek, jak to praktykują od dawnych czasów i płacili za jedną owcę z jagnięciem 6 zł. 50 ct. W lecie nagle pojawiła się zaraza na owce, bydło i świnie w dwóch lub trzech wioskach, wskutek czego starostwa dały srogi nakaz, ażeby prawie w całej Galicji nie jarmarkować, nic nie sprzedawać z zwierząt, prócz koni.

Ukradkiem kupują teraz tutejsi żydzi u Łemków duże owce za 5 złr., za wypaszoną jałówkę płacą najwięcej 6 złr., za krowę młodą 15 złr., a za woły wartości 200 złr., płacą nie więcej nad 90 — 100 złr.

Na razie nie ma innej rady dla Łemków prócz tej, ażeby tylko kto z duchowieństwa, a może kto z inteligencji miejscowej zajął się szczerze losem tego poczciwego ludu.

Listy do „Przyjaciela Ludu".

Nader dziwnem zdarzeniem dostały się dwa numera pisemka pod tytułem »Przyjaciel ludu« do moich rąk, przed paru tygodniami. Przeczytałem tytuł tego pisemka, nie wierząc swoim oczom, czytam powtórnie i widzę to samo, że to »Przyjaciel ludu«! Serce we mnie zatętniało tak silnie, jak bije w kościele a osobliwie na Boże Narodzenie i Wielkanoc, gdy ksiądz przy ołtarzu uroczystym głosem zaśpiewa »Gloria«. Przyszło mi zaraz na myśl to przysłowie: »Gość w dom, Bóg w dom«. Jak gościa, jak przyjaciela przyjmujemy, tak i ja radośnie przyjął i przeczytał to pisemko, bo jakże go serdecznie nie przyjąć, kiedy się naszym, naszego włościańskiego ludu Przyjacielem oświadcza i jest nim rzeczywiście, jak tego dowodzi każdym wierszem, każdem słowem. Z radością nieograniczoną, udałem się do moich współbraci, znalazłem chętnych, którzy to moje zdanie podzielali, i na kwartalną prenumeratę 50 ct. złożyli a w lot otrzymałem tego nader oczekiwanego gościa »Przyjaciela Ludu« Nr. 14.

Szanowna wybrana starszyzno gminy, szanowni ojcowie, kochana młodzieży! Ocknijmy się ze snu twardego, bo nędza za naszym progiem. Świętą prawdę wypowiedział nasz teraźniejszy wielebny ksiądz proboszcz w rozmowie ze starszą bracią kościelną: żyzne grunta macie, pracujecie! ale cóż z tego? Brak błogosławieństwa Boskiego. Ja zaś mówię: a skąd ono się wemie? Tam, gdzie brak oświaty, brak Przyjaciela, tam brak miłości bliźniego, każdy myśli o sobie tylko, a wspólnie nikt, dlatego brak tam zamożności i dobrobytu. Od szanownej starszyzny gminnej dużo zależy, bo zależy oświata i dobrobyt gminy. W naszej gminie istnieje szkoła ludowa przeszło 30 lat, a czyli gmina poszczycić się może, że szkoła wyuczyła kogo, choćby na pisarza gminnego? A przecież jest w gminie kilku dosyć zamożnych gospodarzy, którzyby swoich synów z łatwością do odległego o $1^1/_4$ mili miasteczka powiatowego na naukę posłać mogli, a później i do Lwowa. Nauczyło się bardzo wielu czytać, ale cóż mają z tego? nie ma w gminie takiego, któryby, gdy przyjdzie pozew ze sądu do jego ojca, po kilkuletniem uczęszczaniu na naukę szkolną, mógł ten pozew przeczytać. Każdy z was bracia wieśniacy, przyzna, że gdy zasiewa rolę, to i zbiera i użytkuje, a jakiż użytek macie po kilkuletniem uczęszczaniu do miejscowej szkoły? Oto żadnego, bo wszystko wnet zapominacie, jeżeli po wyjściu ze szkoły nie czytacie dobrych książek, nie prenumerujecie gazetek, nie zapisujecie się do kółek rolniczych.

Bracia wieśniacy, a osobliwie mego wieku, nie gniewajcie się za to, co wam powiem, ujmijcie sobie od ust tygodniowo, choć po dwa papierosy jednocentowe, a zaprenumerujcie razem, w 10. »Przyjaciela ludu«, jak wam tego szczerze życzę, bo wówczas zrozumiecie, jak trzeba pracować i co trzeba robić, żeby nam było lepiej. W krajach, gdzie oświata, tam fabryki, tam zarobek, rolnictwo i dobrobyt kwitną, a u nas w każdej chacie, w każdej wiosce ciemnota i nędza, a z niemi razem grzech i nieszczęście panują. Może się niejeden pomiędzy moją kochaną współbracią odezwie do mnie: czy to prawda, Antoni, żeby za oświatą szło i dobro i bogactwo i szczęście? Popatrz że się na siebie: byłeś najprzód w szkołach w Przemyślanach, następnie kończyłeś w roku 1881 szkołę pospolitą IV. we Lwowie, masz zatem najwyższą oświatę w całej wsi, a cóż lepszego od nas posiadasz? tak samo jak my, kładziesz się na ławie przy piecu po kartoflach i kapuście spać, i tak samo wstajesz rano do kapusty i kartofli. Prawda, że nędzne życie wraz z wami prowadzę i o $^3/_4$ mile drogi wraz z wami na zarobek chodzę, ale niestety nie dziwujcie się, bo ja złożyłem fundament, a budynku w górę poprowadzić nie mogłem, Nie trzeba kończyć na szkole. Szkoła, bracia. dla umysłu, to jak gimnastyka dla ciała: rozwija ona umysł i czyni go zdolnym, do tego, żeby rozumieć takie rzeczy, których w szkole nie uczą, a które potrzebne są włościanom, żeby potrafili sobie radzić w życiu i nie dali się krzywdzić tym, co mają naukę, ale nie mają uczciwości.

Otóż zdaje mi się, szanowni czytelnicy, że ta kochana gazetka, o której wam mówiłem na początku tego listu, ten szczery przyjaciel naszego wiejskiego ludu, jest dla tego miłym gościem w domu, że nauczy nas wielu dobrych rzeczy, o których dotąd nikt nam nie mówił, że wskaże nam, co mamy robić, żeby nam lepiej było żyć na świecie. Nie opuszczajmy go więc, czytajmy go, miejmy jego nauki w głowie i w sercu naszem, a wtedy przekonamy się, że prawdziwe jest nasze wiejskie przysłowie, jak to po jarmarkach słyszeć się daje: »pierwszego kupca nie opuszczaj«.

Ile to lat, ile to dzienników czyli gazet wychodzi w naszym kraju pod rozmaitemi tytułami, a jeszcze nie było „Przyjaciela ludu“. Przyjmij go więc w chatach naszych, jako pierwszego gościa, bo jeszcze raz powtarzam — »gość w dom, Bóg w dom«. Ja wiem dobrze, bo sam się przekonałem, jakie to szczęście spotkać prawdziwych przyjaciół, co dopomagają nam, wieśniakom, a za moich wielmożnych Dobrodziejі w Przemyślanach i wielebnego księdza Gwoździowskiego, którzy dopomogli mi uczyć się w szkołach, modlę się głosem rzewnym, ile razy idę do Krościenka na zarobek: Boże utrzymuj, Boże wspieraj, szczerych Przyjaciół, co pragną naszego dobra, bo i na roli można z oświatą i pracą szczęśliwe życie prowadzić.

Hanaczów, 3. listopada 1889.

Antoni Urban.

Z nad Wisły. Nadwiślańskie gminy Jankowice, Rozkochów, Źródła i Okleśna położone w powiecie Chrzanowskim co roku podają prośby i supliki, do Rady powiatowej, do Wydziału krajowego, do namiestnictwa, a nareszcie podawaliśmy prośby do Najjaśniejszego Pana. Lecz w tym względzie nic a nic nie wskóraliśmy.

Gminy nasze: Jankowice, Rozkochów, Źródła i Okleśna położone są nad Wisłą, która płynie krętem korytem i przez to znaczną część naszych gruntów przez swoje kręte łożysko zrywa, i na drugą stronę rzeki przenosi; zrywa grunta najlepsze, które były prawie wszystkie do 1 i 2 klasy zaszacowane,

a na drugiej stronie rzeki tylko piasek zostawia. I leży ten piasek jak jaka puszcza bez korzyści i bez podatku; ani właściciel z tej puszczy, ani kraj ani rząd żadnego użytku mieć nie może. Dalej włościanie tamtejszych gmin, położonych na lewym brzegu Wisły tracą grunta drogocenne nazawsze. Gminy te są bardzo nieszczęśliwe, jak n. p. Jankowice, z których przed 15 laty musiała się cała wieś wynosić ze swojemi chałupami, stajniami i stodołami, bo Wisła chciała ich zabrać. Z przeciwnej strony, gminy położone na prawym brzegu Wisły są: Podolcze, Smolice, Lipowa i Spytkowice, są to przeważnie grunta, należące do hrabiów Potockich, które gdy Wisła cokolwiek im gruntów zarwała, szczęśliwem zrządzeniem losu zostały opaskami zaopatrzone. Wybrali nasi włościanie posłem Artura hr. Potockiego w nadziei, że będzie popierał nas swoimi wpływami i bronił naszych interesów, lecz ten chory, nie może się za nas wstawiać w sejmie krajowym, i tak nasze zamiary na niczem spełzły.

Wypadałoby udać się do posłów sąsiednich powiatów, jak: do posła W. Antoniego hr. Wodzickiego, z krakowskiego powiatu, lub do posła W. Franciszka Kramarczyka z Bialskiego powiatu, lecz ci nie są obeznani z naszymi stosunkami miejscowymi, przeto niema innej rady jak tylko, aby te gminy wysłały deputację na swój koszt do Lwowa i tam jeszcze prosiły o przyśpieszenie robót nadwiślańskich. *Wincenty Noworyta.*

(Sesja sejmowa ma się skończyć już około 23 bieżącego mies. Należałoby natychmiast wysłać petycję na ręce Sz. posła Franciszka Kramarczyka, który duszą i ciałem oddany jest interesom włościańskim i z pewnością gorliwie sprawą waszą się zajmie Red.).

Fałszywe guldeny. **Od pewnego czasu pojawiają się pod Wiedniem falsyfikaty świeżo wydanych not jednoreńskowych. Są one dość niezgrabnie naśladowane, w rysunku ich przeważa kolor niebieski, a tekst środkowy jest zalany i nieczytelny. Falsyfikaty te poznać łatwo, powiodło się jednak większą ich ilość puścić w obieg. Policja zajmuje się poszukiwaniem w tej sprawie i sądzi, że ma do czynienia z bandą fałszerzy.**

Ze wszystkich stron kraju donoszą do *Przyjaciela Ludu* to o tem, to owem, a z powiatu Liskiego nikt jeszcze ani słówkiem nie wspomniał o jego doli lub niedoli, więc i my chcąc korzystać z przychylności p. Redaktora dla nas włościan, prosimy, aby naszych kilka słów w swojem piśmie umieścił.

W numerze 5. *Przyjaciela Ludu* wyczytaliśmy, że p. Żurowski Teofil z Myczkowiec były poseł na Sejm krajowy należał do tych posłów z mniejszej posiadłości, którzy głosowali za wprowadzeniem chłosty sług. Kto go zna i jego brutalne obchodzenie się z swemi sługami i dziennemi zarobnikami, ten się nie zdziwi, że on publicznie, jako poseł głosował za taką niegodną ustawą.

P. Teofil Żurowski były poseł na Sejm krajowy, marszałek powiatu tutejszego, właściciel dóbr w Myczkowcach, Berezce, Zwierzyniu i w Bereźnicy rozmaitemi sposobami daje się nam dotkliwie we znaki.

Włościanie tych wiosek mają między lasami swe pola, do których droga prowadzi pomiędzy pańskie grunta i lasy; co robi nasz pan? Oto zamyka przed kilku laty te drogi, by chłopek do swego pola przystępu nie miał i dopiero na wielkie prośby lub za odrobek dostaje się na swoje pole, sieje i zbiera — ale pod żadnym warunkiem nie wolno mu drogą zamkniętą swego bydła do swego pola przypędzać i na niem paść. Jednak i p. Żurowski nie mały ma kłopot, który chce naciskiem usunąć: sprzedał on lasu 100 morgów, kupiec musi drzewo wywozić z lasu do Sanu na flisy, bo tędy dla obu stron najkorzystniej, lecz las i brzegi Sanu są otoczone gruntami i pastwiskami gminnemi, a że gmina Zwierzyń cierpi tyle krzywd od swego dziedzica i nie chce pozwolić za żadne pienią-

dze placu gminnego na skład drzewa do wiązania tratew, p. Żurowski dał się już słyszeć, że gmina do ustąpienia pastwiska gminnego za wynagrodzeniem będzie w drodze prawnej zmuszoną. Zapytujemy teraz Szan. Redakcję *Przyjaciela Ludu*, czy może kto nas zmusić do tego, byśmy swoją własnośc gminną na której nasze bydło i trzodę chlewną pasiemy pod drzewo ustąpić musieli? O ile nam się zdaje, że gdyby zmuszano p. Żurowskiego do ustąpienia jakiego placu jego własność stanowiącą, choćby za największem wynagrodzeniem i chwilowo, dotychczasowe prawa nie zmusiłyby go do tego? (Nie. Przymusowe wywłaszczanie praktykuje się jedynie, gdy to potrzebne jest do celu publicznego, nigdy zaś wówczas gdy stosunek jest prywatnej natury. Red.)

Wedle nowej ustawy drogowej, każdy posiadający dom w gminie jest jak wiadomo obowiązany odrobić pieszo 4 dni pre tacji lub zapłacić za takowe, i w tym celu założono rejestra, spisy, kwitarjusze itp. księgi, a że obszar dworski stanowi również zarząd drogowy i ze względu,że nie ma w gminach pisarzy do prowadzenia tych rejestrów, najczęściej udaje się wójtz prośbą do dworu, do swego pana, bydla obopólnego dobra prowadził rejestra i odrobione szarwarki. Pan tej wioski przystaje, a wójt kontent, że dwór manipulację przyjął na siebie i z całą ufnością powierzył los gminy co do szarwarków w ręce pana. Od czasu do czasu wójt podaje odrobione prestacje do zapisania i prosi o kwity — lecz pan dobrodusznie mówi, że dziś nie ma czasu, że da jutro — jutro pojechał — pojutrze także nie ma czasu, lub gdzie pojechał i tak z dnia na dzień. Nadeszły żniwa, wójt i pan i cała gmina nie ma czasu o kwitach myśleć, bo trzeba chleb zbierać, jedyny dochód całoroczny, nareszcie kartka się zgubiła — wójt zapomniał kto odrabiał, pan jak na to umiera, (jakto miało miejsce w Uhercach), a w spisie żaden szarwark nie zapisany. — Odbierają spisy nie wykontowane, no i znów tak zostało. Tymczasem w jesieni drogi się popsuły — odrobiono resztę szarwarku i spokój na pozór, jednak po śmierci delegata drogowego w Uhercach został drugi z Orelca; zachciało się temu panu dobrej drogi szutrowanej aż do gościńca, donosi do Wydziału pow., że droga z Uherec do Orelca jest w bardzo złym stanie. Wydział pow. odnosi się do starostwa, szlą egzekwenta i każą drogę szutrować. Gmina Uherce i Orelec poprawiają drogi i odrabiają szarwark już nie 4 dni, ale 8—9 dni, już dalej robić nie chcą, bo swoje z procentem odrobili; idzie wójt do marszałka, przedstawia i prosi, by odwołać egzekwenta, bo sił roboczych na ten rok już nie ma, ale p. marszałek ofukuje wójta i woła drogi szutrować; idzie do starosty i prosi i przedstawia, że to październik, woda zimna, kamieni nie dostanie, bo ludzie do niej dostać się nie mogą, a innego kamienia nie ma, dostaje w odpowiedź: „drogi szutrować, egzekwenta nie odwołuję“! I cóż się dzieje? Egzekwent stoi na egzekucji, ha, niech siedzi i do dnia sądnego — gdy mówi do marszałka dajcie pieniędzy na roboty, bo swoje odrobili, brzmi odpowiedź: »Z Bogiem, nie mam czasu z tobą mówić: szutruj“! Ot i taka nasza dola w powiecie liskim.

Gminy mają się, jakto mówią, nie „spyszna» od p. marszałka, ale i to przejdzie i pan marszałek stanie się kiedyś byłym marszałkiem. — Wszystko przecierpimy.

Nędza u nas straszna, paszy i chleba brak, jarmarki pozamykane i nie sposób tego, co jest z bydła, przed zginięciem z głodu sprzedać; naród sam emigruje to do Węgier, to do Ameryki, nawet nie pytają o paszporta, których starostwo wydawać nie chce, puszczają się na los szczęścia, jak na rzekę nie umiejący pływać.

Na teraz dosyć, później więcej napiszemy.

W końcu upraszamy bardzo redakcję o umieszczenie tych naszych kilku słów, a Bóg stokrotnie wynagrodzi.

KLEMENS BORUTA

przez

W. Okońskiego.

(Ciąg dalszy).

Już gęsty mrok zapadał, gdy na progu izby stanął jakiś wysoki, nieco zgarbiony, chudy mężczyzna.

— Wy stryju? spytał Klemens.

— A no ja. Cóż to, już śpisz, spracowałeś się w kozie?

— Niech ją! Nie ma tam przy szosie roboty?

— Ba! przyszedłem właśnie ci powiedzieć, że jest.

— Co dają?

Dotąd półtory marki *), a od jutra jedną bo powiadają, że ludzi mają dosyć.

— Ha, będzie przynajmniej na podpłomyk z kwasem.

Nazajutrz stryj z bratankiem wyruszyli do roboty. Przy szosie już znajdował się dozorca Kugelhut.

— A kogo to Jan prowadzi?

— Pan mówił, żeby do szabru...

— Ja nie pytam do czego, tylko kogo.

— Boruta, mój bratanek.

— Wasz bratanek, ten co pana Klein w brzuch tryknął... nie... nie... takiego zucha nie chcę.

Boruta spojrzał na dozorcę wzgardliwie, ale stłumił gniew i odszedł.

Gdzie się podział, znowu nikt powiedzieć nie umiał. Znikł ze wsi bez śladu. Brzost dowiedziawszy się o tem, mruknął zmartwiony:

— A właśnie barana dorżnąłem.

I Kasia żal za krewniakiem poczuła.

— A tak częstował — mówiła do ojca — jak gdyby sto lat miał tu zostać.

— Te! poszedł pewnie gdzie lepiej — odrzekł Jan — nie ma czego żałować.

Boruta tego wszystkiego nie słyszał, bo był daleko od rodzinnej zagrody, daleko...

Podczas jego nieobecności wiele rzeczy zmieniło się w Nędzy. Rodzice Kasi pomarli, ona zaś, poślubiwszy wędrownego rymarza, osiadła z nim w połowie ojcowskiej chaty, a w drugiej części domu trzymała prosięta; Klein przeniósł się do innego majątku, a jego miejsce zajął niejaki v. Dornfisch. Nowy rządca natychmiast po przyjeździe wypędził Brzosta za niedołęstwo. Biedny owczarz wziął bat, Burka, pęk korzeni do koszyków, stare cholewy i butelkę, na czapkę nałożył stary pilśniowy kapelusz, a na ramiona zarzucił kapotę zimową — i wyszedł. Drobny deszczyk wiosenny padał z zachmurzonego nieba i roztapiał czarną ziemię w grzęskie błoto. Brzost, zbliżywszy się do chałupy Borutów stanął, pomyślał chwilę, wreszcie wszedł. Było to w półtora roku po zniknięciu Klemensa, a w kilka miesięcy po śmierci jego stryjenki. Jan nie wypędził owczarza.

— To i zostańcie — rzekł — będzie nam w zimie cieplej, a w lecie i na górce prześpicie.

Brzost został, żeby jednak nie ciężyć zbytecznie gospodarzowi, całe dnie przesiadywał i plótł koszyki na drugiej stronie z posagowemi prosiętami Kasi i dopiero wieczorem kładł się na strychu. Skromne rzemiosło dawało drobny zarobek, dwór wszakże nieco mu do życia pomagał. W dworskiej kuchni bowiem była stara pomywaczka, która pamiętała o owczarzu i zawsze z obiadu pozostawiała albo garnuszek krupniku, albo kilka

---

*) Marka, pieniądz pruski, warta tyle co 52 centy.

kartofli, albo wreszcie kawałek mięsa, które on dostawszy kryjomo przez okno, krył w cholewę i uciekał do domu.

Wszystko w życiu prześladowało Brzosta, tylko śmierć go unikała. Czy był jej za to wdzięcznym?

Z biegiem lat wszakże zaczął tracić wzrok i nieraz musiał wołać najstarszego syna Kasi, ażeby mu korzonek w plecionce przeciągnął. Nareszcie dostał zapalenia oczu i zaniewidział. Rozpłakał się stary serdecznie.

— Teraz, jeśli nie przyjmą do szpitala, połóż się pod płotem i zdechnij jak Burek.

Nie przestawał jednak pleść koszyków, a ślepota nie zmniejszyła mu środków do życia. Bo i za koszyki czasem grosz kapnął, i pomywaczka ze dworu o starym nie zapomniała, i rymarz do miski zaprosił. Więc ciągnął Brzost nędzne życie i nie umierał, chociaż doliczył się lat 80 z okładem.

A gdzież w ciągu tego długiego czasu był i co robił Boruta?

Nadszedł rok 1879. W lipcu obiegła po tarnowickiej kopalni ołowiu smutna wieść, że liczba robotników zostanie zmniejszoną Jakoż pewnego dnia zarząd górniczy ogłosił im ten smutny wyrok. Przeszło 150 wynędzniałych, zasmolonych mężczyzn, kobiet i dzieci otoczyło wejście do szybów, wiodąc leniwą, ciągle przerywaną rozmowę.

Na uboczu nieco stał czterdziestoletni górnik, trzymając za rękę małą, obdartą dziewczynkę. Twarz jego chuda, pokryta fałdami, w których rysowały się ciemne smugi ołowianej sadzy, wyrażała poważny smutek. Do rozmowy się nie mięszał. Dość było spojrzeć na jego bose nogi, połatane spodnie, wytarty kaftan, ażeby odgadnąć, po co tu przyszedł. Do izby sama robota nie przyjdzie, więc, jak inni, wyszedł z domu, tą samą drogą, którą przez dwadzieścia kilka lat codzień do pracy uczęszczał, wziął z sobą dziecko, i słuchał w gromadzie, czy tam gdzie jego grubych rąk nie potrzebują.

Stał tak długo milczący, czekając nadaremnie wreszcie pochwycił rozpaczliwie dziewczynkę na ręce i pobiegł do domu. Niedługo ukazał się z nią i z małym pakunkiem na plecach, powiedział słów parę przed progiem do starej kobiety i puścił się drogą, która wiodła do różnych wsi, ale także i do Nędzy. Spotkawszy go w tej podróży, po przełamanym chyba nosie czytelnik poznałby w nim Klemensa Borutę.

Przez ćwierć wieku uderzał oskardem w tarnowickiej kopalni ołowiu — oto jego historja. Dodać do niej wypada zaledwie to, że się ożenił i stracił w lat kilka matkę dziewczynki, którą teraz do Nędzy dźwigał.

Ponieważ prosięta, korzystając z pogodnego dnia, wybiegły na podwórze, Brzost więc swobodnie mógł zajmować się pracą w przeznaczonej dla nich izbie. Siedział on pod ścianą, otoczony pękami korzeni i prętów, z których powoli, nieśmiało, plótł mały koszyk. Obok dziesięcioletni Wicek, syn Katarzyny, wpatrywał się w robotę owczarza i zastępując mu brak oczu, ostrzegał go co chwila.

— Nie tu, dziadku, nie tu.

Brzost zwykle ustawał, bądał ręką plecionkę i mówił:

— Co ty mnie będziesz uczył! Przeplotłem ten patyk, teraz ten.

— Ale ominęliście jeden.

— Utrzyj sobie nos, głupi, który ominąłem?

— No, ten.

Owczarz zaczynał macać palcami i choć przekonał się o słuszności uwagi chłopca, gderał dalej.

Podczas gdy Brzost tak się z małym kramarzył, na progu stanął człowiek z dziewczynką, któregośmy widzieli przy tarnowickiej kopalni. Rozejrzał on się po izbie i zatrzymał wzrok na starcu.

— Dziadku — rzekł Wicek — czegoś chcą.

— Kto?

— Nie wiem.

— Co gadasz, ciemięgo?

— Przyszli.

— Kto tam? — zapytał owczarz.

— Klemens Boruta — odpowiedział przybyły.

— Klemens... Boruta — powtórzył Brzost, opuszczając plecionkę koszyka — Klemens, biedny mój chłopaku, żyjesz? Gdzie jesteś, nie widzę cię, nie zobaczę, oślepłem, pójdźże, daj rękę Brzostowi...

— To wy, Brzoście? — rzekł Klemens zdziwiony.

— Nie poznałeś mnie, zgrzybiałem — co? Popruchniały już drzewa. które ze mną wyrosły, ani jednego głosu znajomego nie słyszę. I twój się zmienił, ile lat masz?

— Czterdzieści z górą.

— Czterdzieści, Jezu! Gdzież jesteś, jakże ci się wiedzie?

— Źle, dziadku, źle, dwadzieścia lat w kopalni kułem, teraz roboty nie mam.

— O, biedny, daj mi rękę, siądź tu. Wypędzili cię znowu, pobiłeś kogo?

— Rozpuścili nas w Tarnowicach, wziąłem dziewczynę i przywlokłem się tu.

— To i córkę masz, gdzie, chodź tu, no dobrze, a gdzież żona?

— Umarła.

— Biedny robaku. I mnie wygnali, plotę koszyki z Wickiem. To syn Kasi. U nich także bieda. Rymarz lata po wsiach z wywieszonym językiem i zarobić nie może. Zostaniesz tu?

— Muszę, póki coś się nie trafi.

— O mój drogi, co za czasy! Zboże podobno przepadło, kartofle gniją, kto nie zdąży umrzeć przed zimą, strasznie żyć będzie.

— Albo to od dziś? i moja nieboszczka nie byłaby zmarła, gdybym miał jej dać co jeść. Cherlała, cherlała, w domu zimno w garnku pusto, ledwie dziecko było czem uciszyć. A tu nic, czasem tylko powietrza chłapniesz i na tem przestać musisz.

— Wicek — rzekł Brzost — pobiegnij na górę i przynieś garnuszek, co tam stoi przy posłaniu liściami nakryty. Zjedźcie kaszy trochę — dodał po odejściu chłopca — dziewczyna pewnie głodna. (C. d. n.).

Co słychać w świecie.

Zjazdy cesarzów nie ustają. Niedawno pisaliśmy, jakto w Berlinie oczekiwano przyjazdu cesarza rosyjskiego i jak go się nareszcie doczekano. Z wizyty tej cara u cesarza niemieckiego wykombinowano sobie, że spokój w Europie już jest pewny i że wojny nie będzie. Może to i prawda, ale człowiekowi o zwykłym rozsądku nie może się to jakoś pomieścić w głowie, żeby dwaj panujący przed całym światem całowali się z sobą i ściskali, pili do siebie i przysięgali na przyjaźń, a za plecami się na gwałt uzbrajali. Z Rosji nachodzą codziennie wiadomości, że wojska zbierają się na granicy, a w parlamencie niemieckim znowu naradzano się nad tem, jakieby znowu wymyśleć podatki na ludność, żeby nastarczyć na potrzeby wojska. Z tego powodu posłowie uczciwi wystąpili ostro przeciwko rządowi za to ciągłe powiększania wojsk i uzbrojeń. Pomiędzy innymi posłami mówił także poseł Rychter, który oburzał się na to, jak państwo może za pieniądze ściągane z biednej ludności, robić takie zbytki, jak budować paradne okręty i robić niepotrzebne a kosztowne wyprawy do Afryki, niby to celem oświecania dzikich narodów, a właściwie, aby ich kraje zagarnąć pod siebie. Dosyć powiedzieć, jeżeli jeden okręt dla cesarza ma kosztować 4 miljony marek! Mowcy potępiali mocno tę politykę rządu, która kraj niszczy i ludność całą uboży. Mimoto rząd niemiecki obstaje przy swojem i żąda coraz więcej pieniędzy na wojsko. I wierz tu w spokój!

Cesarz niemiecki puścił się w podróże po całej Europie. Był we Włoszech, Anglia Rosji, teraz zaś był z wizytą aż u sułtani. tureckiego w Stambule, zkąd powracając przez Włochy zjechał się wczoraj, 14 b. m. w Insbruku z cesarzem austrjackim.

Sejm czeski obradował przez długi czas nad tem czy wysłać do cesarza adres z żądaniem, aby się koronował osobno jako króczeski, czy nie wysłać. Po ostrych starciach młodoczechów (postępowców, którzy żądali wydania adresu) z staroczechami (konserwatywnymi), projekt wysłania adresu upadł!

Do Bułgarji powrócił ks. Ferdynand koburgski, obecnie tam panujący, po dłuższej nieobecności. Ks. Ferdynand wyjeżdżał za granicę celem zaciągnięcie pożyczki dla Bułgarów i dostał ją podobno nareszcie. Obecnie obraduje w Sofii, stolicy Bułgarji, Sobranie. Jest nadzieja, że państwa europejskie uznają niezawisłość tego dzielnego księstwa słowiańskiego.

Do Serbji wrócił eks-król Milan, który naraził kraj ten na wielkie niebezpieczeństwa. Jak wiadomo, Milan zrzekł się tronu na rzecz swojego małoletniego syna Aleksandra, w którego imieniu rządzą tymczasem tak zwani rejenci. Wskutek swarów małżeńskich, żona Milana, królowa Natalja, musiała przez kilka miesięcy tułać się po szerokim świecie i niedawno dopiero do Serbji powróciła. Teraz kiedy przyjechał znowu Milan, żona jego powtórnie wyjechała, ażeby nie wywoływać niesnasek i nieporozumień, za które kraj musiałby odpowiadać. W Serbji zebrał się teraz sejm który wystosował do tronu adres, w którym „naród“ z wielką wdzięcznością mówi o łaskach cara rosyjskiego. Wogóle wpływ Rosji w tym kraju jest coraz większy, a czy dobrze na tej przyjaźni rosyjskiej wyjdzie Serbja, to się jeszcze pokaże!

Wystawa paryska została zamknięta zeszłego tygodnia. Rezultat wystawy jest znakomity. Zwiedziło ją kilka miljonów ludzi z całego świata, zostawiwszy w Paryżu mnóstwo pieniędzy, przez co nietylko miasto same, ale i kraj cały się wzbogacił. Większą korzyść jednak odniosła Francja przez to w ten sposób, iż udowodniła światu, że pod względem przemysłu, handlu, rolnictwa, nauk i dobrobytu ludu, stoi najwyżej ze wszystkich europejskich narodów.

W Rzymie stanęła ugoda pomiędzy papieżem a rządem rosyjskim, mocą której papież zamianuje dla królestwa polskiego, pięciu nowych biskupów, Polaków. Cóż potem wszystkiem, kiedy nacisk religji katolickiej pod Moskalem trwa ciągle i lud zmuszają do przyjmowania wiary prawosławnej.

KRONIKA.

Proces „Przyjaciela Ludu“. Za artykuł o procesie ks. Stojałowskiego został w czerwcu br. skonfiskowany *Przyjaciel Ludu*. Opuściwszy ze skonfiskowanego artykułu ustępy drażliwe, zawierające krytykę procesu, a przeto stanowiące powód konfiskaty, przedrukowaliśmy w drugim nakładzie zabranego numeru tylko sprawozdawczą część artykułu. Prokuratorja państwa, upatrując w przedruku tym występek z §. 24 ust. pras. zarządziła konfiskatę drugiego nakładu, a nadto oskarżyła odpowiedzialnego redaktora p. Jana Mittiga, o powyższy występek, żądając ukarania go grzywną od 50 do 500 złr. W sprawie tej odbyła się 2 listopada w lwowskim sądzie krajowym rozprawa, po której trybunał uwolnił oskarżonego od oskarżenia dla braku istoty czynu zarzuconego mu występku.

W Wadowicach rozpoczął się wczoraj, 14 bm., wielki proces przeciwko ajentom, którzy ułatwiali biednym włościanom naszym emigrację do Ameryki, obdzierając ich przy tej sposobności ze skóry. O procesie tym napiszemy w przyszłym numerze obszernie. Proces ten potrwa ze dwa miesiące, występuje w nim bowiem 66 oskarżonych.

Ks. Stojałowski, proboszcz Kulikowski, znany wydawca pisemek ludowych *Wieniec* i *Pszczółka*, został przez karny sąd Lwowski zasądzony w lecie tego roku na cztery tygodnie aresztu. Od tego wyroku wniósł ks. Stojałowski zażalenie do najwyższego trybunału we Wiedniu, a prokuratorja sądowa również wniosła odwołanie, podług jej zdania bowiem, ks. Stojałowski otrzymał karę za małą. Z tego powodu odbyła się przed trybunałem najwyższym we Wiedniu rozprawa, na której stawał sam ks. Stojałowski i bronił swojej sprawy, przedstawiając, że cały swój majątek, jakoteż wielkie dochody z probostwa obracał na wydawanie pożytecznych pisemek, długi zatem, jakie posiada, na cel dobry zaciągnął. Najwyższy trybunał po wysłuchaniu tak ks. Stoj., jego obrońcy, jakoteż zastępcy lwowskiej prokuratoryi państwa, zniósł wyrok sądu lwowskiego i polecił rozpisać w tej sprawie nową rozprawę. Tak więc sprawa ks. Stojałowskiogo raz jeszcze będzie sądzona we Lwowie.

Kółka rolnicze. Zarząd główny Kółek rolniczych oznajmia co następuje: „W myśl statutu Towarzystwa Kółek rolniczych odniósł się Zarząd główny do Najprzewielebniejszych Konsystorzów biskupich i arcybiskupich trzech obrządków w kraju istniejących, do Wysokiego Wydziału krajowego i Instytucyi krajowych statutem objętych, o zamianowanie swych Delegatów do Zarządu głównego na nowy trzyletni okres czasu.

W odpowiedzi na tę odezwę został zarząd główny zawiadomiony o zamianowanych następujących delegatach: Konsystorz Metrop. obrz. gr. k., Ks. Infułata Leona Hoterowskiego; Kons. Książęco-biskup. w Krakowie Ks. Walentego Pawlikowskiego, proboszcza w Jaworzniu; Kons. bisk. w Stanisławowie

Ks. Kan. Leona Turkiewicza; Kons. bisk. w Tarnowie, Ks. Wincentego Wąsikiewicza, Proboszcza w Starym Wiśniczu; Kons. bisk. obrz. łać. w Przemyślu, Ks. Kan. Michała Kamińskiego, Proboszcza w Rudkach; Dyrekcja Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń w Krakowie, p. p. Dra. Piotra Grossa i Władysława Bielańskiego; c. h. Towarzystwo galic. gosp., Księcia Władysława Sapiehę z Oleszyc i Dra. Tadeusza Skałkowskiego, adw. kraj. i Posła na Sejm kraj. — Od Konsystorza bisk. gr. k. w Przemyślu, Kons. Metrop. obrz. łać. w Lwowie, c. k. Towarzystwa rolniczego w Krakowie i od Wys. Wydziału krajowego, dotychczas Zarząd główny nie otrzymał uwiadomienia, po otrzymaniu którego, zwoła w myśl statutu wybranych członków i Delegatów na posiedzenie, celem ukonstytuowania się nowego Zarządu głównego.

Nowa klęska. Z Jazłowca piszą: Okolica nasza nawiedzoną została nowem nieszczęściem. Przeszłego roku ponieśli rolnicy tutejsi ogromne szkody od myszy, obecnie zaś niszczą zasiewy „bruźniaki“ (gąsienice chrabąszcza), które wskutek ciepłej i wilgotnej jesieni szczególniej po nizinach pojawiły sią w nieprzeliczonych masach. Gąsienice te podgryzają korzonki ozimin, czyniąc tym sposobem na niwach ogromne spustoszenia, większe nawet, niż w przeszłym roku myszy. Rolnicy są zmuszeni zasiewać te „łysiny“ kupowanem nasieniem, gdyż wskutek ogólnego nieurodzaju własnych zasobów całkiem już nie posiadają. Za broną wywłóczy się tych białawych szkodników takie mnóstwo, że całe pole wygląda jak gdyby było zasiane kukurudzą. Włościanie są w rozpaczy i z niecierpliwością oczekują mrozów, które byłyby prawdziwem zbawieniem od tej klęski.

Deputacja chłopska. W sprawie nadużyć jakich miały się dopuścić organa powiatu zaleszczyckiego podczas ostatnich wyborów do sejmu celem przeforsowania wyboru p. Antoniego Chamca, była d. 22. zm. deputacja wyborców tego powiatu na audjencyi u p. namiestnika. Deputacja, złożona z samych włościan, wyłuszczyła p. namieetnikowi obszernie cały stan rzeczy i wręczyła mu memorjał, który tenże przyrzekł zbadać. Jadąc do Lwowa deputacja wstępowała w Stanisławowie do biskupa Pełesza, by mu również wręczyć memorjał z tego powodu, *że pewnemu księdzu z pow. Zaleszczyckiego nakazano odwołać zażalenie wniesione do sądu na starostę p. Kachowskiego* o obrazę czci, popełnioną w sali wyborczej. Biskup Pełesz mimo usilnych prośb deputacji, *nie przyjął* od niej memorjału.

Od Redakcji.

Do Szanownego gospoparza Ant. Urb. w Hanaczowie. List wasz przeczytaliśmy z wielką radością. Cieszymy się, że wśród naszego ludu są ludzie, którzy tak kochają oświatę i rozumieją jej potrzebę. Za wasze dobre serce i życzliwość dla “Przyjaciela Ludu„ dziękujemy Wam stokrotnie i na pamiątkę posyłamy Wam wszystkie numera tej gazetki, jakie dotąd wyszły i piękne książeczki pod tytułem „Ucieszne przygody dziada Florka i chłopca Beldonka w drodze do Częstochowy“ i „Ojcowiznę czyli jak sobie jeden chłop z Niemcami poradził“. Życzymy Wam zdrowia i pomyślności w tym ciężkim roku.

Do Szanownego gospodarza Macieja Szarka w Brzegach. Ucieszyliśmy się bardzo wiadomością, że zakładacie u siebie Czytelnię ludową i chcąc ze swej strony przyjść z pomocą zacnym zamiarom posyłamy Wam na początek następujące książeczki: „Stara Baśń“ napisał Kraszewski; »Poczciwy Marcin i Felek niecnota“ napisała Antoszka; „Jak i dla czego po wsiach się żenią“ napisała Antoszka; „Pogadanka o chowie bydła“; Hodowla królików; „Józef Puławski, twórca konfederacji barskiej“. — Szczęść Boże uczciwej pracy!

Najlepszy kalendarz ludowy!

Już wyszedł

„GOSPODARZ“

kalendarz ludowy na rok 1890.

pod Redakcją Jana Biedronia.

Kalendarz ten na zyski nie obliczony polecamy gorąco czytelnikom. Zawiera bardzo wiele rad gospodarskich, historję rozwoju Towarzystwa Kółek rolniczych i poradnik książkowy, w którym wymieniono dobre książki ludowe, jakie wyszły w kilkunastu latach. — Obejmuje 11 ark. druku. **Cena 30 ct. za egzemplarz** franco. Sprzedającym 25% rabatu. — Zamówienia adresować: **Jan Biedroń** w Biurze Towarzystwa Kółek rolniczych we Lwowie ul. Ossolińskich.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.** Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 17. We Lwowie, dnia 1. Grudnia 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

Czas odnowić przedpłatę.

Kto zjedna przynajmniej dwóch nowych prenumeratorów na „Przyjaciela ludu“, temu przyślemy nasze pismo za rok teraźniejszy ze spisem rzeczy oprawione w jedną dużą księgę.

Prenumeratorom, którym brak jakichkolwiek numerów „Przyjaciela ludu“, chętnie takowe wyszlemy, dopóki zapasu starczy. *Reklamacje wolne są od opłaty pocztowej*

Wyzyskiwanie ludu.

Donieśliśmy już w ostatnim numerze *Przyjaciela*, że w Wadowicach, mieście powiatowem w zachodniej Galicji, rozpoczął się 14. zm. wielki proces przeciwko ajentom emigracyjnym, którzy namawiali biedny lud galicyjski i słowacki z północnych Węgier do opuszczania zagród rodzinnych i wyjazdu hen za morze, do Ameryki, gdzie to niby kraj miodem i mlekiem płynie.

Czytelnicy nasi, włościanie, zwłaszcza z zachodnich stron Galicji, wiedzą bardzo dobrze, co to znaczy wyraz „emigrować“, gdyż ze wsi ich niejeden gospodarz razem z rodziną już ze wsi rodzinnej wywędrował i poszedł szukać szczęścia za morzami i górami w Ameryce. Za niektórymi z nich już i słych zaginął, z nędzy i głodu bowiem poginęli na obcej ziemi, od niektórych przedarły się do wsi rodzinnych wieści, że dobrze im się powodzi, że duży mają kawał ziemi, lub że pracują w fabrykach dużych, których tam moc wielka, niejedni, którym się dobrze szczęśliwym trafem powiodło, dorobili się jakiego takiego grosza i pisali do swoich, aby do nich także przyjeżdżali. Takie wiadomości przychodzą z Nowego Świata, jak nazywają Amerykę, codziennie. Jedne złe, drugie dobre, ale częściej złe.

Gdybyżto ludzie rzucając w kraju zagrodę wiedzieli przynajmniej że nie zginą w drodze marnie i że znajdą w Nowym Świecie pracę.

Ale w tem właśnie sęk.

Jakichś sprawiedliwych komitetów amerykańskich dla emigracji ludu polskiego nie ma, są za to inne, obliczone na cygaństwo, na wydarcie chłopu ostatniego grosza z za koszuli, aby siebie tylko wzbogacić. Co się stanie z chłopem później, mniejsza z tem. Czy dojedzie do Ameryki, czy nie, czy dostanie tam kawał chleba, czy z głodu zginie, co to kogo obchodzi, byle

ajencja dobrze szła i ajenci dobrze nabili kabzy.

Przeciwko takim to ajentom nieuczciwym wytoczyła prokuratorja państwa proces i oskarżyła 65 ludzi, po największej części żydów, że biednych ludzi do wyjeżdżania do Ameryki namawiali, obiecując im złote góry, że im pokazywali listy zmyślone od chłopów, którzy już dawniej do Nowego Świata wyemigrowali, że im się tam wiedzie, jak u Pana Boga za piecem, że w Oświęcimiu, gdzie założyli kancelerję, wpychali im karty na okręty za drogie pieniądze i oszukiwali ich w nieludzki sposób, robiąc na tem grube pieniądze.

Całe to niesłychane oszustwo nie wyszłoby może jeszcze i teraz nawet na wierzch, gdyby nie to, że oszuści pomiędzy sobą pogodzić się nie mogli. W Oświęcimie bowiem, mieście leżącem na samej granicy Galicji i Prus, założyli żydzi dwie ajencje, Hamburską, tj. taką, która sprzedawała wychodźcom bilety na okręty z Hamburga jadące i Bremeńską, tj. na okręty z drugiego portowego miasta, z Bremy. Każda ajencja chciała mieć jak największe zyski, wskutek czego wydzierały sobie poprostu biednych emigrantów.

Głównymi oskarżonymi z ajencji hamburskiej są bogaci żydzi: Jakób Klausner, Szymon Herc, Juljusz Löwenberg, Artur Landau, Abraham Landerer, Jakób Neumann, oprócz tych, zaś chrześcijanie: Józef Iwanicki, naczelnik c. k. urzędu cłowego i dyrektor policji w Oświęcimiu, Srokowski i Kostecki, także urzędnicy cłowi, tudzież Zopoth, kasjer kolei rządowej w Oświęcimiu. Urzędnicy ci byli w służbie u żydów i podejmowali się nieuczciwego rzemiosła za judaszowe srebrniki.

Na czele drugiej ajencji bremskiej stał niejaki Wincenty Zwiling, właściciel dóbr. Oprócz tych wymienionych jest jeszcze cały szereg innych biednych po największej części ludzi, konduktorów kolejowych, portjerów i innych, którzy za swoje usługi brali od ajencji rozmaite wynagrodzenia. Były starosta w Białej, Födrich, który na oszustwa popełnione nie zwracał uwagi, pobierał, jak mówią, stałą płacę od żydów coś 1000 złr. rocznie.

Do rozprawy tej, która już trwa dni czternaście, powołano blisko 400 świadków, a liczba ta pewnie jeszcze mocno się powiększy.

Obie ajencje operowały w ten sposób, że starały się wszystkich emigrujących do Ameryki ściągnąć do Oświęcimia, gdzie zmuszano ich do kupowania kart okrętowych, co stanowiło właśnie największy zysk ajencyj. Włościanie z głębi Galicji np. z Jasielskiego, Krościeńskiego, Samborskiego, jakoteż z północnych Węgier, mogli bardzo dobrze jechać sobie na Tarnów i na Kraków zagranicę. Otóż ajencjom w Oświęcimie chodziło właśnie o to, aby cały ruch wychodźców skierować na Oświęcim, gdzie dopiero rozpoczynało się na dobre obdzieranie chłopów jak się dało. W tym celu ajencje obie miały swoich ludzi, stale albo „od sztuki“ płatnych, na wszystkich prawie stacjach kolejowych, którzy włościan jadących na Tarnów i Kraków z drogi zwracali i na Oświęcim jechać im kazali. Portjerzy na stacjach i konduktorzy ujrzawszy, iż ktoś ma bilet na Tarnów, darli go zaraz i kazali kupować nowy na Oświęcim, a jeżeli nie to, to przynajmniej namawiali wychodźców do jazdy na Oświęcim. Tak samo działo się w północnych Węgrzech, mianowicie w miasteczku Żylin, gdzie sam żupan i żandarmi pomagali żydom oświęcimskim i zawracali ludzi z drogi na Bogumin (Oderberg) do Oświęcimia. Takich płatnych pomocników

mieli żydzi jeszcze w Żywcu, Suchej i innych miastach prowincjonalnych. Skoro wychodźcy przybyli do Oświęcimia, brał ich w swoją opiekę naczelnik policji miejscowej i urzędu cłowego w jednej osobie, Iwanicki, który zaraz na dworcu odbierał wychodźcom papiery i kazał następnie im iść do ajentury hamburskiej po zakupno biletów.

W ajenturze odbywała się główna komedja. Kancelarja była ozdobiona orłem cesarskim, tak, jakby w starostwie, albo na poczcie. Główny kierownik ajentury Landerer, przebierał się w mundur starosty i wydawał rozkazy, inny żydek nakręcał wciąż zegar stojący, który terkotał, jak opętany i udawał, że na zegarku tym telegrafuje do cesarza amerykańskiego, czy wychodźców przyjmie i czy dużo ziemi im ofiaruje. Od powiedź brzmiała oczywiście zawsze pomyślnie, bo to co oszust chciał, to nierozumiejącym się na tem chłopom gadał. Oprócz tego inny znowu udawał doktora i asenterował wychodźców, czy niby do podróży jest zdatny, czy nie. Kto nie był zdatny, niby też to, musiał wcisnąć panu doktorowi w łapę parę papierków i zaraz był już zdatnym. Po tych wszystkich komedjach, przy których wciąż sobie biednym ludziskom kazano płacić, wydawano wychodźcom dopiero karty na okręt, każąc sobie płacić drożej, aniżeli kosztowały. Ponieważ cena kart okrętowych była wyrażona w markach pruskich, więc zamieniając marki na guldeny austrjackie, znowu uszukiwano wychodźców, o tyle, ile się udało, jednych mniej, drugich więcej.

Jeżeli chłop był mądry i nie dał się wziąść na bas, miano i na to sposób. Takiego, Iwanicki, który pobierał od ajencji kilka tysięcy złotych rocznie, kazał zaraz aresztować i przez żandarmów odsyłał szupasem do domu. Ażeby przekonać wychodźców, że bez ajencji w Oświęcimie, nie mogą się dostać do Hamburga lub Bremy na okręt, puszczano nieraz umyślnie wychodźców bez biletów okrętowych przez granicę. Takich zaraz policja pruska w Mysłowicach, także przez ajencję przekupiona, łapała i napowrót przez granicę odsyłała. Jeżeli ktoś nie chciał się dać obedrzeć i poznał się na oszustwach, takiego pakowano zaraz do aresztu i trzymano tak długo, póki nie zgodził się na wszystko i nie zapłacił wiele chciano. Mając za sobą takich pomocników jak Iwanicki, niektórych żandarmów austrjackich i pruskich, konduktorów i urzędników kolejowych, wreszcie samego starostę, mogli sobie ajenci na niegodziwości pozwalać, wiedząc, że im to ujdzie płazem.

W ten sposób w przeciągu kilku lat ostatnich, wyprawiła ajencja hamburska i bremeńska do Ameryki, kilkanaście tysięcy ludności roboczej z Galicji i północnych Węgier, między tymi, co najmniej dwa tysiące obowiązanych do służby wojskowej. Wiele zaś majątków zagarnęły ajencje, tego nikt nie dojdzie, można mieć jednak o zyskach ajencji tych wyobrażenie z tego, co płaciły one swoim spólnikom. Jeżeli taki Iwanicki brał około 8000 złr. stałej rocznej pensji, restaurator w Suchej 1000 złr., starosta w Białej 1000 złr,, ajent w Żylinie na Węgrzech po 4 złr. od głowy, inni zaś mniejsi pomocnicy po kilkadziesiąt centów od każdego wychodźcy, z tego można wnioskować, ile to tysięcy zarabiał taki Landerer, Herz, Landau, Zwilling, Neumann i inni główni kierownicy ajencji.

Rozprawa odbywa się w Wadowicach w osobnym budynku na ten cel umyślnie wynajętym, w sali gimnastycznej. Przewodniczy w niej radca Lipka, sądzić zaś będą przysięgli, przeważnie ludzie biedni z okolicy. Urząd sędziów przysięgłych jest ho-

norowy, tj. taki, za który się nic nie płaci. Wobec tego jednak, że rozprawa ma potrwać trzy miesiące i że sędziowie są ludźmi z pracy rąk utrzymującymi swoje rodziny, rząd przyznał sędziom przysięgłym wyjątkowo po 3 złr. dyjet na dzień. Tak samo wyznaczono i biednym konduktorom i służbie kolejowej, którzy są oskarżeni, a nie siedzą w więzieniu po 40 ct. dla każdego dziennie, na wyżywienie się na czas rozprawy.

Dotychczas przesłuchano już wszystkich głównych oskarżonych, którzy zaprzeczają, jakoby prawdą było, że dopuszczali się na wychodźcach gwałtów i nadużyć. Przewodniczący sądu wciąż im wykazuje kłamstwa i pokazuje listy, gdzie czarno na białem jest napisane, że oszukiwali, gdzie się dało.

Najważniejszymi będą zeznania świadków, o czem doniesiemy Wam w przyszłym numerze.

Dzień 29. listopada.

Pięćdziesiąt dziewięć lat upłynęło d. 29 listopada od chwili, kiedy w Warszawie kilku mężnych młodzieńców, z Wysockim i poetą Sewerynem Goszczyńskim na czele podniosło głośny okrzyk, nawołujący naród polski do pochwycenia broni przeciwko nieprzyjaciołom moskiewskim. Były to czasy niespokojne: społeczeństwa europejskie, jęczące pod jarzmem niewoli, pragnęły swobody i zaczęły w tym celu powstawać na rozmaitych punktach Europy przeciwko gniotącym ich władcom. I tak w lipcu 1830 wybuchnęła we Francji rewolucja, lipcową zwana, która strąciła z tronu nędznego tyrana Karola i ogłosiła we Francji rzeczpospolitę; powstała i Belgja, która pragnęła oderwać się od Hollandji. Chodziła pogłoska, że osławiony despota, to jest ciemięzca, car moskiewski Mikołaj, zamierzał udać się z armją swoją do Francji i ukarać ten sympatyczny naród za to, że mu się zachciało wolności. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że rzeczpospolita, to jest taka forma rządu, gdzie włada cały naród przez swoich reprezentantów, nie mogła się podobać rządom monarchicznym; obawiały się one, że za przykładem Francuzów mogły i inne narody podnieść się i stąd owa chęć Mikołaja zwrócenia się przeciwko rewolucyjnym paryżanom. Z Mikołajem miały naturalnie pójść i wojska polskie; do tego jednak polacy nie byli zdolni: boć wszakże niedawno jeszcze, za Napoleona, przelewali oni swą krew za Francję. Były więc wskutek tego umysły nietylko w Warszawie ale i w całym kraju bardzo wzburzone. Do niezadowolenia przyczyniały się również i gwałty, jakich się moskale dopuszczali na Polakach, mianowicie zaś dzięki rządom księcia Konstantego, który był namiestnikiem Królestwa polskiego. Powstanie miało wybuchnąć jeszcze rok przedtem w czasie koronacji Mikołaja na króla polskiego. Za poradą starszych osób dano temu jednak pokój. Dopiero więc 29. listopada r. 1830 dano zapaleniem browaru na jednem z przedmieść warszawskich, na Solcu, hasło do rzucenia się na moskali.

Położenie młodych bohaterów polskich było z początku bardzo trudne; było ich zaledwie kilkudziesięciu, wojska zaś polskie, które miały im przyjść w pomoc, nie przyszły z powodu zdrady niektórych wielkich panów zaprzedanych Rosji, jak: Stanisława Potockiego, Kornatowskiego, Meciszewskiego, Blumera, Siemiatowskiego, Gaukiego, Trębickiego i innych. Wszyscy ci zbrodniarze jednak przepłacili swą zdradę śmiercią, zadaną im przez powstańców. Wkrótce zaczęły się organizować w całym kraju pułki powstańcze: ogłoszono głównym naczelnikiem czyli dyktatorem jenerała

Chłopickiego. Chłopicki był dzielnym żołnierzem, mało miał jednak serca dla Polski, a jeszcze mniej wierzył w możność uzyskania wolności na drodze zbrojnego powstania. Tej samej myśli był także i Adam Czartoryski, człowiek, który w Polsce wielkie posiadał znaczenie, który jednak wprost oziębiał, ale nie podsycał zapał narodu. Wolał się on raczej wstawiać do rządów, ażeby te wyjednały na moskalach pewne ulgi dla Polaków. Jenerał Chłopicki pomimo braku wiary w sprawę, bił się jednak jak lew i niejednokrotnie okrył się sławą wojenną. Stoczyli Polacy w tem powstaniu wiele słynnych bitew z moskalami, których naczelnym wodzem był jenerał Dybicz; najsławniejszemi były bitwy pod Stoczkiem, gdzie dzielny jenerał Dwernicki pobił na głowę nieprzyjaciół, zabrawszy im kilka armat i wozów amunicyjnych, pod Dobrem gdzie wawrzynami okrył się niemniej dzielny jenerał Skrzynecki. Atoli najświetniejszym momentem w powstaniu tem była bitwa pod Grochowem, gdzie dowodził Chłopicki. Walka była zaciętą, wojska rosyjskie pod naczelnym dowództwem samego Dybicza przewyższały znacznie siły polskie pomimo to polacy z początku byli zwycięzcami. Dzięki jednak nieudolności a nawet zdradzie jenerałów Łubieńskiego i Krukowieckiego, którzy zazdroszcząc sławy Chłopickiemu, nie chcieli go słuchać, przechyliło się zwycięztwo na stronę moskali. W bitwie tej Chłopicki został ciężko ranny. Dalsze bitwy były pod Wawrem, Wielkim Dębem, Iganiami, Nową wsią, Korowem, Markuszewem, gdzie Polacy z Dwernickiem i Skrzyneckim na czele, pobili na głowę moskali, zabierając im po kilka tysięcy jeńców.

Jakkolwiek powstanie to upadło, pozostanie ono jednak najświetniejszą chwilę w naszych dziejach porozbiorowych. Okryło ono imię Polski chwałą nieśmiertelną i udowodniło, że Polacy godni są wolności, której tak umieli bronić. Pamiątkę tego powstania obchodzą corocznie w całej Polsce, gdzie tylko choć cień jest swobody, a w uroczystościach tych bierze n. p. w Poznańskiem czynny udział lud wiejski, jako jedyna rękojmia lepszej przyszłości. Lud wiejski w Galicji powinien iść za ich przykładem i obchodzić także tę wielką uroczystość.

SPRAWY SEJMOWE.

Pierwsza sesja nowego sejmu zakończona. O pracach jej trudno się wyrazić z wielką pochwałą. Prócz ustawy o pisarzach gminnych, która zresztą już w przeszłej kadencyi była raz uchwaloną, sejm obecny nic tak dalece ważnego nie zrobił i zrobić nie mógł. A dla czego nie mógł? Oto raz dlatego, że większość posłów zazwyczaj jest nieprzychylną wszelkim ważnym zmianom w dotyczczasowych porządkach, a po drugie (co jest jeszcze ważniejszą rzeczą), że sejm nasz ma we wszystkich ważniejszych sprawach zagrodzoną drogę przez samą ustawę. Ani regulacji rzek, ani zmiany cen soli, ani zmiany mnóstwa innych, równie ważnych spraw sejm nasz sam na własną rękę zrobić nie może, bo wszystko to musi rozstrzygać Rada państwa. Sejm może się tylko domagać od rządu poruszenia tych spraw. Znajduje się więc nasz sejm w takiem położeniu: na miejscu stać i milczeć nie może, bo go bieda krajowa pcha i trąca ciągle naprzód, a naprzód w sprawach najważniejszych iść mu trudno.

Chociaż więc, jak powiedzieliśmy, żadnej ważniejszej roboty sejm nasz przez tych ośm tygodni nie zrobił, to przecież widać od pierwszego razu, że wieje w nim duch

trochę inny, świeższy, niż dawniej. Burza wyborcza z przeszłego lata oczyściła trochę powietrze. Nawet posłowie najbardziej nieczuli poznali, że trzeba coś zrobić i dla ludu, a jeżeli nie zrobić, to bodaj od czasu do czasu powiedzieć coś w jego obronie. Potrzebę taką poczuli nasi panowie tem silniej, że tuż obok nich zasiedli w sejmie posłowie włościanie, którzy pilnie uważają, jak kto w sejmie dotrzymuje słowa, danego wyborcom podczas wyborów.

Jeden z takich panów, wielki adwokat, a teraz profesor w najwyższej szkole krakowskiej, dr. Madejski, odczuł to, widać, bardziej żywo, niż inni, i wystąpił z wnioskiem, ażeby sejm domagał się od rządu, by zrobił co dla naprawy naszego sądownictwa, dla zabezpieczenia czci i wolności obywateli państwa, którzy nieraz na lada doniesienie od jakiego wroga doznają ogromnych przykrości od żandarmów, starostów i sądów. Dr. Madejski w bardzo świetnej przemowie wykazał, jak to dużo ludzi zostaje u nas lekkomyślnie i bezpodstawnie aresztowanych, po to jedynie, by odpokutowawszy niewinnie parę tygodni albo parę miesięcy w więzieniu, być znowu na wolność wypuszczonymi. Gorącemi słowy skreślił dr. Madejski cierpienia tych niewinnych ludzi, wepchniętych między złodzieji i zwykłych przestępców, nieraz wywlekanych przez żandarmów z pościeli, kutych i prowadzonych publicznie do więzienia. Co może potem wynagrodzić tym ludziom przebyte cierpienia? Żąda więc dr. Madejski, by wydane były takie poprawki w ustawach, iżby prokuratorom i żandarmom nie można było tak za byle jakie podejrzenie aresztować ludzi i ażeby następnie do prowadzenia śledztwa wybierano najzdolniejszych sędziów. Sejm uchwalił te wnioski i choćby rząd nie zwrócił na nie uwagi, to przecież zawsze mowa dra Madejskiego w sejmie o tej sprawie będzie ważnym i pięknym czynem obywatelskim. Dodać musimy, że jednym z powodów do wystąpienia dra Madejskiego były głośne procesy, wytaczane przeciw redaktorom i współpracownikom »Przyjaciela ludu«, przeciw młodzieży szkoły rolniczej w Dublanach i kilku przyjezdnym Rusinom w roku obecnym. Procesy te, którym towarzyszyło kilkadziesiąt rewizyj domowych w różnych stronach kraju i które wielu ludziom i rodzinom tak polskim jak ruskim ogromnego narobiły kłopotu, skończyły się na niczem, nie wykazawszy u obwinionych ani najmniejszej winy, ale natomniast zaniepokoiły cały kraj, bo każdy widząc, jak bezpodstawnie spadła bieda na tych ludzi, mógł się i dla siebie podobnej biedy obawiać. Dla tego prawie wszyscy posłowie podpisali wniosek dra Madejskiego, a następnie podali za nim swe głosy. Takie jednomyślne wystąpienie naszego sejmu w tej tak ważnej sprawie jest rzeczą bardzo ważną.

Nie mniej ważną rzeczą była też interpelacja posłów ruskich, to jest zapytanie do komisarza rządowego, co się to znaczy, że władze rządowe występują nieraz wrogo przeciw Rusinom, nie szanują świąt ruskich, robią bezpodstawne rewizje w czytelniach ludowych, aresztują ludzi zasłużonych i spokojnych, by potem głosić światu, że Rusini są buntownikami? Komisarz odpowiedział na to pytanie, że Rusini podlegają takim samym ustawom, jak i wszyscy inni obywatele, ale w zapytaniu ruskiem podano takie mnóstwo faktów, że komisarz musiał oświadczyć, iż co do tych wszystkich faktów trzeba naprzód

przeprowadzić dokładne śledztwo, a jeżeli się to pokaże prawdą, to Rusini mogą być pewni, że winni zostaną ukarani.

Ostatnie posiedzenia sesji zajęte były uchwalaniem budżetu krajowego na r. 1890. Komisja budżetowa ułożyła budżet tak, że dodatku do podatku nie potrzeba będzie podwyższać, ale też o zniżeniu go niema mowy, chociaż bieda w kraju ogromna. Z posłów włościańkich kilkakrotnie przemawiał bardzo rozumnie p. Kramarczyk.

ROCZNICA ŚMIERCI ADAMA MICKIEWICZA.

Daleko od ukochanej ojczyzny, bo aż het nad Czarnem morzem, w Konstantynopolu, stolicy tureckiego państwa, umarł 26. listopada 1855 roku największy poeta polski, Adam Mickiewicz. A choć od śmierci jego upłynęło już 34 lat, dotąd jeszcze wszędzie, gdzie są Polacy, dzień ten bywa obchodzony bardzo uroczyście, bo Mickiewicz był nietylko wielkim poetą i wsławił imię polskie w całym świecie, ale i był bardzo szlachetnym i dobrym człowiekiem, a kochał ojczyznę tak gorąco, że miał zupełne prawo powiedzieć o sobie: »nazywam się miljon, bo za miljony kocham i cierpię katusze.«

I wy, bracia włościanie, powinniście głęboko zachować w sercu pamięć o tym człowieku, bo kochał on bardzo lud wiejski i kiedy książki przez niego napisane czytali wszyscy panowie i zachwycali się niemi, on mówił, że wtedy dopiero będzie naprawdę dumny i szczęśliwy, kiedy te same książki trafią pod słomiane strzechy chłopskie do zgrubiałych od pługa rąk gospodarzy ziemi polskiej. A na wiele jeszcze lat przed zniesieniem pańszczyzny, bo w 1832 roku, napisał w najpiękniejszem swojem dziele, w »Panu Tadeuszu«, pamiętne owe słowa: »uczyńmy włościan wolnymi, oddajmy im w dziedzictwo posiadanie ziemi, na której się zrodzili, którą krwawą pracą zdobyli, z której wszystkich żywią i bogacą.«

Nieprawdaż, mili czytelnicy, że Mickiewicz zasłużył sobie na waszą pamięć, zasłużył na to, abyście go bliżej poznali? Chcąc dopomódz Wam do tego poznania, opowiemy Wam tu w krótkości o głównych wypadkach jego życia.

Adam Mickiewicz urodził się na Litwie, w skromnym dworku o dwóch kominach, nie wiele większym od Waszej chaty. Dworek ten nazywał się Zaosie. Gdy Adam liczył już kilka lat, rodzice jego zamieszkali w powiatowem mieście, zwanem Nowogródek i posyłali syna do powiatowej szkoły, utrzymywanej przez ojców Dominikanów. Po ukończeniu szkół nowogródzkich, Mickiewicz pojechał uczyć się dalej na uniwersytet do Wilna, dawnej stolicy Litwy, pięknego miasta, zbudowanego nad brzegiem śliczn j rzeki Wilji.

W uniwersytecie wileńskim Mickiewicz zabrał się gorliwie do pracy; uczył się pilnie, czytał mądre i dobre książki i sam już próbował pisać wiersze, a później przystąpił do towarzystwa młodzieży uniwersyteckiej. Towarzystwo to miało grecką nazwę Filaretów, co po polsku znaczy: miłośnicy, czyli przyjaciele cnoty. Każdy więc z członków tego towarzystwa musiał przykładnie uczyć się i pracować, aby zdobyć sobie wiele rozumu, ale przedewszystkiem kochać cnotę, to jest wszelkie dobro, i żyć tak, jak ta cnota nakazuje. Nie wydawali więc nigdy pieniędzy na żadne zbytki, nie pili ani wódki, ani wina,

ani nawet piwa, nie palili tytoniu i naturalnie nigdy nie brali kart do rąk. Gdy studenci, należący do tego towarzystwa Filaretów, zbierali się razem, wówczas rozmawiali o rozumnych i zacnych rzeczach, pomagając jeden drugiemu w nabywaniu nauki, która koniecznie jest potrzebna do dobrego życia. A kłamstwa się wystrzegali jak ognia i nigdy nie zrobili nikomu najmniejszej krzywdy. Będąc członkiem towarzystwa Filaretów, napisał Mickiewicz pierwszy swój najładniejszy wiersz pod tytułem: »Oda do młodości.« »Oda« znaczy tyle co wiersz pochwalny, chwalący. Otóż chwali on w tym wierszu młodość za to, że umie silnie kochać cały świat, że nie jest podobna do samolubów, którzy nic nikomu nie dają i podobni są do obrzydliwych, zimnych ślimaków w skorupie. A dalej zachęca młodych przyjaciół żeby pracowali w zgodzie dla szczęścia wszystkich ludzi, a siłę zwalczali siłą, aż póki nie znikną wszystkie przesądy i kłamstwa, aż póki nie zajaśnieje jutrzenka swobody i słońce zbawienia. A młodzież może to uczynić, byle tylko pracowała razem i zgodnie, bo myśl jej umie podnosić się tak wysoko w górę, jak orły górskie na swych skrzydłach, a ramię uderza tak silnie, jak piorun!

Przykładne życie, miłość dla nauki i cnoty młodzieży wileńskiej, nie podobały się bardzo carowi moskiewskiemu. Car sobie myślał: »jak wszyscy Polacy zaczną tak postępować, jak Filareci, jak wszyscy staną się rozumnymi, cnotliwymi, żyć będą w zgodzie, a pracować będą nad oświatą ludu wiejskiego, to wkrótce uratują ojczyznę swoją z niewoli i skończy się nad nią moje panowanie.« Kazał więc najlepszych i najrozumialszych młodzieńców, a razem z nimi i Mickiewicza wtrącić do więzienia, morzyć ich tam głodem, dręczyć i krzywdzić, a później zesłał ich w głąb Rosji, żeby nie mogli na własnej swojej ziemi żyć i dla braci swoich, Polaków, pracować.

Mickiewicz został zesłany do miasta rosyjskiego Odesy, położonego nad brzegiem Czarnego morza, a później car pozwolił mu zamieszkać w Moskwie, a w końcu w stolicy Rosji, w Petersburgu. Pięć lat spędził Mickiewicz z Moskalami i przez ten czas zaprzyjaźnił się ze sławniejszymi pisarzami i poetami, którzy choć Moskale, mieli rozum i uczciwość, a cara swego bardzo nie lubili za jego okrucieństwa i złość. Gdy Mickiewicz wyjeżdżał już z Moskwy, pisarze ci i poeci wyprawili mu wspaniałą ucztę i ofiarowali piękny puhar srebrny.

Car moskiewski pozwolił Mickiewiczowi wyjechać z Rosji, ale nie pozwolił mu wrócić do Polski. Pojechał więc nasz poeta w świat szeroki, a wszędzie o ojczyźnie tylko myślał, ją kochał, za nią tęsknił i smucił się, że zobaczyć jej nie może. W podróży tej swojej objechał Mickiewicz kawał świata nie mały. Był najprzód w Niemczech, gdzie się zapoznał z najsławniejszym poetą niemieckim, Getem, (Goethem), który darował mu w dowód przyjaźni i uznania dla jego talentu pióro.

Z Niemiec udał się Mickiewicz do Szwajcarji, gdzie podziwiał wspaniałe góry Alpy, śliczne doliny, cudne jeziora i wodospady; następnie pojechał do Włoch, a w końcu zamieszkał w Paryżu, stolicy Francji. Wszędzie witano go uprzejmie, jako sławnego poetę, wszędzie rzucano mu kwiaty i wieńce pod nogi, najsławniejsi poeci, rzeźbiarze i malarze przyjaźnili się z nim, hrabiowie i książęta przyjmowali go w złocistych salonach, a jemu serce

płakało za rodzinnym krajem, gdzie wtedy straszne rzeczy się działy, bo Moskal zwyciężywszy powstanie polskie w r. 1831, palił wioski i miasta, mordował kobiety i dzieci, wieszał ojców i braci... Poeta nasz nie mógł zapomnieć o nieszczęśliwej Polsce śród pięknego, bogatego a sławnego Paryża i wołał ze łzami: »Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie, ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił.« I prosił Panienkę Częstochowską, aby go wróciła do tych zielonych łąk, ciagnących się nad błękitną rzeką, do pól, gdzie rośnie pszenica, srebrne żyto, gryka biała jak śnieg, koniczyna różowa, jak twarz młodej dziewuchy, gdzie zielona miedza wije się jak wstęga, a na miedzy wyrastają gruszkowe drzewa...

Nie spełniły się jednak modlitwy wygnańca; nie zobaczył już nigdy rodzinnej ziemi. Z Paryża, gdzie przez jakiś czas pełnił obowiązki profesora przy uniwersytecie, wyjechał dopiero w dwadzieścia kilka lat po napisaniu tych słów i udał się do Konstantynopola nad Czarne morze, gdzie umarł prawie nagle, po kilku godzinach okrutnych cierpień.

Wiele sławy i wiele honorów spotykał Mickiewicz w swem życiu, szczęścia tylko nie spotkał, bo tego szczęścia nie było w całej ojczyźnie. Od młodzieńczego wieku, aż do śmierci cierpiał nietylko za siebie, ale za współbraci i za kraj cały. Nic więc dziwnego, że łzy płynęły mu po twarzy, gdy wspominał o swem dzieciństwie sielskiem, bo i wtedy już ojczyzna była w niewoli. Płakać również miał prawo, myśląc o młodości, gdy był Filaretem i wysokie, »górne« myśli krążyły mu po głowie, a car zamknął go do więzienia. Płakał i wtedy, gdy przypomniał sobie, o swym wieku męzkim, bo wtedy straszna klęska spadła na Polskę, gdy Moskal zwyciężył naszych powstańców. Ten smutek, który mu ściskał duszę, Mickiewicz wyraził pięknie w następującym, prześlicznym wierszu:

Polały się łzy me czyste, rzęsiste
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męski, wiek klęski
Polały się łzy me czyste, rzęsiste!

Rosa.

Listy do „Przyjaciela Ludu".

Huta komorowska. Już od roku prawie powstała w gminie naszej myśl założenia »Kółka rolniczego«, która niestety o niechęć kilku »prowodyrów gminnych« się rozbiła. Wioska nasza biedna, położona w okolicy piaszczystej, gdzie tylko usilną pracą, jaką taką korzyść z ziemi wyciągnąć można, potrzebowałaby takiego towarzystwa, aby się podnieść, aby się wydobyć z rąk przemysłowców izraelskiego pochodzenia, których bandy co dzień biedną a serdeczną ludność naszej wioski wyzyskują.

Znalazło się wielu gospodarzy chętnych do przystąpienia do tego towarzystwa. Przewielebny ks. Prałat M. Sleczkowski, proboszcz naszej parafii wspierać je przyobiecał, zaprenumerował dla niego »Przyjaciela ludowego«, podarował obraz »Bitwa pod Racławicami« w ramach i wsparcia swego nie cofa. Ja z swej strony przyobiecałem co niedzielę gazetkę i pożyteczne książki członkom odczytywać, przedstawiłem im korzyść wspólnej pracy i pouczania się, ofiarowałem się również »Kółko rolnicze« przez jakiś czas prowadzić, dopóki by się we wsi członek zdolny do tego nie znalazł. Nawiasem wspomnieć muszę, iż do założenia »Kółka rolniczego« w naszej wiosce przez Świetny Wydział powiatowy

kolbuszowski specyalnie upoważniony jestem; do czego pochop dał hr. Tyszkiewicz z Weryni, prezes tegoż Wydziału. Urząd gminny uchwalił za mojem staraniem 200 złr. pożyczki bezprocentowej na założenie szpitaliku chrześciańskiego, co Rada powiatowa z ochotą zatwierdziła. Niestety! Kilku krzykaczy wsiowych, których dziś jeszcze po nazwisku wymienić nie chcę, popsuli wszystko, a dla jakiego celu, dociec trudno. Albo z głupoty, albo dla interesu! Smutne to bardzo, że niektórzy wieśniacy gdy tylko zostaną »urzędnikami« więcej dbają o swój interes, niżeli o dobro swoich wyborców gminnych. Zdarza się, że lada kto chętny u nich znajduje posłuch, a ujęci słowem lub datkiem, na ślepo idą nieraz najfałszywszymi drogami, ze szkodą swych współbraci.

Podaję tymczasem tyle tylko, sądząc, iż czas jest jeszcze do naprawienia złego, i upraszam, by Redakcja raczyła to w pisemku swojem umieścić.

Stanisław Wiktor Saloni, naucz. lud.

Zabierzów. Dawno już nie pisałem do »Przyjaciela Ludu«. Dokoła nic pocieszającego. Ot i teraz biorę pióro po to tylko, aby Wam opowiedzieć o smutnych wypadkach, jakie tu zaszły w ostatnich czasach.

Dnia 15. listopada powiesił sią 11 letni chłopak, syn Mikołaja Klimy w Woli zabierzowskiej. Mówią że przyczyną powieszenia się było zmartwienie z powodu tegorocznego nieurodzaju i grożącej nędzy. Chłopak, choć tak mały jeszcze, skrzętnie już chodził koło gospodarstwa, a osobliwie lubił wszelki żywioł: konie i krowy. Widząc tedy, że w stodole mało jest siana dla bydła i mało zboża dla ludzi, chodził jak nie swój i ciągiem się turbował, że głód będzie w chacie i oborze. Aż nakoniec, nie mogąc dać sobie rady z myślami, założył sobie lejc rzemienny na szyję i powiesił się na kołku, wbitym w ścianę stodoły. Uduszonego znaleziono klęczącego, a oczy kilku widzów sprawdziły, że w czasie zgonu zdrapał nawet ziemię rękami około siebie. Bardzo to smutny wypadek dla rodziców, którzy stracili ulubionego synka, a zarazem zła wróżba przyszłości dla wielu nieszczęśliwych, którym brak żywności i wszelkich środków zaradczych odczuć się daje.

Nie zdołano jeszcze zapomnieć o nieszczęściu, jakie nawiedziło chatę Klimy, gdy dnia 19. b. m. nagle w jednym dniu zmarło troje dzieci naraz u Jana Wąsa w Zabierzowie, przyczyną śmierci był dławiec połączony z desenterją krwawą. Nieszczęśliwi rodzice po stracie wszystkich swych dziatek naraz, nie mogą się pocieszyć w wielkiej swej boleści.

Brak doświadczonej i rozumiejącej się na rzeczy akuszerki po wsiach, osobliwie w oddaleniu od miast będących, bardzo często pozbawia życia wiejskie kobiety. Oto naprzykład dnia 10 listopada do chorej żony Kazimierza Sałaty przyszły aż dwie głupie akuszerki do operacji. Udało się im jakoś, iż jedno dziecię szczęśliwie na świat przyszło, przy porodzie drugiego, kobieta bardzo osłabła. Co widząc akuszerki przelękły się i zamiast dać kobiecie możliwy ratunek, odstąpiły od niej i ta biedna umrzeć musiała dla braku pomocy. Drugi taki sam smutny wypadek stał się w naszej wsi dnia 8. listopada b. r. Kobieta w sile wieku, bo zaledwie 26 lat licząca, dobrze zbudowana, porodziwszy dziecię nad podziw szybko i szczęśliwie z uśmiechem prawie, przez złą i całkiem niewłaściwą obsługę w kwadrans po porodzie, jakby ją kto zastrzelił, życie skończyła.

Aby nieszczęśliwe ofiary od tak nagłych śmierci, a pozostałe sieroty od macochy uwolnić w przyszłości, należałoby wszystkie wiejskie

akuszerki nieuczone powołać do egzaminu, przynajmniej tak, jak to zrobiono z podkuwaczami koni, którzy gdziekolwiek na wsi trudnią się tem rzemiosłem, złożyć egzamin za świadectwem musieli.

Szanowna Redakcja podniesie głos swój do Szanownych Pp. posłów czysto włościańskich aby oni nie omieszkali w przyszłości usunąć nieumiejętną i aż zanadto szkodliwą po wsiach akuszerję w sposób powyżej wskazany. Mam nadzieję, że szanowny p. F. Kramarczyk z Bialskiego i p. Żardecki, do których stan włościański jest osobliwie ze wszystkich zakątków Galicji przywiązany i wdzięczny, zajmą się tą sprawą, bo jeżeli ci n. p. co oglądają zwłoki pośmiertne składają przysięgę, czyż niedaleko ważniejszą jest rzeczą dbać o akuszerki obsługujące chorą, które nie mają najmniejszej wiadomości o przyrodzie położniczej i przez niewiadomość zamiast pomóc, pozbawiają życia kobiety.

Antoni D.

Do Szan. Antoniego Urbana!

Kochany bracie i ziomku! Wyczytałem w »Przyjacielu ludu« Twoje wyrazy, które mię bardzo ucieszyły, a na pochwałę dobrze myślących ludzi zasługują. Bo i najmniejsza praca wykonana około dobra ludu swego i ojczyzny godna jest pochwały, a wielki czas aby wieśniacy garnęli się do tej pracy. Ty, kochany bracie, jak z Twoich wyrazów w »Przyjacielu ludu« dajesz się poznać, życzysz z całej duszy oświaty braciom naszym i nawołujesz, aby z wiekowego letargu ciemnoty się obudzili, pragniesz ażeby lud nasz poznał stan swój i potrzeby własne i kraju i wiedział kim jest.

Kochany bracie i ziomku! »Przyjaciela Ludu« gorąco zalecasz. I ja mówię: Cieszmy się, że »Przyjaciel Ludu« brat nasz, odwiedza nas pod słomianą strzechą. Zdawało się przed laty, żeśmy sami, zupełnie odosobnieni od starszych braci naszych; tymczasem mamy dzięki Najwyższemu wielu ludzi inteligentnych, którzy się poświęcili dla dobra oświaty ludu. Prawda, że i dziś nie wszystko złoto co się świeci; nie brak nam samolubów, którym nie do smaku oświata ludu, ale mniejsza o to, nie zrażajmy się tem, kochajmy się i łączmy się, tylko bierzmy się do pracy nad sobą i nie wymagajmy od przyjaciół ludu, aby całe brzemię na siebie wzięli. Niech nasi przyjaciele prostują ścieżki nasze, któremi chodzić mamy, to nam wystarczy. A gdy zaczniemy chodzić prostemi ściżkami, które samo prawo boskie wskazuje, nie damy się złym ludziom wyzyskiwać, nie damy się w niewiadomości naszych praw i naszych obowiązków utrzymywać. Tylko trzeba, aby lud wieśniaczy sam, ochoczo, garnął się do oświaty i tak gorącem sercem swem przyjął naszego »Przyjaciela Ludu«, który szczerze oświaty naszej pragnie, jak Wy bracie Urbanie, a wtenczas ten lud wieśniaczy i dla siebie — i dla narodu szczęście posiędzie. A gdyby i wtedy znalazł się wątpiący i pytał, widząc, że źle się dzieje: czy z nami tak dalej będzie, albo też inaczej, to mu odpowiem:

Ja tak sądzę bracie miły,
Że oświatą ludu,
Gdy nas zwiąże w jeden węzeł,
Dokażemy cudu.

Żeby byli „Przyjaciela“
Przodkowie czytali,
Byliby wziąść moskalom
Ojczyzny nie dali.

My czytajmy „Przyjaciela“
Ale z dobrej chęci,
Co naszego jest u kogo,
Miejmy to w pamięci

M. Szarek, włościanin.

Nędza w kraju.

Z Buczacza donoszą: Jak wiadomo między ludem nędza, a broń Boże od zwątpienia, do którego nie bardzo daleko, jeśli sfery decydujące nie będą temu zapobiegać. Wiadomo też, że wskutek posuchy tegoletniej inwentarz żywy bardzo licho wygląda, przez co jak sam sprawdziłem przeciętna cena jednej krowy wynosi 8 złr., jednego wołu 25 zł.

Wynędzniałe bydło nie znachodzi nabywcy ani popytu, przeto lud zmuszony jest zabijać je na własny użytek łącząc się w tym celu w spółki po dwóch lub trzech biedaków.

Gdy lud nie ma funduszu na opłacenie akcyzy, dzierżawcy tego monopolu z jednej a inni funkcjonarjusze z drugiej strony ściągają przymusowo podwyższoną należytość tak, że chłop zabił jedną sztukę dla braku paszy, a drugi sprzedaje za 6 zł. i płaci przymusowy haracz dzierżawcy akcyzy. Od tych opłat może zwolnić tylko Rada państwa.

Egzekucja za ustawę drogową.

W Sejmie 15 zeszłego miesiąca wniesiono do rządu następujące zapytanie:

»Przy wprowadzeniu w życie noweli drogowej z dnia 7-go lipca roku 1885 niektóre gminy powiatu łańcuckiego nierozumiejąc zawiłej manipulacyi, zwróciły księgi rachunkowe do prowadzenia instrukcją przeznaczone. Nieprzyjęcie i niezrozumienie instrukcji, przedstawiało się jako opozycja przeciw ustawie sankcjonowanej i tak też przez władze było uważane. Skutek tego nieporozumienia był fatalny, szczególnie dla pięciu gmin pow. łańcuckiego. W gminach *Kosina, Markowa, Grodzisko, Siedlanka i Wierzawice* przeprowadzoną została egzekucja wojskowa. Na pokrycie wydatków zafantowano członkom wymienionych gmin bydło, zboże i suknie a następnie sprzedano.

Zważywszy, że wedle §. 14. noweli z 7. lipca 1885, spisy obowiązanych do prestacyi mają być z końcem roku układane, zaś spłata nieodrobionych prestacyj nastąpić winna w 30 dni po ukończeniu roku, mimo to przed upływem terminów utawą określonych przeciw gminom egzekucja wdrożoną została;

Zważywszy, że wymienione gminy udawały się do wysokiego rządu o udzielenie im odszkodowania — podpisani interpelują komisarza, czy wysoki rząd sprawę tę zbadał i jakie odszkodowanie członkowie tych gmin otzymają? *Bolesław Żardecki.*

Na interpelacyę tę odpowiedział wczoraj komisarz rządowy p. Łoziński Bronisław, że wyniki urzędowego badania sprawy nie uzasadniają pretensyj gmin do wynagrodzenia, albowiem egzekucja nastąpiła wskutek oporu tych gmin przeciwko zarządzeniom władzy. Sprawę tę rozstrzygnie zapewne ostatecznie najwyższy trybunał we Wiedniu.

KLEMENS BORUTA

przez

W. Okońskiego.

(Ciąg dalszy).

Jak przed dwudziestu pięciu laty znowu częstował owczarz Borutę, ale już bez trzmielówki, bez wesołego usposobienia, bez nadziei spokojnego jutra. Gdy dziewczyna pochłaniała kaszę, dwaj przyjaciele opowiadali sobie wzajemnie przygody życia.

— Zdrów jesteś, oczy masz — mówił Brzost, to prędzej gdzie się uczepisz, ale ja... Ot budują na folwarku stodołę, może tam się robota znajdzie.

— Pójdę, popytam. Ty, Marcysiu, zostań i zamieć izbę, ja zaraz wrócę.

— Tylko mi moich prętów nie ruszaj — rzekł owczarz do dziewczynki — tam, w sieni, jest miotła.

Marcysia zaczęła skrętnie uprzątać izbę, którą znów prosięta utracić miały.

Marcysia miała już lat osiem, a wyglądała na pięć. Chuda, drobna, blada, z niepomiernie wydętym brzuchem, z rzadko porosłemi jasnemi włosami, nosiła na sobie widocznie ślady choroby. Zabiedzona i wygłodzona od dzieciństwa znosiła głód z nadzwyczajną cierpliwością. Dostawszy nawet jakiś pokarm, jadła go powoli i mało. Gdy jej kto kazał, uwijała się skrzętnie, ale wypełniwszy polecenie, siadła w kącie niema i osłupiała.

I teraz, zamiotłszy izbę, przytuliła się do komina.

— Gdzie mała? — pytał Brzost Wicka — wyszła?

— Jest.

— Czemuż nic nie gada? Nie bój się Marcysiu, chodź tu, ja cię nauczę pleść koszyki.

Wszedł Boruta.

— No, to i dobrze — rzekł widocznie uradowany.

— Cóż takiego? zagadnął Brzost.

— Dali mi robotę przy stodole. Marka za dzień, ale i to pieniądz: Dziewczyno, podskocz, będzie kolacja. Masz tu nożyk i obierz te kartofle.

Zaczął wysypywać z zanadrza ziemniaki.

— Garnka dostaniemy, drzewa bodaj z płotu nałamię i będzie bal. Tam w woreczku jest kawałek słoniny i sól. Teraz pójdę słomy kupić.

Znów wyszedł. Dziewczyna zabrała się do roboty, wymyła garnek Brzosta, przyniosła wiórów i nastawiła przy ogniu balową kolację.

Wieczorem już Boruta był zagospodarowany i poprzyjaźniony z rymarzem oraz jego żoną. Katarzyna nie zapomniała mu, że ją przed dwudziestu kilku laty poczęstował kiełbasą i wywdzięczyła się teraz miseczką gotowanej marchwi.

— Pójdę już na górę — rzekł owczarz, gdy noc zapadła.

— Po co? mówił Boruta. Przyniosę wam posłanie, tu spać możecie. Przecie już prosiąt niema. Mnie nie zawadzacie a i dziewczyninie będzie raźniej, gdy ja pójdę do roboty.

Owczarz nie dał się długo namawiać i od tej chwili został lokatorem dawnego swego przyjaciela.

Nazajutrz o świcie Boruta stanął przy pracy. Och, z jakąż skwapliwością do niej przystąpił! Robił wszystko: mięszał wapno, podawał cegły, ociosywał bale, kopał, posłuszny na każde skinienie, jak gdyby się bał, ażeby go niepozbawiono tak szczęśliwie zyskanego zarobku.

— Mial by ja takich trzech jak ty — rzekł raz do niego rządca Nędzy — to wybudowalby ja z nimi cala stodola.

Boruta podrósł z dumy.

Rósł on z dniem każdym, ale niestety równocześnie rosła i stodoła.

Dnie płynęły w dość jasnem zadowoleniu. Brzost siedział w domu i plótł koszyki opowiadając dzieciom o dawnych czasach, Marcysia pod jego kierownictwem gotowała obiady i kolacje, a chociaż grosze nie zawsze starczyły, głód do izby nie zaglądał.

Jednego dnia Boruta wrócił do domu niezwykle wesół.

— Skończyliśmy stodołę — rzekł do Brzosta — jak cacko.

— Cóż teraz będzie? spytał owczarz lękliwie.

— Co z innymi będzie, nie wiem, ale ja przy dworze zostanę. Dornfisch zawołał mnie do siebie i kazał przyjść jutro. Żeby dał ze 60 talarów i ordynarję! Chyba da.

Nazajutrz Boruta z pewną miną wszedł do rządcy. Dornfisch, ujrzawszy go, wyjął z biurka książkę, popatrzył w nią, odliczył pieniądze i podając je Klemensowi, rzekł:

— Dostajecie jeszcze trzy talary. No, ja z wami zadowolony, jak będzie robota, to ja was zawolać. Bądźcie zdrów.

Boruta skamiemiał. Wziął pieniądze machinalnie, popatrzył osłupiały na Dornfischa, chciał coś powiedzieś, ale gdy rządca powtórzył:

— Bądźcie zdrów, poczciwy Boruta.

Nieszczęśliwy człowiek wyszedł.

Pogodne słońce wrześniowe, tak samo, jak przed dwudziestu pięciu laty starało się rozweselić pozbawionego pracę Borutę i obrzuciło go swemi ciepłemi promieniami i osuszyło łzy, które u spuszczonych powiek robotnika zawisły. Klemens szedł machinalnie,

ściskając pieniądze w ręku, zapomniał nawet włożyć kapelusza, utkwił wzok w ziemię i potykał się co krok na bruzdach i zagonach pola, na które bezwiednie z drogi zboczył. Oddaliwszy się znacznie od wioski oprzytomniał i stanął. Nogi wszakże chwiały się pod nim, więc usiadł na świeżo zoranej roli. Przez chwilę rozglądał się naokoło błędnym wzokiem, następnie otworzył rękę i zaczął na niej liczyć odebrane pieniądze. Liczył długo, chociaż wszystkiego miał 9 marek i 4 sr. grosze.

— Nie dołożył, nic nie dołożył — szepnął smutnie. Żeby grosz, żeby pięć fenigów, żeby jeden.

Zerwał się i podążył ku domowi. Właśnie Marcysia płukała groch, przyśpiewując sobie w robocie i wiodąc rozmowę z Brzostem. Zajmowana tak długo przez prosięta izba, dzięki obecnym jej mieszkańcom, dziwnie wypiękniała. Przybyły do niej dwa tapczany, stolik, trochę garnków i misek, a rozstawione na ółkach nowe koszyki Brzosta stanowiły nawet pewną ozdobę. Światło jesienne wlewając się swobodnie przez czyste, chociaż maleńkie szyby okien, nadawało tej ubogiej siedzibie wesoły widok. I Brzost, choć ślepy, czuł błogie orzeźwienie w tej jasności, bo nieustannie żartował.

— Wicek, Wicek, nie gap się na dziewczynę, tylko prątki podawaj. Ona nie dla ciebie śpiewa. Ale jak urośniesz, i będziesz umiał bez płaczu cebulę rozebrać, to cię z Marcysią ożenię.

— O, ja już dziś umiem — odezwał się chłopiec.

— Patrzcie go, obibok, umie, a ile razy nos przytem utrzesz, hę?

— Zjedz teraz zęby — krzyknął wchodząc Boruta — bo już nic innego mieć nie będziesz.

— To ty Klemensie? — spytał strapiony Brzost.

— A ja i bieda za mną. Nie zgubiłem jej — mówił dziko — nie bójcie się. Wlecze się zmora, wlecze, nie odczepię jej, nie odpędzę, nie uduszę. Ona mnie udusi. Choćbym te pieniądze co dostałem tylko lizał, to bym je wreszcie wylizał nim robotę dostanę.

Upadł ciężko na tapczan i westchnął. Izbę zaległa cisza.

— Co się stało? — przerwał nieśmiało Brzost.

— Nic nowego — rzekł szyderczo Boruta — to samo, co od czterdziestu lat ciągle mi się zdarza: skończyłem robotę, odprawili.

— Odprawili — powtórzył stary ze smutkiem.

— Bo i cóż mieli zrobić — odparł gniewnie Boruta — do chlewa mnie wsadzić i na słoninę karmić? Nie wieprz jestem, tylko człowiek, mam ręce i gębę, jak dla rąk zabraknie, gęba pościć musi. Czego się jąć? Gwiazdy na niebie liczyć, czy wodę w rzece mierzyć? Rymarz w domu?

— Pojechał — bąknęła dziewczyna.

— Ha! — zawołał, zrywając się z tapczana — podpalę kiedy tę chałupę, bo mi już życie obmierzło!

— Klemensie! Klemensie! — reflektował go Brzost.

— Jedz mała, nie czekaj na mnie. O, żeby nie ty, puściłbym się w świat, i nie oparł aż tam, gdzie biedy niema.

Wziął z miski garść grochu, wsypał w usta i poszedł do karczmy. Nie myślał kieliszkiem rozpraszać smutku, ale chciał po prostu znaleźć kilkoro próżnujących ludzi, którzyby z nim porozmawiali, poradzili. Jakoż istotnie w karczmie obradowało kilku wieśniaków i wieśniaczek, podpitych lub trzeźwych, gotowych wszakże do zajęcia się losem nowego towarzysza. Była to gromada najemników, żyjących z dnia na dzień, przepijających właśnie resztki świeżego zarobku.

Robota jest i będzie — rzekł stary chłop, którego Boruta zaczepił — tylko nas do niej nie stanie. Zje Dornfisch djabła z sosem, aż my mu za dziesięć groszy na dzień do kopania pójdziemy.

— Niechby i tyle — odezwał się Klemens.

— Wy bo pewnie wielki pan, kiedy o grosze nie dbacie, my chudzięta. (D. n.)

KRONIKA.

Konfiskaty. Donosiliśmy w zeszłym numerze „Przyjaciela ludu“, że c. k. prokuratorja skonfiskowała dwa artykuły włościan. Otóż Sąd odmówił zatwierdzenia konfiskaty jednego z tych arty-

kułów pod napisem „Oświata ludu“ i orzekł, że nie wykracza on przeciw ustawie karnej; natomiast zatwierdził konfiskatę drugiego artykułu pod napisem: Z Chrzanowskiego (w sprawie regulacji Wisły) z powodu, że ten artykuł „zdolnym jest do wzbudzenia wzgardy i nienawiści przeciw zarządowi państwa“.

Przygody wychodźców. Gazety poznańskie podają wiadomość o trzech dziewczętach z Galicyi, które, wybrawszy się do Ameryki, wpadły w ręce jakiegoś oszusta. Straciwszy wszystkie pieniądze, co miały na drogę, nie pojechały one nawet do Berlina i musiały w Poznańskiem nająć się do kopania buraków, bo inaczej pomarłyby z głodu. Dziewczęta te pochodzą ze wsi Łąki pod Jasłem w Galicyi. Miały one już jakichś krewnych w Ameryce i do nich chciały pojechać, myśląc, że tam będą mogły los poprawić. Zrazu zamierzały jechać przez Oświęcim, gdzie to niedawno policya wykryła bandę ajentów, co polują na podobnych wędrowników, żeby ich obedrzeć z pieniędzy. Zaraz jednak w Jaśle przyłączył się do nich jakiś jegomość i obiecał, że je sam odwiezie aż do Hamburga, zkąd już okrętem prosto do Ameryki dojadą. Ten zaś, wiedząc, że mają na drogę pieniądze, które będzie mógł od nich wyłudzić, zawiózł je z Jasła najprzód do Warszawy. Pojechawszy do Warszawy, ów niby opiekun umieścił je na nocleg u jakiegoś urzędnika kolejowego. Nazajutrz ów oszust namówił, żeby mu oddały pieniądze, bo musi je zmienić i kupić bilety na dalszą drogę. Łatwowierne dziewczęta uczyniły to bez wahania: jedna dała mu 120, druga 84, a trzecia 50 złotych reńskich, to jest razem 254 złotych reńskich, prawie cały majątek. Potem oszust zaprowadził je na dworzec kolejowy i kupił im bilety do Berlina. Aż do ostatniej chwili udawał, że razem z niemi pojedzie; ale gdy już je wsadził do wagonu, zatrzaśnięto drzwiczki, pociąg ruszył, a on pozostał na stacyi z pieniędzmi. W wielkiej niespokojności przybyły biedne dziewczyny bez grosza do Aleksandrowa na pruskiej granicy, a bojąc się już dalej jechać, bo w Berlinie nie umiałyby się nawet rozmówić z Niemcami, poszły do pobliskiej wsi Opoczek, już po stronie pruskiej, i tam zgodziły się do kopania buraków na folwarku, czekając, aż im kto z rodziny przyśle pieniądze na drogę, żeby się mogły ztamtąd wydostać.

Wilki udusiły 20 sztuk owiec w Majdanie oraz 2 owce w Riwnie, na Bukowinie.

Dziełka „O Nawozach“ M. A. Barty otrzymaliśmy od szanownego autora 5 egzemplarzy do rozporządzenia niemi, aby się dostały w ręce włościan wykształceńszych lub nauczycieli ludowych. Kółka poznańskie, oceniając użyteczność tej pracy, zakupiły jej 500 egzemplarzy. Za przesłane na nasze ręce egzemplarze serdecznie ofiarodawcy dziękujemy.

Na koninę jest teraz wielkie zapotrzebowanie w Berlinie. Przyczyną tego są za wysokie ceny mięsa wieprzowego, wołowego itd. W październiku rb. zabito ośmset szesnaście koni, t. j. o dwieście więcej, aniżeli w październiku w roku zeszłym.

„Świt“, pod taką nazwą zawiązała się nowa czytelnia w miasteczku Wojniłowie. Wstąpiło do niej najwięcej młodych gospodarzy, a także kilku starszych i kilka kobiet, ogółem zapisało się w samym początku 60 członków. Statuta wysłano już do namiestnictwa do zatwierdzenia.

Wypadek. Włościanin Malec z Bystrowic, powiat jarosławski, wiózł drzewo z lasu kramarzowskiego i jadąc krajem drogi, wywrócił wóz do rowu, a przywalony drzewem umarł pod wozem.

Ceny kartofli podniosą się pewnie niezadługo, bo w Prusach dużo kartofli pogniło w polu podczas deszczów, które tam przy końcu lata przez kilka tygodni padały. Te zaś, co były już zsypane do kopców, również w wielu miejscach pozagniwały, bo woda z deszczów rozmoczyła ziemię, którą kopce były przykryte, i dostała się do ich wnętrza. W Ameryce znów wcale się w tym roku nie obrodziły kartofle, więc dużo ich będą tam sprowadzali okrętami z Europy, a przez to wszędzie one pewnie podrożeją. Kto więc sucho zebrał i dobrze zachował kartofle na zimę, ten może dobrze wyjść na tem, jeżeli zaczeka lepszych cen.

Co słychać w świecie.

Z Austrji. *Wiedeń.* Cesarz austrjacki Franciszek Józef spotkał przejeżdżającego przez jego państwo cesarza Niemiec na stacji drogi żelaznej w Insbruku i odprowadził go do granicy Niemiec, zkąd następnie powrócił do Wiednia. Cesarz Wilhelm zaś wraz z cesa-

rzową przybyli nazajutrz do swego zamku w Poczdamie pod Berlinem.

Z Węgier, *Peszt.* W okolicy Sztajnbruku na Węgrzech wybuchła pomiędzy bydłem rogatem zaraza pyska i racic. Dla zapobieżenia aby choroba ta nie rozchodziła się dalej, kazano podobno półtora tysiąca sztuk zarażonego bydła zabić.

Z Niemiec, *Berlin.* Zaraza pyska i racic u bydła szerzy się także w okolicy Berlina i nie ustaje, chociaż zarządzono przeciw niej wszelkie możliwe sposoby. Z powodu tej zarazy bardzo podrożała w Prusach wieprzowina, gdyż ludzie muszą jeść jej więcej zamiast mięsa wołowego, które z zarażonych sztuk byłoby szkodliwe zdrowiu.

Brazylja. W Brazylji, jednem z największych państw świata, położonem w południowej Ameryce, wybuchła rewolucja, która zniosła cesarstwo, a ogłosiła rzeczpospolitą. Zdetronizowany cesarz, Don Pedro, wyjechał do Europy. Ma on zasługi zwłaszcza koło zniesienia hańbiącego ludzkość niewolnictwa, które do niedawna było uznawanem przez prawa obowiązujące w Brazylji. Ameryka obecnie prawie całą jest republikańską.

Z Serbji, *Belgrad.* Były król serbski Milan podczas pobytu swego w Belgradzie przyjmował w pałacu między innymi i Pasicza, który dawniej, jako zacięty nieprzyjaciel Milana, był wygnany z kraju, i musiał pracować na chleb za granicą. Po złożeniu korony serbskiej przez Milana, Pasicz wrócił do kraju, a teraz obrano go marszałkiem czyli przewodniczącym Sejmu. Sprawdza się przysłowie, że szczęście kołem się toczy.

Od Redakcji.

Do Szanownego gospodarza Winc. Noworyty. List Wasz ostatni „Z nad Wisły“ pomieściliśmy w poprzednim numerze „Przyjaciela ludu“ z odpowiednym dopiskiem od Redakcji.

Ponieważ z rady naszej w tym dopisku wyrażonej może z powodu krótkiego czasu niemogliście korzystać, gdyż do Wysokiego Sejmu z powiatu Chrzanowskiego żadna petycja w sprawie ubezpieczenia brzegów Wisły położonych w obrębie gmin Jankowice, Rozkochów, Źródła i Okleśna nie została wniesioną; dlategoto widzimy się obecnie zniewoleni odezwać się choć kilku słowy do Was w pomienionej a ważnej sprawie. „Strzeżonego Pan Bóg strzeże“ — powiada trafnie nasze przysłowie, więc brońmy się zawczasu przed wszelaką biedą. A jeżeli siły kilku gmin nadbrzeżnych są za słabe, aby stawić mogły skuteczny opór rozszalałym nurtom Wisły, toć niech nieustannie nawołują o pomoc te sfery, na których leży obowiązek dania takowej nieszczęśliwym obywatelom kraju. Niezrażajcie się tem, że wasze dotychczasowe prośby i supliki do różnych władz krajowych nie odniosły należytego skutku, ale wnoście takowe,— bo przecież sam ewangelista mówi: „Pukajcie, a będzie wam otworzono:“

Ale pukanie wasze musi być teraz natarczywszem, bo i nurty Wisły również gwałtowniej dobierać się będą do waszych gruntów. Może zapytacie, dlaczego? Otóż dlatego, że regulacja granicznej rzeki Przemszy jest właśnie na ukończeniu, a na sąsiednim Szląsku władze tamtejsze przeprowadzają gruntowną regulację górnej Wisły, tak iż niebawem każde większe wezbranie wód Wisły u waszych brzegów stanie się groźniejszem, a w następstwa dotkliwsze nietylko dla waszych gruntów, ale także dla hrabskich gruntów, położonych po prawem brzegu Wisły w gminach: Podolcze, Smolice, Lipowa i Spykowice.

Podług naszego przekonania stan obecny porzecza tamtejszego wymaga jak najrychlejszego przepowadzenia regulacji Wisły od Oświęcima aż po Kraków.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.** Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

Nr. 18. We Lwowie, dnia 15. Grudnia 1889. **ROK I.**

PRZYJACIEL LUDU

Wychodzi we Lwowie 1. i 15. każdego miesiąca.
Przedpłata wynosi: kwartalnie 50 ct.; półrocznie 1 złr.; rocznie 2 złr.
Adres wydawnictwa: Redakcja „Przyjaciela Ludu“, Lwów, ul. Sobieskiego l. 28.

Poeta-kowal.

Na Szlasku pruskim, o którym opowiadaliśmy wam niedawno, mili czytelnicy, umarł 20. listopada — Juliusz Ligoń. Cichy ten i skromny pracownik całe swoje pełne znoju życie złożył w ofierze swej ukochanej szląskiej ziemi, a praca jego choć skromna i cicha stokrotne wydała owoce. Warto więc abyście poznali życie i czyny tego znakomitego człowieka.

Śp. Juliusz Ligoń urodził się w r. 1823, d. 20. lutego na Prądach przy Korzęcinie, w Lublinieckim powiecie. Nauki szkolne pobierał w szkółce wioskowej, a gdy wyszedł ze szkoły, wstąpił na naukę do ojca swego, kowala miejscowego, i tamże wyuczył się kowalstwa. W młodzieńczym jeszcze wieku wyruszył w świat; aby własnemi siłami zapracować sobie na życie, pracował długi czas w Zawadzkach i tam się ożenił. Głucho i ciemno było wtedy jeszcze na pięknej ziemi szląskiej. Nie było gazet polskich, lud szląski pogrążony był w ciemnocie i zapomniał, że jest polskim. Juliusz Ligoń jeden z pierwszych począł szerzyć na górnym Szląsku pożyteczne pisma i książki polskie. On to, jako jeden z pierwszych chwycił za pióro, oznajmiając światu, że lud polski na Szląsku żyje jeszcze, że pozostał wiernym pochodzeniu swemu i swej mowie ojczystej. Obok tego, widząc niedostateczność swego wykształcenia, począł sam nad sobą pracować. Odmawiał sobie wszystkiego, nie dojadł ani dopił, byle tylko zaoszczędzić kilka groszy na ulubione książki, z których czerpał światło i naukę. Gdy szedł do ciężkiej swej pracy, brał ze sobą książkę, i wyciągał ją, skoro tylko praca ustała. Gdy żona przyniosła mu jedzenie do fabryki, już go znalazła czytającego. Daleko, bardzo daleko byłby człowiek ten doszedł, gdyby był miał pieniądze na życie swobodniejsze, na książki, na szkoły. Ale i tak doprowadził daleko i dziś jaśnieje nam duch jego jako gwiazda przewodnia, jako przykład promienny, który woła i pociąga nas ku sobie na ową wyżynę, jaśniejącą wiedzą i cnotami, na którą zmarły wzbił się sam o własnych siłach, wśród biedy i znoju.

Kowalem był jego ojciec i on był kowalem. Chodził w skórzanym fartuchu, w trepkach na bosą nogę, w zatłuszczonej bluzie, z osmoloną twarzą, z młotem w żylastej ręce.

Bił młotem po kowadle, kując żelazo

w królewskiej Hucie, aż się skry sypały. Bił młotem swoich piosenek o serca współbraci, aż z nich strzeliły narodowe, polskie iskry.

Dzielnym był robotnikiem, więc mówili mu Prusacy-zwierzchnicy, aby zaniechał swych piosenek, a za to awansuje na majstra, potem jeszcze wyżej, on zaś wtedy jeszcze mocniej bił młotem i śpiewał jeszcze głośniej:

Kocham to, co nasze,
Choćbym miał wysączyć —
Jako mi Bóg miły! —
Krew z ostatniej żyły!

— To i wysączysz ją, psiawiaro polska!— krzyczeli wściekli Prusacy. — Marnie, jak pies zginiesz!

A on na to jeszcze głośniej:

Dać życie za wiarę
I ojczyznę złotą,
To jest dla mnie chlubą,
To jest wielką cnotą!

I szły te proste piosenki z huty do huty, z wioski do wioski, brzmiały po lasach i łanach, nawet w głębi ziemi, w kopalniach,— wszędzie śpiewać je zaczął lud górnoszląski.

Stał się Ligoń ludowym poetą, ulubionym od poczciwych górników, ale za to stracił zarobek. Wypędzono go z Huty królewskiej i odtąd żaden Prusak nie przyjął go do roboty. Popadł więc w nędzę, ale ziemi swej opuścić nie chciał; samotny, w ubogiej chatce, ciągle śpiewał ziomkom o Polsce, a oni przychodzili go słuchać, uczyć się jego piosnek i podzielić się z nim kęsem twardego chleba.

Dla pokazania jak on pisał, powtarzamy tu pierwszą stronicę książeczki jego pod tytułem: „Pogadanki wieczorne o dawnych czasach Górnego Szląska.“

„Jest to, jak wiecie, mili rodacy, rzeczą niezaprzeczoną, że kto szczerze, jak Bóg przykazał, kocha swoich rodziców, krewnych, przyjaciół i ziemię ojczystą, a wydali się w dalekie od nich okolice, to wielka tęsknota pobiera go za niemi. Więc też jeżeli przynajmniej przez list jakąkolwiek wiadomość o nich poweźmie lub w gazetach coś wyczyta, cieszy się niemiernie.

„Podobnie i my, kochani rodacy, oddaliliśmy się od naszych praojców, krewnych, przyjaciół i od ziemi ojczystej, słynącej dawną świetnością, wielkim przeciągiem czasu. Zatem okazalibyśmy się niegodnymi, bez serca potomkami, gdybyśmy nie pragnęli dowiedzieć się o tych drogich nam istotach. Wszak to jeżeli po dawnych przodkach przytrafi się komu odgrzebać skarb starej monety, cieszy się z tego i podaje sąsiadom do „oglądania.“ Otóż o wiele kosztowniejszy skarb, bo skarb cząstki dawnych ojczystych dziejów, dla zasiłku ducha, podaję wam w tej książeczce przez pogadanki wieczorne, mili rodacy, w nadziei, że ją mile przyjmiecie i chętnie czytać będziecie. Bo jeżeli kiedy, to właśnie w obecnym czasie, gdy nas usiłują wynarodowić, powinniśmy odgrzebać te drogie narodowe skarby naszego polskiego narodu, aby każdy z nas, a mianowicie dzieci nasze, krzywdzone germanizacją, dowiedziały się, jakich chlubnych przodków jesteśmy potomkami i jak szanować i bronić tej po nich spuścizny, wiary i języka drogiego.

„W przeciwnym zaś razie, gdybyśmy nie szanowali i nie bronili darów Bożych, okazalibyśmy się niegodnymi ich i Pan Bóg by nam je odebrał, jak już stało się z wielu naszymi rodakami, że nietylko się wynarodowili, lecz i religji polskiej poz-

byli. Za to zaś stalibyśmy się tak, jak oni, winnymi nietylko własnej, lecz także naszych dziatek i dalszych pokoleń zguby.“

Juliusz Ligoń był jednym z pierwszych Szlązaków, który powiedział sobie: Jestem Polakiem, który z dumą przyznał się do swej narodowości, który wyznawał ją śmiało i otwarcie i który budził poczucie jej w sercach polskiego ludu Górnoszląskiego. To apostolstwo jego ściągnęło atoli na niego różne klęski i prześladowania. Działalność publiczna Ligonia stała się bowiem niewygodną dla wielu ludzi, którzy pragnęli, aby lud polski na Szląsku pozostał na zawsze w ciemnocie i głupocie, aby zapomniawszy swej mowy ojczystej, wzgardziwszy ojców świętą spuścizną, zmarniał powoli i utonął w niemczyznie. Ostrzegano więc Juliusza Ligonia, by przestał lud oświecać, by przestał szerzyć ducha polskiego, starano się go przekupić podchlebstwami, wreszcie, gdy i to nie poskutkowało, zagrożono mu odebraniem pracy i chleba.

Odtąd zaczął się czas jego nędzy, z którą bratał się już potem aż do grobowej deski. Mimo to nie ustawał w pracy aż do śmierci. Najwięcej jednak bolała go utrata książek swych, które odebrali mu Niemcy, a które on tak ukochał i o których to sam był napisał:

„Książki moje kochane! ileż chwil szczęśliwych spędziłem na łonie najsłodszego waszego towarzystwa, ileż w was pociech znalazłem, ileż nauk, przykładów czerpałem! O, gdyby który z naszych wieszczów polskich pióra swego mi użyczył, możebym dobitniej, czulej pochwałę dla was skreślić zdołał. Bodajby słowa moje trafiły do tych, którzy waszej użyteczności nie pojmują, a stałyby się powodem nieocenionych korzyści, gdyby w nich również zdołały wzbudzić chęć do czytania.“

Zwłoki tego prawdziwego męczennika sprawy polskiej na Szląsku odprowadzone zostały na miejsce wiecznego spoczynku przez wszystkich, którzy go kochali i szanowali. Za trumną postępowało liczne grono wybitniejszych osób z Królewskiej Huty, z Bytomia i z innych bliższych i dalszych miejscowości szląskich, deputacje różnych towarzystw i sporo ludu. Na trumnie widniały wieńce od rozmaitych gazet szląskich: od „Nowin Raciborskich“, od „Katolika“, od „Gwiazdki Piekarskiej“, wreszcie wieniec z napisem: „Dobrze zasłużonemu współbratu — lud Górnoszląski!“

Tak! Był on „dobrze zasłużonym“ ten brat nasz, którego do grobu złożono na wieczny spoczynek, którego zasypali tą świętą ziemią szląską, którą zmarły tak kochał gorąco. Zasłużył się on dobrze około świętej tej ziemi, około szląskiego ludu polskiego, który dziś płacze po nim, jako po najlepszym z braci.

Wyzyskiwanie ludu.

Podaliśmy w ostatnim numerze *Przyjaciela* krótką treść aktu oskarżenia z toczącego się w Wadowicach procesu przeciwko ajentom emigracyjnym, obecnie należy nam poznajomić czytelników z tokiem rozprawy, zwłaszcza z przesłuchaniem świadków. Z przesłuchania oskarżonych podnieść należy, iż ci przed sądem sami nawzajem się oskarżają. Każdy, chcąc się ratować zeznaje inaczej, wskutek czego plączą się i popierają tylko akt oskarżenia. Z zeznań tych wynika że ajencje oświęcimskie cieszyły się ogromnem poparciem niejednego wysokiego urzęd

nika i że na wszystkie nieprawości, jakie się tam działy, patrzano przez palce. Bardzo smutną rolę w wyzyskiwaniu tam ludu odegrała żandarmerja stacjonowana w Oświęcimiu, Żywcu i Suchej, która jak się pokazało, także stała na usługach ajencji i pobierała od niej pieniądze za przymuszanie wychodźców do kupowania kart w Oświęcimiu.

Pierwszy przesłuchany świadek, Poller, były urzędnik kolei państwowej na stacji w Suchej, zeznał, że owi żandarmi traktowali wychodźców jak bydło. Świadek ten widział raz na własne oczy, jak pewnego razu „postenführer“ od żandarmów, Hubeny, wyciągnął raz jakiegoś człowieka z wagonu za kołnierz, kiedy pociąg był w pełnym ruchu. Pociąg ten szedł do Żywca. Tym sposobem jeden wychodźca uszedłby ajencji oświęcimskiej, należało go zatem nawrócić na Oświęcim. Świadek ten zeznał dalej, że żandarmi nie przytrzymywali wychodźców popisowych, rozumie się takich, którzy jechali na Oświęcim. Zeznania tego świadka potwierdził także inny urzędnik kolejowy Gałuszka. Portjer kolejowy ze Suchej, Szczurek, opowiada szczegółowo jak to się restaurator kolejowy tamtejszy, Schöner, płatny przez ajencję Klausnera w Oświęcimiu i żandarmi z wychodźcami obchodzili, że w biały dzień ich bito i katowano. Świadek bał się o tem komu donosić, gdyż miałby zaraz do czynienia z żandarmami. Inni świadkowie ze służby kolejowej zeznają tak samo i zgodnie przeciwko żandarmom. Jeden z nich, konduktor Czajkowski opowiada, że raz się ujął za wychodźcami, których żandarm Hubeny za łby z wagonów wyciągał, zmuszając ich do zmienienia drogi na Oświęcim; za to zaskarżył go Hubeny do sądu w Ślacieniu i Czajkowski musiał jeszcze zapłacić 5 złr. za to, że niby przeszkadzał żandarmowi w wykonywaniu służby.

Inni świadkowie opowiadają o przekupstwach ajencyj. I tak portjer w Stróżach, Fórski poświadcza, że Landerer płacił mu przez 3 miesiące po 5 złr., za co sam nie wie. Świadek Siwacz, naczelnik stacji w Semczu zeznał, że ajencja bremeńska w Oświęcimiu ofiarowywała mu 20 złr. stałej pensji miesięcznie, ale on odepchnął tę pokusę, nie chciał bowiem popierać handlu ludźmi.

Jaką władzę mieli Herce, Löwenbergi, Klausnery itd. na kolei państwowej, o tem świadczy najlepiej fakt, który zeznał jeden ze świadków, niejaki Łatko, przesuwacz wagonów, że piwnice gmachu kolejowego w Podgórzu służyły za więzienia dla wychodźców. Restaurator w Skawinie, Szpądrowski, pobierał stałej pensji od ajencji 20 złr. miesięcznie i miał za to poić żandarmów a jako krewny burmistrza w Skawinie, pilnować, aby magistrat tego miasteczka ajencji nie przeszkadzał.

W czasie rozprawy pokazało się dalej, że starostwo w Białej wydało do wszystkich starostw w Galicji okólnik wzywający, aby popierały ajencje oświęcimskie, jako uprzywilejowane przez rząd, zwalczały zaś tajnych ajentów, nie mających koncesji. Skutek tych odezw był taki, że dyrekcja kolei państwowej poleciła także naczelnikom stacyj, ażeby ajencję oświęcimską popierali. Później dyrekcja kolei odwołała to polecenie, ale odwołanie to jakoś do wiadomości nie doszło, gdyż skręcił mu kark po drodze Iwanicki.

Świadek Winkler kasjer w Dziedzicach pobierał 20 złr. a Pałocka, kasjer w Krakowie 30 złr. stałej pensji, aby nie „przeszkadzał“ ajencji. Z tego wszystkiego widać, że na koleji państwowej bardzo wielu urzędników, konduktorów i portjerów było

na żołdzie żydów oświęcimskich i dopomagało im do obdzierania włościan i biedaków.

Najważniejsze zeznania złożyli urzędnik kolei państwowej w Oświęcimiu, Dzikowski i oficjał pocztowy tamtejszy, Szabenbek.

Pierwszy z nich zeznał, że nietylko on; ale wszyscy wiedzieli o znęcaniu się nad wychodźcami, ale sposobu na to nie było, gdyż odezwać się z tem nikt nie mógł, bał się bowiem o utratę posady i prześladowanie. Świadkowi temu nieraz obijało się o uszy, że Löwenberg udawał starostę, że w ajencji telegrafowano do „amerykańskiego cesarza“ na budziku i że sprzedawano wychodźcom takie „ubrania amerykańskie“ po 8 do 10 zł., które były warte 3—4 zł. Powszechnie mówiono, że ajencja ma poparcie „wyższych sfer“. Jeżeli kto się odważył donieść o nadużyciach, to urzędnicy, do których to należało, wyśmiewali go a co gorsza jeszcze kary na takiego nakładali. Najwięcej dokazywał Iwanicki, który w Oświęcimiu był samowładnym panem i nikogo się nie bał, był bowiem sam naczelnikiem policji. Świadek ten widział mnóstwo razy, jak naganiacze przywozili do Oświęcimia całe gromady wychodźców. Na dworcu w Oświęcimiu czekał ich zawsze Iwanicki, który odbierał od nich papiery, poczem wychodźców goniono do ajencji jak bydło po karty okrętowe, które musieli przepłacać. Jeżeli się kto opierał miał się za to z pyszna. Na to była pod ręką żandarmerja i więzienia.

Drugi świadek, Szabenbek, opowiada, że pewnego razu przyszedł do urzędu cłowego na dworcu, gdzie urzędują także pruscy urzędnicy, biedny jakiś chłop i żalił się ze łzami w oczach, że go w ajencji Herca obdarli z rzeczy i pieniędzy. Chłop ten następnie do ajencji wrócił i wydostał napowrót rzeczy swoje, ale z pieniądzmi musiał się pożegnać. Szabenbek i urzędnicy pruscy byli na to oburzeni i poszli na skargę do sądu, ale sędzia powiedział, *że to do niego nie należy, ale do starostwa*. Poszli zatem do zastępcy starosty Czermaka, ale ten ich także z niczem odprawił. Szabenbek opowiadał to co widział i co się stało z chłopem rano Srokowskiemu, urzędnikowi cłowemu, ale ten mu powiedział, żeby się nie mięszał do nieswoich rzeczy. Świadek ten zeznaje, że Iwanicki, Srokowski i Kostecki (wszyscy trzej urzędnicy cłowi zostający na żołdzie żydów oświęcimskich) urządzali formalne obławy na wychodźców, bili ich i aresztowali. Na to wszystko patrzali spokojnie Klausner, Herz, Löwenberg, Landau, Landerer, bo to wszystko za ich wolą się naturalnie działo. Urzędnicy nie mogli pojąć, jak takie gwałty i zdzierstwa publicznie dziać się mogły, i mówili, że w Niemczech za to tacy ludzie dawnoby już w kryminale gnili. Jeden ze świadków, listonosz Niemczycki podał, że będąc kilkakrotnie w ajencji widział wychodźców do koszuli rozebranych, z czego się domyślił, że to był ów sławny „amerykański asenterunek“. Klausner, główny kierownik ajencji, zaprzecza temu i twierdzi, że wychodźcy rozbierali się, bo mieli w koszuli zaszyte pieniędze, wydobywali je zatem ztamtąd, ale asenterunku nie było. Jeden z obrońców postawił wniosek zawezwania na świadka byłego starostę z Białej, Foedricha, o którym mówiono podczas procesu, że także brał stałą pensję od ajencji.

Ciężkie czasy.

Ucz się, a ucz, posyłaj dzieci do szkoły, kupuj im książki, co to z tego będzie? Wolałyby w domu siedzieć, kądziel uprząść, albo krowinę popaść, to by lepiej z tego świtało, byłoby choć mleko, a tak co jest? Oj, bieda i nędza, wydatki tylko: trza i

na pasterza, i na książki i na profesora, od razu we troje się okupić, — oj bieda! ciężkie czasy, oj ciężkie! Tak sobie biadkał stary Grzegorz, gdy jego wnuki do szkoły chodziły. On bo nie znał ani szkoły, ani oświaty, ani nauczycieli, znał tylko jeden pług, za którym chodził, i jeden kożuch, którym się okrywał, a ten jeszcze odziedziczył po ojcu swoim, a tu teraz widzi, że jego wnuki i wnuczęta ubierają się w perkale i drelichy, a wszystko to takie słabe, że roku w nich nie dochodzi. Co to dalej będzie? Wszystkiego przybywa: dzieci, oświaty, nauki, wydatków, ludzi uczonych co niemiara, a gruntu tylko ubywa, co rok go mniej pod stopami; nam chłopom go odbierają, za lichwy i sekwestracje, a inni, wrogi nasze go nabywają. I czem tu będzie wyżywić naszą chudobę i czem się tu w starości przed nędzą ognać? — Nas z ziemi ojczystej wyganiają, do Ameryki pokazują żydzi drogę, z majątków nas wywłaszczają, a z zagranicy tu przybywają i dobrze się im powodzi, panoszą się, a tylko nam swoim u swoich źle. Z zagranicy wszystko sprowadzają, mówią że lepsze: i towary, i owoce, i skóry i pszenicę, meble i stoły, zegary, kotły, a nawet i ludzi obcych już nie brak: nam swoim tu ciasno, a dla obcych przestronno. Przybyło dość i rzemieślników, choć swoi nie wiele mają do roboty, i ogrodników, i kucharzy i leśniczych i innych mnóstwo robotników, a nawet księży zagranicznych tu nie brak, — nasi po lada wsiach i górach się tełepią, niektórzy i licho żyją, a obcy po miastach i klasztorach się kryją i wygodnie żyją.

A teraz i posłów z zagranicy próbują obierać, taj już i obrali, a taki poseł nic w sejmie nie robi, gęby nie otworzy. Taj tylko, ot co robić, ciężkie czasy!

Dawniej to lepiej bywało, a oni powiadają, że dziś lepiej, abo ja wiem?

Co przódy z miski jeden lub dwu spożywało, to teraz na tę samą miskę spogląda dziesięciu: pięciu swoich a pięciu zagranicznych.

Oj ciężkie czasy! Co prawda, to nie grzech.

Lepiej oto by się postarali, żeby my po więcej morgów ziemi otrzymali, żebyśmy sami handlowali, a nie żydy, co okrutny profit z tego mają, abyśmy nie potrzebowali w biedzie naszej razem z żywizną t. j. bydlętami w jednej chałupie mieszkać, i jałowe ziemniaki z kapustą jadać i brudno chodzić, jak to teraz musimy, nie mogąc dla braku zarobku i biedy się podnieść.

Projekty zapobieżenia klęsce tegorocznej.

Nasi posłowie do Rady państwa naradzali się temi dniami, jakby złemu zaradzić.

Na posiedzeniu Koła polskiego w Wiedniu, poseł Hompesch skreślił obraz położenia ludności. Przedstawiwszy, że niedostatecznemi są środki dla przyjścia w pomoc ludności, dotkniętej tegorocznym nieurodzajem, przedłożył on aby zażądać przedsięwzięcia przez rząd wszelkich kroków, mających na celu zapobieżenie ekonomicznemu upadkowi ludności w częściach kraju, dotkniętych nieurodzajem, a mianowicie aby domagać się:

1) Wybudowania zaprojektowanych a za potrzebne uznanych dróg żelaznych, przechodzących przez powiaty dotknięte nieurodzajem; 2) dla dostarczania zboża na zasiew wiosenny wła-

ścicielom mniejszych gospodarstw w okolicach dotkniętych nieurodzajem, przeznaczyć sumę 1 miljon złr. ze skarbu państwa, albo dostarczyć zboża za taką sumę; 3) we wszystkich tych wsiach i miasteczkach, gdzie budowa szkół ludowych nie może być wykonaną, z powodu niedostatku, należy gminom bezzwłocznie udzielić pożyczek, 4) dla zaradzenia przyszłemu brakowi nawozu powinny saliny w Kałuszu dostarczyć w dostatecznej ilości soli potasowych po cenach przystępnych; 5) wszystkie udzielone pożyczki winne być bezprocentowe, spłacalne w ciągu lat 6, począwszy od 1. grudnia 1892; 6) czynność cała Koła polskiego powinna być, oprócz uchwalenia budżetu, zwrócona wyłącznie do akcji ratunkowej, z powodu niedostatku w Galicji; 7) jeżeliby odpowiedź rządu na te kroki była nieodpowiednią, należy całą sprawę wytoczyć przed Radę państwa.

P. Chrzanowski wykazawszy, że sumy przeznaczone na roboty publiczne powszechnej użyteczności w celu dania zarobku ludności dotkniętej niedostatkiem w Galicji, są niedostatecznemi, przedstawił, iż trzeba starać się wydobyć jeszcze inne sumy na te roboty publiczne.

P. Władysław Czajkowski wniósł, aby Koło starało się wyjednać, iżby rząd wstrzymał egzekwowanie podatku gruntowego w miejscowościach dotkniętych nieurodzajem z powodu posuchy i innych klęsk elementarnych.

Włościanin, poseł Orzechowski, przedłożył Kołu na piśmie wniosek brzmiący jak następuje: „Koło raczy nietylko wyjednać u rządu, o ile się da, ulgi w odpisaniu podatków gruntowych, gdyż po roku tak krytycznym, kraj nasz na to zasługuje, bo nie ma może pamiętnika, żeby taka dotkliwa plaga na rolnictwo spadła, jak tego roku, że gospodarz nie jest w możności jednej trzeciej części swego inwentarza wyżywić, a tembardziej ani za bezcen takowego sprzedać i *znikąd na opłacenie podatków rządowych, krajowych i gminnych grosza wydostać*; wnoszę zatem, ażeby po uzyskanym opuście podatku gruntowego, Wys. Koło raczyło dodatkowo u rządu wyjednać, ażeby reszta przypadającego podatku z roku 1888 rozłożoną była na trzy lata ratami. Tym sposobem dopomoże się krajowi z krytycznego położenia się wydobyć.“

12 grudnia przyszedł telegram, że prezes Koła polskiego p. Jaworski zawiadomił Koło, iż p. minister skarbu oświadczył mu, że żądania Orzechowskiego względem rozłożenia zaległych podatków na 3 lata i Czajkowskiego względem zaprzestania egzekucyj *nie może spełnić*; zarządzi jednak, by uwzględniano niektóre wypadki. Wniosek Chrzanowskiego o wydawanie ludności dotkniętej głodem soli za połowę ceny, nie może być uwzględniony ze względu na Węgrów; przeciw tym oświadczeniom wystąpił cały szereg mowców. Teraz zapewne w myśl wniosku posła Hompescha sprawa zostanie przedłożona Radzie państwa. Bo nie chodzi o to, aby w tym lub owym wypadku egzekucja została poniechaną, albo żeby dla tej lub owej gminy uzyskać bezpłatną surowicę solną — ale idzie: o środki, któreby ogromnej części kraju dotkniętej nieurodzajem przyszły z ratunkiem pomocą. Minister skarbu może na żądanie Koła polskiego odpowiedzieć odmownie, a swoją drogą Rada państwa może postanowić co uzna za stosowne.

Listy do „Przyjaciela Ludu“.

Z pod Lubaczowa.

Widząc jak chętnie i wytrwale stawiacie tamę niedoli i upadkowi naszemu, zwracamy się do Was, przedstawiając rozpaczliwe stosunki nasze. Poprostu na wyzysk i ruinę skazani jesteśmy.

Do marca b. r. trzymali S. Katz, a po tego śmierci córka Gitla Sanbank przez lat

zwyż pięćdziesiąt folwark Łukawiec w dzierżawie. Folwark ten należy do dóbr stołowych biskupstwa rz. kat. w Przemyślu. Gdy w marcu bieżącego roku wygasła dzierżawa Gitli Sanbankowej, zgorzały gumna z rzekomo znacznymi zbiorami i z niewiadomej przyczyny. Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń stawiało przy likwidacji niesłychane trudności, a po przeprowadzeniu sądowo karnych dochodzeń połączonych z uwięzieniem ekonoma Leibusia wypłaciło nareszcie zaledwie połowę ubezpieczonej wartości.

Miłującym lud i kraj zdawało się, że teraźniejszy dożywotni właściciel dóbr nie wydzierżawi więcej Łukawca żydom, i cieszyliśmy się szczerze, że gospodarkę wzięto we własny zarząd, bo spodziewaliśmy się, iż lud odetchnie wreszcie po półwiekowej niewoli i pozbędzie się z czasem niemoralności, przyswojonych sobie różnych wad i podniesie się także materjalnie.

Musimy bowiem zauważyć, że Łukawiec z przysiółkami blisko na milę rozległy nie ma czytelni, straży pożarnej, przyborów ogniowych, własnego sklepu, Kółka rolniczego i kasy zaliczkowej, lecz za to ma lichy i szczupły budynek szkolny, nieudolną i opieszałą zwierzchność gminną i może więcej jak tuzin zamieszkałych rodzin żydowskich, żyjących bądź z gospodarstwa rolnego, bądź też z handlu i wyszynku, a co smutniejsza ma wielu nałogowych pijaków i złodziei, jakoteż pochopnych do gwałtownych zabójstw, co kronika sądowa, niestety, licznie wykazuje.

Skutkiem tych braków i stron ujemnych wszyscy po ludzku czujący i myślący przyjaciele ludu bardzo się zasmucili wiadomością, że zarząd biskupi wydzierżawił teraz Łukawiec, pomijając katolików, którzy się zgłaszali, znowu spółce żydowskiej, złożonej aż z czterech osób.

Przy takim składzie rzeczy musi pożałowania godny lud w Łukawcu moralnie i materjalnie już zupełnie upaść, bo chyba nie potrafidrugie pół wieku opierać się demoralizacji i niszczeniu, choćby nawet przy najsilniejszem przeciwdziałaniu kościoła i szkółki.

Wiedzieć między innemi potrzeba, że wszystkie sprawy administracyjne z tygodnia załatwiają żydowscy dzierżawcy zwykle w niedziele i święta katolickie, a także i wypłatę robocizny, lecz nie gotówką, tylko kwitkami, które znowu karczmarz wykupuje potrącając sobie pewny rabat i targując przy tej sposobności także za wódkę, tak, że z grosza krwawo zarobionego tylko malutko co dostaje zarobnik na rękę od karczmarza.

Dzień zaś świąteczny — nabożeństwo, i modlitwa i odpoczynek, zupełnie sponiewierane — zdeptane, ponieważ czeladź i zarobnicy wolni są od pracy w sabaty, a pracować muszą w święta katolickie. Jakże ten lud może się mieć dobrze, być trzeźwym moralnym, kiedy na każdym kroku jest wyzyskiwany, a nie ma dobrego przykładu i wzoru.

Jeszcze raz powtórzyć musimy, że w obec takich stosunków kościół, cerkiew i szkoła nie zaradzą złemu.

Gdy więcej jak połowa dóbr stołowych jest w ręku żydów, może wysoki Sejm zaopiekuje się tą sprawą i pomoże zarządowi biskupiemu do wyjścia z tego zaczarowanego koła, a biednemu ludowi do lepszego bytu i zbawienia dusz, którym nieochybna zagłada grozi. Nawet złote Radymno wydzierżawili żydzi po śmierci Krafta; widać, że wdowa nie mogła się utrzymać przy dzierżawie.

Przed chatą.

Nowe słonko w niebie stoi,
Nowe słonko, nowe lato,
Wyszedł stary dziaduś z chaty
— Bóg cię trzymaj, moja chato!

I obrócił się na zorzę,
I wyciągnął obie ręce,
Błogosławił krzywym płotom,
Krzywym płotom i studzience.

— Bóg was trzymaj, krzywe płoty,
Drobnym chrustem zaplecione!
Chodziły tu wielkie wichry,
Ale poszły w swoją stronę...

Bóg cię żegnaj ręką swoją,
Ty studzienko, z żytnią wiechą...
Napoiłaś ty mnie łzami,
Napoiłaś i pociechą!

I obrócił się na zachód,
Na to pólko, na te łany...
— Bog cię trzymaj, ziemio moja,
Mój zagonie przeorany!

Siedmiorakim ja cię potem,
Jako drobnym dżdżem polewał,
I za pługiem chodząc miedzą,
Ze skowronkiem tobie śpiewał.

Razem z ziarnem padło słowo,
Razem z ziarnem pieśni padły,
Na ten chleb naszego jutra,
Co go będą wnuki jadły.

I obrócił się na północ,
Na to niebo zachmurzone,
I zakreślił krzyż szeroki,
I ukazał łzy dwie słone...

I zapatrzył się daleko,
I pierś stara ledwo dyszy...
I mogiłom gdzieś nieznanym
Błogosławił dziaduś w ciszy.

KLEMENS BORUTA

przez

W. Okońskiego.

(Dokończenie).

— Nie pan.

— A my co, z fanaberyi? Nie jadamy pieczonych kijów. Wolę tu tydzień daremnie siedzieć, niż za głupią markę się najmować.

— Wolicie za siebie.

— A jużci nie za was — odparł gniewnie chłop — kopcie sobie i nosem nie motyką kartofle, jak się wam podoba.

Gromada się zaśmiała, Boruta poczerwieniały od gniewu mruknął:

— Swoim nosem jeszcze nie kopałem, ale waszym zaraz mogę.

— Zorz, zorz, to ja tę skibę twemi zębami posieję.

— Cymbał! — rzekł Boruta i wyszedł wśród świstów i krzyków:

— Chwat w nogach!

W karczmie nie dano mu żadnej rady- nie nastręczono roboty, ale z groźb nie naja mowania się dworowi za tanią cenę, błysł. mu nadzieja, że ręce jego będą pożądane Wraca weselszy i słusznie, bo dowiedział się od Brzosta, że Dornfisch przysyłał po niego do młocarni. Odtąd dni wyrobnika różnie się przeplatały: kolejno miewał i nie miewał zajęcia, a ta niestałość nie zubożyła go odrazu, ale zsuwała powoli do nędzy. Skazany często na bezczynność, musiał zarobkiem jednego dnia pokrywać potrzeby kilku, a tymczasem nadchodząca spiesznie zima wydatki ciągle mnożyła. Sam Boruta nie miał ciepłego ubrania, z dziewczyny obleciało wszystko, mrozy szczypały coraz silniej; obok tych kłopotów przyszedł inny, podobno najstraszniejszy, mianowicie zupełny brak roboty. Po obrobieniu pola, możność najmu w folwarku prawie ustała, Klemens ze drżeniem oczekiwał jutra, które go ostatecznie chleba pozbawi.

Pewnego rana Brzost z pościeli się nie podniósł. Dopóki plótł, chociaż niedołężnie i powoli swoje koszyki, dopóty zarabiał na garnek ciepłej strawy i nie był dla Boruty ciężarem. Teraz, gdy się rozchorował, wyro-

bnikowi przybyły trzecie głodne usta do nakarmienia. Czuł to chory starzec.

Trzy dni upłynęło bez roboty. Przez te trzy dni Klemens prawie nic nie jadł, choremu rymarka dawała po troszce mleka, Marcysia żywiła się obierzynami z kartofli.

Głód — jeden tylko wyraz, a ileż cierpień! Zdaje się, że każda w nim zgłoska jęczy. Jęk ten nie wyrywa się nigdy z jednych ust, ale brzmi ich chórem. Gdzie morowe widmo głodu powiało swą śmiertelną chustą, tam pada nie jedna ofiara, ale całe gromady. Tak było i w Nędzy. Od lata zarówno w Nędzy, jak i w jej okolicach panowała bieda, ale dopiero w jesieni, gdy nadzieja ratunku zgasła, gdy przyszłość rozwarła się jak noc ciemna i przerażająca, z tysiąców piersi wybiegło straszne hasło głodu. Hasło to złowrogiem echem zabrzmiało w całej powincyi, w całem państwie, odbiło się o tron, przeleciało za granicę, zawiadomiło o klęsce świat wszystek. W tym okropnym chórze był i głos Boruty.

Przez trzy dni, jak rzekliśmy, nic on nie jadł, a musiał przytem patrzyć na karmiące się obierzynami kartofli dziecko i dogorywającego Brzosta. Stary owczarz rozdzierał mu serce nietylko swym widokiem, ale i swojemi słowami.

— Mój robaku — mówił — nie myśl o mnie, godzina dłużej czy krócej, wszystko jedno. Lepiej nawet, że bieda dodusi. O Marcysi pamiętaj i o sobie. Mnie, żebyś marcypanami karmił, nie uzdrowisz. Już czas ciało zrzucić, ledwie się trzyma. Nie dawaj mi mleka, niech mała wypije. Nie widzę was, moi kochani. Ach! żebym chociaż na minutkę przejrzał i pożegnał się z wami. A może i lepiej, żem ślepy. Sprzedałeś Klemensie wszystkie koszyki?

— Wszystkie — odrzekł z westchnieniem Boruta.

— Nic już nie ma — ciągnął Brzost słabo — nie ma, a ręce pozamierały. Palcami ruszać nie mogę... probowałem zgiąć prątek... gdzie tam! Dusza zewsząd uciekła, tylko jeszcze w piersiach siedzi. Ale niedługo wyfrunie. Na jednym włosie się trzyma. Napar z wierzbinowego kwiatu pomaga, ale skąd takiego kwiatu wziąść. A do wiosny nie doczekam. Marcysia, jadłaś co dziś?

— Nic, dziadku.

— Idź do dworu, poproś starej Jagny, ona kawałek chleba dla ciebie wyszuka. Toż tam sześciu psów żywią i dla ciebie się znajdzie. Pobiegnij mała i spytaj jej, czy nie ma kwaśnego jabłka z kapusty, bo mi bardzo sucho w gębie.

Po wyjściu dziewczyny stary zapadł w większą gorączkę. Klemens nie mógł znieść jego majaczenia i wysunął się z izby. Przed domem spotkał rymarza, któremu bieda również dokuczać zaczęła.

— No, stuknijmy się łbami i rozbijmy je — rzekł Klemens — bo już niema innej rady.

— Ja idę do landrata, mówią, że rozdaje zapomogi.

— Zkądże?

— Z Berlina przysłali.

— Ha, pójdę i ja.

Poszli. Landrat mieszkał o milę drogi. Przed domem jego stała gromada ludzi, wynędzniałych, obszarpanęch, drżących od zimna i chwiejących się od głodu. Szeptali oni coś znacząco między sobą, w duszę nowoprzybyłych wstąpiła nadzieja.

— Żeby nie miał dać, toby nas nie wołał — mówiła jakaś kobieta.

— Ale gdzież tyle zboża?

— Pewnie w magazynach, tylko kwitki napisze.

Nareszcie wyszedł landrat.

— Moi kochani — rzekł po niemiecku— bądźcie spokojni, wczoraj zdałem raport i wezwałem dla was pomocy.

Gromada zaczęła się rozchodzić.

— Co robić teraz? spytał Boruta.

— Tak, chyba łeb o łeb rozbić — mruknął rymarz.

Klemens, przechodząc koło kuchni księdza, zatrzymał się nagle przed śmietnikiem. Między rozmaitego rodzaju obrzynkami i kośćmi leżała kupka kłów buraczanych.

— Patrzcie — rzekł do rymarza — ksiądz miał jeszcze przeszłoroczne buraki, jak to w piwnicy wyrosły. Zda się na barszcz—co?

— E, gdzieby...

— Zda się, powtórzył Boruta i ziele zbierać zaczął. Napakowawszy niem kieszenie i zanadrze, pośpieszył z towarzyszem drogą do Nędzy. Jakkolwiek wyprawa ich była chybiona, powracali jednak nieco weselsi.

— Aby jakiś czas przebiedować — mówił Boruta — zanim komisja przyjedzie.

— Mówią — dodał rymarz — że w sejmie za nami się upomną i że cesarz ileś tam tysięcy marek dla biednych ofiarował.

— A no, to i dobrze; ale czy na taką moc ludzi wystarczy. Wszędzie głód, kiedy jeden w gębę kładzie, stu głodnych mu w oczy patrzy. Siądźmy, Józefie, bo mi nogi omdlały.

Usiedli przy drodze.

— Nie macie kawałeczka chleba?

— I odkąd nie mam! Ledwie dzieci po kruszynie dostaną.

— Tak nie było, nigdy jeszcze nie było.

Z trudem przywlekli się do wioski. W domu zastał Boruta nieprzytomnego Brzosta i płaczącą Marcysię.

— Masz — rzekł do córki, wyjmując kły buraczane — gotuj teraz barszcz.

— Nie umiem. tatulu, tego robić.

— Gotuj, głupia, tylko, samo się zrobi.

I zrobiło się rzeczywiście samo, ale co, tego nawet Boruta powiedziećby nie umiał. Kły buraczane utworzyły jakąś bladoróżową masę i zabarwiły tymże kolorem wodę. Gdy Marcysia wylała odwar na miskę, ojciec jej zadumał się nad pytaniem, co właściwie jeść należy: kły, czy wodę. Skosztował — jedno i drugie bez soli, bez kwasu, bez żadnej doprawy było obrzydłem. Klemens jednak, który od kilku dni, prócz mrożonego głogu, nic nie jadł, znalazł w tem smak doskonały.

— Soli tylko brak — rzekł. Brzoście, napijcie się barszczu.

— Jedzcie sami, moi drodzy. Jagna nie dała mi jabłek, w gębie gorzko, ale inaczej nie będzie.

— Kapkę — namawiał Boruta.

— Ha, daj na łyżkę.

Klemens wlał mu w usta trochę odwaru. Owczarz posmakował i splunął.

— Mnie już nic nie dogodzi, zdaje mi się że ciepła woda.

— Jedz Marcysia — rzekł Boruta widocznie łaknący tej ciepłej strawy.

Gdyby mógł wszystko sam pochłonąć! Widok wszakże wynędzniałego dziecka tłumił w nim głód, a budził ojcowskie przywiązanie.

— Jedz prędko — naglił, jak gdyby chciał usunąć sobie z przed oczu pokusę.

Marcysia chciwie jadła. Gdy nareszcie przestała, ojciec pochwycił miskę, wypił z niej resztkę odwaru i zjadł pozostałe zielsko.

Marcysia, sprzątnąwszy naczynia, siadła pod zimnym piecem. Z bladej twarzy, z osłupiałych jej oczu widać było, że chciwie spożyty barszcz ją zemdlił. Jakoż zaczęła jęczeć, krztusić się i spluwać.

— Nie mówiłem — krzyknął Boruta — żebyś jadła wolno. Prosiak.

W tej chwili wpadł do izby rymarz.

— Klemensie, żona mi tak zachorowała jak Maciejowa. Ma czerwone plamy, bredzi, nie macie pod ręką jakiego lekarstwa?

Urąganiem było żądanie lekarstwa od tych, którzy jeść nic nie mieli. To też Boruta wzruszył ramionami.

Przez cały dzień również nikt drzwi nie uchylił. Nawet mały Wicek, który do starego Brzosta często przybiegał, zajęty płaczem przy chorej matce, ani razu się nie pokazał. Pod piecem, na tem samem miejscu gdzie padła, leżała nieprzytomna Marcysia, z której ust wydobywały się syczące oddechy. W kącie, na barłogu, rzucał się rozgorączkowany Boruta, trapiony jakiemiś widzeniami. Przy drugiej ścianie Brzost nie dawał znaków życia.

— Klemensie, Klemensie! — zawołał rymarz.

— Jest ktoś żywy? — odezwał się owczarz słabym głosem. — Kto to?

— Ja.

— Ty Józefie — o, mój drogi, co się dzieje? Słyszę jęki, krzyki i nie wiem, czy kogo zabili, czy kto umiera?

— Klemens z córką chorzy.

— Chorzy — powtórzył stary — to już wszystkim koniec. Aby prędzej... aby prędzej... Czem my zgrzeszyli, że nas tak Bóg karze... Prosiłem Klemensa: dobij, nie chciał. Teraz niema nawet komu dobić... Straszna godzina! Jakie piekło być musi, kiedy taka ziemia! Nie masz ciepłej kropli, bo mi wnętrzności marzną?

— Żona chora — odrzekł zrozpaczony rymarz, a usłyszawszy w swem mieszkaniu krzyk, wybiegł.

Brzost pozostał sam. Świszczące oddechy Marcysi, oderwane, dzikie słowa Klemensa, pobudzały co chwila imaginację opuszczonego starca, który powoli zapadał w stan nieprzytomnego rozdrażnienia. Silna gorączka zaczęła go coraz bardziej rozstrajać.

— Nie wypędzę owiec — mówił w malignie — bo duża rosa... Klein mnie wypędzi... Burek, do nogi... podły pies... poczciwy... zdechł... z głodu!... Brzost sam nie miał chleba, jemu nie dał... Ślepy, świata nie zobaczy, własnych rąk swoich nie widzi. któremi koszyki pleść musi...

Tak długo jeszcze bredził dogorywający starzec. Omdlałe wreszcie usta zaczęły wyszeptywać niezrozumiałe dźwięki, potem tylko drgały niemo... usnął.

Na drugi dzień po Nędzy przebiegła wieść o przyjeździe lekarza, który miał sprawdzić stan zdrowia wsi, i landrata, który przywiózł zebraną naprędce z ofiar jałmużnę. Skupiła się też przed dworem gromada obdartych, wynędzniałych biedaków, wyczekując wsparcia i porady. Po porozumieniu się z rządcą obaj urzędnicy postanowili przedewszystkiem odbyć rewizję mieszkań. Dom Boruty stał pierwszy przy drodze od dworu, do niego więc naprzód wstąpiła komisja, której towarzyszył orszak nędzarzów. Gdy lekarz otworzył drzwi, przed oczyma obecnych odsłonił się bolesny widok. W zimnej, z wszelkich sprzętów ogołoconej izbie, leżały trzy wyschłe, nieodziane, okropną woń ziejące ciała. Lekarz obejrzał dziewczynę, potem Klemensa, a wreszcie przystąpił do Brzosta.

— Stary umarł — rzekł opuszczając zimną rękę owczarza, która bezwładnie opadła.

— Wczoraj jeszcze żył — wtrącił rymarz, który się ze swej izby wysunął.

— Trzeba go wynieść — mówił doktor — bo powietrze zaraża.

— A co tam jest? — spytał landrat.

— Głód i zaraza.

Z kolei opatrzono inne chaty.

Rezultatem tego śledztwa było zawiązanie z kilku włościan tymczasowego towarzystwa, które przed nadejściem energiczniejszej pomocy miało opiekować się chorymi i rozdzielać zapomogi między głodnych. Tak więc Boruta z córką dostał się pod jakąś opiekę. Tegoż jeszcze dnia wyniesiono na cmentarz ciało Brzosta. Gdy zabijano jego prostą, ze starych desek zrobioną trumnę, zbudzony na chwilę Klemens otworzył wystraszone oczy, chciał powstać, zabełkotał coś i znów wpadł w nieprzytomność. Kiedy wynoszono starca, tylko mały Wicek odprowadził go za bramę, wołając z płaczem.

— Dziadku, dziadku! Koszyki!...

Czy sądził, że go tym ostatnim wyrazem prędzej zawróci?

Po odwiedzinach komisji warunki życia, a raczej choroby Boruty i jego córki nie zupełnie się zmieniły. Wprawdzie najęta przez „towarzystwo“ baba zamiotła izbę, rozebrano i oczyszczono chorych, dano im potrosze przywiezionego z fabrycznej apteki kalomelu, ale o żadnem pielęgnowaniu nie mogło być nawet mowy. Za dużo było we wsi chorych i obawiających się zarazy. Przyjechał do Nędzy felczer, ale ten zaledwie raz dziennie odwiedzał cierpiących. Po upływie tygodnia Boruta odzyskał napozór przytomność, bo mówił. odpowiedzi wszakże jego, połączone z silnemi napadami maligny, zdradzały zupełny rozstrój umysłowy. Przytem tak ogłuchł, że dźwięki nawet silnego głosu z trudnością doń się przedostawały. W drugim tygodniu choroby przedstawiał on postać palącego się w gorączce słupa. Język mu osłupiał, oczy się przekrwiły, gardło grało rzężeniem, dziąsła i zęby pokryły się kleistym okładem, nozdrza sadzą. Leżał ciągle na plecach z oczyma przymkniętemi, mrócząc niezrozumiałe słowa.

W podobnym, a może jeszcze okropniejszym stanie znajdowała się Marcysia. Stary felczer znacząco nad nią kiwał głową.

— Czort wie — mówił — jakiej choroby tu nie ma! Cała orkiestra.

Dziewczyna ani razu od dwóch tygodni nie odzyskała przytomności. Z ruchów jej tylko można było poznać, że cierpi silny ból głowy i piersi. Wyschła tak, że pod skórą odbijały się lekkie wypukłości kostne. Opiekująca się choremi baba, spostrzegła, że mała zaczęła się nagle rzucać bezprzytomnie, zauważyła:

— Śmierć pewnie widzi.

Niepokój ten ustał, ale chora widocznie zapadła w większą niemoc. Nareszcie jednego dnia felczer, przyszedłszy rano, obejrzał ją i rzekł do baby.

— I tę możecie już wynieść.

Umarła. Gdy grabarz zabijał trumnę, Boruta znowu otworzył błędne oczy, popatrzył na nią, zdawał się coś pojmować, chciał jakiś głos wydać, ale zakaszlał się i padł na posłanie. Mruczał potem długo. Marcysi nie odprowadził do wrót nawet Wicek, bo i on był już chory.

Pozostał w izbie sam tylko Boruta ciągle nieprzytomny. Zapewnie i on niedługo za przyjacielem i córką podąży?

W dwa dni po drugim pogrzebie, felczer zauważył silne opadnięcie gorączki u chorego.

— Tego zgryść niełatwo — szepnął.

Boruta ciągle spał, nie snem jednak gorączkowym, obezwładniającym, ale jakimś głębokim i zdrowym. Co kilka godzin budził się i objawiał żądania sposobem ujawniającym powrót przytomności. Powoli znikły z ust, języka i nosa chorobliwe znamiona. Trwało to przeszło tydzień.

W ciągu tego czasu zaszły ważne zmiany. Szeroko rozniesiona wieść o głodzie na Szląsku wywołała w Niemczech i po za ich granicami hojne ofiary, których część spłynęła i do Nędzy. Zawiązane początkowo „towarzystwo“ rozszerzyło się znacznie i pozyskało środki pomocy biednym. Zwłaszcza dary i składki z Królestwa Polskiego, przesyłane do komitetów głodowych, spadły na Nędzę jak cudowne zbawienie. Dzięki im Boruta leżał w opalonej izbie, dostawał potrzebne lekarstwa i pokarmy, miał świeżą słomę, czystą bieliznę i ciepłe okrycie, czego nie doczekali Brzost i Marcysia.

Jednego poranku, chory po długim, pokrzepiającym śnie, otworzył oczy, rozejrzał się po zmienionej izbie, powiódł okiem po flaszce z lekarstwem, swojej odzieży i palącym się ogniu, aż wreszcie zatrzymał je na łamiącej drewna kobiecie. Widocznem było, że nie rozpoznaje swego położenia, że mu się dziwi i zbiera rozproszone myśli.

— To wy Rafałowa? zapytał drżącym głosem.

— Ja — a czegoż to?

— Gdzie Marcysia?

— Oho! wysoko. Modli się za was.

— Umarła?! — krzyknął Boruta.

— I lepiej.

Głęboki, rozpaczliwy jęk wydobył się z piersi Klemensa, który zamknąwszy ciekną-ce łzami oczy, leżał długo niemy.

— Brzosta wyrzucili?

— Wrzucili... do grobu.

Boruta znowu zamilkł i popadł w stan bezwładności. Zaczął na jawie, czy we śnie majaczyć i głośno szlochać. Podczas płaczu wymawiał ciągle imię córki i owczarza, skarżył się i żalił.

Felczer znalazł go bardziej osłabionym i rozgorączkowanym.

— Czy nie zjadł czego?

— Nie — odrzekła Rafałowa — dowiedział się, że córka i owczarz umarli.

Przez kilka dni trwał stan nie pewny. Nareszcie Boruta obudził się. Patrzał jak wprzódy, rozglądał się, ocierał łzy i milczał. W końcu spytał:

— A kto też, moja Rafałowo, uratował mnie i dał to wszystko?

— Chyba komisja, ksiądz albo landrat — odrzekła.

— Ksiądz albo landrat? — powtórzył Klemens.

— Ano juści, przecież to do nich przysyłają pieniądze z zagranicy... z Warszawy... Polaki. Wszystkim głodnym dają, nietylko wam.

— Polaki — szepnął Boruta zdziwiony, utkwił nieruchomo oczy w przestrzeni i myśleć zaczął. O czem? Mówić nie będę, to tylko dodam, że blada jego twarz drgała silnem wzruszeniem. Nawet i dziś, gdy wyzdrowiał i do nowej, ostatniej walki z życiem się gotuje, zdaje się jeszcze dumać o tem, co mu Rafałowa powiedziała, o tych braciach Polakach, co zdaleka wyciągnęli rękę pomocy do cierpiących pod niemieckiem panowaniem rodaków.

KRONIKA.

O emigracji do Ameryki. W poprzednim numerze „Przyjaciela ludu“ wspomnieliśmy o emigracji naszych włościan do Ameryki i o tem, jak to ich okrutnie wyzyskiwali i krzywdzili po drodze niesumienni ajenci, których teraz sądzą na kryminał w Wadowicach. Dodaliśmy przytem słowa następujące: »Jakichś sprawiedliwych komitetów amerykańskich dla emigracji ludu (polskiego) nie ma, są za to inne obrachowane na cygaństwo«. Do tych słów otrzymaliśmy od ks. Fr. Kacza wikarjusza w Rychwałdzie sprostowanie, które też z podziękowaniem umieszczamy, sądząc, że nie jednemu z naszych czytelników może się przydać zawarta w niem wiadomość Otóż donosi nam ks. Kacz, że istnieje (szkoda, że nie podał, g d z i e?) stowarzyszenie, mające za cel opiekę nad wychodźcami. Jest to stowarzyszenie św. Rafała, złożone z kapłanów katolickich, którzy mając za cel nie wzbogacenie się, lecz dobro duchowe i cielesne emigrantów, bezinteresownie radę i pomoc dają każdemu, kto do nich się udaje. Istnieje ono od 20 prawie lat i ma swoich członków we wszystkich prawie miastach portowych starego i nowego świata nie popiera ono emigracji, lecz kto już zdecydowany jechać temu ofiaruje swą pomoc w wymianie pieniędzy, kupieniu biletu itp. nadto bezpłatnie na czas podróży morskiej pożycza książek do czytania z obowiązkiem oddania ich na drugim brzegu. Przyznajemy się, że o istnieniu tego stowarzyszenia nic dotychczas nie słyszeliśmy, to gorsza jednak, że nie słyszały też o niem tysiące naszych włościan, którzy wpadali w sieci niesumiennych ajencyj.

Kółka rolnicze. Dnia 22. listopada br. na pierwszem posiedzeniu nowo wybranego Zarządu głównego na następne trzylecie ukonstytuował się Zarząd główny wybierając: prezesem p. Bolesława Augustynowicza, wiceprezesem p. Tymoteusza Mandybura em. radcę i inspektora szkół krajowych; skarbnikiem ks. infułata dra Feliksa Zabłockiego; sekretarzem p. dra Bronisława Dulęby. Do wydziału wykonawczego weszli: pp. Baranowski Bolesław insp. szkół kraj., Barański Antoni, dr. prof. szkoły weterynarji; Bielański Władysław, delegat Tow. wzaj. ubezpieczeń; Bisanz Gustaw, prof. politechniki; Olszewski Stanisław, inspektor szkół krajowych; Onyszkiewicz Zdzisław, właśc. dóbr; Porceri Ksawery, dyrektor składów zbożowych; Rylski Tomasz, prof. wyższej szkoły roln. w Dublanach i Wilczyński Albert. W miesiącu listopadzie zawiadomiły Zarząd główny Towarzystwa o swojem zawiązaniu następujące Kółka: 455) Jaślany, powiat Mielec; założył p. Ksawery Bosak, nauczyciel przy współudziale ks. proboszcza Busia; 456) Bieńkówka pow. Myślenice, założył p. Klemens Zagórski, nauczyciel przy współudziale tamtejszego duchowieństwa i p. naczelnika gminy Marcina Gaczora; 457) Jaryczów nowy, pow. Lwów zał. p. Wilhelm Halnza, nauczyciel; 458) Byczów, pow. Wadowice, zał. kierownik tamtejszej szkoły Józef Bandoła przy pomocy ks. proboszcza Stanisława Lachmanna i naczelnika gminy p. Jana Szweda; 459) Chmielów pow. Tarnobrzeg zał. p. Jan Grieswald, dzierżawca dóbr; 460) Iwkowa pow. Brzesko zał. p. Wojciech Salabura, nauczyciel i naczelnik gminy p. Mikołaj Skirło; 461) Krzeszów p. Żywiec, zał. ks. Stanisław Niziołek, wikary tamtejszy; 462) Jodłowa pow. Pilzno, zał. p. Józef Świątkowski nauczyciel w Dębowej, przy współudziale tamtejszego właśc. dóbr p. Ludwika Kollata i ks. Jędrzeja Rymara miejscowego wikarego; 463) Malinówka pow. Brzozów, zał. Jan Konieczny, miejscowy nauczyciel; 464) Kondratów, pow. Złoczów, zał. Julian Grabianka nauczyciel przy współudziale naczelnika gminy p. Władysława Sobczyńskiego; 465) Chocznia, pow. Wadowice, założ. Franciszek Wiśniowski tamtejszy kierownik szkoły; 466) Podhajce tam i powiat założył ks. Władysław Wańkowicz, wikary miejscowy.

Konkurs na dziełko ludowe. Zacna, sprawie ludowej oddana młodzież wyższej szkoły rolniczej w Dublanach ogłasza konkurs na napisanie dla włościan polskich dziełka treści ekonomicznej, tyczącej się bądź spółek rolnych, bądź banków włościańskich, lub też innego rodzaju stowarzyszeń, mogących bezpośrednio przynieść korzyść naszemu ludowi wiejskiemu. Dziełko ma być napisane w języku przystępnym. Rękopisy mają

być nadsyłane do 1. maja 1890 r.; nagroda zaś konkursowa wynosi 100 złr. Sąd o tem, która z nadesłanych prac jest najlepszą, wydadzą pp. dr. Bronisław Dulęba, dr. Ludwik Finkel, Iwan Franko, dr. Tadeusz Rutowski, Stanisław Szczepanowski, Bolesław Wysłouch a ze strony słuchaczów wyższej szkoły rolniczej w Dublanach ak. Stefan Surzycki.

Pisma codzienne podały do wiadomości publicznej wypadek ściągania podatków, na który posłowie włościańscy do Rady państwa powinniby zwrócić uwagę. Wieś Krasne, powiatu złoczowskiego, padła dnia 24. września ofiarą pożaru, który zniszczył do szczętu wszystkie zabudowania i wszystkie zapasy zimowe 27 gospodarzy. Ogółem 143 osób pozostało bez najmniejszego zabezpieczenia na zimę i pozostają obecnie na utrzymaniu pozostałych członków gminy. Z powodu nieurodzaju i braku paszy wysprzedali nietylko pogorzelcy, ale wszyscy inni bydło swe żydom, którzy nabywali je za pół darmo, bo najlepsze krowy po 10—12 złr. a konie po 6, 7 a nawet po 1 złr. 50 ct. Sami ludzie żyją, dopóki ich jeszcze na to stać, jęczmiennym chlebem (bo żyta i pszenicy kupowali nawet na nasienie, i gołemi kartoflami. I tak to nieszczęście, które dotknęło 27 gospodarzy, odczuwają wszyscy ich sąsiedzi, którzy muszą wszystkiem z niemi się dzielić, gdyż pomoc dla pogorzelców od władz krajowych (prócz Sejmu, który udzielił 150 złr.) nie nadchodzi znikąd. Lecz nie dosyć na tem. Jeszcze ludzie nie oswoili się zupełnie z tem pierwszem nieszczęściem gdy w tem dnia 27. listopada spadła na wieś nowa klęska. Sekwestrator podatkowy wysłany przez c. k. starostwo, czy też przez c. k. inspektora podatkowego, zaczął to, co jeszcze pozostało wystawiać na licytację. Zapisuje on te krowiny, które żydki jeszcze pozostawili, zapisuje i grabi ostatnie łachmany, poduszki i płachty, skrzynie, siekiery, słowem wszystko, co tylko zobaczy, zabiera ostatnie kożuchy i płótnianki. Biedak, by nie stracić ostatniej krowiny lub kożucha — bo sekwestrator grozi, że jeżeli do trzech dni nie złoży zaległego podatku, to zagrapione rzeczy sprzeda — idzie do żyda i pożycza pieniądze na lichwę, lub rezygnuje ze wszystkiego i wyrzeka się swego dobytku.

O pięknym przykładzie odwagi i poświęcenia, jakie okazał ks. Pietruszyński proboszcz z Dąbrowy, donoszą z powiatu Opoczyńskiego w Królestwie Polskiem. Podczas nawalnych burz, jakie cały nasz kraj nawiedziły, rzeka Czarna wezbrała strasznie, czyniąc wielkie szkody. Most, który łączy położoną nad rzeką Dąbrowę z Dębową-Górą prawie zupełnie był zalany, tylko sam środek jego, wzniesiony wyżej, wystawał po nad wodę: we wsi zaś pomiędzy domami musiano łódkami pływać. Ksiądz proboszcz, widząc, że tu trzeba będzie nieść pomoc ludziom, wsiadł w czółno i pomiędzy zabudowaniami plebanji popłynął ku rzece. Naraz patrzy, aż tu o paręset kroków powyżej mostu siada do czółna trzech ludzi i puszczają się na rozhukane fale. Już byli prawie na środku rzeki, aż raptem łódka, zawadziwszy o coś sterczącego pod wodą, przewróciła się, ludzi zaś woda zaczyna w największym pędzie unosić prosto na most. Widząc to, proboszcz skacze ze swej łódki w wodę i brnąc z żerdzią w ręku po ogromnym wysiłku dostaje się na most. W tejże samej chwili jeden z porwanych przez wodę ludzi wpada pod most i uderzywszy o belkę głową znika w falach. Dwaj inni tymczasem, znać silniejsi, choć już prawie nieprzytomni i zsiniali, borykają się z prądem. Proboszcz klęka na skraju mostu, schyla się i z narażeniem własnego życia podaje jeden koniec żerdzi jednemu, drugi zaś drugiemu biedakowi i tak trzymając obu z niezmiernym wysiłkiem, wzywa ratunku. Na głośne wołanie przybyło zaraz kilku ludzi i przy ich pomocy wydobyto biedaków na most, ocalając tym sposobem życie ojcom dwóch rodzin.

Dla hodowców lnu. Komitet Towarzystwa gospodarczego galicyjskiego, podaje do wiadomości, że podobnie jak w latach poprzednich, pośredniczyć będzie w sprowadzeniu oryginalnego nasienia lnu inflanckiego, o ile zapas uzyskanej od ministerstwa rolnictwa subwencji starczy, a to: dla plantatorów większych po pełnej cenie, za złożeniem 25 zł. od worka, mieszczącego w sobie korzec miary tutejszej; dla plantatorów mniejszych po zniżonej cenie 50 ct. od garnca, a 16 zł.

od worka. Chcący korzystać z tego pośrednictwa, winni nadesłać dotyczące zamówienia do komitetu Towarzystwa, z oznaczeniem gatunku nasienia (czy rygskie, czy parnawskie?), niemniej adresu swego, tj. miejsca zamieszkania i poczty, a w razie większych zamówień i ostatniej stacji kolejowej, przy dołączeniu wyż wymienionej kwoty od każdego garnca, lub od każdego worka, do 15. stycznia 1890 najdalej. Zamówienia bez pieniędzy nie przyjmują się; a zamówienia po terminie nadesłane, uwzględnione będą o tyle, o ile fundusz pozwoli, nie dłużej wszakże jak do 31. stycznia 1890.

Z Odesy w południowej Rosji wydalono przeszło 60 uczniów uniwersytetu. Wyrok wydalenia dotknął także dziewięciu studentów Polaków, którym zabroniono mieszkać nietylko w gubernji Chersońskiej, lecz wogóle gdziekolwiekbądź na Litwie i Rusi, choćby i u rodziców.

Troje dzieci w płomieniach. Włościanka ze wsi Kindestie na Bukowinie, udała się niedawno do miasta Seretu, pozostawiając w chałupie troje malutkich dzieci, które zamknęła w izbie, ażeby nie biegały po mrozie. Dzieciaki bawiły się wcale wesoło, a już najbardziej interesował je ogień płonący na kuchni. Naraz średnie z nich, 4 letnia dziewczynka, zbliżyła się do ognia tak, iż zajęły się jej włosy na głowie. Inne dzieci rzuciły się na pomoc i od płonącej siostry zapaliły na sobie koszulki. Opatrzność, która opiekuje się malutkiemi, zdarzyła, iż obok chałupy przechodził właśnie jeden z sąsiadów i zastawszy drzwi zamknięte, zajrzał przez okno do wnętrza izby, gdzie troje dzieci, jak trzy żywe pochodnie, w okropnych mękach tarzało się po ziemi. Wieśniak jednem uderzeniem dłoni wysadził okno, wskoczył do środka i stłumił płonącą odzież na nieszczęśliwych. Dzieci jednak, odniosły dość silne oparzenia i leżą ciężko chore.

Co słychać w świecie.

Anglja. Głośni podróżnicy afrykańscy Emin i Stanley powracają do Europy, gdzie im gotują uroczyste przyjęcie. Stanleyowi, który ma przybyć do Belgji, ofiarował król belgijski swój pałac na mieszkanie.

Austrja. Na pierwszem otwartem posiedzeniu Izby przedstawił dr. Dnajewski budżet na r. 1890. Nadwyżka dochodu wynosi 15 miljonów. Z powodu jednak wydatków wydatków nadzwyczajnych (zwłaszcza na karabiny) redukuje się do miljona.

Na posiedzeniu wydziału prawniczego przemawiał poseł dr. Karol Lewakowski o odszkodowaniu niewinnie uwięzionych. Przy tej sposobności wskazał on na ostatnie polityczne procesy, tak zwane socjalistyczne we Lwowie; Minister sprawiedliwości hr. Schönborn przyrzekł wejrzeć w całą tę sprawę.

Brazylja. Rząd zamknął wszystkie klasztory jezuickie i zakonników przeszło trzy tysiące odesłać ma do Belgji.

Złożony z tronu cesarz brazylijski dom Pedro przybywszy z rodziną do Europy, ma zamieszkać w Austrji, w jednym z zamków książęcyc.

Kto zjedna przynajmniej dwóch nowych prenumeratorów na „Przyjaciela ludu“, temu przyślemy nasze pismo za rok teraźniejszy ze spisem rzeczy oprawione w jedną dużą księgę.

Prenumeratorom, którym brak jakichkolwiek numerów „Przyjaciela ludu“, chętnie takowe wyszlemy, dopóki zapasu starczy. *Reklamacje wolne są od opłaty pocztowej*

Najlepszy kalendarz ludowy!

Już wyszedł

„GOSPODARZ“

kalendarz ludowy na rok 1890.

pod Redakcją Jana Biedronia.

Kalendarz ten na zyski nie obliczony polecamy gorąco czytelnikom. Zawiera bardzo wiele rad gospodarskich, historję rozwoju Towarzystwa Kółek rolniczych i poradnik książkowy, w którym wymieniono dobre książki ludowe, jakie wyszły w kilkunastu latach. — Obejmuje 11 ark. druku. **Cena 30 ct. za egzemplarz** franco. Sprzedającym 25% rabatu. — Zamówienia adresować: **Jan Biedroń** w Biurze Towarzystwa Kółek rolniczych we Lwowie ul. Ossolińskich.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Mittig.** Z „Drukarni Polskiej“ ul. Sobieskiego l. 28.

22.264
1889
F VIII
P-95